

PRZEGLĄD POWSZECHNY.



BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DZIESIĄTY. — TOM XXXVII.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1893.



KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1893.

Errata.

Str. 281 w. 10 z góry,	zamiast:	na jego ogrom,	czytaj:	jego ogrom.
Str. 282 w. 12 z dołu,	"	z dziecięcego roku,	"	z dziesiątego roku.
Str. 318 w. 7 z dołu	"	"This dose	"	"This close conjunction.

KORESPONDENCYA ŚW. IGNACEGO LOYOLI.

(CARTAS DE SAN IGNACIO DE LOYOLA. Tomów sześć. Madrid 1874—1890).

Jeden z nowszych pisarzy ascetycznych powiada pięknie i prawdziwie¹, że nie masz lepszych, wyrozumialszych mistrzów duchownego życia nad Świętych, bo Święci bardziej od innych ludzi podobnymi są do Jezusa. Inny, dawniejszy asceta², przyrównywa słowa i cnoty Świętych do jasnych pochodni, przyświecających wędrowcom wśród nocy ziemskiej pielgrzymki. I inny znowu, poeta, filozof z lat ostatnich³, wydziwić się nie może, czemu tak słabo i niedokładnie ocenioną bywa rola, którą odgrywali, odgrywają Święci w dziejach świata, w życiu narodów. Kto kiedy spróbował zbadać bliżej i głębiej życie choć jednego z tych opatrnościowych mężów, których Kościół na ołtarzach stawia, aby nam byli przewodnikami i orędownikami; kto w ścisłem, najściślejszem słowa znaczeniu „umiał przyjaźń zawrzeć ze Świętymi“ — ten może nie wypowiedział, ale z pewnością odczuł na sobie prawdziwość trzech powyższych, wzajemnie uzupełniających się zdań; odczuł i pojął, jak to

Szczęśliwa przyjaźń! Świętym jest na ziemi.

Kto umiał przyjaźń zawrzeć ze Świętymi!

Posunięta na innych polach czasem aż do przesady metoda zbierania i ogłaszania wszelkiego rodzaju dokumentów, nie po-

¹ Faber, „Wszystko dla Jezusa“.

² Laur. Justinianus, *De inst. et regim. Prael.* c. XIII.

³ Hello, *L'homme*.

została na szczęście bez wpływu i na hagiograficzne studia, i wydała już tutaj najpiękniejsze kwiaty, najwspanialsze owoce. Kiedy dawniejsi biografowie okuwali nieraz opisywanego przez siebie świętego bohatera w ciężką zbroję ulaną z własnych swych myśli, z ułożonych przez siebie, stosownie do wymagań współczesnej literackiej mody, frazesów; okuwali tak szczelnie, że z poza tej nieco konwencyonalnej zbroi, trudno było dopatrzyć właściwych, charakterystycznych rysów — to dzisiejsi nie szczędzą starań, aby właśnie te rysy wystąpiły najdobitniej, aby o ile możliwa, sam Święty za siebie przemawiał; sam, własnymi słowami, odtwarzał nam swego ducha, zwierzał się z zamiarami, z zasadami, sam opowiadał o pracach swych, o cierpieniach, walkach, zwycięstwach. Święty zawsze prostemi, to serdecznemi, rzewnemi, to znów jak ogień gorącemi słowami opowiada sam swe czyny, myśli, uczucia, odkrywa serce, — i często w tem świetle dopiero zupełnie zrozumieć jesteśmy w stanie, jak i dla czego taki np. Franciszek Salezy tyle dobrego zdziałał, taka Teresa wywierała wpływ tak niezmierny, czemu przypisać dalszy rozwój rozpoczętych przez nich dzieł; jaka przyczyna, że w tym kierunku, takim korytem popłynęły prace, modlitwy, cała historia założonych przez nich zakonów. Niedosć zrozumiani, w nienależytem świetle przedstawieni Święci budzili w nas może pewien przestrach, jakąś jeśli nie odrazę, to mimowoli odczutą niechęć; mieliśmy wrażenie, że oni za daleko, za wysoko od nas, tak wysoko, że próżno wzrok ku nim wyteżać; bliżej poznani, przemieniają się w wyrozumiałych mistrzów, w ukochanych przewodników; w prawdziwych, niebieskich — przyjaciół.

Porywający obraz takiego mistrza, przyjaciela, a zarazem bohaterskiego rycerza, doświadczonego wodza w bojach za wiarę, Kościół i dusze nieśmiertelne, dają nam świeżo w sześciu tomach wydane listy św. Ignacego Loyoli. Bez wątpienia, niewielu innych Świętych miało tylu zdolnych, w osobie swego bohatera całem sercem rozmiłowanych historyków, jak dawny obrońca pampelońskiej twierdzy, późniejszy pustelnik w manrezańskiej grocie, jerozolimski pielgrzym, paryski student, wreszcie założyciel zakonu Towarzystwa Jezusowego. W hiszpańskiej literaturze,

nader ceniony ks. Piotr Ribadeneira, nakreślił na tle własnych wspomnień, z serca kochającego płynący życiorys: „Ojca mego — jak stary, polski tłumacz przekłada¹ — bardzo osobliwego, ponieważ mię on prawie z dzieciństwa jakoby na łonie swym wychował, a tak dziwnych cnót i świątobliwego żywota jego świadek byłem domowy“. Inny, również „domowy świadek“, ks. Ludwik Gonzales, spisywał z własnych ust Świętego historię młodszych jego lat; notował skrzętnie jego czyny, słowa, zamiary. Ks. Daniel Bartoli przelał w klasyczną formę, co do której po dziś dzień za mistrza we Włoszech jest uznany, zebrane przez poprzedników, przez współczesnych z dziecięcą troskliwością gromadzone materyały. A obok tych najgłośniejszych, iluż innych, z drugiej już ręki po większej części czerpiących, lecz niemniej wybitnym talentem obdarzonych biografów, którzy cześć i miłość dla ojca swego okazać chcieli, kreśląc osobne jego życiorysy: Orlandini, Maffei, Nieremberg, Garcia, Lucas, Fluvia, Nolarci, Mariani i t. d., i t. d. Wielu z nich, ci zwłaszcza, którzy w Rzymie pracowali, mieli do swego rozporządzenia, nie wszystkie zapewne, ale znaczną część listów i pism Ignacego; czasem jakiś urywek z nich cytują; znać nieraz, że je znają, że je czytali; ale znać też, że nie dość rozumieją — a podobno i współcześni czytelnicy nie dość odczuwali różnicę, jaka zachodzi między słowami samego Świętego, a najbardziej nawet dźwięcznemi, w żądany rytm najszkrupulatniej ujętymi peryodami o Świętym. I dlatego szczególnie miłośnicy i badacze jego życia nie wahają się dziś powiedzieć, że choć taki piękny i długi, nieprzerwany od trzech wieków szereg biografów Ignacego się rozwija, to żaden z tego zastępu, z wyjątkiem jednego bodaj Ribadeneiry i to w pewnej tylko mierze, nie odmalował nam portretu tego Bożego rycerza w całej pełni światła, zupełnie właściwemi i dobranemi farbami.

Pierwszy, stosunkowo niewielki zbiór listów i pism św. Ignacego, wyszedł dopiero na początku bieżącego wieku, dzięki

¹ „Żywot Bł. Ojca Ignacego Lojole... na polskie przez X. Simona Wysockiego, tegoż zakonu przetłómaczony. W Krakowie, w drukarni Mikołaja Loba. 1609“.

staraniom, osładzającego sobie tą pracą ciężkie chwile wygnania z ojczyznej Hiszpanii, O. Rocha Menchaca. Jezuicki tułacz zebrał z niezmiernym trudem 97 listów swego zakonodawcy, i ogłosić je musiał po łacinie w Bolonii, bo ówczesna madrycka cenzura lękała się wydać pozwolenia na przepuszczenie przez Pireneje oryginalnego hiszpańskiego tekstu! Zaledwie w pół wieku później, pewna liczba hiszpańskich listów znalazła przytułek w dodatku do niemieckiego żywotu Świętego, drukowanego w Innsbruku¹. Wydawca pism i listów św. Teresy, O. Marcelli Bouix, ogłosił w francuskim tłumaczeniu 145 listów Świętego², a zatem blisko 50 więcej, niż Menchaca. Po Bolonii, Innsbruku, Paryżu, przyjść miała wreszcie kolej na Madryt; po pierwszych, szczęśliwie postawionych krokach, należało pomyśleć o, ile możliwa, kompletnej edycji wszystkich listów i pism Świętego, rozproszonych po archiwach publicznych i prywatnych wszystkich niemal europejskich krajów. W r. 1874 ukazał się w Madrycie pierwszy gruby, wspaniały tom: *Cartas de San Ignacio de Loyola*; pod krótką przedmową podpisani byli trzej wydawcy, których nazwiska dawały znającym nowoczesne hiszpańskie piśmiennictwo najlepszą gwarancję, że rozpoczęte na wielką skalę dzieło doprowadzą do skutku: Antonio Cabré, Miguel Mir, Juan José de la Torre. Wydawnictwo ciągnęło się powoli, przez całe lat szesnaście, tak, że rok temu dopiero, szósty, ostatni z rzędu tom opuścił madryckie prasy; inaczej być też nie mogło, bo z każdym miesiącem, z każdym niemal tygodniem, nowe odnajdywano skarby, nowe, najcenniejsze dokumenty, rzucające światło nie na samą tylko historię Świętego i jego zakonu, ale i na najznakomitsze osobistości XVI. wieku, na całe współczesne dzieje. Liczba listów, napisanych bądź własnoręcznie przez Świętego, bądź przynajmniej z jego wyraźnego polecenia i z jego podpisem, wynosi 842; nadto w obszernych dodatkach, znalazł

¹ *Das Leben des hl. Ignatius von Loyola. Mit Benutzung der authentischen Acten, besonders seiner eingenen Briefe. Von P. Christoph Genelli. Innsbruck 1848.*

² *Lettres de S. Ignace de Loyola... traduites en français par le P. Marcel Bouix S. J. Paris 1870.*

pomieszczenie długi szereg listów, adresowanych do św. Ignacego, i niemniej długi i ważny szereg innych pism, sprawozdań, aktów, odnoszących się do życia jego i działalności. Płótno, farby gotowe; chodzi teraz tylko o mistrza, któryby uporządkował nagromadzone tak bogato materyały, tchnął w nie twórczego ducha, odtworzył w całym blasku piękna i prawdy, wspaniałą tę, jedyną w swym rodzaju postać męznego rycerza, mądrego wodza nowych, stosownie do potrzeb i czasu, zorganizowanych przez siebie krzyżowców XVI. wieku.

Czy taki mistrz, czy prędko się znajdzie? Paru pokusiło się¹, chwyciło za pendzel, ale dotąd siły nie odpowiadały zamiarom. Gdy obrazu niema, gdy i porządnego szkicu nie wiemy, czy kiedy w Polsce się doczekamy, niechże tymczasem parę, naprędce skopiowanych rysów, parę przygotowywanych niejako do właściwego studyum notatek, da jakieś wyobrażenie, jak marzony obraz mógłby wyglądać...

Pierwszy z przechowanych listów Świętego nosi datę 6 grudnia 1525; ostatni, na dziesięć dni przed śmiercią wysłany, datę 22 lipca 1556. W dawniejszych latach, listy oddzielone od siebie dość długimi peryodami czasu, później coraz częstsze, tak że na jeden dzień nieraz kilka listów przypada; za to późniejsze te listy zazwyczaj krótsze, obracają się w kole coraz liczniejszych i ważniejszych interesów, ciekawsze dla historyka dziejów ówczesnych, nie pozwalają czytać z równą łatwością i jasnością w samym sercu piszącego. Okres pierwszy, jak się w świetle tych dokumentów ujawnia, to Ignacy pracujący nad sobą samym, nad ascetycznem wykształceniem ducha i serca, nad naukowem wzbogaceniem umysłu; w następnym, główną jego myślą przewodnią, uformowanie i ukształcenie wojska, które za wodzem Chrystusem idąc, koło sztandaru Jego się kupiąc, szerzyłoby królestwo Boże na ziemi; jednocześnie, wojsko gromadząc, do

¹ Dawniej wspomniany już powyżej O. Genelli, a w ostatnim czasie O. Karol Clair S.J., w pięknie ilustrowanem, francuskim dziele: *La vie de Saint Ignace de Loyola*. Paris 1891.

boju je prowadzi. Naszkicujmy na tle listów Świętego, o ile można, własnymi jego posługując się słowami, epoki te, raczej porządkiem czynów, wypowiedzianych walk, odniesionych zwycięstw, niż porządkiem lat i miesięcy od siebie się odrzynające; naszkicujmy, mówiąc dokładniej, nie te epoki, ale kilka punktów, dających o nich choć jakieś, choć mgliste pojęcie.

I.

Jakie źródło tej rzeki, która coraz szerszem, głębszem korytem płynąc, coraz nowe prowincye i kraje całe z nagromadzonego przez wieki błotnistej mułu oswobadza, cudownie użyźnia; jakie źródło czynów niezwykłych, bohaterskich; dzieł po dziś dzień trwających, doprowadzonych do skutku przez dawnego rycerza-poetę, o wieńcach i oklaskach jedynie zdawało się marzącego, dumnego z przodków swych, z czynów swych — Inigo? W manrezańskiej grocie poznał on, łaską tknięty, czem Bóg, czem człowiek; zrozumiał, jaki cel człowieka na ziemi, a rozumiana ta, tak prosta, a tak wielka i ważna prawda, była mu już odtąd owym słupem ognistym na puszczy, za którym idąc, zbłąkać się nie mógł. To też do tego punktu wyjścia wraca się ciągle, jak w konstytucyach swego zakonu, tak we wszystkich pismach, listach, radach, instrukcyach; w każdej trudności, w każdej wątpliwości pyta przede wszystkim: Czy i co będzie na większą chwałę i służbę Bożą? — to jedno pytanie waży na szali; po jego rozstrzygnięciu czyż warto inne stawiać, czyż wahać się wolno, droga jasno nie wskazana? Najsilniejszą też zachętą, najdobitniejszym argumentem, raz po raz jak zwrotka w pieśni, powtarzające się słowa: „Wszystko na służbę i chwałę Pana naszego“; powiedzieć można śmiało, że niema stronicy, niema listu, w którymby ta zwrotka się nie odezwała, nie rozbrzmiała z coraz nową siłą święte to hasło.

„Pisałbym częściej, — usprawiedliwia się uczący się podówczas w Paryżu Ignacy przed bratem swym, Marcinem Garcia de Oñaz¹ — gdyby nie to, że nauka wszelki czas pochłania, i że

¹ Paryż, r. 1532. T. I, list 3.

nie zdaje mi się, i nie mam dostatecznego prawdopodobieństwa, aby listy moje przyczynić się mogły do służby i chwały Boga, Pana naszego... Mówię szczerze: o tyle w życiu mogę kogo kochać, o ile to pomaga do służby i chwały Pana naszego". W pokornej prośbie do księcia Askaniusza Colonna, dźwięczy ta sama nuta¹: „Wie Bóg. Pan nasz, jak bardzo pragnę służyć W. Eks-celencyi na większą chwałę i sławę Bożej, wiecznej Dobroci, ponieważ o tyle może być dla nas coś dobrego w tem życiu, o ile dopomaga nam do osiągnięcia przyszłego życia; o tyle złem, o ile od niego nas odprowadza. Tak dusza oświecona wysoko buduje swe gniazdo, niczego innego nie pragnąc, prócz Chrystusa, i to ukrzyżowanego". — Szlachetny, królewski sposób obraliście sobie, — uczy już jako jeneral zakonu braci uczących się w Koimbrze² — „bo nie tylko ludzie, ale i aniołowie, nic większego uczynić nie mogą, jak chwałę nieść Stwórcy swemu, samemu w sobie i prowadzić doń stworzenia Jego... Nie dozwólcie, aby synowie tego świata zwyciężali was, szukając z większą troską i umiejętnością rzeczy doczesnych, niż wy wiecznych szukacie. Czyż wam nie wstyd, że oni z większym zapalem biegną do śmierci, niż wy do życia... Żołnierzami jesteście Zbawiciela naszego, z odrębnego tytułu i na odrębnym żołdzie w tem Towarzystwie naszym. Powiedziałem 'odrębnego', ponieważ wiele jest innych wspólnych tytułów, bardzo nas bez wątpienia obowiązujących do szukania Bożej chwały i służby... Czyż to nie zły żołnierz, komu żołd taki nie wystarcza, kto nie gotów podjąć się ochotnie wszystkiego, co przynieść może chwałę jego królowi?...⁴ W obszernem piśmie do Wilhelma, księcia bawarskiego³, nakreśla Ignacy zadanie i cel wszystkich prac, podjętych przez swój zakon; wyłącznym tym celem chwała i służba Boża. Bracia nasi, którzy w państwie Twem pracują i pracować będą: Salmeron, Kanizyusz, Klandyusz le Jay, — „wszystkie swe prace, wszystkie troski i trudy skierują jedynie ku poprawie

¹ Rzym, 20 kwietnia 1543. T. I, list 42.

² Rzym, 7 maja 1547. T. I, l. 106.

³ Rzym, wrzesień 1549. T. II, l. 172.

zepsutych obyczajów tych czasów naszych; zdążać będą do tego na większą część i chwałę Bożą, aby przykładem życia, słuchaniem spowiedzi, a wreszcie wiedzą i nauką, opierającą się na szczerzej, niezamąconej wierze i na świętych przykazaniach Chrystusowych, prowadzili dusze ludzkie od zgubnych zasadzek ziemskich rozkoszy, do dobrego i szczęśliwego życia, od ciała do ducha, od świata do Boga!⁴

Nie dość poznać cel życia, znać jeszcze należy drogi, ścieżki doń wiodące; nie dość zrozumieć, trzeba i rękę do pracy przyłożyć, w hart, wytrwałość się uzbroić. Do tego oświecenia rozumu, wzmocnienia woli, najpierwszym środkiem, głębokie przejęcie się prawdami wiary, ujętemi przez Ignacego w nieśmiertelnych „Ćwiczeniach duchownych“ w taki niezrównany system; z taką nadludzką, rzeczy można, znajomością Serca Bożego i serca ludzkiego przeprowadzony. Pustelnik z Manrezy doznał na sobie siły i skuteczności tych „Ćwiczeń“; każdemu też z nowych swych uczniów, każdemu kto gorącej Bogu zapragnął służyć i pytał, co mam czynić? — każdemu, komu za doznane dobrodziejstwa po Bożemu odwdzięczyć się pragnął — poleca Święty i stawia jako pierwszy niejako warunek, jako odpowiedź na zadane pytania: dokładne odprawienie rekolekcyj. Za wszystko dobre, com ci winien, — pisze do dawnego swego spowiednika w Alkali i Paryżu¹ — lepiej i inaczej odwdzięczyć ci się nie potrafię, jak prosząc, „abyś przez miesiąc, pod kierunkiem męża, którego ci wyznaczę, odprawił ćwiczenia duchowne. Mając na oku służbę Boga Pana N., błagam cię, donieś mi, czyś ich już spróbował, czyś w nich zasmakował? Jeśli jeszcze nie, to zaklinam cię na miłość Boga i gorzką śmierć Jego, rozpocznij je. Gdybyś miał kiedy tego kroku żałować, gotów jestem poddać się wszelkiej karze, którą nałożyć na mnie zechcesz; nadto uważać mię możesz w takim razie za człowieka, wywodzącego w pole mężów duchownych, którym wszystko zawdzięcza... Po dwakroć, po trzykroć i ilekroć mogę, o to cię błagam... ze względu

¹ Do Magistra Emanuela Miona. Wenecya 16 listopada 1536. T. I, l. 10.

na korzyść twą własną i abyś wielu innych mógł do cnoty prowadzić, być im pomocnym, użytecznym“...

Instrukcyja, wydana w ostatnich latach życia Świętego, dobitniej jeszcze okazuje, co Ignacy o rekolekcyach sądził, jak je sobie cenił, jak je uważał za fundament życia duchowego, za główną broń, którą synowie jego w podjętych walkach mieli się posługiwać. Sekretarz zakonu, O. Polanco, przepisuje z wyraźnego polecenia Ignacego¹, aby z każdego klasztoru nadsyłano co tydzień sprawozdanie, czy i wielu w upłynionym tygodniu odprawiło, lub objawiło zamiar odprawienia rekolekcyj. „Ojciec nasz nakazał mi na wszystkie strony listy wysyłać o udzielaniu Ćwiczeń Duchownych i mężczyznom i kobietom; tym ostatnim po kościołach... Pomiędzy środkami używanymi przez Towarzystwo nasze, ten mu jest najwłaściwszym; niezliczona liczba dusz zaciągnęła się za jego pośrednictwem w szczególną służbę Boga Pana N... Pierwszy zwłaszcza tydzień² Ćwiczeń Duchownych przynosi nadzwyczajną korzyść wszystkim bez wyjątku, równie osobom zameźnym, jak i innym świeckim i zakonnym“.

W rekolekcyach założony fundament; codzienne modlitwy, rozmyślanie, używanie łask i środków przez Chrystusa Kościołowi zostawionych, gmach doskonałości dalej budują, zupełnie dają „poznać przewyższającą naukę miłość Chrystusową, abyśmy byli napełnieni wszelakiej zupełności Bożej“³. Należy, ile można najczęściej myśl do Boga podnosić; ile łaska Boża pozwala najgoręcej się modlić; lecz niemniej zapominać nie wolno, że modlitwa nie jest celem, ale tylko jednym z głównych środków w chwaleńiu Boga; strzedz się trzeba, aby słodycz na modlitwie odczuwana nie odwracała od innych przez Boga nałożonych prac. „Wszyscy członkowie zakonu naszego takim duchem oży-

¹ *Ordine per gl'Esercizii Spirituali*. Rzym, 18 czerwca 1554. T. IV. *Appendice* I, nr. 42.

² Jak wiadomo, św. Ignacy dzieli rekolekcyje jakby na cztery działy, cztery epoki, nazwane przezeń „tygodniami“, a które odpowiadają różnym, coraz wyższym stanom duszy do Boga dążącej.

³ Do Efezów III. 19.

wieni być mają¹, iżby nie mniejsze — o ile to jest możliwem — czuli nabożeństwo w jakiembądź zajęciu nakazanem przez miłość i posłuszeństwo, niż w modlitwie i rozmyślaniu, ponieważ wszystko czynić jedynie powinni dla miłości i służby Boga, Pana naszego“. „Uczniowie nasi² mogą przy pracy i nauce umysł do Boga wznosić; a wszystkie ich sprawy, gdy je skierują do służby Bożej, będą modlitwą“.

Do spowiedzi, do Komunii św. — napomina siostrę swą, Donnę Magdalenę³ — przystępuj jak możesz najczęściej, „aby Pan nasz duszę twoją ze Sobą we wszystkim połączył przez prawdziwą nadzieję, coraz żywszą wiarę i niezbędną do zbawienia miłość“. Dawniejsi chrześcijanie, przypomina mieszkańcom rodzinnej Azpeitii⁴, przystępowali bardzo często do stołu Pańskiego; później zapał ten ostygł, dziś w pewnej przynajmniej mierze wskrzesić nam wypada zwyczaje przodków naszych, i choć raz na miesiąc do Sakramentów świętych uczęszczać. „Błagam, zaklinam was, przez cześć Boga Pana naszego, czcijcie, wielbcie, służcie z wielką miłością, wszystkie siły swe wyteżając, jednorodzonemu Synowi Jego, Chrystusowi Panu naszemu, w tem tak wielkiem dziele, w Najświętszym Sakramencie, w którym Boski Jego Majestat, Bóg i Człowiek zarazem, tak jest wielkim, tak jest samym sobą bez ujmy żadnej, tak potężnym jest i nie-skończonym, jako jest w niebie. Dlatego w bractwie, które utworzycie, zobowiążcie się pewnemi ustawami, wedle których każdy członek przystępowaćby miał do spowiedzi i do Komunii św. raz na miesiąc; wszakże zawsze z dobrej swej woli, nie zobowiązując się do tego pod grzechem. Nie wątpię i najsilniej jestem przekonany, że w ten sposób działając, osiągniecie niewypowiedziane wielkie korzyści duchowne“.

Z gorzyczynego ziarna prawd wiary w rekolekcyach po-

¹ O. Polanco w imieniu św. Ignacego do O. Urbana Fernandez. 1 czerwca 1551. T. II, l. 232.

² O. Polanco w imieniu św. Ignacego do O. Barceo. 24 grudnia 1553. T. III, l. 396.

³ 24 maja 1541. T. I, l. 24.

⁴ W jesieni 1540. T. I, l. 21.

znanych, pod wpływem orzeźwiającej rosy codziennej modlitwy, grzejących promieni łask sakramentalnych, wyrasta w niebo rozłożyste drzewo doskonałości, i „czyni gałęzie wielkie“ zakonnych, chrześcijańskich cnót, tak, iż — jak Pan Jezus w przypowieści swej powiada¹ — „pod cieniem jego mogą mieszkać ptacy niebiescy“. W listach swych mówi Ignacy z kolei, wedle nadarzających się sposobności, o wszystkich niemal cnotach; zachęca do nich, podaje praktyczne wskazówki, piękności ich maluje, nie domyślając się, że mimowoli sam siebie, własne swe życie szkicuje. Jak wszyscy mistrzowie duchownego życia, tak i nasz Święty kładzie główną wagę na dwie cnoty, których zadaniem, grunt pod inne, wyższe gotować, ciało i duszę w należytych karbach utrzymując: umartwienie i pokorę. Wstępować nam należy w ślady, iść wiernie za Wodzem cierpiącym, za Wodzem upokorzonym! „Pan zsyła na nas choroby², zsyła doczesne przykrości, abyśmy się lepiej poznali i wyzuli z przywiązania do wszystkiego, co stworzone; abyśmy dokładniej zrozumieli, jak krótkie to nasze życie i jak przygotowywać się trzeba do drugiego, wiecznego. Pamiętając o tem, nie zapominając, że Bóg zwykł nawiedzać tych, których miłuje, smucić się i boleć nad tobą nie mogę“. W innym liście tłumaczy niejako całą ekonomię Bożą odnośnie do zsyłanych na nas długich cierpień, krótkimi pociechami przeplatanych:³

„Z listów nadeszłych z Walencji dowiedziałem się, że Bóg Pan nasz nawiedza cię boleściami i ciała i duszy, a tak, dając ci tyle sposobności do skarbienia sobie zasług, okazuje ci szczególną miłość i chęć tem hojniejszego wynagrodzenia dobrych twych pragnień i uczynków w przybytku wiecznego szczęścia, im mniej na tej ziemi, w życiu tem doczesnem, za nie ci płaci. Bez wątpienia, pragnę zadowolenia i pociechy dla twej duszy, tak jak dla swej własnej; współczuję z twemi cierpieniami, do

¹ Ewang. św. Marka. iv. 31, 32.

² Do Elżbiety Roser. Paryż, 10 listopada 1532. T. I, l. 4.

³ Do Magdaleny Anieli Domenech, siostry O. Jana Hieronima Domenech, jednego z najgorliwszych i najrozumniejszych uczniów Świętego. 12 stycznia 1554. T. IV, l. 409.

czego mię zresztą zobowiązuje i rozum i prawo miłości; ale pomimo tego uważać muszę za szczególną łaskę Boga Pana naszego, że następuje ci sposobność do ćwiczenia się w cierpliwości, w wierze, w ufności. Pewny bowiem jestem, że Bóg, że najwyższa dobroć i miłość najmędrszego Ojca Niebieskiego tego ci udziela, co bardziej ci jest pożyteczne, bo niemniej w przeciwnościach, jak w szczęściu, równie w cierpieniach, jak w radościach, okazuje nam odwieczną swą miłość, którą wybranych swych doprowadza do wiecznego szczęścia. Takie jest miłosierdzie Jego i łaskawość, iż ze swej strony, byle to tylko z korzyścią naszą było, wolałby nas widzieć, nawet na tym świecie, raczej w weselu, niż w smutku. Ale ponieważ nędzny nasz stan obecny domaga się, aby nieraz, miasto wesela, cierpieniem nas nawiedzał; w tem okazuje nam najwyższe, nieskończone swe miłosierdzie, że zamknąwszy cierpienie w krótkim okresie tego życia, wiele do niego pociech domieszuje... Oddaj się zatem zupełnie w ręce Chrystusa Pana naszego, dostrajając własną wolę do zupełnej harmonii z Jego wolą; bądź jak najgotowszą do naśladowania Go w cierpieniach, które ponosił na tym świecie, jeśli raczy ci ich użyć, abyś później stać się mogła uczestniczką Jego chwały w przyszłym świecie. Nie wątpię, że w ten sposób cierpienia twe bardzo się zmniejszą, a gdy zarazem moc duszy się zwiększy, czuć ich prawie nie będziesz¹.

Gdy Bóg krzyże, upokorzenia zsyła, czy na jednostki, czy na zakon cały, to Mu za to chwała i dzięki, że „dozwala nam przyoblec się w szaty jednorodzonego Syna Swego“. Na wieść o prześladowaniach, które wybuchły przeciw zakonowi w Saragossie, i że „ostatecznie¹ nasi, pragnąc uniknąć większego zgorzelenia, oddali klucze swego kolegium miastu i z niego ustąpili“, Ignacy wysławia Boga, że „nawiedzić nas raczył“, krzepi się nadzieją pewną: że „Boska Mądrość wyciągnie z tego korzyść dla służby swej, do czego, gdziekolwiek przebywając, lub skądkolwiek odchodząc, jedynie dążymy“. Niektórzy świeccy nauczyciele rzymscy patrzyli z zazdrością na rosnącą sławę Rzym-

¹ Do Mendozy. 26 listopada 1555. T. VI, l. 743.

skiego Kolegium i przyprowadzili nawet do pewnych zamieszek; Święty w instrukcyi do przełożonych rozesłanej, daje wskazówki jak w podobnych wypadkach należy sobie postępować¹. „Nauczyciele nasi niech w pokorze przyznają, że wielu rzeczy nie wiedzą, o wiele więcej, niżby tego sobie życzyli; ale że służyć chcą Bogu i bliźnim, kupcząc i temi małemi talentami, których wspólny Ojciec Niebieski im użyczył, i ostatecznie zwyciężać zarozumiałość swoją skromnością“. Dwanaście długich listów i memoriałów — o mniej znaczących nie mówiąc — do królów, kardynałów, do samychże papieży, ma na celu obronę zakonu przed godnościami, które Ignacy wielokrotnie nazywa najgroźniejszym wrogiem zakonnej pokory i karności; furtką, przez którą zbyt łatwo niezdrowa ambicja, otoczona szeregiem innych tysiącznych błędów, mogłaby się przedostać za klasztorne mury.

„Kto pragnie okazać szczególną swą miłość Chrystusowi Królowi — wyraża się dosadnie autor rekolekcyj, stawiając program życia dla wybranych, najwaleczniejszych rycerzów Bożych² — i odznaczyć się we wszelkiej służbie wiecznego swego Króla i Pana wszech rzeczy — ten nietylko ofiaruje się bez uszczerbku żadnego na pracę, ale też walcząc przeciw własnej swej zmysłowości i przeciw miłości ciała i świata, zdobędzie się na ofiary większej wagi, większego znaczenia“; — ten ze stopnia na stopień postępując, do płomieniejącej miłości przez coraz lepsze poznanie doszedłszy, odda wszystko swoje i siebie samego Bożemu Majestatowi³: „Przyjm i weź Panie wszelką wolność moją, pamięć, rozum, wolę moją, wszystko co mam i posiadam“... To zapisanie się w szeregi wybranego hufca wojowników Pańskich, to zupełne oddanie w ofierze Niebieskiemu Wodzowi wszystkiego co się ma i mieć można, ciała i serca, woli i rozumu, znajduje praktyczne swe określenie i urzeczywistnienie w wypełnieniu trzech rad ewangelicznych — w trzech ślubach zakonnych. Dla

¹ Do przełożonych. 23 stycznia 1552. T. III, l. 254.

² „Ćwiczenia duchowne“. Tydzień drugi. Kontemplacya o Królestwie Chrystusowem.

³ Tamże. Ostatnia kontemplacya o miłości.

wszystkich trzech miał Ignacy prawdziwą cześć, powiedzieć można: synowską miłość. Ubóstwo nazywał i miłować nakazywał „jako mocny mur zakonu“, jako „matkę“¹; w czystości żądał współzawodniczenia z Aniołami²; zalecał „wszystkie siły i pragnienia ku temu celowi w Panu zwrócić, aby święte posłuszeństwo było zawsze ze wszech miar doskonałe, tak co do wykonania, jak co do woli i rozumienia“³. Cześć ta i miłość, jak w ustawach zakonnych, jak w życiu całym, tak szczególnie pięknie nowym blaskiem jaśniejąc, z wielu listów przebija.

„Dowiedziałem się, — czytamy w okólniku do kilku, czy kilkunastu klasztorów rozsypanych w różnych państwach europejskich⁴ — że Bóg Pan nasz nawiedza was skutkami świętego ubóstwa... Niemala to łaska Dobroci Bożej, dającej nam zakonstować w rzeczywistości tego, czego zawsze pragnąć winniśmy, aby się tak stać podobniejszymi Przewodnikowi naszemu i Wodzowi, Chrystusowi Panu, wedle ślubów i świętego Instytutu zakonu naszego. Prawda, że nie wiem o żadnym miejscu, w któremby Towarzystwo nie doznawało tej łaski; choć w jednych miejscowościach w większym, w innych w mniejszym stopniu. Ale jeśli porównamy się do naszych braci w Indyach, którzy wśród tylu trudów i ciała i duszy, tak wielki brak cierpią rzeczy do życia potrzebnych, że nieraz chleba nie jedzą, wina nie piją, lecz utrzymują się garstką ryżu, kubkiem wody... i ubrać się w co nie mają; natenczas cierpienia nasze nie wydadzą nam się wielkimi. Pomyślmyż, że i my żyjemy w naszych Indiach!...“

Gdy chodziło o ścisłe zachowanie ubóstwa, tego „muru“ zakonnego, Ignacy tak zawsze wyrozumiały i roztropny, tak żywo poczuwający się do wdzięczności dla dobroczyńców swoich i swego zakonu, nie miał względu na nikogo, był wprost nieugiętym. Jeden z najdawniejszych i największych przyjaciół i dobroczyńców, Piotr Ortiz, ofiarował zakonowi bogate probostwo w Galapagar, i nalegał usilnie, rozliczne podając powody,

¹ „Sumaryusz“. Reguła 23, 24. ² Tamże. R. 28. ³ Tamże. R. 35.

⁴ Grudzień 1552. T. III, l. 293.

o przyjęcie tej ofiary. Święty odpisuje stanowczo¹: „Towarzystwo nasze wszystko ci ma do zawdzięczenia, i przeto cieszyłbym się w Panu naszym, gdybym mógł się zgodzić na pocziwe twe zamiary, na święte twe chęci; wszakże, wedle najpokorniejszej profesyi naszej, żadnych nie mamy mieć dochodów, ani wspólnie, ani nikt w szczególności, a gdy postanowienie to nasze potwierdzone zostało przez różne bulle papieskie, nie odważylibyśmy się nigdy cofnąć wstecz z doskonalszej na mniej doskonałą drogę: owszem, gorąco pragniemy, aby Bóg Pan nasz, życie to nam prędzej odebrał na większą swą służbę i chwałę, nimbyśmy następcom naszym dać mieli taki przykład“. Niemniej stanowczą odpowiedź otrzymał młody D. Teutonio de Braganza, blizki krewny króla portugalskiego, który po paru latach pobytu w zakonie, domagał się pewnych dyspens w zachowywaniu ślubu ubóstwa²: Żądanych pozwoleń udzielić ci nie mogę, tem bardziej, że obowiązkiem moim „przemyśliwać to, coby było dobrego nie tylko przed Bogiem, ale też i przed wszystkimi ludźmi“³. Jeżeli jednak czego potrzebujesz, to proszę cię i nakazuję, powiedz o tem przełożonym z wszelką wolnością i jako z mego nakazu; a i ja ze swej strony napiszę do przełożonego w Salamance, aby miał o tobie szczególną pieczę“.

O drugim zakonnym ślubie, jak w konstytucjach, w rekolekcjach, tak i w listach, nie często i krótko zachodzi jakaś wzmianka, zawsze nad wyraz delikatną ręką uczyniona. Czasem jakaś przestroga o zachowywaniu potrzebnych ostrożności przy spełnianiu posług duchownych⁴; czasem przypomnienie ułożonych początkowo dla rzymskiego klasztoru, następnie w całym zakonie rozpowszechnionych, tak słusznie przez Świętych, przez wszystkich późniejszych ascetów uwielbianych „Przepisów o skromności“; lecz i te przestrogi, przypomnienia rzucone bywają rzadko, jakby mimochodem. Nie nadaremnie hiszpańskie przy-

¹ R. 1546. T. I, l. 98.

² 7 stycznia, 1553. T. III, l. 245.

³ Do Rzymian XII. 17.

⁴ Do przełożonych we Włoszech, 28 lipca 1553. T. III, l. 327.

słowie ostrzega: „Lilii nie dotykaj, bo straci woń swą cudną i barwę srebrzystą!”

Natomiast z listów, nieraz z formalnych traktatów o posłuszeństwie, dałby się ułożyć spory tomik; listów, w których o tej cnocie *ex professo* niejako wyklada, doliczyliśmy się dwadzieścia jeden. Któż wówczas z lepiej myślących, patrząc na smutne współczesne dzieje, heretyckie buntury przeciwko wierze i kościelnej władzy, ubolewając nad wszelkiego rodzaju rozluźnieniem, które buntom tym drogę przygotowało, rozrósć im się dozwoliło; któż nie odczuwał potrzeby zaprowadzenia większej karności w szeregach obrońców Kościoła, nie wzdychał za sprężystą ręką, która skupiłaby, uszykowała, poprowadziła do zwycięstwa mężnych, licznych, ale zbyt często samopas błakających się rycerzów? Ignacy, sam dawniej żołnierz i dowódca, wyobrażający sobie zawsze apostolską pracę pod obrazem wojny toczonej z wrogami duszy ludzkiej, rozumiał lepiej i goręcej od innych tę potrzebę ścisłej karności, sam bezwzględnie pod nią się poddawał, a zarazem pragnął i domagał się, aby posłuszeństwo było główną, charakterystyczną cnotą tych, „którzy w tem Towarzystwie Bogu służą“, aby ono „było cechą prawych tego Towarzystwa synów“.

Główne zasady, myśli swe i praktyczne wskazówki o posłuszeństwie, zebrał Ignacy w klasycznym okólnym piśmie, wydanem pod datą 26 marca 1553 r. „do najukochańszych w Panu naszym braci Towarzystwa Jezusowego w Portugalii“, najszerzej bez wątpienia ze wszystkich listów i odezw naszego Świętego rozpowszechnionem, najbardziej cenionem. Św. Franciszek Borgiasz, kompetentny sędzia w tej mierze, zwykł był o liście tym mawiać: „To czyni a żyć będziesz!“, a w jednym z pism swoich pozostawił o nim następne słowa: „Nic tu dodać, nic ująć nie można!“ Istotnie trudno nie podziwiać bogactwa treści, zwięzłości formy, logiczności, z jaką wszystkie wywody wzajemnie ze siebie płyną, ze sobą się łączą. Po krótkim wstępie i wyjaśnieniu, jakim ma być posłuszeństwo i jakie jego stopnie, postępują, jak karni żołnierze do walki, w gęstym szeregu dowody, że kto pragnie zupełną z siebie Bogu uczynić ofiarę,

temu nie wolno zatrzymywać się na niższych stopniach, lecz na najwyższy musi postąpić; ten nie tylko powinien spełniać rozkazy przełożonego, nie tylko wolę jego sobie przyswajać, lecz nadto i rozum ofiarować, tak żeby i chciał tego samego i to samo rozumiał, co przełożony, i sąd swój jego sądowi poddawał. Jakim sposobem dojść do tego tak wysokiego stopnia? Upatrując w osobie przełożonego nie człowieka, błędom i ułomnościom podległego, ale samego Chrystusa; starając się bronić wobec samych siebie, a nigdy nie ganić tego, co przełożony rozporządza i sądzi; wyrabiając w sobie przekonanie, iż cokolwiek przełożony każe, to jest rozkazem samego Boga i wolą Jego. W ostatnich ustępach, powtarza Ignacy raz jeszcze z ponownym, większym niż kiedykolwiek, niż w jakiegokolwiek innej sprawie, naciskiem: „W Towarzystwie tem, nad którym Bóg mi zwierzchności pieczę poruczył, pragnę widzieć tę cnotę tak kwitnącą i tak wykonywaną, jak gdyby od niej samej pomyślność i byt naszego Towarzystwa zawisły... Zaklinam was przez Chrystusa Pana naszego, który stał się dla nas nie tylko nauczycielem, ale i wzorem posłuszeństwa, abyście się całym sercem do tej cnoty przykładali...”

Inne listy, omawiające lub dotykające tego samego przedmiotu, grupują się koło powyższego, największego, bardziej jeszcze treścią niż rozmiarami; następne uzupełniają pewne szczegóły, poprzednie pozwalają nam znowu przypatrzeć się, jak myśli tak jędrnie w klasycznym tem piśmie wyłożone, zwolna w umyśle Świętego dojrzewały i rozwijały się. Równorzędnie biegnie druga, odrębna serya listów, wprowadzających teoretyczne rady i zasady w życie praktyczne. Ignacy chciał i umiał słuchać, rozumiał czym jest posłuszeństwo i jakie ma być, i dlatego właśnie rozkazywać umiał. Posiadając prawdziwie wyjątkową znajomość sere ludzkich, gra na nich jak mistrz na harmonijnym instrumencie, to w łagodność, to w razie potrzeby w surowość uderzał; wyrozumiały czasem aż do ostatnich granic, to znów ostry, żołnierskiego posłuchu się domaga, za lekkie przewinienie, zdawałoby się, bez litości karci, a różne te tony w jedną dźwięczną

pieśń na chwałę Bożą się zlewające, najlepiej dowodzą, że z odpowiednią siłą odpowiednie struny poruszał.

Jak różne np. postępowanie, odmienny ton w rozkazach, wydawanych dwom równie z pewnością ukochanym towarzyszom: Jakubowi Laynez, a Szymonowi Rodriguez. Pierwszy, najgłębszy może teolog swego czasu, późniejszy następca św. Założyciela w rządach nad całym zakonem, szedł szybszym jeszcze krokiem na drodze cnoty, niż wiedzy; stał to była hartowna, której najcięższe uderzenia mogły tylko blasku dodać. Laynez był zawsze wzorem posłuszeństwa; raz jeden okazał pewne niezadowolenie z nadeszłych z Rzymu rozkazów, i niezadowolenie to objawił w zbyt może gorących wyrazach. Odpowiedź Ignacego aż zadziwia surowością; wytknąwszy obszernie, w szczegółach, ostrych zwrotów nie szczędząc, trzy błędy, których Laynez postępowaniem swem się dopuścił, kończy następującymi wyrazami ¹:

„Rozważ przed Bogiem Panem naszym, czy i czego stałeś się winnym i przez trzy dni módl się szczególnie w tym celu; następnie zaś napisz, co w tej mierze sądzisz, czy wielkie, czy małe błędy popełniłeś, i na jaką, wedle zdania swego, zasługujesz pokutę“.

Inaczej przemawia Ignacy do O. Rodriguez, którego mniej hartowna cnota mogłaby, jeśli nie rozprysnąć się, to uszczerbek ponieść pod takimi uderzeniami. Zbyt długi pobyt Rodriguez na dworze lizbońskim pociągnął za sobą pewne niedogodności, które Święty pragnął usunąć, odwołując go do Rzymu. — „Przybądź tu — zaprasza go serdecznie, nie jak przełożony, ale jak brat starszy, jak najlepszy przyjaciel ² — przybądź do nas, abyśmy przed śmiercią zobaczyć się jeszcze mogli, wzajemnie pocieszyć i radami wesprzeć. Nie obawiaj się, że wyjazd twój z Portugalii sławie twej zaszkodzi; moją już będzie troską temu zapobiedz. Nie lękaj się również słabości; ten, który jest życiem

¹ O. Polanco z polecenia św. Ignacego, 2 listopada 1552. T. III, I. 286. O. Laynez odpisał w prześlicznym liście, który służyć może jako wzór heroicznej pokory.

² 20 maja 1553. T. III, I. 308.

wiecznem, użyć ci potrzebnego zdrowia do wypełnienia posłuszeństwa; wszak zresztą odbyłeś już raz tę drogę mimo dręczącej cię febry, choć mniejsza tego natenczas niż dziś była potrzeba“. W dwa miesiące później te same nalegania¹: Ufaj, nie lękaj się, synu mój, do Rzymu przybądź; Bóg udzieli ci sił i ciała i duszy. — Swoją drogą po wyczerpnięciu łagodnych lekarstw, Ignacy gotów był uciec się do najenergiczniejszych i najboleśniejszych; na przypadek gdyby wszystkie próśby i przedstawienia nie odniosły skutku, Święty nakazywał prowincyałowi portugalskiemu, O. Jakubowi Miron², „odłączyć i odciąć nieposłusznego, choć z niemalym bólem mego serca, od ciała Towarzystwa“. Bóg na szczęście nie dozwolił, aby do ostateczności tej dojść miało.

Jakie poważny ten, wojskowego posłuszeństwa domagający się wódz, najściślejszej karności klasztornej tak surowo przestrzegający ojciec, miał serce dla swych synów, jak o nich dbał, to na jaw w najjaśniejszym blasku występowało, gdy Bóg nawiedził którego z nich chorobą czy ciałą, czy duszy, smutkiem, pokusą. Wtedy, rzekłbyś, że to już nie ojciec, ale najczulsza, a zarazem dziwnie rozumną miłością kochająca matka. „Wiem od innych — czytamy w jednym z licznych listów w tym przedmiocie pisanych³ — wiem i z własnego doświadczenia, jakes powinien na zdrowie swe uważać; wiem również, że przy twem tak słabowitem zdrowiu dajesz się miłością unosić do ponoszenia większych nad siły prac i ciężarów. Dlatego, w obliczu Boga Pana naszego sądzę, iż sprawisz Majestatowi Jego rzecz przyjemniejszą, miarkując swój zapal, abys dłużej w służbie Jego mógł pracować, i uważam za odpowiednie w Panu naszym nakazać ci, abys we wszystkim co się odnosi do posiłku, pracy, rozdziału czasu, spania, odpoczynku, słuchał zdania lekarza, i abys przez trzy następne miesiące, tj. aż do września, nie zajmował się kazaniami, ale pielęgnowaniem zdrowia“... Słabującemu w Wenecyi O. Rodri-

¹ 12 lipca 1553. T. III, l. 319.

² 26 lipca 1553. T. III, l. 325.

³ Do O. Antoniego Araoz, 1 czerwca 1551. T. II, l. 229.

guezowi nakazuje¹: „Donoś nam co tydzień o swem zdrowiu i staraj się o nie, używając odpowiednich środków“. Jeśli konieczność tegoby wymagała, poleca Święty w okólniku rozesłanym do wszystkich przełożonych zakonu², uciec się należy „do świętego zebrania od domu do domu, byle ulżyć cierpieniom żywych członków Chrystusa Pana naszego, którzy dla służby Jego potrzebują zdrowia i sił ciała, choć ze swej strony zupełnie są gotowi ponieść, dla Jego miłości, wszelkiego rodzaju niedostatek“.

Ufundowany głównie za staraniem miejscowego biskupa klasztor w Modenie, tak był niezdrowy, wilgotny, że wszyscy mieszkańcy się pochorowali. Święty, dowiedziawszy się o tem, wysłał natychmiast na wszystkie strony bardzo energiczne listy, domagając się zdrowszego pomieszkania i to w najkrótszym przeciągu czasu. Do samego biskupa odzywa się bez ogródek³: Wszsza Biskupia Mość słyszał już zapewne i od lekarzów, że klasztor modeński, to „nie dom dla ludzi, ale jaskinia dla zwierząt, i że dlatego musi być w nim zawsze pełno chorych. Piszą mi, że tychże samych słów użył przyboczny doktor W. Biskupiej Mości. Nie przeraża nas ani choroba, ani śmierć podjęta dla chwały Bożej i pomocy dusz; wszakże w tym razie sumienie nie pozwala mi, narażać nadal na takie niebezpieczeństwo tych, których Bóg Pan nasz pod opiekę mi oddał“. Przedtem już, na wypadek, gdyby wszystkie prośby i nalegania skutku nie odniosły, nakazał klasztor modeński zwinąć, „do czego w sumieniu czuję się obowiązany“⁴. Niemniej bardziej może jeszcze wymownym jest następny urywek z listu do O. Antoniego de Cordoba⁵: „Mianuję cię mym zastępcą z pełną władzą, jaką sam posiadam, we wszystkim co się odnosi do zdrowia i sposobu życia O. Franciszka (Borgiasza) i D-ra Araoza, co do których dochodzą mię skargi, że o zdrowie swoje niedosyć dbają.

¹ 22 września 1554. T. IV, l. 548.

² 2 listopada 1552. T. III, l. 285.

³ 7 października 1553. T. III, l. 354.

⁴ Do O. Franc. Palmio, 26 sierpnia 1553. T. III, l. 339.

⁵ 13 czerwca 1555. T. V, l. 662.

Dla postąpienia sobie z należytą rozważą, poradź się trzech doktorów, udzieliwszy im poprzednio należytych informacji, a następnie nakaz obu tym ojcom pod posłuszeństwem, co będziesz uważał za stosowne odnośnie do jedzenia, spania i innych tak potrzeb, jak i wygód ciała“...

A jak choroby duszy leczyć umie, jak we wszelkiego rodzaju smutkach serdecznie pociesza! Z szeregu listów do wicekróla sycylijskiego Jana de Vega, po stracie małżonki jego Eleonory ¹, czerpać mogą po dziś dzień obfitą, gruntowną pociechę wszyscy, których Bóg doświadcza podobnemi krzyżami. Również proste, niewyszukane słowa, ale taką wiarą gorącą i miłością głęboką tchnące, że prosto do serca iść musiały i rany najdotkliwsze goić, znalazł Święty w liście do króla portugalskiego, po przedwczesnym zgonie ukochanego jego syna, następcy tronu, Jana ². Przytoczmy choć parę ustępów z listu do matki, zbolalej po śmierci syna; pokażą nam one współczujące po Bożemu serce Świętego, pokażą, jak, gdzie pociechy szukać zalecał ³.

„Dowiedzieliśmy się o chorobie ś. p. pana Kamilla, a niezadługo potem o jego przejściu z tego doczesnego do wiecznego życia... Ufam w Tym, który jest prawdziwym zbawieniem i życiem naszym, że dlatego tylko nas nie wysłuchał i nie użyzył mu nadal ziemskiego tego życia, podlegającego tylu cierpieniom i niebezpieczeństwom, a ostatecznie śmierci, aby tem prędzej udzielić mu życia wiecznego, wolnego od wszelkich niebezpieczeństw, najszcześniejszego, dla którego stworzył nas i odkupił ceną Krwi Swojej, do którego się kierować winny wszystkie nasze pragnienia, i te, które mają na celu nas samych, i te, które bliźnich naszych dotyczą. Nadzieję żywią również w tymże Ojcu miłosierdzia i Bogu wszelkiej pociechy, który okazał w tem nawiedzeniu, jak cię miłuje i postępuje sobie z tobą bez obawy, jako z mężną córką i prawdziwą swą sługą; nadzieję mam, że takim światłem cię obdarzył, iż jasno rozumiesz, jak wielką

¹ T. II, l. 181, 182, 183 i nast.

² T. IV, l. 458.

³ T. IV, l. 582. Do pani Violante Casali w Bolonii.

łaskę Bożą i najwyższą Dobroć użyć temu, kogo bierze z nędzy tego żywota, w wierze, nadziei i miłości, Sakramentami śś. go wprzód wzmocniwszy, i przenosi do niebieskiego wesela. Tak, spodziewam się, zgadzasz się z wolą Pańską, za pomocą Boga Pana naszego, iż nie tyle się smucisz z utraty pociechy, jakiej doświadczałabyś na syna swego się patrząc, ile weselisz się pomnąc, że nas wyprzedził i dotarł do bezpiecznej przystani w ojczyźnie szczęścia naszego, do której wszyscy dopłynąć pragniemy“.

Otóż w głównych, najgłówniejszych rysach, droga przez Ignacego nakreślona: wychodzi od dokładnego zrozumienia celu, „dla którego człowiek jest stworzony“, prowadzi, doprowadza „do przystani, do której wszyscy dopłynąć pragniemy“. Otóż najważniejsze punkty z programu, uczącego, jak dążyć do mety, którą Święty słowem, przykładem wskazał założonemu przez siebie zakonowi, jak „oddawać się przy łasce Bożej sprawie zbawienia i doskonałości własnej“. Ale nie jedyny to cel, który Ignacy i sobie i zakonowi swemu postawił. „Celem tego Towarzystwa — czytamy na wstępie zakonnych konstytucyj¹ — jest także do zbawienia i udoskonalenia bliźnich usilnie, z pomocą tejże łaski Bożej się przykładać“. Aby lampy świeciły i oświecały, należy je najpierw oliwą napełnić; aby mąż apostołski mógł innych do cnoty, do doskonałości prowadzić, sam być musi mężem doskonałym. Dotąd przypatrywaliśmy się na tle listów Świętego, jak o tę oliwę do lamp się starał; rzućmy teraz okiem, do ilu sere, do ilu krajów, szczęśliwą wróżbę imienia swego spełniając, poniósł zbawcze, Boże światło!

(Dok. nast.).

Ks. Jan Badeni.

¹ *Primum ac generale examen iis omnibus, qui in Societatem Jesu admitti petent, proponendum, c. I. 2.*

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYL.

Część II.: Chiny i Japonia.

Singapore, 25 stycznia 1889.

Może kiedyś, komuś te moje pisaniny wpadną w rękę, i ten ktoś będzie się np. wybierał w podróż do Syamu, lub wogóle w podróż po południowej lub wschodniej Azji. Doświadczenie moje niech się jemu przyda. Pierwszym warunkiem by podróżować, naturalnie, jak zawsze, jest pieniądz i jeszcze raz pieniądz. Póty, póki się trzyma wielkich, światowych szlaków, specjalnie statku parowego, póty podróż pozaeuropejska niezbyt drogą bywa, ba! nawet porównawszy ją z przejażdżkami po Europie, kosztuje niewiele. Ale biada tej kieszeni, która ciekawością, czy chęcią „być oryginalnym“ wiedziona, opuści te szlaki — biada jej, jeśli nie jest bardzo szczelnie monetą wypchana. Dalej, prócz pieniędzy, trzeba w podróży czasu. Ale na równi z tamtymi dwoma czynnikami stoi znajomość języka angielskiego. Raz przejechawszy Suez — prócz z misyonarzem katolickim — nie można w innym rozmówić się języku jak po angielsku. Przypuściwszy nawet, że wobec codziennie rosnącej liczby Niemców i Szwajcarów, zakładających handle i handelki na Wschodzie azyatyckim, można już dziś przejechać aż do Jokohamy, nie mówiąc inaczej jak np. po niemiecku — to jednak poznać krajów, które się mija,

a zwłaszcza mile i pouczająco spędzić tylu godzin odpoczynku, których tyle w takiej podróży i przy tym upale być musi — w żaden sposób bez angielskiego nie można. Ludzie cywilizowani, inteligentni a mili, wyłącznie do rasy anglo-saksońskiej należą. Niemiec, poza granicami Europy, małpuje Anglików we wszystkim; po kilku latach pobytu tutaj języka rodzinnego zapomina, mówi zwykle, pisze prawie zawsze po angielsku. W manierach, bierze od Anglików tylko zewnętrzną formę bez treści — *er wird lescher (léger)* — a jak raz Niemiec stracił swoją *deutsche Biederkeit*, jak zamiast piwa i kawy, pije *soda and whisky* i szampan, zamiast mówić po prostu, jak go matka uczyła, *nein*, mówi z angielska, *no* — to dalipan, uciekać od niego. A potem, ponieważ nie innych Niemców, tylko kupców się tam spotyka, żadnych u nich widnokręgów, poza *cacao* i *vermouth*, niema. Interes, — i na tem koniec. Co się działo w tym kraju, gdzie on teraz siedzi, nim on tam przyszedł — co się z nim stanie, jak on sobie raz pójdzie — to go naturalnie nie obchodzi. Niema się czemu dziwić — wszak to kupcy chcący zrobić majątek i jak najprędzej uciekać do ojczyzny. Angielski kupiec jest inteligentniejszy od tamtego, jest to zwykle *gentleman*; ale bo oprócz kupca, element angielski ma tu wszędzie urzędnika, oficera, marynarza. Z tymi ludźmi rozmowa i miła i ciekawa, pouczająca. Niech więc nikt się nie puszcza w świat bez dokładnej znajomości angielskiego języka.

Może nieco za ostro o pocziwych Niemcach się wyrażam; mają oni ogromne zalety obok wad „towarzyskich“. Kolonistą Niemiec jeszcze nie jest, pojęcia o tem nie ma. Trzepią ich w Zanzibarze — będzie to nauka zdrowa na przyszłość, nie przeszkadzająca, myślę, by z czasem i Niemcy równie dobrymi kolonistami się stali jak np. Holendrzy. Pracowitość u Niemców, a zwłaszcza Szwajcarów, w podzwrotnikowych strefach imponująca. *Neue Besen kehren gut* — i to prawda, ale faktem jest, że Niemiec tutaj pracuje za dwóch. Anglicy zamykają swoje biura kupieckie czy inne, sklepy i t. d. regularnie i stale o 5-tej po południu. Zamknawszy biuro przestają być kupcami, stają się tylko ludźmi, idą grać w *lawn-tennis*, bawić się, ruszać, używać

powietrza, ruchu; do następnego dnia nie myślą, nie mówią o interesach. Niemcy i Szwajcarzy przeciwnie. Sklepy ich i kantory jak potrzeba i późno wieczorem otwarte, choć noc całą przesiedzieć nad książkami, nie nadzwyczajnego dla nich. Owych znakomitych, egzystencyę i zdrowie utrzymujących gier angielskich nie znają, ich potrzeby nie odczuwają. Wielu się zdaje, że ruch tutaj niekonieczny; myślą się niepomieranie, bo jeżeli ruch w naszych strefach jest ważnym dla zdrowia, to tutaj jest on po prostu koniecznym. Czem bliżej równika, tem bardziej trzeba się ruszać, chcąc upaść jakokolwiek znosić, nie chcąc nerwów przedrażniać i nocy bezsenne spędzać. Bądź jak bądź, Niemcy dziś, zwłaszcza w Chinach i Japonii, wypierają Anglików na wszystkich punktach. Towar ich, aczkolwiek jakościowo gorszy, ale tani jak barszcz, musi, choć chwilowo, wyprzeć angielski towar, lepszy ale droższy. O Francuzach nie mówię, bo ich nigdzie niema, nie słyhać o nich nawet wcale.

Mieszkamy u konsula Brandta. Jest to kupiec z Hamburga, tu osiadły, będący honorowym konsulem austriackim, żonaty z Francuzką, bardzo miłą, uprzejmą gospodynią domu, której doprawdy zawdzięczamy, że pobyt w Singapore do najmilszych zaliczyć wypada. Dom-willa, wśród najcudniejszej zieloności położony; tuż za domem zaczyna się las dziewiczy; niewielki on jest jako rozległość ten las dziewiczy, ale co za wegetacya!... Podobno czasem aż tu się zakradają z kontynentu tygrysy. W wodach wkoło domu pełno — mówią — krokodyli; mamy na nie polować! W ogrodzie wylęgają się węże *cobra*, śmiertelne wrogi człowieka, na ukąszenie ich niema ratunku. Każdy z nas ma swój pokój. Wkoło całego domu jest śliczna, kryta weranda; okien z szybami wcale tu nie znają, są tylko drewniane żaluzye, od złodziei i słońca. Z pokoju prowadzą na dół schodki prosto do kąpieli. Kąpiel co prawda bardzo prymitywna: jest to pokój wycementowany, na środku stoi wielka kadź z wodą; co rano Chińczyk ją wylewa i świeżej przynosi; koło kadzi leży ogromny szaflik do oblewania. Oto całe urządzenie — ale wieleż to miłych chwil tej kadzi i temu szaflikowi zawdzięczam! Co prawda, idąc wieczorem przed obiadem do kąpieli, po raz trzeci zwykle w 24-ch

godzinach, skrzętnie najpierw oglądałem łazienkę całą, czy gdzie *cobra* nie siedzi. Znajdowałem zwykle, Bogu dzięki, tylko ogromne ropuchy lub świerszcze, które widocznie, podobnie jak ja, tutaj ochłodzenia szukały.

Całą powieść możnaby o tej kadzi i szafliku napisać. Łóżko za to pod równikiem częściej tragicznych niż miłych chwil bywa świadkiem. Choć twarde, bo materac cały skórą posyty, choć jest osobny wałek pod głowę zamiast poduszek, a drugi pod kolana, żeby jak najmniej ciało rozgrzewać przez długi kontakt z materacem, choć opatrzone jest w *moskitonet*, czyli wielką muslinową firankę szczelnie ze wszech stron cię zamykającą — to jednak w pierwszych tygodniach, pierwsza chwila po zgaszeniu świecy, bywa ciężką, bo ledwoś dotknął twarzą „jaśka“ czy wałka owego, już cię oblewa istna kąpiel potu. Wszelki ruch gwałtowniejszy przed momentem zaśnięcia jest zgubny, bo wzmacnia transpirację, wśród której zasnąć trudno. A jakże tu ustrzedz się ruchów gwałtownych, kiedy mimo wszelkich przezorności, nieraz i niejeden moskito siedzi wewnątrz siatki. Byłeś zmęczony, zaspany, ufając dokładności w zwijaniu i rozwijaniu moskitonetu twojego służącego, położyłeś się z istną lubością, świecę Chińczyk zgasił, zaczynasz drzeć — kiedy nagle wśród ciszy nocnej, koło ucha twego słyszysz ów śpiew komara, śpiew niby łagodny, dźwięczny, ale przekłety; trzeba wstawać, świecę zapalać i łapać go; to czasem i pół godziny trwa; zaczynasz się pocić, a sen spokojny, orzeźwiający już przepadł.

Trzeba przez to przejść, by odczuć, ile w tych kilku słowach mieści się cierpienia! A ci biedacy co tu lata spędzają, z tych walk z moskitami, z tego niewyspania chudną, nerwy coraz bardziej im słabieją, lada błaha przyczyna, i jest choroba. Strasznie ci ludzie biali tu wyglądają. Wszyscy anemiczni; dzieci białych wszystkie blade, nalane, niezdrowe, nie wesołe jak dzieci. Anglicy dzieci swoje do Europy odsyłają; między Indyami a Europą kursują umyślnie statki zabierające dzieci, które częścią w Anglii, głównie jednak w Szwajcaryi, gdzie taniej się wychowują, przebywają. Niemców uboższych i innych biedaków nie stać na to; to też nieraz serce boli patrząc na te biedactwa;

od kolebki chore. Mówią, że stadła białych już w drugiej generacyi na Południu bywają absolutnie bezdzietne — czy to prawda, nie wiem. Zwrotniki, to mniej więcej granica, poza którą białe egzystować i rozradzać się nie może; mogą być naturalnie wyjątki — ale tylko wyjątki.

Singapore, 28 stycznia.

Za dni parę odchodzi statek do Hong-kong, pojutrze statek do Kalkuty. Wielkie wahanie się, wkońcu wielka decyzja. Przeciw dalszej podróży w towarzystwie ministra aż do Japonii przemawia dużo względów, przemaga jednak ciekawość. Być tak blisko, o 14 do 18 dni drogi, a nie pojechać — niesposób. Żegnam więc d-ra Samsona i barona Poche, którzy wracają na Indyę do Europy; a sam z ministrem decyduję się dotrzeć aż do Japonii. Przyszłość zaczyna nabierać kształtów wyraźniejszych; po raz pierwszy na seryo myśleć poczynam o Syberyi. Pisałem już wprawdzie kiedyś z Adenu, by na wszelki wypadek mieć drogę przygotowaną przez Sybir z Pekinu — ale dotąd żadnej odpowiedzi. Na szczęście otrzymuję list od J. P., z którego, kombinując według kalendarza, przychodzę do przekonania, że on właśnie powinien być teraz w Petersburgu. Na chybił-trafił palem telegram do niego. Kosztuje sumę bajońską, ale mniejsza z tem, byle doszedł. O radości! po 2 dniach oczekiwania oddają mi depeszę od niego z Petersburga — ale wiadomości same negatywne. Mój list z Adenu nie doszedł, J. P. pyta co ma robić? W posadach swoich zadrżała cała budowa moich planów, nadziei i snów; ale znowu uwaga, że tak blisko będąc, Japonii nie zobaczyć, byłoby grzechem — zwycięża; drugi telegram do Petersburga, druga suma bajońska z kieszeni wylatuje, ponawiam moją prośbę o wyrobienie potrzebnych papierów do przejazdu Pekin-Kiachta-Moskwa! Przyjacielowi dziękowałem później serdecznie; tu raz jeszcze podziękować pragnę za tyle życzliwe, prawdziwie przyjacielskie zajęcie się moją sprawą w Petersburgu.

Po kilkudniowych niespokojach przed powzięciem ostatecznej decyzji, raz ją powziawszy, błogi spokój następuje; teraz

dopiero zwiedzam, co jest ciekawszego w Singapore; przepyszne spacery co rano o świcie, aby przed upałem być w domu, a jednak użyć jak najwięcej ruchu. Wegetacya tu prawie piękniejsza niż na Cejlonie, mniej może imponująca, mniej tu po lasach palm widać — za to delikatniejsza. Ojczyzna to orchidei wszelkich, ale wkoło Singapore na mil kilka daremnie orchidei w gruncie szukać — wszystko wybrano i do Europy posłano.

Polowanie na krokodyle naturalnie się nie udaje, tj. krokodyli nie widzimy; ale za to ubijamy kilka krzyków, zupełnie jak nasze, i dwa „jelenie karłowate“ (*cervulus*), których tu mnóstwo. Jest to rodzaj sarenki czy jelenia liliputowych doprawdy rozmiarów, jak mały zając, bez rogów; główne pożywienie krokodyli — jak mówią. Próbowaliśmy przyjść do strzału do tukanów, tj. tych ptaków o ogromnych w górę i dół tak dziwnie wygiętych dzióbach — ale daremnie; słysząc je co moment, ale strzelić trudno. Biegeleben postrzelił małpkę jakąś małą — nie dostaliśmy jej.

Wczoraj pod wieczór wybrałem się z wizytą do biskupa tu-tejszego. Francuz południowy, postawa atlety, broda prawie po kolana, typ nader udany, wesół, śmieszek, żartowniś, jowialny; kraj zna doskonale. Wogóle wszędzie księża katolicy są jedyni do zorientowania się w stosunkach; między klerem jednak naszym katolickim, jaki się spotyka w Lewancie, w Egipcie nawet, a klerem głębokiego Wschodu, różnica jest ogromna. Tutaj patrzą ci ludzie bądź co bądź na świat z daleko szerszego stanowiska, są to po największej części ludzie, co przeszli niejedną gorzką i ciężką chwilę w życiu; widzieli i słyszeli wiele, służyli swej sprawie nie w jednym miejscu, często nie w jednej tylko części świata; mieli do czynienia z przeszkodami i trudnościami istotnie miary niepowszedniej. Ich formy, tak co do fizycznej jak co do umysłowej strony, nie są może na pierwszy rzut oka tak doskonałe, tak *accomplies*, jakby się je u wysokich dostojników Kościoła widzieć chciało, ale za to ile jest ducha i serca w tych ludziach!

Naturalnie, mówimy o kraju w którym jesteśmy. Pierwotna ludność, według biskupa, która zamieszkiwała tak półwysep Ma-

lajski, jak zwłaszcza dzisiejszy Syam, zwała się: *Quemaires*. Jako pozostałość po niej, jedynie wielkie ruiny w Kambodży. Ludność ta w Syamie, zdaje się, wyginęła zupełnie. Na półwyspie Malajskim egzystuje jeszcze w najgłębszej części kraju, nie odwiedzanej jeszcze przez białych — wyjąwszy czasem zabłąkanych oficerów angielskich i misjonarzy katolickich. Ogólnej, zbiorowej nazwy ci potomkowie dawnych panów tej ziemi nie noszą, są to pojedyncze, zupełnie odosobnione plemiona, do dziś dnia jeszcze nie zlane z napływową malajską ludnością. Nazwy pojedynczych plemion: na południu Dżakonsze, dalej ku północy Mantra, Sakraj, wreszcie na północy Dussems. Mają to być rzeczywiście najbardziej prymitywne, najdziksze plemiona, jakie w XIX. stuleciu spotkać można. Nietylko, że z cywilizacją europejską wcale się jeszcze nie zetknęli, ale nawet cywilizacyi malajskiej nie przejęli, żyjąc jak istne zwierzęta w głębiach puszczy lesistych. Postawy nader małej, niezmiernie wątłej, podobno Pigmeów Stanley'a przypominającej, mieszkają w drzewach spróchniałych lub umyślnie wydrążonych. Misjonarze katolicycy próbowali oswoić ich: próba się nie udała. Póty, dopóki misjonarze zwykłym swym zwyczajem żywili jedno z takich plemion, póty też mieszkali w sąsiedztwie miśyi, przyjmowali katolicyzm, ich dzieci uczęszczwały do szkółki misyjnej, założonej w głębi kraju, o kilka dni drogi od Malakki. Z chwilą jednak, gdy misjonarze zażądali, by sami próbowali uprawiać ziemię, siać, orać, na wyżywienie swoje pracować — stało się to, co w Australii podobno z plemionami dzikich regularnie się powtarza: uciekli po prostu od swych dobroczyńców do dawnych swych lesistych sadyb. Biskup twierdzi wprawdzie, że religii katolickiej nie porzucili, że od czasu do czasu wysyłani ku nim misjonarze znajdują ślady praktyk religijnych, ale na tem koniec, i sam biskup tak zupełnie tego pewnym się nie wydawał.

Malajska ludność, podobnie jak syamska, wstrzymuje się absolutnie i konsekwentnie od wszelkiej trochę natężającej pracy. Morze, to ich element, na którym niezmierną odwagę i wytrwałość okazują. Do niedawna głównem ich rzemiosłem był rozbój morski na statki i stateczki wszelkiego rodzaju. Tu w Singapore,

mieście na ich ziemi leżącym, gdzie zarobek się prosi, gdzie się zbiega handel całego Wschodu, Azji, Indyj holenderskich i Australii z jednej strony, a Europy i Afryki z drugiej strony — tu nie widuje się prawie Malajczyków. Jedyne rzemiosło, któremu się oddają, to furmanka; wszyscy woźnice dorożek, to Malajczyki; zresztą wszystko Chińczyki i trochę Hindów, t. zw. Klings albo Tamilów, z południowych kończyn półwyspu Indyjskiego. Religia Malajczyków: mahometanizm. Wyroby, niegdyś wspańiałe, dziś zredukowały się tak na półwyspie, jak na archipelagu Sundyjskim, do *sarongów* czyli kawałków materji bawełnianej, malowanych z wolnej ręki, farbą t. zw. woskową, trochę przypominającą farby olejne, gdzie zamiast oleju, wosku się używa. Sarongi zastępują tak spodnie jak spodnice. Podobno na wyspie Jawie, dalej w samym Solo, bardzo są piękne i do cen dochodzą niezmiernie wysokich. Przemysłni Holendrzy, korzystając z mody między Malajczykami panującej, wzięli się do imitowania saronków; dziś prawie niema możliwości rozpoznania fabrykatu amsterdamskiego od jawańskiego. Tu w Singapore, a zwłaszcza w państewku Johore, noszą sarongi, ale jedwabne, w pojedynczy deseń, przypominający szkockie materye.

Państewko, raczej sułtanat Johore, to resztką niepodległości malajskiej na kończynie południowej wybrzeża półwyspu Malakki. Dziś już otoczone ze wszech stron przez Anglików, których posiadłości całe prawie wybrzeże zajmują (Penang, Malakka, Singapore), mają oni czas powoli do swych przyszłych władców się przyzwyczajać. Sułtan Johory, którego rezydencya leży na lądzie stałym naprzeciw północnej części wysepki Singapore, przybrany syn z nieprawego łoża swego poprzednika, dziś około 60 lat liczący, osobistość ciekawa, jako okaz zjedzonego cywilizacją europejską Malajczyka, nie kryje się zupełnie ze swem przekonaniem, że po jego śmierci państwo jego, około 150.000 ludności liczące, przejdzie w ręce angielskie, i mówi sobie: hulaj dusza bez kontusza! i sypie pieniędzmi w prawo i w lewo, skupuje co jest najpiękniejszego z wyrobów wschodnio-azyatyckich, ma stajnię wyścigową podobno wcale pokazną, jeździ do Anglii, by tam w półtora roku wydać wyżej 500.000 funtów; a choć

siedzi w długach wyżej uszów, to ani jego, ani wierzący bynajmniej nie martwi, boć to wszystko angielski rząd po jego śmierci zapłaci i ureguje.

Nie można powiedzieć, by nie był dużo dla ucywilizowania swojej rezydencji zrobił. Pałac zupełnie europejski, w nim niesłychane skarby w produktach przemysłu specjalnie chińsko-japońskiej. Obok pałacu piękny park, dalej szpital, szkoła, więzienie na wzór angielski, wodociągi ogromne i wspaniałe; ma armię z 700 ludzi i komendanta Anglika; a jego sekretarz prywatny, dobrze po angielsku szczebiocący, jest fanatycznym francuzem, i nosi się z myślą założenia w Johore loży masonskiej dla całego Wschodu azyatyckiego. Ciekawa rzecz istotnie, jak wolnomularstwo między mahometanami zaczyna się rozkrzewiać. Na początku mego dyaryusza zanotowałem, co w Stambule o masonach tureckich słyszałem. Ciekawe również, jak daleko na Wschód zaszła religia Mahometa i nawet cywilizacja arabska! Oto np. dziennik więzień w Johore prowadzi się do dziś dnia w języku arabskim i arabskim pismem. Sułtan Solo w Indyach holenderskich jest nie tylko mahometaninem, ale nawet szeikiem, i podobno się wywodzi wprost od proroka. Ta cała kwestya mahometanizmu w Indyach, na południu i na wschodzie Azji, czeka jeszcze na swego historyka, jest to ściśle biorąc jeszcze *terra incognita*. Wobec coraz silniej tutaj pulsującego życia handlowego, wobec coraz się rozwijającego panowania Chińczyków, mimowoli mahometanie schodzą nieco na drugi plan. mniej się o nich słyszy i mniej myśli; to jednak nie przeszkadza, że oni są i będą, i że wcale niepoślednią rolę odegrają w razie większych konfliktów między białą a żółtą rasą.

Singapore, 31 stycznia.

Dziś Nowy rok chiński, więc ogólna stagnacya w Singaporze. Że Singapore w trzech czwartych jest chińskim, najdobitniejszy dowód, że dziś jadąc przez miasto, prócz kilku małych sklepików Hindusów, wszystko zresztą widzi się zamknięte. Czy firma angielska, czy niemiecka, czy chińska, wszystko zam-

knięte, bo wszystko albo wprost jest w rękach Chińczyków albo choć szef Europejczyk, jednak cała służba, cały personel urzędniczy z Chińczyków złożony — więc wszystko świętuje.

Wczoraj już w południe tylko niektóre sklepy otwarte wszędzie czuć, że to jeszcze tylko parę godzin ma potrwać, że Chińczyków ledwie jeszcze chwilę utrzymać można; z nastaniem wieczora zaczyna się pukanina i strzelanina niesłychana w całym mieście. Najpierw więc budują się po ulicach malutkie ołtarzyki, na nich świecą się wielkie woskowe świece, a pobożni siedząc w kuczki zawsze tylko po parę minut, składają ofiary. A te ofiary, to znowu taki papier żółty z brzegiem czerwonym, zapisany po chińsku, zaprawny jakąś strzelniczą materią, który po zapaleniu strzela i puka i dymi. W ten sam sposób na cmentarzach nieboszczykom strzelają, w ten sam sposób, zabiwszy wieprza Buddzie na ofiarę, złym duchom postrach czynią, — więc też pukanina po całym mieście niesłychana. Co chwila jeszcze przerywa ten ogień rotowy huk wystrzału moździerzowego.

O 12-tej w nocy zaczyna się właściwy Nowy rok, i z tą chwilą nawet cała służba domowa idzie składać wizyty u znajomych i przyjaciół. Wizyty te gratulacyjne trwają aż do rana, a wtedy zaczynają się rewizyty. Przy powinszowaniu Nowego roku, składa się ręce, podobnie jak u nas do pacierza, i woła się do uradowanego przybyciem gościa, gospodarza: *Slamet ta-hun bahru!*

Bogaci Chińczycy w drugim dniu Nowego roku, więc w dzień pierwszego lutego naszej rachuby, mają stoły ogromne zastawione wszelkiego rodzaju jadłem i napitkiem, gdzie i szampan musi figurować. Wtedy odbywają się noworoczne wizyty eleganckie. Ale goszczą i biedną czeladź; kto przyjdzie, choćby ostatni z ostatnich, jest mile widziany. I my z Biegelebenem wybraliśmy się w ten sam sposób winszować Chińczykom. Bardzo grzecznie ofiarował się generałny sekretarz *Singapore Insurance Comp, Ltd.*, mstr. Balfour-Lees, wraz z drugim Anglikiem, by nas poprowadzić do najbardziej znanych i najbogatszych chińskich matadorów singaporskich. Jak Anglicy tu dbają o Chińczyków, miałem dowód w czasie tych wizyt. Mają osobne karty

wizytowe dla Chińczyków; dwie z tych kart jako ciekawość zachowuję; są to czerwone papiery, długości średniego arkusza papieru listowego, a na nich po chińsku i angielsku drukowane imię winszującego, i to czego winszuje. Pierwszy Chińczyk, u któregośmy byli, nabab pierwszej klasy, nazwiskiem Tan-Quihan, łupnął sobie pałac za 30 czy 40 tysięcy dolarów.— Wyjeżdżamy na górę, na której szczycie wśród bardzo pięknie utrzymanego ogrodu, stoi dom naszego nababa. Wkoło samego domu drzewka w dziwaczne formy sztucznie prowadzone, między niemi figurki porcelanowe na postumentach, jak u nas posągi. Wprowadzają nas do sieni, gdzie bawią się dzieci, bogato strojne w czerwone, jasno-żółte i zielone, długie, u szyi spięte, jedwabne szarafany, z kuafurą specjalnie na dzień dzisiejszy zbudowaną, paciorkami różnokolorowemi bogato zdobną. Są to dzieci pana domu. Wchodzimy do pierwszego salonu; tu na środku stół z jadłem i napitkiem pięknie ustawionym. Dom nader ciekawy, choć w piękności specjalnie chińskie wcale nie bogaty. Meble wyłącznie niestety europejskie; na podłodze dywany angielskie, brzydkie. Oglądamy następnie cały dom; wszędzie najdziwniejszy stek lichych wyrobów europejskich, oprócz w sypialni; ta nader piękna, czysto chińska. Łóżka ogromne, równie jak szafy i komody dokoła pokoju stojące, z drzewa hebanowego bogato rzeźbionego i złoczonego, arcydzieło jakiegoś snycerza Chińczyka z Singapore. Struktura sama i rozkład domu śliczne. Tak na piętrze jak na dole wkoło pokoi śliczna, kryta galerya, dywanem wysłana, zupełnie na wielki salon wyglądająca. Z galeryi wchodzi się do pokoi bardzo pięknych, jako proporce, choć nie wysokich.

Pan domu udaje przez kurtoazję dla nas, że nie spodziewał się tak dostojnych gości, i niby to zmienia toaletę, by godnie wystąpić. Figura naturalnie nie ciekawa: zbogacony robotnik dzienny, otyły, a choć Chińczyk, przypomina od razu ogólnoswiatowy, zawsze jednaki typ parweniusza, tylko tu z warkoczem. Uradowany żeśmy przyszli, choć niewiele zrozumiał z tego co mu Anglicy tłumaczyli o niezmiernej dostojności naszych osób. Po wypiciu herbatą zdrowia nowego roku i wychyleniu po kie-

liszku złego szampana, oprowadził nas po całym domu, dziekując co chwila za naszą wizytę. Pokazywał wszystko, a zwłaszcza co miał najpiękniejszego, tj. widok rzeczywiście wspaniały: z jednej strony morze z tem całym stadem wysepek, które zalegają cieśninę Singapore, z drugiej miasto fantastycznie na mnóstwie malutkich pagórków rozrzucone, z trzeciej i czwartej piękna, cudowna zieloność ogrodów i lasków, zasianych po całym wyspie, jak daleko okiem sięgniesz. Po półgodzinnej wizycie, skosztowawszy sławnych konfektów chińskich, których imion nie wyliczam, boby to zbyt długo trwało, odeszliśmy, zapisawszy poprzednio nasze nazwiska, co znowu nasz gospodarz przywitał całym wybuchem podziękowań, którym towarzyszył ów nie znikający nigdy z twarzy wschodniego człowieka, chcącego być bardzo dystygnowanym i grzecznym, śmiech panoszącego się dorobkiewicza, który się puszy swem szczęściem i okazją popisania się swem bogactwem przed obcymi, zwłaszcza przed Europejczykami.

Druga wizyta u Tan-Kang-Chaw, Chińczyka, co się dorobił 40—50 tysięcy dolarów dochodu, a wydaje 5—6 tysięcy. Ta druga mniej ciekawa. Pan domu, stary Chińczyk, przyjął nas w brudnym, białym niegdyś kaftanie; nie mówi zupełnie prawie po angielsku; skoro się więc tylko doczekał powrotu nieobecnego syna, natychmiast, bez żegnania się, opuścił nas. Na tym starym Chińczyku nasza wizyta żadnego doprawdy wrażenia nie zrobiła. Wogóle Chińczyk, choćby najuboższy, zupełnie inaczej Europejczyka, nawet tu, poza swym krajem, traktuje, niż np. Hindus. U tego uniżoność, pokora — Chińczyk tylko w potrzebie i to wielkiej umie być pokornym, zresztą jest sztywny i dumny. Dlaczego-bo też miałby być pokornym, kiedy przyparty do muru bez ogródki mówi, że rządu angielskiego się nie boi, ani go zbytńo słuchać nie myśli, bo za pieniądze zawsze sobie z nim poradzić można. Może przesadzone nieco to twierdzenie, coś prawdy jednak w tem jest. Na dowód opowiadał mi tutejszy konsul hiszpański wypadek z roku zeszłego. Na Nowy rok obecny obawiano się powstania Chińczyków. Rząd wydał był prawo, że Chińczykom nie wolno budować nadal ga-

leryj przed domami, wystających na ulicę, a zwłaszcza nie wolno ich używać za miejsce sprzedaży, gdyż tym sposobem tamują przejście. Prawo prawem, a Chińczyki swoje robią. Na Nowy rok (rok temu) robi się gwałt między Chińczykami. Oświadczają, że nowego prawa nie przyjmą i nie chcą. Rząd występuje z środkami przymusu, za pomocą policji; Chińczycy odpowiadają represaliami, zaczynając od wyrzucania z powozów wszystkich przejeżdżających Europejczyków, cierpiąc zaledwie, by pieszo po mieście cyrkulowali. Przez 48 godzin trwa ten stan panowania motłochu chińskiego i postrachu między Europą. Rząd zaczyna parlamentować, próbuje wpływać przez zamożnych na biedniejszych; pomalu porządek przywrócony; rząd oświadcza, że to tylko było nieporozumienie, powstałe wskutek mylnej interpretacji nowego prawa. Po polsku nazywałoby się takie postępowanie kapitulacją. Wtedy to oświadczyli Chińczycy, że nie Anglicy, ale oni tu są panami, i że niech rząd uważa, bo może łatwo być pozbawionym zupełnie władzy.

W nadchodzącym marcu chce ogłosić rząd jeszcze inne prawo, ograniczające immigracyę Chińczyków, których i tak jest już 90.000 na 180.000 mieszkańców w samem Singaporze. Tym razem ma podobno rząd zamiar wystąpić energiczniej; kilka korwet wojennych ma wpłynąć do portu, a w razie nieporządków mają kartacze zastąpić policyę. Zobaczymy, jak się to skończy... ale, że jeszcze niejedną gorzką chwilę będą musieli Anglicy tu przeżyć, że wkońcu wyrzucą ich zupełnie, to bodaj czy nie należy prawie do pewności... Szczęściem ma rząd angielski punkt oparcia w Klingach czyli Indyanach i Malajczykach, dalej w niezgodzie grasującej w łonie samychże Chińczyków, podzielonych, tak tu jak w ojczyźnie, na setne partye, nienawidzące się między sobą, i chętnie nawet z białymi się łączące, byle przeciwników obalić. Klingowie zaś i Malajczycy wprost nienawidzą Chińczyków i najszcześliwsi są, gdy mogą Chińczykowi dojechać. W tem nadzieja rządu.

(C. d. n.).

Paweł Sapięka.

OPACTWO ST.-FLORIAN

w Górnej Austrii.

W pierwszych dniach sierpnia 1892 r. podążyło nas kilku z Krakowa na wiec katolików w Lincu. Szczęśliwą naprawdę była myśl centralnego komitetu, że to piękne wybrał miasto na miejsce zjazdu, bo prócz pokrzepienia i zbudowania duchowego, uczestnicy mieli sposobność poznać miasto katolickie, które pokazało, jak się katolików wita i przyjmuje.

Trzeba było jednak wyzyskać kilkudniowy tam pobyt. To też w wolnych chwilach, zwiedziwszy osobliwości miasta, czasami i poza nie wyglądaliśmy, by się cudnej przypatrzeć okolicy. Ilustrowany przewodnik, a towarzyszył nieodstępny, wymownemi słowy przemawia do nas, byśmy za miasto na wzgórze w zachodnią podążyli stronę, a półgodzinnej drogi i trudu żałować nie będziemy. Daliśmy się namówić i żal nam tego nie było, acz przy dniu słonecznym potu sporo wylać się musiało, zanim stanęliśmy na płaszczyźnie dość obszernego wzgórza, na którem przed paru laty, na pamiątkę czterdziestoletniego panowania Najjaśniejszego Pana, Towarzystwo linckie dla „upiększania miasta“, udatną wzniosło basztę, z której wspaniały nokoło roztacza się widok.

A więc i tam jeszcze wyjść nam trzeba — mówimy do siebie — by zupełna była trudom nagroda. I stanęliśmy na szczycie baszty na dość obszernej platformie. Cudny w istocie przedsta-

wia się stamtąd krajobraz. Oko nie wie na czem pierwiej ma spocząć, od czego zacząć. Nagle bowiem widzi się żywy obraz przyrody z tyloma wdziękami, o jakich się tam idąc, nie myślało, ani przeczuwało. U nóg, do pagórka przytulone, rozłożyło się miasto Linc, ze swemi pięknymi budowlami i licznymi kościołami o śmiało w górę wystrzelających wieżycach, a między nimi nowo budująca się olbrzymia gotycka katedra, już górować poczyną. Czerwone dachy nowszych gmachów, wybitnie odbijają na zielonem tle, przez okoliczne lesiste góry i pola utworzonem. Dunaj, wspaniałą szeroką wstęgą, opasuje miasto, oddzielając je od „miasta-siostry“ Urfahr, z którem jakby na znak rodzinnej miłości, pięknym połączone jest mostem; a dalej za tem miastem, ostatni ku Dunajowi wysłańcy „Czeskiego lasu“, ku tej królowej rzek monarchii, w pokornej staczają się postaci. Za to na południowym zachodzie i nie zbyt daleko, olbrzymy się ulokowały — Alpy, a ich poszarpane czupryny, tu i ówdzie od lodowców siwe, groźnie, nad przyległą Traunu doliną, pojeżzone stoją. Całe to górzyste otoczenie, od zachodu ku wschodowi, w urodzajną dolinę się rozścieliło, po której błyszczące z daleka wody Dunaju naprzód biegną, a za niemi biegną wszystkie miejscowe podania o zamierchłej przeszłości, wszystkie legendy o najdawniejszych rycerzach, którzy tamtędy przed wiekami chodzili. Tam, gdzie Dunaj jak nić srebrna, obok ruin Spielbergu, w żyznej gubi się dolinie, i tam, gdzie wieżyca miasta Enns w powietrzu majaczy, — tam jest ziemia historią uszanowana a legendami uświęcona, — tam leżało *Lauriacum* sławne, kwitnąca niegdyś wielka i bogata rzymska kolonia.

— A co to za dwie białe wieżyce, które tam nieco dalej na zachód, z lesistej wychylają się ciemni? — pytamy stojącego przy nas stróża baszty.

— To klasztor St.-Florian — najstarsza w tym tu kraju świętość chrześcijaństwa.

— Jak się tam jedzie? — koleją czy wozem?

— Można koleją z Lincu w pół godziny być w Asten, a stamtąd omnibusem za 3 kwadranse na miejscu, — objaśnia uprzejmie ów *cicerone* — ale lepiej i przyjemniej jest jechać

wprost z miasta fiakrem, który za dwie godziny po dobrej drodze tam zawiezie.

Zobaczenie z daleka słynnego opactwa St.-Florian, przywiodło napamięć wszystko, co się nieraz o niem słyszało lub czytało. Przypomniawszy się przede wszystkim ów święty żołnierz i męczennik z początku wieku IV-go, od którego ta miejscowość do dziś dnia swą nazwę nosi, jako miejsce pierwotnego grobu jego. Dalej, przypomniawszy się też i to, co w gimnazyum o najstarszych języka polskiego pomnikach mówiono, że w klasztorze tym znajduje się jeden z najcenniejszych zabytków języka i najdawniejszych, bo z wieku XIV-go: Psalterz królowej Małgorzaty. Nagle zaświdrowała myśl w głowie, aby tam podążyć, uczcić świętego Męczennika, który od XII-go wieku Krakowa i Polski jest Patronem, obejrzyć ową cenną relikwię języka naszego, zwiedzić słynne opactwo.

Na drugi dzień o 8-mej zrana, pod przewodnictwem Jego Magnificencji ks. d-ra Chotkowskiego, ruszamy we czterech fiakrach do St.-Florian. Po drodze, zanim dojedziemy, opowiem nieco o przeszłości tego sławnego opactwa.

Najstarszy dokument, w archiwum klasztorne zachowany, poświadcza, że w roku 1071 biskup z Passau, Altmann, współczesny Grzegorzowi VII. i wielki reformator swej dycecezy, zajął się gorliwie podupadłym klasztorem w St.-Florian, a odrestaurowawszy ruiną grożące budowle i kościół poświęciwszy, powierzył go zgromadzeniu Kanoników Regularnych, żyjących według reguły św. Augustyna, mianując przełożonym uczonego Hartmanna. Ten sam dokument, zawiera też krótką wiadomość, co do dawniejszej tego domu historii. W zamierzehłej przeszłości, zbudowali pobożni mieszkańcy okolicy na grobie św. Floryana, w r. 304 w Lorch (*Laureacum*) zamordowanego a tutaj pochowanego, kościół i klasztor bogato udotowany, które wszakże Awarowie, niszcząc wszystkie nad Anizą położone miasta, w perzynę obrócili. Kiedy za Karola Wielkiego i później, znowu kościół i klasztor odbudowane zostały, a karność ówczesnych zakonników z czasem się rozpręgła, oddali biskupi passawscy klasztor świeckiemu duchowieństwu, które gdy oczekiwaniom nie odpowiedziało, zastąpionem zostało

w roku wyżej wymienionym przez biskupa Altmanna Kanonikami Regularnymi, którzy od owego czasu bez przerwy tam mieszkają. Że klasztor w St.-Florian był przedmiotem szczególniejszej troskliwości biskupów passawskich, i że bardzo wielu znalazło się hojnych ofiarodawców, którzy — jak świadczą kroniki klasztorne — po królewsku zakon obszernemi posiadłościami obdarowywali, nie w tem nie jest dziwnego, zważywszy, że cześć i nabożeństwo do świętego rodaka i żołnierza, z tych stron pochodzącego (z Cetium w Dolnej Austrii), a za Dyoklecjana po licznych i srogich męczarniach w Anizie utopionego, z pierwszymi tu w tych miejscach początkami chrześcijaństwa wzrosła i głęboko się wkorzeniła. Utrzymała się też tutaj przez wieki średnie, dobra sława tego klasztoru, karność i pobożność, tak, że biskupi a nawet odległe zakony, powoływali zakonników ze St.-Florian do swoich zgromadzeń. Szkoła na początku XII-go wieku przy klasztorze założona, widocznie należycie spełniała swoje zadanie, skoro — jak świadczy historia klasztoru — biskupi passawscy, za tę pracę jak niemniej i za pielęgnowanie różnych enót, swe pochwały wyrażali, a lista znakomitych mężów, którzy w połowie XV. wieku tam nauki pobierali — jak: Jan Rehwein, kanclerz austriacki za Fryderyka III., Henryk Lehen-ther, kanonik wrocławski i bamberski, Maciej Steinhöbler itp. — wymownie to zatwierdza.

Oprócz pieczy dusz i szkoły, zajmowało się jeszcze zgromadzenie ubogimi i cierpiącymi. W tym celu zbudowano dwa szpitale. W jednym z nich znajdowali przytułek chorzy i biedni, podróżni i pielgrzymi; drugi był przeznaczony dla ludzi, którzy swe siły na służbie w zgromadzeniu stargali.

Wiekі XV. i XVI., smutno się zaznaczyły w historii tegoż opactwa. Ruchy fanatyczne hussytów i tę tu okolicę dotknęły, ogniem i mieczem wszystko po drodze niszcząc. Temu losowi uległo wiele kościołów i posiadłości do opactwa należących. Sam St.-Florian się ostał. Nastaly długoletnie rządy cesarza Fryderyka III., które jako czasy wielkiego zamętu i ciągłych rokoszy, zaliczane bywają do najsmutniejszych i najnieszczęśliwszych w krajach austriackich. Prowadząc przez wiele lat wojnę z bratem

swoim Albrechtem, doprowadził lud do zupełnego zubożenia, skarb do zupełnego wyczerpania. Stosownie do zmiennej wojny fortuny, to jeden, to drugi z nich, nakładali na St.-Florian wielkie kontrybucye, i klasztorne źródła dochodów sobie przywłaszczali. Dopiero śmierć Albrechta (1463), uwalniając Fryderyka od najzaciętszego nieprzyjaciela, uwolniła też i kraje austriackie od nieszczęść, które nad nimi od 20 lat z górą ciążyły.

Kiedy w wieku XVI. reformacyjna powstała zawierucha, a na domiar złego turecka potęga od wschodu kraje zalewała, musiał i St.-Florian wraz z innymi klasztorami i kościołami, ciężkie na rzecz dobra ogólnego ponosić ofiary, które coraz się zwiększały. I tak: w roku 1527 musiały wszystkie klasztory i kościoły oddać na uzbrojenia przeciwko Turkom, połowę drogocennych rzeczy po skarbcach kościelnych przechowywanych, a klasztory nadto trzecią część rocznych dochodów, która to danina w następnym roku na $\frac{3}{4}$ została podniesioną, później na połowę dochodów, a wkońcu na czwartą część wszystkich posiadłości. Kiedy w roku 1531, na pokrycie kosztów obwarowania Wiednia, kościoły i klasztory musiały wydać wszystkie złote i srebrne kielichy, opactwo St.-Florian, które według możliwości zawsze wszystkim patryotycznym obowiązkom zadosyć czynić się starało, nietylko tę ciężką ofiarę poniosło, ale nawet w kilka lat później musiało wiele sprzedać posiadłości, aby żądane sumy módz złożyć.

Sama zaraza religijna, z Wittembergi się rozchodząca, nie mogła się jakoś dość długo zakorzenieć, ani w opactwie, ani na probostwach powierzonych zakonnikom tego zgromadzenia, dzięki energii ówczesnego opata Piotra († 1545), który karność zakonną utrzymać zdołał, wyjednaawszy u nuncjusza papieskiego to tylko, iż wolno było zakonnikom nosić poza murami klasztornymi świeckie ubranie, z tego powodu, że niebezpieczną było rzeczą, podówczas w znienawidzonej sukni zakonnej się ukazywać. Wszakże pod następcą jego Floryanem, ślady protestantyzmu między zakonnikami objawiać się zaczęły; ale dopiero za rządów proboszcza floryańskiego Zygmunta (Pffaffenhofera), osobistego zwolennika nowej nauki, niektórzy zakonnicy opactwa i sąsie-

dnich klasztorów, otwarcie „nowinki“ przyjęli. Następca Zygmunta, Jerzy (Freuter), mąż wielkiego ducha, usiłował powoli wprowadzać lepsze obyczaje pomiędzy zakonników. Przez cały czas swego przełożenia, musiał walczyć z tysiącznemi przeciwnościami, jużto dlatego, że dość uciążliwe koszta wojenne i podatki coraz bardziej powiększano, już też z tego powodu, że protestanci, tak szlachta jak i podwładni, posiadłości opactwa coraz bardziej rabowali i ograniczali, tak, że 26 lat jego rządów są jednym nieprzerwanym szeregiem procesów. Wreszcie i tę boleść przeżyć musiał, że patrzył na krwawy bunt chłopów w jednej parafii do opactwa należącej, wzniecony przy wprowadzeniu nowego proboszcza, od którego żądali „niemieckiego Boga“.

Po owych burzliwych czasach, opactwo floryańskie coraz więcej podnosić się zaczęło w kierunku duchowym, gdy przełożeni, jak Veit i Leopold (1600—1646), starali się o zaprowadzenie większej karności między młodymi zakonnikami i o zamięłowanie i podniesienie nauki, wysyłając kleryków do najślawniejszych zakładów katolickich, jakoto: do Gracu, Wiednia, Ingolstadt a nawet do Bolonii. Podnosiło się też opactwo i pod względem materyalnym. Najślawniejszym ze wszystkich opatów floryańskich był Dawid Fuhrmann, w drugiej połowie XVII. wieku. Mimo bardzo uciążliwych podatków z powodu wojny z Turkami, którą dopiero tak świetnie Jan Sobieski zakończył, wyprowadził tenże opat klasztor z długów, wybudował szpital i przystąpił do budowy nowego, wspaniałego, do dziś dnia stojącego kościoła, który Carlo Antonio Carlone z Medyolanu, w najpiękniejszym stylu nowowłoskim wystawił. Niemniej też dbał opat o wykształcenie zakonników. W tym celu wzbogacił bibliotekę klasztorną wieloma bardzo cennymi dziełami, i posyłał kleryków do najlepszych zakładów teologicznych na naukę, a głównie do Rzymu do *Collegium germanicum*. Oprócz tego, tak cesarz jak stany i prałaci, powierzali mu za życia rozmaite sprawy. To też na wiadomość o jego śmierci, rzekł cesarz Leopold do otoczenia: „Utraciliśmy w opacie floryańskim dobrego patryotę i najlepszą podporę naszego domu“. Pod następcami Dawida, pracowano da-

lej nad wykończeniem przezeń rozpoczętych lub zamierzonych budowli, które wkońcu złożyły się w olbrzymią całość artystyczną, która zwiedzającego St.-Florian, niesłychanie swym ogromem uderza.

I my także byliśmy zdumieni. Stanęliśmy w St.-Florian po niespełna 2-godz. jeździe, po dobrej i pięknej drodze. Sam klasztor przedstawia się jako wielki czworobok, naokoło dwupiętrową budowlą zamknięty, którego dwa przeciwległe boki, wschodni i zachodni, mają po 113 sążni, drugie zaś dwa po 60. Od strony północnej stoi kościół, wewnątrz 43 sążnie długi. Przeszedłszy przez wspaniały portal i klatkę schodową, którejby niejednen pałac królewski lub teatr mógł pozazdrościć, wyszliśmy na I. piętro, gdzie po niezmiernie długim, marmurowym korytarzu, doszliśmy do mieszkania obecnego opata ks. Ferdynanda Mosera. Widać spostrzegł nas zajeżdżających, bo wyszedł naprzeciw nam, witając bardzo serdecznie ks. d-ra Chotkowskiego, z którym w poprzedniej kadencyi, jako poseł do Rady Państwa z większej własności, kolegował. Uprzejmość niezwykła, z jaką i nas nieznanym przyjął, usposobiła nas od razu bardzo sympatycznie względem tej poważnej i okazałej postaci, z siwym włosom i o szlachetnych rysach. U niego zastaliśmy również z Lincu, w tym samym co i my celu przybyłych gości, między nimi kilku posłów do parlamentu i kilku duchownych.

Poznawszy się wzajemnie i nieco posiliwszy, rozpoczęliśmy naszą peregrynację, celem obejrzenia osobliwości, a już się z góry przeczuwało, że ich tu sporo będzie.

Najprzód tedy, poszliśmy na drugie piętro, aby zobaczyć tak zwane „cesarskie pokoje“. Jest to szereg większych i mniejszych pokoi, zajmujących cały długi fronton budynku, które mają nazwę „cesarskich“ dlatego, że w nich mieszkała cesarzowa Marya Teresa, gdy w r. 1743, w czerwcu, dla zwiedzenia tego opactwa tu przybyła. Umeblowanie i całe wewnętrzne urządzenie w guście początku XVIII. wieku, pozostało nienaruszone. Uderzają oko, obicia ścian i mebli materyami jednakowego koloru, do którego stosują się firanki w oknach, a nawet ogromne piece misternie zbudowane, ozdobione płaskorzeźbami i pozłoceniami. Niemniej

też uderzają swym ogromem łóżka, których tu kilka ze swemi pokryciami stoi. Kilka pokoi ma sufity wartościowemi przyozdobione malowidłami; w innych, jak np. w dwu tak zwanych „strzeleckich“ pokojach (*Jagdzimmer*), całe ściany są okryte malowidłami na murze, przedstawiającemi z wielką świeżością i życiem krajobrazy i sceny z polowań i bitew. Cesarskie te pokoje, zaszczycone też zostały zamieszkaniem w nich papieża Piusa VI., który z Wiednia wracając, w dniu 23 kwietnia 1782 r., tu wypoczął i przenocował na łóżku, które również troskliwie jest przechowane.

Stamtąd, zeszedłszy na pierwsze piętro, zawróciliśmy do południowego skrzydła budynku i znaleźliśmy się w wielkiej, 100 stóp długiej, 50 stóp szerokiej i wysokiej marmurowej sali, której plafony zdobią obrazy pędzla braci Altomonte i Sconzaniego. Tak wspaniałej, od marmurów połyskującej sali, z wielkimi, jak w gotyckiej świątyni oknami, nigdzie mi się widzieć nie zdarzyło, a ktoś ze zwiedzających zauważył, że takiej nawet cesarz w Wiedniu nie ma.

Lecz spieszno nam bardzo do biblioteki. Jest ona we wschodniej części klasztoru i obejmuje 5 pokoi, między którymi główna sala, 15 sążni długa a 8 szeroka, założona od góry do dołu w porządku ułożonemi książkami, tem się nadto od innych różni, że ma sufit przyozdobiony malowidłem o jasnych kolorach, pędzla młodszego Altomonte, przedstawiającem zaślubiny umiejętności z enotą. Sala ta, jak i bogaty zbiór książek, jest dziełem Jana Jerzego Wiesmayra, proboszcza floryańskiego z czasów Maryi Teresy, wielkiego miłośnika nauki, który na ten cel wiele tysięcy florenów poświęcił. Jakoż, biblioteka ta niezwykle robi wrażenie. Obejmuje ona przeszło 70 tysięcy tomów, a między nimi blisko 900 inkunabułów i tyleż prawie manuskryptów, z których najdawniejszy z IX. wieku, pisany po łacinie, zawiera proroków Starego Zakonu. Staranność w utrzymaniu książek i pargaminów, czystość, a nawet, rzec można, świeżość szaf i półek, zadziwiająca, sam jakiś brak kurzu, który zwyczajnie po bibliotekach zaraz w oczy uderza, wszystko to świadczy, że ta biblioteka często nawiedzana być musi nie tylko przez turystów, ale więcej jeszcze przez ludzi nauki, którzy z jej źródeł wiedzę czerpią.

I naprawdę, poszczycić się ona może długim szeregiem zakonników miejscowych i innych mężów, którzy tu pracując, zdobyli sobie nawet szerszą sławę w świecie naukowym, jak: Franciszek Freindaller († 1825), długoletni redaktor *Teologiczno-praktycznego miesięcznika*; Franciszek Kurz († 1843), autor wielu dzieł z dziedziny historii austriackiej; Józef Schmidbergër, sławny pomolog; Józef Chmel († 1858), uczony bibliotekarz floryański, członek Akademii umiejętności w Wiedniu i wielu innych stowarzyszeń naukowych, znany z bardzo licznych prac, zwłaszcza treści historycznej; Jodok Stülz († 1872), przedostatni opat floryański, w r. 1846 mianowany najwyższem postanowieniem c. k. historyografem państwowym. O wielu innych, mniej znanych, nie wspominamy.

— A czyby nie można zobaczyć drogocennej dla nas Polaków perły, która tu się przechowuje: Psalterza królowej Małgorzaty? — zapytujemy siwego, od starości i pracy pochylonego bibliotekarza.

— Z całą przyjemnością — odrzekł — pokażę go wam zaraz. Dowiedziawszy się — mówi dalej — przy wstępie do biblioteki od ks. opata, że księża są z Krakowa, przygotowałem już ten klejnot naszej biblioteki do obejrzenia, podczas gdyście główną salę oglądali; tylko proszę iść za mną tam do ostatniej sali.

Z dziwnem uczuciem jakiegoś, rzekłbym, pietyzmu, pospieszyliśmy za ks. bibliotekarzem do owej sali, gdzie na stole przy oknie (dla lepszego światła), ukazuje nam niepozorną na oko, dość grubą, dużej kwarty, w pergamin oprawną książkę. Otwieramy. Odrazu za pierwszą okładką, na wolnej karcie (a jak bibliotekarz powiada, od tejże okładziny przed kilkunastu laty przez profesora Nehringa z Wrocławia odczepionej), stoi napis: *Bartholomeus Siess me possidet anno 1557. Emptus ab Italico negociatore septem solid...* *Psalterium istud 16 psalmis excedit reliqua exemplaria*; a za tą kartą, na następnej zaraz z góry, odsłania się bardzo piękne i staranne pismo gotyckie, idące dwoma na dół kolumnami, oddzielonemi w środku dość szerokim pasem. Karty tytułowej brak, a widocznie i kilku jeszcze innych, bo pierwsze wiersze, poprzedzające sam Psalterz, są zdaje się dalszym ciągiem tego, co było na ostatniej karcie. Psalterz ten jest pisany w trzech językach:

łacińskim, polskim i niemieckim, i to tak, że każdy wiersz psalmu napisany najpierw po łacinie, zaraz w tych drugich dwu językach jest podany. Lubo cały kodeks wygląda utrzymany bardzo czysto i starannie, jakoby nie koło pięćset ale pięćdziesiąt lat liczył, to przecież w drugiej jego połowie i ku końcowi znacząco mniejszą staranność a nawet pewne zaniedbanie w piśmie i w ozdobiach. Ozdób tych w całym Psalterzu jest dużo. Oprócz inicjałów, z których niektóre są bardzo starannie wykonane, idą kolorowane ozdoby, kombinowane z gałęzi, liści, kwiatów, figur jakichś fantastycznych, górą ponad kolumnami, środkiem i poniżej, a nawet w liniach, o ile w nich próżnego zostało miejsca, po ostatnim wyrazie wiersza psalmowego. Ważną zaś dla znawców jest wykończona, bogato złożona i kolorowana dekoracja, znajdującą się na odwrotnej stronie karty 53, z której badacze kodeksu floryańskiego, co do jego powstania i przeznaczenia poczynili wnioski. Przedstawia ona u dołu, poniżej tekstu w dwóch narożnikach, dwóch aniołów, z których jeden po prawej stronie, trzyma w ręku herb Andegaweński, drugi zaś po lewej ręce, literę *M* w kształcie kratki w poprzek splecioną, który to monogram krom tego, dwa razy jeszcze gdzieindziej przychodzi. Oprócz tej dekoracji, najwięcej znaczącej i literatom z podobizn znanej, są jeszcze dwie, więcej na uwagę zasługujące, z których jedna, przedstawia osobę ukoronowaną trójzębną koroną, z napisem złotymi małymi literkami nie do odczytania, a druga, figurę kobietę z koroną na głowie, z dwoma po obu stronach aniołkami, trzymającymi wstęgi z korony spływające.

Tak wygląda co do swych główniejszych znamion ten sławny zabytek mowy polskiej, kodeks floryański. Niedawno, bo 60 lat z górą temu, nie był on znany światu. Odkrył go dopiero wzmiankowany wyżej ks. Chmel, bibliotekarz tamtejszy, który uznawszy ważność swego odkrycia, zwrócił na ten Psalterz uwagę uczonego sławisty Kopitara, natenczas kustosa biblioteki cesarskiej w Wiedniu, i przesłał mu próby przepisane przez siebie tekstu. Kopitar zakomunikował rzecz tę S. J. Bandtkiemu, kustoszowi biblioteki Jagiellońskiej, który wedle notat sobie nadesłanych, napisał po polsku małą książeczkę, w której podał wia-

domość o Psalterzu floryańskim. Stanisław hr. Borkowski, zajął się tym kodeksem bardzo gorąco, i lubo — jak to powszechnie wiadomo — nie obeszło się bez sporów i kłopotów, dokonał, przy pomocy Kopitara, wydania tegoż Psalterza w r. 1834 w Wiedniu. W przedmowie do tego wydania, jakoteż i w osobnej broszurce, podał hr. Borkowski swe uwagi, tak co do przeznaczenia i dawności tego Psalterza, jak i co do tego, kiedy i jakim sposobem mógł on się do St.-Florian dostać. Według hr. Borkowskiego, opierającego swe mniemanie na owej trzy razy w kodeksie powtarzającej się między ozdobami literze *M*, i na owym ozdobie na str. 53 zrobionym herbie domu Andegaweńskiego, Psalterz ten napisany był pierwotnie dla Maryi, królowny węgierskiej, siostry Jadwigi, z domu Andegaweńskiego, na królową polską przeznaczoną. Wszakże to mniemanie wnet się w nim zachwiało, gdy mu zwrócono uwagę, że owa litera *M* może również znaczyć Małgorzatę, pierwszą żonę Ludwika Węgierskiego. To też rozważywszy jedno i drugie racye, zdecydował się hr. Borkowski Psalterz ten przypisać królowej Małgorzacie, i pod tym też tytułem wiadomość o nim rozpowszechnił, lubo wnet zaczęło się ustalać mniemanie, że był pisany dla Maryi.

Ale jak ten Psalterz dostał się do St.-Florian? Hr. Borkowski wypowiedział w rzeczonej przedmowie swe domysły, które się same przez się nasuwały, przyjąwszy za pewne, że tenże Psalterz przeznaczony był dla rodziny króla Ludwika Węgierskiego, którego córka Jadwiga była królową polską i pierwszą żoną pierwszego z Jagiellonów. Ostatnia bowiem żona ostatniego z Jagiellonów, Katarzyna Austriaczka, rozwiódłszy się z Zygmuntem Augustem, osiadła w Lincu i tu umarła r. 1572; pochowano zaś ją później, w r. 1614, w podziemiach kościoła w St.-Florian, gdzie na jej grobie umieszczono piękny do dziś stojący pomnik z piaskowca. Wydawało się więc bardzo prawdopodobnem, że Katarzyna Austriaczka była pośredniczką między Polską a opactwem w St.-Florian, któremu albo sama do biblioteki Psalterz podarowała, albo też jako pamiątka po niej, dostał się tu później po jej śmierci.

Należy tu wszakże ze względu na ogół czytelników zau-

ważyc — co zresztą światu literackiemu jest wiadomem — że mniemania te, głównie przez Kopitara i hr. Borkowskiego reprezentowane, co do pierwotnego przeznaczenia i dawności Psalterza Floryańskiego, bardzo poważne budzą wątpliwości, które prof. Nehring z Wrocławia w swem *Iter Florianense — O Psalterzu Floryańskim* łacińsko-polsko-niemieckim (Poznań 1871) — wypowiedział, na podstawie bardzo sumiennych nad kodeksem badań na miejscu w St.-Florian, lubo niewiele pewnych wskazówek w miejsce obalonych mógł postawić. Odnosi się to głównie do pierwotnego przeznaczenia Psalterza, a stąd i do dotychczasowego nazywania go. Co się zaś tyczy jego powstania, to prof. Nehring, opierając się na rozmaitych wywodach, na podstawie pisowni, charakteru pisma, łamania liter i t. d., dochodzi wkońcu do tej konkluzji, że „Psalterz Floryański powoli powstawał, przez trzech przepisywaczy kolejno układany, z których pierwszy pisał mniej więcej w 70-tych latach XIV. w., trzeci zaś prawdopodobnie w początku XV. w., drugiego czas zapewne przypada na ostatnią czwartkę w. XIV.“.

Z biblioteki wyszedłszy, zwiedziliśmy następnie wcale piękny zbiór obrazów, przeważnie ze staro-niemieckiej szkoły, która tu w ogólnie podziwianym Ruysdaelu i Cresbeku — nawet przez znawców za Rembrandta uważanym — najznakomitszych ma przedstawicieli. Nadto posiada także klasztor zbiór miedziorytów, litografij, drzeworytów, rysunków i t. p., w liczbie koło ośmiu tysięcy, które według szkół są uporządkowane i skatalogowane, a między autorami widać nazwiska: Dürera, Schöna, Kranacha, Scheyfelina, Altorfera, Behama, Aldegversa, Hopfera, Hollara, Stahla i t. d., z których kilku nawet bardzo rzadko gdzieindziej się spotyka. W „sali miedziorytów“, pokazują także w oszklonych gablotkach, zbiór rzeczy rzniętych z kości słoniowej, bursztynu i drzewa, a niektóre wartości artystycznej, jak: ukrzyżowanie P. Jezusa, zdjęcie z Krzyża, porwanie Sabinek, św. Magdalena, św. Sebastyan, rzeź niewiniątek betleemskich podług Rubensa, w kości słoniowej wyrzeźbiona i swojemi rozmiarami na siebie uwagę zwracająca. Niemniej, zadowolić mogą oko znawcy liczne grupy zwierząt z gliny, stare emalie francuskie, skulptury

alabastrowe, jakoteż przechowywane w oszklonych szafach r korytarzu obok biblioteki, niektóre rzeczy i osobliwości ze starożytności egipskich, gręckich, rzymskich, kościelnych i t.] Z polskich osobliwości, nie się tu nie znajduje krom drobnostek bez większej wartości, którą jest husarz polski na koniu, piórór bardzo pobieżnie naszkicowany; a że — jak ks. bibliotekarz nam mówił — jest podanie, że go Jan Sobieski miał rysować, dla tego z chwałębną przechowują go troskliwością, w ramkach i w oszklonej szafie.

Wspomnieć też wypada o zbiorach z dziedziny history naturalnej. Jest tu więc zbiór ptaków w liczbie 600; zbiór owadów, w którym gromada chrząszczy najsilniej jest reprezentowana; zbiór minerałów, wprawdzie niewielki, ale dobrze uporządkowany i pięknie ustawiony, z kilku sztukami bardzo kosztownymi; zbiór muszli z 950 gatunkami i wieloma w tym dziale dziełami.

Ale jedną z większych osobliwości w zbiorach, któremi się St.-Florian szczyci, jest numizmatyka. Jan Jerzy Wiesmayr, opat floryański, o którym wyżej jako o fundatorze biblioteki już była wzmianka, nabył koło połowy przeszłego wieku od słynnego Wenecyanina Apostolo Zeno, za cenę 20 tysięcy florenów zbiór numizmatów (10.000 sztuk, między niemi 433 ze złota), o którym uczony profesor i bibliotekarz w Teresianum w Wiedniu, Erazm Fröhlich, powiedział był: że jest jednym z najznakomitszych, i prawie pierwszym w Niemczech po zbiorach najwyższych książąt. Dziś zbiór ten liczy około 16 tysięcy sztuk, z tych 12 tysięcy przeszło ze starożytności (złotych sztuk 4630, srebrnych 433), a między niemi — jak Fryderyk Kenner, kustosz c. k. gabinetu numizmatycznego, w swem dziele o floryańskim zbiorze oświadczył — jest: „14 sztuk wartości pierwszorzędnej, a dotychczas nieznanych, nie licząc 12 z nieznanymi dotychczas wariantami, obok 16 numizmatów, które należą do największych rzadkości“ ¹.

Wkońcu zwiedziliśmy kościół i jego skarbiec. Wszędzie tu zadziwiająca czystość, a gdzie spojrzysz, lśnią się gładkie lica

¹ Wién. Braumüller 1871.

marmurów. Skarbiec obfituje w rzeczy cenne ale nowsze. Złote i srebrne kielichy, relikwiarze i inne precjoza, których tu wiele było w wiekach ubiegłych, poszły, podobnie jak i u nas, na potrzeby kraju, w ciężkich wojennych czasach. Wszakże i to co później sprawiono, jakoto: pastorały i infuły, kapy i ornaty, imponuje ilością i bogactwem.

Wchodzimy do kościoła — na chórze organ się odzywa. Zrazu cichymi i ledwo prawie słyszalnymi dźwięki, wtóruje naszej modlitwie przez chwilę... a potem coraz więcej głosów przybywa, które cudną barwą niezwykle uderzają ucho i mówią, że to instrument niepospolity... aż wreszcie zajęczał taką siłą, iż zdawało się, że cały obszerny kościół ledwo te potężne głosy objąć i opanować murami zdoła. Jakoż, jest to naprawdę prawdziwe i olbrzymie arcydzieło, i rzec można, największa tego kościoła osobliwość. Zbudowany około 1760 r., przez Franciszka Krismanna, kapłana dyecezyi lublańskiej, został w najnowszych czasach przez Maurachera, organmistrza z Salcburga, zupełnie przerobiony, z uwzględnieniem najnowszej mechaniki, i liczy 78 rejestrów, 16 rozmaitych kopulatorów, a 4 manualy i pedały. Rozglądamy się po kościele. Marmurów co nie miara, a wszystkie wyglądają tak świeżo i czysto, jakby wczoraj tu z nich postawiono te ołtarze i balustrady. Najpiękniejszą zaś rzeczą, to ambona w stylu nowowłoskim — jak i cały kościół — zrobiona z jednej bryły czarnego jak węgiel marmuru, i wspniale dębowe stalle w chórze kapłańskim dla zakonników, bardzo misternie i bogato rzeźbione.

Lecz myśl z owych marmurów, ołtarzy i ozdób, w przeszłość się przenosi i uprzytomnia sobie, że tutaj na tem miejscu przed wiekami, gdy chrześcijaństwo krwawy lecz zwycięski za Dyoklecjana bój toczyło, jeden z żołnierzy cesarskich, ale zarazem i Chrystusowych, po męczeństwie, grób spokojny sobie upatrzył. W Anizie go utopiono pod Laureacum, a zwłoki nurtami rzeki uniesione i na brzeg wyrzucone, od żarłocznego ptactwa i dzikich zwierząt, wielki orzeł z woli Bożej strzeże, dopóki Święty, pewnej pobożnej niewieście, imieniem Waleryi, we śnie się nie objawił i nie oznajmił, że tu na tem miejscu chce spocząć, gdzie dziś ten wspnialy stoi kościół.

Grobu jego tu jednak niema. W czasie bowiem wędrówki ludów, chrześcijańscy rzymscy koloniści, uciekając przed nawałą barbarzyńców, zabrali ze sobą relikwie św. Floryana i do Rzymu zanieśli, skąd jeszcze raz, po dziewięciu wiekach, miał ten Święty przenieść swą siedzibę daleko na północ... aż do Polski... do Krakowa. Kazimierz Sprawiedliwy na tronie polskim zasiadający, wyprawił 1183 r. do Lucyusza III., papieża, posłów z usilną prośbą, by mu relikwie którego ze świętych Wyznawców Chrystusowych, w chrześcijaństwie wsławionych, przysłać raczył, jako Patrona i Opiekuna królestwa przeciw nieprzyjaciołom. I podanie niesie, że Ojciec św. poszedłszy do miejsca, gdzie oprócz św. Floryana innych męczenników szczątki się znajdowały, kiedy się ich zapytał, który z nich chce iść Polsce na pomoc, św. Floryan miał na znak ochoty rękę podnieść. Posłał też papież do Krakowa kości św. Floryana, przez biskupa Idziego, który — jakby chcąc Świętemu dać możność pożegnania się z rodzinnymi stronami i pierwotnym grobem — wiozł te św. relikwie przez St.-Florian, gdzie ich część na pamiątkę zostawił. Kazimierz ze czcią wielką przyjął Świętego, który odtąd miał być kraju Patronem, i na przeciw niemu o 7 mil za Kraków wyszedł, a idąc pieszo z procesją duchowieństwa i ludu, uroczystie do miasta wprowadził. Relikwie umieszczono najpierw na Kleparzu, gdzie Kazimierz pod wezwaniem tegoż Świętego, piękny wybudował kościół. Później, w tym kościele tylko ramię Świętego zostawiwszy, głowę i resztę relikwii do kościoła katedralnego na Wawelu przeniósł, gdzie do dziś dnia ze czcią są przechowywane.

I oto drugi powód religijnej znowu natury, dla którego opactwo St.-Florian jest dla Polaka miejscem godnem zwiedzenia i jakby zapraszającym, bo oprócz tego, że znajdzie tam najdawniejszy pomnik swojej mowy, znajdzie też i żywą tradycję o Świętym, który nas z tym klasztorem od tak dawna łączy.

Tak tedy skończyliśmy oglądanie osobliwości, których tu — jak się okazuje — jest dość sporo. Uprzejmy ks. Opat, chcąc i ciało nasze pokrzepić, zaprosił nas następnie na skromny obiadek, poczem wnet z nim pożegnaliśmy się z życzeniem, by na znak łączności i przyjaźni, jaka między Krakowem a St.-Florian być

powinna, naszego i ich św. Patrona, tu u nas odwiedzić kiedy zechciał, a przytem zobaczyć co też i my mamy.

Odjechaliśmy ze St.-Florian z niemałym w duszy zadowoleniem, że odwiedziny te tyle nam przyniosły niepospolitych do oglądania osobliwości. Spieszyliśmy do Lincu z powrotem, by wziąć udział w ostatniem uroczystem i pożegnalnem posiedzeniu wiecu katolików.

O północy tego samego dnia, przy pełnem świetle księżyca, zdala koleją poważne opactwo w St.-Florian mijając, ostatnie przesłaliśmy mu pozdrowienie.

Ze sobą unieśliśmy... miłe o niem wspomnienie.

Ks. dr. Czesław Wądołny.

TOMASZ OLIZAROWSKI.

... Za widmem sławy, za pieśni słońcem,
Nad małodusznych poziomem tłumów.
Niedoli własnej latałeś gońcem...
Gdzie twoje szczęście, gdzie twoja sława?
Twoje pociechy, twoje wygodny?
Grób twój zasłonią chwasty i trawa.
Ciebie zapomnień pokryją lody...

TOM. OLIZ.

I.

Podczas jednego z dni majowych, 1879 roku, na ubożuchnym mogiłniku w Ivry, pod Paryżem, grzebano zwłoki siedm-dziesięcioletniego starca, który wśród zastępu tak zwanych romantyków, poetycznym niepospolitym talentem urastał w dniach młodości ponad wielu — w latach późniejszych, acz nie potargał strun swej lutni, gasł w zapomnieniu. Pieśń jego, lubo podniosła, nie budziła szerokiego echa wśród społeczeństwa, i samo istnienie poety było przedwcześnie złamane... W dziwnie trudnych warunkach rozwijał się ów talent i upływało życie poety, który nader mało żądał dla siebie, lecz wnet i to odbiegało od niego: żadne z jego pragnień urzeczywistnić się nie zdołało. Piętnaście ostatnich lat życia przepędził w przytułku dla starców i chorych, dłoń obojętna zamknęła mu oczy, ziemia obca padła na wieko trumny, a jego zgon nader słabem echem odbił się wśród społeczeństwa: dziwiono się, że jeszcze żył ten, który swą poetyczną lutnię jednocześnie prawie ujął z Bohdanem Zaleskim i Sewerynem Goszczyńskim. Oprócz uczucia zdziwienia

innych uczuć w szerszych kołach zgon ten nie budził. Kraj o nim prawie był zapomnian.

Niejednemu z małej garstki odprowadzających przedwcześnie zapomnianego poetę na cichy wiejski cmentarz, u bram Paryża, nie nasuwała się nawet myśl, iż był to poeta, iż grzebano talent, który ponad wyżyny zwykłej miary znacznie się wyniósł; lecz przedewszystkiem był im obecny nie poetyczny zawód, ale zwykły żywot człowieka znużonego walką o byt, żywot starca złamanego troską, strawionego tęsknicą: przyjaciele grzebali przyjaciela, współwędrowcy długoletniego pielgrzyma; niewiele mówiono, iż żegna ziemię pieśniarz ongi dość znany, przez przedniejszych zaś w areopagu poetów bardzo ceniony.

Poeta ten często nienależycie oceniany, a przedwcześnie w pamięci kół szerszych zagrzebany — był to Tomasz August Olizarowski.

Za dni wczesnej młodości, w szrankach poetów okolic ukraińskich, obok Bohdana Zaleskiego, tuż przy Goszczyńskim, Tomasza Olizarowskiego postawiła poważna krytyka, reprezentowana niegdyś przez Michała Grabowskiego, a później przez Al. Tyszyńskiego. Stanowisko zaiste zaszczytne, tem bardziej, iż czyniono nacisk na jego samodzielność... M. Grabowski szczególnie, wyborny znawca ludu okolic ukraińskich, jego charakteru, 'usposobień, podań, kompetentniejszym był do ocenienia stanowiska, jakie zajął Tomasz Olizarowski wśród zastępu tych poetów, którzy pod niebem bardziej południowem, z uczuć i pieśni tamecznego ludu umieli wysnuć długi szereg prawdziwie poetycznych arcydzieł.

Stanowisko, jakie M. Grabowski wskazał dla działalności Olizarowskiego, na zawsze pozostało jego udziałem: mieniono go wciąż poetą ukraińskich, krańcowych okolic, podobnie jak Bohdana, chociaż tylko pierwsze utwory swe on osnuł na tle ludowem ziem stepowych. Późniejsze utwory posiadają szersze horyzonty, myśl poety odbiega od ziem stepowych, zaprzestaje idealizować lud tameczny, sięga po inne zadania, niemniej jednak mienia go zawsze kresowym, ukraińskim pieśniarzem.

Olizarowski wcale nie myślał zamykać się w obrębie szcu-

łych widnokręgów; już w dniach młodości, gdy nie uronił nie jeszcze z wiary w zdobycie podniosłych wyżyn uznania, gdy niezachwianie wierzył w przezwyciężenie wszelkich zawad na gościńcu życia, woła, iż nie chce być skowronkiem lub słowikiem, ale „orłem“, „sokołem“...

Pieśń moja będzie ludzkości krzykiem...
Ja chcę poruszać serc miliony,
Ja chcę być także potęgą świata;
Niechaj pieśń moja budzi cyklony,
Okretem gromów nad ziemią lata!...

Bardzo daleko od owych stepowych ziem, które są polem jego pierwszych utworów, których rysy charakterystyczne tak wybornie w swym *Zawerusze* odtwarza, ujrzał światło dzienne T. Olizarowski. Przyszedł on na świat w r. 1810, w tak zwanej Galicyi, w Rzeszowskiem, w Wojsławicach.

Nader szczupłe są wskazówki biograficzne, z których możnaby było odtworzyć obraz dokładny życia i otoczenia poety, a szczególnie z epoki pierwszych wrażeń młodocianych. Zamknięty w sobie, mało wywnętrzający się, nie lubiący się bawić w korespondencję, poeta nie zostawił ani listów, ani żadnej innej nici przewodniej, co wprowadziłby nas zdołała do tajników owych wpływów, które na jego umysł młodociany i pacholęcy oddziaływały. Przyjazna a skrzętnie szukająca i zbierająca zażytki po Olizarowskim dłoń p. Seweryny Duchinińskiej, która mu wzniosła piękny pomnik w swem studyum literackiem, skreślone w roku jego zgonu, nie natrafiła na żaden obfitszy materiał biograficzny, pomimo bardzo pilnych poszukiwań. Wszystko było zamknięte w myśli, sercu poety — pochłonęła je mogiła.

Maluczki, acz wcale niedostateczny odbłask, na warunki jego rozwoju za dni pacholęcych, rzuca tradycya wołyńska, którą w mych latach dzieciństwa spotykałem; dziś już i ona na wieki zamilkła. Mówiła tradycya, iż dość trudne warunki istnienia były udziałem jego rodziców. Ojciec poety, Jakub Olizarowski, wołyński, żołnierz, uczestnik długich walk na Zachodzie, za dni legionów, później na najniższych szczeblach gospodarskich zatrudnień pracował, w czasach, gdy syn, przyszły poeta, odbywał

studya szkolne w Krzemieńcu. Zdaje się, iż Rzeszowskie było tylko chwilową siedzibą rodziców poety. Niedługo tam mieszkali. Ojciec rodziny, żołnierz, który obiegił w owej epoce walk napoleońskich znaczne obszary lądu, zapewne opuścił swe rodzinne, wołyńskie okolice jednocześnie z Cyprianem Godebskim, niegdyś palestrantem łuckim; wichura zbrojna, co się rozlegała echem boju pod Wagram, rzuciła go w owe Rzeszowskie, gdzie chwilowo osiadłszy, zakłada gniazdo rodzinne. Ubogiem było to gniazdo, w którym przyszedł poeta ujrzał światło dzienne, ubogiem i snąć chwilowem tylko schronieniem. Gdy chłopczyzna podrasta, rodzice dążą ku wschodowi, na Wołyń, nad Styr i Ikwę; warunki tam były lepsze wychowania w onych latach. Kto mógł wiozł na Wołyń swą dziatwę, by ją ochronić od nacisku szkół germanizujących, które na całym tamtoczesnym obszarze Galicyi znagłały małą nawet dziatwę do modlitwy niemieckiej, do śpiewania w kościele nie inaczej, jak po niemiecku. Nauka szła opornie w języku obcym, niezrozumiałym, a wlokąc się leniwie, owoców niewiele dawała.

Olizarowski nie zapoznał się z tą szkołą paczącą dziecinne umysły. Ojciec osiada nad Styrem, czy też Ikwą, pełni obowiązki uciążliwe przy gospodarstwach, byle zdobyć chociaż mały kęs chleba dla rodziny: oprócz syna były w rodzinie i córki; z nimi wszakże troska mniejsza; uboższe rodziny niewiele wówczas zaprzętały swą myśl nauką córek; uczono je zasad wiary, nieco pisać, czytać, rachować — na tem poprzestawano — ale z synem i wówczas inaczej rzecz się miała. Nauka syna powinna była być staranniejszą, zwłaszcza gdy zdolności wyższe wcześniej ujawniały się, tak jak to widziano u młodziutkiego Tomasza: oddano go więc do szkoły krzemienieckiej. Rodzice czynią wysiłki znaczne, by syn kształcił się w zakładzie, który nosił miano pierwszorzędnego, i w rzeczywistości zasługiwał na tę opinię.

Czasy szkolne jedyną stanowiły chwilę w życiu Olizarowskiego, że mógł zapoznać się nieco z bytem ludu. Ukrainy nie znał wcale, a i Wołyń na małej tylko przestrzeni był mu znany: na przestrzeni mierzącej nie więcej nad sześć mil — od Krzemieńca do Beresteczka i jego okolic, od wybrzeży Ikwy,

tylekroć i z taką miłością w jego poezyi wspominanej, do nadstyrzańskiego Peremyła¹ opiewanego przez młodego poetę pod nazwą Peredyła (w poemaciku p. t. „Krzyż na Peredyłu“). Ukraina więc, którą opiewał, była jedynie krainą wytworzoną w wyobraźni, własnymi oczyma nie oglądał jej nigdy.

Pod rodzicową, ubogą strzechą często się spotykał z siermiężną szatą ludową, tam zapoznał się z obyczajem wieśniaczym, z jego wierzeniami, a czego nie widział, to odgadł swą wcześniej rozwijającą się intuicją poetyczną. Nad Ikwą, Styrem nie mógł usłyszeć podań o walkach kozactwa z Tatarzyinem, tameczny lud bowiem nie posiada tego rodzaju legend, „nie szuka więc poetyczności ukraińskiej w dalekich od nas historycznych epokach — jak się wyraża Michał Grabowski — ale szuka jej u dzisiejszego ludu, w jego obyczajach i charakterach...“ Te obyczaje i charakterystyki ludowe, z nazwą iż są ukraińskie, po raz pierwszy dopiero ukazują się u Olizarowskiego, przedtem bowiem, wedle słów tegoż Michała Grabowskiego, „znaliśmy tylko poetyczność miejscowości ukraińskiej, lub poetyczność jej wspomnień historycznych...“

Poeta zaledwie do dwudziestego tylko roku życia, a więc za swych dni szkolnych, miał możność wpatrywania się w oblicze przyrody wiejskiej, studyowania obyczaju ludowego, zachowania w swej myśli zarówno fizyognomii moralnej owego ludu, jak obrazu okolic, na których tle ukazuje się ten pierwiastek ludowy.

Wspominając w późniejszych latach życia te chwile, prawie pacholące, gdy zapoznawał się z przyrodą swych ukochanych, rodzinnych okolic, poeta tak mówi o owych dniach szczęśliwych:

O dolino, o dąbrowo!
 Jak ja na was patrzeć lubię,
 Patrzeć na was sercem, głową,
 W zachwyceniach oczy gubię...

 Igraj, pole, szumem kłosów,
 Do mnie wiejska mów przyrodo
 Czarodziejskich morzem głosów...

¹ *Peremył*, niegdyś stolica książąt udzielných, waresko-ruskich: dziś wieś, leży o milę od Beresteczka, na lewym brzegu Styru.

I przyroda wiejska, ale ta tylko, jaką za dni dzieciństwa oglądał, wciąż, przez życie całe, aż do późnych lat starości, przemawiała do niego „morzem czarodziejskich głosów“. W późniejszych pracach zaprzestał mówić o typach ludowych; byt, obyczaj gminu ukraińskiego znikają z kart jego prac, ale przyroda z nad Ikwy, sosny, spotykane około Krzemieńca, poza „Królewskim mostem“, które od nazywa „palmami północy“, stawy wołyńskie, góry krzemienieckie, nieustannie tkwią mu w myśli, goszczą w pamięci, budzą żalność serdeczną, rzewne łkanie, które słyszymy w jego „dumkach“, idą z nim te wspomnienia za morze, widzi je zawsze i wszędzie okiem ducha, widzi wśród murów Londynu, na poddaszach Paryża, towarzyszą mu wśród długich lat wędrówek tułaczycy aż do mogiły.

Młodość, właściwiej rzec, pacholące jeszcze lata, upływające w uroczej kotlinie, w której rozsiadł się Krzemieniec, nie była dlań dobą zupełnego szczęścia, bez trosk i zawodów. Już jego stan ubogi, chudopacholska dola, dużo wytwarzały przykrości, niemało wlewały goryczy do młodzieńczej duszy. Zamożnej młodzieży liczne szeregi, a tej była większość w szkole krzemienieckiej, niejednokrotnie dawały mu boleśnie uczuć znaczną różnicę majątkową, dzielącą wielką przepaścią towarzyszy jednej ławy szkolnej. To wyróżnianie się młodzieży zamożniejszej wśród grona uczniów krzemienieckiej szkoły spotykało się tam zbyt często i stanowiło jedną z właściwości ujemnych zakładu. Na tle rzeczonych stosunków, uzdolnienie poetyczne Olizarowskiego, wczesnie rozwijające się, wywołało mnóstwo przykrości: koledzy sztydziłi wielekroć z jego prób poetycznych. Sam opowiada to nam, w jednym ze swych rzewnych o Krzemieńcu i kolegach wspomnień:

O was ja dumam, i o was rówieśni,

Coście z mej młodej uragali pieśni...

Z wrodzonego usposobienia lubujący się w samotności, wobec uragań młodzieniaszków zamknął się jeszcze bardziej w sobie, otoczył się ściślej szatą marzeń, w tej krainie wyłącznie przebywał, obcuując więcej z piękną przyrodą tameczną, ze swemi marzeniami, niż z rówieśnikami zabaw pacholących. Wśród do-

browolnego a długiego nieraz stronienia od szkolnych towarzyszy, „zagubił się duchem w uroku i pieśni poślubił“... Pieśń i marzenia na szczycie wzgórzy krzemienieckich wystarczały mu za wszystkie uciechy młodości.

Na owych szczytach zapominał, i o drobnych, lecz bolących docinkach współtowarzyszy, i o biedzie, która go zawsze witała u progów domowych, ilekroć podczas feryj do nich zaglądał; a jakich tam błogich wrażeń doznawał, spowiada się w znacznie późniejszych poetycznych zwierzeniach, kreślonych już słabnącą dłonią starca. Mówi tam, również miłośnie o swych profesorach, jak i o współlucznikach, szyderstwo im przebacza, a niemniej z zawsze jednakim zachwytem i o wzgórzach krzemienieckich nie zapomina, co były ongi pierwszym źródłem jego natchnień poetycznych.

Góry wy mile, na waszych ja szczytach
 Nadziemsko błogich doznawałem wrażeń,
 Gdym się oczyma zanurzał w błękitach,
 Ze złotą przędzą młodocianych marzeń,
 Gdym się zachwycił pysznym słońca kwiatem
 Wyrastającym zrana poza światem;
 Albo schodzącym do Ikwy wieczorem,
 Dobranoc niebu powiedzieć za borem.
 Jak ja lubilem z waszych szczytów oko
 Puszczać sokołem daleko, szeroko,
 Jak ja lubilem oczyma tęsknoty
 Na chmur i ptaków oglądać przeloty!
 Jak ja lubilem echa dolin budzić,
 Drażnić się pieśnią, rozmową się ludzić;
 Jak ja lubilem słuchać orla krzyków,
 Kukułki wróżeń i pieśni słowików...

Ogień młodzieńczych natchnień nie zagał wszakże pod popiołem ciągle doznawanych smutnych wrażeń; urągania, szyderstwa obfitą dłonią los mu sypał w oczy, nie zrażało się tem jednak pacholę urastające na poetę. Nie zrażało się tem bardziej, iż znalazło uznanie w jednym z profesorów: był nim Józef Korzeniowski, już wówczas znany w literaturze, a rozpoczynający zawód profesorski. Korzeniowski, pospolicie zimny, obojętny, niezbyt skory do otaczania się młodzieżą, wyróżniał Tomasza Olizarowskiego, przygarnął go do siebie, zachęcał do pracy. To za-

interesowanie się profesora uzdolnionym młodzieniaszkiem, wywarło wpływ pomyślny, nastąpiła szybka zmiana: nie dość, iż umilkli ci, co z szyderstwem witali pierwsze dźwięki młodocianej lutni, ale nawet, idąc za głosem profesora, zachwycać się zaczęli owemi poetycznemi próbami.

Oklask rówienników za najszczytniejszy wawrzyn uważał, za zachętę może wyższą od spływającej z katedry profesorskiej. I tego wawrzynu doczekał się, zanim opuścił mury liceum. Heleniusz w latach swych sędziwych, mówiąc o szkole krzemienieckiej, która i dla niego jest wspomnieniem lat dziecinnych, nazywa Olizarowskiego „poetą ówczesnej młodzieży“ licealnej. Hymny młodziutkiego poety śpiewano chórem w licealnej świątyni. Snać od zawiści szybko przechodzono do uwielbień: młodzież, chwiejna w opiniach, każdą do krańcowości posuwająca, podobną była w owym razie do swych ojców. Wdzięczną pamięć dla owych przyjaźnie zwracających się ku niemu z oklaskiem kolegów opiewał on również później, i to po upływie lat omal nie kilkudziesięciu: śnać chwila ta zbyt upamiętniła się w życiu młodziutkiego poety, śnać była bardzo stanowczą, gdyż odtąd, jak sam się zwierza, w wierszowanych fragmentach, i „pieśń poświęca“ i roi o sławie rozgłośnej, o wpływie swej poezyi na losy ludzkości:

Ja chcę być orłem, chcę być sokołem,
A nie skowronkiem, albo słowikiem,
Ja chcę mieć ludzkosć pieśni żywiołem...

Pierwszą próbą poetycznych uzdolnień Olizarowskiego, próbą znaną szerzej nieco, był hymn religijny, śpiewany w świątyni liceum krzemienieckiego przez współuczniów, zapewne za sprawą prof. J. Korzeniowskiego, który otaczał opieką młodziana, nie szczędząc mu wszakże nieraz i ostrej nagany, gdy widział, że poezya odrywa młodziutkiego marzyciela od studyów, od pracowitej uprawy umysłowej.

O tych pierwsiosnkach poetycznych mało wszakże wiemy, i mniej nas one obchodzą. Dopiero poemat, p. tyt. *Zawerucha* (takiem było imię bohatera poematu), zwrócił uwagę na Olizarowskiego, a życzliwa ocena M. Grabowskiego, wprowadziła go

do areopagu poetów o wyższem uzdolnieniu. Kłotały wtedy całe zastępy młodzieży do bram świątyni poezyi, dla zbyt niewielu odmykały się jej podwoje. Olizarowski dwudziestoletnim młodzianem tam wchodzi, wnosząc maluczki, ale cenny, dla swej oryginalności, dorobek poetyczny.

„Zawerucha“ napisany w dwudziestym pierwszym roku życia poety, w chwili stanowczego przełomu w warunkach jego istnienia i otoczenia. Od owego roku życia innemi tory potoczył się wóz przeznaczeń poety, inną więc nutą pieśń zabrzmiała. Poeta wziął czynny udział w walkach 1831 r., a te wyrzuciły go z kraju, skazały na tułaczkę całego życia.

II.

Pospolicie „Zaweruchę“ mieniają wstępem działalności na polu utworów Olizarowskiego, właściwiej jednak byłoby nazwać ów poemat oddzielnym cyklem jego prac. „Zawerucha“ sam w sobie tworzy najzupełniej odrębny okres działalności poety, który wówczas, i wówczas jedynie, a nigdy później, czerpał pełną dłoń z źródeł poezyi ludowej, ukraińskiej, i to go stawia w szeregu poetów z owych krańców dalekich okolic dawnej Rzeczypospolitej, obok Bohdana Zaleskiego i Seweryna Goszczyńskiego. To stanowisko poety grupy ukraińskiej Olizarowski wprawdzie opuszcza, wnet po napisaniu „Zaweruchy“, niemniej jednak zaliczają go wciąż do rzeczonoj grupy; nie innym mieni go ówczesna krytyka, nie innym widzą go późniejsi badacze dziejów literatury. „Zaweruchę“ krytyczna ocena Grabowskiego stawia na podniosłym piedestału, staje się on widocznym szerszym obszarem, staje się wyrazem niejako działalności pisarskiej Olizarowskiego, podobnie jak „Zamek Kaniowski“ reprezentuje główną działalność Goszczyńskiego. Rzeczywistość wszakże inaczej się zarysowuje, jeśli wpatrzymy się w życie i prace Olizarowskiego.

Po napisaniu „Zaweruchy“, prawie półwiekowe widzimy życie mało znanego, prędko zapomnianego poety i prawie półwiekową pracę. Owoce tej pracy Nielicznie rozeszły się po kraju, powstają one kędyś daleko, w dusznych izbach suterren Londynu,

wśród dni niezrównanej biedy w Paryżu, gdy poeta „na obcej ziemi, w przytułku, w szpitalu, z koroną cierpień łączy pieśni żalu... Są wśród nich cenne klejnoty, ale kraj ich nie zna, nie czyta, krytyka nie rozszerza się o nich: a więc około imienia Olizarowskiego cisza, jeśli mówią o jego pracach, to jedynie o „Zawerusze”: inne niewiadomość okrywa milczeniem.

„Zawerucha“ napisany we Lwowie, gdy granica oddzieliła młodzieńckiego poetę na zawsze od węglów rodzinnej chaty. Pomysł wszakże i samą formę, i wszystko, co dodatnią stronę poematu stanowi, zaczerpnął z czasów krzemienieckiego w szkołach pobytu.

Opuścił ową szkołę, Krzemieniec, rodzicową chatę, Wołyn, „przepasany Ikwy szarfą“, niespodzianie, nagle (w r. 1831), a ten krok budził w jego sercu zawsze najboleśniejse wspomnienia. Gdy opuszczał ów „nadstyrzański kraj domowy“, walczył snąc z sobą, azali godzi się mu opuszczać starzejącego się ojca, zwłaszcza, iż „na rozstaniu z matką biedną, chory ojciec, tuż przy grobie“, wstrzymał go myślą o matce. Wstrzymanie to długiem ani stanowczem nie było: młodziana w dwudziestym roku życia unosi burza, której on „dał się odwieść od zdrowych, miłych i świętych progów domowych“...

Pierwszą siedzibą poety wśród nowych okoliczności był Lwów. Tam spotkał się z Sewerynem Goszczyńskim, i nowy stosunek nie bez pewnego wpływu zapewne pozostał, jeśli nie na całe opracowanie „Zaweruchy“, to w każdym razie na obiór tematu. Olizarowski wzrastał, kształcił się zdala od stepów, zdala od tradycyi kozaczyzny; myśl jego w kierunku apoteozowania żywiołów nieznanych biedz zaczęła jedynie na pewną chwilę nawet niezbyt długą, właśnie wówczas, gdy spotkał się z autorem „Zamku Kaniowskiego“. Później już do tych tematów nie wraca. Ale autor „Zamku Kaniowskiego“ nie wyłączny tu wpływ wywiera: bodźcem się stał, zachętą może, utrwaleniem w myśli raz powziętej, lecz myśl gdzieindziej, wcześniej, kiełkować zaczęła. Zamiłowanie sielskiej przyrody, stanowisko twardego zawodu ojcowskiego zbliżały go do ludu, do pojęć ludowych, do

studiowania obyczaju wieśniaczej rzeszy, z którą zestosunkowują go bardzo wczesnie ciężkie okoliczności życia domowego.

Potrzeba widzieć, znać piękny ten zakątek ziemi, co leży między Krzemieńcem a nadstyrzańską siedzibą jego rodzica, gdzie na małej przestrzeni spotyka się tyle piękna i różności zarazem, aby ocenić całą siłę czaru przyrody, jaki roztaczał się dokoła młodziana i oddziaływał na jego wyobraźnię. Wrażenia skupiał w sobie, innym nie łącno się udzielał, bo takim usposobienie jego było, wciąż w sobie zamknięte, lecz roztaczał je za to dokoła tem wyraziściej w swych poetycznych utworach. Obok pięknej przyrody, w której od dzieciństwa był rozkochany, obok obyczaju ludowego, wciskającego się do jego domowych progów, znajdował i w Krzemieńcu niejedno, co skierowywało jego myśl do wytworzenia z bohatera pierwszego, większego swego poematu, nie wieśniaka z tych niw, przez które Styr przepływał, które Ikwa swą szarfą przepasywała, gdzie krew nie wre tak burzliwie — a horyzonty, acz pełne uroku, niezbyt wszakże obszerne — lecz „Kozaka“, który był takim „z siebie i z ojców“, który był „niepoślednim wśród młojców“,

Znaczny z siły i z urody,
Do wszystkiego chwatał...

Skądże ów „chwatał“ zawitał na karty pierwszego, większego utworu młodziana, dlaczego on, ani inny, bardziej swojski, lepiej mu znany typ zaludnił dziedzinę jego wyobraźni?... Pytanie to każdemu nasunie się, kto myślą stanie w owych czasach, gdy rzecz była tworzona, komu znanemi usposobienie, charakter okolicy i jej zaludnienia. Ów „chwatał“ i „stepowy świat“, który był światem bohatera poematu, znanemi były jedynie wyobraźni poety, powstały one z wrażeń otrzymanych przypadkowo w Krzemieńcu.

Za szkolnych Olizarowskiego czasów bawił niekiedy w Krzemieńcu Wacław Rzewuski, postać znana z podróży arabskich, z aspiracyj podnioslejszych, lecz niemniej i z ekscentryczności licznych. Zjeżdżał on do Krzemieńca nie tylko ze swych dóbr, Kuźmina, który był wcale „niedaleką Ukrainą“, lecz i z dalszej rezydencji, z Sawrania, rzuconego w głębi okolic bardziej roz-

wartych, na pograniczu tak ongi pustych „Pól Dzikich“; wszystkę tam wiało już stepową przyrodą. Z owych sawrańskich stepów przyjeżdżała liczna kawalkata jego dworu, złożonego z kozaków, na pięknych a dzielnych koniach, jakich cichy wawóz krzemieniecki nigdy przedtem nie widział. Postacie tych dzielnych dworzan, o obliczu ogorzałym na przestworzach Południa, bo nie jeden z nich ze swym panem zwiedzał pustynie Arabii, postać samego „złotobrodego Emira“, przypominającego zarówno dalszy Orient, jak i stepy „Pobereża“ bohowego, postać pełna fantazyi i rycerskości zarazem, na którego cześć dworscy kozacy układali niejedną dumkę o charakterze ziem stepowych — budziły ciekawość, niekiedy nawet zachwyt rzeczywisty. Na tle eleganckiego towarzystwa krzemienieckiego, gdzie wśród szczupłych ram małej miłośnicy urządzano salony rywalizujące z ówczesną Warszawą, a język i polor Paryża kwitnęły niby w stolicy, ów tłum konny dworzan Emira wyraziście uwydatniał się, i im bardziej niezwykłością uderzał, tem głębiej sięgał w pamięć i wyobraźnię młodzieży, szczególnie tej, co wyróżniała się gorętszem sercem i lotniejszym umysłem. Jeśli dla wielu ponętnym wydawał się niezwykajny obraz jeźdźców na dzielnych koniach, o postawie junackiej, na których czele stał Emir „złotobrody“, niearabskiego pochodzenia, wjeżdżający konno na stromą zamkową górę, w Krzemieńcu, dokąd piesi zaledwo dalszemi ścieżkami dostać się mogli — to dla Olizarowskiego każdy z owych dworskich kozaków pana na Sawranu stał się prototypem „Zaweruchy“, głównego bohatera poematu. Samo nawet nazwisko bohatera za pożyczone z otoczenia złotobrodego Emira.

Wstępny obraz poematu przenosi czytelnika na step, czy też raczej na plac wioski, rzuconej wśród pól rozwartych, gdzie harcuje na koniu „Zawerucha“, wobec swej bohdanki „Ruciany“. W głębi obrazu widzimy burzę, niosącą całe stada chmur czarnych. Wiejska dziewczoja, wierząca w potęgę narzeczonego, wymaga, by on z głębi pól przyniósł jej chociaż jedną płachtę z chmur, co płyną nad stepem. Posłuszny „Zawerucha“ poddaje się próbie...

Hulaj dusza! Kozak krzyknął,
 Koń z kopyta w świat popędził,
 Nóg nie szczędził, tehu nie szczędził,
 Coraz bardziej krył się, niknął:
 Tonął w morzu traw...

Próba smutnie się skończyła dla jeźdźcy, który z wichrem szedł w zawody: koń, najwierniejszy przyjaciel, najcenniejszy skarb syna stepu, pada martwy; nie może w chyżości sprostać huraganom i chmurom...

Tu tylko księżyc, wypływający z poza krańców horyzontu, gdy burza się uciszyła, jest świadkiem boleści jeźdźcy, który acz „znaczny z siły i z urody“, stoi w niemej rozpacz, bezradny, wśród ciszy stepowego bezludzia. Obraz ten po mistrzowsku skreślony, odtwarza jedną z legend ludowych, a owo wystawianie na próby miłego sercu wiejskiej piękności, żywcem wzięte z obyczaju ludu, ale już z głębi stepów, wcale zaś nie tego, który nad Ikwą otaczał domowe progi młodziutkiego poety. Wiadomość o owych obyczajach, wierzeniach, legendach ludowych, brał autor od innych; rzeczy słyszane, a wcale nie widziane, szkicował z natchnienia, ale tak wiernie, iż zdaje się, że intuicya poetyczna nie odegrała tu żadnej roli, lecz przyroda była jego wzorem.

Podobnie jak próba, na którą wystawia Ruciana swego miłego, wypływa z obyczaju ludowego, tak niemniej i wiele szczegółów innych obrazów, a również i wszystkie prawie piosenki zaczerpnął autor z ust sawrańskich, konnych dworzan, towarzyszących swemu panu do Krzemieńca. Nader charakterystyczną jest rzeczą, że owe piosenki spotykane w poemacie Olizarowskiego, odziane w szatę rusińskiego języka, widzimy w niektórych utworach Kotlarewskiego, a mianowicie w jego komedjach. Wywołało to różne domysły: mniemano, że dawny uczeń szkoły krzemienieckiej — Padura — który miał stosunki bliskie z Kotlarewskim (ur. 1769 † 1839), i odwiedzał go nawet w Poławie, mógł tam zanieść, na Zadnieprze, jak przypuszczano, ułamki poematu o „Zawerusze“, które małoruski pisarz wcielił do swych komedijek. Przypuszczenie to mylne. W rzeczywistości działo się nieco inaczej; obaj pisarze (Olizarowski i Kotlarew-

ski) czerpali z jednych źródeł — z poezji ludowej, wzajemnie siebie nie naśladowali. Kotlarewski pierwszy wystąpił ze śpiewkami czumackimi, które spotykają się również w „Zawerusze“, bo też jego fraszki sceniczne (*Natalka, Czarownik*) znacznie wcześniej świat ujrzały od utworów Olizarowskiego. Ten ostatni, potrzebując barw jaskrawych do swego poetycznego obrazu, sięgnął tam, gdzie czerpał wspomniany przed chwilą autor, twórca tak głośnej niegdyś, trawestowanej Eneidy...

Wprowadzenie owych jaskrawości uwydatnia miejscowy koloryt tej okolicy, którą poeta obrał za widownię wypadków. Wiele jest rysów mówiących o grubym, dzikim obyczaju i okolicy opiewanej, i ludziach, którzy ją zamieszkują. Olizarowski nie schlebia, nie zapożycza barw świetniejszych, nie idealizuje ludu: wcieleniem instynktów dzikich, które często wśród tłumów urastały w ziemiach leżących na pograniczach tatarskich, jest „Czumak“, postać demoniczna. Owa istota dzika a wstrętna, z niezmierną prawdą naszkicowana, począwszy od pierwszego poznania się z nim Zaweruchy — gdy odbywali milczące posiedzenie w karczmie, co poeta tak krótkimi słowy określa:

Milczkiem, milczkiem we dwóch siedzą,
Jak dwa wilki, gdy psa zjedzą...

aż do owych ostatnich, krwawych scen, które zamykają poemat.

Los wynagradza „Zaweruchę“ po stracie konia: nie przynosi on wprawdzie kęsa chmury w darze dla swej lubej, pomimo to jednak otrzymuje jej rękę, a zarazem w „Czumaku“, przybłądzie o brutalnych instynktach, zdobywa rzekomego przyjaciela... Spotkali się przypadkiem, na gościńcu; obaj byli posepni: smutek ich zbliżył.

Ten przyjaciel, wcielenie najdzikszych żądz i zawiści społecznych, niby widmo krwawe, ukazuje się wciąż na tle nawet najpogodniejszych chwil „Zaweruchy.“ Junak, który cudów na koniu dokazywał, i z wichrami stepowymi szedł o lepsze, nie podejrzewa zdrady w Czumaku, chociaż ten w dzikiej piosence wielokrotnie zdziera maskę ze swej duszy, której bólów nie umie ukoić innemi lekami, jak tylko krwią i łzami swych bliźnich, bodaj

najbliższych. Samobójstwo, wedle niego, to jedyny szlak wyprowadzający z trosk życia:

Albo w wodzie się utopię,
Albo w ogniu się roztopię,
Albo żywcem polknę żmiję,
Lub o kamień się rozbiję!
Może bieda się odczepi,
Może w ziemi będzie lepiej...

Zanim jednak zerwał własną nić z życiem łączącą, przecina wątek istnienia innych, tych, którym szczęście się uśmiecha, nad których dachem anioł pokoju przelata: Czumak zdradziecko zabija Zaweruchę, zwabiwszy go uprzednio w step, do kurhanu, gdzie mieli chować kości konia, a wreszcie tymże skrytobójczym nożem zadaje raz śmiertelny Rucianie i siebie zabija... Konając, wobec rodziców Ruciany, zbrodnię wyznaje...

Krew i pianę z ust zgartuje,
Po polowie trupiem słowem
Do obecnych się odzywa:
„Na kurhanie na stepowym,
Znajomy wasz we krwi leży.
Niech kto pójdzie i pochowa...
Ten nóż także tam należy“...

I skończył dalsze słowa...

Taką jest osnowa poematu, który nie rozbiegł się ani w latach swych narodzin, ani później, tak szeroko po kraju, jak „Marya“ lub „Zamek Kaniowski“, który nie zdobył autorowi nawet spóźnionych uznania hołdów... Los po macoszemu z Olizarowskim obchodził się przez całe życie...

W „Zawerusze“ mnóstwo jest piękności, dla dzisiejszych pokoleń nieznanych, bo poemat wydrukowany bardzo dawno, więcej niż przed pół wiekiem, rzadko, raczej nigdy do rąk nie wpada, nie będzie więc może zbyt rzeczą, iż zwrócimy uwagę na niektóre niezaprzeczone jego piękności.

W obrazach przyrody mistrzem prawdziwym jest Olizarowski: nie zaniedbuje w takich razach używać barw jaskrawych dla odtwarzania wierzeń ludowych i sposobów wyrażania się wieśniaków tamecznych okolic, którzy przechowując w głębi

swej myśli odbłaski dawnego pogańskiego kultu, pospolicie mówią, iż światła niebieskie kąpią się w błękicie.

Dziwnie uroczu, na zasadzie tych wierzeń, szkicuje poeta kąpiel księżycą:

Potem miesiąc wstał rumiany,
Jak w kalinie wykąpany;
Wylazł z stepu w lazurową
Kąpiel niebios, tonał głową,
Mył się blaskiem zórz.

Bielusieńki, smutny, cichy,
Swą łabędzią pierś osuszał,
Z złotym chórem gwiazd się ruszał,
I w pachnące ziół kielichy
Strząsał krople ros...

.....

W innem znów miejscu mamy obraz nocy, która swą szatą okryć miała wielką zbrodnię. I tam autor daje nam zarys kąpieli księżycą; lecz tym razem owa nocy pochodnia chowa się szybko za chmury, nie chce być świadkiem całego szeregu zbrodni. Poeta nazywa księżycę „puklerzem złotym“:

Puklerz złoty krwią oblany,
Miesiąc w stepie wykąpany,
Zawieszony na niebiosach,
Rósł po złotych w górę kłosach.

I niósł w górę krwawe farby,
I niósł w górę wielkie skarby
Z pozaświecia: — i w purpurę
Ubrał chmurę — i wszedł w chmurę...

W ową to noc cichą, gdy „zielone stepu łożę wonnem światłem się nakrywa“, gdy upiory z głębi ziemi wychodzą, gdy nawet zwierzę domowe zbrodnię przeczuwa —

Na step biegną psy gromadnie,
Warczą, skomlą, ujadają,
W ziemię wyją — uciekają...

wówczas martwe przedmioty bytu domowego chaty Znachora — ojea Ruciany — ożywają, czują, myślą, smucą się przecuciem blizkich a wielkich klęsk.

Wprowadzenie do akcji ponurego dramatu przedmiotów martwych, jak cząstki chaty — dach, ściany, krokwie, strzecha —

ucieleśnienie niejako sprzętów domowych, do których człowiek tak często się przyzwyczaja, które są jego nieraz powiernikami cierpień, świadkami chwil radości i niedoli — pomysł to wysoce oryginalny, podnoszący grozę całej sytuacji. Przeczucia wrą w każdym z wymienionych martwych przedmiotów i sprzętów, i gdy chwila klęski bliska — rozlega się wśród cichych węglów chaty rodziców Ruciany stłumiony gwar przepowiedni o nieuchronnem zniknięciu szczęścia i spokoju mieszkańców chaty o ruinie siedziby wieśniaczej, dotąd spokojnej, dostatniej.

Każdy ze sprzętów w jasnowidzeniu prawdziwie wieszczem przeczuwa, iż Znachorowie nie przeżyją zgonu córki, iż ich obejście wkrótce w proch się rozsypie... stanie się pustkowiem, własnością niczyją, własnością Bożą...

Po świetlicy szła rozmowa —
Ławka rzekła tak, dębowa:
— „Będziemyż to teraz gadać,
Bo nie będzie komu siadać...”

SZAFKA.

A cóż zrobi Znachorowa?

ŁÓŻKO.

Przez dziś będzie jęczeć u mnie,
Jutro milczeć i spać w trumnie.

GŁOS Z KOMORY.

Ale ja to, dzisiaj białe,
Jutro we krwi będę całe.

SKRZYNIA.

We krwi! we krwi! a ja może
Już się więcej nie otworzę...

GŁOS Z KOMORY.

Och, nie będzie ślać mnie komu,
Bo nie będzie tu i domu.

CHÓR.

Gdzie się biedne my podzielim?...
(Tu milczenie)
Ach spróchnieję!...

STÓŁ.

Ja dotychczas domu serce,
 Będę próchniał w poniewierce.
 Już obrusem nie zaściele
 Mego łona dłoń Ruciana;
 Nie zasiądą przyjaciele
 Do biesiady — runie ściana.

ŚCIANA.

Ciało moje, moja skóra
 Z białej gliny, tak odstanie
 Od mych boków jako kora;
 Dyle pójda na posłanie,
 Dla robactwa, dla upiöra...

Przecrucia, jak wiemy, ziściły się... Czumak, rzekomy przyjaciel domu, zabija Zaweruchę i jego żonę, dodając do zbrodni objawy zezwierzęcenia... Młody junak i młodziutka Ruciana padli pod ciosem zdziczenia, szału, zawiści społecznej, a obok ich mogił usypano mogiły starym Znachorom: żal niezmierny stargał ich istnienie...

I dwa inne krzyże rosna,
 Zielenieją zimą, wiosną...

Poeta w lat wiele później, w epoce swej siwizny, dopisał epilog, wyszukany w papierach pośmiertnych przez p. S. Duchnińską, gdzie, snując myśl uprzednią, do grona upiórów powołuje cień Czumaka, który codzien o północy wychodzi z ziemi, wydobywa swe serce i ciska je w mogiłę łzami przesiąkniętą: do lez ziemi dodaje łzy własne — i napowrót wkłada owo serce pokutujące w swą pierś, „wewnątrz straszno męczon duchem...”

Przyszła kara, kiedyś może
 Miłosierdzie przyjdzie Boże...

(Dok. nast.).

Maryan Dubiecki.

LUŻNE KARTKI Z PRZESZŁOŚCI TELSZ.

Telsze za dawnych czasów.

Kiedy Telsze powstały i kto je zbudował — nie wiadomo. Są wprawdzie podania o jakimś mitycznym rycerzu Dżugasie ¹, który miał Telsze założyć, to znowu, że jakiś żmudzki bohater Tel miał tego dokonać; ale to tylko podania, niewytrzymujące historycznej krytyki. W dawnych kronikach krzyżackich jest wzmianka pod rokiem 1317, że natenczas marszałek Zakonu z wojskiem doszedł do doliny Talsen, więc może Telsz późniejszych, jeżeli to nie miasteczko w teraźniejszej Kurlandyi, „Talszen“ zwane.

W drugiej dopiero połowie XV. wieku wychodzą Telsze z pomroki dziejowej, a od początku następnego stulecia ciągle o nich mamy wiadomości, jako o mieście, w księstwie Żmudzkim się znajdującem. Jak wiadomo, Żmudź do roku 1795 dzieliła się na 28 włości, które z czasem przybrały nazwę powiatów, i jednym z takich miast powiatowych były właśnie Telsze ².

W każdej takiej włości żmudzkiej rządził i sądził t. zw. ciwun, wybierany najprzód przez mieszkańców, a później mianowany od królów polskich, jako wielkich książąt litewskich.

¹ Cfr. Góra Dżuga (*dżuga kałnas*) w dziełku ks. L. A. Jucewicza, Warszawa 1840; a o Telu w „Starożytnej Polsce“, jak też o dolinie Talsen.

² Dawne księstwo Żmudzkie teraz stanowią powiaty gubernii Kowieńskiej: Rosieński, Szawelski, Telszewski i znaczna część Poniewieckiego.

Apelacya od sądu ciwuna szła do starosty żmudzkiego, najwyższego po biskupie dygnitarza w księstwie. Takim ciwunem telszewskim i użwęckim był około 1531 roku Stanisław Orwid-Gedygöld, her. Giejsz ¹, Telsze zaś same należały do dóbr wielkksiążęcych ², któremi zarządzali z ramienia królów polskich dzierżawcy lub starostowie ³; ale na początku XVI. w., w 1521 roku, znajdujemy już namiestnika telszewskiego, Piotra Szegajlę ⁴.

W ciągu XVI. stulecia znamy tylko pięciu dzierżawców telszewskich. Rozpoczyna ich szereg w roku 1537 Marcin Wiekowicz ⁵; po nim miał nastąpić Jan książę Radziwiłł 1541 r. ⁶. Można się domyślać, że to był Jan III. Radziwiłł, syn najstarszy Mikołaja III., z Sakowiczówny urodzony, ostatecznie starosta żmudzki, który umarł w 1542 r.

Po śmierci Radziwiłła, w 1543 r. dzierżawcą telszewskim był Jerzy Billewicz, jednocześnie starosta żmudzki, który umarł w 1544 r. ⁷. Potem urząd ten piastował Hieronim Chodkiewicz, najstarszy syn Aleksandra, wojewody nowogrodzkiego, hetman w. lit., kasztelan wileński i także starosta żmudzki, zmarły w jesieni 1561 r. ⁸. Sławny syn jego († 1579), głośny w dziejach naszych wielkorządca Inflant, Jan Hieronim, był też po ojcu dzierżawcą telszewskim ⁹. Czy i późniejsi starostowie żmudzczy byli także dzierżawcami telszewskimi — nie umiemy z pewnością powiedzieć, chociaż nieraz musiało tak bywać.

¹ Wspomina o nim Niesiecki, idąc za Wielądkiem.

² Mówi o tem Jaroszewicz, „Obraz Litwy“, II., 227.

³ Takich dzierżawców nazywali na Żmudzi niekiedy ciwunami także.

⁴ Wiadomość z prywatnego archiwum, znajdującego się w ręku piszącego. Dunin Borkowski, w „Spisie nazwisk“, na str. 445 ma: „Szegajło, p. Lawdański, na Żmudzi 1697 (Con.)“.

⁵ Wiadomość zaczerpnięta z prywatnego archiwum. Niesiecki zna ten ród, herbu Pobóg z odmianą, wymienia Marcina, nie mówiąc, że był dzierżawcą telszewskim.

⁶ Jest o tem niejasna wzmianka u Lachowicza, „Listy Zyg. Aug. do Radziwiłła“, p. 127.

⁷ Cfr. „Senatorowie i dygnitarze W. Ks. Lit.“, przez Wolffa, p. 92.

⁸ Cfr. „Monografie hr. Kossakowskiego“, I., p. 46—47.

⁹ Cfr. „Monografie hr. Kossakowskiego“, I., p. 48.

W XVII. wieku możemy już tylko czterech starostów telszewskich wyliczyć: Andrzeja Wołłowicza, sędziego ziemskiego, ciwuna dyrwiańskiego, oraz starostę plotelskiego¹, około r. 1607; Pawła Sapiehę, podkanclerza W. Ks. Lit., 1618, o którym będzie mowa niżej; Ernesta Doenhoffa, kasztelana parnawskiego (wspólnie ze swoją małżonką, Katarzyną, baronówną de Donai)²; i Antoniego Andrzeja Górskiego, herbu Nałęcz, który także był chorążym żmudzkiem, a starostą telszewskim około r. 1685³.

Z XVIII. wieku cytują dostępne nam źródła następujących starostów telszewskich: Jerzego Siemaszkę (1763)⁴, także ciwuna użwęckiego i pułkownika; Józefa Zabiellę, podkomorzego nadwornego, potem ostatniego, smutnej pamięci, hetmana pol. lit., który na sejmie 1775 r. otrzymał starostwo telszewskie na 50 lat⁵; i syna jego Henryka, koniuszego i szambelana, któremu cesarz Paweł nadał w 1797 starostwo telszewskie i wilkiskie⁶.

Z godnych uwagi wypadków XVIII. wieku mamy jeszcze do zanotowania, iż na początku tego wieku (1710) ciwunem telszewskim był Aleksander Korf⁷, a w r. 1717 uchwalono ze starostwa telszewskiego dawać po 900 zł. pol. rocznie na wojsko⁸, w roku zaś 1775 zjechała do Telsz komisya dla rozgraniczenia starostwa telszewskiego od dóbr sąsiednich posiadaczy⁹, a w roku następnym postanowiono dyspartymet powiatów na sądowe repartycye księstwa Żmudzkiego¹⁰.

Jak wiadomo, Rosienie, stolica Żmudzi, były z początku jedynem dla sądów w całej Żmudzi miejscem, tak ziemskich, jakoteż grodzkich; ale od drugiej połowy XVIII. wieku, dla wygody mieszkańców i prędszego wymiaru sprawiedliwości, po-

¹ Cfr. *Vol. Leg.*, III, p. 23.

² Cfr. „Sapiehowie“, I, p. 242.

³ Cfr. Prywatne archiwum.

⁴ Cfr. *Vol. Leg.*, VII, p. 66, Nr. 134.

⁵ Cfr. *Vol. Leg.*, VIII, p. 418, Nr. 681.

⁶ Cfr. Żychliński, „Księga Złota“, x., p. 301.

⁷ Cfr. *Vol. Leg.*, VI, p. 100, Nr. 201.

⁸ Cfr. *Vol. Leg.*, VI, p. 185, Nr. 358.

⁹ Cfr. *Vol. Leg.*, VIII, p. 463, Nr. 746.

¹⁰ Cfr. *Vol. Leg.*, VIII, p. 572, Nr. 938.

wstały dwie t. zw. repartycey sądowe: w Rosieniach i Telszach, co trwało do r. 1774, w którym repartycyja telszewska przeniesioną została do Szawel, a w konstytucyach sejmu zwyczajnego (1776) czytamy, że miasto Telsze przyłączono do repartyceyi rosieńskiej. Tak było lat 14, aż w r. 1790 utworzono trzy repartycey: w Rosieniach, Szawlach i znowu w Telszach¹, których podział trwał aż do rozbioru kraju.

Gdy zaś w ostatnich chwilach egzystencyi Rzeczypospolitej (1794) zaprowadzano różne reformy i zmiany administracyjne, to do t. zw. Komisyi Porządku weszli także ziemianie telszewscy. I tak: sędzia ziemski telszewski, Jerzy Junowicz, był tam członkiem I. wydziału; w wydziale Żywności zasiadał Józef Grycowicz, ziemianin telszewski; w wydziale Bezpieczeństwa — Maciej Opolski; w wydziale Instrukcyi — ks. Jakub Degutowicz, a pisarzem był Ignacy Jasewicz².

Rok 1812 chwilowo powołał do życia różne nowe instytucye na całej Litwie, które i w Telszewskim miały swoich przedstawicieli. Tak Pilsudzki był prefektem, Włodzimierz Gadon, bardzo znana i wybitna osobistość, jego zastępcą i razem komisarzem nowego rządu; Piotr Dymsha — podprefektem³.

Stanisław August 1791 r. nadał Telszom herb, wyobrażający św. Stanisława wskrzeszającego Piotrowina z grobu. W centralnem archiwum w Wilnie jest inwentarz telszewskiego starostwa z r. 1665 i 1738, ale dostęp do niego dla prostych śmiertelników jest prawie niemożliwy⁴.

Telsze pod względem religijnym i kościelnym.

Już wiek cały, i nawet więcej, Telsze istniały, a kościoła w nich nie było, i dopiero na początku XVII. stulecia pomyślano i zbudowano pierwszy mały kościółek, przy którym była

¹ Cfr. „Polska starożytna“; Gadon, „Opisanie telszewskiego powiatu“. Wilno 1846.

² Prywatne archiwum.

³ Ze współczesnych notat.

⁴ Cfr. *Katałóg drewnim Knigam gubernii Wiln., Grodn., Mińsk. i Kowieńsk.* Wilno 1872.

parafia; lecz kiedy to nastąpiło, zdania podzielone: podług „Polski starożytnej“ — w 1612 r., za tem jest i Jaroszewicz, Gadon podaje rok 1620 (jeżeli to nie omyłka druku), a ks. kanonik Stanisław Czerski utrzymuje, że się to stało w roku 1602¹ za Zygmunta III., który miał funduszem ziemskim i placem na zbudowanie szkoły parafialnej ten kościół opatrzyć. Nam się zdaje, że data ks. Czerskiego najbardziej do prawdy zbliżona. Kościół ten, jak i cała Żmudź, należał do biskupstwa żmudzkiego, które teraz obejmuje całą gubernię kowieńską i Kurlandję, i w urzędowym języku nosi nazwę „Telszewskiej dyecezyi“; ale za dawniejszych czasów żmudzka dyecezya, w r. 1417 od Witolda fundowana, miała nieco inne granice, gdyż do niej należały nietylko żmudzkie powiaty teraźniejszej gubernii kowieńskiej, ale i miejscowości za Niemnem, od ujścia Niewiaży z tamtej strony Niemna, do rzeki Szeszupy; teraz ta część zaniemeńska należy już do Królestwa Polskiego i jest w obrębie innego biskupstwa. Kościół, zbudowany przez Zygmunta III., z czasem uposażono jak następuje: 36 włók i 25 morgów ziemi, kapitału 2100 rs., poddanych dusz męskich 59². Kościół ten stał niedługo, bo w 1700 r. zbudowano inny, niewielki, z drzewa; były przy nim dwie altarye: jedna, fundowana przez ks. Tadeusza Kotowskiego i Antoniego Samowicza, kollacyi Samowiczów, z kapitałem funduszym rubli sr. 1954; a druga, fundowana przez Agatę Gintylową i Marcyannę Girdwojniańkę, kollacyi biskupiej, z kapitałem 2440 rs. Obie te altarye powstały w roku 1808. Około tego samego czasu ówczesny biskup żmudzki, Józef książę Giedrojc, kazał ks. Januszkiewiczowi, który był wtedy plebanem w Telszach, zrezygnować z tego probostwa, a dochody jego przyłączyć do funduszu seminaryum żmudzkiego, które za to obowiązane było proboszczowi w Telszach płacić pensję pieniężną. Takie rozporządzenie biskupa było poniekąd przyczyną upadku tego kościoła, chylącego się już wówczas do ruiny; seminaryum bowiem nie dawało funduszy na jego odrestaurowanie. Naresz-

¹ „Opis Żmudzkiej Dyecezyi“. Wilno, nakładem autora, 1830, in 8^o min., str. 91, z trzema mapkami.

² Cfr. „Opis Żmudzkiej Dyecezyi“, p. 38.

cie rząd 1814 roku walący się kościół zapieczętował i zabronił tam odprawiać nabożeństwo; ksiądz miejscowy zbudował wprawdzie szepę, w której odbywało się nabożeństwo parafialne jeszcze przez czas jakiś, ale i ten budynek runął i wtedy parafię objęli OO. Bernardyni¹. Ludności parafialnej w 1830 roku było około 6000 dusz. Lecz zanim zaczniemy mówić o Bernardynach w Telszach, niech nam wolno będzie słów kilka o tym zakonie na Litwie powiedzieć.

Jak wiadomo, ci duchowni synowie św. Franciszka, którzy po łacinie mianują się *Fratres minores de Observantia*, w Polsce nazywają się Bernardynami, od kościoła poświęconego na cześć św. Bernardyna Seneńskiego, przy którym najprzód zamieszkali w Krakowie. Z Polski przeszedł ten zakon na Litwę, z początku do Kowna, potem do Wilna, stamtąd do innych litewskich miejscowości. Liczba klasztorów, tak w Polsce, jak na Litwie, wzrastała bardzo szybko, ale z początku wszystkie te klasztory tworzyły jedną prowincję razem z Czechami i Austryą. Dopiero w roku 1517 na kapitule, w Krakowie odprawionej, O. Leon z Łańcuta pierwszym polskim obrany został prowincyałem. W dziewięć lat potem litewscy Bernardyni² na kapitule w Kobylinie poczęli się domagać osobnej dla siebie prowincyi i prowincyała krajowca, „któryby z nimi po litewsku rozmawiał“. Aby uczynić swoim życzeniom zadość, przeciągnęli na swoją stronę wojewodę wileńskiego, Wojciecha Gastolda, który wyjednał im opiekę u Zygmunta I. Tak poważna opieka sprawiła, iż Klemens VII., papież, przychylił się do prośby Bernardynów litewskich, i O. Jan Komorowski, prowincyał polski, udał się do Wilna, aby ich nakłonić do zgody i jedności. Lecz gdy to się nie udało, wtedy, na mocy danego sobie prawa, przystąpił do wyboru osobnego dla litewskich klasztorów prowincyała. Ale cóż się pokazało? Oto, że nie mieli ani jednego ze swoich zdolnego zakonnika, któryby mógł ten urząd piastować. Dlatego na ich

¹ Cfr. *Żemajtin Wiskupiste*, przez ks. Wołonczewskiego. Wilno 1848, u Zawadzkiego, in 8^o, 337, 274, 1., p. 261—263.

² Cfr. „Pamiętnik Zakonu Bernardynów“, przez O. Barączę, p. 18 et seqq.

prośby mianował O. Komorowski prowincyałem litewskim O. Gotarda, rodem Niemca (ten zapewne z nimi po litewsku nie mówił), i tak powstała w maju 1530 roku prowincya litewska. Lecz już w 40 lat potem litewski prowincyał O. Antoni z Tykocina zauważył, że bez Polaków litewska prowincya nie da sobie rady, i upadek zupełny musi nastąpić — jeśli polska inteligencya i liczne a ludne polskie klasztory nie wzmocnią i nie odżywią litewskich konwentów. W tymże celu począł robić starania w Rzymie o połączenie się znowu z polską prowincyą, co też, po niektórych trudnościach, dokonane zostało w 1576 r. w Wilnie.

Z czasem, przy szczerzej życzliwości i hojności polskich i litewskich magnatów, a także wskutek ofiarności ludzi pobożnych z różnych warstw społeczeństwa, liczba klasztorów bernardyńskich w całej Rzeczypospolitej tak się ogromnie powiększać zaczęła, że zarząd tak rozległej prowincyi dla jednego prowincyała stawał się niemal niemożliwym; wtedy to postanowiono, aby było dwóch prowincyałów — polski i ruski (1628—1637); Litwa, jak się zdaje, potem znowu miała osobnego prowincyała; ale gdy się zjechało Definitoryum trzech prowincyj do Warszawy 1647 r. dnia 25 października, w celu porozumienia się tak co do granic tych prowincyj, jakoteż i co do wewnętrznego urządzenia konwentów, pokazało się, że prowincya litewska zbyt była słabą, aby odpowiedzieć wszystkim wymaganiom reguły zakonnej. Pomimo tego wszystkiego, po pewnym przeciągu czasu, uformowała się litewska prowincya zupełnie, i gdy Rosya zabrała Litwę i znaczną część Rusi, były tam wówczas dwie bernardyńskie prowincye: ruska i litewska. Hr. Tolstoj¹ utrzymuje, że prowincya ruska (t. j. część dawnej ruskiej prowincyi z czasów

¹ Cfr. *Le Catholicisme romain en Russie*, Paris, 1864, tom II., dodatki. Cfr. „Teka Wileńska“, IV., p. 177/203. Wyliczone są: 1) Brześć Litewski, 2) Budzław, 3) Bombory, 4) Berezyna, 5) Bienica, 6) Cytowiany, 7) Chocim, 8) Cudnów, 9) Druja, 10) Datnów, 11) Dąbrówno, 12) Dubno, 13) Ejchwald, 14) Hłusk, 15) Heidelberg, 16) Grodno, 17) Gwoździeck, 18) Irkuck, 19) Iwie, 20) Janów, 21) Jarmolińce, 22) Janówka, 23) Jurewicze, 24) Kretynka, 25) Kazań, 26) Kowno, 27) Luck, 28) Łukomla, 29) Łozowica, 30) Mińsk, 31) Mohylów, 32) Mścislaw, 33) Moskwa, 34) Mozyr, 35) Mikulin,

polskich) była bardzo małą, bo liczyła tylko 11 klasztorów, w których miało być nie więcej, jak dwudziestu zakonników tej reguły; mianowicie w łucko-żytomierskiej dyecezyi było 8 klasztorów, w podolskiej 2, a w wileńskiej z należących do tej prowincyi 1. Prowincya zaś litewska była nierównie liczniejszą, bo się składać miała z 31 męskich i 7 żeńskich klasztorów: męskich w dyecezyi mohylewskiej 9, w wileńskiej 9, w żmudzkiej 4, w mińskiej 9; żeńskich w wileńskiej 6, w mińskiej 1.

W roku 1816, powiada hr. Tołstoj, połączono te dwie prowincye w jedną. Ale właściwie powiedziawszy, siedzib bernardyńskich było znacznie więcej w tej prowincyi, ponieważ Tołstoj nie liczył rezydencyj i kapelanij, a niektóre konwenty, nie wiemy dlaczego, opuścił, a nadto nie wspomniał o tych, które już później powstały. Eustachy hr. Tyszkiewicz w swoim ciekawym i pouczającym artykule o klasztorach podaje liczbę bernardyńskich siedzib znacznie większą, bo w ogólnej sumie 69. Smutne wypadki w roku 1831 ogromne zrobiły, zaraz w następnym roku, spustoszenie w prowincyi bernardyńskiej, gdyż rząd naraz skasował około dwudziestu klasztorów, a w dziesięć lat potem nastąpiła druga supresya klasztorów i znowu mnóstwo siedzib tego zakonu padło ofiarą. Jednak w roku 1855, jak się to pokazuje z *Directorium* bernardyńskiego, na ten rok¹ było jeszcze sporo bernardyńskich klasztorów i rezydencyj, tak zwanych etatowych, a mianowicie: klasztory: 1) w Wilnie, 2) w Zasławiu, 3) w Nieświeżu, 4) w Kretyndze, 5) w Cytowianach, 6) w Mińsku, 7) w Słoniui, 8) w Mohylewie, 9) w Traskunach, 10) w Datnowie, 11) w Iwiu, 12) w Budławiu, 13) w Wołożynie, 14) w Dubnie. Rezydencye: w Moskwie, Smoleńsku, Chocimie, Irkucku. Mieli też 3 kapelanie, 6-ciu kuratów i kapelanów

36) Nieśwież, 37) Nerczyńsk, 38) Orsza, 39) Odessa, 40) Połock, 41) Postawy, 42) Petrozawodzk, 43) Pińsko-Karolin, 44) Rohaczów, 45) Sapieżyn, 46) Smoleńsk, 47) Sienna, 48) Słuck, 49) Sumiacz, 50) Sieliszcz, 51) Słonim, 52) Telsze, 53) Taszczów, 54) Troki, 55) Traskuny, 56) Wielona, 57) Witebsk, 58) Warkowicze, 59) Wilno, 60) Wołożyn, 61) Zasław, 62) Żytomierz.

Bernardynki: 1) Brześć Litewski, 2) Grodno, 3) Kowno, 4) Mińsk, 5) Słonim, 6) Wilno na Zarzeczu, 7) w Wilnie także u św. Michała.

¹ W Wilnie u Marcinkowskiego drukowanego.

na Kaukazie, 3-ch w koloniach niemieckich. Klasztorów żeńskich było cztery: w Wilnie dwa, w Słonimiu i w Kownie.

A teraz (1890) z tego wszystkiego pozostało jeszcze: Klasztor w Zasławiu, w którym 5 Bernardynów i 6 eksternów; w Kretyndze 6 księży i 4 laików, w Słonimiu zaś mieszkają Bernardynki w liczbie 10 zakonnic. Naturalnie, są to wszystko klasztory nadetatowe, bez nowicyatu, na wymarcie skazane.

Inicyatorem sprowadzenia Bernardynów do Telsz, za przywilejem króla Zygmunta III., był Paweł Sapieha, z którym wypada nam się trochę bliżej zapoznać¹.

Paweł Stefan Sapieha z linii Kodeńskiej, pokolenia piętego, syn Bohdana, wojewody mińskiego, i Maryny Kapuścianki, urodził się w 1565 r. i, mając lat 15, został pokojowym króla Stefana Batorego, a potem przy Zygmuncie III. postąpił na dworzanina hospodarskiego, w roku zaś 1593 został mianowany koniuszym W. Ks. Lit. Będąc już panem na Holszanach i starostą oszmiańskim, wstąpił w stan małżeński, pojawiając za żonę Elżbietę Wesselinównę, po śmierci której (1615) ponawia śluby małżeńskie z Katarzyną Gosławską, wdową po Andrzeju Wołłowiczu, który był sędzią ziemskim żmudzkiem, dzierżawcą telszewskim i ciwunem Wielkich Dyrwian. W roku 1618 dwie ostatnie godności spadły na Sapiehę, jako będące w posiadaniu jego żony wspólnie z pierwszym mężem. Ubiegły żywot Pawła Sapiehy dostatecznie jest przedstawiony w przywileju od Zygmunta III. na starostwo homelskie, gdzie jest powiedziano, że „koniuszy W. Ks. Lit., postępując za przykładem swoich cnych przodków, pilny był w komorze króla Stefana i wiernie mu służył, a za czasów już Zygmunta we wszystkich swoich postępkach i sprawach zachowywał się przystojnie, wiernie i dbale; pocztę znaczne na potrzebę króla i kraju własnym wywodził kosztem i na ekspedycję moskiewską niemalże poczt ludzi swoim własnym żywił kosztem“. To też szczodrość królewska hojnie go zaopatrywała w starostwa i obdarzała różnemi nadaniami, wskutek czego bogactwa i majątki jego ciągle się powiększały.

¹ Cfr. „Sapiehowie“, I., p. 233—242.

W roku 1623 otrzymał nominację na urząd podkanclerza, który piastował przez lat 12 z wielką skrupulatnością, co mu także nie bez nagrody zostało, jak znowu świadczy długi szereg różnych przywilejów. Tymczasem po śmierci drugiej żony, wstąpił w trzecie związki około r. 1630 z Zofią Daniłowiczówną, córką Mikołaja, podskarbiego w. k., i Anny Uchańskiej. Ta go już przeżyła. Ostatnie życia swego lata, złamany wiekiem i usługami na potrzebach ojczyzny, w których stracił był nawet rękę na wojnie z Moskwą, podkanclerzy przepędził w swoich Holszanach, gdzie i umarł 19 lipca 1635 r. Po jego śmierci wdowa po nim ponowiła związki małżeńskie z Łukaszem Opalińskim, podskarbin nadwornym koronnym, lecz niedługo pożywszy, przeniosła się do wieczności w 1642 roku. Paweł Sapieha miał trzy córki, prawdopodobnie wszystkie z pierwszego małżeństwa. Podkanclerzy całe swoje życie odznaczał się wielką pobożnością i bardzo był hojny na kościoły i klasztory. W Holszanach fundował kościół¹ i klasztor Franciszkanów, w Telszach osadził Bernardynów, nadto wymurował i uposażył kościoły w Homlu i Siemnie.

Gadon, który widział nadania i przywileje królewskie w archiwum klasztorzem (ale mówiąc nawiasem nie wszystko dobrze zużytkował), w swoim opisie Telsz i telszewskiego powiatu² powiada, że kościół i klasztor OO. Bernardynów miał nadany fundusz, i górę Insulą zwaną, na której i teraz stoi, z pozwoleniem wycięcia na niej znajdującego się naówczas lasu, przywilejem króla Zygmunta III., w roku 1624 dnia 21 marca datowanym. W 1639 roku 20 października, przywilej Władysława IV. to potwierdził, a król Jan Sobieski, roku 1683 dnia 18 lipca, nowym przywilejem zatwierdził dwa poprzednie; August II. nakoniec, roku 1713 dnia 30 września, potwierdził dawniejsze, z dodatkiem nowego, tj. pewnej ilości drzewa na opał i siana ze starostwa telszewskiego corocznie dawać się mającego.

Z książki zaś, opisującej szczegóły funduszu i dzieje klasztoru, Gadon odpisał następujące opowiadanie, które tu podajemy:

¹ W nim też spoczywają jego zwłoki.

² „Opisanie telszewskiego powiatu“, p. 29—33.

„Klasztor XX. Bernardynów i kościół pod tytułem: św. Antoniego Padewskiego, fundowany jest przez Zygmunta III. króla polskiego, za wstawieniem się Pawła i Katarzyny z Gosławic Gosławskiej, Sapiehów, Podkanclerzych W. K. L., Starostów homelskich i telszewskich. Tenże król w przywileju swoim oznaczył granice ziemi na kościół i klasztor w mieście Telszach darowanej, gdzie zabudowano się w roku 1624. Na tem miejscu był naprzód mały kościółek czyli kaplica drewniana — później koło roku 1640, za staraniem Piotra Parczewskiego, biskupa żmudzkiego, stanął większy kościół, który w tymże roku został poświęcony. Do tego kościoła przybudowano dom Loretański murowany, kosztem Abrama Kazimierza Mantrymowicza, sekretarza JK. Mości i dobrodziejów, oraz klasztor z jednej strony wybudowano. — Tak ufundowani zakonnicy chwałę Boską z wielkim pożytkiem między ludem do r. 1702 rozszerzali, w którym to roku dnia 8 maja z woli Bożej cały kościół z częścią środkową i klasztorem zgorzał. Około jednak roku 1738, za gwardyaństwa ks. Antoniego Giecewicza, z łaski wielu dobrodziejów, kościół z drzewa sosnowego został zbudowany i konsekrowany przez Antoniego Dominika Tyszkiewicza, biskupa żmudzkiego, 1748 roku dnia 2 sierpnia. Potem za radą ks. Józefa Samowicza, ówczesnego prowincyała prowincyi litewskiej XX. Bernardynów, za gwardyaństwa ks. Franciszka Koszucia, zaczęto gotować materiały do murowanego kościoła i fundamenta szczęśliwie założono roku 1764 dnia 24 września. Na jakowy kościół, wtenczas pod tytułem: N. M. P. Loretańskiej i św. Antoniego Padewskiego zostający, za wiedzą zwierzchności, w obecności wielu obywateli i szlachty, z uroczystymi ceremoniami, położono kamień węgielny pod wielkim ołtarzem przez ks. Antoniego Juskiewicza, kanonika i oficyała żmudzkiego. Kościół ten większą częścią kosztem Ignacego Koszucia, cześnika żmudzkiego, i innych obywateli i dobrodziejów murowany, za gwardyaństwa Szymona Bukanta w murach podwyższony, zakrystya od klasztoru wymurowana i wiele materiałów do dalszej fabryki przysposobiono. Klasztor z fundamentu wyprowadzony przez gwardyana ks. Rogeryusza Paszkiewicza w 1787 roku, co do linii zachodniej i po-

łowy południowej, dokończony zaś zupełnie, tak jak jest teraz, przez gwardyana ks. Eugeniusza Łapaczyńskiego 1791 roku. W roku 1794 dnia 18 maja kościół teraźniejszy wymurowany, został konsekrowany przez Tadeusza Józefa Bukatego, sufragana żmudzkiego, infulata szydlowskiego. Od r. 1668 aż od r. 1840 było gwardyanów w klasztorze Bernardynów telszewskich 39⁴.

Ponieważ zakon Bernardynów należy do t. zw. „mendykantów” czyli żebrzących, przeto żadnej własności ani osobistej ani zgromadzenia nie przyznaje i utrzymuje się tylko z jałmużny, jaką mu wierni dobrowolnie dają; żadnych więc dóbr ziemskich mieć nie może, przeto i klasztor telszewski pierwotnie nie miał tego wszystkiego, a tylko pozwolenie od królów polskich, do których Telsze należały, aby OO. Bernardyni na wyznaczonem sobie miejscu mogli zbudować kościół i klasztor, i przytem jeszcze niektóre otrzymali dogodności. Takie więc mniej więcej było telszewskiego klasztoru uposażenie, które się niekiedy funduszem nazywa.

Ale z czasem, gdy gorliwość i pobożność ostygły, gdy jałmużny bardzo skąpo wpływać zaczęły, a niektóre konwenta bernardyńskie obowiązki pewne na siebie przyjęły — np. *curam animarum*, lub utrzymywanie szkół — wtedy Stolica Apostolska pozwoliła im miewać niewielką posiadłość, lub niewielką sumą pieniężną rozporządzać. W taki sposób i telszewski klasztor przyszedł do pewnego majątku. Ks. Stanisław Czernski¹ utrzymuje, że konwent ten miał poddanych dusz męskich 3, ziemi 4 włóki i morgów 17, drzewo na opał i wstęp do jeziora, a kapitału 5631 rs.

Jeżeliby nas zapytano, czem się zajmował telszewski klasztor przed przyjęciem duszpasterstwa i kierownictwa szkołami, tobyśmy na to odpowiedzieli wymownemi słowy hrabiego Montalemberta: „Najprzedniejsza usługa, jaką mnisi oddawali chrześcijańskiemu społeczeństwu, była to modlitwa; modlili się dużo, modlili się ciągle, a to za tych co się modlą źle, albo nie modlą się wcale. Społeczeństwo chrześcijańskie ceniło i uwielbiało w nich

¹ Cfr. „Opis Żmudzkiej Dyecezyi“, p. 38.

przedewszystkiem tę niezmierną moc wstawiennictwa, te błagania zawsze dzielne, zawsze gorące, te potoki próśb nieustannie biegnące do stóp tego Boga, który chce aby Go proszono. Przez to odwracali oni gniew Boży, umniejszali ciężar nieprawości świata, przywracali równowagę między królestwem niebieskiem i królestwem ziemskim... I ta równowaga stanowiła siłę żywotną średnich wieków; gdy ona się chwieje, chwieje się wszystko, tak w duszy jak i w społeczeństwie¹. — Naturalnie, od samego początku swego istnienia pomagali Bernardyni telszewscy proboszczom miejscowym w administrowaniu Sakramentów; lecz potem, w pierwszej połowie XIX. wieku, gdy kościoła parafialnego w Telszach już nie było, zajęli się duszpasterstwem w zupełności i bardzo gorliwie czynili swoim obowiązkom zadość.

Konwent telszewski zawsze był dość liczny; tak np. przy końcu XVIII. wieku (1798 r.) mieszkali w nim: 1) O. Eugeniusz Łapaczyński, gwardyan, o którym mówiliśmy wyżej, 2) O. Kandyd Dawidowicz, wikary, 3) O. Fr. Pikiell, 4) O. Fr. Ramnicz, 5) O. Wincenty Willimowicz, 6) O. Chryzogon Ihnatowicz, 7) O. Wacław Jundziłł, 8) Maurus Karbowski — nauczyciele; 9) O. Teofil Dawgmań, kaznodzieja niedzielny, 10) O. Stefan Preybowicz, kaznodzieja szkolny, 11) O. Fr. Tyszkiewicz, spowiednik, 12) O. Fr. Wojtkiewicz, zakrystyan, 13) O. Piotr Baluniewicz, kaznodzieja nadzwyczajny, 14) O. Wacław Balcewicz, także, 15) O. Justyn Puciłowski; oprócz tego było 6 tercjarzy². — W dziewiętnaście lat później było w Telszach 12 kapłanów, pomiędzy którymi znajdował się O. Tomasz Pacewicz, kustosz prowincyi, mający 71 lat wieku a 49 kapłaństwa, i pięciu braciszków; jednym z nich był bardzo głośnej naówczas sławy Dydak Paździerski, biegły znawca hebrajskiego języka, który wykładał. W r. 1836 było 23 Bernardynów, a pomiędzy nimi O. Donat Midrowski, dotąd (1892) w Kretyndze żyjący, a naówczas liczący 30 lat życia³. W dwa

¹ *Les moines d'Occident*. I, Introduction, p. XLVIII.

² Wiadomość ze współczesnej wizyty kościelnej.

³ Wiadomości o liczbie zakonników podane są z *Elenchus cleri regularis Ordin. Minoram Fr. seu Observant.*

lata potem było już tylko 20 zakonników, a w roku 1840 — 12 kapłanów i 5 tercyarzy. W roku zaś następnym — 10 kapłanów i 4 tercyarzy. W roku 1842, jakeśmy już o tem wspominali, nastąpiła druga wielka kasata klasztorów, po której jednakże bernardyńskich klasztorów pozostało prawie 20. — W roku 1848 mieszkali w Telszach: 1) R. P. Justus Wiellołowicz S. T. L. *guardianus*; 2) R. P. Ignat. Jurewicz S. T. L. *vicarius*; 3) M. V. P. Max. Bujwid, *praedicator* I.; 4) M. V. P. Zenon Iwaszkiewicz, *curatus*; 5) M. V. P. Justus Gabalewski, *praefect. Ecclesiae*; 6) M. V. P. Agapit Mickiewicz, *praedicator* II.; 7) M. V. P. Joachim Gudyłowicz, *praedicator* III.; 8) Fr. Salvator Sokołowski, *diaconus*; 9) Fr. Laurentius Wiellołowicz, *clericus*. — *Fratres Conversi*: 10) Agaton Nowicki, 11) Feliks Weysz, 12) Fr. Offmann, 13) Modest Pawłowski, 14) Józef Legocki.

W roku 1853 skasowano ten klasztor, i kiedy w cztery lata później Heleniusz¹, czcigodny, sędziwy nasz literat i historyk, zwiedzał (1857) Telsze, to zastał tam już tylko dwóch Bernardynów.

Szkoły w Telszach.

Po upadku szkół w Kretyndze, w pierwszej ich istnienia epoce, z rozkazu Komisji edukacyjnej została otworzoną w Telszach szkoła podwydziałowa o trzech klasach, dnia 4 sierpnia 1793 roku²; lecz już i przedtem, jak się zdaje, była w Telszach parafialna szkółka przy klasztorze. OO. Bernardyni nie mieli żadnych funduszków na utrzymanie szkoły, i tylko z jałmużny zbierali potrzebne na to pieniądze; tym sposobem swoim kosztem wymurowali budynek szkolny, 1793—1798, i zakupili narzędzia fizyczne dla użytku szkoły. Przy końcu XVIII. wieku miała ta szkoła już sześć klas, i aczkolwiek nosiła nazwę powiatowej, jednakże pod względem praw i wykładów, porównana była z ówczesnymi gimnazjami, a do roku 1804 uczono tam podług uchwał Komisji edukacyjnej. Gdy rząd rosyjski, po zaborze Litwy, mo-

¹ „Wspomnienia Narodowe“, przez Heleniusza. Paryż 1861, p. 471.

² Cfr. *Żemajtin Wiskupiste*, przez ks. biskupa Wołonczewskiego, II. p. 60. — O szkołach w Kretyndze zamierzamy pomówić inną razą.

dyfikował istniejące tam zakłady naukowe, wydał rozporządzenie dnia 1 września (st. s.) 1804 roku, aby w wileńskiej, ówczesnej, gubernii było 14 szkół powiatowych, przez zgromadzenia duchowne utrzymywanych, a w liczbie ich wymieniono i Telsze, gdzie powinno być, oprócz przełożonego szkoły i kaznodziei, czterech starszych nauczycieli i trzech młodszych¹. Od tego to czasu datują się pewne zmiany w systemacie nauczania, i zboczenia od planu Komisji edukacyjnej, które trwały w wykładach szkolnych, z małemi modyfikacyami, aż do roku 1825.

Najdawniejszą o szkołach telszewskich wzmiankę znajdujemy w wizycie kościelnej z 1798 roku, z której się dowiadujemy, że prefektem szkół w Telszach a zarazem profesorem fizyki był O. Franciszek Pikiell, wymowę wykładał O. Franciszek Ramnicz; O. Chryzogon Ihnatowicz — matematykę; nauczycielem klasy III. był O. Wacław Jundziłł; klasy II. O. Wincenty Willimowicz, a klasy I. O. Maurus Karbowski; kaznodzieją zaś szkolnym był O. Stefan Preybowicz. Szkoły te były już naówczas o sześciu klasach, w których uczono wszystkiego podług ustaw Komisji edukacyjnej², uczniów zaś miało być na podstawie tejże wizyty, 280.

W papierach po kuratorze Czartoryskim są także wiado-

¹ Cfr. *Sbornik Postanowienij*; tom I., *szkoly i przylozenia*, p. 7.

² W klasie I. wykładano: gramatykę polsko-łacińską razem z wokałami łacińskimi, naukę moralną, na tę klasę przeznaczoną, początki arytmetyki i geografii, a nauka chrześcijańska była wygłaszana w niedziele i dni świąteczne. W klasie II.: dalszy ciąg gramatyki polsko-łacińskiej, geografii, arytmetyka, nauka moralna, wypisy na tę klasę, ogrodnictwo i nauka chrześcijańska, jak wyżej. W klasie III.: gramatyka łacińska i polska zakończyły się, geografia, nauka moralna, arytmetyka wyższa, rolnictwo, początki prawa przyrodzonego i politycznego, tłumaczenie wypisów, nauka chrześcijańska. W klasie IV.: wymowa, historia polityczna, prawo przyrodzone, polityczne i narodowe, geografia, geometria teoretyczna, początki miernictwa, algebry i trygonometrii, oprócz tego rysunki i nauka chrześcijańska. W klasie V. i VI.: fizyka ogólna i szczegółowa, logika, geometria praktyczna, bryłomierstwo, algebra, historia, wypisy łacińskie, a oprócz tego uczono po francusku i niemiecku. — Takie przedmioty wyszczególnione są w tej wizycie, ale widoczne jest, że spis ich niedokładny i są opuszczenia.

mości¹ o szkołach w Telszach, podług których w 1803 roku prefektem szkoły był O. Marcelin Gudelewicz, który jednocześnie wykładał matematykę, wymowy uczył O. Stefan Mazidowicz, fizyki O. Adjunty Pawłowski, nauczycielem I. klasy był O. Maury Karwowski², II. klasy O. Symforyan Monkiewicz, III. klasy O. Poncyan Pietraszkiewicz. Dyrektorów domowych było 38. Uczono tylko po francusku; niemieckiego języka i rysunków nie wykładano. Uczniów było w I. klasie 74, w II. 56, w III. 60, w IV. 36, w V. 25 i w VI. 3 — razem 254.

W r. zaś 1807 dozorcą szkoły był O. Szyszniewski, kaznodzieją O. Czerniewski, O. Modest Gliński uczył fizyki, O. Borczak matematyki, O. Jan Pyszko literatury, nauczycielem klasy I. był O. Wasilkiewicz, a kl. II. O. Wojszwiłło. Uczniów w szkołach 178, opuściło zaś szkoły 33. Biblioteki osobnej przy szkołach nie było, lecz tylko klasztorna, gabinet zaś fizyczny i nauk przyrodniczych miały szkoły³.

W następnym roku na czele szkoły stał O. Józef Januskiewicz, który jednocześnie uczył po francusku; profesorem literatury i języka łacińskiego był O. Modest Jelski, fizyki O. Modest Gliński, matematyki i języka rosyjskiego O. Józef Pilecki, prawa (a zapewne i historii) i niemieckiego języka O. Polikarp Hermann; nauczycielem kl. II. był O. Antoni Mażon, a klasy I. O. Florenty Wasilkiewicz. Uczniowie celujący w 2 niższych klasach⁴: Karol Szczepanowski, Leopold Choromański, Dominik Krzyżewicz, Romuald Gałkontt, Franciszek Szadliński. W 4 wyższych klasach: Sykstus Hryniewicz, Antoni Krzyżewicz, Piotr Piotrowicz, Józef Rubażewicz, Antoni Szawlewicz, Tadeusz Tyminiński, Michał Przyjałgowski, Józef Żuk, Stanisław Gadon, Aloizy Gadon, Wincenty Bortkiewicz i Jan Mazulewicz.

W dziesięć lat później prefektem szkół był O. Tymoteusz Wencenowicz, mający natenczas lat 38, a kapłaństwa 14; O. Ge-

¹ Znajdują się one w Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie.

² W wizycie z 1798 roku nazwany on Karbowski.

³ Z papierów po kuratorze Czartoryskim.

⁴ Wiadomość z Kalendarzyka Wileńskiego na rok 1809, wyd. u Zawadzkiego.

deon Dementowicz wykładał fizykę, lat 33, kapłaństwa 10; O. Rufin Kimbar uczył matematyki, lat 34, kapłaństwa 9; O. Jakub Nar-kiewicz — wymowy, lat 30, kapłaństwa 4; O. Kornel Jodziejewicz — gramatyki polsko-łacińskiej, lat 36, kapłaństwa 12; O. Linus Ła-banowski wykładał arytmetykę i język niemiecki, lat 29, kapł. 6; O. Hieronim Walicki kaznodzieja, lat 31, kapł. 7; braciszek zaś zakonny Dydak Paździerski uczył nawet po hebrajsku, miał on wówczas lat 36, z których w zakonie 6 przepędził. Uczniów w szkołach było 209; nauki wszystkie wykładano podług prze-pisu wileńskiego uniwersytetu w tym porządku: w klasie I. uczono gramatyki polsko-łacińskiej, nauki moralnej, geografii, arytmetyki, kaligrafii, tłumaczono z wypisów łacińskich; w II. kla-sie: takąż gramatyka, nauka moralna, geografia, arytmetyka, tłu-maczenie wypisów łacińskich, i formowanie charakterów; w III. kla-sie: nauka moralna, historia powszechna, fizyka, botanika, arytmetyka wyższa, geometrya, gramatyka polsko-łacińska i tłu-maczenia łacińskie; w klasie IV.: prawo przyrodzone, fizyka, zoolo-gia, geometrya, trygonometrya, wymowa, historia i tłumaczenia łacińskie; w klasie V.: prawo polityczne, historia, fizyka szcze-gólna, mechanika, budownictwo, solidometrya, algebra, wymowa i tłumaczenia łacińskie; w klasie VI.: prawo narodów, prawo eko-nomiczne, historia Rosyi, historia litewska i polska, logika, wy-mowa, tłumaczenia łacińskie, mineralogia. Nauka chrześcijańska dawała się tylko w dni niedzielne i świąteczne. Oprócz tego uczono w szkołach po niemiecku i po hebrajsku. Porządek zaś lekcyj był taki: w poniedziałek, środę, piątek i sobotę rano od godziny 8—10, a po obiedzie od 2—4 uczono się w szkole, we wtorek zaś i czwartek tylko z rana odbywały się lekye. Co-dzień o 7 godzinie z rana bywała msza dla uczniów, w dni niedzielne i świąteczne słuchali uczniowie swojej mszy i oprócz tego powinni byli przychodzić na sumę i na nieszpórach bywać. Spowiedź była dla nich obowiązująca co miesiąc, a przed Wiel-kanocą poprzedzały ją trzydniowe rekolekcyje. Roczne nauki kończyły się zwykle 28 (st. s.) czerwca, poczem następował publi-czny egzamin w przytomności zebranych gości, początek zaś roku szkolnego rozpoczynał się 1 września także uroczystie.

Przełożony i nauczyciele zakonniczy mieszkali w klasztorze, gdzie mieli stół i opatrzenie wszelkich potrzeb; uczniowie najmowali stancye w mieście, ponieważ żadnego nie było konwiktu i nie było na to funduszów odpowiednich. Książki elementarne, podręczniki będące w użyciu, sprowadzano z Wilna. Dozór nad uczącą się młodzieżą po stancyach powierzany był t. zw. dyrektorom domowym¹.

Z roku 1820 mamy wiadomość o popisach publicznych w Telszach², które się odbyły tam dnia 27 czerwca, zaszczycone obecnością kuratora honorowego tych szkół, Antoniego barona Roenne'go³, jego zastępcy ks. Benedykta Śmigielskiego, prałata katedry żmudzkiej i licznie zebranej publiczności. Akt ten otworzył ks. prałat mową do młodzieży, o pożytku nauk. Potem nastąpiło egzaminowanie, a po niem br. Roenne „ze zwykłą sobie erudycją i płynnością“ wykazał uczniom, jakiej muszą doświadczać przyjemności z postępu w naukach, czego dali właśnie dowód.

¹ Wiadomość ze współczesnej wizyty kościelnej.

² Cfr. *Kuryer Litewski*. 1820, nr. 94, dodatek.

³ Rodzina Roenne'ych, her. własnego, pochodząca z Bremeńskiego, przybyła w XV. w. do Inflant, i tam (w Kurlandyi) otrzymała różne nadania, nabyła dobra, spokrewniwszy się z najznakomitszymi familiami. Jeden z tego rodu, Karol (czwarte pokolenie na Inflantach), generał-lejtnant, kawaler Orła Białego i św. Andrzeja, zaszczycony tytułem barona od Augusta II. dnia 30 maja 1732, a syn jego Jerzy, ożeniony z Anną Blomberg, posiadał już dobra na Żmudzi Szarkie, prawnuk zaś, Karol Ernest, stolnik smoleński, odziedziczył te dobra i wiele innych, a powiększył je przez małżeństwo z Heleną Billewiczową, herbu Mogiła, *z-do coto*, po której wziął Paury. Opiszki, Helenów; ten zostawił kilkoro dzieci, z których Chryzostom był kanonikiem żmudzkim, a Stefan ciwinem użwęcim, którego synem był Mikołaj Antoni, żonaty z Eleonorą Piotrowiczową, mający syna Feliksa, majora wojsk litewskich, szambelana i kawalera orderu św. Stanisława, dziedzica na Gaurach i Światoszyńie, żonatego z Antoniną Gielgudówną, starościanką żmudzką. Z tego małżeństwa było dwóch synów i córka: Antoni, magister filozofii, marszałek telszewski, kurator honorowy szkół telszewskich, ożeniony z Olimpią Górską, herbu Nałęcz, kasztelanicówną żmudzką; Feliks, kandydat filozofii, poślubił Franciszkę hr. Załuską, podskarbk. nadw. kor., *1-mo voto* Frydrykową Lubomirską, ten zostawił syna Eugeniusza, pana na Renowie, Gaurach i Gorzdach w pow. telszewskim; córka Teodora za Ksawer. ks. Ogińskim. To linia katolicka Roenne'ów, ale są jeszcze w Telszewskim, na Bytyniach, Bogajciach, lutrzy Roenne.

Nakoniec były marszałek, Włodzimierz Gadon, wynurzył wdzięczność OO. Bernardynom za starania, trudy i koszta niesione dla utrzymania szkoły. Lista celujących uczniów, odczytana na tym akcie, jest następująca:

Klasa I.: Roman Leszczewski, Józef Gintylło, Ignacy Jasewicz, Teodor Juskiewicz, Maciej Kompowski, Piotr Stańkiewicz, Michał Wojtkiewicz.

Klasa II.: Ignacy Bugień, Józef Jaksztowicz, Józef Lidzewicz, Józef Miłaszewicz, Julian Makowski, Jan Narkiewicz, Tomasz Pawłowski, Julian Rukujża, Piotr Rymkiewicz, Karol Szmel, Tadeusz Żakiewicz, Izydor Zalewicz i Jan Zylewicz.

Klasa III.: Jan i Józef Gintylłowicze, Leon Lutyk, Jan Latukiewicz, Franciszek Pawłowski, Joachim Rubaźewicz, Waleryan Syrutowicz i Antoni Zmajllo.

Klasa IV.: Onufry Bernatowicz, Jerzy Bittowt, Szymon Butrym, Jan Giniat, Barnaba Rohulko, Jan Stulpin, Michał Ważyński, Antoni Wojtkiewicz.

Klasa V.: Piotr Butkiewicz, Michał Gadon, Aleksander Ostrowski, Aleksander Samborzecki, Wiktor Syrutowicz.

Klasa VI.: Jakub Batowicz, Dominik Dowbor, Kazimierz Kranz, Józef Noreyko i Onufry Wołodkiewicz.

W następnym roku dnia 28 czerwca także były takie publiczne popisy¹, przed rozpoczęciem których przemówił Michał Gadon, uczeń klasy VI., a po skończonych egzaminach mówił znowu Piotr Butkiewicz, uczeń klasy VI. — Baron Roenne, marszałek telszewski i honorowy kurator, i Włodzimierz Gadon były marszałek, jak pierwiej, wygłosili mowy do licznie zebranych gości.

Celującymi uczniami w tym roku byli:

Klasa I.: Leon Astrejko, Adam Aleksandrowicz, Romuald Dorgiewicz, Józef Dobszewicz, Leonard Gadon, Kazimierz Kudrewicz, Michał Paszkiewicz, Antoni Podegimski, Feliks Szadkowski.

Klasa II.: Józef Bereśniewicz, Józef Czajkowski, Józef Gin-

¹ Cfr. *Kuryer Litewski*. 1821, nr. 104.

tyłło, Leonard Jaroniewicz, Ignacy Jassiewicz, Teodor Juszkie-
wicz, Maciej Kompowski, Roman Leszczewski, Franciszek i Ignacy
Narwejszowie, Piotr Stankiewicz, Włodzimierz Sosnowski, Michał
Wojtkiewicz.

Klasa III.: Ignacy Bugień, Paweł Bujwen, Franciszek Krzy-
żewicz, Józef Jucewicz, Symeon Janikowski, Józef Jaksztowicz,
Józef Lidziewicz, Franciszek Ławcewicz, Kasper Mackiewicz,
Ignacy Minejko, Stanisław Mickiewicz, Franciszek Nagrodzki,
Jan Narkiewicz, Tomasz Pawłowski, Marcei Proniewski, Julian
Rukujża, Karol Szmel, Antoni Zmajłło, Jan Zahorski, Izydor Za-
lewicz, Tadeusz Żakiewicz, Jan Żylewicz.

Klasa IV.: Ignacy Bużewicz, Józef i Jan Gintyłło, Jan Latu-
kiewicz, Leon Lutyk, Jan Mickiewicz, Franciszek Pawłowski,
Joachim Rubaźewicz, Waleryan Syrutowicz, Franciszek Wołod-
kiewicz i Antoni Zastorski.

Klasa V.: Onufry Bernatowicz, Andrzej Bertmann, Szymon
Butrym, Jakub Butkiewicz, Bernard Jacewicz, Franciszek Kom-
piewicz, Ludwik Norejko, Bernard Rohulko, Jan Szulpin, Michał
Ważyński.

Klasa VI.: Piotr Butkiewicz, Michał Gadon, Aleksander
Ostrowski, Kazimierz Poruć, Feliks Proniewski, Józef Rubowicz,
Wiktor Syrutowicz, Ignacy Szymkiewicz.

W lecie 1822 r. zjeżdżał do Telsz Jan Chodźko, jako wizy-
tator wyznaczony od wileńskiego uniwersytetu. Z jego referatu
podajemy liczbę uczniów w tych szkołach, zaczynając od pierw-
szego roku ich egzystencji ¹:

w r. 1793—188	w r. 1800—314	w r. 1808—180
" 1794—159	" 1801—276	" 1809—172
" 1795—172	" 1802—284	" 1810—203
" 1796—249	" 1804—255	" 1811—238
" 1797—323	" 1805—224	" 1812—164
" 1798—360	" 1806—247	" 1813—105
" 1799—352	" 1807—248	" 1815—150

¹ Oryginal tej wizyty znajduje się w jednej z większych warszaw-
skich bibliotek, ale frekwencya uczniów tu podana nie zawsze się zgadza
z innemi źródłami w tej materii, np. wizytami kościoła.

w r. 1816—138	w r. 1819—215	w r. 1821—226
„ 1817—132	„ 1820—205	„ 1821/2—422
„ 1818—169		

Wizytator w swoim referacie powiada, że polski język w szkołach telszewskich stał nisko, wymowa była fatalna, pisownia bardzo zła. Stan ogólny nauk w tych szkołach nie był zadawalniający, uczono dość powierzchownie, ale za to karność była dobra i ścisła, a ochędństwo większe niż w innych szkołach na Żmudzi. O przełożonym tej szkoły, O. Wencenowiczu, utrzymuje wizytator, że „z chlubą i zasługą jej przewodniczył“. Wykładał on natenczas historję i prawo, będąc 7 rok nauczycielem, i wykładałby bardzo dobrze, gdyby więcej miał czasu na przygotowanie się do tych wykładów, nie będąc obciążony różnemi obowiązkami, ale pomimo to starał się wszystkiemu uczynić zadość.

Nauczycielem fizyki i języka francuskiego był wtedy O. Geodeon Dementowicz, lat 38, na obowiązku rok 8, zdolności bardzo miernych; miał nieco wiadomości, ale wytłumaczyć tego wszystkiego należycie nie umiał.

O. Rufin Kimbar, wieku 38 lat, na służbie nauczycielskiej rok 7, uczył matematyki, mało mając nauki, ale zawsze trochę więcej, niż jego współkoledzy — tak twierdzi wizytator; uczniom przynosił jakakolwiek korzyść, chociaż ci nie lubili go dla surowości charakteru.

Nauczycielem literatury polskiej i łacińskiej był O. Jacek Marcinkiewicz, lat 27 liczący i pierwszy rok nauczycielstwa; ten mało bardzo mając uzdolnienia i wiedzy, a przytem nie posiadając upodobania w swoich przedmiotach, dodatnio wcale nie oddziaływał na swoich uczniów.

Inni nauczyciele zapewne jeszcze niżej stali, bo o nich nawet żadnej nie znaleźliśmy wzmianki u wizytatora.

Tak urządzona powiatowa szkoła telszewska, równouprawniona jednakże z gimnazjami, dająca więc wstęp do uniwersytetu, przetrwała aż do roku 1825, kiedy to nastąpiła reorganizacja szkół w Wydziale naukowym wileńskim. Dnia 25 lipca

tego roku zmodyfikowano szkoły telszewskie na właściwą szkołę powiatową, o czterech tylko klasach.

I taką szkołę, już powiatową, zwiedzał przy końcu maja, roku 1826 profesor Podczaszyński, przysłany z Wilna. W wizycie Podczaszyńskiego znajdujemy dość szczegółów, które tu podajemy¹.

Personal szkolny składał się natenczas z następujących osób: O. Teodor Paszkiewicz był przełożonym szkoły oraz profesorem historii i francuskiego języka, rodem z Rosieńskiego, mający lat 43, a nauczycielstwa 11; nauki pobierał w Rosieniach i zakonie, w Telszach był dopiero od roku. O. Piotr Juchniewicz uczył fizyki i historii naturalnej, pochodził także z Rosieńskiego, miał lat 29; uczył się w Krożach i zakonie, w Telszach od roku. O. Klodoald Chylkiewicz, profesor wymowy i języka rosyjskiego, rodem z Mściśławskiego, miał lat 33, nauczycielem był już lat 8; nauki pobierał w Mściśławskim i zakonie, w Telszach od roku 1822. O. Linus Labanowski, arytmetyki, geografii i niemieckiego języka, pochodził z Telszewskiego; uczył się w Kretyndzie i zakonie, liczył lat 37, w Telszach od roku 1816. O. Cyprian Jankiewicz uczył gramatyki polsko-łacińskiej, urodził się w Rosieńskim, miał lat 39; uczył się w Telszach i zakonie, przy tych szkołach był od roku 1822. O. Symplicy Tweryan wykładał geografję i rysunki, nauki pobierał tylko w zakonie, liczył lat 32, w Telszach od roku 1822.

Uczniów było: we wstępnej klasie 46, w I. 39, w II. 53, w III. 18, w IV. 15, razem 171, wszyscy katolicy; wiek zaś ich od lat 9 do 26. Szlachty pomiędzy nimi 156, mieszczan 5, włościan 10. Z tego powiatu 146, reszta z innych, w liczbie których 1 tylko z innej gubernii. Na stancyach mi. szkoła uczniów 166, a nauczycieli 5. W ciągu roku ubyło uczniów 15, a w poprzednim (1825) ukończyło szkoły 7, i 23 opuściło szkoły przed ukończeniem. Dozorców domowych było 14, z których odznaczyło się 4. Uczniów zasługujących na pochwałę było: w kl. I. 4, w II. 10, w III. 2, w IV. 5.

¹ Oryginał tej wizyty jest w posiadaniu p. Z. Glogera.

Nauka religii wykładana była we wszystkich 4-ch klasach dwa razy na tydzień. Uczono podług podręczników Fleury'go i Chodaniego; opieszłych uczniów wcale nie było.

Język rosyjski: w klasie I. pięć razy tygodniowo, w II. cztery, w III. tyleż, w IV. trzy. Przechodzono ten przedmiot podług podręcznika Ostrowskiego; uczono czytać, pisać, gramatyki i tłumaczono z rosyjskiego na polski język historię Rosyi. Opieszłych uczniów było: w klasie I. 9, w II. 8, w IV. 2.

Język polski: w klasie I. cztery razy na tydzień, w II. trzy, w III. dwa, w IV. także dwa. Za podręcznik służyła gramatyka Jakubowicza (Kopczyński był zabroniony), a retorykę wykładano podług podręcznika przez urząd szkolny zaleconego, ale nauczyciele oświadczyli wizytatorowi chęć powrócenia do Kopczyńskiego. Opieszłych uczniów liczono: w klasie I. 11, w II. 9, w IV. 2.

Łacina: w kl. I. jedna godzina (!), w II. dwie, w III. dwie, w IV. godzina tygodniowo. Gramatykę przechodzono podług tegoż Jakubowicza; oprócz tego tłumaczono Eutropiusza, i co tydzień jedno wypracowanie piśmienne. Opieszłych uczniów: w kl. I. 16, w II. 9, w IV. 2.

Język niemiecki: w kl. I. pięć godzin, w II. tyleż, w III. i IV. po trzy. Gramatyka Kamińskiego.

Język francuski: liczba lekcyj takąż sama, gramatyka tegoż autora i wypisy Gedeke.

Geografia i historia: w klasie I. dwie godziny geografii, tyleż w II., w III. trzy godziny geografii i historii, w IV. pięć na obydwie przedmioty. Podręcznik geografii Szacfeiera, a historii Kajdanowa w tłumaczeniu polskim. Opieszłych uczniów: w kl. I. 7, w II. 10, w III. 1, w IV. 2.

Nauki matematyczne: w kl. I. cztery godziny, w II. pięć, w III. i IV. po pięć. Podręczniki Czecha i Lacroix. Opieszali uczniowie wymienieni tylko w dwóch klasach: w I. 6, w II. 16.

Nauki fizyczno-przyrodnicze: w kl. I. jedna godz. zoologii, w II. trzy zoologii i botaniki, w III. pięć fizyki, w IV. siedm geografii fizycznej i ogrodnictwa. Podręczniki do tego: Jundziła, Drzewińskiego, Krassowskiego i Oczapowskiego. Opieszłych uczniów nie wymieniono. Szkoła miała swój gabinet

fizyczny i dla nauk przyrodniczych, w bibliotece było 169 tomów, ale gazet nie utrzymywano żadnych.

Personal w tejże szkole powiatowej w Telszach w r. 1828¹ był taki: Przełożony szkoły, oraz nauczyciel historyi i języka rosyjskiego znany już nam O. Klodoald Chylkiewicz, nauczycielem religii i łaciny O. Teogoni Kurszel, arytmetyki i języka niemieckiego uczył O. Hugolin Fedorowicz, język polski i francuski wykladał O. Ptolomeusz Malejewski, geometryę O. Cyprian Jankiewicz, a fizykę O. Piotr Juchniewicz.

Podeczas powstania 1831 roku szkoły w Telszach², jak i w wielu miejscach, były zamknięte, a gdy się wszystko znowu w kraju uspokoiło, pozwolił nowy kurator, Kartaszewski, szkoły telszewskie otworzyć. Te nowo utworzone szkoły w Telszach po powstaniu 1831 r., już w początku inne trochę miały urządzenia, a wkrótce zupełnie zmodyfikowane zostały; pewne też rozprzężenie w samem zgromadzeniu Bernardynów daje się zauważyć.

Nie możemy na pewno powiedzieć, o ilu klasach były szkoły po 1831 r. W listopadzie 1833 r. donosił dyrektor szkół gubernii wileńskiej, Kajetan Krassowski, prowincyałowi zakonu Bernardynów, O. Butkiewiczowi, że kurator Wydziału naukowego białoruskiego (który powstał zamiast wileńskiego), mianował dla szkół powiatowych w Telszach i Podubisiu etatowego dozorcę, mającego rangę gubernialnego sekretarza, Juliana Łabuńskiego. Z tej więc nominacyi wnioskowaćby można, że w Telszach już tylko powiatowe były szkoły; ale w rok potem do tegoż prowincyała uczniowie szkoły powiatowej telszewskiej i gimnazyalnej (tak powiedziano w tej prośbie) podali skargę na nauczyciela matematyki, O. Zahorskiego, który po śmierci O. Tyburcego Szyszkowskiego³ objął ten obowiązek, że źle, a raczej prawie nic ich nie uczy matematyki, i prosili o nowego nauczyciela do tego przedmiotu. Na tej skardze, „za zgodą całej szkoły Powiatowej

¹ Cfr. Kalendarzyk Wileński na ten rok.

² Wołonczewski, *Żemajtin Wiskupistc*, II., p. 60.

³ Oryginał tej skargi i rozporządzenie o Łabuńskim, jest w rękę piszącego.

i Gymnazyalney“, podpisało się kilkunastu uczniów z różnych klas, a w liczbie tych i z piątej i szóstej; z tego więc, skądinąd bardzo smutnego wypadku, można wnioskować, że tam było znowu jak przed 1825 rokiem sześć klas, lecz w każdym razie trwało to niedługo.

Prefektem szkół po powstaniu był najprzód O. Chylkiewicz, a potem O. Dydak Sambor, człowiek gwałtownego, prędkiego charakteru, na którego szły skargi często do starszyny zakonnej; tak np.¹ 1836 r. skarżył się na niego O. Ostyan Galimski, nauczyciel matematyki w Telszach, wykazując gburowatość jego i niesprawiedliwość wobec podwładnych. Ale też niekiedy i sami nauczyciele Bernardyni dawali powody do niezadowolenia w Telszach; i na nich się skarżono², a nawet zdarzało się, że sami gwardyani zmuszeni byli referować prowincyałom o smutnych zajściach, których przyczyną bywali ich podwładni...³ Rząd jednakże — jak się zdaje — miał inne zapatrywanie na bernardynskie szkoły. Daje się to zauważyć w referacie hr. Protasowa, który wizytował z rozporządzenia rządowego szkoły na Litwie w r. 1835, a który tak w jednym miejscu mówi⁴: „Bernardyni na Żmudzi mają dwie szkoły: w Datnowie i w Telszach; w jednej i w drugiej wiedza nauczycieli bardzo słaba, ale sprawiedliwość nakazuje powiedzieć, że szkoły Bernardynów mniej są szkodliwe, niż innych zakonów. Datnów o dziesięć tylko wiorst od Kiejdan (gdzie znowu była szkoła natenczas), więc szkoła w Datnowie niepotrzebna; telszewska powinna zostać, zanim ją nie zorganizują, ponieważ blisko szkół niema, ale potrzeba tam dać przynajmniej dwóch nauczycieli świeckich: do wykładu języka rosyjskiego i historii; Łabuński zaś będzie teraz

¹ Oryginał tej skargi w rękę piszącego.

² List Józefa Wertela, adwokata sądu powiat. w Telszach, pisany do prowincyała, 25 srp. 1833 r., w którym skarży się na prof. fizyki, Bernard. Prokopowicza, i Koszkę, literatury. — Oryginał w rękę piszącego.

³ Raport w kwietniu 1839 roku przełożonego klasztoru w Telszach, O. Ihnatowicza, do prowinc. Wiszniewskiego, o O. Gimbutcie, kaznodziei, którego oryginał w rękę piszącego.

⁴ Cfr. *Dopótnienie k'sborniku postanowlenij*, p. 486—487.

mieszkał w Telszach i miał dozór, jak wykładają zakonnicy i jak się uczniowie prowadzą“.

Zmiany żądane przez hr. Protasowa natychmiast zostały zaprowadzone, a w roku następnym dozorca szkolny Łabuński — zapewne nie tak energiczny jak tego chciano — ustąpił miejsca panu Kuczajewowi, dymisyonowanemu podpułkownikowi, po którym nastąpił p. Bazanin, także były wojskowy, pułkownik¹. W r. 1836 szkoła powiatowa telszewska liczyła 260 uczniów² i istniała jeszcze lat kilka podług dawniejszej, mniej więcej, organizacyi pod opieką niby OO. Bernardynów, których jednakże władza coraz więcej uszczuplaną i zmniejszaną była.

W r. 1841 dnia 20 maja cesarz rozkazał, wskutek przedstawienia ministra oświaty, mianować przy telszewskiej bernardyńskiej szkole, osobnego lekarza bez pensyi, ale korzystającego z praw lekarzy na służbie rządowej przy szkołach³; lecz we dwa lata potem (1843 r., 20 paźdz.) szkołę bernardyńską w Telszach skasowano i utworzono tam t. zw. szlachecką powiatową szkołę podług modły z roku 1839, wyznaczwszy na jej utrzymanie pewną sumę z funduszków klasztorów zniesionych w roku 1832. W takich szkołach dozorca pobierał rocznej pensyi 500 rs.; katechetów bywało zwykle dwóch (dla katolików i panującego wyznania), którzy pobierali po 150 rs. rocznie; starsi nauczyciele, języka rosyjskiego i łaciny, otrzymywali po 400 rs., młodszy nauczyciele po 300 rs.; ci zaś, co wykładali języki nowożytne, pobierali tylko po 240 rs., nauczyciel rysunków 150 rs.; na różne rozchody szkoły wyznaczono 450 rs., — razem 3580 rs.⁴

Dalsze dzieje szkół w Telszach, które już nie wchodzą w zakres tego opowiadania, były takie: Tę pięcioklasową szkołę szlachecką, utworzoną w 1843 r., skasował rząd w r. 1858⁵, a we dwa lata potem rozkazał otworzyć w Telszach t. zw. pięciokla-

¹ Cfr. Wołoncewski l. c., i także wiadomość o tem w papierach piszącego.

² Z referatu ministerium spraw wewnętrznych za ten rok.

³ Cfr. *Sbornik Postanowl.* II, 2, p. 253.

⁴ Cfr. *Sbornik Postanowl.* II, 2, p. 443 i *prilożenia* p. 26.

⁵ Cfr. *Sbornik Postanowl.* III, p. 331.

sowy oddział gimnazjalny, noszący niekiedy nazwę progimnazyum¹, które tu trwało lat 8, i następnie, w 1868 r., po skasowaniu progimnazyum, pozostała w tem mieście powiatowem tylko dwuklasowa szkoła².

Wołyniak.

¹ Cfr. *Sbornik Postanowl.* III, p. 504.

² Cfr. *Skornik Postanowl.* IV, p. 922.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pojasnenije swiatych Jewanhelij. Napisał ks. dr. Józef Komarnicki.

Jak ważną i konieczną jest rzeczą w obecnych czasach rozumienie Pisma św. w duchu katolickim, każdy to przyzna; ale jak wielki brak zarazem czuć się daje głębszego pojęcia tegoż, również widzimy. Stąd też z prawdziwą radością witany niniejsze dzieło ks. d-ra Józefa Komarnickiego. Słusznie można powiedzieć, że obiektywna i sama przez się wzniosła prawda ewangeliczna *in Deo gloriabitur et laudabit animam suam*: o ile zaś objaśnienie naukowe tej prawdy, w swoim rodzaju pierwsze, pojawia się w języku ruskim, o tyle *in medio populi sui gloriabitur*¹.

Szanowny autor, znany redaktor *Duszpastyra*, powziął zamiar wyjaśnić w języku ojczystym trudniejsze miejsca czterech Ewangelij, a pracę tę ofiaruje bezpośrednio ruskiemu Duchowieństwu, pośrednio zaś wszystkim swym braciom Rusinom, pragnąc, aby wiara czerpana z Pisma św., przez wyjaśnienie trudności napotykaných w czytaniu Ewangelij, wzmocniła się i rozproszyła swym jasnym promieniem wszelkie zarzuty ciemności.

Już na wstępie pierwszego zeszytu, podniósłszy boskość i niezmienność Słowa Bożego wobec wszelkich chwiejnych wytworów ducha racjonalistycznego, zwraca się autor do kapłana, jako pasterza i kierownika dusz sobie powierzonych, i zaznacza nieodzowny obowiązek czy-

¹ Eccl. XXIV. 1.

tania Pisma św., słowami św. Pawła: *Dum venio, attende lectioni*¹ *omnis (enim) scriptura divinitus inspirata, utilis est ad docendum...*².

Obowiązek powyższy stwierdza gorącemi i pełnemi zachęty słowami Ojców św., ukazując zarazem smutne skutki dla kapłana, gdy zaniedba czytania Pisma św., i usuwając zarzuty, czynione z wrzekomu braku czasu.

Ponieważ jednak z jednego i tego samego kwiatu miód i truciznę zbierać można, podaje szan. autor niektóre warunki potrzebne do czytania Pisma św. Pierwszym z nich jest czyste i proste serce, *animalis enim homo non percipit quae sunt Spiritus Dei, stultitia enim est illi, et non potest intelligere; spiritualis autem iudicat omnia*³. Drugim warunkiem jest dobra intencja, połączona z modlitwą i pokorą. Trzecim, silna wiara, albowiem: *jeżeli nie będziecie wierzyli, nie ostoicie się*, mówi Pan Bóg przez usta proroka Izajasza⁴. Nakoniec potrzebnym jest, nadewszystko duch Kościoła katolickiego, albowiem Kościół żyjący i kierowany przez Ducha Świętego jest autentycznym tłumaczem ksiąg świętych.

Po tej ogólnej zachęcie do czytania Pisma świętego, przechodzi autor do nazw i podziału tegoż. W wyliczaniu ksiąg Starego Testamentu podaje nam liczbę 46, Nowego 27, opierając tę liczbę na koncylium Trydenckiem⁵. Zdaje się jednak, że tu zaszła pomyłka w liczeniu, albowiem koncylium podaje tylko 45 ksiąg St. Test. Być może, że autor „Narzekania Jeremiasza“ policzył za osobną księgę, według tekstu hebrajskiego, kanon jednak tego nie czyni, a liczba 45 przyjętą została u wszystkich. Mniej jak 45 można także liczyć, natenczas niektóre księgi uważa się za jedną całość.

Następnie mówi autor o Ewangeliach w ogólności, o ich wzajemnym do siebie stosunku i chronologii tychże, przywołując różne zdania uczonych. Ponieważ zaś na str. 66 zastrzegł się, że o innych pytaniach, należących do tych kwestyj, szerzej pomówi w tłumaczeniu samego tekstu, spodziewamy się, że i kwestya o chronologii uzupełnioną zostanie przy komentarzu na św. Łukasza⁶. Że jednak, zdaje nam się, właściwiej było tutaj, gdzie się zasadniczo tę kwestyę rozberra, ją umieścić, dlatego pozwalamy sobie głębiej ją zbadać.

Jak ważną rzeczą jest rozwiązanie tej kwestyi, wynika już stąd,

¹ 1. Tim. iv. 13. ² II. Tim. iii. 16. ³ 1. Cor. ii. 14.

⁴ VII. 9. ⁵ Sess. 4. de Can. Script.

⁶ „I stało się, że w one dni wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby popisano wszystkich świat. Ten popis pierwszy, stał się od starosty syryjskiego Cyryna“. (II. 1, 2).

że Mommsen, zacięty nieprzyjaciel prawdy ewangelicznej, w swoim dziele: *Res gestae divi Augusti*, otwarcie zarzuca błąd historyczny św. Łukasowi, a z nim i inni racjonalisci, jak: Straus, Renan i t. p. Chodzi więc tu nie tylko o oznaczenie roku urodzenia, działalności i śmierci Chrystusa Pana, ale zarazem o usprawiedliwienie św. Łukasza, którego tekst jest podstawą niejako całej tej dyskusji. Jeżeli św. Łukasz rzeczywiście zblądził, to niema co więcej dysputować, gdyż łatwo wtenczas wykazać, że wszystko co pisze może być fałszem. Wszystkie dotychczasowe hipotezy usprawiedliwiające Ewangelistę, które przypuszczają, że spis ten był za starosty Cyryna, mają tę niedogodność, że przez jakieś historyczne lub paleograficzne odkrycie, mogą w jednej chwili runąć i znowu uczeni pracę swą *ab ovo* rozpoczynać będą musieli. Hipoteza znów, która wyklucza Cyryna, jaką stawia Godet, Huetius, Whistem, Valesius i inni, nie zadawalnia zupełnie. Należy zatem postawić rozwiązanie tej kwestji takie, któreby niezależnie od czasu i okoliczności, dla probabilizmu historycznego niebezpiecznych, miało swą wartość i niezachwianą podstawę — a w porównaniu do innych hipotez, zarówno jak one, a może i lepiej broniło świętego Ewangelisty. Rozwiązania tego należy szukać w samym tekście św. Łukasza, a określwszy jego sens, ograniczyć kwestję chronologiczną za pomocą danych wziętych skądinąd. W tekście greckim czytamy: αὐτῇ ἡ ἀπογραφῇ πρώτη ἐγένετο ἡγεμονεύοντος τῆς Συρίας Κυρηνίου. Oprócz zwyczajnego sensu tych słów, możemy wyprowadzić i inny, a mianowicie: „ten spis był pierwiej nim Cyryn został starostą Syrii“. Tekst grecki bardzo dobrze nadaje się do takiego tłumaczenia, ponieważ słowo πρώτος używa się również zamiast *comparativu* πρώτερος z następującym *genitivem*. Przykłady podobnej składni nieraz w Piśmie św. spotykamy. Pozostaje tylko trudność, że porównane przedmioty nie są tego samego rodzaju, co zwykle zachodzi przy takiej konstrukcji. Dla rozwiązania tej trudności przypuścić należy na chwilę (później okaże się, że to przypuszczenie ma swoją podstawę), iż tu zachodzi tak zwana *brachylogia vel elipsis*, a pełny tekst pierwotny tak się przedstawia: αὐτῇ ἡ ἀπογραφῇ ἐγένετο πρώτη (τῆς ἀπογραφῆς γενομένης) ἡγεμονεύοντος τοῦ Κυρηνίου. Tak przedłożył już ten tekst Huszche. W takim razie mielibyśmy następujący sens: ten spis był pierwszym po spisie uczynionym przez starostę Cyryna — pozostawiając niejako w domyślniku następujące objaśnienie: „Powiedziałem ci na początku Teofilu, że wszystko starannie i dokładnie badałem. Dowiedziałem się zatem, że dwa spisy były w Ziemi Świętej, w niewiele lat jeden po drugim; jeden znany wszyst-

kim, który był powodem rozruchów Judasza Galilejskiego, za Cyryna rządzącego Syryą, a przed nim był inny, który się odbył zupełnie spokojnie w państwie Heroda, po wyjściu, jak ci wiadomo, edyktu Cezara Augusta, aby cały świat (nietylko Judea i Syrya) był spisany“. Ten zatem spis, który nietylko był pierwiej nim Cyryn został zarządcą Syryi, ale który był pierwszym ze wszystkich spisów, jest przyczyną, dlaczego Chrystus, którego Rodzice mieszkali w Galilei, narodził się w Betleem Judzkim. Lecz powie kto: dlaczegoś św. Łukasz wyrażnie tego nie napisał, dlaczego nie położył *πρώτα*, i dlaczego użył tej elipsy. Odpowiedź na to może być ta, że św. Łukasz przez ten synoptyczny krótki nawias chronologiczny, nietylko dał znać, że spis ten był pierwiej niż spis za Cyryna, ale że był pierwszym ze wszystkich, jakie w Ziemi Świętej miały miejsce. Zatem wyrazowi *πρώτη* podwójne daje znaczenie: absolutne i porównawcze. Co się tyczy wyrzutni, jakąśmy wyżej przypuścili, można ją w ten sposób uzasadnić: W przywiedzionym tekście greckim znajdujemy wyraz *πρώτη* przed *ἐγένετο*; w najdawniejszych jednak kodeksach: *Sinaiticus* κ* i *D. Cantabrigensis*¹ mamy ten wyraz po *ἐγένετο*. Powagą tych kodeksów przekonany Tischendorf, kładzie już obecnie w tekście greckim *πρώτη* po *ἐγένετο*, gdy przedtem tego nie czynił. Skąd więc ta różnica pod względem miejsca tego wyrazu w najautentyczniejszych kodeksach? Jeżeli zwrócimy uwagę na sposób pierwotny pisania po grecku (jakiego oczywiście i św. Łukasz używał), najprawdopodobniej przedstawi nam się tekst oryginalny w następującym kształcie: *αὕτη ἡ ἀπογραφὴ ΠΡΟΤΗΕΝΕΤΟΠΡΟΤΗΤΕΜΟΝΕΥΟΝΤΟ* *Κυρηνίου*... W takim razie jak najwyraźniej otrzymujemy sens słów św. Łukasza taki: Spis ten był pierwszy niż (*πρὸ τῆς*) spis za starosty Cyryna. W kopiowaniu oryginału, przepisywacze nie zdając sobie sprawy, co by znaczyło dwukrotne użycie słowa *ΠΡΟΤΗ*, to jest raz przed *ἐγένετο*, drugi raz (*ΠΡΟΤΗ*) po niem, uważają to za zwyczajną omyłkę i opuszczają jedni jedno, drudzy drugie *ΠΡΟΤΗ*. I stąd to prawdopodobnie pochodzi tak zwana *varians lectio* w najlepszych kodeksach².

Lecz dziwnem się może komuś wyda, dlaczego św. Łukaszowi tak bardzo leży na sercu spis Cyryna, kiedy ten był zupełnie różny od

¹ Confr. Justin. contr. Trifonem, 78.

² Jeżeli zaś kto na podstawie Kodeksu Synaickiego i Kantabryjskiego przypuszcza, że św. Łukasz napisał „*πρὸ τῆς*“ tylko po *ἐγένετο*, w takim razie niema żadnej trudności w zrozumieniu tekstu; i to byłoby najlepsze przypuszczenie, gdyby w innych kodeksach *πρώτη* nie stało przed *ἐγένετο*.

pierwszego? Odpowiedź na to wskazaliśmy już wyżej, lecz tutaj jeszcze wyraźniej ją podamy. Spis za Cyryna, wskutek którego Judea zupełnie przekształconą została w prowincję rzymską, a miasto święte Jerozolimę wraz ze świątynią Jehowy stało się zależnem od pogańskiego cesarza, a potem z powodu częstych rozruchów naród wybrany do zupełnej ruiny został przyprowadzonym za Tytusa — spis ten, mówię, tak żywo tkwił w pamięci Izraela, że ktokolwiek mówił o spisie, nie rozumiał innego, tylko ten, jaki się odbył za Cyryna, starosty Syrii¹. Święty Łukasz zatem, chcąc zaznaczyć, że to był inny spis, musiał jakimś sposobem przestrzedz czytelnika, aby nie rozumiał, że jest mowa o spisie za Cyryna. Herod bowiem, pragnąc za namowami swej ambitnej żony otrzymać od Augusta tytuł króla, starał się w swoim państwie dokonać tego spisu jak najspokojniej, tak, aby Żydzi nie spostrzegłszy się zostali spisani; co mu się też tak dalece udało, że fakt ten rychło poszedł w zapomnienie. Św. Łukasz więc, nie mogąc dla tej przyczyny wyróżnić tego spisu jakąś cechą dodatnią, odróżnia go ujemnie czyli względnie do późniejszego, ale głośniego spisu za Cyryna.

Takie jest ostateczne rozwiązanie tej kwestyi, ściśle z kwestyą chronologiczną złączonej. Cóż o niem możemy sądzić? Zapewne na pierwszy rzut oka zdaje się nie zaspakając rozumu równie jak inne rozstrzygnięcia tej kwestyi. Jeżeli jednak zastanowimy się nad niem, bezstronnie, to zobaczymy, że stoi ono wyżej nad wszystkie. Usprowadziła bowiem najpierw zupełnie św. Łukasza; po drugie, opiera się na podstawach naukowo dobrze uzasadnionych; po trzecie, co najważniejsza, jest niezależnem od wszelkich postępów nowoczesnej umiejętności i odkryć, bo jakież postępy lub jakież odkrycie może się tak wytłumaczonym słowom św. Łukasza sprzeciwić; po czwarte, tłumaczy ono dosyć zaspakajająco milczenie o tym spisie Józefa Flawiusza.

Nie przesadzając, czy szan. autor w właściwym miejscu zgodzi się na nasze wywody, pragniemy jednak przy tej sposobności je wypowiedzieć.

W drugiej części tego tomu traktuje autor w szczególności o Ewangelii św. Mateusza, rozwiązując naukowo i krytycznie pytania: kto był św. Mateusz, jaką pewność mamy o autentyczności jego Ewangelii, w jakim języku, kiedy, gdzie, dla kogo i w jakim celu pierwotnie pisał; następnie podaje podział Ewangelii. Po tych ogólnych, uzasadnionych

¹ Confr. Act., v, 37.

i dobrze rozłożonych wiadomościach, przystępuje autor do wyjaśnienia samego tekstu, rozpoczynając od genealogii Chrystusa Pana.

O samym komentarzu niewiele powiedzieć możemy, gdyż w tym tomie ogranicza się on na 18 wierszach. Jednakże i z tego co jest wnosić możemy, że autor nie szczędzi pracy i zabiegów, aby Braci swej dopomódz w tak niezbędnym umiejętnym czytaniu Pisma św.

Ponieważ dzieło to tak pięknie i gruntownie rozpoczęte, przede wszystkim duchowieństwu ma nieść usługę i pomoc, przeto mamy niepłonną nadzieję, że autor uwzględni także nietylko przygotowującą się do stanu kapłańskiego młodzież, ale w ogólności oddających się studyum teologicznym, i dlatego poda przy objaśnieniach tekstów, tak zwanych dogmatycznych, szersze rozprawy naukowe, przekonywające rozum, i broniące dogmatu przeciw wszelkim racjonalistycznym i heretykim napaściom. To też z radosną niecierpliwością oczekujemy dalszych tomów tak pięknie rozpoczętego dzieła, i jesteśmy pewni, że współbracia nasi Kapłani z wdzięcznością przyjmą to młode, w ogrodzie literatury kościelnej ruskiej zasadzone drzewko.

Μόναχος Σωτήρ.

Złote książeczki. Wydał dr. J. Tylka. Tarnów 1892.

Ks. dr. Jacek Tylka, kanonik kapituły tarnowskiej, który obdarzył nas niedawno bardzo pięknym przekładem dzieła Scheebena p. n. „Uwielbienia Łaski Bożej“, wydał znów pod powyższym napisem dwa dziełka małych rozmiarów, ale treści bardzo obfitej i cennej, mianowicie: św. Bernarda „O stopniach pokory i pychy“, i Klemensa Aleksandryjskiego: „Który bogacz będzie zbawiony?“ Pierwsze już wprowadzie raz wyszło w tłumaczeniu polskim (w Wilnie 1849) razem z innemi pismami św. Bernarda, ale to tłumaczenie nie wytrzyma porównania z pracą ks. Tylki, jak moglibyśmy łatwo wykazać, konferując ustępy trudniejsze w jednym i drugim spolszczeniu: pierwszy tłumacz mało się troszczył o dobór wyrażań, a nawet i o wierność; tak np. w rozdz. XVIII. zamiast wyrazu: *praelatus*, podstawia „spowiednik“; otóż ta dowolna zmiana tekstu wypaczyła zupełnie myśl oryginału.

Przekład św. Bernarda należy niezawodnie do najtrudniejszych z tego powodu, że wysłowienie jego jest bardzo często aż nadto zwięzłe i przypomina słowa Horacego: *brevis esse volo, obscurus fio*, że pełno w niem figur krasomówczych, pełno antytez i zwrotów bardzo wyszukanych. Ta jego właściwość utrudnia też niemało lekturę oryginału

i trzeba dobrze znać język łaciński, żeby go czytać z łatwością. Tem większa jest zasługa ks. kan. Tylki, że podjąwszy się zmuśnej, a zwykle niewdzięcznej pracy tłumacza, dokonał jej tak starannie. Zdaje nam się, że obie te książeczki powinny znaleźć wielu czytających i wśród wykształconych katolików stanu świeckiego — pismo Klemensa jest wybornem kazaniem dla bogaczy — ale szczególnie mogą się przydać kapłanom i jako lektura duchowna i jako materiał do kazań. Ileżto razy słyszy się bezbarwne i nużące deklamacje na temat „świętej pokory“ i „szatańskiej pychy“, zaczerpnięte ze źródła bardzo skąpego, bo z tuzinkowych wyrobów niemieckich, którym brakuje przymiotu najważniejszego, tj. wymowy porywającej i chwytającej za serce i działającej skutecznie na wolę! Tu zaś na każdej stronnicy znajdujemy wyrażenia jędrne i piękne, pełne życia i krasomówczej siły, a zarazem świętego namaszczenia (jak np. trzy apostrofy w rozdz. IX.: do Dyny, Ewy i Lucyfera, albo apostrofa i *sermocinatio* w rozdz. ostatnim). Czyż nie lepiej więc zrobi kaznodzieja, jeśli to powtórzy z ambony, pomijając naturalnie ustępy treści mistycznej i dla ludu za trudne? Jak porywająca jest także modlitwa w rozdz. IX., ile tam tekstów i wyrażań Pisma św. wybornie wplecionych; jak trafna jest charakterystyka pysznego zakonnika (w rozdz. XII. i XIII.), która może posłużyć jako wzór do skreślenia podobnych objawów u ludzi innego stanu!

I dzieło Klemensa, chociaż naturalnie wartość jego jest mniejsza, zawiera dużo znakomitej treści, a szczególnie piękną zachętę do dobroczynności (od str. 88 do końca). Oba zaś pisma wyprzedza treściwa wiadomość o życiu i dziełach autorów. Wydanie jest wogóle staranne.

Jeszcze jedno dodajemy życzenie, odnoszące się do drugiego wydania, które niebawem, jak mamy nadzieję, okaże się potrzebnem: za mało nam jeszcze uwag, wyjaśniających ustępy trudniejsze, jak np. następujący (str. 96 i 97 św. Bern.): „Albowiem przewyższają (te rzeczy) wszelką ową wiadomość, którą noc nocy podaje; dzień jednak dniowi opowiada słowo, a między mądrymi wolno jest ogłaszać mądrość i duchownym udzielać skarbów duchownych“. Słowa „noc nocy“ i t. d. są wzięte z psalmu 18, w. 2 (co należałoby dopisać), lecz mają tam inne znaczenie; św. zaś Bernard rozumie tu widocznie przez „noc“: niewiadomość ludzi, przez Boga nieoświeconych, a przez „dzień“: prawdziwą mądrość. Cały także ustęp, zaczynający się od słów: „Ma i pokora w tej samej łożnicy swoje uczy“ i t. d. (str. 63 sqq.), wymaga pewnych wyjaśnień, bez których niełatwo go zrozumie czytelnik, nie-

obeznany z mistyką. Rozdziały zaś „o stopniach pychy“, traktują głównie o zakonnikach; byłoby więc rzeczą bardzo pożyteczną, gdyby następne wydanie podało w komentarzu pewne wskazówki, jak tę osnovę mają zastosować do siebie osoby, żyjące wśród świata.

Cały dochód z rozsprzedaży przeznaczony jest na restaurację katedry tarnowskiej. Cena egzemplarza bez przesyłki wynosi tylko 1 zlr. Nabyć zaś można przez księgarnię p. Rahszki, lub wprost u tłumacza.

X. P.

Egzorty do młodzieży szkolnej. Napisał ks. *Feliks Józefowicz*, katecheta c. k. II. gimnazjum we Lwowie. We Lwowie. Nakładem Autora. 1893 (8^o, 240).

Autor uporządkował notatki, z których czerpał przez kilkanaście lat materyał do okolicznościowych egzort, i wydał je w tym zamiarze, żeby młodszych kapłanów zachęcić do dalszej pracy w zawodzie katechetycznym, a zdolniejszych pobudzić do napisania czegoś lepszego. Z tego zadania i w tych rozmiarach, jak je sam nakreśla, wywiązał się autor bardzo szczęśliwie.

Jedną z głównych zalet tej pracy stanowi dobór myśli w niej poruszonych: o potrzebie pracy naukowej (w egz. 1, 6 i 15), o wyborze stanu (w 9 i 17), o spowiedzi (w 3 i 13), o Komunii (w 4, 8 i 14), o rekolekcyach (w 7), o bierzmowaniu (w 16), o posłuszeństwie (w 5), o pobożności (w 12), o zachowaniu się podczas wakacyj (w 10), o dalszem życiu po skończeniu gimnazjum (w 11 i 19). Mniej jędrnej treści zawierają egzorty: (2) o moralnej dobroci i panowaniu nad złą skłonnościami ciała, i (18) o wdzięczności dla Pana Boga. Najmniej mogą dostarczyć osnovy do przemów kaznodziejskich trzy ostatnie egzorty, dwie powiedziane przez samegoż autora na pogrzebach, i pożegnalna przy opuszczeniu zakładu, a najtrudniej byłoby zastosować do kościelnej mownicy dwie literackie przemowy, wygłoszone na wieczorku mickiewiczowskim przez świeckich nauczycieli. Może jako przykład wymowy dołączone tu zostały.

W doborze myśli i dowodów uniknął autor wszelkich pomysłów nadzwyczajnych: każdą naukę osnuł na prawdach odwiecznych i oparł ją na argumentach, które nie mogą nikogo razić, jako niesłychana nowość, ani w umyśle młodzieży nie nasunąć żadnych poglądów mniej ustalonych. Potoczysty język i przejrzysty sposób wykładu, ułatwia czytanie i korzystanie z egzort. Nie są to zresztą suche tylko jakieś

notatki; czuć wszędzie życie i zapał przemawiający do serc, do wyobraźni; a zapał ten udziela się czytelnikowi, jak w swoim czasie udzielać się pewnie musiał słuchaczom.

Ks. K. C.

M. Kawecki i F. Tomaszewski. Fizyka i krótki rys kosmografii dla wyższych klas szkół średnich. Podręcznik dozwolony do użytku szkolnego reskryptem W. c. k. Rady szkolnej. (Str. XII, 261).

Dodatek: **Chemia**, wydanie drugie, dozwolone do użytku szkolnego rozporządzeniem W. c. k. Rady szkolnej. (Str. VIII, 53). W Krakowie. Nakładem autorów. 1892.

Autorowie tej książki, prawdziwie wzbogacili nią nasze szkolnictwo. Podjęli oni robotę niełatwą: zamierzili podać w zaokrąglonej całości treść zasad nowoczesnej fizyki i chemii, tak do użytku w szkole, jak dla wygody czytelnika, który tych umiejętności głębiej badać nie może, a chce znać dzisiejszy stopień ich rozwoju. Zamiaru tego dokonali z zupełnem powodzeniem.

A najprzód znacznie prześcignęli swoich poprzedników przez szczęśliwe zmiany, jakie wprowadzili w rozkładzie pojedynczych działów fizyki. Zająli stanowisko, z którego umiejętność dzisiejsza spogląda na zjawiska całej przyrody: matematycznie obliczają ich prawa i sprowadzają je do jednego pojęcia odmian ruchu, czy to zewnętrznego, całych ciał, czy wewnętrznego, ich cząstek. To też odpowiednio do tego, zaczęli od wykładu mechaniki, żeby na prawach ruchu oprzeć jednolity pogląd na cały tok zjawisk, rozbieranych w pojedynczych działach fizyki.

Może jednak jeszcze stosowniej byłoby, zaraz po dynamice umieścić naukę o ruchu falowym, a nie odkładać jej aż na czwarte miejsce, po kaloryce, jakby wstęp do akustyki. Czytelnik widziałby zaraz mechanikę międzycząstkową po mechanice całych ciał i na tem tle od razu spoglądałby na całą fizykę, zgodnie z jej duchem dzisiejszym.

Jeżeli główny rozkład książki stanowi jej zaletę, tem więcej trzeba chwalić autorów za porządek, którego się trzymali w opracowaniu każdego ustępu oddzielnie. Wogóle stawiają na początku albo zasadę, już dowiedzioną, albo przebieg nowego doświadczenia; za tem idzie nie jakaś rozprawa, w której czytelnik się gubi, ale jędrny i dokładny rozbiór pewnika albo spostrzeżenia. (W nawiasie możnaby zarzucić, że pan A. M. K. niepotrzebnie spostrzeżenie przezwiał dostrzeżeniem; dostrzega oko tego od razu, co spostrzega po bacznej

uwadze; dostrzeżenie więcej oznacza percepcję, obserwację lepiej wyraża spostrzeżenie). Dalej wnioski w ścisłym związku następują jedno po drugim; gdzie potrzeba, tam z pomocą przychodzi matematyka i prawo ujmując w formułkę. Mimochodem można zauważyć, że autorowie zrobiliby znaczne ułatwienie czytelnikom, gdyby byli do formuł dołączyli porządkowe liczby, do których mogliby potem odsyłać, przy ponownych o formułce wzmiankach, w dalszym toku dzieła. W końcu ustępu zagadnienia pobudzają czytelnika, żeby sam rachunkiem zdał sobie sprawę, czy rozumiał prawo; albo w kilku słowach wzmianka o głównych doświadczeniach, ułatwia uczniowi przy powtórce przypomnieć sobie to, co widział w gabinecie.

Żeby ująć treść dzieła w karby takiego porządku, musieli autorowie pracować z myślą głębszą i wyrobionym poglądem na naukę. Mimo to nie popadli w błąd dość częsty u głębszych myślicieli: tj. zapatrzeni na ogół nauki, nie spuścili bynajmniej z oka jej szczegółów; zajęci oderwaną teorią, którą systematycznie rozwinęli, nie zaniedbali praktycznego opisu jej podstaw. Szczupłe rozmiary ich książki o fizyce, a jeszcze zwięźlejszy jej dodatek, chemia, obejmują taką sumę wiedzy szczegółowej, prawie drobiazgowej, że więcej już chyba ani czytelnik nie może zapragnąć, ani nauczyciel nie zechce dyktować nowych dodatków. Autorowie krótko i węzłowato w cienkiej książce więcej powiedzieli, aniżeli niejeden z poprzednich podręczników zawierał w sporym tomie. W dowodzeniach prawie każdy wyraz obliczyli; ani rachunków matematycznych nie rozciągnęli w całym ich przebiegu: wytykają tylko główne punkta dowodów i rachunków, najstosowniejsze do tego, żeby uczeń wbił sobie w pamięć ich pochód.

Ale ta nadzwyczajna zwięźłość mieści w sobie zarazem powód do zarzutu, że autorowie obliczyli swój podręcznik na wykłady nauczyciela nie mniej zdolnego niż oni sami. Gdy nauczyciel ze średnio tylko rozwiniętym poglądem na przedmiot, używać będzie tego podręcznika, wątpić można, czy dostatecznie rozwinie rachunki i wyjaśni dowody, nie od razu przystępne dla uczniów. Jest to więc pewna niedogodność, ale swoją drogą treściwość książki szkolnej jest niezmierną jej zaletą.

Inny zarzut, może poważniejszy, jest, że choć autorowie znakomicie analizują szczegóły, to jednak gdy wchodzi w najogólniejszą syntezę pojęć, tam określenia ich nie są zadawalniające. Na samym początku np. przychodzi określenie materji takie: „wszystko to, co na zmysły nasze oddziaływa, nazywamy materją“. Może dokładniejszym

byłoby określenie: „co zdolne jest na zmysły działać“, gdyż wielka część materji żadnej nie ma faktycznie z naszymi zmysłami styczności i mieć nie może.

Zaraz po tem przychodzi określenie „ciała fizycznego“, jako „materji wypełniającej część przestrzeni“. Jest to orzeczenie w treści swojej wprawdzie już w podręcznikach utarte, ale, jak nam się zdaje, niedokładne; nie taki jest bowiem stosunek ciał do materji, jakoby materja była całością, wypełniającą całą przestrzeń, a pojedyncze ciała częściami, wypełniającemi osobne części przestrzeni; ale materja jest ogółem, a ciała są rodzajami i gatunkami, odróżniającemi się nie przez części przestrzeni, ale jak sam autor mówi dalej, przez własności szczególne, które każą przypuszczać odrębne specyficznie natury. W powietrzu np. wypełniającem jakiś pokój, są dwa ciała: tlen i azot, niezależnie od tego, czy osobne miejsca zajmują, ale ze względu na to jedynie, że odrębne objawiają własności.

Dalej pan A. M. K. określa „zjawiska“, jako „zmiany jakim ciałą alegają“. Nam się zdaje, że zjawisko jest tem, co się jawi, co bezpośrednio podpada pod zmysły. Przyczyną zaś zjawiska jest zmiana, która może być wewnętrzna i którą dopiero nauka ze zjawisk odgaduje.

Przeciwno paru innym określeniom możnaby jeszcze coś powiedzieć, ale są to wszystko zarzuty już w zakres filozofii wchodzące, i mimo tych kilku usterek, dzieło pp. K. i T. zostaje znakomitą książką szkolną, która śmiało iść może w zawody nietylko z temi, jakieśmy mieli dotychczas, ale z najlepszemi podręcznikami zagranicy.

Ks. K. C.

Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Tom XVIII.

Zeszyt I., z dwoma portretami i kartą. Poznań 1891. (Str. 374).

„Służmy pocziwej sprawie“: tem hasłem rozpoczął dr. Zielewicz, członek wydziału lekarskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, swoją pracę o życiu jednego z kolegów, d-ra T. Mateckiego. Hasło to nie było tylko wyrazem jego uczuć osobistych: ośmnasty tom roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk dowodzi, że Towarzystwo skrzętnie pracuje i nie szczędzi mozółu i potu, byle przysłużyć się pocziwej sprawie. Pierwszy zeszyt zawiera kilka prac z poszczególnych działów piśmiennictwa i różne sprawozdania i życiorysy, które pozwalają ocenić działalność naukowej tej instytucji i jej znaczenie w nielicznych dotąd w Polsce tego rodzaju stowarzyszeniach. Dramolet J. Kościelskiego pod napisem: „Na klęczkach“, zajmuje pierwsze miejsce w szeregu utworów zebra-

nych w tym zeszycie, choć nie przewyższa innych prac zaletami formy i treścią; przedstawia chwilę, w której tragic Don Vittorio Alfieri, wielbiciel „kochanka Muz“ Metastazjo, jest świadkiem,

... gdy przed tronu progiem
Wieszcz kolana kornie zgina
Z wielbiciela stał się wrogiem,
i jak czeił, tak teraz przeklina. Ale przekonany
w pośpiechu (*sic!*),
Że sam nie jest wolen grzechu,

daje się przebłagać. — Ważniejsze miejsce zajmuje rozprawa o Ostrorogu, przez E. Calliera, i ciekawa podróż kapitana B. Grąbczewskiego w środkowej Azji. Studium d-ra St. Windakiewicza o ks. Stanisławie Grochowskim, odpowiada wogóle wymogom, stawianym przez krytykę literacką dla podobnych wyrobów, jednej jednak uchybia: nie usiłuje wnikać w ducha pisarza, którego ocenia, i z dziwną pogardą rzuca światło na autora, którego sam uważa za trzeciego z kolei po Reju i Kochanowskim. Pamiętając o tej zasadzie, nie nazywałby może autor swego bohatera „fanatykiem ślepo przywiązany do Kościoła“, przejętego „bojaźliwą dewocją“, z „nienaturalnej inklinacji“ przechylonego „na stronę katolicyzmu, dewocy i panegiryzmu... po przewrotach psychicznych, które niszczą, znieczulają i ubezwładniają człowieka“.

Ks. K. C.

Z życia wiejskiego proboszcza. *Karol Buet.* Przekład z francuskiego przez *Alinę Czechtott.* Warszawa 1892. (Str. 379).

Skromna to tytułem i rozmiarami książeczka, a ileż zawiera wzniosłych myśli, wzruszających scen, miłych przypomnień, wyrwanych z życia i rzeczywistości. Kto sądził może, że życie kapłana spływa na wygodnej beczynności, ten niech weźmie do rąk te kartki, niech rzuci okiem na cel i przeznaczenie kapłańskiego zawodu, wstąpi z autorem do seminaryjskiej celi, na plac boju, do więziennej ciemnicy lub osamotnionego wśród gór Alpejskich probostwa, niech słowem przejdzie całe życie księdza katolickiego — a przekona się, jak żywot ten zapełnia praca dla Boga, walka z sobą, poświęcenie dla dobra i szczęścia bliźniego. Na takim mniej więcej tle przedstawia nam p. Buet, być może, że nie wzięte bezpośrednio z życia, ale do rzeczywistości jak najwięcej zbliżone, opowiadanie o „życiu wiejskiego proboszcza“.

Bohater opowiadania, Emil, trzynasty z rzędu synek ubogich rodziców, wychowany po bożemu w domu, gdzie mu wiośniane lata scho-

czą na zabawach niewinnych, następnie na przygotowaniu do pierwszej Komunii św., na nauce, obiera po rozwadze i modlitwie zawód duchowny. Tu prześlicznie i gruntownie autor wyjaśnia, czym jest ten stan, jakie i jak wzniosłe jego zadanie.

Po mozolnych studiach teologicznych idą prace kapłańskiego zawodu, więc najprzód szkoła, później domowe nauczycielstwo, praca wikaryuszowska, pomoc na polu bitwy, probostwo wreszcie wiejskie ze swemi pociechami i zawodami, wkońcu zgrzybiała starość w towarzystwie staruszki-matki. Oto obraz życia kapłana, który nie szukał rozgłosu ani poklasków u ludzi, ale pracował dla Boga, dla dobra tych dusz wśród gór samotnych, zdala od wielkiego świata. A przecież i ten cichy a obfity w owoce żywot znany jest ludziom, ocenić go umieją, bo oto w przeddzień zgonu przychodzi do skromnego, wiejskiego proboszcza, ks. Emila, z Paryża zapytanie: „czy chce być biskupem?“ Pytanie zaszczytne, nagroda wielka, lecz Bóg ma dlań inną, nie wiedniejącą, ale już wiekiustą — Swojej chwały, do której go wraz z matką powołuje.

Oto w streszczeniu całość opowiadania. Dziwną to wszystko celną prostotą, ujmując czytelnika scenami rzewnymi, czasem i porywającymi. Oczywiście, że opowiadanie uwzględnia tylko stosunki kapłana we Francyi, ale w tych pozornie nam obcych dziejach każdy znajdzie wiele pięknych myśli, pożytecznych nauk, rad i wskazówek. Tłumaczenie udane, w paru miejscach tylko styl wygładziłby może jeszcze nieco należało.

Ks. A. B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Vicissitudes politiques du pouvoir temporel des Papes de 1790 à nos jours. Par *Charles Van Duerm S. J.* Société de Saint Augustin. Desclée, de Brouwer et Cie. Lille (456).

Ks. Van D. wystąpił nie tak w obronie zasad i praw Kościoła, jak raczej ze stanowiska badacza stosunków międzynarodowych. Zachodnia Europa zwróciła uwagę na jego dzieło, które odkrywa przewodnią myśl, utajoną w przebiegu długich walk ostatniego stulecia. Główną to może stanowi cechą i zaletą nowego dzieła, że nie potrąca oderwanych sporów o doczesną władzę papieża, bo na tem polu światły czytelnik nie bardzo objaśnień potrzebuje, po tylu pismach i gło-

sach, powtarzanych w obronie praw papieskich do berła świeckiego. Natomiast autor wyczerpuje źródła, przytacza listy i poufne depesze, streszcza najcenniejsze dzieła i daje wskazówki, jak spoglądać na fakta skądinąd znane, żeby zobaczyć je w nieznanem świetle, i znaleźć dowody, że wypadki na pozór różnorodne i odrębne, istotnie zależały od siebie i tworzą jednolity ciąg napaści na Kościół powszechny.

Z przebiegiem krwawych zapasów między państwami, występują w tej książce na widownię walki ducha przewrotu z Kościołem, także i ci krzewiciele rozstroju, którzy walczyli orężem słowa i pióra, którzy z poważnej pracy parlamentów i zawikłanych zatargów dyplomacji kuli pociski na Rzym. Hasło: „precz z Papieżem-królem!“ nie tylko brzmiało głośno w ustach jawnych najezdników na państwo kościelne: także w ciszy gabinetów tkwiło w myśli niejednego męża stanu, i nie jeden rząd wywieszał przed światem godła zachowawcze, a sterował nawą państwa podług rozkazów potajemnie wydawanych przez szerzycieli przewrotu. Stąd wynikło, że przebieg dziejowych wypadków naszego stulecia, wiele zmian w stosunkach międzynarodowych, upadek niektórych głów ukoronowanych, początek niejednego państwa albo wzrost jego potęgi — wszystko to wygląda na zagadkę dla dziejopisa, który w dobrej wierze spisuje jawne przyczyny tych przewrotów, a nie widzi ich na tle zamachów na odwieczne posady porządku społecznego, ani nie łączy ich przewodnią nicią myśli poczętych w podziemnych pracowniach.

O sposobie, w jaki autor rozwinął treść tego dzieła, świadczy wymownie jego przekład na język niemiecki, nad którym pracuje jeden z wyższych oficerów austriackiej armii.

Ks. K. C.

Die grossen Welträtsel. Philosophie der Natur. Allen denkenden Naturfreunden dargeboten von *Tillman Pesch S. J.* Zweite verbesserte Auflage. Erster Band: Philosophische Naturerklärung (in 8^o, XXV, 799). Zweiter (Schluss-) Band: Naturphilosophische Weltauffassung (in 8^o, XII, 616). Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1892.

Nie można wyjaśnić sobie tego zjawiska, że wrogowie Kościoła na chrześcijańską filozofię spoglądają zawsze z pogardą, chociaż przedstawiciele tej filozofii z owocami niezmordowanej pracy występują raz po raz na widownię walki o prawdę. Sam ks. Pesch powinienby swojemi dziełami przekonać, że chyba zła wola może jeszcze szerzyć prze-

sąd o zacofanem nieuctwie chrześcijańskich myślicieli. Dzieło tego uczzonego pisarza: *Die grossen Welträtsel*, wychodzi już w drugim wydaniu, na dowód, jak odpowiada potrzebom czytelników, niezadowolnionych teoryami pozytywistów.

Nowe wydanie tego dzieła ma tę przewagę nad poprzedniem, że uwzględnia najnowsze zdobycze wiedzy i przez to odpowiada na zarzuty, któremi w ostatnich miesiącach zaczęli chrześcijańską kosmologię jej przeciwnicy. Oczywiście pomysł i zasady całego dzieła pozostały bez zmiany. Od razu zamierzył był autor karmić czytelników strawą nauki, opartej na pewnikach wiedzy doświadczalnej.

Ani w ostatnich kilku latach, ani nigdy nie może być mowy o zmianie istotnych praw świata widzialnego. Dlatego filozofii, opartej na takich pewnikach, nie grozi niebezpieczeństwo, żeby potrzebowała co kilka lat budować na nowych podwalinach. Dlatego autor mógł tylko w podrzędnych ustępach uzupełnić dawne poglądy najnowszymi zdobyczami wiedzy, np. w zasadach fizjologii o rozmieszczeniu czynności mózgowych, albo w niektórych wnioskach ze świeżych odkryć, dokonanych przez badaczy elektryczności.

Z takimi zmianami rozwinął najprzód autor pogląd na istotę filozofii fizyki, nazywanej od Wolfa kosmologią, wykazał jej potrzebę, szczególnie jeżeli spoczywa na zasadach idealno-realnych, i rozebrał zasadnicze pojęcia tej umiejętności: pojęcia materji, siły, prawa i celu. Potem zebrał z jednej strony dowody, któremi popierają swoje nauki mechaniczni i dynamiczni atomiści, z drugiej strony zestawił zasady, których broni perypatetyczna szkoła. W drugiej części dzieła autor walczy z panteizmem i darwinizmem, którym przeciwstawia znowu naukę perypatetyczną.

Nie tyle można podziwiać w autorze filozofa, ile znawcę najnowszego stanu przyrodniczych umiejętności. Filozofii nie wzbogacił autor nowemi poglądami, chociaż streścił najgłębsze nawet zasady swoich poprzedników wykładem jędrnym i zrozumiałym. Ale niewyczerpanym zasobem ścisłej wiedzy, na której buduje, wzbogacił filozofię niezbitemi dowodami, jasnymi dla każdego znawcy nauk przyrodniczych, i zasłużył tem dziełem na rozgłos nie mniejszy od pochwał, któremi świat uczony obsypał jego dzieła poprzednie.

H. J. R.

Die Verwaltung des Predigtamtes, mit Berücksichtigung der gegenwärtigen Zeitverhältnisse. Den deutschen Seelsorgern gewidmet von *Karl Ranke* Pr. d. S. J. Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1892. (VI. 146).

Autor wychodzi z zasady, że z biegiem wieków ciągle zmiany ducha czasu nie pozwalają kaznodziejom zawsze na te same prawdy zwracać główny nacisk, ani zachowywać ten sam sposób wykładu słowa Bożego.

Żeby wysnuć wnioski z tej zasady, opisuje najprzód obie strony obrazu, jaki przedstawia obecnie nasze społeczeństwo. Z jednej strony widzi coraz lepsze nadzieje na przyszłość, kiedy objawy życia chrześcijańskiego rosną przy częstszym przystępie wiernych do Sakramentów, rozkwicie ducha pobożności, w czci Boskiego Serca Jezusowego i Matki Boskiej, przy rozwoju życia zakonnego, wzroście pracy misyonarzy krajowych i zagranicznych i t. d. Ale z drugiej strony wylicza niebezpieczeństwa, jakimi niewiara i brak chrześcijańskich obyczajów grożą społeczeństwu. Następnie autor rozbiera obowiązki, jakie nakłada obecny stan społeczeństwa na duchowieństwo: zwraca przytem uwagę głównie na to, czego pilnować trzeba przy doborze prawd, o których dziś świat słyszeć najwięcej potrzebuje, i jak je wykladać, żeby praca wydała najwięcej plonu.

Z wielką znajomością obecnych potrzeb, udziela wskazówek, jak należy dziś rozwijać dowody prawd wstępnych, otwierających drogę do dziedziny wiary, jak ściśle postępować przy dowodach w nauce o pojedynczych dogmatach, i jak siewca słowa Bożego powinien dziś słuchaczy wychowywać w uczuciach chrześcijańskich przez naukę o nadprzyrodzonym życiu i jego obowiązkach. Kaznodziejów pochopnych do wycieczek na pole filozofii, dziejów i nauk świeckich, ostrzega autor, że z innej skarbnicy trzeba czerpać ośnowę do kazań i przemów: z nauki i życia Kościoła, z zasad jego prawd wiary i obyczajności, i z księgi jego dziejów.

Rozdział o przepisach dotyczących zewnętrznej budowy kazań zawiera bardzo zdrowe uwagi, zaczerpnięte z dzieł najpoważniejszych nauczycieli wymowy kościelnej.

Choć autor pisze głównie dla swoich rodaków, mimo to jego opis potrzeb i chorób naszego społeczeństwa sięga poza kresy Niemiec, i u nas znaleźć może szerokie zastosowanie.

H. J. R.

Bestiality of the russian czardom toward Lithuania. Published by „The Lithuanian Society of Sciences and Arts“. Baltimore, Md. U. S. of America. 1891.

Wiele wrzawy wśród wychodźców polskich, osiadłych w Ameryce, robi od niejakiego czasu protest, jaki podczas przyszłej wystawy w Chicago zamierzają oni wnieść przed trybunę opinii publicznej przeciw gwałtom popełnianym przez Rosyę na ziemiach polskich. Idąc za przykładem Polaków, emigracja litewska w Ameryce postanowiła również dać poznać cudzoziemcom niedolę swych rodaków w obrębie caratu. Zadanie to spełnić ma właśnie dziełko wymienione przez nas w tytule, a wydane nakładem Towarzystwa naukowego litewskiego, noszącego nazwę *Lietuvių Mokslo Draugystė*. Jest to główne naukowo-towarzyskie ognisko dla 200.000 amerykańskich Litwinów, wydawnictwa zaś jego stanowią jakby wyraz przekonań ogółu litewskich wychodźców, i z tego względu na tem większą zasługują uwagę.

Wziąwszy za motto słowa nieśmiertelnego Szekspira: *He lives in fame, that died in virtue's cause*, naturalnie w zastosowaniu ich do Rosyi, autor zastanawia się nad zewnętrznymi objawami cywilizacji narodów. Jedni — głosi — upatrują cywilizację w udoskonaleniu przemysłu i odkryciach naukowych, drudzy w postępach sztuki i piśmiennictwa, inni wreszcie w rozwoju idei polityczno-ekonomicznych. Co do mnie — dodaje — to jako znamiennej cechy cywilizacji wszystkich ludów w ogólności, poczytuję rozwój zaborszych instynktów. Tak np. starożytny Rzym ujarzmił inne kraje w cywilizacyjnych niby celach, Anglia w imię cywilizacji narzuca obcym ludom prawa swe i interesa, Niemcy wreszcie również pod modnym cywilizacyjnym płaszczykiem traktują w sposób niehumanitarny afrykańskie plemiona. Środkami krzewienia cywilizacji wśród barbarzyńskich ludów, przyjętemi i zastosowanemi przez większą część mocarstw europejskich, jest rozdawanie Biblii, dostarczanie wódki, a wreszcie proch i kule. W takim zaś razie — ciągnie dalej — Rosya jest państwem najbardziej ucywilizowanym i najgorliwiej cywilizującym inne kraje, ponieważ pod pozorem wprowadzania harmonii pomiędzy różnorodne składowe jej żywioły, gnębi Polaków, Litwinów, Finnów, Łotyszów i t. d.

Powyższy ustęp, służący jakby za przedmowę, któryśmy w streszczeniu tylko przytoczyli, pozwala się domysleć, w jaki sposób autor traktuje swój przedmiot. W dalszym ciągu tej pracy następuje jaskrawy obraz ucisku pod względem religijnym, narodowym, ekonomicznym i naukowym, którego Litwa jest ofiarą. Na ogólnikach i ładnie brzmią-

cych, a niewiele mówiących frazesach, bynajmniej tu nie zbywa, ale wśród nich mieści się także spora wiązka faktów. Obfituje w nie przedewszystkiem rozdział pod tytułem: *The russian barbarisms*, poświęcony opisowi prześladowania Kościoła katolickiego na Litwie. Znajdujemy tam między innymi kilka źródłowych opowiadań o zamykaniu kościołów na Litwie, oraz dość liczny szereg księży skazanych na wygnanie. Następnie, wyliczywszy najrozmaitsze fazy tępienia żywiołu rodzimego w krainie Gedymina, jak usunięcie ze szkół narodowego języka, palenie litewskich książek, wydzieranie ich ludowi podczas nabożeństwa i t. p., autor porównywa obecne położenie Litwinów w Rosyi z losem pierwszych chrześcijan, ponieważ jak tamci musieli ukrywać się w katakumbach dla sprawowania religijnych obrzędów, tak też ludność litewska musi w niedostępnych pieczarach zbierać się na modlitwę, czytanie książek treści religijnej i naukę młodzieży w ojczystym języku. A jednak — dodaje autor — pomimo tak opłakanego położenia, Litwa żyje jeszcze zarówno w cierpiących synach na rodzinnej ziemi, jak też i w tych, którzy na wolnym amerykańskim znajdują się gruncie. Obowiązkiem tych ostatnich jest reprezentować ojczyznę wobec cudzoziemców, protestując przeciw bezprawiom rosyjskiego caratu, na Litwie popełnianym. „Jeżeli bowiem — woła z zapałem — skazani jesteśmy na zagładę, to nie dajmy się przynajmniej wytępić bez protestu!”

Dotąd wszystko dobrze, z wyjątkiem może rozpaczliwego zwątpienia, przebijającego się w ostatnich słowach. Natomiast niemile uderza nas niechęć, a nawet otwarta nienawiść, z jaką autor przy każdej sposobności o Polakach się wyraża. Smutne to zaiste, że zamiast się łączyć i skupiać, „zestrzelać myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy“, jak radził Mickiewicz, polska i litewska emigracya w Ameryce rozdławiają swe siły i coraz bardziej wrogie względem siebie zajmują stanowisko. Antypolski szowinizm, przebijający się w powyższem dziełku, nie wyjdzie z pewnością na korzyść samych nawet Litwinów, i osłabi znacznie wrażenie, jakie pożyteczna ta skądinąd książka mogłaby wywrzeć na obcych czytelników.

H. S.

Carnet d'un Séminariste soldat. Par *Alfred Tastevin*. Paris. Paul Ollendorff.

W jakiej pozycyi znajduje się odnośnie do kolegów, do wojskowych swych przełożonych; co robić musi, co znosić, kleryk przebrany na kilka miesięcy — dzięki barbarzyńskim prawom ukutym przez Wielki

Wschód paryski — w żołnierski mundur, wyciągnięty z cichego seminaryum, przeniesiony do hałaśliwych koszar? Jeden z takich seminarzystów-żołnierzy miał szczęśliwą myśl notować sobie dzień za dniem ważniejsze wypadki, przejścia, uczucia, — a z notatek tych, pisanych z werwą i prawdziwie gallickim humorem, powstała obszerna i interesująca odpowiedź na zadane powyżej pytanie. Odpowiedź ta zyskałaby podobno jeszcze na interesie, ciągłości i charakterystyczności, gdyby wydawca — widocznie jakiś przełożony seminaryjski — nie uznał za stosowne przepłatać żołniersko-seminaryjskich notatek, swemi, dającemi się na pierwszy rzut oka rozróżnić odrębnym stylem i nastrojem, refleksyami i uwagami; ale na to rady już niema, trzeba brać obraz jakim jest, a i taki, mimo nieharmonijnie, nieartystycznie pomieszanych ze sobą farb, z dwóch bardzo różnych pendzlów pochodzących, nie przestaje być interesującym.

Nasz seminarzysta w koszarach nie pozuje wcale na ofiarę; przeciwnie, żołnierskie życie ma dla niego urok niemały, i sam wyznaje, że gdyby się nie był zapisał pod sztandar Najwyższego Wodza, wojskowa karyera najbardziejby mu się uśmiechała. W dobrych też stosunkach żyje z kolegami. W pierwszych dniach podrzinali sobie niektórzy z nich z seminarzysty, ale gdy ujrżeli, że seminarzysta a mazgaj nie są wcale synonimami; że można bardzo dobrze rano i wieczór na klęczkach pacierz mówić, a przytem i bronią żwawo robić i od wesołego śmiechu, od pocziwych, koleżeńskich stosunków się nie uchylać — drwinki i żarty rozplynęły się, zuikły bez śladu. Czasem znów wyzywają go sami na religijną dysputę, a gdy przekonać przeciwników potrafi, nie wahają się głośno, niby półżartem, dla zachowania pozorów, ale w gruncie rzeczy bardzo na seryo, okrzyknąć go zwycięzcą. A co za radość, kiedy zaimprovizowany żołnierz zdoła na dzień, na pół dnia wymknąć się do miejscowego seminaryum, zaczerpnąć tutaj siły, ochoty do dalszej walki z trudnościami! Jaka radość — mimo wszelkich powabów rycerskiego rzemiosła — kiedy nadchodzi ostatni dzień służby i znowu mundur można na sutannę przemienić!

Dotychczas niemal wszyscy klerycy do koszar zapędzeni, wracali po odświeżeniu przepisanego czasu do seminaryjnych murów. Czy wracali z tym samym duchem, z jakim je opuszczali; czy tych kilkanaście miesięcy, spędzonych w obozowym gwarze, nie pozostawiło w duszach ich ran, na razie może zasklepionych, ale które, kto wie, czy później nie otworzą się, nie będą się jątrzyć; czy spodziewać się można, że i w następnych latach służba żołnierska liczniejszych nie sprowadzi

odstępstw, że zwolna nie przyczyni się do wyludnienia seminariów? Do tego bez wątpienia dąży całe prawo o wojskowej służbie kleryków. daj Boże! aby bezbożni prawodawcy w rachubach swych się omylili, choć — jak sam autor tych „Notatek“, mimo swej miłości dla francuskiej armii, wyznać musi — po ludzku to jest, niestety, nieprawdopodobne!

X. M. B.

Z pism czasowych.

Łużica. Měsačnik za zabawu a powučenje. Zhromadny časopis hornjo, a delnjołužiskich Serbow. Zamołwity redaktor a wudawar' *dr. Ernst Muka* w Freibergu, z nakładom a pod administraciju kanonika Jakuba Herrmanna, fararja we Wotrowje-Pančicach. Lětnik 11. 1892.

Přečelo, haj mała serbska zemja
Je a małki serbski narod, jako
Kupa mólčka wosrjedź wulkoh' morja;
A ja tola kruće wěrju, zo
Serbski lud mój nihdy nje zahinje!...!

J. Čišinski, *Moje serbske wuznać.*

Powyższe słowa jednego z wybitniejszych współczesnych wendyjskich poetów, głęboką w sobie zawierają prawdę i są poniekąd wyrazem przekonań wszystkich dobrze myślących jego rodaków. Rzeczywiście, chociaż niewielki zakątek ziemi stanowi Wendów ojczyznę, a stokilkudziesięciotysięczny lud łużycki jest tem wobec innych narodów, czem małutka wysepka wobec niezmierzonego oceanu, lud ten jednak czuje, iż żyje i żyć powinien, oraz chowa w sercu silną wiarę w lepszą, choć odległą może, przyszłość.

Główną areną, na jakiej życie jego umysłowe się objawia, jest prasa. Ze względu na miejscowe warunki i bądź co bądź niezbyt liczne grono czytającej publiczności, możnaby ją nazwać wcale pokązną. Oprócz ściśle naukowego organu Macierzy Łużyckiej, pod tytułem: *Časopis Maticy Serbskeje*, wychodzącego w Budziszynie dwa razy w przeciągu

¹ Choć nas Serbów jeszcze tak niewielu,
I tak mały kraj nasz, przyjacielu,
Jak wysepka wobec oceanu;
A ja jednak wierzę niezachwianie,
Ze lud Serbski istnieć nie przestanie!..

roku pod redakcją ks. Michała Hórnik, prezesa tego towarzystwa, na dziennikarstwo łużyckie składają się przeważnie czasopisma popularne, a mianowicie:

Katholski Posol, wydawany od lat 30 przez Towarzystwo śś. Cyryla i Metodego w Budziszynie i znany już poniekąd czytelnikom *Przeglądu*¹.

Serbske Nowiny, tygodnik polityczno-ekonomiczny dla Wendów górno-łużyckich, wychodzący w Budziszynie od lat przeszło 50, którego obecnym redaktorem i nakładcą jest znany patriota łużycki Marek Smoleř. Jako dodatek do *Serbskich Nowin* wychodzi od lat 12 dwutygodnik *Serbski Hospodař*, poświęcony rolnictwu i domowemu gospodarstwu.

Pomhaj Bóh, tygodniowe piśmko ludowe, które przed dwoma laty zaczęli wydawać w Budziszynie księża F. Sella i Lenik-Genč. Wszystkie te piśmka wychodzą w Górnych Łużycach.

Organem dolno-łużyckiej prasy jest *Bramborski Casnik*, tygodnik polityczno-ekonomiczny, wychodzący w Skjarbošću i będący najstarszą łużycką gazetą.

Chcąc wyczerpać całkowicie szereg czasopism łużyckich, musimy jeszcze wymienić parę z nich, redagowanych w duchu protestanckim i popieranych nader gorliwie przez misyjne ewangelickie towarzystwo w Berlinie. Są to: *Missionski Přecel*, kwartalnik redagowany przez pastora J. Dobruckiego w Wojerecach, i kolega jego *Missionski Posol*, miesięcznik, mieniący się szumnie czasopismem z *Božeho kralestva*.

Najpoczytniejszem jednak i stosunkowo najlepiej redagowanym z pomiędzy wszystkich tych pism czasowych jest *Łužica*, z którą dziś bliżej nieco zapoznać się zamierzamy. Mówimy najpoczytniejszem, bo nie tylko znajduje się ono w każdym niemal wendyjskim domu, ale też liczy wielu czytelników w Czechach, a nawet u nas, o czym lista nowych prenumeratorów, umieszczana w każdym numerze, wymownie przekonywa.

Wśród artykułów tegorocznej *Łużicy*, największą naukową wartość posiada praca p. Šewčika pod tytułem: *Stawizny serbskeho studentstva*. Autor, opierając się na odnośnych dziełach rosyjskiego pisarza Hilferdinga i łużyckiego Barta, kresli dzieje rozwoju idei narodowej w łonie łużyckiej uczącej się młodzieży, a zarazem dzieje patriotyczno-naukowych stowarzyszeń, które z niej wzięły początek. Praca to ze wszech miar ciekawa i godna uznania. Dowiadujemy się z niej, że

¹ Por. *Przegląd Powszechny*, zeszyt 4 z roku 1891, str. 130.

pierwszym wyższym zakładem naukowym w Łużycach było kolegium, założone w r. 1213 przez biskupa miśnieńskiego Brunona II. przy kościele św. Piotra w Budziszynie. Kształcono w niem kapłanów łużyckiego pochodzenia, ponieważ księża niemieccy, nauczający ludność w niezrozumiałym dla niej języku, nie mogli jej ugruntować w wierze. Zakład ten w przeciągu kilku wieków wydał wielu zasłużonych księży. W roku 1538 zapadła uchwała, aby corocznie pewna ilość zdolnych łużyckich młodzieńców była wysyłana kosztem rządu do szkół wyższych w Niemczech. Wówczas też zamierzano założyć w opróżnionym klasztorze franciszkańskim w Lubinie gimnazjum łużyckie i wysłano poselstwo do cesarza Maksymiliana II., prosząc, by na to pozwolił. Przed powrotem jednak posłów miasteczko Lubin spaliło się do szczytu, tak że o założeniu tam szkoły nie mogło już być mowy. Nie mając własnego naukowego zakładu, młodzież wendyjska zaczęła się tłoczyć do szkół niemieckich, gdzie wielu Łużyczan zatraciło powoli poczucie swej narodowości. Smutny ten objaw ściągnął na siebie uwagę kilku młodych Wendów, bardziej miłujących ojczyznę, którzy widząc niebezpieczeństwo grożące w niemieckich gimnazyach i uniwersytetach, zaczęli się zbierać dla wspólnego doskonalenia się w rodzinnym języku i zaznajamiania z dziejami swego kraju. W taki sposób powstały stowarzyszenia uczącej się łużyckiej młodzieży, która przez czas długi stanowiła obok duchowieństwa jedyną oświeconą warstwę wendyjskiej ludności.

Pierwsze stowarzyszenie łużyckie związało się przy uniwersytecie w Lipsku, w roku 1716, pod nazwą: *Serbske prædařske towařstwo* albo *Wendisches Predigercollegium*. Stanowili je Łużycanie, kształcący się na kapłanów, którzy chcąc się przygotować do przyszłej swej działalności, układali kazania w ojczystej mowie i wygłaszali je w każdą sobotę w kościele św. Pawła. Wielu członków tego stowarzyszenia, jak np. Pjech, Mjeń (Möhn), Čech (Běhmar') i inni, pracowali później z powodzeniem na polu literatury łużyckiej. Pierwszy więc objaw umysłowego narodowego życia zawdzięczają Łużyce młodym swym kapłanom.

Nader ważnym dla *Prædařskeho towařstwa* był rok 1755, w którym pozwolono słuchaczom innych fakultetów do niego się przyłączyć. Odtąd działalność młodych Wendów znacznie się rozszerzyła. Zewnętrzną oznaką członków Stowarzyszenia były srebrne trójkąci z napisem: *Soraborum salutis*, które jednak w r. 1765 przypinać im wzbroniono. Jeden ze stowarzyszonych, Jerzy Körner, ułożył pierwszy słownik wendyjsko-niemiecki, inni zaczęli zbierać ludowe wendyjskie pieśni

i przysłowia, lub próbować sił własnych w literackich szrankach. Utwory te drukowały się przeważnie w czasopiśmie *Lipske Nowisny a Schitkisny*, wydawanem przez Körnera od r. 1766, a którego parę roczników przechowuje się obecnie jako cenny zabytek w bibliotece łużyckiej Macierzy. Powoli też zaczęła się tworzyć biblioteka „Krasomowczego wendyjskiego Towarzystwa“, a w pięćdziesięcioletnią rocznicę swego założenia wydało ono dwie bardzo zajmujące broszury, to jest: *Kurzgefasste historische Nachricht von dem Anfange und Fortgange der jetzt lebenden Wendischen Gesellschaft in Leipzig*, oraz: *Philologisch-kritische Abhandlung von der wendischen Sprache und ihrem Nutzen in den Wissenschaften*.

Wkrótce jednak tak pięknie rozwinięte stowarzyszenie zaczęło się chylić ku upadkowi. Przyczyna tego leżała w zewnętrznych, niezależnych od woli ludzkiej wypadkach. Podczas wojny siedmioletniej wielu Łużyczan utraciło całe mienie i nie mogło już posyłać synów do naukowych zakładów. Wynikiem tego było zmniejszenie się ilości członków lipskiego towarzystwa, i w r. 1776 prezes Kocor musiał je rozwiązać, bibliotekę zaś i archiwum zabrał do siebie profesor Bossek, przez co uchronił je od zagłady.

Lepsze czasy dla wendyjskiego stowarzyszenia rozpoczęły się dopiero w r. 1778, gdy Fryderyk Mička znowu powołał je do życia. Po wojnach napoleońskich coraz więcej młodzieży łużyckiej zaczęło napływać do Lipska. W roku 1822 *Prědařske towařstwo* rozpoczęło wydawnictwo „Serbskiej Antologii“, w której umieszczano wszystkie udatniejsze utwory jego członków. Największa ruchliwość objawiła się w niem wówczas, gdy się do niego zapisał najznakomitszy łużycki poeta, Andrzej Zejler, urodzony w roku 1804 w Słonej Borszczy. Pod wpływem pewnego Polaka — szkoda że autor nie wymienia jego nazwiska — Zejler zreformował ortografię łużycką, co mu się wcale nieźle udało. On też wraz z Krügerem zaczął wydawać w r. 1826 *Serbske Nowiny*, które z początku rozchodziły się w rękopismach tylko pomiędzy członkami towarzystwa. To ostatnie też coraz większego nabierało znaczenia, a nawet zyskało własną pieczęć, na której wryte były dwa sierpy z napisem: *Sigillum soc. sorab. Lips.*

Nie długo jednak trwał ten okres pomyślności w dziejach wendyjskiego towarzystwa. Wkrótce obok niego utworzyło się parę innych, które nęciły powabem nowości i w r. 1845 stare zasłużone stowarzyszenie upadło.

Na miejscu jego w cztery lata później powstał inny związek łu-

życkiej młodzieży pod nazwą *Sorabicum*. Snuł on dalej tradycję swego poprzednika, uprawiał niwę literacką w *Serbskich Nowinach*, utrzymywał stosunki ze wszystkimi innemi łużyckimi stowarzyszeniami, ale w r. 1853 zakończył krótką, chociaż pożyteczną swoją egzystencję.

Obok niego istniało też przez czas niejaki tak zwane *Słowjanskie towarzystwo*, założone w r. 1842 przez M. Kłosopolskiego, w którym oprócz Łużyczan znajdowało się kilku Polaków, Czechów i południowych Serbów. Towarzystwo to utrzymało się tylko do r. 1848, księgozbiór zaś jego dostał się bibliotece budziszyńskiego gimnazjum.

Oprócz powyższych stowarzyszeń młodzieży wendyjskiej w Lipsku, p. Šewčík wymienia jeszcze podobne patryotyczne związki w Wittembergu, Wrocławiu, Budziszynie i Pradze. W Wittembergu od dawna już Łużycanie uczyli się teologii, a w roku 1749 za przykładem lipskich swych kolegów zespolicili się w jedno zbiorowe ciało. Podczas wojny siedmioletniej egzystencja wittemberskiego stowarzyszenia bardzo się zachwiała, wkrótce atoli nabrało ono nowych sił do życia i utrzymało się aż do r. 1814, w którym uniwersytet wittemberski został zamknięty.

W rok później, na mocy wiedeńskiego traktatu połowa Górnych Łużyc dostała się w posiadanie Prus, a w r. 1836 wzbroniono Łużyczanom, zostającym pod rządem pruskim, udawać się dla studyów naukowych do Lipska, i wielu łużyckich studentów musiało przenieść się do Wrocławia. Między innymi przybył tam także Jan Smoleń, który już w gimnazjum budziszyńskim pracował pilnie nad ojczystą literaturą. Za jego inicjatywą utworzyło się we Wrocławiu w roku 1838 *Towarzystwo za łużiskie stawizny a rěče*. W tym także okresie Smoleń ustalił ostatecznie pisownię łużycką, oraz wydał pierwszy zbiór pieśni wendyjskich¹. Wśród wrocławskich studentów zrodziła się również myśl założenia Macierzy łużyckiej, na wzór czeskiej, i w r. 1847 myśl ta w czyn się zamieniła. Po wyjeździe Smoleńa z Wrocławia, towarzystwo przezeń założone straciło swą żywotność i sprężystość, a w r. 1850 zupełnie się rozprzegło.

Najdłużej pod względem zjednoczenia się dla wspólnej pracy w patryotycznych celach kazała na siebie czekać młodź z samego serca

¹ Zbiór tych pieśni wraz z nutami, opisem zwyczajów wendyjskich i religijnych wierzeń dawnych Łużyczan wyszedł w Grimmie w latach 1841—1843, pod tytułem: *Pjesnički hornych a delnych Łužiskich Serbow*, w dwóch tomach in 4^o, z rycinami i mapą.

Łużyce — z Budziszyna. Na początku bieżącego stulecia uczniowie miejscowego gimnazjum nie umieli nawet po większej części mówić po wendyjsku, tak że dopiero w latach 1830—1836, tj. podczas pobytu Smoleńa, myśl narodowa zbudziła się w tym zakładzie. Wpływowi dzielnego łużyckiego patrioty uległ przedewszystkiem Kłosopolski, który też w r. 1839 stanął na czele pierwszego naukowego stowarzyszenia w stolicy Luzacyi, nazwanego *Societas slavica Budissinensis*. Z początku towarzystwo to zabrało się z zapałem do pracy i zaczęło nawet wydawać tygodnik literacki pod tytułem *Tydzienik*, później jednak zapal ten ostygł, i jednocześnie z założeniem Macierzy łużyckiej w r. 1847 *Societas slavica* znikła z widowni.

Krócej jeszcze, bo zaledwie lat trzy (1845—1848), egzystowało w Budziszynie *Towarstwo serbskich seminaristow*. Z początku szło ono ręką w rękę ze stowarzyszeniem gimnazyalnej młodzieży, potem drogi ich się rozeszły i pokrewne te pod względem celu stowarzyszenia zajęły względem siebie wrogie stanowisko, aż wreszcie upadły oba i

Le combat cessa faute des combattants.

Ogniskiem w narodowym duchu podjętej pracy, jakim Budziszyn z początku napróżno stać się usiłował, była dla Łużyczan przez czas długi Praga. W mieście tem już około r. 1704, ks. Šimanec, widząc w Łużycach brak katolickich kapłanów, założył seminaryum dla wendyjskiej młodzieży. Rozbudzenie się poczucia narodowego u Czechów na początku bieżącego wieku nie pozostało też bez wpływu na młodzież łużycką, kształcącą się w Pradze. Dzięki nowemu temu prądowi w r. 1846 uczniowie łużyckiego seminaryum zjednoczyli się w stowarzyszenie pod nazwą *Serbowka*. Towarzystwo to co tydzień odbywało posiedzenia, na których członkowie musieli kolejno deklamować po wendyjsku. Miało też księgę zatytułowaną *Serbowka*, a dzielącą się na dwie części, tj. na *Dzenik* i *Kwetki*. W Dzienniku mieściły się sprawozdania z posiedzeń, a w Kwetkach utwory członków tak wierszem, jak prozą. Poczciwa i pełna zapału działalność „Serbowki“ zjednała jej niebawem sympatyę wielu pobratymców, z pomiędzy których autor wymienia Wacława Hankę, Purkyniego, prof. Malinowskiego i Hilferdinga.

Na tem się przerywa tok pracy p. Šewčika, którą przytoczyliśmy w streszczeniu, jako nader ciekawy przyczynek do dziejów łużyckiej literatury i oświaty.

Zbliżonym do niej treścią, tylko nie do przeszłości, ale do przyszłości skierowanym, jest wyborny artykuł d-ra J. Girenasa, pod tytułem: *Kak može šula w Serbach swój nadawk jako wojowarka přećinvo*

socialismej dopełnić? (Jak może szkoła na Łużycach spełnić swe zadanie w walce z socyalizmem?). Autor porusza w nim jedną z najbardziej palących kwestyj współczesnych, i maluje dość ciemnymi barwami stan szkolnictwa w swym kraju. Jest on co prawda niezbyt pocieszający. W łużyckich naukowych zakładach — jak twierdzi p. Girenas — władze szkolne poczytują za główne swe zadanie germanizację młodzieży i odosabiają ją o ile możliwości od wszelkiego rodzinnego wpływu, niedopuszczając przez to wpajać w młodociane serca zasad moralności i cnoty, na co szkoła, zajęta napychaniem do głów uczniów suchej książkowej mądrości, także nie ma czasu. Z drugiej strony, ponieważ nauka podawana jest w obcym, nie zupełnie zrozumiałym języku, młodzież więc zawczasu przywyka do chwytania słów i formułek, nie wnikając w treść rzeczy. Nieuniknionym tego skutkiem jest, że zaledwie 10% uczącej się młodzieży odnosi z nauki szkolnej istotną korzyść, a przynajmniej 90% opuszcza szkoły z głową napełnioną tylko szumnymi frazesami i staje się najpodatniejszą glebą do zasiewania demokratyczno-socyalnych zasad. Toż samo, zdaniem autora, daje się zastosować do szkół litewskich w Prusach. W dalszym ciągu p. Girenas określa trafnie powołanie szkoły i środki jego wypełnienia. Wiele tam myśli głębszych i zdrowych poglądów, które nietylko w Łużycach powinnyby znaleźć zastosowanie.

Artykuł Jenč-Drježdžanskiego, pod tytułem *Ibrahim na starych serbskich pućach* (Ibrahim na starych serbskich drogach), przenosi nas o dziesięć wieków wstecz, do czasów Mieczysławowych. Ibrahim ben Jakub był to żyd hiszpański, który pomiędzy rokiem 965 a 973 wędrował na dwór cesarza Ottona I. i w opisie swej podróży podał wiele szczegółów o połabskich Słowianach. Rękopis jego przeszedł do potomności w odpisie Araba Bekri. Z *itinerarium* Ibrahima autor streszcza tylko wstęp, dotyczący przestrzeni pomiędzy Łużycami a Pragą. Rozprawa ta, podobnie jak inny artykuł tegoż autora: *Lawskie wrota w Budyšinje*, ma tylko miejscowe, geograficzne znaczenie i nader sucho jest traktowana.

Bardziej zajmującym jest życiorys Juliusza Edwarda Wjelana-Slepianskiego, jednego z najgorętszych łużyckich patryotów. Jako członek łużyckiej Macierzy i wielu innych stowarzyszeń, oraz współpracownik wszystkich niemal pism łużyckich, człowiek ten stał przez długie lata na kresach ojczyzny, odbijając niezmordowanie wszelkie nieprzyjemne pociski na swą narodowość, i nietylko u Wendów, ale nawet u Niemców zyskał sobie uznanie i szacunek. Dlatego też, jak głoszą Łuży-

czanie, pamięć o nim na ziemi wendyjskiej wówczas chyba zaginie, gdy kamień na jego grobie zwietrzeje całkowicie.

Parę artykułów, jak na przykład: *Žiwjenje a skutki Kukečanow* (Życie i czyny Kukeczanów), *Basnicka wót stareja liški* (Bajka o starym lisie), *Francowske wójsko w Čornym Kholmcu do Bitwy pola Budyšina 1813* (Francuskie wojsko w Czarnym Chelmcu przed bitwą pod Budziszynem 1813), zostały zaczerpnięte z ust ludu i jako takie tchną wielką prostotą. Najciekawszem z tych opowiadań ludowych jest ostatnie, gdzie jakiś dziad Bělajic mówi o obozowaniu w rodzinnej jego wiosce pewnego oddziału wielkiej armii Napoleona, która na ludności wendyjskiej niezbyt miłe wywarła wrażenie.

Nader wiele miejsca poświęca *Łužica* opisom ludowych obyczajów i zwyczajów, przeznaczając nawet dla nich osobną rubrykę pod nazwą *Prašenja a wabjenja*. Nadto umieszcza chętnie drobne choćby artykułiki, dotyczące tego przedmiotu, jak na przykład: *Kak Serbja wokolo Wóslinka w počatku 19 lěstotka póstnicy swjećachu* (Jak Wendowie z okolic Woslinka obchodzili zapusty na początku 19 wieku), Jana Melda, i *Barby delbjołužiskich Serbowkow* (Ulubione kolory kobiet na dolnych Łużycach) H. Jordana, gdzie widzimy, że podług słów piosnki Zejlera:

Módre, čerwjene a běle,
To su barby Łužiské...

Dzięki całemu szeregowi podobnych artykułów, roczniki *Łužicy* stanowią nader cenny materiał dla poważnego badacza zwyczajów tej krainy, tem cenniejszy, iż te ostatnie zacierają się powoli.

Dział beletrystyczny niezbyt w tem czasopiśmie bogaty — co zresztą nie zmniejsza bynajmniej jego wartości — tworzy parę udatnych prac oryginalnych, jak również kilka mniej szczęśliwie wybranych przekładów z Bałuckiego i Nerudy. Liczne wiersze zawarte w *Łużicy* stanowią słabą stronę i niewielki przynoszą jej zaszczyt.

Bibliografia tego miesięcznika rozpada się na dwie części, to jest: *Serbske pismowstwo* i *Słowjanske nowinki*. Te ostatnie oprócz ocen literackich zawierają kilka nekrologów, a między niemi sympatyczną wzmiankę o Kolbergu, d-rze I. Kopernickim i Aleksandrze Chodźce.

Wreszcie na uwagę zasługują sprawozdania rozmaitych stowarzyszeń. Od dawna już Łużyczanie zrozumieli tę prawdę, że prawdziwą arką przeciw germanizacyjnej powodzi mogą się stać dla nich narodowe towarzystwa, i skwapliwie zaczęli je zakładać. Na czele tych stowarzyszeń stoi Macierz Łużycka, posiadająca obecnie 3070 marek żelaznego kapitału i 11.832 marki funduszu przeznaczonego na budowę

własnego domu. Oprócz niej, jak się dowiadujemy z *Łużicy*, istnieje jeszcze towarzystwo literackie: *Serbske Bjeseda* w Budziszynie, *Čornoboh i Jednota* w Dreźnie, *Lipa* w Rakeczanach, *Jednota śpiewacka* w Chrościcach, Towarzystwo Dobroczynności w Wielkiej Dąbrowie; *Włada*, stowarzyszenie katolickich seminarzystów w Budziszynie, jak również *Serbska katholska Bjeseda* i *Towarstwo serbskich burow* (włościan) w pomniejszych miasteczkach łużyckich. Towarzystwom tym, których kierownikami są po większej części duchowni lub nauczyciele, przypisać należy, iż wśród wendyjskiej ludności budzi się od niejakiemu czasu coraz żywsze poczucie obowiązków względem Boga, bliźniego i ojczyzny.

Rozstając się z *Łużicą*, przyznać musimy, że wielka jej popularność nietylko wśród Wendów, ale i u pobratymców, bynajmniej nas nie dziwi; dla rodaków bowiem stanowi ona źródło zdrowej nauki i pożytecznej rozrywki, obcych zaś czytelników wtajemnicza w życie, stosunki i dążności mieszkańców starej, połabskiej Łuzacyi.

Tytus Sopodźko.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Tytuł Papieża-Króla. — Wina Leona XIII. w upadku Szaparego. — Kroki do zgody między Watykanem a Petersburgiem.

TYTUŁ
PAPIEŻA-KRÓLA. Wypadki zaszłe w ostatnim miesiącu zwracały często uwagę powszechną na Watykan. I stosunki kościelne i jeszcze więcej obrotu polityki dostarczały tła, na którem prasa, głównie liberalna, przedstawiała Leona XIII. w postaci groźnej dla spokoju Europy, a przedewszystkiem niebezpiecznej dla trójpzymierza.

Jakby na dane hasło, dziennikarze rozpoczęli ten okres żywszych napaści na Rzym po przykrej niespodziance, jaka w Wiedniu spotkała obóz wolnomysłny. Tę niespodziankę sprawili im członkowie wydziału, zebranego do narad nad prawem karnem austriackiem. Podczas obrad nad paragrafem 108, o wymiarze kar za obrazę postronnych mocarzy albo panujących, dr. Kopp utrzymywał, że w tym paragrafie nie potrzeba odróżniać „mocarzy“ od „panujących“, bo osobna wzmianka o mocarzach nasuwa myśl, że ustawa za czyn karygodny poczytuje także obrazę monarchów zdetronizowanych, którzy przestali panować. Na to odpowiedział minister sprawiedliwości, że właśnie dlatego trzeba osobno wymienić mocarzy, żeby rozciągnąć

karę na obrazę, wyrządzoną papieżowi, którego dzisiaj nie można, w ścisłym znaczeniu wyrazu, nazwać panującym. Tytuł monarszy, przyznany w ten sposób papieżowi przez ministra, znalazł przeciwnika w Nitschem, który wniósł, żeby zamiast tytułu „mocarza“, ustawa papieżowi dała nazwę: „głowy Kościoła katolickiego“. Temu wnioskowi zarzucił poseł Schorn ukrytą myśl, że papież jest tylko głową chrześcijaństwa, a nie rzeczywistym monarchą, równym każdemu innemu, który zasiada na tronie: stąd wniósł, że nawet po świętokradzkim wyłomie, wybitym w bramie Pia, księga praw austriacka powinna zaliczać papieża do postronnych mocarzy. Śmiała obrona Papieża-Króla odniosła zwycięstwo nad dyplomacją liberalną: paragraf 108, bez żadnej zmiany, ma nadal brzmieć w duchu katolickim.

Po tym wypadku niedługo obóz bezwyznaniowy czekał, żeby wytoczyć skargę na ultramontańskie wpływy. Dzienniki różnych krajów zaczęły wywodzić żale na Leona XIII., że mąci spokój ludów przez wrogie stanowisko względem trójprzymierza. Żeby tę skargę poprzeć jakimś dowodem, narzekały, że Papież zawinił w upadku Szaparego i że pokryjomu stawia kroki do zgody z dworem petersburskim.

WINA LEONA XIII.
W UPADKU
SZAPAREGO.

Skoro, zamiast katolika Szaparego, na czele rządu węgierskiego stanął dr. Wekerle, wnet zaczęła krążyć pogłoska, że przyczyn tej zmiany trzeba szukać w polityce Papieża, który dla własnych widoków świeckich poświęca duchowne potrzeby wiernych na Węgrzech.

Żeby zadać ten zarzut Papieżowi, pisma wolnomyślne odkryły, że zamierzona ustawa węgierska o ślubach cywilnych i świadectwach chrztu odpowiada niezbędnym potrzebom katolików w tym kraju. Bez ślubów cywilnych Kościoł, jak głosiły owe pisma, nie zdoła wiernych uchronić od coraz głębszego upadku obyczajów na Węgrzech, bo nie stawia temu tamy przez ślub zawarty przed proboszczem, póki państwo nie weźmie w obronę węzłów małżeńskich. Ślub cywilny dostarczy rękojmi tej obrony ze strony państwa: więc Papież dla dobra dusz powinienby poprzeć zamiar rządowy.

Nie mniejszą przysługę rząd wyświadczyć pragnie Papieżowi, jeżeli każe swoim urzędnikom wystawiać świadectwa chrztu. Ten krok przywróci zgodę między katolikami a innowiercami, bo ci ostatni, zgodnie z dawnymi ustawami, wymagają, żeby w mieszanych małżeństwach wiarę ojca wyznawali synowie, a córki wiarę matki. Dlatego pastorzy nieraz roszczą sobie prawo do dzieci ochrzczonych przez katolickiego księdza, a ten, związany prawem kościelnem, nie może im wydawać do zapisu ich w księgi obcego wyznania, świadectwa chrztu tych dzieci. Stąd niesnaski, którym rząd pragnie położyć koniec i uwolnić księży od obowiązku przeciwnego ich sumieniu; w tej myśli zamierza rozporządzić, żeby urzędnicy świeccy wystawiali świadectwa chrztu.

Dlaczegóż Papież nie popiera szlachetnych zamiarów rządu i nie przystaje na ustawę o ślubach i świadectwach chrztu?

Umiejają na to pytanie odpowiedzieć dzienniki, które cieszą się z każdej sposobności, przy której mogą zaczepić Watykan. W Anglii *Contemporary Review* i *Standard*, we Włoszech *Tribuna* i *Riforma*, w Niemczech i na Węgrzech ogół prasy liberalnej wtóruje wywodom *Nemzeta*, który twierdzi, że Leon XIII. stawia przeszkody zamiarom rządu węgierskiego, żeby tym sposobem odzyskać Państwo Kościelne. Kto ciekawy związku między Państwem Kościelnem a upadkiem Szaparego, temu wyjaśni *Nemzet*, że Papież daje Węgrom uczuć swój gniew za ich udział w trójprzymierzu, a tak postępuje w tej myśli, że Austro-Węgry opuszczą sprzymierzeńców, żeby odzyskać łaski papieskie; wtenczas Piemont, pozbawiony opieki i przyjaźni środkowej Europy, nie długo zdoła utrzymać berło nad zjednoczonymi Włochami, a Papież zatknie znów swój sztandar nad zamkiem św. Anioła.

Może przynajmniej pozory przemawiałyby za tym domysłem, gdyby dr. Wekerle nie zajął miejsca hr. Szaparego. Jeżeli Watykan działał w swoich widokach, kiedy przyczynił się do upadku katolika Szaparego: czyż odstąpił już od tych widoków, kiedy nie przeszkodził, żeby na czele rządu stanął minister tak wątpliwych zasad, były członek loży? Wszakże nowy rząd nie obiecuje wystąpić z trójprzymierza i ułatwić papieżowi powrotu

do władzy doczesnej; występuje nawet ostrzej przeciw Kościołowi, aniżeli poprzedni. Świeccy i duchowni dostojnicy węgierscy dowodzą tego dosyć wyraźnie: starszy żupan ostrzychomski, Józef hr. Majlath, po programowej mowie Wekerlego wręcz oświadczył, że pod rządami wrogów Kościoła urzędu piastować dłużej nie będzie; hr. Zichy bez ogródki zarzucił nowemu gabinetowi, że śmiał nawet monarchę w błąd wprowadzić, byle na nim wymódził zgodę na prawa szkodliwe dla Kościoła; obecny zjazd biskupów węgierskich i głucho wieści o przyszłym synodzie w tym kraju zapowiadają ze strony duchowieństwa obronę przeciw zamachom rządu na prawa Kościoła.

Poprzednik Wekerlego nie wywołał takich objawów za swoich rządów: ze strony dzienników zachowawczych nie spotykał zarzutów, że żywi zamiary wolnomularskie, a spotykał pochwały za to, że usiłuje wstrzymać wybuch kulturkampfu na Węgrzech. Ani sam Szapary nigdy nie wynurzał żalu, że na swoim stanowisku znalazł przeciwnika w Kościele. Zupełnie inne przeszkody utrudniały jego rządy.

Hr. Szapary nie z wszystkimi członkami rządu mógł zachować dobre stosunki od chwili, kiedy patryotyzm madziarski przybrał rozmiary niedość zgodne z obowiązkami poddanych względem króla. Według wiedeńskiego korespondenta do *Allgemeine Zeitung*, nie tylko Szaparego, ale nawet samego króla węgierskiego od dawna już razi widok prądów, które coraz śmielej wicherzą po Węgrzech. Wolnomyślne stronnictwo, gotowe do walki na zabój z ludnością słowiańską albo rumuńską, nie śmie palcem ruszyć na skrajną lewicę, która płonie zapalem dla Kossutha. Obywatelstwo, dane temu wrogowi domu rakuskiego, naraziło Szaparego na zatarg z ministrami, przychylnymi takim porywom madziaryzmu. Nie przyszła do skutku myśl, żeby nagrodzić objawy nielojalne wieńcem, złożonym na posagu Henzego i honwedów, którzy bronili dynastji w r. 48.

Hr. Tisza mógł swoim wpływem wymódzi na ministrach, żeby usiłowali pojednać obrażonego monarchę z narodem; ale postąpił wprost przeciwnie: rozdmuchał iskrę, z której wybuchł pożar.

Zabiegi Tiszy zachwiały stanowisko Szaparego, który wyjechał do Wiednia po ostateczne rozkazy. Zaraz *Neue Freie Presse* upatrzyła przyczynę burzy w sprawach kościelnych. Nietylko *Vaterland*, ale nawet wcale nie ultramontańska *Politik* pragska zadała kłam tej pogłosce. *Budapesti Hirlap* wytknął prawdziwą przyczynę przesilenia, którą istotnie sam Szapary potem podał: różnicę zdań w łonie gabinetu co do ślubów cywilnych.

Te szczegóły pokazują sprawcę burzy w Tiszy, nie w Leonie XIII. O cóż poszło hrabiemu Tiszy? Czy o przeróbkę ustaw o małżeństwie? W tym razie mógł ją być przeprowadzić za swoich rządów długoletnich. Czemuż wtenczas nie poruszył sprawy, a dopiero teraz napadł na dawną ustawę, kiedy mógł przez to obalić Szaparego?

Na to pytanie można już odpowiedzieć zgodnie z wspomnianym korespondentem do *Allgemeine Zeitung*: ministrowie szukali sposobu, jakby dowieść potęgi madziarizmu, jako stronnictwa naczelnego i zdolnego wyrzucić nacisk nietylko na inne narody zalitawskie, ale nawet na Koronę. Stosowną do tego znaleźli chwilę, kiedy sprawa ślubów i chrztów nastreczyła im pozór do walki, a Tisza przyjął w niej dowództwo. Napróżno wolnomysłne Węgry hałasują przeciw „uroszczeniom Kuryi Rzymskiej“ i zapowiadają obronę praw państwa przeciw przywilejom Kościoła: podniesionymi puklerzami przeciw Rzymowi madziarzy niezręcznie pokrywają rokosz przeciw Habsburgom. Dają zrozumieć cesarzowi, że nie ma wglądać w wewnętrzne sprawy węgierskie, bo wolnomysłni patryoci chcą sami panować u siebie.

Ale niedługo trzeba było czekać, żeby tę samą odpowiedź dał hr. Aponyi, który w biegu powyższych wypadków brał udział najżywszy. W ostatnich dniach przeszłego miesiąca wystąpił z mową w Izbie, zarzucił stronnictwu rządowemu, że nie rozwija konstytucyi z 67 r. w duchu patryotycznym, zaznaczył, że naród burzliwie żąda widzieć swoje prawa wszystkie dokładnie zachowane, że obudzona świadomość praw wywołała najprzód zmianę w łonie gabinetu Tiszy, ale nie zadowolnił jej taki pośrednik: gabinet Tiszy musiał ustąpić. Objął rządy Szapary: nie stanął na czele patryotów i usiłował przez drobne ustępstwa odwrócić

ich uwagę od zasadniczych zmian, przez nich oczekiwanych. Zmarnował półtrzecia roku na próżnych wybiegach i, przy nadarzonej sposobności, upadł. Obecny rząd umyślił zażegnać burzę hasłami postępówemi: jałowa to praca niemniej od poprzednich. Nie zadowolni narodu żaden rząd, który nie wglądnie w istotną przyczynę przesileni ministeryalnych: rząd musi dorósć do stanowiska, z którego spogląda na swoje prawa ocknięty z ospałości ducha węgierskiego narodu.

KROKI DO ZGODY
MIĘDZY
WATYKANEM
A PETERSBURGIEM.

W ten sposób Aponyi, niepodejrzany świadek, zdał sprawę z przewrótów węgierskich i oczyścił Papieża z mniemanej winy w upadku Szaparego. Kiedy wolnomularskie pisma straciły na Węgrzech pole do popisów z napaściami na Watykan, wtenczas zwróciły oczy na inne wypadki w Europie, żeby pokazać, jak Papież skrzętnie poszukuje współników do walki z trójprzymierzem i z tą myślą wyciąga dłoń do dworu petersburskiego.

Nietylko w naszej prasie obiegały takie pogłoski. Przejażdżka W. księcia Sergiusza po Europie i jego odwiedziny w Watykanie sprowadziły także zachodnie pisma na pole domysłów i podnieciły żywsze wyobrażenie do wszelakiego rodzaju przepowiedni. Darmo dzienniki chłodniej pisane a bliższe źródeł zwracały uwagę, że Papież w niestosownej porze poruszałby najważniejsze sprawy, gdyby rozbraiał je przy rozmowie z W. Księciem: takie rozmowy zwykle poprzestają na etykietalnej wymianie grzecznych wyrazów; a wobec W. Księżnej, która towarzyszyła mężowi, jakżeż mógłby Papież rozprawiać o swojej polityce, pełnej doniosłych następstw dla stosunków międzynarodowych? Na tę uwagę zamilkły dzienniki włoskie, prócz rozdaśanego *Diritto*, które ani chciało odwołać pogłoski ani nie mogło jej bronić, ale znalazło wyjście z kłopotu: z dowcipu mnielada zapewniło, że W. Książę przez cały czas z Papieżem prowadził rozmowę ascetyczną.

Niemniej zjadliwie, choć z większą powagą, *The Contemporary Review* utyskuje na papieskie zabiegi o przyjaźń z samowładcą północnym. Bezimienny dyplomata i, jak sam twierdzi, głęboki wielbiciel Leona XIII., na prośbę swoich *eminent col-*

leagues powstaje przeciw temu Papieżowi, którego polityka przeraża wielu rozsądnych i pobożnych katolików, nawet biskupów i najwyższych dostojników. Jądrym tej polityki ma być jedyna troska, żeby odzyskać berło nad skrawkiem ziemi, nazywanej dawniej Państwem Kościelnem. Ta troska ma stanowić kamerton, do którego Leon XIII. nastroił całą duszę swoją: stąd zachody o względy północnego odszczepieńcy, innowierców angielskich, francuskich wolnomularzy, stąd przyjaźń nawet z Bismarkiem. Z tej drogi nie odwodzi Leona nawet pamięć o niebezpieczeństwie, na jakie naraża bezmyślnie Polaków, Irlandczyków, monarchistów we Francji i Centrum niemieckie.

Na swoje nieszczęście, bezimienny znawca najskrytszych myśli Leona XIII., przeplótł swoje skargi szczegółami tak lichy przekręcaniami, albo zmyślaniami tak wierutnie, że kto nawet wierzy we wszystko, co wyczyta w dzienniku, tą razą dostrzeże, jak mało o prawdę szło autorowi.

Mimo to, w ślad za *Review* poszły *Kölnische Zeitung* i *Post*, żeby zatrzeć na trwogę z powodu papieskiej narady z W. Księciem. Chyba szło tym dziennikom o sensacyjny artykuł dla reklamy, jeżeli nie podały treści owej „strasznej“ narady. Jedyne rzymski korespondent *Standard'a* opisuje, że W. Książę, powitawszy Papieża, powiedział: „zwyczaj wymaga, żeby każdy członek rodziny Romanowów osobiście uczcił Głowę Chrześcijaństwa, kiedy przebywa w Rzymie, żeby zwiedzić cenne zabytki starożytności. Cieszy mnie to, że razem z żoną mogę odnowić ten zwyczaj i być tym razem tłumaczem uczuć mojego brata, cara“. Leon XIII. miał wdzięcznie przyjąć wyrazy tych uczuć i wspomnieć o licznych odwiedzinach, składanych jego poprzednikom przez członków tej rodziny. Potem miał dodać: „choćby chwilowe przeszkody nieraz utrudniały te stosunki, utrzymywane przez wieki, jednak z biegiem czasu zaszła zmiana z obu stron i obie strony rozumieją już teraz dobrze cenę pokoju i zgody“. Na to W. Książę nie odpowiedział nic. O półgodzinnej dalszej rozmowie nie podaje żadne pismo bliższych szczegółów. Przy pożegnaniu wyraził Leon XIII. swoim gościom nadzieję, że ich odwiedziny nie zostaną bez skutku i prosił W. Księcia, żeby

serdecznie polecił swojemu bratu stan Kościoła Powszechnego w polskich dzielnicach. Na to W. Księżę odpowiedział: „będę się czuł szczęśliwym, kiedy przedłożę carowi życzenia W. Świątobliwości i jestem pewny o ich dobrem przyjęciu“.

Tyle donosi o całej rozmowie jedyny dziennik, który podaje o niej jakieś szczegóły.

Ks. K. C.

Jeszcze nowy koncept o kalendarzu.

W jednym z czasopism naukowych specjalnych¹, znajduje się przed niedawnym czasem ogłoszony artykuł pod tyt. „Stały kalendarz“, który, reprodukowany skwapliwie przez różne pisma niemieckie, do dziś żadnej nie dostał odprawy. Zadziwiającą bowiem jest rzeczą, że w dzisiejszych czasach, gdy prawie każda choćby najmniejsza narodowość, a w niej znów każde, choćby najnieracyonalniejsze wyznanie, dążą do utrzymania wobec innych swej odrębności i wzmocnienia tradycyjnej nici, łączącej je z przeszłością, gdy wiele jeszcze i wiele tysięcy ludzi nie w samym tylko materyalizmie i rzekomej praktyczności znajdują swój ideał, a zakusom dążącym do stratomania tego, co dla nich było i jest świętem, przeciwstawiają swoje niezłomne *non possumus* — że więc w tych czasach wyłaniają się projekta, które godzą na to jakbądź godne uznania poszanowanie przeszłości, zwyczajów lub instytucyj, uświęconych powagą czasu lub dogmatu. I to wszystko w imię pozornej praktyczności, nie przynoszącej nikomu żadnego rzeczywistego pożytku, a dopatrującej zawsze ujemnych stron i strat tam, gdzie ich nie ma zupełnie. Pod powyższym tytułem przytoczony artykuł żąda poprawy dzisiejszego kalendarza, i to naturalnie, jakiegoby, jeżeli nie naszego gregoryańskiego, boć inne, choć im w przyszłości grube niekonsekwencye zagrażają, nad wymyślonemi przez autora zmianami, jakimikolwiekby one były, przeszłyby z oburzeniem do porządku dziennego. A autorowi śnać nie imponują, ani kilkowiekowy *usus*, ani powaga przepisów Kościoła; myślał on tylko, aby przecie coś wymyśleć, no i wymyślił projekta, o których filozofom w całym tego słowa zna-

¹ *Wochenschrift für Astronomie, Meteorologie u. Geographie*, 1891, artykuł p. t. *Ein stabiler Kalender*, von Prof. Dr. I. Riss in Oedenburg.

czeniu dotąd się nie śniło. Znajomości rzeczy i jej przewodnich zasad autorowi „Stałego kalendarza“ wcale imputować nie można. *Nec sutor supra crepitam*. Przypatrzmy się teraz tym jego projektom.

Autor zaczyna rzecz wylewem łez nad niepraktycznością dzisiejszego kalendarza, i stąd wnosi, że nie potrzeba na to wiele przytaczać dowodów, jakby to było pożyteczne i korzystne, gdyby on się powtarzał niezmiennie z roku na rok, tj. gdyby niedziele i święta zawsze na tę samą datę i dzień przypadaly, gdyż taki kalendarz każdy, nawet mało wykształcony człowiek, łącno zachowałby w swej głowie: tak w obywatelskiem jak kościelnem życiu miałby on wielkie znaczenie i pożytek, a prócz tego wielką zeń korzyść odnosiłby także stosunki handlowe i wogóle wszystkie gałęzie stosunków społecznych. Po tym wstępie autor stawia pytanie, czy możliwym jest taki kalendarz, a nie chcąc trudzić tą zagadką znawców z zawodu, sam od razu ten węzeł rozcina. Otóż według niego tę pożądaną niezmiennosc osiągnąć łatwo, jeżeli początek roku (tj. 1 stycznia) stale i raz na zawsze na niedzielę przypadnie, a w tym razie, z wyjątkiem lat przestępnych, ostatni dzień roku będzie także niedzielą, jako godne zakończenie roku. (A więc dwie niedziele, jedna po drugiej, z dnia na dzień!). Takby było w roku zwyczajnym. W latach przestępnych między te dwie niedziele, to jest ostatni dzień kończącego się i pierwszy dzień nadchodzącego roku, musiałby być wsunięty jeden dzień dodatkowy, powszedni, co obecnie dzieje się z końcem lutego. Naturalnie, że, czego autor nie wyjaśnia, dzień ten musiałby być albo bezimienny, albo też nazywać się np. poniedziałkową sobotą, gdyż ani samym poniedziałkiem, chociaż idzie tuż po niedzieli, ani samą sobotą, chociaż idzie tuż przed niedzielą, nie mógłby się nazywać, a jako powszedni, a nawet bezimienny, nie byłby on znów zbyt godnem zakończeniem roku, i św. Sylwester, tak solennie obchodzony u Niemców, a obecnie już i u nas, tylko co 4 lata miałby sposobosc przypomnieć się swoim adoratorom.

W dalszym ciągu swych puryfikacyj, proponuje autor w pierwszej połowie roku zatrzymywać każdy miesiąc z taką liczbą dni, jaką dziś posiada, z wyjątkiem lutego, który (nie reflektując na to, że jest to najmilszy miesiąc w roku dla urzędników) uzupełnia raz na zawsze do 30 dni; w drugiej zaś połowie roku dla lipca i października, czyli dla początku 3-go i 4-go kwartału, zatrzymuje on 31 dni, a reszcie miesięcy daje po 30, z wyjątkiem znów roku przestępnego, w którym grudzień dostałby ów powyż wspomniany dzień dodatkowy, czyli liczyłby tak jak obecnie 31 dni.

Jak dotychczas, jeszcze autor za bardzo nie rozpędził się na koniu swych projektów, chociaż i dotychczasowe nie wszędzie się godzą z tradycją i wymogami Kościoła. Tak np. Nowy rok jest u nas ściśle połączony z pamiątką obrzezania Chrystusa, i jako taki bywa święcony; święto to, odpowiednio do tekstu Pisma św., obchodzimy 8-go dnia po Bożem Narodzeniu, według zaś projektowanego kalendarza naszego autora, wyjawszy roku przestępnego, w którym grudzień jak dotychczas liczyłby dni 31, obchodzilibyśmy je dnia 7, tj. w Nowy rok, albo też, chcąc się trzymać tradycji Kościoła, musielibyśmy je przełożyć na dzień następny, tj. 2 stycznia. Takich na razie drobnych niezgod z istniejącymi przepisami Kościoła, który jak wiemy największe zasługi położył przy reformie kalendarza i głos stanowczy przynależy mu się słusznie w tej sprawie, znaleźlibyśmy zapewne i więcej; szukając ich atoli, przejdźmy do najważniejszej zmiany, proponowanej już w galopie reformatorskim przez autora.

Otóż, aby swój kalendarz jeszcze lepiej ustalić, proponuje on unieruchomić święto Wielkanocne, a tym sposobem i cały szereg świąt katolickich odeń zależnych, jak: Popielec, Wniebowstąpienie, Zielone Świątki, Boże Ciało i t. p., mianowicie zaś Wielkanoc kładzie on na dzień 14 kwietnia, godząc się na przestawienie jej o 8 dni naprzód lub wstecz po tym terminie. Tu wkracza już autor głęboko w sferę przepisów duchownych, szanowanych w Kościele katolickim przez tyle wieków, pragnąc zniszczyć tradycję i przepisy soborów, jak gdyby przypomniał sobie czasy, w których zastosowanie się do tych przepisów natrafiało na trudności rachunkowe, od dość dawna najzupełniej już usunięte. Aby doniosłość tego projektu należycie ocenić, przypomnijmy sobie w krótkości zasady, jakich się nasz Kościół w tej mierze od wieków trzyma, i jakie powody skłoniły go do ich przyjęcia.

W początkach chrześcijaństwa nie było zgody co do terminu obchodzenia święta Wielkanocnego. Gminy chrześcijańskie pochodzenia żydowskiego obchodziły dnia 14 lub 15 miesiąca Nisanu, pamiątkę ostatniej Wieczery Pańskiej; drugi dzień był poświęcony pamiętce śmierci, trzeci zaś, Zmartwychwstania Chrystusa. Chrześcijanie zaś, pochodzący z pogan, święcili Zmartwychwstanie Pańskie w niedzielę, którą poprzedzał dzień pokuty i postu, i za taki ustanowiony był piątek. Obchodzenie Wielkiejnocy w ten ostatni sposób rozszerzyło się głównie na Zachodzie, podczas gdy na Wschodzie święcono ją na wzór chrześcijan żydowskich, w obu atoli razach zbliżano się tylko, a rzadko schodzono z historyczną datą.

Chrystus z uczniami swymi spożywał baranka wielkanocnego we czwartek, w piątek zaś był ukrzyżowanym; że zaś piątek ów, jak tego dowodzi jeden z najcelniejszych chronologistów ¹, przypadać musiał dnia 14 Nisanu, czyli w dniu prawem przepisanej Paschy żydowskiej, zatem Chrystus ukrzyżowanym był 14 Nisanu, a 16-go zmartwychwstał. Naturalną więc rzeczą było, że kościół chrześcijański już w pierwszych stuleciach swego bytu postanowił, iżby pamiątkę Zmartwychwstania Zbawiciela święcić najwcześniej dnia 16-go, a do tego w niedzielę, ponieważ trzeci dzień od śmierci Chrystusa na niedzielę przypadał. Ku temu też zmierzały przepisy pierwszych rzymskich biskupów, jak Piusa w r. 159 i Wiktora w r. 198.

Mimo tych przepisów, długo się wlokły spory między chrześcijanami Wschodu i Zachodu o datę święcenia Wielkiejnocy, a nie załagodził ich weale zjazd Ojców Kościoła, odbyty w Cezarei w r. 198. Dopiero sobór nicejski w r. 325 postanowił, aby wszystkie kościoły obchodziły jednogłośnie święto Wielkanocne w niedzielę następującą po wiosennej pełni księżyca, czyli po pierwszej pełni przypadającej po dniu 21 marca; jeżeliby zaś ta pełnia przypadała na niedzielę, w takim razie dopiero o tydzień później, tj. w niedzielę następującą.

Dyrektywą tej uchwały soboru nicejskiego były tradycyjne i piśmienne dowody, że Zmartwychwstanie Chrystusa nastąpiło po dniu równonocni wiosennej i po pełni księżyca tuż po tym dniu idącej, (1 Nisanu przypada u Żydów zawsze w dzień nowiu księżyca, następującym po porównaniu wiosennem dnia z nocą, a więc 16 Nisanu, czyli dzień Zmartwychwstania Chrystusa, był tem samem także po równonocni: był on również i po pełni, gdyż od 1 do 16 upłynęła większa połowa miesiąca księżycowego). Do tych dwóch okoliczności Kościół rzymski nawiązał datę święcenia Wielkiejnocy, dzień 21 marca przyjąwszy stale za dzień równonocni wiosennej — a przytem w razie gdyby pełnia przypadała dnia 21 marca i to w niedzielę, odraczając święto to do następującej niedzieli, czyli o tydzień cały. Stąd to więc pochodzi, że Wielkanoc wcześniej niż 22 marca przytrafić się nie może, i to tylko wtedy, gdy pełnia przypada dnia 21 marca, to jest w dzień przyjętej równonocni wiosennej, i do tego w sobotę.

Drugą granicą, określającą znów najpóźniejszy termin święcenia Wielkiejnocy, jest 25 kwiecień. Jeżeli bowiem pełnia księżyca przypada dzień przed równonocnią wiosenną, a więc 20 marca, zatem na-

¹ Ideler, *Lehrbuch der Chronologie*, 1883.

stępująca po niej i zarazem po dniu równonocni pełnia wielkanocna, przypadnie dopiero w 29 dni później, tj. 18 kwietnia — przyczem znów, jeżeli 18 kwietnia, a więc i taż pełnia w niedzielę się przytrafią, święto Wielkanocne dopiero w tydzień później, a więc 25 kwietnia może być święconem. Granice zatem, wśród których ruchomem jest to święto, obejmują 35 dni, tj. między 22 marca a 25 kwietnia, wyrażone utartą sentencyą: *non sequitur Marcum, non praecedit Benedictum*.

Tej to zasadniczej normy, wprowadzonej przez sobór nicejski co do daty święcenia Wielkiejnocy, trzymał się odtąd Kościół rzymski nieprzerwanie. A chociaż powyż przytoczone jej ograniczenie w dawniejszych wiekach nasuwało trochę kłopotów rachunkowych, z powodu nawiązania jej do ruchu księżyca, to przecież dziś, i to od dawna, wątpliwości wszelkie w tej sprawie są już usunięte, a obliczanie tej daty dla przeszłych i przyszłych lat któregośbądź stulecia, jakoteż wyznaczanie daty wszystkich świąt ruchomych od tamtej zależnych, jest dziś pracą co najwyżej jednogodzinną. Jeżeli zaś tak jest, jakiz więc powód zrywania z tyłowieczną tradycyą, i zrywania nici łączącej nas z przeszłością? — chyba tylko ten, aby utorować drogę innym utajonym dotąd projektom, przez ludność chrześcijańską wcale nie wyglądany, ani pożądanym. Z tradycyą tą zrywać i być dla niej obojętnym może tylko ten, kto w niej nie wzrósł, i dla kogo ona nie ma żadnego znaczenia. Dziwna zaś jednogodność proponowanej przez autora „Stałego kalendarza“ na pierwszym miejscu nowej daty wielkanocnej, tj. 14 kwietnia, z datą 14 Nisanu przez Żydów jako dzień Paschy tradycyjnie szanowaną, daje nam wiele do myślenia i nasuwa podejrzenie co do czystości zamiarów.

Spodziewa się autor naiwnie, że Rzym z pewnością nie będzie się temu opierał.

Astronomowie zaś, do których zwraca się autor na zakończenie, aby kwestyę jego projektu na porządek dzienny wprowadzili, takową wyjaśnili, popularność jej zjednali, i u kompetentnych władz kościelnych i świeckich reformę tę przeprowadzili, przejdą, mamy nadzieję, nad nią do porządku dziennego, bo szanują siebie i szanują rzetelną i moralną pracę poprzedników swoich. Na tem zaś kończąc naszą odpowiedź autorowi, dolożymy chyba jeszcze: *si tacuisses, philosophus mansisses*.

Dr. Wierzbicki.

Projekt postawienia Sarbiewskiemu pomnika w Bezdanach.

W lipcowym *Przewodniku bibliograficznym* 1892 r.¹ podał dr. W. Wisłocki w ogólnym zarysie treść rękopisów, które Biblioteka Jagiellońska tego roku otrzymała. Między innymi zwrócił uwagę na zbiór po ś. p. Maurycem Krupowiczu². Niedługo potem w prywatnej rozmowie poinformował mnie, że w bogatej darowiźnie rękopiśmiennej po ś. p. Krupowiczu znajdują się akta, odnoszące się do postawienia pomnika Sarbiewskiemu w Bezdanach.

Korzystając z uprzejmości d-ra W. Wisłockiego, zabrałem się do zbadania tych dokumentów, i wynikiem moich poszukiwań dziełę się niniejszem z czytelnikami *Przeglądu*. — Akta, będące w mojej, znajdują się w rękopisie, oznaczonym L. 5098 fasc. 6, a jeden z nich w rękopisie pod L. 5099. Paczka oznaczona L. 5099 jest zbiorem korespondencji członków byłego „Towarzystwa archeologicznego“ w Wilnie. W niej, o ile mogłem zauważyć, znajduje się tylko jeden dokument, należący do naszej sprawy, a jest nim list poety Wł. Syrokomli (L. Kondratowicza) do sekretarza Tow. archeolog., M. Krupowicza. Paczka oznaczona L. 5098 składa się z kilku fascykułów, z których szósty odnosi się wyłącznie do projektowanego pomnika i zawiera sześć dokumentów: 1) pierwszy prawdopodobnie rzut prośby do generał-gubernatora, skreślony, jak to można poznać przez porównanie, ręką samego prezesa Tow. arch., Eustachego hr. Tyszkiewicza; 2) toż samo, z małemi dodatkami na marginesie, po rosyjsku; 3) list własnoręczny Mikołaja Malinowskiego do Eust. Tyszkiewicza w tejże sprawie; 4), 5) i 6) sam tekst napisu, jaki miał być na pomniku Sarbiewskiego umieszczony, a naszkicowany przez tegoż Malinowskiego, w trzech egzemplarzach: po polsku, po łacinie i po rosyjsku. Oto zawartość rękopi-

¹ P. 109.

² Urodzony w 1823 r. w Grodnie, zmarły r. 1891 w Warszawie, badacz na niwie historii, archeologii, dyplomatyki i sfragistyki; wydawca „Zbioru dyplomatów... od r. 1337—1710“ i „Skarbcza dyplomatów“, współredaktor *Kuryera Wileńskiego*. R. 1865 usunięty ze swej posady sekretarza „Komisji archeologicznej“ w Wilnie przez Murawiewa. — Szczegóły te zaczerpnięte z omówionych w tej pracy rękopisów.

śmienna. Aby wyjaśnić genezę tej myśli i tego projektu, jaki docho-
wał się tylko w tych dokumentach, musimy na chwilę zatrzymać się
przy wspomnianem tutaj Towarzystwie archeologicznem wileńskiem.

Wiadom jest powszechnie, jak potężny ruch umysłowy rozwinął się
w Wilnie i wogóle na Litwie w pierwszej połowie naszego stulecia. Nie
zamarł on jednak i w drugiej połowie wieku, a szósty i siódmy jego
dziesiątek tętnią jeszcze potężnem umysłowem życiem. Za staraniem
archeologów braci Tyszkiewiczów: Konstantego (1806—1868) i Eu-
stachego (1814—1873), utworzono roku 1855¹ „Komisję archeolo-
giczną“ i „Muzeum starożytności“, ze stałą siedzibą w Wilnie. Przez
lat dziesięć swego istnienia, jak skrzętnie i z jakim poświęceniem tam
pracowano, najlepszym dowodem były bogate zbiory tegoż „Muzeum“,
zagrabione niestety przez Murawiewa, i ożywiona korespondencya tej
naukowej instytucyi, przechowana właśnie w Rk. 5099. Mimochodem
tylko chcę tu nadmienić, że rękopisy po Krupowiczu, złożone w Bibl.
Jagiel., zawierają tak obfity materiał, iż w istocie warto się zabrać do
opracowania monograficznego działalności i zasług „Komisyi“. Tylko
tego rodzaju gruntowne i źródłowe prace mogą komuś w przyszłości
utorować drogę do napisania dziejów naszego piśmiennictwa, naszej
oświaty i literatury; tylko z takich cegiełek wzniesie się trwały gmach.

Eustachy hr. Tyszkiewicz był pierwszym i zarazem ostatnim
prezesem i kuratorem „Komisyi archeologicznej“ i „Muzeum starożyt-
ności“. Jako mąż pełen ducha ofiarności, niezmordowany zbieracz tra-
dycyj i pamiątek narodowych, a przytem prosty, otwarty, szczery,
przystępny dla każdego, był Tyszkiewicz powszechnie ceniony i sza-
nowany. Wiernie uchwycił i przechował nam rysy jego Wł. Syro-
komła w krótkim wierszyku, napisanym na dzień imienin hrabiego
w r. 1854²:

Cała twych, hrabio, przyjaciół gromada,
Litwiny, Niemcy, Rusiny i Lachy,
Niech pamiętają, że dzisiaj przypada
Święty Eustachy.

.....
.....

¹ A. Zdanowicz w „Rysie dziejów literatury polskiej“ (Wilno 1877, tom iv., p. 676) podaje datę r. 1856. Idąc za wskazówką protokółów z posiedzeń tej „Komisyi“ (zawartych w Rk. L. 5098 fasc. 2 w Bibl. Jag.), datę tę przesunąłem o rok.

² „Pisma epiczne i dramat.“ Poznań 1868, t. ix, p. 66.

Na pięknej drodze twojego zawodu
 Posieje hełmy i pancerne blachy
 I stągwie pełne odwiecznego miodu
 Święty Eustachy.

Stare ławnice, bogi, przywileje,
 W czym były Litwy nadzieje i strachy;
 Wie, gdzie pamiątka naszych ojców tleje
 Święty Eustachy... i t. d.

Przy takim usposobieniu nie dziw, że zapragnął Tyszkiewicz wydobyć z toni zapomnienia szlachetną postać „ukoronowanego poety“ Sarbiewskiego, i uczcić go pomnikiem. Od niego wyszła najprawdopodobniej inicjatywa w tym względzie. On też rzucił na papier własnoręcznie plan i projekt tego pomnika.

W Rk. 5098 na arkuszu, noszącym tytuł: „Zapiska do Generał-gubernatora“, znajdujemy szkic prośby, wystosowanej do przedstawiciela władzy w Wilnie. Tyszkiewicz wylicza tu pokrótce zasługi Sarbiewskiego i jego europejską sławę, uzasadniając tem prośbę, jaką postanowił zanieść do jenerał-gubernatora zarząd „Komisyi“, aby zezwolił na postawienie pomnika w Bezdanych, ulubionem przez poetę ustroniu. Składki na ten cel podejmuje się sama „Komisyja“ dobrowolnie zebrać z pośród swych członków. Pismo hr. Tyszkiewicza przytaczamy *in extenso*:

„Droga żelazna pomiędzy Wilnem a Dynaburgiem przerzyna na pierwszej od Wilna stacyi lasy bezdańskie, opiewane w połowie XVII. wieku w rymach łacińskich przez znakomitego i głośnego w całej Europie poetę Macieja Sarbiewskiego. Sarbiewski, z powołania Jezuita, przybył do Wilna w r. 1621 jako profesor do Akademii (*sic!*) i długi czas tu przebywał. Bezdany stanowiły własność tego zgromadzenia, gdzie zwykle księża letnie, wakacyjne spędzali miesiące. Stąd powód, że w dziełach jego w różnych czasach, jako klasycznych, ogłaszanych drukiem za granicą, okolice Wilna i lasy bezdańskie wspomina. Z Wilna udał się do Rzymu, gdzie na dworze papieża Urbana VIII. przebywał i przez niego laurem uwieczniony został. Umarł w 1640 r. Wznowiona pamięć wielkiej sławy męża stworzyła myśl w gronie Komisyi archeologicznej wileńskiej, wzniesienia mu skromnego pomnika przy stacyi bezdańskiej z dobrowolnych ofiar jej członków.

„Ośmielam się doprowadzić to do wiadomości JW. Pana i zapy-

tując jego w tym przedmiocie woli i zdania, prosić o pozwolenie zająć się skutecznieniem myśli wzniesienia rzeczzonego pomnika“¹.

Napis, jaki miał być umieszczony na tym „skromnym“ pomniku, polecono widocznie ułożyć Mikołajowi Malinowskiemu (1799—1865), wielkiemu znawcy ojczystych dziejów i niestrudzonemu ich badaczowi, a zarazem jednemu z najczynniejszych członków „Komisyi“. W liście swym (bez daty!) Malinowski przysłał hrabiemu ów napis w trzech językach: łacińskim, polskim i rosyjskim; usprawiedliwia się, czemu uczynił w nim wzmiankę o Bezdanych i radzi na pomniku umieścić herb Sarbiewskich: Prawdzie. Oto własne słowa Malinowskiego:

„Odsyłam łaskawemu hrabiemu dobrodziejowi napis na pomnik. Musiał stać się nieco dłuższym, bo zdawało mi się, że czytelnik mniej więcej z napisu dowiedzieć się powinien, kto był Sarbiewski, kiedy żył i za co mu Litwa wdzięczna. Wyrazy *Hoc Bezdany nemus* wzięte są z jego ody i uczą, dlaczego w Bezdanych pomnik stoi. Może nie źleby było na pomniku umieścić rodowy herb Sarbiewskich: Prawdzie.

Całuję nogi

M. Malinowski“.

Bezdany, w których projektowany pomnik miał stanać, znajdują się w powiecie wilejskim, parafii niemenczyńskiej, nad rzeką Wilią, o „dnie złocistem i niebieskich licach“, w odległości 24 wiorst od Wilna. Roku 1516 nadał je Zygmunt I. Ulrykowi Hozyuszowi, ojcu słynnego kardynała Stanisława. Wnuk Ulryka, także Ulryk, sprzedał te dobra w r. 1605 ks. Wilezopolskiemu, kanonikowi wileńskiemu, który później darował je Jezuitom wileńskim na własność². Po kasacie Jezuitów dobra te przeszły w posiadanie rodziny Łopacińskich i do dzisiaj są jeszcze w ich ręku. Za pobytu ks. Sarbiewskiego w Wilnie była tu willa letnia Jezuitów wileńskich, w której przepędzano dni wolne od wykładów i wakacje doroczne. Bezdany posiadały i posia-

¹ Drugi egzemplarz tej samej prośby znajduje się w dokumentach po rosyjsku.

² Wiadomości te czerpię ze „Słownika geograf.“ (Warszawa 1880, t. I, 162). Zaznaczam przy tej sposobności, że błędnie zacytowane jest miejsce ze Sarbiewskiego o Bezdanych, jako „I. Ep.“, bo jest to 3-cia Epoda; a niedokładnie podano Odę Naruszewicza, jako VII, bo jest ód kilka ksiąg, a ta o którą tu chodzi, jest w ks. III.

dają dotąd ogromny las sosnowy (do 5000 „dziesięcin“ obszaru), który wspomina mile Sarbiewski w trzeciej Epodzie, opiewając horacyuszowskim tonem sielskie przyjemności tej okolicy:

Quod si levandas mentis in curas vigil
 Ruris suburbani domus,
 (Quales Lucisci vel Nemecini Lares
 Udumve Besdani nemus),
 Rudes adornet rustica mensas dape
 Siccus sub Augusti dies;
 Iam tunc sub ipsum limen, aut domestica
 Lenis sub umbra populi
 Exspectat omnis hospitem suum penus
 Et concha sinceri salis
 Pressique meta lactis et purus calix
 Et hospitalis amphora,
 Et fraga, raris verna quae dumis legit,
 Lucunda panis praeinia.

 Remugit ingens interim tauris nemus,
 Umbrosa balant flumina;
 Et aut in antris garriunt acanthides,
 Aut in rubis luscinae.
 Hinc per rubeta pastor errantes capras
 Vocante cogit fistula;
 Illinc herili messor e campo redux
 Alterna plaudit carmina,
 Et pressa sectos plaustra per sulcos gemunt
 Ruptura ruris horrea...

(Wyd. Starowiejskie z r. 1892, p. 205—206).

Niedaleko Bezdanów leżą Niemenczyn i Łukiszki, wymienione przez poetę w tej odzie. Były to prawdopodobnie folwarki kolegium wileńskiego. Tutaj spędził Sarbiewski wiele przyjemnych chwil; tutaj niejedno powstało w duszy jego natchnienie, niejednen zachwyt dla rodzinnej ziemi, jej uroków i wdzięków. (Cfr. Lyr. IV. O. 35, ed. Star.).

W półtrzecia niespełna wieku po Sarbiewskim osiadł na probostwie niemenczyńskim i unosił się po swojemu nad Bezdanami i ich okolicą inny poeta: Adam Naruszewicz... Różne epoki i różne umysły, to też i zachwyty prawie sprzeczne i wcale do siebie niepodobne, choć pozornie ten sam przedmiot je rozniecił. Sarbiewski — wielki smakosz i wybredny artysta w guście Horacego; Naruszewicz ciężki, — pedantkami prawidłami ciasnej sztuki skrepowany, a przytem pozbawiony

rzetelnego talentu poetyckiego, i tylko gwałtem wciskający się „na skałę pięknej Kalliopy“. Zaczem ów tonem lekkim i powiewnym; ten zaś, „w szumnodumnych wyrazach kwiatorodny wił wieniec“¹ na skronie bezdańskiej puszczy. W odzie VII. ks. III. p. t. „Niemenczyn“ (wyd. Mostowskiego z r. 1804) wyśpiewał on niezgrabnie swe uczucia, które w nim obudziło to nowe położenie, w jakim się znalazł po kasacie, i te okolice, żyjące wspomnieniami pobytu Sarbiewskiego w tych stronach:

Już się od *piórka i słoniowej fletnie*
Do sierpa, widzę, brać trzeba w tym czasie.

.....
Że od tych kroków *wzrost* się mój poczyna,
Rad i pomierny folwarczek *dziedzicę*:
Wszak i leśnego w pośród Niemenczyna
Jeszcze się echo odzywa słowicze,
Gdzie luby wieszczek, zaszczyt Sarbiewa,
*Szumno-gałęźne głosem żywi drzewa*².

Jakżeż wyglądał napis ułożony przez Malinowskiego? Rękopisy, jak wspomniałem, zawierają pomysł napisu w trzech językach: łacińskim, polskim, rosyjskim. Dwa ostatnie są wiernem tłumaczeniem pierwszego, z tą jedynie różnicą, że napis polski i łaciński pomija datę urodzenia poety — rosyjski podaje błędną, tj. r. 1582.

Napis łaciński brzmiał jak następuje:

Vati antiquis aequiparando
Mathiae Casimiro Sarbiewski S. I.
qui natus... mortuus MDCXL.
Ante ducentos et ultra annos
HOC BEZDANY NEMUS
gratissimum laborum suorum secessum
plurimaque patriae orae decora et venustates
universum adeoque Lithuaniae nomen
per cunctas cultiores Europae gentes

¹ Tak przedrzeźniał niefortunnego poetę ks. Krajewski, podług K. Brodzińskiego; cfr. Pisma (wyd. Kraszewskiego t. IV., 290). Oczywiście tem ujemnem określeniem nie obejmuję poezyi satyrycznej Naruszewicza, w której powodziło mu się jeszcze najlepiej.

² W edycji Mostowskiego odwołuje się Naruszewicz w przypisku na wzmiankę o Niemenczynie i Bezdanych w poezyi Sarbiewskiego. Tekst sam zacytowany wiernie, ale miejsce podane znowu mylnie, jako „I. Ep. ode“. Cfr. nasz przypisek 2-gi na str. 140.

ubi renatis Romanorum litteris suus habetur honos
admirandis carminibus celebritate donavit.

Grati posteri
hoc monumentum posuerunt
anno MDCCCLXI¹.

Wyjaśniwszy genezę projektu tego pomnika na podstawie Rk. 5098, muszę jeszcze wspomnieć o liście Syrokomli do Krupowicza, przechowanym w Rk. 5099. Przysłał on Krupowiczowi swoje przekłady, czy tylko przekład, z ód Sarbiewskiego, omawia powyżej przywiedzioną Epodę III., w której jest opisana okolica Bezdanów i przytacza tłumaczenie swoje, nawiasem mówiąc, bardzo nieudolne i dalekie od oryginału... Z treści tego listu domyslać się można, że „Komisya“ po powzięciu zamiaru postawienia pomnika udała się do Syrokomli, który już od 10 blisko lat słynął na Litwie, jako autor „Przekładów poetów polsko-łacińskich epoki Zygmuntońskiej“ (Wilno, 1851/2), aby wyszukał miejsce odpowiednie (o Bezdanach) w Sarbiewskim i przysłał w przekładzie do użytku „Komisyi“. Oto list Kondratowicza:

„Spiesząc, kochany Maurycy, prędko uczynić zadosyć twojemu żądaniu przebaczyć, że się wywiązuję niezupełnie, bo tłómaczyłem ze Strasburskiej (Argentorati) edycji, którą pożyczałem od pana Malinowskiego; więc tekst łaciński jest u niego i zacytować go nie mogę. Wzmianka o Bezdanach znajduje się w Lyrkach Sarbiewskiego w księdze V. czyli Epodon, Oda III. Poeta wychwala szczęśliwość życia wiejskiego. U mnie to miejsce tak brzmi:

Cóż gdy po trudach modłów i ołtarzy
Wioskę podmiejską odwiedzić się zdarzy:

¹ Ten sam napis tak przetłumaczył Malinowski na polskie:

Wieszczowi starożytnym równemu.

Maciejowi Kazimierzowi Sarbiewskiemu T. J.

Który urodzony... zmarły MDCXL.

Przed dwoma przeszło wiekami.

TEN GAJ BEZDAŃSKI.

(Najmilsze po pracach wytechnienie).

I uroczę rodzinnej ziemi miejsca i ozdoby.

A nawet całej Litwy nazwę.

Po wszystkich ukształceńszych Europy narodach.

(Gdzie tylko wskrzeszone nauki rzymskie są w poszanowaniu).

Cudownemi rymami rozstawił.

Wdzięczni rodacy ten pomnik położyli Roku 1861.

Pójść do Łukiszek w niemeczyńską stronę
 Lub zwiedzić lasy *Bezdanów* zielone.
 Tam w niewytwornej sierpniowej zabawie,
 Gdy niewytworny posiłek zastawię i t. d.

„Łacińska, o której mówię, edycja jest, zdaje mi się, z roku 1800 (*sic*).“

Serdecznie życzliwy

Kondratowicz“.

Z boku dopisek: „Boleśnoby mi było, abyście stawiać Sarbiewskiemu pomnik w Bezdanach, żadnej mi roboty nie poruczyli. Wszak mam do uczestnictwa niejakiś prawo“.

W końcu należałoby wskazać, kiedy powstał w Łonie „Komisya archeologicznej“ omówiony tu projekt?

Niestety — za skąpe źródła nie dają nam w tym względzie dostatecznej odpowiedzi. Jakby na złość, dochowane akta nie mają żadnej pewnej daty. List Syrokomli pisany na papierze, na którym wydrukowana jest data 1860 r., ale dzień i miesiąc nie jest wcale oznaczony. List Malinowskiego jest bez daty. Na prośbie Tyszkiewicza w rosyjskim przekładzie dodano na boku „Декабрь 1860 г.“. Napis zaś na pomnik przeznaczony nosi datę r. 1861. Z tego wszystkiego możnaby wnosić, że myśl sama powstała mniej więcej w jesieni r. 1860, a wykonać ją spodziewano się w przeciągu r. 1861. W tem przypuszczeniu utwierdza mnie i ta okoliczność, że właśnie r. 1860 od 1 października bawił w Wilnie car Aleksander II.¹ i przy tej sposobności był uroczyste podejmowany przez „Komisyę archeol.“. Życzliwość, jaką car okazywał Towarzystwu, zachęciła zapewne jego członków do powzięcia tego projektu².

Dalsze losy tego projektu giną w pomroce. Notatka umieszczona na Rk. 5098, fasc. 6, pozwala nam się domyślać, że prośba ostatecznie oparła się o ministra spraw wewnętrznych „Łanckiego“ (?)³, który wcale się do niej nie przychylił i nadesłał odpowiedź odmowną. Wybuch

¹ Ob. *Kuryer Wileński*, r. 1860, nr. 78, z dnia 4 października.

² Poszukiwania czynione, aby wykryć datę dokładną, były nadaremne. Protokoły posiedzeń Komisji są niekompletne, a sprawozdania w *Kuryerze Wileńskim* umieszczane nie podają żadnych wyjaśnień.

³ Tak nazwisko jego podane czytam na zewnętrznej stronie Rk. 5098,

powstania w r. 1863 zawarzył prawdopodobnie tę piękną myśl do reszty: powszechna zawierucha w kraju, grzmot dział i szcęk oręża przygłuszył ją może — na zawsze.

Romuald Koppens.

Powszechne modlitwy za Polskę.

Przyzwyczajeni już od dłuższego czasu jesteśmy do grobowego milczenia o naszych potrzebach, naszych cierpieniach, jeśli kiedy przerwano, to częściej obelgą, niż słowem szczerego współczucia. Bo i kóż ma o nas pisać? Zbyt znaczna część Niemców przyzwyczaiła się, zwłaszcza od bismarkowskiej ery, widzieć w nas tylko niepoprawnych wicherzycieli porządku; z tak gorącemi uczuciami występująca dawniej Francya zwróciła wszystkie swe sympatyje w wręcz przeciwną stronę, a samo wspomnienie Polski, Polaków przejmując ją niechęcią, tem większą, że bardzo ono zbliżone do — wyrzutu sumienia. A prócz Niemiec, prócz Francyi, gdzie i kto ma o naszym dzisiejszym stanie wyrażniejsze jakieś wiadomości? Nie dziw, że tem większą wagę przywiązywać musimy do jednoczesnego odezwania się o nas i za nami, całego chóru organów, którym w popularności, w liczbie czytelników żadne bodaj inne nie sprostają. Rozgałęzione szeroko po całym świecie „Apostolstwo modlitwy“, którego zadaniem, jak sama nazwa najlepiej wykazuje: modlitwą apostołować, poleciło na miesiąc grudzień wszystkim swym członkom, modlić się szczególnie, i wszystkie dobre uczynki swe ofiarowywać za „katolicką Polskę“. „Apostolstwo modlitwy“ jest dziś podobno najliczniejszym stowarzyszeniem, jakie na świecie istnieje: to też wydawane co miesiąc przez naczelną dyrekcję wezwanie do modlitw na szczególną jakąś intencję, tak zwana: „intencya miesięczna“, przechodzi za pośrednictwem całego szeregu specjalnych pism we wszystkie warstwy katolickie, odbija się głośnem echem i w najściślej szeptem słowa znaczeniu po świecie całym. Bez przesady powiedzieć

fasc. 6. W „Encykl. ogólnej wiedzy ludzkiej“ t. IX., znajduję o nim następujące wskazówki:

Siergiej Stiepanowicz Łanskoj (1786—1862), statysta ros., od 1830 gubernator włodzim. i kostromski, senator, od 1855—1861 minister spraw wewnętrz., gorliwy obrońca spraw włościańskiej.

można, że wyznaczona na grudzień dla członków „Apostolstwa“ „miesięczna intencya“, bardziej nas światu przypomniała, przyczyniła się do lepszego zrozumienia naszego położenia i więcej nam zjednała sympaty, niżby to było w stanie uczynić wiele świetnych mów parlamentarnych, wiele energicznych artykułów dziennikarskich, wiele grubych tomów.

Nie przesada to, gdy zwrócić zechcemy uwagę, że „Apostolstwo“ we wszystkich niemal poszczególnych krajach w których istnieje — a gdzież dziś nie istnieje? — liczy swych członków na miliony. Dokładnej cyfry podać niepodobna; dość powiedzieć, że wedle ostatniego, listopadowego wykazu, liczba przewodników miejscowych doszła do 50.398, którzy znów, częstokroć za pośrednictwem przewodników dycezyalnych, poddani byli 43 przewodnikom krajowym; z tych ostatnich 16 znajduje się w Europie, 4 w Azji, 2 w Afryce, 4 w Oceanii, 6 w Ameryce północnej, 11 w Ameryce południowej. Miesięcznych organów t. zw. „Posłańców Apostolstwa Serca Jezusowego“, wychodziło 25; po jednym w języku francuskim, albańskim, bretońskim, czeskim, polskim, chińskim, flamandzkim, holenderskim, węgierskim, tamulskim, portugalskim; dwa w niemieckim i włoskim, cztery w hiszpańskim, sześć w angielskim. Zadaniem tych „Posłańców“: utrzymywać łączność między członkami, zachęcać do gorliwego a wszechstronnego apostołowania modlitwą i życiem chrześcijańskim; na pierwszym zaś miejscu wskazywać, za jaką w szczególności sprawę mają członkowie przez miesiąc cały modlitwy swe i dobre uczynki Bogu ofiarowywać. Ważność tej sprawy, potrzebę skierowania gorących modlitw w tym właśnie kierunku wyjaśnia każdy „Posłaniec“ w osobnym, krótszym lub dłuższym artykuliku, zajmującym z zasady najwybitniejsze miejsce. W zeszytach grudniowych wszystkich 25 „Posłańców“ artykuliki te — jak już wspomnieliśmy — poświęcone były „katolickiej Polsce“, a ze wszystkich takie bije dla nas ciepło i szczere współczucie i sympatya, że czytając je, prawdziwie serce rośnie.

Przewodniczy innym francuski artykuł, podpisany przez naczelnego przewodnika całego Apostolstwa: O. Emila Régnauld; artykuł bardzo obszerny, wyczerpujący, bo bywa on z zasady rozsyłany kilka tygodni naprzód redakcyom wszystkich „Posłańców“, po kuli ziemskiej rozsypanych. Koło tej rozprawy harmonijnie grupują się inne, czerpiąc z niej po części fakty, argumenty; wzbogacając je nowemi, dodając własne uwagi i spostrzeżenia, zawsze i bez wyjątku, pełne dla nas, widać, że szczerego współczucia.

„Jeżeli Europa — czytamy w francuskim komunikacie — nie jest dziś mongolską lub kozacką, schyzmatyczną lub muzułmańską, to Polsce ma to do zawdzięczenia. Czego Francya raz jeden dokonała toporem Karola Martela, to miecze niezliczonych polskich wodzów spełniały przeszło lat trzysta... Polska miała i po dziś dzień ma do spełnienia wyraźnie Boże powołanie; to jedno wytłumaczyć nam może zadziwiającą łączność, która spaja wszystkie, rozerwane w bezprzykładny dotąd w historii sposób, członki nieszczęśliwego tego kraju. Lud polski, bohaterki obrońca wiary naszej, zasługuje sobie podobnie, jak jego brat: lud irlandzki, na nazwę szlachetnego męczennika... Prawda, że z drugiej strony, Polska wszystko co ma, winna Kościołowi. Duch wiary ocalał ją, kiedy i ile razy mogła być jeszcze ocaloną. Dowodem tego heroiczna obrona Częstochowy za Jana Kazimierza; obrona, która jest zarazem symbolem pełnym nadziei. Polska, urzędowo poświęcona od przeszło już dwóch wieków N. Pannie, najdosłojniejszej swej Królowej; Polska, która niezadługo potem przyczyniła się w pierwszym rzędzie do rozszerzenia nabożeństwa do Boskiego Serca Jezusowego; posiadała w podwójnem tem nabożeństwie, oznace swej miłości i wiary, święte palladium, które, wątpić o tem nie wolno, sprowadzi dla niej kiedyś dni zmartwychwstania i tryumfu“.

„Kościół oczekuje tego zmartwychwstania, powiedział nieodżałowany biskup Mermillod. Kiedy P. Jezusa złożono do grobu, uczniowie rozeszli się, w umysłach ich zrodziło się powątpiewanie, sumienie na chwilę się zawahało. Gdy wśród ceremonij Wielkiego Tygodnia, wszystkie świece gasną, jedna tylko płonąć nie przestaje, przedstawiając święte niewiasty, które w czasie strasznych owych trzech dni nie straciły wiary w zmartwychwstanie Jezusowe. Czyż nie jest to również i istotnie symbolem życia Polski? Niektórzy z przyjaciół jej tracą nadzieję; daje się czuć zniechęcenie, smutek zaczyna umysły podbijać pod swe panowanie, ale jest niewiasta, jest matka, co czuwa niedaleko grobu, ufając ciągle, stojąc na straży wiary. To święty katolicki Kościół. Czeka on na obudzenie się tego narodu; wie, że bezbożność go zamordowała; wie, że wiara do życia go powróci“.

Po tych słowach, jakich z ust cudzoziemca już dawno bodaj nie słyszeliśmy, idzie paru jędrnemi rysami naszkicowana historia Polski z ostatnich lat dwustu. W Sobieskim, wznawiającym w sobie bohaterstwo i enoty Tankredów, Gotfrydów, połączyły się, jak w nikim innym, patryotyzm z religią; męstwo wieków średnich z doświadczeniem, z zapobiegliwością nowożytnych czasów. Obrona Wiednia ocaliła Europę;

niewdzięczna Europa odplaciła się swej wybawicielce „bezpiecznym podziałem“, jak Józef de Maistre zwykł był nazywać sromotny ten fakt historyczny. Od tej chwili roczniki polskiej historii przemieniły się w bolesne, ale chwalebne martyrologium. Jeżeli katolicy polscy w Austrii doznają stosunkowo znośnego losu; jeżeli od czasu upadku „żelaznego kanclerza“ mogą w cesarstwie Niemieckiem patrzeć z większą ufnością w przyszłość; — to nie mamy przyczyny tać, że Rosya schyzmatycka nie przestaje, jak dawniej, tak obecnie torturować ich i miazdżyć bez żadnej litości... Świeże korespondencye donoszą, jakimi sztukami i podstępami moskiewski cezaryzm usiłuje zniszczyć, chwili wytchnienia sobie nie dając, wszystko, co zowie się jeszcze katolickiem i polskiem w granicach dawnej Polski. Na nowo, zdawałoby się, wstąpiło na scenę to umiejętnie, wyrafinowane prześladowanie, którego formułkę podało Pismo św. przed 4000 lat: *Opprimamus sapienter*; prześladowanie przybrane w administracyjne formy, a będące najsroźszą tyranią, bo jest tyranią najbardziej drobiazgową, obłudną, wytrwałą...

A cóż dzieje się z Unitami? Kilka po prostu opowiedzianych faktów z historyi „nawróceń“ Unitów, najlepszą odpowiedzią na to pytanie. A przecież okropności te trwają, do kresu jeszcze nie dobiegły! A przecież poczta przynosi nam raz po raz nowe szczegóły o tem ciągłym prześladowaniu, na które, wydaje się pomimo wszystkiego, jakobyśmy uwagi zwrócić nie chcieli. Obojętność w tym względzie rewolucyjnego myśliciela da się może jeszcze do pewnego punktu wytłumaczyć; ale któż wytłumaczyć potrafi grzeszną obojętność tak wielkiej liczby europejskich katolików? Zaledwie, że raczą czasem posłuchać z roztargnieniem, z niedowierzaniem dalekiego echa tych cierpień bez nazwy. Czyżby zapomnieć mogli, że jeśli Polska była niegdyś „rycerzem Kościoła w pełnej zbroi“, i dziś nie przestała być murem oddzielającym protestancką Północ od schyzmatyckiego Wschodu!...

„Prześladowanie, które cierpi katolicka Polska, nie może być porównane jak chyba do prześladowania, które Irlandya ponosiła długie wieki od protestanckiej Anglii; do prześladowania, które zdawało się czas pewien, że zdusiło w Japonii, zalane rzekami łez i krwi, ostatnie ślady imienia chrześcijańskiego. Lecz czyż oba te przykłady nie mogą i nie powinny, w sprawie, którą obecnie rozbieramy, napełnić nas nową ufnością?...“

„Dwa już przeszło wieki temu w decydującej chwili, w której wszystkiego lękać się można było dla narodu, niezbędnego dla Kościoła“, jak Bossuet miał go nazwać — wielki święty: Wincenty á Paulo,

patrzając proroczym duchem na obecne nieszczęście, wołał ze łzami w głosie: „Módlcie się do Boga, za to biedne królestwo Polskie, które bardzo modlitw naszych potrzebuje, aby Bóg spojrział nań okiem miłosierdzia i odpędził wrogów ze wszelkich stron na nie godzących... Nasze grzechy ściągnęły karę Bożą, nasze modlitwy niech ją oddała! Moskiewska potęga zbliża się, chce Polskę zagarnąć, obejmie nad nią wkrótce rządy, a wtedy Kościół w tym kraju stracony...” (Sierpień 1655 r.)... Później Klemens XIII. umieścił w modłach przeznaczonych na uroczystość św. Jana Kantego, następującą pełną znaczenia strofkę:

O qui negasti nemini
Opem roganti, patrium
Regnum tuere: postulant
Cives poloni et exteri.

„Tego roku, w czasie uroczystości, któremi obchodzono sześćsetną rocznicę śmierci bł. Kunegundy, królowej polskiej, a jednej z patronek dawnego królestwa, kardynał Dunajewski włożył królewską koronę na skronie dobrej królowej, która nie może bez wątpienia zapomnieć i opuścić dawnych swych poddanych w obecnem ich nieszczęściu. Uroczystości te obudzić musiały w głębi serc żywe pragnienie doczekania się wreszcie dnia, w którym bł. Kunegunda zaliczoną zostanie do rzędu Świętych kanonizowanych. Jeżeli kanonizacya św. Stanisława spowodowała w swoim czasie prawdziwe odnowienie katolickiego ducha w dawnej Polsce; któż przepowiedzieć potrafi, jakie źródło błogosławieństw i łask popłyną dla polskiego narodu w dniu kanonizacyi dziewiczej królowej. małżonki Bolesława Wstydliwego?”

Nakoniec przepisuje i zachęca francuski komunikat do odmawiania codziennie następującej modlitwy:

„Boskie Serce Jezusowe, ofiarowuję Ci wszystkie modlitwy, prace i cierpienia dnia dzisiejszego... w szczególności za tak drogi mi Kościół w Polsce, który jeden z pierwszych cześć Twą rozszerzać zaczął, i który nie ustaje, mimo prób, jakie przeżywa, do przedziwnego rozszerzenia czci Twojej się przyczyniać“.

Niektóre organa Apostolstwa, jak rzymski: *Il Messaggere del S. Cuor di Gesù*, i neapolitański: *La voce del Cuore di Gesù*, przetłumaczyły dosłownie nadesłany sobie z Tuluzy artykuł. Wychodzący w Lancashire: *The Messenger of the Sacred Heart*, kładzie szczególny przyćisk na podobieństwo dawniejszych losów Kościoła w Anglii, a dzisiejszych w Polsce, i pyta z zdziwieniem, jak takie prześladowanie możliwem,

kiedy rozbiorowe traktaty gwarantowały zupełną wolność religii katolickiej? Dubliński: *The Irish Messenger*, unosi się nad „narodem bohaterów i męczenników“, noszącym w swych dziejach, przejściach, charakterze tyle cech wspólnych z Irlandyą; zaleca gorącą, bardzo gorącą modlitwę „za kraj Sobieskiego i św. Kazimierza i św. Stanisława“. Z Morawii — woła czeska, w Bernie wydawana, *Škola Božského Srdce Páně* — przeszło chrześcijaństwo do Polski, czeska Dąbrowka wszczepiła je i zakorzeniła; jakże nie współczuć i nie modlić się za biednych tych pobratymców naszych; nie modlić się też za innych niemniej biednych, prześladowanych pobratymców, aby błąd swój uznali i wyrzekli się go? Filadelfijski *The Messenger* biada na żydów, wyżerających Polaków z własnej ich ziemi; drukowany również w Filadelfii *Little Messenger* napomina: „Nietylko nam modlić się za Polaków, ale też prosić Boga o naśladowanie, w razie potrzeby, dawanego przez nich wspólnego przykładu w znoszeniu cierpień dla Boga i wiary!“ „Cóż my czynimy dla Boga w porównaniu do Polski?“ — pyta hiszpański *Mensajero*. Wydawany znów w Bogocie *El Mensajero*, organ Apostolstwa dla Ameryki środkowej i Kolumbii, pisze: „Sprawa Polski jest sprawą sprawiedliwą; taka sprawa, to dług przez samego Boga zaciągnięty, wiernie zawsze spłacany, jak uczą roczniki dziejów“. Na niemniej energiczną i serdeczną nutę nastrojony jest odnosny artykuł w niemieckim (insbruckim) *Sendbote*:

„Modlić się należy w tym miesiącu szczególnie za Polskę — za Polskę, która niegdyś broniła chrześcijaństwo przeciw Turkom i Tatarom, a po dziś dzień jest naszym przedmurzem, zasłaniającem od zalewu schyzmy i barbarzyństwa; za Polskę tak bardzo drogą Sercu Jezusowemu... Jak kwitnie Apostolstwo Modlitwy między polskimi katolikami, dość powiedzieć, że mały polski ‚Posłannik‘ (Intencye miesięczne), pomimo wszelkich przeszkód i środków, któremi rząd rosyjski broni mu energiczniej wstępu niż cholerze i zarazie, rozchodzi się w około 125.000 egzemplarzy. Jeszcze Polska nie zginęła, dopóki żyje choćby jeden Polak, jeszcze Polska nie zginęła! Słowa te stosują się do politycznej Polski, ale z niemniejszą prawdą zastosować się zawsze dadzą do Kościoła w Polsce, dopóki taki duch, jak dzisiaj, ożywiać go będzie!“

Francuski komunikat powtórzył za biskupem Pie w wolnem tłumaczeniu prozą następujący ustęp z „Psalmu wiary“ Krasińskiego:

A do dnia tego wiodące tu wschody
To w lasce Twojej poczęte narody:

Garść im powołań sypnałeś z wysoka,
 W każdym z nich żyje myśl jakaś głęboka,
 Co z piersi Twoich zesłanem jest technieniem
 I narodowi odtąd — przeznaczeniem!
 A są wybrane jedne przed innemi
 By o Twą piękność walczyły na ziemi,
 I krzyż lat wielu, wlokąc krwawym śladem,
 Były wśród świata — anielskim przykładem!
 Aż nie wywalczą straszną walką w grobie
 Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,
 Więcej miłości i więcej braterstwa,
 W zamian za tkwiący w piersiach nóż morderstwa!
 — Takim jest naród Twój polski, o Boże!

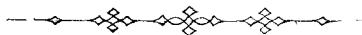
Ustęp ten silnie widocznie wywarł wrażenie, bo niemal że wszystkie „Posłańce“ rozpoczęły lub zakończyły nim swe artykuły o „katolickiej Polsce“. Odnajdujemy go również w węgierskim: *Jézus Szentséges Szívének Honoka*, jak w flamandzkim: *De Bode Van Het H. Hart Van Jesus*; w cincinnackim *Sendbote*, jak we włoskich, hiszpańskich, angielskich *Messaggerach*, *Mensajerach*, *Messengerach*. Nigdy podobno „wspaniała lira Krasinśkiego“ — aby użyć słów jednego z *Messengerów* — nie rozbrzmiewała tak głośno, niosąc imię polskiego wieszczą między tak szerokie i różnorodne warstwy ludności.

Co prawda, komunikat francuski zacytował przy tych strofach nie „Psalmy Przyszłości“, ale „Przedświt“ (*L'Aurore*), a naturalnem następstwem rzeczy wszystkie „Posłańce“ na wyścigi „Przedświt“ cytowały, ale o taką drobnostkę i sam nawet, choćby najdrażliwszym był poeta, gniewałoby się nie mógł. I w paru innych szczegółach, zaplatało się kilka niedokładności, czasami dość charakterystycznych, zawsze bardzo drobnych i niewinnych. Tak np. lizboński *Novo Mensageiro* maluje pociągający obraz szczęścia i wielkości Polski za błogich rządów króla, świętego Kazimierza; boleje nad długą walką między dwoma rywalami o tron: Stanisławem i Leszczyńskim (*Estanislaw e Leszczyński*); pragnąc dać wyobrażenie o świetności i rozwoju polskiej literatury, pisze: „Miała Polska poetów, jak Krasicki; historyków, jak Jodłowski; kaznodziejów, jak Piramowicz; matematyków, jak Jakubowski i t. d.“. Środkowo-amerykański *Mensagero* wystawia sobie naiwnie, że poważne nawy warszawskiej katedry, rozbrzmiewają w roku bieżącym, jako w roku smutku i żałoby, narodowym hymnem: „Boże coś Polsko!“ Hiszpański znów „Posłaniec“ każe ginąć św. Józefatowi pod

mieczem Moskali, i jak wypada z toku opowiadania, w zagarniętych już wonczas przez nich prowincjach. Otóż i wszystkie niedokładności; za to niepodobna powtarzać wszystkich serdecznych wykrzykników gorącej sympatii, miłości; niepodobna powtarzać, bo miejscaby nie stało i trudnoby ostatecznie nie wpaść w jednostajność.

Pięknie, świetnie, pocieszająco, wypadł dla nas ten, jeśli tak nazwać go można, katolicki plebiscyt. Pokazał on raz jeszcze, na jakim wyłącznie gruncie oprzeć nam wolno nasze nadzieje; gdzie i dziś, gdzie dziś jedynie możemy na szczere współczucie rachować; gdzie spodziewać się, że zrozumieją i wyrozumieją nasze położenie, nasze żale, nasze potrzeby?

Ks. Jan Badeni.



W CZEM TKWI SIŁA RENANA?

Starzec, który przed kilkoma miesiącami zeszedł z tego świata, już się był od niejakiego czasu przeżył; ale wpływ, jaki wywarł na ludzkość, długo jeszcze trwać będzie. Wpływ ten był i jest niesłychanie wielki. Świat czytający jest dziś nierównie szerszy, niż za czasów Woltera, a cały ten świat czytający bezpośrednio lub pośrednio z Renanem się spotkał, emanacyami jego ducha przesycającymi umysłową atmosferę oddychał. Żaden może z nas, chociażby ani wiersza Renana nie czytał, nie może ręczyć, że nie z tych wyziewów w piersi nie wchłonał. Kto z naszego pokolenia przeszedł burzę wątpliwości o wierze, ten może sporą część tych kołatań jemu przypisać, a kto nie przeszedł, ten jeszcze jemu zawdzięcza może pewną niestanowczość rozumu, pewną trudność konkludowania, z chętką do hyperkrytyki i chorobliwem lubowaniem się w wątpliwości — co jest charakterystyką umysłów drugiej połowy naszego wieku.

Czemu przypisać ten ogromny wpływ? W nekrologach i wspomnieniach pośmiertnych, które się teraz po wszystkich niemal pismach posypały, znajdujemy dokładne opisy jego życia, ciekawe szczegóły o jego charakterze i pracach — na to pytanie, może najważniejsze, nie znajdujemy odpowiedzi, któraby nas zadowolniła. Dlatego spróbujemy sobie w niniejszem studyum to pytanie postawić.

I.

W czem tkwi siła Renana? — W stylu, odpowiada się zwykle, w nieporównanie dźwięcznym i do najwyższej wirtuozyi doprowadzonym stylu. On sam stylowi swemu wiele przypisuje porównywa się ze strojnemi dzwonami zakłętego miasta Is, które według bretońskiej legendy, z głębi jeziora, gdzie się miasto zapadło, tajemniczo się odzywają, i przechodnia czarem swej melodyi przytrzymują. Niewątpliwie styl Renana jest prześliczny: harmonijny, barwny, z wielką miarą ozdobny i dziwnie przytem naturalny. Amator literatury francuskiej ma nad czem się unosić. Ale Francya nowożytna liczy całą plejadę świetnych stylistów. Można utrzymywać, że Renan jest między nimi pierwszym (choć i to kwestyi podlega), w żadnym razie nie można przypuścić, że on jest absolutnie ponad innymi — *hors ligne*. Zresztą piękny styl może wiele dokazać, ale bezprzykładną i niemożliwą jest rzeczą, żeby wpływ wywarł tak głęboki na umysłowość całego wieku, jaki wywarł Renan. Najlepszy dowód, że znaczenie jego stylu przeceniają, to, że Renan przetłumaczony na obce języki i przez obcych czytany, więc obrany całkiem z przymiotów indywidualnego swego stylu, jeszcze pociąga, zachwiewa, podbija, jeszcze zostaje Renanem. Więc nie w samym stylu tkwi moc tego człowieka.

Czy więc w nauce? — Ale w jakiej nauce? Jeszcze z seminaryum wyniósł Renan zamięłowanie do języka hebrajskiego; później został uczonym hebraistą; to była jego specyalność, w której oddał badaniom języków i pomników semickich poważne usługi. W Luwrze, widać jego imię na pomnikach fenickich, które z wyprawy naukowej, kosztem rządu odbytej, przywiózł. — Ale takie zasługi tylko szczupłe grono uczonych ocenić może. W tych samych zresztą badaniach archeologicznych nierównie większą sławę zyskali tacy: Champollion, Mariette, Lenormant, Dieulafoy — daleko więcej naukę i muzea wzbogacili. Renan w tym poczcie ledwo trzeciorzędne miejsce zajmuje. A zatem nauce fachowej Renana nie można jego wpływu i znaczenia przypisać.

Więc chyba w drugiej nauce, której wielką część życia Renan poświęcił, klucza tego wpływu szukać: w naukowej wartości tej krytycznej historyi chrystyanizmu jaką skreślił, poczynwszy od sławnego „Życia Jezusa“ z r. 1863, aż do „Dziejów ludu izraelskiego“, które miały właściwie być początkiem, a napisały mu się dopiero na końcu, w latach 1887 i 1889.—Niezawodnie, samo podjęcie tego przedmiotu ogromnie wpłynęło na nadzwyczajne zajęcie, jakie w całym świecie prace Renana wywołały. Pamiętam jeszcze, z lat prawie studenckich, jaki huragan wznieciło pojawienie się „Życia Jezusa“: z jednej strony namiętne okłaski, tupania, okrzyki, jakby po odniesionem zwycięstwie w igrzyskach; z drugiej strony niemniej wzburzone protesty, repliki, zbijania — walki nauki i wymowy, których echa powtarzały się z kraju do kraju przez całe lata. „Gdyby Lammenais żył jeszcze, pisał wówczas Caro, nie mógłby się doprawdy skarżyć na indyferentyzm religijny obecnych czasów“¹. Kiedy Varro wydał na schyłku republiki swe pracowite badania nad charakterystyką i genezą bogów rzymskich² — nie słysząc żeby to dzieło było zatrzęsło społeczeństwem ówczesnem. W chrześcijańskich czasach rzecz się ma inaczej: niema właściwie wieku obojętnego na kwestye religijne, mianowicie na dotknięcie osoby Chrystusa; a nasz wiek w szczególności, choć oficjalnie i formalnie w indyferentyzm się drapuje, w gruncie do najmniej obojętnych należy. Pokazuje on to we wszystkich objawach swego życia, w spekulacyi i w polityce, w wznawianiu się przesładowań i w odradzaniu się religijnych instytucyj, w przeklinaniu Imienia Boskiego i w poświęcaniu dla Jego chwały. Pozory lekceważenia religii, któremi się on czasem obleka, służą tylko do pokrycia wewnętrznego zaprzątnięcia i zaniepokojenia jej zagadką. Powiedzieć naszemu wiekowi: ja ci naukowo wytłumaczę powstanie chrystyanizmu, zdysekuje ci jego założyciela i pokażę na dłoni składowe pierwiastki jego siły, — jest to potracić

¹ *L'Idée de Dieu et ses nouveaux critiques*, par E. Caro.

² M. Terentius Varro, *Antiquitatum rerum dicinarum et humanarum libri LXL*.

w nim najgłębsze struny i zainteresować go w najwyższym stopniu. Renan gdzieś opowiada w swoich „Wspomnieniach z lat dziecinnych i młodzieńczych“¹, jak rozmyślał kiedyś u stóp Ateny na Akropolu, o dwóch pierwiastkach, nieporównanych w swoich rodzajach, z których złożyła się nasza cywilizacja: tj. myśli religijnej przejętej od Żydów i myśli estetycznej od Greków — i żałował wówczas, że życie poświęcił studyowaniu pierwszego pierwiastku, zamiast je poświęcić drugiemu. Jeżeli to prawdziwa historia, to mylił się Renan; gdyby był drugi dział obrał, mielibyśmy jednego więcej, nadzwyczaj delikatnego estetyka — może niepospolitego filozofa sztuki — lecz nie byłby on miał ani setnej części tego znaczenia, tego szerokiego i głębokiego wpływu, jaki ma dzisiaj — nie mielibyśmy renanizmu (oby tak było!).

Ale sam wybór tematu, jakkolwiek szczęśliwy, jeszcze mało znaczy, jeżeli sposób traktowania go nie jest odpowiedni. Otóż czy Renan traktuje historię chrystyanizmu w sposób prawdziwie naukowy? czy jego nauka na tem polu mogła zaimponować światu?

W Niemczech od początku naszego wieku odbywała się głucho tak zwana praca krytyczna nad Biblią, posługująca się filologią i archeologią, a kierowana filozofią panteistyczną — jak wogóle, każdą większą pracą duchową jakaś filozofia kieruje. Praca ta odbywała się w zaciszu gabinetów, w uczelniach protestanckich, w książkach najeżonych erudycją — jak ciche toczenie drzewa przez robaka². Do szerszej publiczności po świecie dolatywały tylko raz po raz wieści, że uczeni niemieccy dowiedli względnie późnego skomponowania Biblii, sfalszowań tekstów, bajeczności głównych biblijnych postaci, nareszcie mityczności samej osoby Chrystusa. Wieści te niepokoiły, czasem oburzały, wogóle zostawiały w powietrzu opinii jakieś zamglenie około Pisma św.; jednak przychodziły one z tak daleka — bo świat uczonych niemieckich był o tysiąc mil od świata reszty śmiertelników — że względnie mało zwracano na nie uwagi.

¹ Renan, *Souvenirs d'enfance et de jeunesse*.

² Głównymi pionierami tej krytyki destrukcyjnej byli: Eichhorn, Paulus, Strauss, Christian Baur, de Wette, Bruno Bauer, Ewald i t. p.

Otóż Renan bierze ten cały elaborat krytyki negatywnej Niemców; otrząsa go z wszelkiego aparatu naukowego; nie nie dyskutuje, nie dowodzi¹, nie polemizuje; do tego stopnia posuwa ten *sans-gène*, że pisząc historię Chrystusa, opierającą się wyłącznie na Ewangeliach, pozwala sobie odprawić na kiedyindziej krytyczne zbadanie kwestyi: czy i w jakim stopniu te Ewangelie są autentyczne, (Niemiec wolałby się utopić, niż takie *hysteron-proteron* popełnić!) i poprzestaje na głośłownem twierdzeniu, że Ewangelie są autentyczne przybliżenie — *à peu près*; to znaczy, że każdy szczegół można przyjąć i o każdym z osobna można wątpić — jak się podoba... Gdyby krytyka niemiecka nie była wprzód podkopała i zachwiała w opinii, księgę po księdze, tekst po tekście, całego Pisma, to taka dezinformacja Renana nie byłaby możliwą; oni jej dali wolne pole.

W jakim więc sposób Renan swe konstrukcye stawia? Czytając uważnie jego przedmowę do „Życia Jezusa“, znajduje się tam klucz jego metody — którą się potem widzi zastosowaną we wszystkich jego dziełach. „W takich historyach, mówi on, trzeba tak skombinować teksty, żeby wyszło opowiadanie logiczne, prawdopodobne, gdzieby nic nie wydawało rozdzwisku (*but rien ne détonne*). Kiedy się taka kombinacja uda, jest to znakiem, że się na prawdę trafiło“. — Ale co właściwie mamy za nieprawdopodobne uważać? — to wszystko, co wprowadza wolną interwencję jakiejś siły pozaświatowej (innemi słowy: Boga), — to wszystko, co się nie da tłumaczyć przez normalne czynniki. Normalne zaś czynniki według Renana są: wpływ otaczającej przyrody; historia ludu wśród którego dany fakt miał się zdarzyć; instynkt imaginacyjny bohatera, który

¹ W „Życiu Jezusa“ Renan przytacza, jakby od niechcienia, urywki z Ewangelii, zdające się odpowiadać jego kanwie; o zdaniach i faktach przeciwnych, które się w tych samych Ewangeliach znajdują, najczęściej zamilcza zupełnie. W „Historii ludu izraelskiego“ umieszcza on tu i ówdzie u dołu strony odsyłacze do pewnych miejsc Biblii. Kto Biblii nie zna dokładnie i nie zadaje sobie pracy odszukiwania wskazanych miejsc, ten odnosi wrażenie, że Renan na tekście biblijnym się opiera; ale kto bierze się do konfrontowania, ten dziwnego doznaje rozczarowania: wielka część cytatów ani się odnosi do tego, o czem Renan mówi.

w swej prostocie i nieuctwie zdolny jest widzieć rzeczy, które wcale nie istnieją, ale zarówno zdolny jest najwznioślejsze rzeczy bez refleksyi uczynić i wypowiedzieć; wreszcie instynkt imaginacyjny otaczającego tłumu, który wielbiąc swego bohatera, nie może nie powiększać i nie upiększać opowiadań o nim, musi zaraz legendę tworzyć. Temi czterema czynnikami Renan wszystko w powstaniu chrystyanizmu tłumaczy, tak to co uznaje, jak i to co odrzuca. — Ale co począć, kiedy teksty opierają się takiemu ułożeniu, żeby wszystko było logiczne i prawdopodobne w sensie Renana? „Wtedy, powiada nasz krytyk, trzeba je podług prawideł (literackiego) gustu łagodnie naciągać (*les solliciter doucement*), aż się złożyć dadzą w harmonijną całość“. — A jakież to są te prawidła gustu? — ha! trzeba być samemu artystą, żeby je posiadać. Wogóle powiedzieć można, że wymagają „harmonii całości“; harmonia zaś ta jest czemś w rodzaju „naturalnego i zwykłego rozwoju organizmów“. Życie Jezusa tak powinno być ułożone, żeby się miało „uczucie żywego organizmu“.

Do tego kryterium Renan wciąż powraca i jeszcze w przedmowie ostatniego swego dzieła: „Historia ludu izraelskiego“, z tem samem występuje, tylko jeszcze śmielej. Nie żądajcie ode mnie dowodów, ani wierności w szczegółach; zaufajcie mojej intuicji; „wiercie mi trochę, tak jak się wierzy Widzącym (prookom) — a pewien jestem, że dobrze zrozumiał całość“.

Cóż o takiej metodzie powiedzieć? — Osądzać z góry za nieprawdopodobne, wszystko co nadprzyrodzone, jest to powodować się z góry pewną metafizyką: mianowicie supozycją, że świat istnieje niezależnie od Istoty wszechmocnej — co jest przynajmniej wielki błąd metodyczny. Chcieć wszystko, nawet w życiu Chrystusa, sprowadzić do „zwykłego rozwoju organizmów“, jest to obciąć całą oryginalność i jedyność, jaką świat w tym żywocie podziwia. Gdyby jeszcze to obcięcie było rezultatem i wynikiem krytyki, — zrozumiałbym; lecz proszę uważać, że ono jest wyrażnie z góry żądaniem, jako postulat metody: to jedynie uznaje się za fakt i prawdę, co wchodzi w ramy zwykłego rozwoju organizmów, reszta *ipso facto* się odrzuca.

Ale co się będziemy bawić w takie zarzuty, któreby i innym pisarzom zrobić można? — metoda Renanowi właściwa: „układanie i naciąganie tekstów wedle gustu“ — konstruowanie wypadków podług „czucia organicznego rozwoju“, — może to być wyborna dyrektywa do kompozycyi romansów; ale odnośnie do historyi, do zbadania prawdy dziejowej, jest ona monstrualnością; i trzeba było całego literackiego mistrzostwa Renana, aby ją publiczności narzucić, i całej jego czelności i pewności siebie, aby się do niej tak otwarcie, jak to czyni w swych przedmowach, przyznawać. Kiedy Hegel biorąc za punkt wyjścia goły byt. *das leere Sein*, wyprowadzał z niego wirtuozyą dyalektyki cały świat myśli i rzeczywistości — ludzie z początku wpadali w osłupienie, i mówili, że jeżeli Bóg świat stworzył, to chyba Hegel go wytłumaczył. Dzisiaj uśmiejemy się na wspomnienie tej sztuczki, i wiemy, że z gołego bytu wyprowadzić można także dyalektyką bądź nie, bądź wszystko, co się komu podoba. Tak samo się rzecz ma pod tym względem z metodą krytyki historycznej Renana. Wystawmy sobie 70-ciu Renanów, równych Ernestowi talentem i gustem, ale różnych między sobą temperamentem; odosobnijmy ich, aby się nie znosili — jak owych legendowych tłumaczy greckiej Biblii; dajmy każdemu do ręki te same źródła, jakie miał Ernest, te same teksty do układania i naciągania wedle gustu — a o zakład idę, że skreślą 70-ciu Chrystusów zupełnie do siebie niepodobnych — tak samo jak wielu powieściopisarzy obrabia jeden przedmiot, każdy inaczej.

Czyby się bardzo gniewał Renan na ten zarzut? Może nie tak bardzo. On w tylu miejscach daje do poznania, że jemu tylko idzie o dzieło estetyczne. Mniejsza o to, powtarza on chętnie z Grekami, co się mówi o bogach, byleby się pięknie o nich mówiło.

Taka jest metoda; a czy przynajmniej jej przeprowadzenie w historyi Chrystusa i w historyi ludu izraelskiego jest konsekwentne, i czy doprowadza do rezultatu, jakiego jej pryncypia wymagają? Czy udało się Renanowi, po obcięciu i naciągnięciu tekstów do woli, po wykluczeniu wszystkiego co cudowne i nad-

przyrodzone, przy tak nieograniczonej swobodzie, jakiej nie miał żaden historyk i jaką się tylko w utworach imaginacyi posiada, — czy udało mu się taką postać Chrystusa skreślić, któraby w niczem nie detonowała, któraby się na danem tle miejsca i czasu, logicznie i z prawdopodobieństwem, podług praw organicznego życia rozwijała, i czyniła wrażenie istoty żywej? Czy później też udało mu się coś podobnego przeprowadzić w narodzie izraelskim, po wykluczeniu z jego dziejów wszelkiego pierwiastku nadprzyrodzonego?

Otóż, rzecz dziwna — która jednak była istotnie do przewidzenia, — ten wyrafinowany estetyk, ten wielki artysta, który na tyle podziwianych zdobył się kreacyj, — tu jakoś nie dopisał, nie potrafił zrobić tego co zamierzył i obiecał...

Przytaczają mi prześliczne kartki z „Życia Jezusa“; — wiem, że takich kartek jest wiele; wiele scen pachnących świeżością palestyńskiej przyrody i pulsujących życiem owego ludu; wiele obrazów, w których Chrystus prawdziwie pięknie i wzniosłe się przedstawia; ale nie o to idzie. Biercie cały wątek życia tego Nazareńczyka: czy w nim jest ten logiczny, prawdopodobny, organiczny rozwój? Można by w tem życiu, jak mówi Caro, trzech, czterech ludzi odróżnić, sobie zupełnie obcych; dwaj najbardziej uderzają. Najprzód w Galilei młody wieśniak, nie prawie o bożym świecie niewiedzący naiwny ignorant, wygłasza towarzyszom, nad uroczemi brzegami jeziora Tyberyadzkiego, czyste prawidła moralne, jakie mu serce dyktuje; zasiada na ucztach uprzejmym i wesołym gościem; składa wdzięczne przypowieści. To figura do idylli. — Drugi potem w Jerozolimie ni stąd ni zowąd podejmuje rolę Mesyasza; przyczem okazuje takie przymioty i przywary, jakie się w żaden sposób z pierwszego typu wysnuć, ani z nim pogodzić się nie dają — ani sam Renan się o to bardzo nie stara. Ten drugi Jezus okazuje się od razu dalekim od naiwności i prostoty, „czyni on wiele ustępstw opinii, nawet przeciwko swojej myśli“; pozwala na „niewinne oszukaństwa“, jakimi jego uczniowie przyczepiają mu genealogię Dawidową i wypełnienie proroctw mesyańskich; daje się wciągać w czynienie egzorcy-

zmów, „choć w nie prawdopodobnie nie wierzy“; widząc, że lud potrzebuje cudów, aby słuchać jego nauki, bierze się z konieczności i do fałszywych cudów. Przy wskrzeszeniu Łazarza odgrywa się brzydka komedia, w której Chrystus, mimo wszystkich eufemizmów pisarza, gra po prostu rolę szarlatana. Nie gorszymy się — prosi Renan; „szczeroci człowieka wschodniego nie trzeba mierzyć tą samą miarą co naszą“; a potem, jeżeli jest kłamstwo, „to jedynie winną jest ludzkość, która chce być okłamana“ — (*finis sanctificat media*). Wreszcie ten drugi Jezus spotykając się z przeciwnościami, unosi się, jątrzy się (*il s'aigrit*), złorzeczy, piorunuje przeciw swym nieprzyjaciółom; „jego zły humor przeciw wszelkiemu oporowi doprowadza go do czynów niewytłumaczalnych i na pozór niedorzecznych“. W miejscu słodkiego i prostodusznego Galilejczyka mamy z nienacka „ponurego olbrzymia“! Ostatecznie „śmierć rozwiązać musi sytuację bez wyjścia“... I oto, po trzecie, tego człowieka „postawić mamy na szczycie rodu ludzkiego“, kłaniać się mu, jako „najwyższemu wyrazowi boskiego pierwiastku w ludzkości“. Nie założył on wprowadzić ani teologii, ani sakramentów, ani Kościoła, ale założył „religię czystą, wieczną, ostateczną — bo religię miłości“.

Czemuż, doprawdy, mam go stawiać na szczycie ludzkości, kiedy wielu znam ludzi, którzy większą okazują prawosć i stałość charakteru niż on? nie udają cudów, ani nie używają fałszu dla czynienia dobra i w przeciwnościach nie przestają nad sobą panować. Czemuż mam go uważać za założyciela religii miłości, kiedy on sam temu zakonowi miłości nie pozostał wierny? Jakżeż mu się mam kłaniać, kiedy ani sympatyi do niego nie czuję — i nawet w istnienie takiego człowieka wierzyć nie mogę?

Doprawdy, musi być w życiu i w osobie Chrystusa Pana coś bardzo szczególnego i nieziemskiej miary, kiedy nikomu się nie udaje odmalować go jako prostego człowieka. Choć uczeni jak Strauss i artyści jak Renan na to się silą, to wychodzi z pod ich ręki coś, co ani do człowieka nie jest podobnem.

Niewiele szczęśliwszym jest Renan w przeprowadzeniu swej metody w „Historyi ludu izraelskiego“, którą już w starości na-

piisał. Tym razem, olśniony zdobytą już powagą i chwałą, jeszcze więcej się spuszcza na swoje jasnowidzenie, jeszcze mniej dba o teksty i z największą dezinwolturą odgaduje przeszłość. Ale i tu jakaś nemezis go ściga. Chociaż krytyka biblijna Niemców opróżniła przed nim teren z powag, i natworzyła hipotez krocie, do wyboru dla każdego gustu — tak, iż mógł sobie pozwolić konstruować co chciał i jak chciał, i w rzeczy samej szeroko tej wolności użył — jednakowoż nie udało mu się skreślić, jak wymagała metoda, jednolitej historyi idei religijnej Izraela, rozwijającej się logicznie i organicznie; ale wytworzyły mu się, jak na przekorę, dwie religie, dwa Izraele, ani organicznie ani w sposób prawdopodobny między sobą nie związane. Pierwszy Izrael — oczywiście wbrew Biblii — jest sobie małym plemieniem syryjskiem między Amorrejczykami, Ammonitami, Filistynami i t. d., w niczem się od nich nie różniącym, nietylko pod względem barbarzyństwa obyczajów, ale także pod względem religii. Jego praojcowie, legendarni patryarchowie, czcili fetysze, zwane elohimami; on sam czci Jehowę, który jest bogiem jego plemienia, współrzednym z Dagonem bogiem Filistynów, Chamosem bogiem Moabitów, Molochem Ammonitów, Baalem Fenicyan. Choć więc Izrael kłaniał się tylko swemu Jehowie, jednak pojęcie o bóstwie miał zupełnie politeistyczne, tak samo jak sąsiedzi; o Bogu powszechnym i wszechwładnym żadnego wyobrażenia nie miał. Jehowa, w jego przekonaniu, sycił się krwią i wonią ofiar, był zazdrosny, okrutny, ciężkie miał ramię na wrogów swego ludu; żadnych zaś przymiotów etycznych w tym bogu nie widać, ani żadnego wogóle pierwiastku moralnego w religii. Za królów Dawida i jego następców aż do Jozafata, o których Renan szeroko się rozpisyje, jeszcze nie znać, żeby te pojęcia religijne uległy zmianie. — Wtem nagle, w VIII. w. przed Chr., pojawia się prawie bez przejścia druga religia, druga dusza Izraela: czysty, wzniosły, duchowy monoteizm. Występuje Bóg wszechobecny i wszechwiedzący, Bóg moralnie doskonały i moralności wymagający, — jakiego opiewają te prorocstwa i psalmy, któremi do dziś dnia karmią się najwznioślejsze dusze w chrystyanizmie.

Skądże się wziął ten Bóg? kto stworzył taki czysty mono-

teizm? Stworzyli go prorocy Amos, Ozeasz, Micheasz, głównie Izajasz. Pobudziły ich do tego (ktoby się domyślał?) drobne interesy polityczne, trochę pycha narodowa, trochę urok assyryjskiej potęgi. Ale skądże wzięli oni materiał do tej kreacji? czy z przeszłości Izraela? — ale tam nic podobnego nie było według Renana, — czy z sąsiedniego Egiptu albo z Assyrii? — ale tam, jak świadczą pomniki, panował natenczas lichy politeizm. Jest to więc kreacya z niczego, której ci prorocy dokonać mieli. A przecież — zastanówmy się nad tem — taki monoteizm, to rzecz ogromna, to najwyższa idea, do jakiej umysłowość ludzka kiedykolwiek się wzniosła. Gdyby nam dziś powiedziano, że Patagoniecy wystawili bez niczyjej pomocy drugi Partenon, wstrząsnęlibyśmy ramionami; a przecież byłoby to zrozumialsze, niż przypuszczenie, że wśród lichego plemienia pogańskiego, otoczonego pogaństwem, powstał samorodnie i w krótkim czasie najdoskonalszy monoteizm.

Czy nie byłoby doprawdy racjonalniejszym, prawdopodobniejszym, zgodniejszym z metodą organicznego rozwoju, przypuścić, że ta idea monoteistyczna tkwiła już zarodkowo w pierwotnych pojęciach religijnych dzieci Izraela, choć przyćmiona i często wykrzywiana przez naleciałości politeistyczne, które od sąsiadów ze wszech stron się wciskały; — a następnie, że pod wpływem mędrców i proroków tego ludu, oczyszczała się ta idea coraz więcej z owych naleciałości antropomorficznych, coraz głębiej dusze ludu przenikała, i wkońcu opanowała jego moralne sumienie, jak świadczą psalmy i późniejsze prorocтва? Do przypuszczenia monoteizmu na początku upoważniała nawet pewna indukcya, skoro archeologiczne badania nad Egiptem, Assyryą i Iranem odkryły w najstarszych religijnych pomnikach tych ludów ślady dość czystego monoteizmu, i wskazały nawet przejścia, przez jakie ten pierwotny monoteizm z czasem w politeizm się rozłożył¹.

¹ Co do Egiptu i Assyrii ob. „Źródła historyczne Wschodu“ ks. Wł. Zaborskiego; co do Iranu i wogóle Aryów, ob. studia tegoż nad Awestą, piśmiennymi pomnikami Persów i Rigwedą, które się od roku w *Przeglądzie Powszechnym* drukują.

Rzecz jasna, że takie roztoczenie historii religii izraelskiej byłoby nierównie naturalniejszym, nierównie zgodniejszym z metodą organicznego rozwoju; ale niestety nie różniłoby się ono prawie od opowiadania biblijnego i powszechnej wiary; od tego zaś Renan instynktowo odskakuje, choćby miał przez to w niedorzeczność popaść. Nie mówię tego na wiatr, ale konstatuję tendencję, która się co chwila w pismach Renana zdradza. Nawet w pomniejszych drobiazgach ciągle lubuje się on w mówieniu czarno, gdzie Pismo mówi biało, i odwrotnie. Dawida przedstawia Pismo jako męża według serca Bożego, z wyższym moralnym nastrojem i delikatniejszymi uczuciami — on go czyni hersztem lotrzyków, pozbawionym wszelkich etycznych wyobrażeń, który na czele swej bandy rozbija i łupi. A kiedy potem przychodzi do historii sławnego grzechu Dawida — grzechu, o którym Pismo z tak niezrównaną psychologiczną prawdą opowiada — on (ktoby się spodziewał?) staje nagle w obronie moralności Dawida, i powiada: Nie, to musi być bajka; takiej wielkiej zbrodni Dawid popełnić nie mógł! (*sic*). Salomona przedstawia Pismo jako mędrca, świątynię jego opisuje jako nadzwyczaj okazałą — on drwinkuje z mądrości Salomona, a świątynię przedstawia jako małą, ubogą i niezgrabną budkę. Na czemże nasz historyk opiera taką supozycję? Warunki miejsca i czasu nie dawały mu przecież do tego podstawy. Wiedzieć musiał, że blisko Palestyny stały już wówczas, od południa świątynie Leksoru, Karnaku, Ramesseum, Medinet-Abu, których wspaniałość dzisiejszy świat podziwiał, a od północy i wschodu świątynie Tyru, Niniwy, Babilonii, które podziwiali Grecy¹. Sam Renan też o tem wspomina, że Salomon miał za żonę księżniczkę egipską i że sprowadzał budowniczych z Tyru. Kiedy więc wśród tych warunków wyobraża sobie świątynię Salomona jako brzydką i małą (*un édifice*), to już mu chyba jego „gust“ tak dyktuje — a ten gust musi coś mieć przeciwko Biblii².

¹ Herodot, I, 181.

² Równocześnie kiedy to pisał Renan, Chipiez w swej pomnikowej „Historii sztuki w starożytności“, wyzyskując niesłychanie pracowite badania Judei przez Anglików, kreślił dokumentowaną historię tej świątyni

Więc ostatecznie i metoda krytyczna Renana jest zła i błędna, i — przyjąwszy ją nawet za dobrą — przeprowadzenie jej w głównych jego historycznych utworach, jest najfatalniejsze. Nic dziwnego, że ludzie poważni, umiejący przekopać się przez blichtr formy aż do treści rzeczy, którzy brali się do dzieł Renana, nie z oburzeniem, jak wielu gorących chrześcijan, ani z gotowem z góry uwielbieniem, jak liczni niestety ludzie wrogo ku chrystyanizmowi usposobieni — ale z szczerą chęcią znalezienia rzetelnej nauki, naukowego wytłumaczenia tak niezmiernie ważnego zjawiska w dziejach, jakim jest powstanie chrystyanizmu — ci ludzie najzupełniejszego doznali zawodu i rozczarowania. Caro, piszący o „Życiu Jezusa“ wkrótce po jego pojawieniu się, tak przejmująco wyraził to rozczarowanie, że między liniami wyczytać można, iż sam do liczby takich ludzi należał, i że skończywszy czytać tę książkę daleko bliższym był wiary w Bóstwo Chrystusa, aniżeli kiedy ją otwierał.

Kiedy nauki u Renana niema, a przynajmniej takiej niema, któraby mogła zaimponować światu — to wraca początkowe nasze pytanie: co było powodem nadzwyczajnej potęgi i niesłychanego powodzenia tego człowieka? w czym ukrywała się siła tego Samsona? Widzieliśmy już, że ani stylowi, ani nauce tego przypisać nie można; cóż jeszcze zostaje? Poza nauką zostaje chyba filozofia, pogląd ogólny na świat. P. de Vogüé w artykule, zresztą nieudanym, o nieboszczyku w *Revue des deux Mondes*¹, chcąc coś dodatniego w nim podnieść, wpada na pomysł, że właściwie filozofia Renana była jego siłą i że ona długo po nim zostanie. Co za filozofia? — De Vogüé nie bez biedy zbiera kilka ogólników, które są, według niego, przewodniami myślami wszystkich dzieł Renana. Oto wszystkie: świat podlega prawom nieobmiennym — niema w świecie śladu jakiegokolwiek myśli lub woli, poza inteligencyą ludzką — dwa czynniki wszystko w świe-

restytucyę jej kształtów, która nie obniża wyobrażenia, jakieśmy o niej z Pisma św. powzięli. Ob. *Histoire de l'art dans l'antiquité*, par Perrot et Chipiez, tome IV, la Judée.

¹ *Après M. Renan, Revue des deux Mondes*, 15 Nov., 1892.

cie tłumaczą: czas i dążność do postępowego rozwoju życia — w ludzkości wyrabia się powoli świadomość zbiorowa (w znaczeniu Schoppenhauerowskim) — warunkiem jedynym postępu ludzkości jest nauka na indukcyi oparta — ta nauka da końcowo rodowi ludzkiemu błogość i szczęście.

Każdy widzi, że co w tych niby pryncypjach jest pozytywnego, to jest stare i banalne, a co negatywnego, to niczem więcej nie jest tylko prostem zaprzeczeniem interwencji Stwórcy. Gdzież tu właściwa filozofia Renana? czy w tem może, że te pryncypia odkrył? — ale któż nie wie, że one wszystkie są starszemi od niego? — czy więc w tem, że je uznał i sobie przyswoił? — ale wyjdę tylko na ulicę, choćby w Krakowie, i setkę takich filozofów znajdę między niedokończonymi słuchaczami kilku fakultetów i nawet VIII. klasy, którzy na wszystkie te pryncypia bez zastrzeżenia się piszą. Być może, że Renan świetnością swego wykładu więcej niż kto inny do spopularyzowania tych zasad się przyczynił — ale to nie byłoby siłą jego filozofii, tylko siłą jego literackiego talenta. Bardzo się też myli de Vogüé, idąc w zakład, że ani jednej w dziełach Renana nie znajdzie się z temi zasadami sprzeczności. Choćby i tak było, nie byłoby to wielką zasługą, bo te niby pryncypia są bezgranicznie szerokie. Faktem jest jednak, że i tym zasadom Renan w swych dziełach wielokrotnie zaprzeczył, jak się wnet przekonamy. W szczególności tę wiarę w wszechpotęgę nauki i w postęp ludzkości ku dobremu, którą de Vogüé wyciąga z młodocianej jego książki *L'avenir de la science*, z wiekiem stracił on zupełnie, jak zestawieniem tekstów wykazał Edw. Rod w swej ciekawej książce o dzisiejszych pojęciach moralnych¹. Raczej jabym wygrał, gdybym się założył z p. de Vogüé, że na każdą afirmację, jaką mi w dziełach Renana pokaże, znajdę w tychże dziełach wręcz przeciwną negację, albo restrukcję równającą się negacyi. Nieszczęśliwy więc miał pomysł p. de Vogüé, kiedy w filozofii Renana szukał jego siły.

¹ *Les idées morales du temps présent*, par Edouard Rod. I. M. Ernest Renan.

A gdzież ostatecznie tej siły tajemniczej szukać — kiedy ani w stylu, ani w nauce, ani w filozofii jego znaleźć jej nie można?

II.

Miedzy stylem właściwym a treścią jest coś pośredniego: forma w szerszym znaczeniu, sposób jakim autor swą treść obejmuje i rozacza, taktyka z jaką przekonanie czytelnika zdobywa. Renan jest niezrównanym mistrzem tej taktyki. Już z natury instynktowo wiele tej sztuki posiadał; ale z czasem uświadomił ją sobie zupełnie, zdał sobie sprawę ze skuteczności swych rozmaitych uderzeń i fortelów, poznał mniej odporne strony umysłów ludzkich, przez które zakraść się najłatwiej, i doprowadził tę sztukę do ostatniej perfekcyi.

Umysł ludzki ciekawy jest wielkich zagadnień, poza oponeż zjawisk sięgających, a leniwy do poważnej pracy myśli, jakiej te zagadnienia wymagają. Szczególnie zaś nasz wiek, wiek spularyzowanej wiedzy, łączy żywe interesowanie się najgłębszymi kwestyami, z szczególną powierzchownością myślenia, której wyrazem jest ulubione jego czytanie: romans i gazeta. — Otóż Renan podejmuje wciąż kwestye głęboko każdego z nas obcho-dzące, wstrząsające duszą, *troublandes*, jak mówią Francuzi; nie-tylko kiedy z latarką swej krytyki historycznej zapuszcza się w podwaliny wierzeń chrześcijańskich, ale przy każdej niemal sposobności, w podróżach, na scenie teatralnej, gdy portretuje rzymskiego cesarza¹, zawsze porusza jakieś pytania głębokie, moralne, religijne, filozoficzne; — a traktuje je z nadzwyczajną lekkością i swobodą, jak romans, bez żadnego dowodowego ba-lastu — wywołując jednak illuzję optyczną, że ten fundament naukowy gdzieś głęboko wkopany istnieje, tylko że autor z de-likatnej kurtoazji dla czytelnika przysłania go kobiercem kwia-tów. Uplastycznia przytem swój przedmiot wybornie — co nasz wiek tak ocenia i tak lubi. To co w traktowanym przedmiocie

¹ Marc-Aurèle — *Mélanges d'histoire de voyages* — *Dialogues philoso-
phiques* — *Caliban, drame phil.* — *L'eau de jouvence, drame* — *Le pretre de
Nemi, drame phil.* etc. etc.

jest dotykalnego i namacalnego: tło otaczającej natury, przedmioty, ludzie współcześni ze swym językiem i swymi obyczajami, to wszystko występuje w jego dziełach tak wypukłe, z takim naturalnym kolorytem, tak dobrze jest oświetlone, i owiane tak miłym ciepłem bądź szczerą, bądź sztucznej sympatii autora — że powstający stąd obraz owłada magnetycznie czytelnikiem, sprawia mu złudzenie rzeczywistości, złudzenie, które z wyobraźni przesącza się do rozumu. Inni współcześnie z Renanem, zwłaszcza Anglicy i Rosjanie, poruszali w powieściach wielkie zagadki religii i etyki; on pierwszy i jedyny traktował te kwestye jak powieść.

Obok tej całej plastyczności, jest u Renana i do jego manieri należy dziwna mglistość: plastyczność, jak powiedziałem, co do strony zjawiskowej przedmiotu, mglistość, nieokreślenie myśli, co do wszystkiego co jest poza zjawiskiem, w czym jednak istota poruszanych zagadnień się mieści. Światło, wyraźność kształtów jest pewnie dla nas powabem, ale i półcień, lekkie zatuszowanie konturu, mglistość, ma także dla nas jakiś powab i urok. Ona zaciekawia, jakąś miłą grozą przejmując i marzyć każe, puszcza wyobraźnię naszą w swobodną pogoń za nieuchwytną myślą artysty. Wiedzieli o tem poeci, zwłaszcza romantycy, i wiedzą niektórzy malarze. W dziele naukowem lub filozoficznem, gdzie idzie o poznanie prawdy, mglistość jest oczywiście czysto ujemną własnością; lecz Renan jest artystą, i artystycznymi środkami na nas działa — między niemi mglistością. A jest pod tym względem wirtuozem nieporównanym. Ciągłe nas jego myśl błyskotliwa zaciekawia, bo lata wkoło palących zagadnień — gonimy za nią — sto razy się nam zdaje, że już ją trzymamy, że nam czarodziej wypowie swą tajemnicę o Bogu, o religii, o wysokich filozofii zagadnieniach — a sto razy ta myśl ucieka, niepochwytana, jak motyl — zostawiając nam złudzenie jakiejś głębokiej mądrości, która się wypowiedzieć nie da — *il est fuyant*, mówią Francuzi.

Ideal, prawda, piękno, religia, doskonałość, świętość, boskość (*le divin*) — wyrazy, które dużo mówią do duszy, bo je

chrystyanizm nasycił swą treścią — ciągle wracają pod piórem Renana; ma on do nich osobliwą pasję. Ale niech kto spróbuje uchwycić ich znaczenie! Kiedy autor najwięcej zdaje się zbliżać do konkretnych, nawet chrześcijańskich pojęć, kiedy nas prawie zapalił do kultu tych wszystkich pięknych i wzniosłych rzeczy, nagle spostrzegamy, że wszystko się rozplywa w nieuchwytnych odcieniach relatywizmu i subiektywności. Ta prawda, to piękno, którym już miałem życie poświęcić, okazują mi się nagle znikomemi i zmiennemi wytworami mej własnej duszy — a przynajmniej tak się do tego zbliżają, że już odróżnić nie mogę. Religia, o której mi Renan z takim ciepłem i niemal namaszczeniem mówi, tak się raptem rozszerza i uogólnia bezbrzeżnie, że już nie wiem co jest i czy jest religia: moralność jest religią, poezya, sztuka jest religią, każde poznanie prawdy, każda miłość piękna jest religią, wiara w wolność, w ducha jest religią, wszystko jest religią. — A świętość, a boskość wszędzie są rozlane. Mahomet źle robi, że pozwala na rozbój, kłamstwo i mordy, że oddaje się rozpucie; Kalwin źle robi, że nie ma wzięku ni słodyczy, że wszędzie widzi zło i chrystyanizm z poezyi odziera — jednak i Mahomet i Kalwin są świętymi — a ja już nie wiem na jaki obłok wzlecieć, aby tak szerokie pojęcie świętości objąć.

Najtrudniej uchwycić co Renan myśli o Bogu, chociaż ciągle o Bogu mówi i ciągle go określa. Raz zdaje się panteistycznie, po heglowsku go pojmuwać. „Zagadka najwyższej Przyczyny, mówi, przechodzi nasz umysł; rozwiązuje się poematami (którymi są religie), nie prawami; albo jeśli tu o prawach mówić, to chyba o prawach fizyki i historii, które jedynie są prawami bytu i pełną rzeczywistością“. Indziej pisze: „Absolut sprawiedliwości i rozum jedynie w ludzkości się objawia; poza nią absolut ten jest tylko oderwaniem; w niej jest on rzeczywistością. Nieskończony nie istnieje, jak tylko gdy postać skończoną przyobleka, Bóg widzi się jedynie w swoich wcieleniach“¹. — Innemi razy znowu ten Bóg przedstawia się jako czysto subiek-

¹ *Avenir de la métaphysique.*

tywny wytwór umysłowych władz człowieka. „To co ludzkość adoruje, jest zawsze adoracyi godnem, bo adoruje ona w postaciach, które uidealizowała, dobroć i piękność, które sama w nie włożyła“. — I znowu: „Słowo Bóg jest w posiadaniu, ono w tylu pięknych, poezjach użytym zostało, że porzucić je, znaczyłoby tyle, co zwichnąć nawyki językowe. Mówcie prostym, żeby żyli aspiracyami do prawdy, do piękna, do dobra moralnego: będą to dla nich słowa bez znaczenia; mówcie im, żeby kochali Boga, żeby nie obrażali Go, a zrozumieją doskonale. Bóg, Opatrzność, nieśmiertelność, są to stare słowa, trochę ciężkie może, które filozofia na coraz subtelniejsze znaczenia przetłumaczy, ale których nigdy z korzyścią nie zastąpi. Pod jedną lub pod drugą formą Bóg będzie zawsze streszczeniem naszych potrzeb nadzmysłowych, kategorią ideału, tak samo jak czas i przestrzeń są kategoriami ciała, tj. formami, pod którymi pojmujemy ciała“¹. — Kiedy indziej znowu zaklina się Renan „z uczuciem najgłębszej pobożności“, że żadnej nazwy, żadnego orzeczenia Bogu dać nie chce, bo każde określenie byłoby negacją, każda nazwa bluźnierstwem; „każde zdanie o Bogu powiedziane byłoby niedorzecznością, okrom tego jednego: On jest“. — Nareszcie jakby umyślnie dla zmylenia tropu i zbałamucenia nas do reszty, tę samą książkę o „Przyszłości metafizyki“, w której najmocniej odmawia Bogu bytu przedsobnego i sprowadza Go do czysto subiektywnego zjawiska, kończy Renan rzewną modlitwą, która najwyraźniej do Boga przedsobnego się zwraca: „Ojczy niebieski! nie wiem co nam w przyszłości gotujesz. Czy ta wiara, której nie dopuszczasz nam w sobie zagłuszyć, jest pociechą od Ciebie daną, aby znikomy nasz los znośnym się nam wydał? czy jest złudzeniem przez twą litość przezornie obmyślanem? albo czy jest ona instynktem głębokim, objawianiem, wystarczającym dla tych, co są tego godni? Czy rozpacz miałaby słuszość, a prawda byłaby smutną? Nie chciałeś żeby te wątpliwości znajdowały jasną odpowiedź, by wiara w dobro nie była bez zasługi, a zależała od wewnętrz-

¹ *Etudes d'histoire religieuse.*

nego usposobienia naszego... Bądź błogosławiony za swoją tajemniczość, błogosławiony iż się ukrył, błogosławiony żeś zachował w całości wolność serc naszych“.

Nie jestże to wszystko razem igraszką i bawieniem się w chowanego, a bawieniem się rzeczami największemi i najświętszemi! Zdania te, w tem skróconem zestawieniu, uderzają swą sprzecznością, ale w samych dziełach Renana rozplývają się one w jakimś tajemniczym *clair-obscur*, który z punktu artystycznego, jak powiedziałem, ma wiele uroku i psychologicznemu ustrojowi wielu umysłów doskonale odpowiada.

Renan wszakże nietylko jest mglistym, ale jest też sceptycznym. Sceptycyzm, wogóle mówiąc, nie jest rzeczą formy lecz treści, leży on kamieniem na dnie duszy myśliciela. U Renana wszakże (nie wchodząc w to o ile był sceptykiem w głębi), jest też po wierzchu pewna wyrafinowana skepsis, należąca do wdzięków jego formy, do tej taktyki mistrzowskiej, którą umysły opanowuje. — Istotnie nasz rozum stworzony jest dla prawdy; posiadanie więc prawdy, czyli pewność powinna, przy normalnych warunkach duchowego zdrowia, sprawiać mu błogość; wątpliwość zaś powinna mu być przykra, niepokoić go, i tem więcej niepokoić, im wyższe i donioślejsze są zagadnienia tą niepewnością objęte. Z drugiej strony jednak osiągnięcie pewności wymaga pewnego kornego poddania się prawdzie. Póki rozum wątpi, póty mu się zdaje, że jest wolnym (ma wolność błędzenia) i panem prawdy, sądzi ją i krytykuje z góry. Ale kiedy prawda staje przed nim w właściwem sobie świetle, wtedy wzywa ona rozum, aby rozbroid i poddał się: — tak jest, mówi mu, a nie inaczej. To poddanie się rozumowi zawsze jest jakimś trudem, a kiedy rozum trochę choruje na zarozumiałość, trud ten może być bardzo ciężki, i człowiek nieraz będzie wołał szukać wybiegów, niż się nań zdobyć. Z tego względu wiszenie w wątpliwości może także sprawić umysłowi pewną, choć złudną i chorobliwą, przyjemność. — Otóż to wyzyskuje Renan z właściwą sobie maestryą. Porwawszy czytelnika wdziękiem i ciepłem, z jakim mówi o rzeczach najgłębiej go obchodzących, oprowadza

go lekko, jak na skrzydłach elfów, po różnych systemach, filozofiach i wierzeniach ludzkości; raz zdaje się, że już już dola tuje do konkluzji chrześcijańskiej... ale w ostatniej chwili sceptycznie się uśmiechnie i zboczy; drugi raz już już przypada do wniosków ateizmu i materyalizmu — ale znów rzuci wątpliwość i uniesie dalej. Każda konkluzja w tych wielkich zagadnieniach, twierdząca czy przecząca, ma zawsze coś groźnego; czytelnik więc, którego mistrz unosi, swobodniej oddycha, spostrzegłszy, że mu żadnej nie narzucono konkluzji, i z większą jeszcze ufnością do mistrza się przyciska. — A ten go dalej obwodzi po wszystkich polach myśli, po wszystkich epokach dziejów: pokazuje mu wciąż z daleka najsprzeczniesze ludzi poglądy, najprzeciwniejsze zasady i czyny; a o wszystkich mimo przeciwnieństw, mówi tak pięknie, z taką sympatją i niemal nabożeństwem — że ostatecznie umysł czytelnika, rozchwiany i rozkołysany w objęciach mistrza, traci z oczu wszelki punkt oparcia, wszelką pewność. Ów pogląd z wysoka, w którym wszelka różnica prawdy i fałszu, zła i dobra się zaciera, wydaje mu się najwznioślejszy i najmądrzejszy; sceptycyzm zaczyna mu smakować; a jeśli jeszcze coś pewności zachował, to już tylko z biedą i z wysileniem się jej trzyma — bo mu się wszystko w oczach duszy kołysze.

Ten cały sposób mówienia Renana o Bogu, któryśmy przytoczyli wyżej jako próbkę jego mglistości, może też służyć za okaz tego nieujętego sceptycyzmu. Na kwestyę: czy jest Bóg, czy go nie ma, już dawno pozytywiści odpowiedzieli: *Ignorabimus*. Jest to twierdzenie sceptyczne, lecz przynajmniej twierdzenie, określenie stanowiska. Ale sceptycyzm Renana i to sceptyczne stanowisko w wątpliwości zostawia: raz mówi on z panteistami, że Bóg jest wszystkim, co jest; drugi raz mówi z ateistami, że jest tylko wytworem myśli ludzkiej, czyli że go nie ma; to znowu przyznaje, że Bóg jest, tylko czem jest, powiedzieć się nie da. A czy go zatwierdza czy go przeczy, zawsze się przed nim korzy, modli się do niego, — jak dosadnie powiada Caro: *il l'adore en le niant*. Jest to sceptycyzm prawdziwie w grzeczności wyrafinowany. — Ten sam sceptycyzm roz-

ciąga się i na wszystko inne. Niekiedy zdaje się, że moralność, wartość cnoty stanowią wyjątek, Renan miejscami przemawia o nich z siłą kaznodziei i podniosłością ascety; ale na innych miejscach tę samą cnotę na równi z występkami w nieogarnionej swej sympatii obejmuje; a nieraz całą moralność i obowiązek pod znakiem zapytania stawia. „Pokładamy, mówi, całą naszą zacność w uporczywym zatwierdzaniu obowiązku, i dobrze czynimy; trzymać się tego trzeba, nawet wbrew oczywistości. Wszelako jest prawie równe prawdopodobieństwo, że po przeciwnej stronie jest prawda“.

W końcu i to jest Renana manierą, że jest dziwnie ekskluzywnym arystokratą duchowym. W zasadzie dzieli on ludzkość (i sto razy w każdej książce do tego podziału wraca) na część umysłowo uprzywilejowaną, kultywowaną — i część niższą, ludzi prostych, *les simples*. Życie pierwszych jest samowiedne, życie drugich bezwiedne (*vie réfléchie* — *vie spontanée*). Nie jest to tylko podział przejściowy, ale tak zawsze było, będzie i być musi. — Dla prostych Renan nie pisze, mówi jednak o nich często z dobrotnym politowaniem; twierdzi, że nie powinni zazdrościć tantym, bo dosyć im daje pociech i pokrzepienia religia — a tej im odbierać się nie godzi, i niczem jej zastąpić nie można (to nie przeszkadza, że Renan sam zrobił osobne wydanie ludowe swego „Życia Jezusa“¹). W części zaś kultywowanej ludzkości w miejsce religii wstępuje nauka i sztuka, i wyższym sposobem to samo zadanie pełni. — Między tymi wyższego gatunku ludźmi są jeszcze oczywiście stopnie; na szczycie jest mędrzec, krytyk, myśliciel — te słowa u Renana biorą się jedno za drugie. Ten mędrzec ze swej wyżyny patrzy na świat, nie z szorstką pogardą Stoików, ale z łagodnym uśmiechem politowania; on ma podobny uśmiech i dla własnego dzieła. Takim jest każdy bohater Renana: Sakia-Muni, Marek Aureli, Spinoza, Jezus — bo i on „miał ten dar właściwy dystyngowanym ludziom: uśmiechać się z własnego dzieła i być wyższym nad nie“. Takim jest

¹ *Vie de Jesus*, édition populaire.

wreszcie Renan... Mędrzec ten interesuje się obserwacją biegu świata, ale z obojętnością uchyla się od czynu. „Myśliciel, mówi Renan wyraźnie, nie poczuwa się do prawa wpływania na sprawy swej planety i poprzestaje na swoim działale, godzi się bez żalu na niemożność działania. Widzem będąc w świecie, wie że świat nie inaczej do niego należy, tylko jako przedmiot studyów; i chociażby mógł ten świat poprawić, możeby go znalazł tak ciekawym, takim jak jest, że nie odważyłby się na to poprawienie“¹. — Oto mi dyletantyzm prawdziwie transcendentálny! Wszystkie walki, wszystkie bole ludzkości, wszystkie jej cnoty i heroizmy, upadki i zbrodnie, z przeszłości i terażniejszości, przesuwają się przed nim, bawią go jak ciekawa panorama; choćby mógł co zmienić, ulżyć, polepszyć — on palcem nie ruszy: bo to wszystko takie jak jest go bawi. Wszystko jak jest obejmuje on sympatyą — w której jest egoizm, i uśmiechem — w którym jest pogarda.

Pisarze poważni, jak Caro, bardzo surowo wyrzucają Renanowi tę arystokrację duchową, ten podział ludzkości na klasy tak nierówno obdzielone, tę „sytuację wyjątkową“, jaką sobie i krytykom sobie podobnym ponad światem przywłaszcza. Twierdzą, że „prosta część“ ludzkości obrażona być musi tem lekceważeniem i zgodzić się nie może, mimo głaskań Renana, na to odmówienie sobie zdolności do życia samowiednego, opromienionego nauką i sztuką. — Lecz mylą się, mojem zdaniem, zupełnie, a Renan nie myli się w swej taktyce. Ludzie, choć najmniej wykształceni, którzy czytają Renana, podchlebiają sobie pewnie, że wchodzą w wspólność myśli z tak wielkim mędrce. Gdyby warunkiem należenia do klasy wyższej, były przebyte studia, dyplomy uniwersyteckie, możeby się obrazili; ale jedynym warunkiem, który wyczytują wyraźnie w pismach mistrza, jest wyzbyć się wierzeń religijnych i przejąć się poglądem krytyczno-artystycznym, jaki im się podaje — a to i najprostszy czytelnicy Renana już uczynili, albo każdej chwili uczynić potrafią; — dla-czegóżby więc zaliczać się nie mieli do arystokracji duchowej rodu ludzkiego? Doprawdy trudno misterniej i delikatniej pod-

¹ *Etude d'histoire religieuse, Préface.*

chlebić umysłem, które się ciągnie za sobą, i grzeczniej pogardą przywalić tych, którzy upierają się przy swych religijnych wierzeniach.

Takim jest Renan jako taktyk literacki, jako mistrz w sztuce zdobywania umysłów ludzkich, nie aby w nich cokolwiek budować, lecz aby rozsypywać wszelkie przekonania w malownicze ruiny. Poszukiwacz ciekawy najgłębszych zagadnień, realista świetny w kreśleniu tła materyalnego, w ideach mglisty i tajemniczy, sceptyk delikatny i kołyszący, pieszczący się miłośnię ze wszystkim, co własną ręką podcina i burzy, arystokrata duchowy i dyletant bawiący się wszystkim na świecie — zrozumiał on doskonale swój wiek: napisał mu, jak sam powiada, romans Bóstwa, *le roman de l'Infini*. A właściwie mówiąc, on zrobił, o ile pojedynczy człowiek zrobić może, swój wiek na podobieństwo swoje. Bo zaprzeczyć się nie da, że Renan szedł naprzód, a wiek za nim. Kiedy 23-letni młodzieniec pisał na poddaszu swą rozprawę o „Przyszłości nauki“, pełną dogmatyzmu i wiary w postęp bez granic, wtedy odbijał się w nim wiernie współczesny stan umysłowy wieku; później Renan wymyślił swą metodę krytyczną; zawlekał potem wątpliwościami coraz szersze pola, a skończył na ideale transcendentalnego dyletanta: — i wiek pozwoli przywłaszczyć sobie jego rodzaj krytyki; w ślad za nim lekką mgłą sceptycyzmu na wszystko bez wyjątku rozciągnął; a w ostatnich czasach egoistyczny ów dyletantyzm wytworzył całą szkołę, która samego Renana w tej chorobliwej filozofii życia prześcignęła i wiele żywotności w młodzieży francuskiej strawiła.

Nie umarł jednak Renan w pełni swego królowania, ale trochę za późno. „Czuł w tych kilku latach, mówi de Vogüé, że mu się kierownictwo umysłów z rąk wymyka, i to się w cierpkości jego ostatnich pism i przemówień odbiło“. Istotnie wiek już się zniechęcił do przeczenia i wątpienia, nie ma ochoty bawić się ideami, kiedy tyle życiowych zagadnień powstaje; wiek czuć zaczyna potrzebę przekonań i podstaw etycznych — jeszcze nie idzie do Chrystusa, ale już się w tę stronę tęskno ogląda.

Czy Renan był szczery? Wogóle jego krytycy i pisarze wspomnień pośmiertnych tego pytania nie wazą się postawić; ono się jednak, po przeglądzie jego dziwnej karyery, mimowoli narzuca. Stawiam je więc; a odpowiadam, jak Renan lubi, znakiem zapytania. W wnętrzu człowieka wglądać nie jest nam danem, i dlatego bardzo powinniśmy być oględni z bezwarunkowym o czyjejsz nieszczerości sądem. Powodów jednak do powątpiewania o szczerości swojej wiele nam Renan zostawił. Pod pozorną jego prostotą i pewnem wylaniem, znać przy uważnem czytaniu, że wszystko u niego jest bardzo sztucznem — co byłoby może wadą w dziele sztuki, ale w studyach o historii i religii jest, a przynajmniej zdaje się być, naganną nieszczerością. To pieszczenie się z wierzeniami, które sam z całą świadomością dławi i niszczy, czy jest uczuciem szczerem? ta mglistość, to uciekanie i mienienie się myśli, gdy mówi o Bóstwie i boskich rzeczach, to modlenie się do Boga, kiedy mu bytu odmawia, czy jest istotnie wyrazem jego myśli i uczucia, czy literacką sztuczką? Te sposoby naciągane i teatralne, jakimi tłumaczy cuda Chrystusa, czy trafiły do jego własnego przekonania? Te cytaty z Pisma, które tak często nic do rzeczy nie mają, czy tylko przez nieuwagę się wkradły? Czy nie uśmiechał się może ten mędrzec i z własnego dzieła i z tych pocziwych ludzi, którzy mu więcej wierzyli niż on sam sobie? — Pamiętam, że kiedy wyszły pamiętniki Renana: *Souvenirs d'enfance et de jeunesse*, chciałem się na nie rzucić, spodziewając się, że w nich znajdę wierny obraz wewnętrznych przeżyć i przeobrażeń tej ciekawej duszy. Otóż zupełnego doznałem zawodu, bo nie znalazłem głównego w takim dziele warunku: szczerości. Pomijając, że szczegóły jego odstępstwa od Kościoła zostały „aranżowane“, jak mu żyjący jeszcze koledzy z seminaryum wytknęli — czuć w tej książce, od początku do końca, układanie się, pozę. Renan pozuje na mędrca zupełnie szczęśliwego — i tak to swoje szczęście i błogość i pokój z niezręcznym nawet naciskiem i powtarzaniem afirmuje — że aż wywołał we mnie pytanie: czy ten człowiek nie ma wielkiego w duszy niepokoju? Nie podejrzewam wcale Renana, żeby wierzył wyraźnie w Bóstwo Chrystusa i umyślnie go bluźnił, ale podejrzy-

wam go, że w nie nie wierzył, ani w własne konstrukcyje (do czego trochę się przyznał), i że dla sztucznego poparcia tych konstrukcyj i panowania nad umysłami używał środków niekoniecznie szczerych. — Mimowoli przychodzi tu na myśl wygodna teorya o „szczerości stopniowanej“ (*les sincérités graduées*), jaką Renan uniewinniał swego Jezusa, przypisując mu udawanie cudów, w celu szlachetnym podniesienia myśli ciemnego ludu do wzniosłych prawd. Czy i Renan nie naśladował swego bohatera?

Czytam w niejednym szkicu pośmiertnym, że Renan więcej się przysłużył Kościołowi, niż mu zaszkodził. De Vogüé powiada, że rozszerzył widnokrąg kościelnej nauki; p. Złotnicki w *Ateneum* nie tylko chwali nieboszczyka, że pchnął teologów na przód, ale tę pochwałę — ktoby wierzył! — wkłada w usta samego Leona XIII. — nie spostrzegając niemożliwości takiego przypuszczenia¹.

Renan istotnie czynił tylko źle Kościołowi i jego nauce i wierze; uderzał w nie negacją i pogardą. Jak Julian Apostata, wyzwał Galilejczyka do osobistej walki na śmierć — i to w sposób przebieglejszy niż Julian. Jeżeli coś się ostało z chrześcijaństwa, to nie jest jego zasługą ani chwałą; bo on się porwał do wyrwania wszystkiego z korzeniem. Ale jest to chwałą wiary katolickiej, znameniem niespożytej żywotności Kościoła, że ile razy w ciągu wieków fałszywe doktryny, herezye, filozofie, z zewnątrz nań uderzają, tyle razy wewnętrzna siła daje zwycięski odpór — nie odpór martwy i bierny, jak głazy, ale żywotną reakcyę, jak organizmy. Za każdym razem punkt zaczepiony dogmatu więcej się rozświeca, rozwija się bujniej, a miłość i nabożeństwo wiernych w to miejsce z większą gorącością

¹ *Ateneum* z grudnia p. r.: „Ernest Renan“. — P. Zł. nie przytacza źródła, z którego wiał te mniemane słowa Leona XIII. Zapewne wypisał je pośrednio czy bezpośrednio z jakiejś włoskiej bezwyznaniowej gazetki. Mógł jednak spostrzedz, że takie jakie przytoczył zdania, w ustach Leona XIII. są absolutnie niemożliwe. Wedle de Vogüé Ojciec św. dowiedziawszy o zgodzie Renana, powiedział tylko te słowa Pisma: *oportet haereses esse* — co odpowiada myśli, którą niżej rozwijamy.

się zwraca. To samo i wobec napaści Renana uiszczyć się musiało. Tą siłą ośrodkowej reakcyi, i nauki teologiczne i nawet pobożność wielki krok naprzód uczyniły; Boską Osobą Zbawiciela, która zawsze była centrem chrześcijańskiego życia, może więcej w drugiej połowie tego wieku niż w paru wiekach poprzednich się zajmujemy.

I w rezultacie, po Renanie, Chrystus będzie więcej znany i więcej kochany niż przedtem.

Ks. Maryan Morawski.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

Część II.: Chiny i Japonia.

(Ciąg dalszy).

Singapore, 4 lutego.

Dziś podobno już ostatni obiad u Brandtów, którym siedzimy od 10-ciu dni na karku w ich ślicznym doprawdy *bungalow des revenants* — jak go nazywają, z tej przyczyny, że poprzedniego właściciela tu zamordowano i że podobno w rocznicę śmierci straszy po pokojach, gdzie właśnie ja z ministrem mieszkałem. Na szczęście rocznica wypada kiedyś w lecie czy jesieni dopiero. Przy tym ostatnim obiedzie podano wszelkie możliwe i niemożliwe łakocie i przysmaki, na jakie się podrównikowe okolice tylko zdobyć mogą. Między innemi korzenie lotusu — nieświatne, biały łosoś i doskonały *burian planta*, niby najlepszy owoc na świecie — czosnkiem go tak czuć, że ani weź w usta; ale *mangostiny* pyszne!

Dzień przed wyjazdem jeszcze wycieczka do Riow, które pod samym już geograficznym równikiem leży. Jest to wyspa należąca do archipelagu tworzącego Indye holenderskie; a że pobyt na równiku termometrycznym, czyli linii łączącej wszystkie punkta najwyższych ciepłot a różniącej się często znacznie od równika geograficznego, nam nie wystarczała, żeśmy pragnęli koniecznie zobaczyć ową „czerwoną linię“ idącą przez morza i lądy — więc puściliśmy się na malutkim chińskim parowcu,

kursującym między pojedynczemi wysepkami. Z całej ekskursyi do Riow najciekawszą była publiczność, wśród której się znaleźliśmy na tym miniaturowym parowcu: sami Chińczycy, kilku Malajczyków i my. Hałas nieopisany — woń jeszcze nieopisańsza. Ale przyznać trzeba, że tłum na południu, choć mocniej ale mniej przykro śmierdzi, jak tłum północny, specjalnie tłum europejski. Dziwnie też przykre z początku robi wrażenie to jednozgłoskowe chrapliwo-nosowo-gardłowe szczekanie chińskie. Czas był cudowny, gorąco porządne, morze prześliczne — więc wycieczka wcale przyjemna i miła. Samo Riow niezem od Singapore, prócz wielkością, nie różne, mniej więcej ten sam rodzaj pejzażu, ta sama roślinność. W chwili gdyśmy równik przepływali, patrzałem, szukałem za ową „linią czerwoną“ — ale nie, ani śladu; tu, i wyżej i niżej morze tak samo wyglądało. Przy pysznej pełni księżycowej wracamy; o świcie stajemy w Singapore, cali mokrzy od tej rosy czy mgły podrównikowej, rosy, która podobno bywa pierwszą przyczyną wszelkich tutaj chorób.

W końcu po wielkich wyteżeniach wszystkich panów, należących do agencji naszego Lloyda, wśród potoków potu, toczących swe mętne fale po czole, skroniach i karku IMci pana Englera, współnika pana Brandta, naszego miłego gospodarza, wśród wrzasku ładujących Chińczyków, nadszedł wieczór dnia 3 lutego 1889 r. O dziesiątej wieczorem, zjadani nawpół przez moskity, szukając daremnie powietrza, którego nam nader skąpo port Singapore udzielał — dowiedzieliśmy się, że zapewne nazajutrz rano około 6 odpłyniemy. Zaczyna „Maria Teresa“, statek wielki, ociężały, skrzypiący, stękający, źle naładowany i przodem o kilka stóp głębiej siedzący w wodzie niż zadem, statek zupełnie zaufania nie wzbudzający, spóźniwszy się o dwa dni do Singapore, musiał czekać zakończenia chińskiego Nowego roku! Przez to opóźnienie, jeszcze w Singapore doszła nas wiadomość iście straszna, którą biuro Reutera w świat rozesłało, że arcyksiążę Rudolf zakończył życie wskutek ataku apoplektycznego! Biedny Rüdiger spłakał się na tę wieść — mnie zimny mróz przeszedł — wierzyć nie chciałem uszom i oczom! w 30 roku życia, w pełni zdrowia i sił umierać, będąc jedyną nadzieją 42

milionów ludzi i rodziny Habsburgów! — niezbadane sądy Boże! Niestety, musieliśmy z Singapore wyjechać, nie doczekawszy się ni potwierdzenia ni zaprzeczenia! W Hong-kong dopiero, gdzie mamy 8 b. m. stanąć, zapewne zastaniemy szczegóły lub zaprzeczenie.

Miedzy Singapore a Hong-kong, 6 lutego.

Raniutko, o świcie, pierwszy sygnał; maszyna daje znać, że żyje, jękiem strasliwym; potem ściąganie kotwic, i zaczyna się znowu ów dość już dawno niesłyszany, a przez tyle set godzin ustać nie mający huk maszyny w ruchu, drganie, łomot i szum śruby. Wylatuję na pokład, by raz ostatni to piękne pożegnać Singapore. Słońce ledwo wstawać poczynало, więc jeszcze nad łodem wisiała szaro-liliowa jakaś niby mgła; na zachód za nami i na południe majaczały w półcieniu te śliczne wysepki; na wschód przed nami ocean pusty bez granic — to morze Chińskie! Dla każdego marynarza, nazwa: „Morze Chińskie“, równo brzmi z tysiącznemi niebezpieczeństwami, z nigdy nieustającym wichrem, ze zgubnemi prądami, które bieg jego statku wstrzymują, żeglugę utrudniają, kombinują. Morze Chińskie, to królestwo *tajfunu*, o którym zdawna wylekniony podróżny nasłuchiwał się od swego kapitana, od innych oficerów, od znających te okolice towarzyszków podróży. Morze Chińskie w wyobraźni każdego podróżnika nierozdzielnie się łączy z pojęciem czegoś złośliwego, złego, wrogiego; mimowoli każdy sobie przypomina owe rzezie chrześcijan w Chinach; morze to takie niegościnne, takie nieprzystępne, jak i ten kraj, od którego nazwisko wzięło; jak w tym kraju tylko z najwyższym wysiłkiem człowiek utrzymać się i wyżyć może, co chwila narażony na jakąś elementarną, nadziemską zdawałoby się rozmiarów — klęskę, tak i na tem morzu tylko zdwojona, nieustająca uwaga, zimna krew i bystrość marynarza, tym setnym a potężnym wrogom, którzy nań czyhają, oprzeć się, ująć, wyslizgnąć się ze szponów może. I to nie zawsze! Wieleż tu tysięcy biedaków na dnie tych toni co roku grób znajduje! Latem, więc od kwietnia, szaleją tu orkany, w przeciwi-

stwie do cyklonów Indyjskiego oceanu „tajfunami“ zwane. Zimą, już od października, straszniejszy jeszcze niż tajfuny wróg marynarza zastępuje, tj. mgła gęsta i straszna, uporczywa, zawsze niebezpieczna, najczęściej zgubna. Rify podwodne wszędzie rozsiane, ścieśniają obszar, po którym żegluga bezpieczna. Niezbyt daleko od ładunku musi żeglarz się trzymać, by drogi nie nakładać i prądów przeciwnych unikać. A do niedawna jeszcze prócz elementów, równie jak one zdradliwy, a nieubłagańszy od nich, rozbójnik morski, i to Chińczyk, więc doprawdy *sans peur et sans tâche*, krążył wkoło wybrzeży, patrząc kogoby pożarł! Dziś piratów niema, ale w łonie swoim niesie każdy statek gorzej niż piratów, bo powracających do ojczyzny, spanoszonych, z Europejczykiem spoufalconych, nie bojących się go, a całem sercem nienawidzących, zdemoralizowanych do szpiku kości przez niezdrowy, często wieloletni pobyt w wielkich centrach handlowych: *coolis'ów*, robotników-emigrantów chińskich. Mamy wprawdzie rewolwery, mamy karabiny, ale niech tylko przyjdzie czas burzliwy, zły, niebezpieczny, niech Chińczyki, bojące się strasznie śmierci na morzu (bo ciało ich jużby w ojczyźnie pochowanem być nie mogło), spostrzegą się że jest źle, że załoga — choćby tylko chwilowo — daremnie z rozhukanym walczy elementem, a bunt i rzeź białych niedalekie.

Oto myśli, które przez głowę mi gonić poczęły, w onej chwili rozpoczęcia nowej, dalekiej, tą razą na seryo podróży, może wbrew woli rodziców! Słońce wstało tymczasem; cieplej, jaśniej, weselej zrobiło się na świecie, ponure myśli pierzchać poczęły; niestety mimowoli rzucam okiem na okręt nasz, chcąc w jego sile sam siły nabrać, widokiem jego potęgi uspokoić swoje przedrażnione upałem, niewyspaniem, decyzjami dni ostatnich, nerwy. Ale „Maria Teresa“, mimo pięknego nazwiska, mimo że wszystko w niej i na niej świeżutko odmalowane i odpokostowane, nie wzbudza bynajmniej wielkiego zaufania. Jak zwykle statki Lloyda od Singapore do Hong-kong, wiezie ona ogromny ładunek starego żelazniwa na sprzedaż do Chin. Ciężar ten ogromny złożono na przodzie okrętu; w Singapore jeszcze ujęto znacznie z ładunku środka i tyłu, bo wyladowano samego

marmuru z Krainy czy Karynty, przeznaczonego do Indyj holenderskich, na tysiące kilogramów. Skutek tej operacyi zaraz się okazał: cały przód siedział głęboko w wodzie, tył ledwo zanurzony. Przy pierwszej większej fali śruba wynurzała się ponad wodę, a nie napotykając żadnego oporu, obracała się z niesłychaną szybkością, co całym okrętem wstrząsało tak potężnie, taki huk niesłychany sprawiało, że o spaniu ani mowy być nie mogło. A że morze wcale nie myśli być spokojnem, że ledwie opuściwszy port, po istnych górach wody przepływamy, więc na statku niewesoło; wszyscy chorują. Temperatura od razu obniża się znacznie, wiatr północno-wschodni zimny i wilgotny; marzniemy nielitościwie. Kiedyż, kiedyż zajedziemy do tego Hongkong? Daj Boże by dojechać cało.

Na lądzie, prowadząc to życie, właściwie tak czeze, podróżnika-turysty, będąc od rana do wieczora zajętym tym tysiącem rozmaitych spraw, które nie są niczem innem jak spotęgowaniem próżniactwem, nigdy na nic czasu się nie ma. A co najsmutniejsza, to owa próżnia, która mimowoli tworzy się w głowie turysty, próżnia rosnąca i potęgująca się w miarę trwania podróży!... Kiedyś w Singaporze jeszcze to zanotowałem, i nie sposób mi nie przyznać, że wielką prawdę zanotowałem. Życie turysty dla tej to jednak przyczyny tak bardzo nam, Polakom, smakuje, że tak znakomicie naszemu lenistwu dogadza. Niby to zajęci, więc przed własnem sumieniem pokryci, z lubością i konsekwencyą nie robimy nic. Czyż może być coś *für unser Einen* idealniejszego?

Na statku inaczej. Na statku, o ile morze pozwala, to znaczy o ile nie nadto się okręt rzuca i przewraca po falach, o ile uczucie z chorobą morską nader blisko spokrewnione, a składające się z niecierpliwości, strachu i znudzenia, nie nadto nad wszystkim innem górę bierze — na statku żyje się regularnie, zwiedzać nie ma co, więc z nudów zabierasz się do lektury, i jak ja: do pisania. Rozmowy na morzu Chińskim, naturalnie od Chin się zaczynają i na Chinach kończą. Wpada mi w rękę dziełko pana Corteau, bardzo znane na Wschodzie, a pewnie i na Zachodzie. Ponieważ mam dużo czasu, ponieważ dojeżdżamy do Chin, więc

notuję piąte przez dziesiąte, to co on o Chinach pisze, i co mówi dokładnie Chiny znający Holender jakiś, z nami jadący, bym nie potrzebował potem powtarzać tych ogólnikowych uwag i dat. *A propos* tego Holendra: jedzie on teraz ze Sumatry, gdzie sadził kawę, *cacao* i t. d. (zapewne współnik Van Houten's *Cacao'a*); wiezie biedak chorą najokropniej na wątrobę żonę do Karlsbadu *via* Ameryka! Biedna ta pani, jedyna pomiędzy nami, cieszy się odświeżeniem, by nie powiedzieć oziębieniem temperatury; nie dziw, bo od 4 lat, co bawiła na Sumatrze, na 5 minut, mówię na pięć minut, nie przestała się pocić.

Jak wszyscy wiemy, system monetarny w Chinach różni się zasadniczo i zupełnie od systemów przyjętych w Europie i Ameryce. Złoto nie ma kursu. Jednością monetarną jest *tael* (czytaj tel), wart mniej więcej 6 fr. 44 ctm., czyli 3 fl. 22 kr. w. a.; który to *tael* ma tę szczególną właściwość, że go nikt nigdy nie widział, i to dla tej prostej przyczyny, że faktycznie nie egzystuje, bo go nikt nigdy nie wybił. Jest to moneta fikcyjna, służąca tylko do obrachowywania; same wypłaty odbywają się za pomocą kawałów srebra, mających formę pantofla chińskiego, ważących trochę więcej niż jeden kilogram. W razie potrzeby drobnej monety, rozcina się ów kawał srebra na tyle części, ile ich właśnie potrzeba, te znowu dzielą się na niezliczoną ilość podpodziałów, zawsze według danej potrzeby. Kawalki te srebra stemplują otrzymujący je swoim nazwiskiem. Chińczycy tak są do tego znaczenia srebra przyzwyczajeni, że nawet dolary meksykańskie, będące monetą kursującą w miastach portowych, stemplują. Zagraniczne firmy, zwłaszcza banki, nie przyjmują przy wypłatach takich przestemplowanych dolarów, biada więc niebaczniemu turyście, którego ubierze Chińczyk w trzos takich dolarów. Kilkakrotnie już w Singapore uważałem, że po kantorach bankowych jest osobny Chińczyk do kontrolowania dolarów. Naturalnie, że płacenie tym trybem zajmuje czasu niemało. I płacący i biorący zapłatę, zbrojni są we własne, miniaturowe wagi, i najpierw jeden, potem drugi, każdy kawałek srebra waży. O ile wiem, pierwotny ten sposób wypłacania znika coraz bardziej, bo coraz bardziej się dolar, a także srebrny rubel w Chinach,

jako moneta i jednostka monetarna, przyjmuje. Ważki owe jednoramienne składają się z długiej linijki kościanej, na której jest podziałka, i z malutkiej czarki (u naszych Żydów jest używany bardzo podobny system wag; za pomocą nich najłatwiej chłopa oszukać!). W Singapore w t. zw. domach zastawniczych, czyli po prostu u tandeciarzy, we wszystkich miastach *Straits-Settlements*, wreszcie w Bang-kok, wyłącznie Chińczycy trudnią się handlem tandetnym; te sklepy są dziś jeszcze jedynym źródłem, gdzie można przypadkiem nieraz jakiś stary wyrób z drogiego kruszcu znaleźć i jako tako przystępnie kupić. Przy każdym kupnie wyrobów ze złota lub srebra, używają takich samych wag, bo jak wogóle na całym Wschodzie, począwszy od Indyj, przy tych wyrobach płaci się na wagę kruszcu, dodając pewną procentualną nadwyżkę, jako wynagrodzenie za robotę. Przy pomniejszych tranzakcyach używają Chińczycy sapeków (*sapèque*), czyli szelągów, pieniążków mosiężno-miedzianych, zwykle prostokątnych, z dziurą kwadratową w środku, aby je można nawlekać na sznur. Jeden piastr, czyli tutaj dolar amerykański, liczy 1140 sapeków, więc zmieniwszy 20-sto frankówkę na sapeki, trzeba mieć osobnego człowieka do noszenia tej monety; 1000 sapeków waży więcej niż 4 kilogramy.

W każdej prowincyi cesarstwa inna bywa waluta. Jest to jedna z licznych zresztą okoliczności, utrudniających niemało podróżowanie po wnętrzu kraju. Na szczęście, kredyt jest w Chinach więcej niż gdziekolwiek na świecie rozpowszechnionem i w użyciu będącem pojęciem. Chińczycy między sobą, dzięki nieubłaganiu srogiemu prawodawstwu, są w rzeczach handlu nader uczciwi. Szwindel w pojęciu nowo-europejskiem, ów wynalazek braci naszych semickiego pochodzenia, tutaj jest nader rzadkim objawem, bo go karzą śmiercią. Europejczyk, albo wogóle biały, używa dotąd nieograniczonego kredytu. Pieniądzy w jakiejkolwiek bądź formie nigdy się przy sobie nie nosi, wszystkie, choćby najznaczniesze wydatki, opędza się za pomocą świstków papieru, kart wizytowych, na których się np. dłużną sumę ołówkiem znaczy. Samo nabazgranie na papierze jakimkolwiek kilku choćby liter, wystarcza najzupełniej. Chińczyk,

nie umiejący i tak czytać „charakterów zachodnich“, przyjmie wszystko, bo absolutnie wierzy w uczciwość białego. Obecnie, kiedy już nawet w Pekinie jest filia banku *Hong-kong and Shanghai Bank Ltd.*, nawet już w Pekinie чеки *en règle* zastąpiły owe karty wizytowe i świstki. Zamiast pieniędzy, jadąc do Pekinu, dostaje się książeczkę czekową; ale system ten, acz niesłychanie wygodny, ma fatalnie niedogodne strony. Najpierw, bo się wydaje, z niezrównaną a zgubną dla kieszeni łatwością, a potem, bo się nigdy dobrze nie wie, co się jeszcze ma, a czego się już nie ma. Zmiana ciągła kursu, zmiana wartości dolara w miarę zmieniania się miejsca pobytu i odległości tegoż od centr handlowych, więc miast portowych, wpływają naturalnie na zmniejszenie, albo na zwiększenie (to drugie rzadziej) kapitału, który *chèque-book* reprezentuje. Ale o tem się, *primo*, nie wie, w chwili np. zakupna biblotów, *secundo* nie myśli się; rezultat potem przy obliczaniu się z bankiem, który чеки likwiduje, bywa często nader przykry.

Od niepamiętnych czasów istnieje w Chinach rodzaj pieniędzy papierowych. Są to kawałki papieru, zwykle grubej bibuły, noszące *comme tout potage* podpis jakiegoś kupca europejskiego; mają one jednak wartość tylko w obrębie miasta, gdzie je wystawiono.

Bądź co bądź, w zasadzie, nawet najpierwotniejszy i najmniej cywilizowany, więc najbardziej jeszcze o zacności ludów bladej cery przekonany Chińczyk, woli dolara srebrnego, lub kawał *tael'a* srebrnego, niż papier lub czek; zwłaszcza, że chińskie, jak wogóle azyatyckich ludów srebro i złoto, są jeszcze prawdziwem srebrem i złotem, wolnem od wszelkich przymieszek. Tego sposobu „poprawiania“ szlachetnych kruszców jeszcze zacni Chińczycy ni znają, ni praktykują. Zapewne dopiero białe rasy, ucywilizowawszy tych biedaków, nauczą ich aliażów i wszelkich tym podobnych cywilizowanych szwindłów.

Hong-kong, 9 lutego.

O Boże, co za zmiana dekoracyi! Już cały wczorajszy dzień marzliśmy na statku, po prostu jak psy! Musiałem znowu wsła-

dzieć to, co się pod pantalonami nosi, a co się g....i zowie. Służby ich wyrzekłem się był jeszcze w Suezie. A przecież Hong-kong leży jeszcze w strefie podzwrotnikowej, tak zwanej gorącej — co za blaga! To prawda, że jedziemy prosto z pod samego równika, że mamy w pełni wiatr północno-wschodni (*nord-est mousson*), że stąd do Koziorożca już tylko kilkadziesiąt geograficznych minut. Ale cóż za zimno! A ten sz.... termometr pokazuje ciągle 16° Reaum. nad zerem. W Hong-kong, niestety, zastaliśmy czas wprost fatalny. Leje jak z konwi bez przestanku. Pokój mam niemożliwy, czysty *Erzherzog Carl* w Wiedniu: ciemno, zimno, brudnawo i śmierdzi. Hotel tak pełny, że mimo naszych tytułów, muszą nam dać, zamiast pokoi — nory. Za dwa dni wielkie wyścigi, *meeting* wiosenny, więc się zjechało co żyło Anglików, na 100 mil wokoło.

Chcę się ubierać; rozpala Chińczyk piekielny niby to ogień na kominku, ale na nic; lodownia jak była, tak i jest. Dygoczę, klnę. umieram z głodu, a do *tiffing*'u (2-go śniadania) jeszcze brakuje trzy kwadranse; więc siadam i bazgrzę tę jeremiadę. *Nota bene*, nasz towarzysz ze statku, ów Holender, twierdził, że Hong-kong ma identyczny klimat z wyspą Maderą! Winszuję tym biednym chorym, których dla „ciepła“ taszcza na Maderę.

Dzwonią na *tiffing*. Chwałaż Ci Panie! Schodzę. Na schodach rój Anglików, Angielek. Wszystko bardzo eleganckie. Moznaby myśleć, żeśmy w Lucernie albo Vevey!

Sala jadalna, typ nieco od podzwrotnikowo-indyjskich odmienny. Znać, że tu już nie takie szalone upały, że ludzie więcej o elegancję europejską dbać mogą. Po sali rozstawionych setki malutkich stolczków, co dwa stolczki stoi ciemno-niebiesko ubrany Chińczyk i z posagowym spokojem czeka, by kto przy jego stolczku usiadł. Ledwoś siadł, już Chińczyk, raptem przemieniając się z posagu w najruchliwszego i najzgrabniejszego kelnera, podaje swój kwitaryusz; tam zapisuje się, co się chce jeść i pić, nazwisko i numer pokoju; Chińczyk to wszystko porywa, znika, i w mgnieniu oka zjawia się z całym śniadaniem, winem, piwem, *chasse-café*, deserem i t. d. Jedzenie tu już czystej krwi angielskie, wyborne. Gęby rozdziawiałyby ilość pieprzu,

papryki, kajenny w każdej potrawie, gdyby te gęby nie były już zaprawione i przyzwyczajone do tych zacnych a siarczastych zapraw.

Po śniadaniu, mimo chmur, mgły i deszczu, spacer; pocziwy Biegel mnie wyciąga, najszcześliwszy, że może znowu swoje długie nogi rozpuścić.

Położenie miasta idealne, vegetacya cudna, roboty Anglików na każdym kroku widoczne, i jak zawsze, imponujące. Położeniem nieco Genuę przypomina, o tyle, że tu i tam kolosalny amfiteatr; tylko góry, na których się Hong-kong czepia, to wysokie, ogromne, od szczytu zupełnie nagie skały. Port przepyszny, ze wszystkich stron zamknięty wysepkami i stałym lądem, ma tylko dwa wyjścia, nieszerokie, od wschodu i zachodu, tak, że gdyby nie poważny zawsze zastęp ogromnych parowców, wszystkich flag świata, kilka pancerników i fregat wojennych angielskich, i wreszcie istne roje, od wielkich aż do najmniejszych czółen i czółenek — możnaby myśleć, że to którekolwiek z wielkich jezior górskich. Vegetacya idealna, bo podzwrotnikowa z nadzwrotnikową pomieszana. Palmy z koniferami, bambusy, fikusy i obok tego importowane z północy (w botanicznym ogrodzie) jodły. Bukiet to cudowny, gra zieloności idealna. Ogród botaniczny naturalnie jest, i bardzo ciekawy, bo gdzieżby w posiadłości angielskiej ogrodu botanicznego nie było? Jest to chyba jedna z pierwszych rzeczy, jaką oni zakładają; a zawsze tak pięknie, tak fundamentalnie wszystko zrobione. Ogród ten umieszczony na skale, ziemia sztucznie nanoszona w wielu miejscach. Czemuż to my biedacy, choć jakiejś części tych bogactw, tego znaczenia, tego rozumu, pracy, wytrwałości nie mamy, co oni!

Jutro mają tutaj z Szang-hai przybyć hrabstwo Bardi. Jadą do Japonii; dobrze i źle to dla mnie. Więcej dobrze, niż odwrotnie! Niezmiernie smutna wiadomość o śmierci następcy tronu naszego potwierdzona; 5-go już biedaka pochowano. Wierzyć się nie chce, by to mogła być prawda. Ogromnie wszystko następstwami zajęte. Przecież, Bogu dzięki, Cesarz jeszcze żyje, zdrow i silny.

Hong-kong, 11 lutego.

Wczoraj spacer po górach wyspy. Widok cudowny. Góry wyglądają nagie, choć pokryte są obecnie żółkłą, spaloną trawą, mechami najrozmaitszemi i karłowatemi krzaczkami. Skały tak nieregularnie obok siebie leżą, jakby je wczoraj na powierzchnię wulkany wyrzuciły. Chiny, tj. stały ląd tylko wąską wstęgą wody od wyspy Hong-kong oddzielone; stąd skały nader dziki, nieprzystępny mają charakter. Temperatura nieco dziś wyższa, choć wiatr bardzo jeszcze zimny, ale słońce cudne! W nocy na górach miał być przymrozek; nie dziwota, że tak nieludzko marzłem w łóżku, mimo pledu i dwóch grubych kołder.

Rano, jako w niedzielę, Msza św. w nowo zbudowanej katedrze. Biskupa od dwóch lat niema, bawi w Ameryce; zastępuje go jeneralny wikaryusz, misyonarz, Włoch rodem. Daliśmy na Mszę św. za duszę biednego arcyksięcia Rudolfa.

Dziś, o wpół do ósmej zrana, cichutko, spokojniutko, odbyła się Msza za arcyksięcia. *Requiescat in pace!*

O 11-tej *rendez-vous* z mrs. jeneralnym wikaryuszem, i wizyta w zakładzie Sióstr *de la Charité*. Włoska to kongregacya, fundowana w początku tego wieku przez markizę Canossa, ciotkę kardynała tegoż imienia w Weronie. Tutaj istnieje od niedawna. Działanie jej rzeczywiście podziwu godne. Rząd angielski subwencyjonuje ten zakon, dając 75 dolarów miesięcznie na zakład sierot i nieuleczalnych, a 25 dol. na zakład pokutnic i poprawy. Faktycznie kosztuje jednak utrzymanie całego zakładu więcej niż dwa razy tyle miesięcznie; to „drugie tyle“ muszą Siostry i sieroty zarobić; część małą tylko rozchodów pokrywają datki miłosiernych. W zakładzie mieści się: 1) dom podrzutek, których rocznie już teraz wyżej 1000 głów oddają; 2) zakład wychowawczy sierot, rekrutujących się po największej części z podrzutek; dalej 3) pensjonat dla eksternistek; 4) przytułek dla nieuleczalnych, kalek, staruszek; wreszcie 5) szpital i dom poprawy. Wszystko w najpiękniejszym ładzie i porządku utrzymuje tych kilka Sióstr, głównie Włosek (z Lombardyi), kilka z Tyrolu austriackiego, kilka Angielek i przeważna część Sióstr por-

tugalskich. Obecnie liczy zakład *summa summarum* 500 osób. Przeciętnie na jedną osobę wypadają 2 dol. miesięcznie (nie całych 7 złr. w. a.).

Niepojętej, isticie żydowskiej arrogancyi dowód: konsul *ad honores* (Boże pożał się tych konsułów honorowych) dodał nam za przewodnika p. Adolfa Brüll'a, żydka wiedeńskiego, którego gdym pytał o jego wyznanie, odpowiedział: *oh! ich bin confessionslos!* Otóż ten pan Brüll, t. zw. kanclerz, *alias scriba* u pana konsula *ad honores*, przysyła ministrowi! zaproszenie na *tiffing!* Rozstąp się ziemio, zapadnij się morze! Naturalnie minister nie przyjął, a pan Brüll dostanie nosa metrowego! — mówię metrowego, boć w XIX. stuleciu: sążeń, sążniowy, to wyrazy przestarzałe. W południe otrzymujemy zaproszenie od gubernatora na obiad; niestety trzeba odmówić, bo jedziemy do Kantonu, — szkoda, bo byłbym chętnie się znalazł, dla odmiany, w dobrym towarzystwie angielskiem i pewnie zobaczył piękny zbiór chińszczyzn, i może ciekawych szczegółów o kraju i ludziach się dowiedział. O wpół do szóstej, po nieco gwałtownem, jak zwykle, pakowaniu, by być na czas gotowym, lecimy na statek; Fat-szani się nazywa, własność dziś towarzystwa akcyjnego chińskiego, budowany w Ameryce, kupiony przez Chińczyków od Amerykanów; wspaniały, ogromny, przepyszne kabiny; ma cztery piętra, zupełnie od siebie oddzielone. W głównej sali bawialnej, na najwyższym piętrze, ogromny sztelaż, w nim karabiny ponabijane i bagnety; — to wspomnienie niedawnych czasów, kiedy chmary Chińczyków, wsiadłszy jako pasażerowie na statek, nagle napadły załogę, wycięły i zrabowały co było. Na najniższym z tych pięter, same *coolis* chińskie; to wzbogacona czerń chińska, która jedzie do domu. Piętro to z innemi zupełnie komunikacyi nie ma. Wychodzimy na najwyższe piętro, na pokład. Mój Boże, co za widok! Morze wkoło zamknięte skałami, jak najpiękniejsze jezioro, ciemno-szafirowe, pogodne, spokojne!... Skały, czarne, sine, fioletowe, niebieskie, różowe, czerwone; a jak gdzie padnie promień zachodzącego słońca — istne złoto. Od wschodu księżyc już dawno wstał i czeka, by mu słońce także świecić pozwoliło, a wreszcie u zachodu — zapada słońce. Ba, to łatwo powiedzieć, ale co się tam działo

na niebie, w powietrzu, na morzu, na skałach!... Tarcza złota, bo istnie złota, dukatowo-złota, to słońce, ogromne, potężne, nie razi już oka; wkoło niego złota aureola, coraz delikatniejsza, przejrzystsza; aż wreszcie wpada w złoto-różowy kolor, dalej w różowy, fioletowy, i rozpyla się zupełnie w rodzaj świetlanego pyłu, mgły, tak, że lazur nieba także świeci. A to wszystko takie bosko piękne i świetlane, takie przezroczyste, takie nikle, unosi się nad cudownym konturem skał, — skały w cieniu, a jednak świetlane, prawie przezroczyste, różowe od stóp do głowy. A wreszcie morze, w którym ta cała niebiańska gra światła, te różowe skały się kąpią, odbijają. Morze jakby samo zachwycone tem, co widzi, jak zwierciadło, równe, spokojne, ku zachodowi już nie szafirowe — bo to za ciemna, za ponura barwa, — morze także świeci, błyszczy jakimś nieopisanym, niewysłowionym, niebieskawo-złotym blaskiem. A w tej kąpieli świetlanej, u dołu, na morzu, kąpią się stateczki chińskie, o żaglach słomiano-żółtych, teraz także ozłoconych. A w górze, w powietrzu, daleko, wysoko, wisi orzeł wspaniały! I on się dziwi i cieszy, że ta ziemia tak piękna!

Po raz drugi od morza Czerwonego żałowałem, że nie było z nami malarza, a mianowicie Ajwazowskiego! — on jedyny byłby potrafił może przenieść na płótno te cuda, na które oniemieli z podziwu patrzyliśmy, — on jedyny potrafiłby uchwycić to powietrze, i to światło, i na płótnie uwięzić! — Bardzom poetyczny, ale bo jakże nie krzyczyć, widząc takie dziwy, takie cuda? Miał stary Hübner rację, że o takich zachodach słońca, z takimi dziwami, z takimi istniami „fantazyami“ światła z powietrzem i ziemią — poza Hong-kong, rzadko można mieć wyobrażenie!

Jedziemy do Kantonu na dni 3 do 4, z nami cała misja katolicka francuska. Wszyscy z ogromnemi warkoczami, w chińskich strojach. Najmilszy z nich, jeden młody księżyna, rudy, twarz wesół, wąsik do góry, z rysów zupełnie przypomina typ jowialnego kawalerzysty francuskiego; nad tem wszystkim czapeczka chińska, a z tyłu warkocz, suknie obszerne, pantofle. Z tem wszystkiem bardzo poważnie i ładnie wyglądają poczcwi misjonarze.

Kanton, 13 lutego.

Pierwsze wrażenie, gdyśmy mijali przystań i deltę w wielkiej rzece Kanton, która kilkunastu ramionami wlewa się do morza, nader korzystne! W dali widzimy góry, pagórki, skały w morzu, istne *fiord'y*; woda niezmiernie płytka, stada delfinów, mew, kaczek i nurów pomiędzy płocikami z sitowia, stojącymi daleko w morzu dla ostrzegania przed ławami i rafami. Prześliznąwszy się pomiędzy owymi skałami, i zbliżywszy się do gór, widzi się mnóstwo chorągwi czerwono-żółtych, niebiesko-czerwonych, rozrzuconych jak makowe kwiatki po szczytach pagórków wzdłuż wybrzeża; to znaki widoczne, jeszcze niewidocznych fortyfikacyj i koszar cesarsko-chińskich. Stąd począwszy, aż po Kanton, jedno prawie nieprzerwane pasmo fortów; wszystkie bronią wstępu do kraju, gotowe zmiażdżyć ze swych licznych staro- i nowożytnych, głównie dziś niemieckich lub angielskich dział wałowych, każdego intruza, któryby wbrew woli pana Niebieskiego państwa, chciał rzeką w górę się przedostać. Zastępują teraz te działa, owych dawnych, tak idylicznych obrońców kraju, świątyń i ojczyzny, owych smoków i smoczków z rozwartymi buziami, czerwonymi ozorami, a wytrzeszczonymi strasznie ślepiami. Jakiego rodzaju byłaby rozmowa między temi nowego stylu smokami a ogniem zięjącymi smokami flot lub flotyl „białych djabłów“? kto tu byłby na pozór rozumniejszym i zostawił, choć nie dobrowolnie, ostatnie słowo przeciwnikowi? ktoby pierwszy zamilkł i ustąpił? czy te długie blankowane mury, ciągnące się wzdłuż i wszereż gór i pagórków, wytrzymałyby, już nie mówię, gwałtowność pocisków nieprzyjacielskich, ale samo wstrząśnienie powietrza w skutek strzału armatniego powstające? — to rozumie się, pytanie, na które dziś nie mam odpowiedzi.

Dawniejsze fortyfikacye chińskie, murowane z cegły na słońcu suszonej, owe kolosalne mury np. koło Pekinu i Tientsinu, jak pokazała wojna z r. 1860, 1874 i ostatnia francusko-chińska kampania 1883—1884, rozstępowały się przed granatami, jak masło pod nożem. Forty, które zamykają i strzegą przystępu do wnętrza kraju od ujścia rzeki Kanton, aż do miasta

tegoż nazwiska, to dzieło nowożytnej sztuki. Niemiec podobno inżynier budował je; jemu jako Europejczykowi nie przynoszą zaszczytu, to pewna; wszystko odkryte, wszystko wewnątrz widoczne. Jedna tylko pozycja wydaje mi się nader silna, na wschodnim brzegu leżąca a wykuta w skale. Zresztą czyż Chińczykom tak bardzo fortec potrzeba? mają 400 milionów ludu, kraj po największej części jeszcze nieprzystępny — niechże się Europa kusi jak chce, niech psuje wiele chce prochu, i co im zrobi? chyba sama w tem morzu utonie. A zresztą przecież i Chińczycy mają armię, a jak niektórzy powiadają, ta armia jest niezła; miejscami, gdzie sobie wicekról zadał trochę pracy, ma być weale dobrą. Wszakże raz Chińczyków nauczysz, że bić trudno, ale być bitym łatwo, dano im równocześnie naukę, że, i jak trzeba się bronić, dziś już nie będzie tak łatwo dać im rady.

Jak na wszystkich innych punktach, tak i pod względem reform armii, Chiny nie rzuciły się tak gwałtownie w objęcia cywilizacji europejskiej, jak Japonia, która zmieniawszy swój dawny kalendarz, strój, alfabet, zarzuca obecnie dawną formę rządu; za jednym zamachem chce się przeistoczyć w państwo, w monarchię parlamentarną. Chiny, Chińczycy, choć wierzą w swą wyższość, przekonali się jednak, że pod niektórymi względami Europa wyżej od nich stoi. W pierwszym rządzie trzeba było urządzić a raczej stworzyć system celny na sposób europejski, oddać całą administrację celną w ręce europejskie; na drugim miejscu stoi armia. Ale tu o reformie całkowitej mowy niema, być nie może; zresztą oni nie tak potrzebują armii, jak ją mają karły europejskie, siedzące jeden na drugiego nagniotkach.

Ale jedźmy dalej, bo statek tymczasem minął fortyfikacje jedne, drugie i dziesiąte, i jesteśmy u właściwego portu miasta Kantonu, Wampoa. Tu, owo, jedno z wielu ramion rzeki, którem wpłynęliśmy, rozdziela się znowu; płyniemy zachodniem; wschodnie zamknięte raz na zawsze dla statków trochę głębszych. Muszę tu zanotować historję, opowiadaną mi przez biskupa Kantonu: To drugie, wschodnie ramię rzeki, było i jest znacznie głębsze od zachodniego, tj. od ramienia, nad którem istotnie

miasto leży, i mogło być przystępne dla większych statków, nawet wojennych, stąd ogromne ułatwienie dla handlu trans-oceanowego. Od dawna Anglia na czele innych interesowanych, starała się uzyskać od rządu lokalnego, więc od wicekróla, rezydującego w Kantonie, by utworzono dla żeglugi międzynarodowej owo ramię rzeki; mówię utworzono, bo było faktycznie baryerą z grubych pali zamknięte. Nie mogąc inaczej dojść do rezultatu, wpada reprezentant angielski na myśl wielką: każe przez swego inżyniera wykonać plan, według którego potrzeba było pewnych pogłębień koryta, na którym planie jednak były wskazane wszystkie punkta głębokie w korycie, a dalej była cyframi i rysunkiem uwidoczniona niepraktyczność owej drewnianej baryery, zamykającej rzekę, z podaniem środków arcy-prostych, za pomocą których, chcący się pozbyć owej baryery, w paru godzinach mógłby tę kruchą przeszkodę usunąć. Z tym planem i kosztorysem jedzie mój konsul do wice-króla i przedkłada mu go, tłumaczy, wyjaśnia, męczy się przez parę godzin. Wice-król, wysłuchawszy całej perory, bardzo zadowolony, widocznie przekonany, prosi o pożyczanie owego planu na krótki przeciąg czasu. Konsul uszczęśliwiony daje plan, w przekonaniu, że wygrał partyę. Ale jakież było jego przerażenie, gdy w dwa dni potem się dowiedział, że wice-król wydał rozkaz, tym razem natychmiast wykonany, żeby zatopiono na wszystkich głębszych punktach, jak również wzdłuż owej baryery, kilkaset wielkich łodzi, napełnionych ogromnemi głazami. Tą razą zamknięcie było *bombenfest!* Konsula natychmiast odwołano.

Wampoa samo nic nader ciekawego; znowu fortyfikacye, przystań, statki parowe, tysiące łodzi i czółen chińskich; na wybrzeżu zdala widoczne dwie wieże, wyglądające jak wieże pagód, każda o 9-ciu piętrach, z mnóstwem okien i okienek, wszystko otwarte. Są to „wieże wiatrów szczęścia“ — tak tłumaczą mi. Chińczycy mają wiele przesądów; najbardziej zakorzeniony, to wiara w „wiatr szczęścia“, każdy śmiertelny ma swój wiatr specjalny; dopóki go umie chwycić i stosownie kierować, dopóty szczęście i pomyślność go nie opuszcza. W ścisłym związku z tym wiatrem stoi i wybór miejsca mieszkania i t. d. Otóż

wieże owe, to zbiorniki „wiatru szczęścia“, mające go zarazem kierować ku miastu. — Z Wampoa jeszcze mała godzinka i jesteśmy w Kantonie. Pierwsze wrażenie — żadne; żadnych budowli zdala oko zajmujących; jedyna katedra katolicka dominuje nad całym miastem, daj Boże, by w istocie niebawem w moralnem sensie tak było! Na debarkaderze zwykły rumor, bieganina, krzyk, zamieszanie: 1000 Chińczyków, z których każdy albo coś mówi, albo uśmiechając się krzyczy, pcha się, popycha czy wsiada czy wysiada, a zawsze się spieszy. Chmara *coolis'ów* rzuca się na nasze rzeczy; powstrzymuje ich powaga dwóch Chińczyków ozdobniej ubranych; są to jakby kawasi konsula angielskiego mstr. Alabaster'a. Po chwili prezentuje mi kapitan małą, przystarą, nieco krzywą w ramionach i nogach figurkę, ze słabym, niegdyś rudym zarostem i ogromną powagą; biały kolosalny cylinder na głowie. Był to sam mstr. Alabaster, konsul angielski, *chargé des intérêts de l'Autriche-Hongrie*, przyszedł ministra witac. Minister nieco tępo słyszy, wrzask wkoło nas niesłychany. Mstr. Alabaster miał przed paru laty fatalny wypadek, który przypłacił postradaniem kilku przednich zębów; w dodatku, jako szanujący się syn Albionu, mówi cicho i niewyraźnie z natury — rezultat: nie rozumieją się zupełnie, wszelkie wysiłki nadaremne. Jednak po chwili, nadrabiając mimiką, wyprawilem rzeczy nasze, a my ruszyliśmy, niesieni w palankinach.

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.



ZASADA ZACHOWANIA ENERGII

i jej zastosowanie w psychologii.

Psychologowie współcześni, którzy, jak to głoszone na zebraniu ogólnem VI. Zjazdu przyrodników i lekarzy w Krakowie, w dniu 20 lipca 1891 r., „zstąpili z wyżyn metafizycznych i terminują w pracowniach doświadczalnych i szpitalach, obserwują i badają zdrowych i chorych, dorosłych i dzieci, ludzi i zwierzęta, idą do matematyka, fizyka, biologa po naukę“, prawią powszechnie, że zasada fizyki nowoczesnej, tak zwana zasada zachowania energii, ma i w psychologii zastosowanie a nawet zasadnicze znaczenie, gdy mowa o naturze zjawisk uważanych za duchowe, o ich genezie, o ich stosunku do zjawisk materialnych, gdy mowa wreszcie o samejże duszy i jej stosunku do ciała. Co więcej! Na wspomnianej zasadzie oparto już nawet teorię, która uważa zjawiska duchowe za dalszy ciąg zjawisk fizyologicznych, a duszę samą, tylko za inną formę tej samej zasady, inną mowę tej samej treści, a jeszcze wyraźniej za jedną ze stron bytu cielesnego, czyli po prostu za funkcję ciała.

Wobec tego warto roztrząsnąć pytanie, czy rzeczywiście zasada zachowania energii ma zastosowanie w nauce o duszy i czy upoważnia do podobnych wniosków.

* * *

Dla utorowania sobie pewniejszej drogi, odpowiemy najpierw na pytanie, co fizyka rozumie przez prawo zachowania energii.

Nowoczesna chemia twierdzi, że materji nie można zniszczyć za pomocą żadnego ze znanych nam procesów. Twierdzenie to opiera się na licznych doświadczeniach. Nawet wtedy, gdy materia zdaje się zupełnie niknąć, chemia umie nam wyjaśnić to pozorne zniknięcie, a to w ten sposób, że wskazuje postacie, które przyjęła ta pozornie stracona materia. Powstawanie i znikanie materji oznacza tylko łączenie się lub oddzielanie atomów, które już poprzednio istniały, tylko że w odmiennych związkach. Twierdzenie to nazywa się przeto zasadą niezniszczalności materji.

Inna rzecz, czy materia jest bezwzględnie niezniszczalną. Wiedza doświadczalna nie może tego twierdzić, gdyż nie ma do tego naukowej podstawy.

Mając już to zapewnienie, że materia pomimo wszelkich zmian jest niezniszczalną, twierdzi dalej nauka doświadczalna, że i energia jest ilością stałą.

Ale co rozumiemy przez energję (*ἐνέργεια*)?

W zastosowaniu tylko do działań ludzkich oznacza energia „tę działalność ducha, objawiającą się w czynie, która nie tylko nie słabieje, ale ani na chwilę natężenia nie zwalnia“¹.

W fizyce atoli energia ma obszerniejsze znaczenie; oznacza mianowicie jakąkolwiek zdolność, albo, jak nasi fizycy mówią, dzielność do wykonania pewnej pracy. Używając tu wyrazu praca, abstrahujemy od moralnej cechy rzeczy zrobionej. Fizyk bowiem sprowadza do jednego ogólnego wyrazu zarówno ilość pracy wykonanej przy przebicciu deski, jak i ilość pracy wykonanej przy przebicciu ciała ludzkiego.

„Energję“ wprowadzono do fizyki niedawno na miejsce „siły“, a to w tym celu, aby uniknąć nieporozumienia, do którego „siły żywe“ i „siły napięcia“ często były powodem.

Energja (siła) pojawia się w przyrodzie w przeróżnych postaciach, a mianowicie: jako światło, ciepło, głos, elektryczność, magnetyzm, spójność, chemiczne powinowactwo, sprężystość.

¹ „Słownik synonimów polskich“, przez B. A. Krasińskiego, t. 1. str. 365, s. v. e.

ciążenie i t. d. Wszystkie te zjawiska, uważane same w sobie, przedmiotowo, a nie w odniesieniu do podmiotu, który widzi, czuje, słyszy i t. d., sprowadza fizyka nowożytna do wielkiej jedności, a mianowicie do pojęcia ruchu, który może się objawiać trojako: jako ruch mas, ruch drobin i ruch eteru. To mechaniczne pojęcie sił przyrody, nie wyłączając i siły ciężkości, rozwinął i uzasadnił O. Secchi w dziele p. t.: „Jedność sił przyrody“. Krótkie zestawienie tych obszernych wywodów znajdujemy w dziełku tegoż autora p. t.: „Wielkość stworzenia“¹. Tak tam czytamy: „Przemiana sił przyrody w stałe i określone wartości była wielkiem dziełem żyjącej generacji, albowiem zdarła zasłonę, która pokrywała dotąd nieskończoną ilość związków między zjawiskami przyrody. Przekonano się, że jedna siła nie może przechodzić w drugą, jeżeli obydwie nie są pokrewnymi postaciami zjawisk tej samej zasady. Ruch mechaniczny dał się przeobrazić w ciepło i światło i odwrotnie, — mieliśmy więc do czynienia z ruchami. Ciepło przekształciło się w elektryczność i magnetyzm, a więc i te dwie siły nie były niczem innem, jak ruchem. Procesy chemiczne, które były równocześnie źródłem ciepła, ruchu, elektryczności, magnetyzmu i światła, głośno przemawiały za tem, że są tylko gwałtownem, chwilowem naruszeniem równowagi w tem, co stanowi istotę ciała; także i one dały się sprowadzić do ruchu. Co więcej! Nawet ciężenie, owa tajemnicza siła, która rządzi wszechświatem, pokazała się w zjawiskach elektryczności i magnetyzmu jako stan dynamicznego napięcia rozpościerającego się wszędzie środowiska, a przeto i ona podlega tej samej zasadzie“. Skoro zaś nauka sprowadza siły (energie) przyrody do pojęcia ruchu, więc naturalna rzecz, że dla fizyka: energia i ruch są pojęciami równoznacznymi, że więc zachowanie energii znaczy tyle, co zachowanie ruchów. Jakoż niektórzy autorowie wolą nawet mówić o zachowaniu ruchów, zamiast o zachowaniu energii.

¹ *Die Einheit der Naturkräfte*. Deutsch von Schulze. 2 Bde. Leipzig 1875—1876. 2 Aufl. Ebda 1884.

Grösse der Schöpfung. Zwei Vorträge, üb. von Güttler. Leipzig 1883. S. 12 ff.

Nie wchodzimy w to, czy rzeczywiście siły natury dadzą się sprowadzić do pojęcia ruchu, ale to chcemy zaznaczyć, że nawet i wtedy, gdyby ruch nie stanowił istoty energii (siły), ale był tylko jej skutkiem, że nawet i wtedy, mówiąc o zachowaniu energii, trzeba mieć na myśli zachowanie ruchów!

Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że energia, jak ją określiliśmy poprzednio, jest wielkością, wartością nieoznaczoną, nie dającą się bezpośrednio obserwować, a przeto nie może wchodzić w rachubę. Więc gdy potrzeba zjawiska objaśniać naukowo, za pomocą ilości znanych, oznaczonych, energię, która jest wielkością nieoznaczoną, zastąpić trzeba jej skutkiem, to jest ruchem. A czy jesteśmy upoważnieni do tej substytucyi? Zapewne. Z jakości skutku nie możemy wprowadzić wnioskować o jakości przyczyny, a przynajmniej nie zawsze, ale to pewna, że między skutkiem a przyczyną istnieje stosunek równości ilościowej. Wielkość skutku jest pewną miarą siły, o ile ona w tym skutku się ujawniła. Właśnie też dlatego określamy siły przez ich skutki, a nawet skutki nazywamy wprost siłami¹.

Powtórę, zastępujemy energię (siłę) ruchem dlatego, że ruch wykonywając pracę, występuje sam jako przyczyna ruchu czyli siła i to już oznaczonej wielkości. W tym razie ruch jest wprowadzić skutkiem siły, ale jest i siłą samą. Owszem, jeśli mamy mówić językiem przyrodnika, ruch jest jedyną siłą w przyrodzie. Każdy bowiem ruch, wzięty w najobszerniejszym znaczeniu, nie tylko jako zmiana miejsca (*κίνησις κατὰ τόπον*), ale także jako zmiana co do ilości (*κ. τοῦ ποσού*, *motus augmenti et decrementi*) i jakości (*κ. τοῦ ποιοῦ*, *alteratio*) rzeczy, ma za poprzednik inny ruch i t. d., i t. d.².

¹ Prof. Dr. Gutberlet, *Das Gesetz von der Erhaltung der Kraft und seine Beziehungen zur Metaphysik*. Münster 1882. S. 37: „Daher ist es etwas ganz Gewöhnliches, die Kräfte durch ihre Wirkungen zu definiren, wie: das Licht ist eine Kraft, die Körper sichtbar zu machen, die Wärme eine Kraft, die Körper auszudehnen und sonstige Veränderungen zu bewirken; ja man nennt die Wirkungen selbst Kraft, wie wenn man sagt: die Scherkraft = 9 Meter, d. h. sie gibt einem frei fallenden Körper eine Geschwindigkeit von 9 Mtrn. in der Sekunde u. s. w.“

² Gutberlet o. c. S. 126: „Will man aber statt der mysteriösen Kräfte,

Czy ten łańcuch takiej przyczynowości może się ciągnąć w nieskończoność, to inna rzecz. Metafizycy, poczynawszy od Arystotelesa¹, przyjmują istnienie pierwszego motora nieruchomego (*πρῶτον κινῶν ἀκίνητον*, *primum movens immobile*), a fizycy nie mogą tego przeczyć, gdyż to wychodzi poza granice wiedzy doświadczalnej.

Jakkolwiek różne są postacie energii, to przecież można je sprowadzić do dwóch tylko typów, a mianowicie do energii ruchu (energia kinetyczna) i energii położenia (en. statyczna), albo, jak chcą niektórzy autorowie, do energii zależnej od ruchu rzeczywistego (*impetus*, en. rzeczywista, aktualna), i energii zależnej od ruchu „utajonego“ czyli możliwego (*nisus ad motum*, en. możliwa, potencjalna) to jest takiego, który wskutek jakiejś przeszkody został wstrzymany i po usunięciu przeszkody znowu się poczyną. Zbyt są znane przykłady obydwóch rodzajów energii, byśmy je tu mieli podawać.

Tyle o samej energii; a teraz o jej zachowaniu.

Licznymi doświadczeniami stwierdzono: 1) że energia rzeczywista przechodzi w energię potencjalną, i na odwrót energia potencjalna w energię rzeczywistą tej samej postaci. Za przykład może posłużyć wahadło, kamień rzucony w górę, obrót ciał niebieskich i t. p. Wahadło, skoro się znajdzie w najniższym punkcie swojej drogi, posiada wyłącznie tylko energię ruchu rzeczywistego, gdy zaś znajdzie się w punkcie najwyższym, posiada wtedy wyłącznie energię położenia; nim zaś odbędzie drogę z punktu najniższego do najwyższego i odwrotnie, wykonywa

welche die unerklärten Erscheinungen nur mit anderen Worten wiederholen und höchstens eine Gesetzmässigkeit, aber keine Ursache an die Hand geben, fassbare Begriffe haben, so muss die Bewegung und ihre verschiedenen Formen und Intensitäten als alleintreibende Kraft in der Naturerklärung angesehen werden, wie auch nur unter dieser Voraussetzung das Gesetz von der Erhaltung und Umformung der Kraft verstanden und begründet werden kann“. S. 3: „Die Geschwindigkeit, welche ein Körper als Wirkung einer Kraft besitzt, kann wieder dieselbe auch in einem anderen erzeugen, sie ist selbst wieder Kraft, die ihrer Stärke nach durch jene Zahlen bestimmt ist“.

¹ *Met.* XI, 9; XII, 6. *Phys.* VIII, 6.

stopniowo wymianę tych energij: na jednej traci, na drugiej zyskuje. Kamień rzucony w górę zużywa energię aktualną rzutu a gromadzi energię potencjalną: gdy osiągnął najwyższą wysokość, aktualna jego energia równa się zeru, a potencjalna wynosi *maximum*; gdy znowu pocznie spadać, to energia potencjalna przemienia się w aktualną. Droga, po której się ziemia nasza obraca koło słońca, jest elipsą. Słońce zajmuje jedno ognisko tej elipsy. Otóż pomyślmy sobie, że ziemia znajduje się w najodleglejszym punkcie swej drogi (*aphelium*): ruch jej przedstawia wtedy *minimum*, chociaż nie zero, to znaczy, że, jakkolwiek jest powolny, nie wyczerpuje się przecie zupełnie, nie ustaje. Ziemia porusza się dalej po swej orbicie i zbliża się do słońca; zasób energii możliwej przekształca się w aktualną, to znaczy, że ruch się zwiększa. Gdy ziemia znajdzie się w punkcie najbliższym słońca (*perihelium*), energia aktualna osiąga *maximum*, to znaczy, że ruch ziemi jest wtedy najszybszy. Gdy ziemia minie ten punkt przysłoneczny, znowu energia rzeczywista przechodzi w możliwą: ruch staje się powolniejszy. — „Przeznaczeniem wszelkich rodzajów energii położenia, jest ostateczna ich przemiana w energię ruchu. Pierwsza może być porównana z pieniędzmi leżącymi w banku lub z kapitałem, druga z pieniędzmi, które właśnie wydajemy. Tak samo jak pieniądze, które mamy złożone w banku, możemy stamtąd wyjąć i rozporządzić niemi jak potrzeba, podobnie w przypadku energii położenia, możemy jej użyć jak się nam podoba. Aby to jaśniej przedstawić, porównajmy młyn wodny, poruszany wodą, z wiatrakiem, poruszonym przez powietrze. W pierwszym razie możemy puścić wodę gdzie i kiedy jest to dla nas najodpowiedniejsze; w drugim, musimy wyczekiwać, aż wiatr wiać pocznie. Pierwszy ma całą niezależność bogatego człowieka, drugi zupełną powolność i posłuszeństwo biedaka. Posuwając analogię jeszcze dalej, widzimy, że wielki kapitalista, lub człowiek, który pozyskał wysokie stanowisko społeczne, jest dlatego w poważaniu, że ma na swoje rozporządzenie wielką ilość energii. Czy on będzie szlachcicem, czy panującym, czy też generałem głównodowodzącym, w każdym razie jest on potężnym tylko dlatego, że posiada coś

takiego, co daje mu możność spożytkowania usług innych ludzi. Gdy bogaty człowiek płaci robotnikowi za pracę wykonywaną dla siebie, wtedy w rzeczywistości przemienia on tylko pewną część swojej energii położenia na energię rzeczywistą, zupełnie tak samo jak młynarz, który wypuszcza część wody ze swojego stawu, aby za pomocą niej wykonać pewną robotę¹.

2) Stwierdzono, że energia aktualna jednej postaci może się przekształcić w energię aktualną lub potencjalną innej postaci i odwrotnie. Objasnimy to kilku przykładami. Zdaje się na pierwszy rzut oka, że uderzenie lub tarcie niszczy energię rzeczywistą. Tak np. gdy młot uderza o kowadło, kula armatnia w tarczę żelazną, gdy koła pociągu zostają zahamowane, mógłby kto mniemać, że energia ich znikła. Jednak to znikanie energii jest tylko pozorne. „Skoro tylko gdziekolwiek i w jakikolwiek bądź sposób widzialna energia zostaje zniszczona, tam zawsze na jaw występuje ciepło! Tak np. kawał ołowiu położony na kowadło, może być do wysokiego stopnia rozgrzany przez ciągłe uderzanie młotem. Uderzenie kamienia o stal wydaje ciepło, a bardzo szybko poruszająca się kula armatnia może być nawet rozgrzana do czerwoności przez uderzenie o żelazną tarczę. Co się zaś tyczy tarcia, to wiemy dobrze, że podczas ciemnej nocy iskry sypią się z hamulca, gdy tenże zatrzymuje pociąg kolei żelaznej... Nareszcie i żak szkolny wie, że guzik metalowy, pocierany o pulpit, rozgrzewa się zawsze i nawet nieraz tym sposobem płata figla swojemu sąsiadowi, przykładając mu do ręki tak potarty guzik“². Nie wiedział jednak o tem — jak mniema Tyndall — Jozue, kiedy kazał słońcu stanąć i nie poruszać się. W rzeczy samej straszna katastrofa nastąpiłaby, gdyby się ziemia z naturalnej przyczyny nagle zatrzymała. Ziemia mianowicie porusza się z ogromną chyżością: 4 mile na sekundę; otóż energia jej przedstawia taką ilość, która może wytworzyć temperaturę 112.000°. Gdyby więc ziemia miała się nagle zatrzymać, w takim razie jej ruch widzialny przekształciłby

¹ Balfour Stewart, „Zasada zachowania energii“, tłum. z ang. Wł. Kwietniewski. Warszawa 1875, str. 30.

² Balfour Stewart, l. c., str. 43, § 48.

się w ciepło, skutkiem czego ziemia musiałaby się stopić albo nawet w parę rozwiać! Przez co się to dzieje ta przemiana ruchu widzialnego w ciepło? Ciało będące w ruchu, natrafiając na inne będące w spoczynku, lub też poruszające się wolniej albo ze strony przeciwnej nadbiegające, a nie mogąc poruszyć całej jego masy, drobinom jego udziela część swego ruchu, a tak dzieje się, że ruch mas wywołuje ruch drobinowy, któremu odpowiada subiektywne czucie ciepła. Na odwrót ciepło da się przekształcić w ruch widzialny mas. Proces ten odbywa się codziennie w maszynach parowych. — Inny przykład. Prąd elektryczny wykonywa rozmałą pracę. I tak: drut, przez który płynie, rozgrzewa; wodę, w której są zanurzone jego bieguny, rozkłada; żelazo, które okraża, magnetyzuje, a znowu wprawiając w ruch eter i powietrze, wywołuje zjawiska światła i głosu. A więc energia elektryczna może być zamienioną na: ciepło, światło, głos, magnetyzm i t. d. Gdybyśmy te poszczególne skutki zebrali, zesumowali, otrzymalibyśmy pierwotną energię prądu elektrycznego.

Na przemianie energii polega tedy działanie machin. „Widzimy, że świat machin nie jest fabryką, w której się tworzy energia, ale raczej jest on targiem, na który możemy przynieść energię jednego rodzaju i wymienić ją na równoważną ilość energii innego rodzaju, lepiej odpowiadającego naszym celom; ale jeżeli udamy się na ten targ, nie mając nic w rękach, możemy być najzupełniej pewni, że i z niczem z niego powrócimy“¹.

3) Stwierdzono, że ta przemiana energii odbywa się w ściśle oznaczonym stosunku. Za pomocą licznych doświadczeń wykazano (Mayer, Joule), że równoważnik jednostki ciepła równa się 424(5) kilogrametrom, to znaczy, że ciepło potrzebne do podniesienia temperatury jednego kilogramu wody o jeden stopień Celsjusza, wystarczyłoby na podniesienie jednego kilogramu na 424(5) metrów wysokości, albo 424(5) kilogramów na jeden metr wysokości. Uogólniając ten rezultat przyjmuje się, że równoważność zachodzi przy przekształcaniu się wszystkich rodzajów

¹ Balfour Stewart, l. c., str. 39.

energii. Oznaczyć tę równoważność dla wszystkich energii wedle jednej wspólnej miary, to zadanie fizyki w przyszłości.

Z poczynionych doświadczeń wysnuto wnioski, że żadna energia w świecie nie ginie, ale gdy się zdaje ginać, tylko inną postać przyjmuje; że też żadna z niczego (*de novo*) nie powstaje, ale jest tylko nową postacią istniejącej już energii; że nadto przemiana ta dokonywa się bez najmniejszej zmiany ogólnego zasobu energii w świecie. Te wnioski ujęto w zasadę, która tak opiewa: suma energii (ruchów) aktualnych i potencjalnych jest ilością stałą. Algebraicznie tak to wyrazimy: $A + P = C$. A oznacza nam sumę energii aktualnych: $a + b + c + d + \dots$; P oznacza sumę energii potencjalnych: $g + h + i + m + \dots + z$. Podstawmy za A i P szczególne wartości, a otrzymamy równanie: $(a + b + c + d + \dots) + (g + h + i + m + \dots + z) = C$. Owoż równanie to nie orzeka, że pojedyncze człony części pierwszej, każdy dla siebie, są ilościami stałymi, że więc i A i P nie ulegają zmianie, ale to tylko, że jakkolwiekby się wartości grup A i P zmieniały, to przecież suma ich C zawsze pozostanie jednakową, a to dlatego, że co traci A, to P zyskuje i na odwrót. Tak więc przyroda rozporządza ograniczonym i stałym zasobem energii. Gospodarstwo jej polega tylko na najprzeróżniejszych kombinacjach i zamianach energii (*Maskieren und Demaskieren*), czy to stosownie do ogólnego planu stworzenia, czy to stosownie do potrzeb i woli człowieka. „Energia jest podobna do owych wschodnich czarnoksiężników, o których czytamy, że mieli władzę przemieniania się w tysiączne postacie, a którzy z tem wszystkiem bardzo pilnie wystrzegali się zniknąć w zupełności”¹.

* * *

Wyłożywszy w ten sposób zasadę zachowania energii i wspomniawszy cośkolwiek o jej zastosowaniu w fizyce, bo mówić obszernie, znaczyłoby to: wyklądać całą naukę fizyki, przechodzimy teraz do pytania, czy ma ona zastosowanie i w fi-

¹ Balfour Stewart, l. c., str. 43.

zyologii. Na pytanie to odpowiadamy krótko. Nauka fizyologii — przynajmniej jak w obecnym stanie — sprowadza wszystkie zjawiska życia organicznego do fizyki. Wykazuje mianowicie, że wszystkie procesy życiowe dokonywają się za pomocą sił fizycznych i według praw fizyki. Organizm ludzki i zwierzęcy otrzymuje energię w pokarmach. A skądże znowu bierze się ona w roślinie? Wytwarza ją słońce przez światło i ciepło. Utlenienie pokarmu w organizmie wytwarza ciepło, a ono znowu jest źródłem pracy mechanicznej, którą organizm wykonywa. Robotnik ciężko pracujący wie, jaki zachodzi stosunek między siłą jego muszkułów a energią, jakiej mu dostarczyć ma pożywienie. Praca mechaniczna jest tylko równoważnem zużyciem ciepła wewnętrznego. Umysł niezapoznany z nową nauką powie: chcę i ramię moje się podnosi, stwarzam ruch, któryby nie istniał bez działania mej woli; lecz dla nauki współczesnej ruch mego ramienia może tylko przedstawiać część siły, którą otrzymałem przez pokarm, oddychanie i działanie słońca. Posłuchajmy w tym względzie samego fizjologa¹. „Następuje się obecnie pytanie, jak się też rzeczy mają z siłami i ruchami, które napotykamy w procesie życiowym organizmów. Widzieliśmy, że roślina bezustannie czerpie dwutlenek węgla i wodę, że ze związków tych odszczepia tlen i tworzy przez to związki mniej w tlen obfitujące, które silne posiadają powinowactwo do tlenu. W roślinie przeto nagromadzony jest wielki zapas energii chemicznej. Przez spalenie rośliny, przez połączenie z oderwanym od niej poprzednio tlenem, możemy tę energię chemiczną znów zamienić na ciepło, a ciepło to za pośrednictwem maszyn parowych na pracę mechaniczną. Cóż, pytamy, jest źródłem tej siły chemicznej? Wszak z niczego ona powstać nie mogła. Energia jest wieczną(?), niezniszczalną. A wraz z pokarmem nie dostarczyliśmy roślinie energii napięcia chemicznego. Dwutlenek węgla i woda są związkami nasyconemi, nie mogą one wytworzyć ruchu zupełnie tak samo, jak ruchu nie może wytworzyć kamień spoczywający na

¹ Bunge, „Wykład chemii fizyologicznej i patologicznej“. Warszawa 1889, str. 29—34.

ziemi. Dopiero gdy wskutek zużycia siły żywej kamień został podniesiony, może on upaść; i tak samo, wówczas dopiero, gdy wskutek siły żywej tlen został odszczepiony od węgla i wodoru w roślinie, w tej ostatniej może powstać energia chemiczna, dająca się przekształcić na światło, ciepło i pracę mechaniczną. Siła zaś, która wykonała odszczepienie tlenu w roślinie, znów nie może być czem innem, jak światłem słonecznem. Wiemy, iż póty tylko roślina wydziela tlen, póki padają na nią promienie słońca, i że ilość wydzielonego tlenu wzrasta i maleje proporcjonalnie do natężenia światła. Proporcjonalność ta została dowiedziona przez Wolkoff'a ¹... Nie ulega przeto wątpliwości, że wszelkie siły napięcia, złożone w ciałach roślinnych, są przekształconem światłem słonecznem... Ciała, wytworzone przez roślinę, służą za pokarm zwierzęciu. Tlen, który w roślinie został uwolniony z wody i dwutlenku węgla, dzięki sile żywej światła słonecznego, łączy się znów w ciele zwierzęcem z wytworzonymi w ten sposób związkami ubogiemu w tlen, i jako ostateczne produkty znów wydzielonemi zostają dwutlenek węgla i woda, czyli te same proste ciała, które służą za pokarm roślinie. Chemiczne siły napięcia, złożone w pokarmie, zostały więc zużyte. Ponieważ jednak energia zniszczoną być nie może, powinniśmy przeto oczekiwać wystąpienia równoważnej ilości innej postaci energii w ciele zwierzęcem. W samej rzeczy wiadomo, że przedewszystkiem wszystkie zwierzęta posiadają temperaturę wyższą od temperatury swego otoczenia, że zatem ustawicznie wytwarzają ciepło, i powtóre, że wykonywają ruchy, pracują. Wynika z tego, że suma wykonanej przez zwierzę pracy i wydzielonego przez nie ciepła, musi być ściśle równoważną sumie pobranej wraz z pokarmem energii chemicznej i zużytej dla wytworzenia tej energii siły żywej światła słonecznego. Trudności, napotykanne przy dokładnem doświadczalnem wykazaniu tej równoważności, są olbrzymie. Bezpośrednie wszakże próby w dotychczas osiągniętych granicach dokładności pouczają, że w rzeczywistości równoważność taka istnieje, że suma wytwor-

¹ Al. v. Wolkoff, *Jahrbuch für wiss. Botanik*. 1866. B. v. S. 1 ff.

rzanego przez zwierzę ciepła i pracy, wyrażonej w jednostkach ciepła, równa się tej ilości ciepła, jaką wytwarza pokarm zwierzęcia spalony na zewnątrz organizmu... Dotychczas osiągnięte rezultaty najzupełniej przekonują nas, że prawo zachowania energii całkowicie daje się stosować i w dziedzinie życia zwierzęcego.

„Ciepło ciała naszego, ruchy, wszystkie nasze czynności, o tyle, o ile są dostępne dla naszych zmysłów, wszystko to jest tylko przekształconem światłem słonecznem“, należy do wielkiej jedności sił przyrody.

A teraz pytamy, jak się ma rzecz z życiem duchowem — czy i ono podlega ogólnemu prawu zachowania energii, które z taką nieubłaganą koniecznością rządzi światem materii zarówno martwej jak i ożywionej? Zdaje się, że tak. Przemawiają za tem następujące okoliczności:

1) Zjawiskom fizyologicznym towarzyszą nierozłącznie zjawiska duchowe i odwrotnie.

Ruch fizyczny, natrafiając na organa zmysłów, wywołuje ruch fizyologiczny; ten za pomocą nerwów udziela się mózgowi, a znowu „ruchowi drobin mózgowych i ich układów“ odpowiadają zjawiska takie, jak: wrażenie, wyobrażenie, uczucie, i t. d. Rzecz to powszechnie znana, że człowiek pozbawiony pewnego zmysłu nie doznaje wrażeń właściwych temu zmysłowi, a skutkiem tego nie ma i wyobrażenia przedmiotu, który na ten zmysł działa, chyba że tworzy je sobie analogicznie do wyobrażeń odpowiadających innym zmysłom. Co więcej: bez wyobrażenia zmysłowego niema właściwego pojęcia rzeczy, przeto też zasada jest filozofii: *nihil est in intellectu, quod prius non fuerit in sensu*.

Gdy organ zmysłowy dozna pewnego uszkodzenia, a wskutek tego nie ma wyobrażenia zmysłowego, tworzenie pojęć zostaje wstrzymane. Anormalnemu stanowi mózgu towarzyszy albo zupełna niezdolność do myślenia, albo co najmniej zboczenie umysłowe. „Tępa i nierozwinięta świadomość (jak u idyotów) stoi w związku z niedostatecznem odżywianiem i rozwojem mózgu. Wzrastającemu rozluźnieniu świadomości podczas choroby umysłowej

wej towarzyszy stopniowe zanikanie mózgowia, a zwłaszcza półkul mózgowych. Jeżeli podwiążemy arterye, prowadzące krew do mózgu, następuje stan nieprzytomności, a wreszcie i śmierci¹. I na odwrót zjawiskom duchowym odpowiadają ruchy ciała. Mniej lub więcej wszyscy ludzie posługują się ruchami do wyrażenia swych myśli i uczuć. Radość objawia się: śmiechem czy uśmiechem; smutek: płaczem; wstyd: rumieńcem; w gniewie zaciskają się pięści a ramiona podnoszą się jakby do walki; oko układa się odpowiednio do afektu, a znowu od układu oka zależy układ czoła, z którego czytamy: głębokość myśli, troskę, gniew i t. p. Te charakterystyczne wyrazy myśli i uczuć nie są niczem innem, tylko ruchem organów ciała. „Wszystkie zjawiska duchowe objawiają się przez ruch. W jaki sposób udzielają sobie ludzie swych wrażeń, myśli i chęci? Trzy tylko na to mają środki: giest, słowo i wejrzenie. Giest jest ruchem członków, słowo ruchem organów głosowych udzielającym się otaczającemu powietrzu; a czem jest wejrzenie, którego potęga jest niekiedy tak wielka? Cóż się dzieje między okiem, które patrzy, a drugim okiem, które w tym wzroku instynktowo czyta litość, gniew, pychę lub pokorę, miłość lub nienawiść? Falowanie eteru, czyli znowu ruch. A więc przynajmniej w granicach zwyczajnych naszych doświadczeń, naukowo udowodnionych, dusze komunikują się między sobą tylko za pomocą materji“ w ruchu².

2) Między podrażnieniem zmysłowym a odpowiadającym mu czuciem istnieje pewna proporcya. Co prawda, to procesów psychologicznych nie możemy mierzyć bezpośrednio. Dlaczego nie? Dlatego, że, aby módz mierzyć jakąś wielkość, trzeba by pewną wielkość tego samego gatunku przyjąć za jednostkę, a to właśnie zrobić się tu nie da. Cóżby bowiem mogło służyć za taką jednostkę do mierzenia stanów duszy? Czucie o pewnem napięciu, które, co jest rzeczą niemożliwą, musiałoby niezmiennie trwać w naszej świadomości na to, byśmy je mogli na zawo-

¹ Dr. Harald Höffding, „Psychologia doświadczalna w zarysie“. „Psychologia ogólna“. (Spol. F. Daszyński). Warszawa 1890, str. 81.

² Naville, „O fizyce nowożytnej“. Kraków 1885, str. 186 n.

ianie reprodukowac i jako miary go używać! A choćby nawet i to stać się mogło, to i w takim razie nie moglibyśmy obliczyć, ile takich jednostek zawiera w sobie uczucie, które chcemy zmierzyć, a nadto trzebaby chyba mieć osobną miarę dla czuć każdego zmysłu z osobna.

Atoli możemy mierzyć podniety zewnętrzne, o których wiemy, że są ruchami. Porównyując tedy uczucie pewnego zmysłu i pobudkę, która je wywołała, przekonujemy się, że im silniejsza podnieta, tem silniejsze uczucie. Zaznaczamy wszakże zaraz, że to nie jest prosta, zupełna proporcya! Natężenie bowiem uczucia nie wzrasta ani nie maleje w równej mierze z podrażnieniem, ale znacznie wolniej, a mianowicie tak, że, gdy podniety wzrastają w postępie geometrycznym, jak np. 10, 100, 1000, 10000 i t. d., czyli 10 , 10^2 , 10^3 , 10^4 ..., to natężenie uczucia wzrasta w postępie arytmetycznym, jak 1, 2, 3, 4..., oczywiście w granicach wrażliwości. Inaczej wyrażają to prawo tak: gdy podniety wzrastają jak liczby naturalne, to uczucie wzrasta jak logarytmy tych liczb. (Liczby 1, 2, 3, 4, są logarytmami liczb: 10, 100, 1000, 10000, gdyż $10^1 = 10$, $10^2 = 100$ i t. d.). Rozumieć to prawo należy tak: gdy podnieta, którą oznaczymy sobie liczbą 10, wywołuje w nas uczucie $= 1$, to, aby natężenie uczucia stało się $= 2$, to znaczy dwa razy tak wielkie jak poprzednio, podnieta musiałaby wzrósć nie do 20, jakby się zdawać mogło, ale do 10^2 , to jest do 100; gdyby uczucie miało być trzy razy tak wielkie, podnieta powinna by wzrósć do $10^3 = 1000$ i t. d.; wogóle: im większa podnieta, która już działa, tem większy musi być jej przyrost, by go można zauważyć. Potwierdza to codzienne doświadczenie. Im większy ciężar robotnik dźwiga, tem więcej trzeba mu przyczynić, by ten przybytek ciężaru uczul. Gdy na człowieka spadnie nieszczęście wielkie, o ileż większego potrzeba, by je mógł odczuć? Gdy ubogiemu mało potrzeba do szczęścia, to bogacz, zażywający rozkoszy, by mógł doznać podobnego uczucia, potrzebuje chyba jakiejś niezwyklej, nienaturalnej rozrywki!

Nadto spostrzeżono, że przyrosty czuć są sobie równe, jeżeli stosunek podmiotów pozostaje jednakowy. A więc przyrost pod-

niety od 1—10, spowoduje ten sam skutek, ten sam przyrost czucia, co podnieta od 10—100, od 100—1000 i t. d., gdyż stosunki $\frac{1}{10}$, $\frac{10}{100}$, $\frac{100}{1000}$ są sobie równe¹.

3) Gdy porównamy funkcyę systemu nerwowego z czynnościami świadomości naszej, znajdziemy wiele równoległych i odpowiadających sobie znamion. I tak: Znaczenie systemu nerwowego polega na tem, iż jako organ centralny, pośredniczy między rozmaitemi częściami organizmu, kieruje ich funkcyami i utrzymuje harmonię wewnętrzną organizmu ze światem zewnętrznym. — To samo zadanie spełnia świadomość w sposób sobie właściwy. Ona łączy pojedyncze pierwiastki i sprawia, że w ten sposób przedstawiają się jako należące do jednego podmiotu. Widzimy w niej skupienie zasobu naszych doświadczeń; widzimy wreszcie odpowiedź na zmianę warunków życia, przejawiającą się rytmicznie w następujących po sobie stanach zadowolenia i przykrości. — Warunkiem funkcyi w systemie nerwowym jest stan nierównowagi, spowodowany podrażnieniem wyzwalającym energię we włóknach i ośrodkach nerwowych. — Warunkiem powstawania „pierwiastków świadomości“ i ich wzajemnego oddziaływania jest również naruszanie równowagi w jej treści, obudzanie uwagi wskutek przejścia z jednego stanu do drugiego, przeciwnego. — Stosunek psychologiczny między wyobrażeniem a przypominaniem, znajduje fizyologiczną paralełę w stosunku pobudzenia centralnych organów nerwowych a wzajemnego ich oddziaływania. Działanie iskry na proch jest najodpowiedniejszym obrazem procesów, jakie tu zachodzą.

Proces nerwowy wymaga pewnego czasu, którego mierzeniem zajmują się fizyologowie; podobnież wymaga czasu powstawanie czuć i wyobrażeń. Ruch po włóknach nerwowych szybciej się rozszerza, aniżeli w centrach, a zwłaszcza centralne funkcyę nerwowe (funkcyę „psychofizyczne“), z którymi działanie świadomości zdaje się być związane, potrzebują więcej czasu, aniżeli czynności czysto fizyologiczne. — Zgadza się to z faktem, że im głębiej się zastanawiamy, tem powolniejsza jest nasza

¹ Dr. C. Guttherlet, *Die Psychologie*. Münster 1881. str. 31—35.

działalność, że ruchy nieświadome wykonywamy najszybciej. Kiedy dziecko, ucząc się czytać, przypatruje się dokładnie każdej literze i zwraca szczególniejszą uwagę na wymówienie głoski, czytanie to odbywa się powoli; ale kiedy po częstem powtarzaniu i ćwiczeniu zapomni o kształcie liter i charakterze dźwięków, czytanie pójdzie prędko. — MoŜnaby w systemie nerwowym i świadomości wynaleść jeszcze więcej takich znamion, odpowiadających sobie, ale już to, cośmy powiedzieli, wystarczy na usprawiedliwienie zdania, że forma i sposób funkcyonowania systemu nerwowego są najlepszem uzmysłowieniem (symbolem) duszy.

Otóż okoliczności te, że zjawiskom fizyologicznym towarzyszą nierozłącznie zjawiska duchowe i odwrotnie; że między podrażnieniem zmysłowem a odpowiadającym mu czuciem, istnieje pewna proporcya; że między czynnościami świadomości a funkcyami systemu nerwowego znachodzi się mnóstwo znamion równoległych — okoliczności te dowodzą, że między zjawiskami fizyologicznymi a psychicznymi istnieje jakiś związek przyczynowy. Idzie teraz o to, aby zbadać, jakiego rodzaju jest ten związek, czy jest mianowicie tego rodzaju, jak wymaga prawo zachowania energii? A czegoż ono wymaga? Przypomnijmy sobie. Gdy pod uderzeniem młota żelazo się rozgrzewa, jakież tu zachodzi stosunek między skutkiem: ciepłem żelaza, a przyczyną: uderzeniem młota? Powiadamy, że ruch młota udziela się żelazu, tak, że ciepło żelaza nie jest niczem innem, jak tylko przeobrażonym ruchem młota, czyli inną postacią tej samej energii. A więc prawo zachowania energii orzeka, że skutek nie jest niczem innem, jak tylko przyczyną w zmienionej postaci.

Wiedząc to, pytamy tedy: czy i między zjawiskami fizyologicznymi a psychicznymi zachodzi związek przyczynowy właśnie tego rodzaju, że ruchy fizyologiczne przeobrażają się w myśl, a znowu chcenie — w ruch fizyologiczny pierwotnej postaci, tak, że proces duchowy jest tylko inną formą ruchu materyalnego, jak tego żąda prawo wymiany energii? Nie inaczej! odpowiadają chórem zwolennicy filozofii monistycznej, a wtórują im fizycy

i fizyologowie „filozoficznie wykształceni“. Jest to dla nich rzeczą oczywistą, że, skoro wyobrażenia, myśli, postanowienia są zjawiskami niepojętymi wprawdzie, ale koniecznie towarzyszącymi ruchom i układom drobin mózgowych, to także i tu odbywa się wymiana podniet zewnętrznych na akty psychiczne, i aktów woli na zjawiska ruchu. Rozumieją również dobrze i to, że nie może być mowy o wolności woli. Gdyby bowiem wola była wolna, w takim razie wkraczałaby dowolnie w proces przyrody: stwarzałaby nowe ruchy (*de nihilo*), a w ten sposób naruszałaby zasadę niezmienności energii¹. Herbert Spencer², udowodniwszy rzekomo, że wszelkie wrażenia, jakie otrzymują nasze narządy zmysłowe w każdej chwili, są w bezpośrednim związku z zewnętrznymi siłami fizycznymi (str. 189), że „prócz odpowiedniości i równoważności pomiędzy siłami fizycznymi zewnętrznymi a siłami umysłowymi, przez tamte w nas wywołanemi w postaci czuć, istnieje jeszcze odpowiedniość i równoważność pomiędzy czuciami i siłami fizycznymi, które są wytworem pierwszych w postaci czynności ciała“ (str. 190) — tak konkluduje: „tak więc różne dziedziny zjawisk łączą się tutaj, aby dowieść, iż prawo przeobrażeń, rządzące siłami fizycznymi, czynnem też jest w stosunkach ich do sił duchowych. Tryby Niepoznawalnego, zwane przez nas ruchem, ciepłem, światłem, powinowactwem chemicznem i t. d., dają się zarówno przeobrazić jeden w drugi, jak też i w takie tryby Niepoznawalnego, jakim nadajemy miano czucia, wzruszenia, myśli; te zaś z kolei na nowo przeobrażo-

¹ Lange, *Geschichte des Materialismus*, S. 279: „Mechanische Arbeit verschwindet im Gehirn und setzt sich in Geist um, sowie umgekehrt eine bestimmte Arbeitsgrösse aus blossen Geist entsteht“.

E. du Bois-Reymond: *Über die Grenzen des Naturerkennens. Die sieben Welträthsel*. Zwei Vorträge. Leipzig 1884. Seite 89: „Wenn nun, wie der Monismus es sich denkt, unsere Vorstellungen und Strebungen, also auch unsere Willensacte, zwar unbegreifliche, doch nothwendige und eindeutige Begleiterscheinungen und Bewegungen und Umlagerungen unserer Hirnmolekeln sind, so leuchtet ein, dass es keine Willensfreiheit giebt; dem Monismus ist die Welt ein Mechanismus und in einem Mechanismus ist kein Platz für Willensfreiheit“.

² „Systemat filozofii syntetycznej“. Pierwsze zasady. Tłum. I. K. Potocki z 5 wyd. ang. Warszawa 1888.

nemi być mogą w swą postać pierwotną. Że żadne wyobrażenie lub uczucie nie powstaje inaczej, jak tylko jako wynik pewnych sił fizycznych, zużytych na jego wytworzenie, — to stało się ogólnikiem naukowym; ktokolwiek też zdolnym jest należycie ocenić oczywistość, ten zrozumie, że jedna tylko przyczyna wytłumaczyć nam może fakt nieuznawania owej prawdy: przyczyną tą jest urok z góry powziętej teorii. W jaki sposób odbywa się owo przeobrażenie, jak pewna siła, istniejąca jako ruch, ciepło lub światło, może stać się trybem świadomości, w jaki sposób możliwem się staje, że drgania powietrzne spowodowują uczucie, zwane przez nas dźwiękiem, albo, że siły, wywiązujące się za sprawą zmian chemicznych w naszym mózgu, dają początek wzruszeniu, — wszystko to są tajemnice niezgłębione. Tajemnice te nie są jednak głębsze, niż przeobrażenie się sił jednych w drugie; nie wymykają się one w sposób bardziej bezwzględny naszemu pojmowaniu rzeczy, niż przyroda ducha i materii. Posiadają zaś po prostu ten sam stopień nierozwiązalności, co i wszystkie inne zagadnienia ostateczne“ (str. 193).

Jak się więc dzieje, że działalność materyalna przemienia się w duchową, trudno pojąć, ale to nie powinno nikogo odstraszać, bo w gruncie rzeczy każda przemiana siły jest dla nas niezrozumiałą. A gdybyśmy też spróbowali zedrzyć zasłonę z tej tajemniczej przemiany, jakżeż się nam przedstawi? Co ona właściwie znaczy? Jużśmy poprzednio napomknęli, a teraz jaśniej przedstawiamy. Twierdzić, że energia fizyczna przeobraża się w psychiczną, znaczy: myśl i ruch sprowadzać do wspólnego mianownika. Cóż zaś może być taką wspólną miarą dla obu szeregów zjawisk? Mianownikiem może być tylko ruch, uważany jako rodzaj (*genus*), a jeśli myśl ma być doń sprowadzoną, to musi być pojmowana jako gatunek (*species*) ruchu! Dlaczego tak? Dlatego, że ruch ulega wprawdzie co chwila najprzeróżniejszym modyfikacyom, już to wskutek napotkanego oporu, już to wskutek zbiegu rozmaitych sił, ale w tych przemianach nie przestaje przecie ani na chwilę być ruchem i tylko ruchem. Gdy mówimy o przekształcaniu się ruchów, zauważyć trzeba, że przemiana

kształtu nie jest jeszcze przemianą istoty. Gdy mówimy, że ruch przeobraża się w czucie i w myśl, powiadamy, że myśl jest pewnym kształtem ruchu, a wskutek tego, że jest ruchem. Wyraz transformacya znaczy przeto tyle, co wyraz tożsamość.

Że tak rzeczywiście rozumieć trzeba to przekształcanie się ruchów w zjawiska psychiczne, upewnia nas H. de Parville, podczas gdy wielu innych, czy to nie mając odwagi, czy to nie uważając za stosowne wyprowadzać ostatecznego wniosku, prawi nam za Spencerem „o tajemniczej przemianie“ albo też odzywa się skromnie, że „zasada zachowania energii wymaga tylko tego, aby na miejsce energii, która zniknęła, wystąpiła inna w odpowiedniej ilości jako równoważnik, czy jednak równoważnik ten będzie fizycznej, czy psychicznej natury, zasada utrzymuje się w obu wypadkach“. Według Parville'a doświadczenia zrobione przy pomocy pletysmografu¹ potwierdzają to zdanie, że „i czyn-

¹ Tak się nazywa przyrząd, który doktor Mosso w Turynie sporządził w tym celu, aby obserwować zmiany w przyplywie krwi do tętnicy przedramienia i graficznie je przedstawić. Części składowe tego aparatu są następujące: 1) naczynie walcowate z mosiądzu albo miedzi, wypełnione wodą albo inną cieczą; 2) rurka kauczukowa, która jednym końcem przypiera do otworu w ścianie naczynia (1), a na drugim ma 3) delikatny mieśzek albo raczej puszkę wypełnioną powietrzem, którą u góry zamyka szczelnie rozpięta błona kauczukowa. Do błony przytwierdza się 4) dosyć długi sztyfcik, którego drugi koniec, bardzo delikatny, ma służyć do pisania na powierzchni 5) walca poruszanego za pomocą przyrządu zegarowego. Powierzchnia walca pokryta jest cieniutką warstewką mieszaniny sadzy i wosku, a to dlatego, by każde poruszenie sztyfcika widocznie się zaznaczało.

Doświadczenie z pletysmografem odbywa się w ten sposób, że zanurzwszy rękę w naczyniu, zamyka się szczelnie otwór pomiędzy ścianami naczynia a ramieniem za pomocą kauczukowej obwiązki i obserwuje się przyrząd piszący. Każda zmiana w przyplywie krwi do przedramienia wpływa zarazem na zmianę objętości zanurzonego ramienia. Gdy w danej chwili przyływ krwi do tętnicy się zwiększy, natenczas i objętość ramienia się zwiększa i wypiera pewną ilość cieczy z naczynia do rurki kauczukowej: skutkiem tego powietrze w puszcze zagęszcza się i powoduje ruch błony na zewnątrz. Gdy znowu krwi mniej do ręki przybywa, dzieje się wszystko odwrotnie. Idzie więc o to, aby te ruchy błony zaznaczyć i w ten sposób zjawiska prędko przemijające uchwycić. Spełnia to zadanie przyrząd piszący, który w miarę podnoszenia się lub opadania błony podnosząc

ności duszy podlegają ogólnemu prawu, ... że każda myśl ludzka kosztuje wszechświat kilka promieni słonecznych, ... że myśl w najściślejszym znaczeniu jest równoważną przemianą oznaczonej wagi zjedzonego bifszyka lub kotleta, że po prostu jest czynnością mechaniczną, a mózg niczem innym, jak tylko maszyną zdumiewającej doskonałości, służącą do wymiany energii!"

Rzecz tedy oczywista, że przystosowywać do duszy zasadę zachowania energii, znaczy: zjawiska duchowe sprowadzać do prostego mechanizmu, a to znowu znaczy tyle, co burzyć zupełnie porządek duchowy. Czują to dobrze zwolennicy materialistycznego monizmu, to też nie dziwnego, że tak usilnie popierają zdanie, iż wspomniana zasada fizyczna ma i w psychologii zastosowanie. Tó tylko dziwna, że fizycy i fizyologowie „filozoficznie wykształceni“, którzy, jak powiadają, nie chcą wchodzić w przyjaźń z materializmem, przecież rozprawiają o przemianie ruchu na akty psychiczne, „o dwojakiej postaci tego samego faktu“, albo „o stronie subiektywnej i obiektywnej tego samego zjawiska“, o „wklęsłej i wypukłej stronie łuku“, a tak w gruncie nie innego jak tylko tezę materialistyczną popierają. Chcą oni „dwojaką postacią“ i t. d. wyrugować przestarzały już, jak mniemają, dualizm ducha i materii, a wszystkie zjawiska fizyczne i psychiczne sprowadzić do upragnionej jedności, i oto w rezultacie znachodzą: ... materię, która „jedną stroną: odbiera ruchy, a drugą: myśli, czuje i chce!“¹.

(C. d. n.).

Ks. Paweł Rawski.

się lub opadając, kreśli na powierzchni walca ciągłą linię krzywą. Pletysmograf ma być przyrządem tak czułym, że nie tylko tętno co do siły i liczby, ale nawet najlżejsze zmiany w krążeniu krwi jeszcze dość wyraźnie można za pomocą niego obserwować. Co więcej! Każde wrażenie, uczucie, każde napięcie umysłowe da się przy pomocy pletysmografu spostrzedz, albowiem każdej czynności psychicznej służyć ma za podstawę odpływ krwi z ciała do mózgu i zużycie energii.

Wogóle za pomocą pletysmografu, jak twierdzi Mosso, można się łatwo przekonać o stopniu napięcia duchowego. Co więcej! H. Gaskell całkiem na serio proponował, aby pletysmografu używać przy egzaminach, a to dla osądzenia, z jaką łatwością odpowiada uczeń na pytanie!

Le monde de la Science. 1882, p. 169.

TOMASZ OLIZAROWSKI.

(Ciąg dalszy).

III.

„Zawerucha“ zdobył uznanie krytyki ówczesnej. M. Grabowski, niezrównany znawca okolic ukraińskich i tamecznego ludu, jego obyczajów, wierzeń, olśniony był nie tylko pięknnością poematu, lecz i wyborną charakterystyką typów, które autor wytworzył i odział w tak świetną szatę poezji. Zdumienie krytyka byłoby tem większe, gdyby wiedział, iż autor wcale stepowych ziem nie znał, iż jedynie w chwilach poetycznych natężeń zdobywał świadomość tego, co tak barwnie umiał odtworzyć. Co więcej jeszcze podnosi zasługę poety, to umiejętne łączenie prawdy i miejscowego kolorytu z opromienieniem obrazów, nawet pełnych grozy, szatą poezji. Dla najdzikszych obrazów, dla sytuacji najbardziej dramatycznych, wystarczyło Olizarowskiemu słów niewiele; kilka śmiałych rzutów pendzla stawiało przed naszym okiem nie cienie, ale istoty żyjące; zjawiska nadzwyczajne dla nas, ale niemniej prawdziwe, z otchłani rzeczywistości wyjęte. Tyle umiał on zjednoczyć promieni rzeczywistego światła poezji około spraw życia codziennego wieśniaczej rzeszy w ziemiach kresowych, iż pierwszym może się nazwać poetą w naszej literaturze, który zdołał z całą prawdą opiewać byt domowy owego ludu, „wniknął głębiej niż inni w jego oby-

czaje, namiętności, i dlatego — jak się Michał Grabowski wyraża — o krok dalej prace swojej szkoły posunął...

Poemat ten ma przytem dla badawczego oka czytelnika znaczenie symboliczne, głębsze znacznie od wszystkich pochwał, jakimi go obsypała hojna dłoń tamtoczesnej krytyki.

Zaznaczyliśmy już wyżej, iż Olizarowski, acz zaliczany do pisarzy ziem kresowych, acz wysoko na tem stanowisku podnoszony, nie poszedł dalej wyłączną drogą opiewania bytu domowego ludu owych ziem, nie zamknął się w szrankach wyłączności. Nuta, w którą uderza, pisząc „Zaweruchę“, potrzebną była w cyklu poezji naszej, by nie nie było pominiętem, by się wszystko odzwierciedliło, co przeszłość życia naszego zawierała. I „Zawerucha“ miał tam swe miejsce i usuwać go z owego stanowiska nie należy, bo intruzem nie jest...

Jednocześnie prawie z „Zaweruchą“ występuje piewca ludu ukraińskiego z poematem, skreślonym w Galicyi, p. t. „Bruno“. Tu już nie widzimy ani śladu owych wrażeń ze świata ludowego, który otaczały jego progi domowe. „Bruno“ pokrewny utworom i typom, powołanym do życia dłońmi wielkich mistrzów świata. „Dziady“ Mickiewicza, postacie powszechnie znane poematów Getego, Bajrona, stały się prototypem „Brunona“. Krytyka nasza owych lat zgadza się najzupełniej z tem spostrzeżeniem, o pewnem duchowem pokrewieństwie „Brunona“ z „Werterem“ i Gustawem z „Dziadów“, lecz zastrzega się, iż to podobieństwo, pochodzące z ducha epoki, nie zaciera w utworze Olizarowskiego rysów, nacechowanych indywidualnością autora.

Bardzo przychylna dla „Brunona“ ocena Michała Grabowskiego twierdzi, iż „Bruno w tym jest stopniu pochodzenia od Gustawa, w którym Gustaw od Wertera Getego“... Dalej też ocena, wskazując, iż poeta poddaje się wpływowi ducha chwili i jej przemożnych prądów, kładzie nacisk na pewną samodzielność, przejawiającą się i w tym Olizarowskiego utworze, gdzie „usiąknięcie (wpływów obcych) — jak się krytyk wyraża — samodzielności jego nie zatarło“... „mam to za dowód prawdziwego powołania tego poety i nie mieszam go z nietreściwym tłumem naśladowców“...

Sąd tak przychylny nie często później dobiegał do uszu Olizarowskiego, który, w pierwszej przynajmniej połowie swej działalności, był również spragniony słusznej oceny swych prac i zachęty ze strony ziomków, jak orzeźwiającego technienia pól rodzinnych.

W „Brunonie“, obok niepospolitej piękności obrazów w opisach przyrody, spotykamy parę wskazówek, uzupełniających nieliczne, ale cenne rysy usposobień autora, z których możnaby odtworzyć chociaż ogólne kontury tej postaci mało znanej.

Niejedna myśl, wypowiedziana przez Brunona, jest myślą, przekonaniem autora, i mają słuszność utrzymujący, że w „Brunonie“, niby w wód przezroczu, odbijają się celniejsze rysy postaci samego poety.

Młodziutkim był poeta, gdy pisał „Zaweruchę“ i „Brunona“, gdy opuszczał ukochane domowe progi, gdy okoliczności rzuciły go w świat inny, obcy mu, szerszy od dotychczasowych horyzontów, nie przestawał wszakże sam czuwać nad sobą, nie pozwalał, by indywidualne, bodaj wielkim płomieniem płonące uczucie górowało w jego myśli. Zdala stoi on wciąż od świata obcego, zdala, gdy był jeszcze młody i niewypróbowany przez troski życia, zdala i w późniejszym życiu. Uwidocznia się to z całą plastyką rzeczywistości, szczególnie w późniejszym poemacie dramatycznym, pod tyt. „Tymon Zimorodek“, który, jak twierdzi nader słusznie znawczyni wyborna późniejszych okoliczności życia Olizarowskiego, pani Duchńska, jest jego „autobiografią najwierniejszą, przeplataną kwiatami fantazyi“. Wśród innych życiowych szczegółów dość głęboko wyźłobiony i ów rys usposobienia poety — trzymania na wodzy uczucia, skierowywania go na tory, dążące do pożytku ogólnego.

Krzyknij, mój duchu! bądź w mem jestestwie,
Jako jest orzeł w ptaków królestwie
I jako lew jest między zwierzęty;
Niech się uczucia moje nie wążą
Po mojem sercu z ogniami latać!
Niech myśli moje sobie zakażą
Bawić się w tęczę i wieńce splotać!
Niech piramidą sława tkwi w głowie,
Niech się zaludnia serca pustkowie,

Tylko krzykami pieśni orlemi:
Precz, precz miłości!...

Tak śpiewał poeta, gdy i Galicyę, po trzechletnim pobycie we Lwowie, bądź u stóp Karpat, zniewolony był opuścić, a na Brytańskich wyspach szukać chleba i dachu. Moc to ducha wielka snąć była, że zdołała stłumić w sobie wszelkie indywidualne uczucie, wobec zadań życia podnioślejszych. Na obczyźnie zaś poeta stanowczo zabrania oku i myśli swej zwracać się ku cudzoziemkom, stoi wiernie na straży swych uczuć. Uważa siebie za bardzo chwilowego przybysza wśród obcych; żadnych więc więzów, bodaj chwilowych, nie znosi: ani jedna nie powinna nic istnieć, łącząca go z gościńcem pielgrzymim. Pragnie być lekkim, jako ptak, który gotów wnet odlecieć, gdy wybije odlotu godzina.

Pobyt w Londynie długi, dziesięcioletni, w sposób bardzo dotkliwy dał się uczuć poecie. Przytłaczał go materyalny niedostatek; praca na chleb sprowadzała z wyżyn poetycznych natchnień na szare niziny wyrobniczego znoju. Nie wypuszcza wprawdzie pióra z dłoni, lecz ówczesne piśmiennicze i wydawnicze warunki nie pozwalały tak łatwo wytłaczać poetycznych produkcji poety, niezbyt jeszcze rozgłośnego, jakby to dziś być mogło. Drukuje on je wszakże, to we Wrocławiu, to w Poznaniu, to w Londynie. Niedostatek wszystkimi szczeliny wciska się do zimnych suterren Londynu, lub na ubogie poddasze, gdzie poeta spędza najpiękniejsze lata życia, gdzie powstają pełne tęsknoty dumki, licujące wybornie z jego ówczesnem usposobieniem, gdzie i inne utwory na świat przychodzą — ale już w kolebce na zagładę skazane, w rękopiśmie na marne ginące — gdzie wreszcie i siły, zdrowie poety podkopane zostały i przyspieszyły zgon jego.

W Londynie wyszły jego „Exercycye poetyczne“ (1839 r.), tam również ukazał się w druku poemat p. t. „Krzyż na Pere-dylu“, który w drugim wydaniu, znacznie zmienionem, znacznie poprawniejszym, wyszedł p. t. „Topir-Góra“. Ukazują się w tym obrazku jeszcze raz okolice rodzinne poety, jeszcze raz płyną z owych kart powiewy pól z nad Styru, Ikwy. Poeta daje nam obraz przeszłości, sięgającej czasów napadów tatarskich; i jak

umiał odtwarzać wybornie usposobienia, charakter ludu z epoki obecnej, tak również wybornie zarysowuje dawną przeszłość czambułów tatarskich. W rzeczonym poemaciku poeta jest prawdziwym mistrzem, gdy chodzi o obrazy przyrody... Poeta, pisząc powieść o tatarskich napadach na Peredyl, czerpał z bardzo żywej tradycji czambułu, który, jeszcze w pierwszej połowie XVIII. w., upędzał się za łupem daleko na północ od Perekopu; zagony swe aż ponad Styr posuwał. Ostatni ten napad najdłużej zachowywał się w pamięci ludu tamtych okolic; nawet w połowie naszego stulecia jeszcze tradycja o nim żyła w całej mocy. Mówiono tam przed czterdziestu laty, jako o rzeczy niedawnej, o zgonie stuletniej kobiety, która, dzieckiem w jasyr zaprowadzona, wróciła na rodzinne popieliska już po upadku Krymskiego hanatu... Mówiono o tem nad Styrem, w Peremyłu, który, pod nazwą Peredyla, opiewa poeta we wspomnianym obrazku, dając nam krwawe odbicie tatarskiego pobojuwiska. Nie zużywa i tam, jak zwykle, wielu wyrazów, nie ubiega się o akcesorya zbyt liczne. Obok zarysu ciszy wiejskiej przyrody odbija wyraziściej pobojuwisko:

...Na stawie pluszczą złożone fale;
 Kwaczą kaczory i huczą bąki,
 W sadach słowiki głoszą swe żale,
 W niebiosach pełne dzwonią skowronki.
 Zgliszcz sioła strzegą spalone słupy,
 Po polach leżą tatarskie trupy;
 Przy nich i na nich psy, wrony, kruki.
 Prężą się, szarpia i rwą na sztuki.
 A nad tem wszystkiem wyciąga z chmury
 Kamienne ręce krzyż z Topir-góry!...

Poemacik o Peredylu nie dorównywa innym pracom z epoki londyńskiej, snąć kreślił go znacznie wcześniej, a później tylko uzupełniał; ociosywał chropowatość. Przypuszczamy, zdaje się, nie myląc się, iż sięga ta praca czasów pierwszej, młodzieńczej twórczości poety; przypuszczenie zaś nasze opieramy, nie mówiąc o innych względach, na braku tam tak pięknych opisowych obrazów, jakie np. w „Brunonie“ spotykamy, gdzie uderzają nas przecudne swą oryginalnością opisy przyrody.

Przytaczamy, jako wzór, poetyczny obraz poranku, zaczerpnięty z „Brunona“:

.....słońce przeźroczytą
 Garścią sypało złoto przerobione
 W światło poranne. Zrazu było czysto
 W powietrzu. Niebo nowonarodzone
 Liliowemi, świeżemi oczyma
 Patrzyło na świat. Ziemia odetchnęła,
 Skoro promienie słońca w usta wzięła;
 Zdało się, że już dłużej nie wytrzyma,
 Wstanie i pójdzie ku słońcu lubemu,
 I wydało się ono śmiertelnemu,
 Że ziemia wstawać zaczynała mgłami;
 Lecz mgły wleciały szaremi skrzydłami
 Pod niebo, — ziemia została na ziemi.

Mgłą zadymione słońce splakanemi
 Patrzy oczyma. Gdzieniegdzie pomiędzy
 Mgły szpary, rzadki promyczek przecina
 W kształt złotych żyłek, które trud człowieka
 Odkrywa w ziemi, lub w kształt złotej przędzy,
 Którą miesza tkacz z szarym jedwabiem.
 Mgły naśladują w górze nizkie morze,
 A słońce, jakby było ich korabiem,
 Powolne wały coraz słabiej porze;
 Nakoniec całkiem na siłach opada,
 I tonie we mgłach...

Skrętnie zbierająca wszystkie szczegóły biograficzne o Olizarowskim, pani Seweryna Duchńska, wynalazła w pośmiertnej jego literackiej spuściźnie rodzaj bardzo lakonicznego pamiętniczka, w którym czasy swe londyńskie, czasy tysiąca prywacyj i swe stanowisko społeczne w Londynie, tak w paru słowach określa poeta, wyliczywszy wpierrw swe różne tytuły honorowe, prezesury i wiceprezesury: „Byłem — mówi — sługą w tabacznym sklepie Izdebskiego: to ostatnie broniło mnie od głodu“...

Takiemi były losy biednego autora „Zaweruchy“, „Brunona“, wielu dramatów i tylu przepięknych dumek, które wydyskały łzy rozrzewnienia z oczu Adama Mickiewicza, gdy je czytał... „Dumki“, „Tyrtejki“, „Woskresenki“, przeróżnego miana drobne liryczne utwory, kreślone w Londynie, wśród dusznej sklepowej atmosfery, wśród ciżby ludzi najniższej nieraz prozy,

odznaczały się myślą podniosłą, rzewnością bezbrzeżną, a zawsze językiem wzorowym, jakby z doby Zygmunatów, z czasów dawno zapomnianych, wywołanym nad Tamizą... Poeta więcej karmił się smutkiem, łzą, wspomnieniami, myślą, iż na piasku sieje perły swego talentu, niż chlebem: sklepik londyński, tabakę i tytoń sprzedający, gdzie był jakimś subjektem zaledwie, jak sam powiada, chronił go od głodowej śmierci... Lata nie przynosiły polepszenia doli, owszem, pogarszały ją nawet...

Pieśń moja rzekła do mnie na wiosnę:

Smutkiem rosnę!

Nadeszło lato, mówiła w lecie:

Marne me kwiecie!

I zawołała do mnie w jesieni:

My potępieni!...

.

Tak; poeta również, jak jego jedyny przyjaciel — pieśń — rośli i żywili się smutkiem — a jesień życia dla niego bardzo szybko nadeszła... W latach, gdy inni, co z pogodniejszą myślą przez życie szli, rzeźcy i silni, w spokoju ducha i zdrowiu ciała dni jesieni życia trawili, on w 54 roku twardego swego żywota, już złamany fizycznie, starcem się mienił, i takim bez zaprzeczenia był. Już w 54-tym roku życia, w Paryżu, w domu przytułku dla starców, pod wezwaniem św. Kazimierza, znalazł dla siebie schronienie, i tam gasł powoli lata całe, znużony walką z życiem, ale jeszcze jasnego umysłu i z twórczością poetyczną w zupełnym rozwoju.

Między dziesięcioletnim okresem pobytu w Londynie, a znalezieniem dachu i chleba w murach zakładu św. Kazimierza, na krańcach Paryża, legły też długie lata. Zapełniał on je pracą; dla literatury czas ten nie poszedł na marne: pozostały i z owej epoki bogate plony, chociaż częścią ukryte w rękopismach, częścią pogrzebane w szpaltach dzienników poznańskich. Słowem, niema ani jednej chwili w jego życiu, bez względu, czy one bardziej, czy mniej słoneczne, aby nie uderzał o struny swej lutni, aby czasu pracą nie zapełniał: z niedolą, z wielorakim uciśkiem walczył pracą, dźwigał się zaś nadzieją, iż chociaż zima żywota promieniem spokoju zaświta nad jego myślą skolataną.

Wytrwałość w walce z losem, znamienny jego charakter rys, a to tak dalece, iż w poemaciku p. t. „Car Lazar“, gdy staje przed autorem praojciec jego rodu i przemawia słowami napomnienia, przedewszystkiem o tej wytrwałości mówi:

Nie czyń, jak czynią ludzie małoduszni,
 Dzikim uczuciom i myślom posłuszni;
 Przed końcem walki nie rzucaj oręża,
 W walce o przyszłość wytrwałość zwycięża;
 Ni się wrywaj z cierpienia kolei:
 Wielkość cierpienia jest żywota miarą,
 Idź drogą cierpień! nie gub się w rozwiei
 Myśli i uczuć; nie czyń się ofiarą
 Nierządu woli i krótkości widzeń...

Gdy poeta, po dziesięcioletnim pobycie w Londynie, opuścił Anglię, los mu rzekomo uśmiechał się; niedola pozostawała, zdawało się, na zawsze, poza falą Kanału i ścigać już go nie pragnęła na stałym lądzie. Uśmiechy losu cechę szczerości nosiły: Olizarowski zamieszkał w Poznańskim. Są to chwile odpoczynku w ciężkim zawodzie jego życia; zaczynają się od roku 1846. Twórczość, niezamierająca w otchłaniach nędzy londyńskiej, tem bujniej rozrasta się pod niebem nadgoplańskich okolic: po raz pierwszy od lat wielu pierś poety szerzej się otwiera ku obszarom, pełnym ciszy i spokoju. Nadgoplańskie równiny, park w Turwi, gdzie zamieszkał pod dachem zamożnego i gościnnego domu jen. Chłapowskiego, balsamem stały się dla zboląłego ducha i znużonego ciała. Tam wyśpiewał niejedną pieśń, rzucił na papier zarysy poetycznych opowiadań, tam rozpoczął okres tworzenia dramatów, które miały być koroną jego poetycznej działalności, tam powstała wreszcie obszerna poetyczna powieść, z dwunastu ksiąg złożona, pod nap. „Złote jabłka“. Osnął on ją na tle klechd ludowych, przeniósł pole działania do świata czarów, wiedźm, wędrowek czarownic na miotłach i łopatach.

Powieści tej pomysł przypomina wyraźnie ruch ówczesny umysłowy, skierowany ku badaniom, poszukiwaniom klechd, podań, pieśni ludowych. Jedną z najcelniejszych postaci poematu jest Woźna z Turek, królująca wśród czarownic, która, pomimo swych ciągłych praktyk czartowskich i bratania się z djabłami,

wraca na drogę pokuty, łzami pragnie przebłagać gniew Boży, co jest wręcz przeciwne wszelkim legendom ludowym. W każdej z takich klechd czarownica nie zawraca nigdy z gościńca potępienia. Autor widocznie sam zauważył to sprzeniewierzenie się niejako tradycyom klechd, bo tłumaczy się poniekąd z owego zakończenia, sprzecznego z cyklem pojęć ludowych; mówi, iż wołał wskazać, stosownie do nauki Chrystusa, że drogą miłości i pokuty mogą wrócić na niwę prawdy „nawet potwory...“, nawet „żyjące z djabły czarownice...“

Żona Twardowskiego, spotykana w galeryi postaci tej powieści, zalicza się do typów bardziej sympatycznych. Szlachcianka to zasad arcydemokratycznych, na mierności budująca szczęście; mawiała ona:

Czy mnie Bóg nie zna? czy On tego nie wie,
Żem ja Twardowska, szlachcianka uboga?
W ziarnie jest wartość zboża a nie w plewie,
Wążka do nieba na karoce droga;
Najwygodniejsze w drodze tej lachmany:
Nie tam się znajdują strojne koczkodany!...

Chociaż postać Twardowskiej nie ponętna,

Piwonia twarzą, oczyma orlica,
Gębą przekupka, tuszą znakomita,

ale cnót jej nie brak. Poświęca się dla męża, ratuje go z rąk czarta; jak zaś to zrobiła, autor nie rozszerza się, mówi tylko: „wiadomo“: powołuje się więc na opowieść Mickiewicza. Ale Olizarowski snuje dalej wątek losów Twardowskiego, który do czyśca wreszcie poszedł. Wierna małżonka nie opuszcza go w tej nieszczęsnej doli, a nawet dodaje sobie mąk dobrowolnie, aby zmazać winy męża:

„Przysięgłam wiecznie żyć z Twardowskim wspólnie,
Pójdę z nim tedy chociażby do piekła!“
Poszła do czyśca i tam dobrowolnie,
Srodze się tłukła, kłuła, piekła, siekła.
A co chłóśnie, przypiecze i kolnie,
Zawoła: „Panie, to za męża, Panie,
Wedle Twej świętej woli niech się stanie...“

.....

Poemat o czarownicach i wiedźmach zdawał się wróżyć nowy cykl wśród działalności Olizarowskiego, cykl, nacecho-

wany spokojem. Myśli, uczucia poety zdobywają pewnego rodzaju równowagę: pogoda zaświtała w głębi jego ducha. Trwanie owej pogody zbyt efemeryczne. Niespodzianie był zagniony opuścić Turwię i Poznańskie. Ponownie okoliczności łódź jego życia ku Zachodowi popchnęły. Przez Belgię, gdzie zdobywa schronienie czasowe, udaje się do Paryża.

Nad Sekwaną warunki istnienia składają się dlań zawsze nieprzyjaźnie. Rozpoczyna on ponowne, jak to w Londynie działa się, z losami i prądami czasu mocowanie się; tym razem cięższe, bo duch znużony, ciało zaś coraz bardziej mdłe.

Pomimo to jednak, czynność literacka nieprzerwanie trwa. Owe ostatnie dwadzieścia lat życia, z których trzy czwarte w „Przytulku dla starców“ spędza, patrzyły na liczny szereg nowych prac; w tej epoce powstały liczne jego dramata. Z nich uplótł sobie wieniec prawdziwej zasługi... Jeżeli za życia nie obdarzono go wielkiem, powszechnem uznaniem, przyszły czas bez wątpienia nie poskąpi mu wieńca bodaj na mogiłę... Nie po raz pierwszy, nie po raz ostatni, urzeczywistnią się Naruszewicza słowa:

Wasz to obyczaj: cierń w życia przeciagu
Kłaść im na głowy; kwiat aż na posagu...

(Dok. nast.).

Maryan Dubiecki.



WYCHODŹTWO Z POWIATÓW PODOLSKICH DO ROSYI

w roku 1892.

I.

6 sierpnia z. r. nadeszła do władz rządowych i do dzienników wiadomość, że gromadka włościan z gminy Szyły, położonej w powiecie zbaraskim, wyszła za granicę rosyjską potajemnie bez paszportów. Jak się okazało z późniejszych dochodzeń, stał na czele tej gromady, złożonej z 25 osób, niejaki Onufry Jurczyszyn, z profesyi mularz a obok tego i muzykant, który od blisko dwóch lat nosił się z myślą wychodźtwa do Ameryki a mianowicie do Brazylii i starał się o paszport, wnosząc podania do starostwa, do namiestnictwa i do ministerstwa, a podobno nawet do Najjaśn. Pana. Nie uzyskawszy paszportu, powziął zamiar wyjścia z kraju przez bliską granicę rosyjską. Sprzedawszy swoje gospodarstwo, wykonał ten zamiar, po poprzednim zapewnieniu się u kapitana rosyjskiej straży granicznej Woronina, iż wstęp poza granicę nie będzie mu wzbroniony i pociągnął za sobą najbliższych krewnych i znajomych. Wnet rozeszła się po wsiach okolicznych a następnie coraz dalej na pograniczu wieść, rozsiewana między innymi i przez samego Jurczyszyna, który powrócił na jakiś czas do kraju, że rząd rosyjski rozdaje darmo grunta włościanom przybywającym z Galicyi. Wieść ta, w miarę jak się rozszerzała, ubieraną była w coraz to dalsze, nieraz wprost dziwaczne dodatki. Opowiadano sobie w karczmach i chatach, na polu przy robocie, na jarmar-

kach i targach, że w Rosyi rozdają grunta po Niemcach kolonistach, którzy się stamtąd wynieśli, to znów po Żydach, których wypędzono, i to z budynkami, inwentarzem i z całym urządzeniem. Mówiono także, iż włościanie galicyjscy będą osiedlani w okolicach, w których ludność wymarła na cholere, że przyjmowane będą na osiedlenie tylko małżeństwa i że ilość nadanego gruntu stosować się będzie do ilości głów w rodzinie, że przybywający otrzymają uwolnienie od podatków i od wojska i t. p. Tu i ówdzie dodawano jeszcze, iż w przyszłym roku będzie wojna, w której ludność pozostała po stronie austriackiej ulegnie zniszczeniu, to znów, że obaj cesarze porozumieli się między sobą co do wychodźstwa do Rosyi i t. d.

Wieści o rozdawaniu gruntów w Rosyi chwywane były skwapliwie przez tę część ludności, która, jak zarobnicy dzienni, jak czeladź dworska i chałupnicy, nie posiada własnych gruntów, a uważa za swój ideał dojść do posiadania gospodarstwa rolnego. Znajdywały zaś owe wieści w wyobrażeniu tej ludności potwierdzenie w niedawnym przechodzie Niemców Menonitów, którzy opuszczali swe kolonie w Rosyi, gdy im nie przedłużono nadal przywileju uwalniającego ich od służby wojskowej; dalej w pamiętnym przechodzie Żydów wypędzanych tłumnie z Rosyi przed paru laty, i w ciągłym i teraz napływie Żydów rosyjskich do Galicyi, a wreszcie w niezwykłym fakcie, iż na granicy rosyjskiej, tak ściśle zawsze strzeżonej przez liczną straż graniczną, nie wzbraniano wstępu wychodzącym z Galicyi włościanom.

Dając tedy posłuch owym wieściom, włościanie z gmin nadgranicznych w powiatach zbaraskim i skałackim zaczęli, począwszy od połowy sierpnia, tłumnie przechodzić za granicę, która tu w znacznej części jest suchą, a i tam, gdzie ją Zbrucz stanowi, wszędzie łatwą do przekroczenia. Szli po udział w zapowiadaniem obdzielaniu gruntami przedewszystkiem zarobnicy, nie mający ani gruntu ani chaty, oraz chałupnicy, mający tylko chałupę i ogród mały; szła dalej czeladź dworska, będąca bez służby lub porzucając służbę, parobcy i dziewczki; szli także, jednak już w znacznie mniejszej liczbie, właściciele drobnych gospodarstw do dwóch lub trzech morgów obszaru, mianowicie naj-

bardziej zadłużeni lub zagrożeni egzekucjami. Największego kontyngensu wychodźców dostarczył zatem proletaryat rolniczy i to w pierwszym rzędzie część jego najbardziej zdemoralizowana i najuboższa, zaś w rzadkich wypadkach zamożniejsi wzięli udział w wychodźtwie. Przykład wychodzących pociągał dalszych i wielu szło, nie zastanawiając się wcale nad celem, do którego zmierzają; szli, bo szli i inni. Był to jakby szał gorączkowy, który bez względu na porę, bezpośrednio po zbiorach, i niezły urodzaj, owładnął nagle ludność pograniczną owych dwóch powiatów, a dał się uczuć po trochę i w sąsiednim powiecie tarnopolskim. Szał ten podsycany wieścią, że należy spieszyć się kto chce dostać lepszy udział w rozdawanych gruntach, dochodził do tego, iż w niejednym wypadku czeladź uciekała, pozostawiając na polu konie i narzędzia wyprowadzone do roboty, że byli i tacy, którzy uciekli za granicę, porzucając całe swoje mienie.

Zazwyczaj wychodźcy sprzedawali, oczywiście za bezcen, swoje ruchomości, zboże jakie mieli, bydło i t. p., zaś o ile posiadali chaty lub grunta, pozostawiali je na razie pod opieką krewnych lub sąsiadów do dalszej dyspozycji; rzadziej zdarzała się sprzedaż nieruchomości lub porzucenie ich bez opieki. Nie obyło się przytem bez wyzyskiwania, mianowicie w tym kierunku, że zachęcano umyślnie członków rodziny do wychodźstwa, aby po wychodźcach objąć grunta lub tanio od nich nabyć gospodarstwo lub ruchomości. Znaczna część wychodźców zabierała ze sobą rodzinę, żonę i dzieci, czasem i rodziców, inni na razie szli sami, inni jeszcze zjawiali się z dziewczkami i z niemi uciekali, nietylko bezzenni, lecz nieraz i żonaci, porzucając swe żony dla nowych związków, które zamierzali zawrzeć po przestąpieniu granicy. Do uciekających w ten sposób należeli obowiązani do służby wojskowej, a nawet chłopcy poniżej wieku popisowego.

Po upływie około dwóch tygodni, ku końcowi sierpnia, ów niespodziany ruch wychodźczy, który słusznie mianem dezercyi określono, przerzuciwszy we wspomnianych powiatach z górą 3000 ludności na drugą stronę granicy, osłabł naraz, kiedy z za kordonu zaczęli coraz liczniej powracać niedawni wychodźcy,

przynosząc wiadomości zupełnie różne od owych wieści, które popchnęły ich za granicę. Wracali, niektórzy już po kilku dniach, inni po dniach kilkunastu, rozczarowani pod względem nadziei, jakie żywili co do rozdawania ziemi, ogołoceni ze skromnych zasobów, które ze sobą zabrali, i żałący się na obchodzenie, jakiego doznawali podczas pobytu za granicą rosyjską. Tam ich bowiem aresztowano, odsyłano pod strażą od jednego urzędu do drugiego, a następnie rozmieszczano bądź w opróżnionych koszarach, bądź po wsiach u chłopów, dając bardzo niedostateczną pomoc na utrzymanie (podobno po 7 kopiejek dziennie) a zresztą zostawiając własnemu przemysłowi. Władze tutejsze, które w chwili, gdy gorączka emigracyjna wybuchła, ogłosiły po gminach, iż nie wolno przekraczać granicy bez paszportu, jednakże nie stawiały fizycznej przeszkody w przejściu przez granicę; obecnie zatrzymywały i przesłuchiwały powracających, karały w drodze policyjnej za przekroczenie zakazu, a oddawały sądom tych, którzy okazali się podejrzanymi o rozsiewanie fałszywych wieści i nakłanianie innych do wychodźstwa.

Okolo połowy września ruch emigracyjny tej samej natury, jak opisany poprzednio, wystąpił w powiatach: husiatyńskim, borszczowskim i zaleszczyckim. Ogarnął on i tutaj z małemi wyjątkami sam tylko proletaryat rolniczy, zarobników, chałupników i właścicieli najmniejszych gospodarstw, zatem ludzi z tej warstwy, z której w tej okolicy od wielu lat znaczniejsza ilość zwykła była wychodzić za zarobkiem do Rosyi, w tym zaś roku nie wyszła, gdyż władze z obawy zawleczenia cholery nie wydawały paszportów. Jednakże w tych trzech powiatach bezpośredni pochop do emigracyi wynikał nie z samych tylko wieści o rozdawaniu gruntów w Rosyi, które mogły się przedostać tutaj ze Zbaraskiego i Skalackiego, lecz w nierównie wyższym stopniu z zachowania się rosyjskiej straży granicznej. Wszystkie doniesienia z Husiatyńskiego i Borszczowskiego stwierdzają zgodnie, że wzdłuż granicy wszędzie straż rosyjska nawoływała i namawiała do przechodzenia na tamtą stronę, przedstawiając korzyści materyalne, jakie czekają emigrujących. W powiecie zaleszczyckim, z którego emigrowano głównie przez Bukowinę.

ruch emigracyjny objawił się tylko w pięciu gminach w nieznacznych rozmiarach. I tu jednak ku końcowi października wychodźstwo ustało, do czego obok wpływu władz, przyczyniły się najbardziej opowiadania wracających, którzy wyczerpali szczupłe zasoby, z jakimi wyszli, i cierpieli nieraz nędzę, bądź chodząc za zarobkiem po wsiach, bądź pracując u włościan, u których ich zakwaterowano, bądź wreszcie zamiatając ulice w Kamieńcu Podolskim.

Kiedy na południowo-wschodniej granicy kraju ruch emigracyjny, który sięgnął aż do pogranicznego powiatu kocmańskiego na Bukowinie, ustawał, pojawił on się jeszcze na krótko i w mniejszych rozmiarach w powiecie sokalskim. Bezpośrednia przyczyna ruchu wykazała się tutaj w namowach rosyjskiej straży granicznej, udział w wychodźstwie brały najniższe warstwy ludności wiejskiej, a wpływ władz, poparty pouczeniami ze strony duchowieństwa, sprawił, że ruch ten wkrótce się uspokoił.

W pierwszych dniach listopada ruch emigracyjny na całym pograniczu ustał zupełnie. Sporadyczne objawy chętki do wychodźstwa, jakie wiadomości o emigracyi z powiatów nadgranicznych wywołały w powiecie brodzkim oraz w powiatach dalej od granicy położonych, mianowicie w złoczowskim, czortkowskim i jaworowskim, przeminęły bez dalszych następstw. Według wykazów imiennych, które starostowie przedkładali Namiestnikowi w ciągu ruchu emigracyjnego, rezultat ostateczny tego ruchu przedstawia się następująco:

Z powiatów:	wyszło osób:	wróciło:	pozostało za granicą:
Zbaraż	2600	1821	779
Skalat	702	376	326
Tarnopol . . .	156	127	29
Husiatyn . . .	416	216	200
Borszczów . .	1513	418	1095
Zaleszczyki . .	334	171	163
Sokal	390	154	236
Razem tedy .	6111	3283	2828

nie licząc sporadycznych wypadków wychodźstwa z kilku innych powiatów. Cyfry powyższe, w których objęte są dorosłe osoby

obu płci i dzieci, mogą jeszcze ulec jakimś zmianom przy ostatecznem sprawdzeniu ilości wychodźców w każdej gminie, co obecnie jest w toku, jednakże różnice, o ile wnosić się da z częściowych rezultatów owego sprawdzenia, nie będą znaczne. Według wspomnianych wykazów i zgodnych z niemi innych sprawozdań, największą część owej cyfry wychodźców stanowili, jak już wspomniano poprzednio, zarobnicy i chałupnicy, tudzież ich rodziny, i to przeważnie indywidua pod względem moralnym mniej warte od innych ludzi z tej warstwy; po nich następuje czeladź dworska, potem dopiero właściciele małych gospodarstw rolniczych, do dwóch, najwięcej trzech morgów obszaru. Bardzo rzadko emigrowali właściciele większych gospodarstw lub rzemieślnicy po wsiach osiedleni, i w tych wypadkach zachodziły najczęściej szczególne przyczyny, skłaniające owych ludzi do wychodźstwa, jak znaczne zadłużenie, złe pożycie w domu, pijaństwo i t. p.

Pomiędzy tymi, którzy powrócili do kraju, znajdują się tacy, którzy pozostawili tu na razie rodziny, chaty lub grunta, i tacy także, którzy wychodząc zabrali rodzinę albo sprzedali całe swe mienie, zatem nie mieli zamiaru powracać. Są między nimi tacy, którzy powrócili po kilku lub kilkunastu dniach, bądź za wiedzą władz rosyjskich, bądź częściej jeszcze ukradkiem, a są i tacy, którzy dopiero po miesięcznym i dwumiesięcznym pobycie za granicą rosyjską zdecydowali się powrócić, może zaś dopiero wtedy byli w stanie to uczynić. Co do stosunku liczebnego pomiędzy tymi, którzy wyszli, a tymi, którzy powrócili, zasługuje na uwagę, iż według cyfer podanych powyżej, więcej powróciło do kraju z tych, którzy emigrowali w sierpniu z powiatów: zbaraskiego, skałackiego i tarnopolskiego, aniżeli z tych, którzy we wrześniu i w październiku wyszli z powiatów: borszczowskiego, zaleszczyckiego i sokalskiego.

Staraliśmy się streścić powyżej przebieg i główne cechy ruchu emigracyjnego przez granicę rosyjską na podstawie urzędowych doniesień i innych wiarogodnych świadectw. Przegląd ten nie byłby wszakże wiernym i zupełnym, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na jeszcze jedną bardzo ważną stronę całej tej

sprawy. Pomiędzy wychodźcami znajdowali się, tak samo jak pomiędzy ludnością powiatów granicznych, obok przeważnej liczby wyznawców obrządku grecko-katolickiego, czyli unitów, także łacinnicy. Nie jesteśmy w stanie dziś już wykazać, czy i o ile ludność łacińskiego obrządku w mniejszym stosunkowo stopniu ulegała gorączce emigracyjnej, niż ludność obrządku greckiego. To jednakże jest pewnem, iż po przekroczeniu granicy wyznawcy obu tych obrządków katolickich znaleźli się w odmiennem położeniu. Rząd rosyjski toleruje w granicach swego państwa wyznanie katolickie w obrządku łacińskim, jakkolwiek usiłuje ścieśniać jego istnienie i upośledza jego członków w stanowisku prawnem w porównaniu z prawosławnymi, natomiast zaś od czasu gwałtownego zniszczenia unii w Chełmskiem i na Podlasiu, nie uznaje wcale obrządku grecko-katolickiego czyli unickiego. Wychodźcy tego obrządku musieli tedy godzić się na to, że ich za granicą uważano za prawosławnych, musieli się godzić na porzucenie własnej wiary katolickiej, a przyjęcie wiary innej, schyzmatyckiej. Niewątpliwie wielu wychodźców nie zdawało sobie sprawy z owej konieczności zmiany wiary, a wielu znowu nie rozumiało należycie doniosłości różnicy między obrządkiem grecko-katolickim a wiarą prawosławną. Faktem jest jednakże, że w Wołoczyskach, w Poczajowie i w Kamieńcu Podolskim znaczniejsze gromady wychodźców przechodziły uroczyste na prawosławie i że część z nich składała przysięgę poddańczą.

II.

W czasie kiedy opisany tu ruch emigracyjny zaczął przybierać znaczniejsze rozmiary, rozwinęła się w pismach politycznych krajowych obszerna i nader ożywiona dyskusya w tym przedmiocie. Podawano szczegóły ruchu, omawiano jego doniosłość, jego bliższe i dalsze przyczyny, podawano rozmaite środki zaradcze, żądania reformy stosunków i urzędzeń miejscowych. Rozszerzając się przytem niejednokrotnie na inne pola, dyskusya ta trwa dotąd, co niewątpliwie świadczy o szczególniejszej uwadze, jaką poświęca tej emigracyi przez granicę rosyjską publiczność nasza. Emigracya ludności włościańskiej z naszego

kraju nie jest rzeczą nową. Od dłuższego szeregu lat mamy emigracyę, głównie z zachodnich powiatów Galicyi, do Ameryki, emigracyę, która objęła nie tylko ludność polską, ale w części także i ludność ruską, a która ujmowała nam od lat kilkunastu corocznie znacznie więcej ludności i to lepszych pod względem ekonomicznym żywiołów, niż cała emigracya obecna. Uważano jednak tantą emigracyę z góry jako objaw czysto ekonomiczny, występujący tak samo, a i silniej jeszcze w zachodniej i środkowej Europie, a rozbierając ze spokojem warunki, wśród których owa emigracya się zdarza, przyzwyczajono się mniej nieprzychylnie ją oceniać, zwłaszcza gdy się przekonano, że znaczna część owych wychodźców po paru latach wracała z zarobionemi funduszami i, co niemniej znaczy, ze zmianą na lepsze pod względem pracowitości i poradności w sprawach gospodarczych, i że ci, którzy pozostali w Ameryce, łącząc się z innem wychodźstwem polskiem, nie tracą swej wiary i narodowości. Obok emigracyi do Ameryki mieliśmy przez szereg lat jeszcze emigracyę włościan z powiatów nadwiślańskich do sąsiednich i dalszych okolic Królestwa Polskiego, zatem pod panowanie rosyjskie, emigracyę nie występującą nagle i tłumnie, ale prawdopodobnie także w ogólnej sumie liczniejszą od obecnej. O tej emigracyi do Królestwa, spowodowanej taniością gruntów po tamtej stronie Wisły, mało kto wie u nas poza obrębem okolic, z których ona się odbywała, widoczne tylko jej ślady przy porównywaniu dat spisu ludności z powiatów tamtejszych za lata 1869 i 1880. Jeżeli wobec tego terazniejsza emigracya z powiatów na wschodniem pograniczu do sąsiednich gubernij rosyjskich, która nie była wcale tak liczna, jeśli strącimy tych, co powrócili, i która od blisko dwóch miesięcy już ustała, ciągle jeszcze zajmuje naszą publiczność, to przyczyna tego leży chyba w tem, że nagle i niespodziewane wystąpienie tego ruchu wyrzucić musiało silniejsze wrażenie, a następnie w tem, że kierunek tej emigracyi, równie jak towarzyszące jej okoliczności, prowadziły powszechnie do przypuszczenia, że jest ona jeśli nie wyłącznie, to przynajmniej w znacznej części dziełem agitacyi

religijnej i politycznej, wrogiej zarówno społeczeństwu tutejszemu, jak niemniej całemu państwu.

Istnienie takiego przypuszczenia skonstatował także galicyjski Wydział krajowy, kiedy pismem z d. 24 paźdz. 1892 r. wezwał wydziały powiatowe, w których obrębie pojawił się ów ruch emigracyjny, tudzież posłów z tych okolic i niektóre inne osoby, ażeby przedłożyły Wydziałowi krajowemu swe spostrzeżenia i zapatrywania co do okoliczności, wśród których ruch emigracyjny powstał i rozwijał się, następnie co do przyczyn ekonomicznej, socyalnej lub politycznej natury, które ów ruch wywołały i podtrzymywały, a wreszcie co do środków zaradczych, jakichby w tym względzie użyć należało. W piśmie tem pisze bowiem Wydział krajowy, że trudno się obronić od wrażenia, że mamy do czynienia z objawem społecznym, „którego przyczyna tkwi głębiej, niż się zdawać może, w ekonomicznych warunkach bytu naszych włościan, a bezpośredni powód leży w starannie zorganizowanej i systematycznie prowadzonej agitacji, której źródła i sprężyn można się domyślać, ale nie można dotychczas za wykryte uważać“.

Z pomiędzy odpowiedzi, które na powyższe pismo nadeszły dotąd do Wydziału krajowego, w liczbie 22, tylko cztery upatrują przyczynę ruchu wyłącznie w stosunkach ekonomicznych, tj. w tem, że warunki bytu ekonomicznego znacznej części włościan w powiatach dotkniętych ruchem są tego rodzaju, iż pogłoska o rozdawaniu gruntów w Rosyi, ukazując nadzieję polepszenia bytu, wystarczyła, aby ich skłonić do wychodźstwa. Dziewięć dalszych odpowiedzi upatruje przyczynę wychodźstwa wyłącznie w agitacji politycznej, od dawna prowadzonej, która przedstawiała w najróżowszem świetle stosunki za kordonem, a obecnie wyteżyła swe siły, aby złudnemi wieściami o rozdawaniu gruntów wywołać demonstracyjną emigrację, była zaś zawsze posilkowana przez równoległą agitację religijną, przedstawiającą ludowi, że niema różnicy między greckokatolickim obrządkiem a prawosławiem czyli schyzmą. Natomiast pozostałe opinie, a w ich liczbie wszystkie opinie wydziałów powiatowych, upatrują przyczynę ruchu emigracyjnego zarówno

w stosunkach ekonomicznych i zarobkowych znacznej części ludności włościańskiej, jak i w agitacyi politycznej i religijnej. Wskazują te opinie, zgodnie z odpowiedziami najpierw wymienionemi, że rozdrobnienie gruntów włościańskich wytworzyło liczny proletaryat rolniczy, który poza czasem robót polnych nie znajduje dostatecznego zarobku, że rozliczne wydatki z wykonywaniem ustaw obowiązujących połączone, a nieraz tylko z nieodpowiedniego wykonywania tych ustaw wynikające, obciążają nadmiernie przychody ludności włościańskiej, szczególnie zaś drobnych posiadaczy gruntów, że zatem istnieje między ludnością włościańską powiatów granicznych dość znaczna ilość ludzi skłonnych do szukania polepszenia bytu w wychodźstwie. Wskazują jednak zarazem te opinie, zgodnie z wymienionemi na drugiem miejscu odpowiedziami, że agitacya polityczna i religijna, o której owe poprzednie sprawozdania wspominają, uczyniła ludność bardziej przystępną dla namów do emigracyi za granicę rosyjską, i u części tej ludności usunęła, a przynajmniej osłabiła względy zwłaszcza religijne, które mogły wstrzymywać ją od wychodźstwa pod panowanie rosyjskie. Wskazują wreszcie owe opinie, że w wielu wypadkach stwierdzono, iż bezpośrednia podnieta do teraźniejszej emigracyi wyszła bądź z za kordonu, mianowicie od pogranicznej straży rosyjskiej, bądź od żyjących w kraju a znanych już dawniej agitatorów.

Przystępując z naszej strony do rozpatrzenia przyczyn owego ruchu emigracyjnego, wypada nam przedewszystkiem rozróżnić, jak to uczynił Wydział krajowy w przytoczonym piśmie, między bezpośrednim powodem tego ruchu, a głębiej leżącemi przyczynami, które stworzyły grunt przyjazny dla owej zewnętrznej pobudki. Bezpośrednie powody ruchu emigracyjnego wskazaliśmy już na wstępie, opisując jego przebieg. Według tego opisu, w powiecie zbaraskim i skałackim bezpośrednim powodem było wyjście Jurczyszyna i towarzyszy, oraz równocześnie powstała wieść o rozdawaniu gruntów w Rosyi; natomiast we wszystkich innych powiatach, według bardzo licznych zeznań wychodźców, którzy powrócili, tudzież licznych zeznań innych naocznych świadków, namowy straży granicznej rosyjskiej dały

bezpośredni powód do powstania ruchu emigracyjnego, obok czego mogła podziałać w dalszym rzędzie wiadomość o wcześniejszej emigracji z tamtych powiatów. Prócz tego stwierdzono w kilku powiatach, iż były namowy do wychodźstwa ze strony bądź miejscowych agitatorów, bądź mieszkających blisko za granicą wychodźców z Galicji z lat dawniejszych. Niewyjaśnionem pozostaje przytem najpierw, kto pierwszy puścił w obieg ową wieść o rozdawaniu bezpłatnem gruntów w Rosyi, skąd ona się wyłoniła. W jednym sprawozdaniu urzędowem z powiatu zbarskiego znajduje się wzmianka, że w gubernii podolskiej miał jakiś urzędnik rosyjski uczynić ze swego majątku fundacyę dla włościan, z której miały być nadawane grunta, i że na jakiś czas przed ruchem emigracyjnym chodziły wieści o tej fundacyi; znajduje się też dalsza wzmianka o ogłoszonym przez rząd rosyjski zamiarze kolonizacyi na Kaukazie. Niewiadomo jednak, kto te wieści rozsiewał i w jakim one pozostawały związku z późniejszym ruchem emigracyjnym; w późniejszych bowiem sprawozdaniach, w zeznaniach wychodźców, którzy powrócili i innych doniesieniach, te wieści nie są powtórzone. Powtórę pozostaje niewyjaśnionem, skąd straż graniczna rosyjska mogła wziąć pochop do tej, jedynej w swoim rodzaju, agitacyi za wychodźstwem, która powtarzała się we wrześniu i październiku na całym pasie granicznym od Borszczowa aż do Sokala, Rawy, a nawet Jarosławia, a według tego co wiemy nie przyporządkowała państwu rosyjskiemu dodatnich pod względem ekonomicznym żywiołów.

Przyczyny właściwe, a głębiej leżące, niedawnego ruchu wychodźczego do Rosyi, upatrują sprawozdania, złożone Wydziałowi krajowemu, w agitacyi politycznej i religijnej i w stosunkach ekonomicznych znacznej części ludności włościańskiej w powiatach granicznych. Co się tyczy przyczyny pierwszej, to nie mamy bynajmniej ani zamiaru ani potrzeby przedstawiać tutaj rozwój historyczny i stan obecny agitacyi t. zw. moskalofilskiej w Galicji. Dla wyjaśnienia sprawy, o którą chodzi nam tutaj, możemy poprzestać na skonstatowaniu, że agitacya ta, istniejąca w zmiennych rozmiarach od lat kilkudziesięciu, zwracała się da-

wniej do warstwy wykształceńszej społeczeństwa ruskiego, do duchownych i nielicznej zrazu inteligencji świeckiej, i usiłowała zwalczać, przedewszystkiem na polu literackiem, budząc się pod wpływem małoruskiej literatury zakordonowej poczucie odrębności narodowej Rusinów, przedstawiając, iż językiem wykształconej ich warstwy może być tylko język rosyjski, a przyszłość społeczeństwa ruskiego leży we wspólności życia umysłowego, religijnego i politycznego z potężną Rosyą. Agitacya ta, która wzmogła się po klęsce Austrii w r. 1866, objawiła się w swoim czasie przez wychodźstwo licznych księży ruskich do dyecezyi chełmskiej, w której stali się wnet wyznawcami i propagatorami prawosławia, w przenoszeniu się nauczycieli gimnazyalnych do Rosyi, oczywiście z przyjęciem prawosławia, i w późniejszym wychodźstwie pewnej liczby księży, między nimi znanego Nau-mowicza, wreszcie, pomijając inne szczegóły, w pismach politycznych, wydawanych we Lwowie i w Wiedniu, z których o jednym trzech książęta kościoła unickiego, zakazując duchowieństwu trzymać je, wypowiedzieli niedawno zdanie: „iż chwali i wielbi schyzmę wogóle a rosyjską w szczególności, wielbi osoby cerkwi rosyjskiej, które się sprzeniewierzyły Kościołowi katolickiemu i występuje niesłusznie przeciw katolickiej hierarchii duchownej“. W nowszych czasach, mniej więcej od lat dziesięciu, agitacya ta zwraca się więcej bezpośrednio ku ludowi wiejskiemu i małomiejskiemu, wobec którego wystąpiła była już przedtem w dążeniach do samowolnych zmian w obrzędach cerkwi unickiej, celem zbliżenia ich do obrzędów prawosławnych. W miarę jak rozpowszechnia się między ludem wykształcenie elementarne, agitacya ta wciska się do niektórych pism peryodycznych, przeznaczonych dla ludu, do kalendarzy i innych wydawnictw ludowych. Cechą tej agitacji jest przemilczanie różnicy wiary między cerkwią grecko-katolicką a prawosławiem, równie jak przemilczanie różnicy między językiem ruskim a rosyjskim, natomiast zaś stwierdzanie wspólności religijnej i językowej ze społeczeństwem rosyjskiem, dalej sławienie potęgi Rosyi i jej urządzeń, podawanie rycin z portretami członków rodziny carskiej i t. p., a przedstawienie tutejszych stosunków w świetle najbardziej ujemnem.

W powiatach nad granicą rosyjską położonych i im przyległych, skutki tej agitacyi ujawniły się w licznych pielgrzymkach włościan galicyjskich na uroczystości cerkwi prawosławnej, w szczególności na odpusty do Poczajowa.

Stwierdzając istnienie we wschodniej Galicyi agitacyi politycznej i religijnej t. zw. moskalofilskiej, rzecz zresztą powszechnie znaną, nie możemy jednak zgodzić się na to, żeby ta agitacya była jedyną przyczyną obecnego ruchu emigracyjnego, żeby ona sama była w stanie go spowodować. Jej znaczenie mogło być tutaj tylko takie, że wpłynęła ona na osłabienie pobudek, wstrzymujących ludność od emigracyi do Rosyi, do których należy przedewszystkiem konieczność zmiany wiary, a dalej to, że zostający pod wpływem owej agitacyi byli skłonniejszymi uwierzyć, że za kordonem czeka ich zapowiadane świetne polepszenie bytu i opieka ojcowska tamtejszego rządu. Wpływ owej agitacyi mógł zaś być tem łatwiejszy i znaczniejszy, im mniej i słabiej działały wpływy przeciwnie, a mianowicie pouczanie ludności o doniosłości różnicy między obrządkiem grecko-katolickim a wiarą prawosławną, pouczanie należące do zakresu cerkwi i szkoły, oraz oświecenie umysłów ludności o tyle, aby nie dawała wiary lada pogłosce niesprawdzonej, nie szła owczym pędem tam gdzie idą inni i nie porzucała egzystencyi w kraju, choćby nieraz bardzo ciężkiej i przykrej, dla nadziei niczem nie popartych. Na poparcie twierdzenia, że przy istnieniu takich dodatkowych wpływów w należytej sile, ruch emigracyjny do Rosyi pomimo agitacyi nie byłby się rozwinął, a w każdym razie nie byłby przybrał znaczniejszych rozmiarów — wystarczy postawić pytanie, czy ludność zachodnich powiatów Galicyi, w której prąd emigracyjny jest już tak dawnym i tak silnym, byłaby skłonna emigrować tłumnie na podstawie takich wieści jak te, które obecny ruch spowodowały, i to do kraju, w którym musiałyby na wstępie zmienić swoją wiarę? Każdy znający stosunki, odpowie z pewnością: nie.

Emigracya dobrowolna znaczniejszej liczby ludności z miejsc rodzinnych do innych okolic kraju lub do innych krajów ma swoją głębszą przyczynę zawsze, choć czasem nie wyłącznie,

w stosunkach ekonomicznych. Tak uczy doświadczenie dawniejszych i nowszych czasów, czerpane nietylko z obcych, lecz także i z naszych stosunków. Rzeczy to zbyt znane, żeby potrzeba przytaczać świadectwa historyczne i przykłady z teraźniejszości na podstawie powyższego twierdzenia. Należy nam przeto zbadać szczegółowo, czyli obecna emigracya kilku tysięcy ludu włościańskiego do krajów sąsiednich pod panowaniem rosyjskiem, różniąca się niewątpliwie od innych emigracyj i raptownym wybuchem ruchu, rychłym powrotem blisko połowy wychodźców i innemi jeszcze towarzyszącemi okolicznościami, ma także swoją głębszą przyczynę w miejscowych stosunkach ekonomicznych, i jakie to w szczególności stosunki ekonomiczne wytwarzają skłonność do wychodźstwa u pewnej części ludności wiejskiej. W tym celu chcemy na podstawie materyałów, jakimi rozporządzamy, rozpatrzeć stosunki ekonomiczne Podola galicyjskiego, o ile te stosunki mogą zostawać w związku z powyższemi pytaniami. Obszarem, którego stosunki będziemy rozpatrywać w tym kierunku, jest obwód sądowy Tarnopolski, obejmujący ośm starostw, a piętnaście powiatów sądowych: Tarnopol (powiaty sądowe Tarnopol i Mikulińce), Skalał (pow. sąd. Skalał, Grzymalów), Zbaraż (pow. sąd. Zbaraż, Nowe Sioło), Husiatyn (pow. sąd. Husiatyn, Kopeczyńce), Czortków (pow. sąd. Czortków), Trembowłę (pow. sąd. Trembowla, Budzanów), Borszczów (pow. sąd. Borszczów, Mielnica) i Zaleszczyki (pow. sąd. Zaleszczyki, Tłuste). Nie obejmujemy naszym badaniem powiatu sokalskiego, który terytoryalnie jest oddzielony i pod wielu względami ma odmienne stosunki i w którym zresztą ruch wychodźczy najpóźniej się objawił i rychło ustał, nie doszedłszy do znaczniejszych rozmiarów. Natomiast wciągamy w zakres badania powiaty czortkowski i trembowelski, z których nie było wychodźstwa, z wyjątkiem sporadycznych kilku wypadków w czortkowskim, a wciągamy je, ponieważ one z tamtymi powiatami mają bardzo podobne, niemal te same stosunki, zatem zestawienie ich z powiatami, które były widownią ruchu emigracyjnego, może posłużyć do tem lepszego wyświecenia sprawy, o którą nam chodzi.

III.

Obszar ośmiu powiatów politycznych, a piętnastu powiatów sądowych, których stosunki ekonomiczne chcemy bliżej rozpa-
trzyć, przedstawia wyniosłą równinę, mniej lub więcej falistą,
poprutą jarami rzek i strumyków, które płyną na południu ku
Dniestrowi, stanowiącemu granicę południową tej krainy. Owe
jary, w północnej części płytkie a szerokie, dalej ku południowi
są coraz głębsze o stromych zboczach. Cała kraina ma charakter
stepowy i klimat stepowy; panują w niej suche wiatry północne
i wschodnie, przynoszące mało chmur i mało deszczów, a w zi-
mie i na wiosnę tem silniej wpływające na obniżenie tempera-
tury, że położenie wyniosłe odsłania tę okolicę zupełnie od
północy. Stąd lata suche i gorące, zimy ostre. W tych warun-
kach klimatycznych zagrażają tutaj rolnictwu z jednej strony
ostra zima, nieraz aż w późną wiosnę, z drugiej strony posucha,
która wobec gleby wszędzie przepuszczalnej, staje się tem fatal-
niejszą dla zbiorów, im we wcześniejszym peryodzie wegetacyi
nastąpi. W dawniejszych czasach owe niekorzyści klimatyczne
łagodzone były dość znacznie przez to, że istniały tu rozleglejsze
lasy, mogące w stosownych położeniach osłaniać od zimnych
wiatrów i zatrzymujące wilgoć atmosferyczną, a następnie bardzo
liczne stawy, tworzone w biegu rzek, które stanowiły rezer-
woary tak pożądanej dla tej okolicy wilgoci. W obu kierunkach,
tak co do lasów jak co do stawów, dzisiejszy stan rzeczy jest
wcale odmienny. Lasy, których obszar jeszcze według metryk
gruntowych z roku 1820 obejmował około 169.000 morgów, zaj-
mują obecnie według najnowszej reambulacyi katastralnej 132.269
morgów, czyli 11·15% całego obszaru, a w poszczególnych po-
wiatach sądowych, w obrębie obwodu sądowego tarnopolskiego,
udział procentowy przypadający na przestrzeń zalesioną, przed-
stawia się w następujący sposób ¹:

¹ Wiadomości statystyczne, wyd. przez krajowe bióro stat: pod kie-
runkiem prof. T. Pilata, tom IX, str. 142 i 143, oraz 147—150.

Powiaty sądowe:	Procent obszaru zajęty przez lasy:
Nowe Sioło	2·89%
Skałat	5·59 „
Tarnopol	6·64 „
Husiatyn	8·36 „
Mikulińce	8·36 „
Zbaraż	9·72 „
Trembowla	10·52 „
Mielnica	11·52 „
Budzanów	13·00 „
Tłuste	13·65 „
Czortków	13·93 „
Zaleszczyki	14·38 „
Kopeczyńce	15·53 „
Borszczów	15·79 „
Grzymałów	17·60 „

We wszystkich tedy wymienionych tu powiatach zalesienie jest niedostatecznem, a w niektórych schodzi do minimalnych rozmiarów. Rozległości stawów dawniejszej i obecnej nie możemy podać dokładnie z powodu, że przestrzenie te nie stanowią osobnej rubryki w katastrze, lecz w połączeniu z innemi gruntami mieszczą się w dwóch rubrykach. Rzecz to jednak powszechnie znana i niejednokrotnie już podnoszona, że na całym Podolu znaczna część stawów została zamienioną na łąki lub role. Najznacniejszą część obszaru owych powiatów, bo nad 69% aż do 84%, zatem powyżej $\frac{2}{3}$ aż ponad $\frac{4}{5}$, stanowią role. W poszczególnych powiatach udział ról przedstawia się następnie:

Powiaty sądowe:	Procent ról:
Nowe Sioło	84·34%
Skałat	81·13 „
Husiatyn	80·81 „
Mikulińce	79·19 „
Tarnopol	78·25 „

Powiaty sądowe:	Procent ról:
Zbaraż	78·11 ⁰ / ₁₀
Trembowla	76·05 „
Tłuste	75·60 „
Budzanów	74·27 „
Czortków	74·02 „
Kopeczyńce	71·66 „
Grzymałów	71·04 „
Mielnica	70·91 „
Borszczów	69·66 „
Zaleszczyki	69·29 „

Powiaty wymienione należą do najbardziej obfitujących w role a najuboższych w lasy z całej Galicyi. Inne rodzaje uprawy, mianowicie pastwiska i łąki, są bardzo szczupło zastąpione. Udział procentowy pastwisk nie dochodzi nigdzie do 4⁰/₁₀ całego obszaru, udział łąk do 4·5⁰/₁₀, podczas gdy w całej Galicyi przypada na pastwiska 9·18⁰/₁₀ (nie licząc hał i połonin), na łąki 11·17⁰/₁₀.

Na obszarze wspomnianych powiatów, obejmującym ogółem 118·6 mil kwadr. austriackich, czyli 6827·67 kilometrów kwadr., żyło według spisu z 31 grudnia 1890 r. ogółem 676.069 ludności, w której to cyfrze mieści się 2476 ludzi załogi wojskowej¹. Według spisu z 31 grudnia 1880 r., znajdowało się na tym samym obszarze 604.806 ludności obecnej, w czem 1575 załogi wojskowej. Przyrost ludności w ciągu lat dziesięciu wynosił tedy 71.263 głów, z czego 901 przypada na karb powiększenia załogi wojskowej. Ludność obwodu sądowego tarnopolskiego wzrosła zatem od r. 1881—1890 o 11·78⁰/₁₀, podczas gdy w całej Galicyi ludność wzrosła w tym samym czasie o 10·8⁰/₁₀. Na ten szybszy wzrost ludności w obwodzie sądowym tarnopolskim nie wpływało bynajmniej znaczniejsze powiększenie się ludności miast, które, jak wiadomo, wzrastają w liczbę mieszkańców szybciej niż reszta kraju, skąd ludność do nich napływa. W obwodzie sądowym tarnopolskim znajduje się tylko jedno miasto

¹ Wiadomości statystyczne. Tom XIII, zeszyt 1 — i *Oesterr. Statistik.* T. xxxii, zeszyt 1.

z ludnością wyżej 10.000, a ludność tego miasta wzrosła w ciągu wspomnianych lat dziesięciu z 25.819 na 27.405, zatem tylko o 6·1%, z czego część przypada jeszcze na wzmocnienie załogi wojskowej o 575 ludzi. Ów wzrost ludności w obwodzie sądowym tarnopolskim wynikł z przewyżek urodzin nad wypadki śmierci, zatem z wewnętrznego przyrostu, a byłby jeszcze znaczniejszym, gdyby równocześnie nie był nastąpił pewien odpływ ludności do innych okolic. Przewyżka liczby urodzonych ponad liczbę zmarłych wyniosła bowiem w latach 1881—1890 razem 75.490 głów, czyli 12·48% ludności z r. 1880, podczas gdy spis z r. 1890 wykazał tylko o 71.263, czyli o 11·78% więcej niż spis z r. 1880; zatem w ciągu dziesięciolecia ubyć musiało 4227 osób, czyli 0·70% ludności z r. 1880, skutkiem przewyżki odpływu na zewnątrz, tj. do dalszych powiatów lub za granicę, ponad napływ z zewnątrz, tj. z reszty kraju lub z zagranicy. Stosunki te przyrostu ogólnego, przyrostu wewnętrznego i napływu, względnie odpływu ludności, przedstawiają się do pewnego stopnia odmiennie w poszczególnych powiatach. Wykazujemy je w tablicy według powiatów politycznych, gdyż nie rozporządzamy w tym względzie datami dla powiatów sądowych, co dla bliższego poznania stosunków zaludnienia byłoby pożądanem. (Tablica na str. 245).

Według tej tablicy najznaczniejszy przyrost wewnętrzny, tj. z nadwyżki urodzin ponad wypadki śmierci, był w okresie 1881—1890 w powiecie husiatyńskim (15·85%), po nim następują: Trembowla (14·48%), Zbaraż (13·78%), Borszczów (12·14%), Skalał (12·13%), a w końcu Tarnopol (11·51%), Zaleszczyki (10·39%) i Czortków (9·66%). Porównywając ten przyrost wewnętrzny z przyrostem ostatecznym, jaki wykazuje porównanie spisów, okazuje się, że w ciągu dziesięciolecia opuściło powiat, udając się do innych powiatów w kraju lub poza kraj:

w powiecie borszczowskim	3066
„ zbaraskim	1390
„ tarnopolskim	1173
„ husiatyńskim	743

w powiecie zaleszczyckim 651

„ trembowelskim 571

Natomiast w dwóch powiatach przyrost wewnętrzny okazał się mniejszym niż przybytek ludności, jaki wykazał spis z r. 1890 w porównaniu ze spisem z r. 1880, mianowicie o 1952 w pow. czortkowskim, w którym przyrost wewnętrzny był najmniejszym, i o 1415 w pow. skałackim, w którym dalsze daty spisu wykazują nader znaczny wzrost ludności żydowskiej, zapewne w części zewnątrz napływającej. Przeważna część powiatów podolskich wykazuje tedy w okresie 1881—1890 znaczny a nawet bardzo znaczny przyrost wewnętrzny, a zarazem odpływ ludności na zewnątrz, który w powiatach: borszczowskim, zbaraskim i tarnopolskim dochodzi do stosunkowo znaczniejszych cyfer.

Mówiąc tutaj o odpływie i napływie ludności w poszczególnych powiatach, mamy na myśli zawsze przewyżkę odpływu ponad napływ, lub odwrotnie. W czasach ułatwionej komunikacji, jak dzisiejsze, i wobec nieistnienia u nas prawnych przeszkód w zmianie miejsca pobytu, każda okolica musi mieć pewien napływ ludności z zewnątrz i równocześnie pewien odpływ na zewnątrz. Daty jednak, które podaliśmy, zawierają tylko ostateczny rezultat tych kompensujących się wędrówek. Ów rezultat, wykazujący w jednym tylko powiecie borszczowskim przewyżkę odpływu, wynoszącą 3% ludności z r. 1880, nie może iść w porównanie z ubytkiem wskutek wędrówek, jakiego w tym samym okresie dziesięcioletnim doznały inne powiaty Galicyi, a głównie zachodnie. Mamy bowiem trzynaście powiatów, w których odpływ wskutek wędrówek przenosił 5% ludności z r. 1880, a między niemi powiaty: dąbrowski i pilźnieński wykazują ponad 10%. To też odpływ ludności z powiatów podolskich wobec znacznego przyrostu wewnętrznego nie mógł obniżyć znacząco ostatecznej cyfry przyrostu w okresie 1881—1890, która w powiatach skałackim i husiatyńskim przenosi 14%, w trembowelskim i czortkowskim wynosi ponad 13%, w zbaraskim i tarnopolskim ponad 10%, a tylko w borszczowskim i zaleszczyckim wynosi 9%, a włącznie 9·11%.

Ludność, jej przyrost i gęstość zaludnienia.

Powiaty	Ludność obecna		Przyrost		Na ten przyrost składa się			Gęstość zaludnienia	
	1880	1890	w liczbie	‰	przewyżka urodzin nad wypadki śmierci	w liczbie	‰	przewyżka nadwyżki z zewnątrz nad odpływ na wewnątrz lub odwrotnie	na 1 kilom. kwadr.
Tarnopol	108.670	120.006	11.336	10.43	12.509	11.51	— 1.173	— 1.08	93 103
Zbaraż	59.869	66.722	6.853	11.46	8.243	13.78	— 1.390	— 2.32	78 86
Skalał	73.692	84.047	10.355	14.05	8.940	12.13	+ 1.415	+ 1.92	83 95
Trembowla	63.235	71.823	8.588	13.58	9.159	14.48	— 571	— 0.90	91 103
Czortków	57.257	64.741	7.484	13.07	5.532	9.66	+ 1.952	+ 3.41	83 90
Husiatyn	77.791	89.377	11.586	14.89	12.329	15.85	— 743	— 0.96	89 102
Borszczów	97.935	106.755	8.820	9.01	11.886	12.14	— 3.066	— 3.13	96 104
Zaleszczyki	66.357	72.598	6.241	9.41	6.892	10.39	— 651	— 0.98	92 101
Ogółem	604.806	676.069	71.263	11.78	75.490	12.48	— 4.227	— 0.70	89 99

W ścisłym związku z przyrostem ludności zostaje wzrost gęstości zaludnienia, który wykazują dwie ostatnie rubryki tablicy. Już na podstawie poprzednich spisów ludności z lat 1869 i 1880 zaliczano powiaty podolskie, mianowicie południowe, do okolic Galicyi, mających ludność gęstszą od przeciętnej w tym kraju. Obecnie na ośm powiatów politycznych, pięć wykazuje w przecięciu nad 100 do 104 ludności na kilometrze kwadr., a mianowicie Trembowla, Husiatyn, Borszczów i Zaleszczyki, tudzież Tarnopol, który jednak po wyłączeniu ludności miasta Tarnopola i jego obszaru, miałby tylko 79. Dwa powiaty, Skalat i Czortków, mają 95, względnie 90 mieszkańców na kilometrze kwadr., jeden powiat Zbaraż ma ich 86. Dla należytego ocenienia tych cyfer należy tu przypomnieć, że na 74 powiatów Galicyi, tylko 11 ma gęstość zaludnienia wyższą nad 104 mieszkańców na kilometrze kwadr., a są to prawie wyłącznie powiaty przemysłowe na zachodnim krańcu kraju; że w krajach przemysłowych, jak na Szląsku austryackim i Morawii, gęstość zaludnienia w pierwszym kraju w 4 powiatach na 7, w drugim kraju w 18 powiatach na 31, wynosiła w r. 1890 tylko 80 do 100 mieszkańców na kilometrze kwadr.; wreszcie, że gęstość zaludnienia rolniczych departamentów we Francyi, gdzie mała własność więcej przeważa niż u nas i gdzie rozpowszechnioną jest uprawa ogrodowa, nie dochodzi do cyfry 80 mieszkańców na kilometrze kwadr. Jeśli teraz zważymy, że w powiatach podolskich niemal wyłącznem zatrudnieniem mieszkańców jest rolnictwo, i to z wyjątkiem części najbardziej na południe wysuniętej, gdzie uprawia się kukurudza i tytoń, prowadzona dość ekstensywnie uprawa zbóż, że prócz Tarnopola niema tutaj miast większych, że brak wszelkiego przemysłu z wyjątkiem młynów i rolniczych gorzelni — to musimy uznać, że wobec takich stosunków, gęstość zaludnienia tych powiatów jest istotnie wyjątkowo znaczną, i w pewnych częściach tego obszaru zdaje się dochodzić do kresu przeludnienia, poza którym część ludności musi znaleźć zajęcie inne jak dzisiejsze, by się utrzymać na miejscu, albo też musi szukać zarobku i utrzymania w innych stronach.

Jeżeli zamiast powiatów politycznych weźmiemy na uwagę mniejsze powiaty sądowe, natenczas wystąpią wyraźniej różnice w gęstości zaludnienia w obrębie badanego obszaru. Najmniejsze zaludnienie wykazują powiaty sądowe: Nowe Sioło (w pow. zbaraskim) z 71 mieszkańcami i Tarnopol (bez miasta Tarnopola) z 76 mieszkańcami na kilometr kwadr. Natomiast wyżej 100 mieszkańców na kilometr kwadr. mają powiaty sądowe: Husiatyn (110), Budzanów (108), Zaleszczyki (106), Skalać (105), Borszczów, Mielnica (po 104), Trembowla (101), Zbaraż (99). Z pozostałych pięciu powiatów sądowych, Kopeczyńce i Tłuste mają po 97, Czortków 93, Mikulińce 89 a Grzymałów 87 mieszkańców na kilometr kwadr.

Gęstość zaludnienia jest najzwieźlejszym wyrazem ekonomicznych stosunków danej okolicy, jak one się ukształtowały pod wpływem warunków przyrodzonych i zatrudnień ludności. Wskazówka to jednak zbyt ogólnikowa, żeby można na niej oprzeć sąd o tych stosunkach, choćby w połączeniu z tem, co na wstępie tego rozdziału powiedzieliśmy o podziale obszaru pomiędzy główne rodzaje uprawy. Musimy przeto wglądać, o ile pozwoli na to materiał statystyczny, którym rozporządzamy, w podział własności ziemskiej w obrębie powiatów badanych, a następnie w stosunki zarobkowe ludności wiejskiej.

IV.

Przystępując do rozpatrzenia podziału własności ziemskiej w powiatach Podola galicyjskiego, należy nam przedewszystkiem rozróżnić własność tabularną i nietabularną. Według badań przeprowadzonych niedawno przez autora niniejszej pracy¹, przypada z obszaru obwodu sądowego tarnopolskiego 495.996 morgów na własność tabularną, która składa się z 716 ciał tabularnych, należących do 353 właścicieli, zaś resztę w obszarze 690.467 morgów, zajmuje własność włościańska i miejska. Te dwie ostatnie kategorie własności możemy tem śmieiej tutaj połączyć, że z wyjątkiem miasta Tarnopola, inne gminy miejskie na Podolu

mają charakter przeważnie rolniczych osad i ludność ich chrześcijańska po największej części trudni się rolnictwem.

Stosunek procentowy własności tabularnej i nietabularnej jest ten, że na pierwszą przypada 41·81%, na drugą 58·19% całego obszaru. W poszczególnych powiatach stosunek ten przedstawia się następująco:

Powiaty:	własność	
	tabularna:	nietabularna:
Tarnopol	37·90%	62·10%
Zbaraż	35·08 „	64·92 „
Skalat	38·58 „	61·42 „
Trembowla	33·97 „	61·03 „
Husiatyn	47·99 „	52·01 „
Czortków	44·43 „	55·57 „
Borszczów	45·26 „	54·74 „
Zaleszczyki	47·18 „	52·82 „

Na pierwszy rzut oka uderza różnica pomiędzy umieszczonemi naprzód czterema powiatami północnego Podola a umieszczonemi pod kreską powiatami Podola południowego. Podczas gdy w pierwszych przypada na własność nietabularną od 61 do 65% całego obszaru, to w powiatach południowych mało co nad połowę, bo 52 do 55 %. Wykazany tu udział własności nietabularnej w obszarze ogólnym, jest w obu częściach Podola niemal ten sam od czasu zniesienia poddaństwa, zatem od lat czterdziestu, a zmiany jakie w tym czasie nastąpiły, stosunkowo nieznaczne, są tylko te, iż wydzielono pewne przestrzenie z własności tabularnej, jako wynagrodzenie za zniesione służebnictwa i wcielono do własności nietabularnej. Tworzenie nowych osad włościańskich przez parcelację posiadłości dworskich, tak częste w Galicyi zachodniej, nie zdarzało się dotąd na Podolu¹, a ogólna ilość posiadłości tabularnych z obszarem poniżej 200 morgów wynosi tylko 70 we wszystkich powiatach razem wziętych. Nie występuje tedy w tej części kraju ani dążność do rozszerzania się własności mniejszej, włościańskiej, kosztem własności tabularnej, dążność, która objawia się już tu i ówdzie w środkowych i wschodnich częściach kraju, ani też dążność do wydzielania się posiadłości średnich rozmiarów w obrębie własności tabularnej.

¹ Powstała jedynie osada miejska Podwoleczyska na obszarze dworsk.

Własność nietabularna, której stosunki chcemy tutaj bliżej rozpatrzeć, zajmuje w obrębie obwodu sądowego tarnopolskiego:

ról	571.872	morgów czyli	82·82 ⁰ / ₁₀
łąk	12.747	" "	1·85 "
ogrodów	31.371	" "	4·54 "
pastwisk	24.981	" "	3·62 "
lasów	10.945	" "	1·59 "
stawów i moczarów	535	" "	0·08 "
nieużytków i innych gruntów			
wolnych od podatku	29.980	" "	4·54 "
placów pod budowlami	8.032	" "	1·16 "
razem	690.466	" "	100— "

Największą część obszaru, bo przeszło $\frac{3}{4}$, zajmują tu role. W poszczególnych powiatach sądowych obszar zajęty przez role, dochodzi aż do 88·65⁰/₁₀ (pow. Nowe Sioło) i 87·25⁰/₁₀ (pow. Zbaraż), a schodzi do 75—78⁰/₁₀ tylko w dwóch najbardziej na południe wysuniętych powiatach: mielnickim i borszczowskim, gdzie upowszechnioną jest uprawa ogrodowa i gdzie ogrody zajmują 9·50⁰/₁₀ a względnie 6·37⁰/₁₀ całego obszaru własności nietabularnej. Natomiast szczupły bardzo udział w tym obszarze mają łąki i pastwiska, co wobec tego, iż utrzymywanie bydła na stajni przez rok cały nie jest znanem u włościan podolskich, zniewala do pozostawienia części pól w gminie ugorem, celem uzupełnienia pastwiska dla bydła, tem samem umniejsza przestrzeń, dającą plony rolnicze ¹.

Według przybliżonych obliczeń, dokonywanych dla statystyki zbiorów, przypada z całego obszaru ról na role uprawione pod

na Podolu północnem: na Podolu południowem:

pszenicę ozimą	11·23 ⁰ / ₁₀	8·70 ⁰ / ₁₀
" jarą	0·31 "	1·00 "
żyto	17·23 "	18·00 "
jęczmień	10·93 "	10·30 "
owies	11·23 "	4·75 "
kukurudzę	1·80 "	11·65 "
ziemniaki	7·39 "	12·55 "
ugorem pozostało	15·55 "	7·84 "

¹ Dla porównania dodajemy tutaj, że w całym kraju własność nietabularna obejmuje: ról 59⁰/₁₀ łąk, 14·3⁰/₁₀, ogrodów 2⁰/₁₀, pastwisk 13⁰/₁₀, lasów 6·9⁰/₁₀, reszta przypada na inne grunta.

Po tych ogólnych wskazówkach co do stosunków mniejszej własności na Podolu, przystępujemy do omówienia podziału ziemi w obrębie tej własności. Jak wiadomo istniały dawniej w Galicyi, tak samo jak w przeważnej liczbie innych krajów austriackich, ograniczenia w dzieleniu gruntów włościańskich, które uchyliła dopiero ustawa krajowa o wolności obrotu własnością ziemską z d. 1 listopada 1868 r. Przed wydaniem tej ustawy każdy podział posiadłości włościańskiej wymagał uprzedniego przyzwolenia władzy obwodowej, która badała, czyli na posiadłościach, skutkiem podziału powstać mających, rodzina włościańska będzie mogła się wyżywić. Dzieliący grunta bez pozwolenia podlegali karze, a oprócz tego z urzędu uznawano podziały takie za nieważne i zarządzano przywrócenie poprzedniego stanu posiadania. W związku z tem, zostawało odrębne prawo spadkowe dla włościan, które przekazywało posiadłość spadkową niepodzielną jednemu ze spadkobierców, zastrzegając dla reszty spadkobierców spłatę sched, o ile nie zostały pokryte innym majątkiem spadkodawcy. I te przepisy spadkowe zniesione zostały w myśl ustawy państwowej z d. 27 czerwca 1868, równocześnie z wejściem w życie wspomnianej poprzednio ustawy krajowej, co nastąpiło na d. 8 grudnia 1868. Odtąd tedy wolno posiadłości włościańskie bez żadnego ograniczenia dzielić; wolno też, co przedtem nie było dozwolonem, posiadać równocześnie więcej posiadłości włościańskich, albo posiadłości takie i posiadłości innego rodzaju (miejskie, dworskie). Odtąd też obowiązuje także w odniesieniu do posiadłości włościańskich powszechne prawo spadkowe, według którego wartość całego spadku szacuje się na pieniądze i dzieli się pomiędzy współspadkobierców, stosownie do bliskości pokrewieństwa, lub postanowień testamentowych. Spadkobiercy stają się współwłaścicielami w oznaczonych częściach tak całego spadku, jak i posiadłości w skład jego wchodzącej; na żądanie któregokolwiek z nich ta współwłasność może być uchyloną bądź przez podział w naturze, bądź przez sprzedaż i podział ceny kupna.

W Galicyi, gdzie pomiędzy ludnością wiejską, tak polską jak ruską, wżył się od wieków zwyczaj dzielenia gruntów po-

między rodzeństwo, gdzie niema przemysłu, któremu mogłaby się oddawać część rodzeństwa włościańskiego, gdzie ludność włościańska nie zna w ogólności innego zajęcia zarobkowego nad pracę około roli a w górach chów bydła, gdzie wreszcie ogół ludności włościańskiej myśli tylko o tem, żeby być samoistnym gospodarzem choćby na małym kawałku ziemi — dążność do podziału posiadłości włościańskich była już za czasów, kiedy istniały wspomniane poprzednio ograniczenia, tak silną i powszechną, że obok licznych podziałów dozwalanych przez władze, odbywały się niemniej liczne a prawdopodobnie jeszcze liczniejsze podziały nielegalne, które w stosunkowo rzadkich wypadkach bywały unieważniane. Podział własności włościańskiej w obrębie dawnych cyrkulów tarnopolskiego i czortkowskiego, składających razem dzisiejszy obwód sądowy tarnopolski, wykazuje następujące zestawienie najpierw według metryk gruntowych z r. 1820, a następnie według stałego katastru z lat 1848—52. Zestawienie to, wyjęte przez nas z cennej pracy ś. p. M. Marasségo¹, ułożone zostało na podstawie wykazów udzielonych w r. 1868 Wydziałowi krajowemu przez władze rządowe.

Ilość posiadłości rustykalnych

z obszarem	wynosiła według		
	metryk z r. 1820	stałego katastru	zatem $\pm$
niżej 2 morgów	10.574	22.347	+ 11.773
nad 2—5 „	5.403	8.310	+ 2.907
„ 5—10 „	23.725	26.159	+ 2.434
„ 10—20 „	17.070	17.830	+ 760
„ 20—50 „	4.204	4.086	— 118
„ 50—100 „	145	127	— 18
„ 100 „	66	59	— 7
ogółem	61.187	78.888	+ 17.701

W ciągu lat około trzydziestu ilość gospodarstw włościańskich na Podolu wzrosła tedy o 28⁰/₀. Wzrost ten był o wiele mniej znaczny od wzrostu liczby gospodarstw włościańskich w innych okolicach kraju, albowiem w tym samym okresie ilość tych gospodarstw potroiła się niemal w dawnym cyrkule sądec-

¹ O wolności parcelowania gruntów ze względu na stosunki galicyjskie. *Przegląd Polski* 1868, tudzież w wydaniu pism M. Marassé t. I. str. 345-381.

kim, podwoiła w wadowickim, stryjskim i kołomyjskim, a wzrosła o połowę w rzeszowskim, samborskim, żółkiewskim i lwowskim. Wobec nierównie słabszego wówczas zaludnienia na Podolu i wobec tego, że w przecięciu wypadło już podług stałego katastru na jedną posiadłość włościańską na Podolu północnem 9·4 morgów, na Podolu południowem 8·6 morgów, wzrost liczby gospodarstw włościańskich wykazany powyżej nie może być uważanym za objaw niekorzystny. Ciemną stroną w danych powyższych wydaje się być ta okoliczność, że największa część owego wzrostu przypada na gospodarstwa niżej 2 morgów, których ilość podwoiła się w ciągu lat trzydziestu i które w r. 1820 stanowiły szóstą, około r. 1850 zaś już więcej niż czwartą część ogółu gospodarstw włościańskich. Jednakże fakt ten przedstawia się w trochę mniej niekorzystnem świetle, jeśli zważymy, że w owym okresie rozszerzała się uprawa rolna, obejmując w regularny tryb gospodarstwa coraz dalsze przestrzenie, że zatem pomnożenie sił roboczych leżało w interesie ogólnym gospodarczego rozwoju tej okolicy.

Dla czasów późniejszych nie mamy niestety materiału statystycznego, któryby w podobny sposób wykazywał w obrębie całego badanego przez nas obszaru podział posiadłości włościańskich na kategorie podług rozmiarów. Rząd przygotowuje dopiero obecnie statystykę własności ziemskiej, która między innymi wykaże podział posiadłości podług rozmiarów, a materiał olbrzymi, jakiego dostarczyła reambulacja katastru w r. 1882, okazał się tak trudnym do wyzyskania dla statystyki własności ziemskiej, że krajowe biuro statystyczne musiało poprzestać w odniesieniu do własności nietabularnej na przedstawieniu szczegółowem podziału własności w 249 gminach wybranych w całym kraju¹, a oprócz tego opracowało w całości podział własności ziemskiej w dwóch powiatach, z których jeden, skałacki, stanowi część badanego przez nas obszaru. Niemniej przeto rozporządzamy i teraz datami wskazującymi na dalsze

¹ Wiadomości statystyczne tom x. Rozdrobnienie własności włościańskiej w Galicyi.

postępy w rozdrabnianiu własności włościańskiej na Podolu, i na kierunek, w jakim głównie ma miejsce owe rozdrobnienie.

Do takich dat należy najpierw wzrost liczby osób opłacających podatek gruntowy (*Grundsteuerträger*). Straciwszy właścicieli dóbr tabularnych, otrzymujemy dla własności nietabularnej następujące cyfry:

opłacających podatek gruntowy było:			
Powiaty	w r. 1882	w r. 1892	zatem więcej w r. 1892 o
Tarnopol	30.494	32.029	1.535
Zbaraż	17.126	20.320	3.194
Skalat	20.007	21.214	1.207
Trembowla (daty z r. 1886)	15.426	18.484	3.058
Husiatyn	14.820	21.798	6.978
Czortków	13.648	15.905	2.257
Borszczów	23.452	30.939	7.487
Zaleszczyki	17.651	19.521	1.870
Razem	152.624	180.210	27.586

Ilość opłacających podatek gruntowy wzrosła tedy w ciągu ostatnich lat dziesięciu o 19% czyli blisko o piątą część. Wzrost ten okazałby się jeszcze cokolwiek znacniejszym, gdybyśmy dla powiatu trembowelskiego mogli byli wstawić cyfrę z r. 1882 a nie cyfrę z r. 1886, którą w braku pierwszej musieliśmy podać. Pomiedzy poszczególnymi powiatami zachodzą bardzo znaczne różnice pod względem szybkości wzrostu liczby opłacających podatek gruntowy. W powiecie husiatyńskim wzrosła ich liczba aż o 47%, zatem blisko o połowę; w borszczowskim o 32%, zatem blisko o trzecią część; w trembowelskim od r. 1886 o blisko 20%, zatem prawdopodobnie w ciągu dziesięciolecia 1882—1892 więcej niż o trzecią część. Powiat zbarski wykazuje przybytek opłacających podatek gruntowy o 18·6%, czortkowski o 16·5%. Natomiast w trzech pozostałych powiatach przybytek ten był o wiele mniej znaczny, wynosił bowiem w powiecie zaleszczyckim 10·6%, w skalackim 6%, w tarnopolskim tylko 5%. Skala powyższa nie zgadza się z wykazaniem poprzednio następstwem powiatów ze względu na ogólny przyrost ludności, który w stosunkach rolniczych jak podolskie powinienby pociągać za sobą, im jest szybszym tem szybszy po-

stępowanie rozdrobnienia ziemi. Jednakże należy pamiętać o tem, że wzrost liczby opłacających podatek gruntowy nie obejmuje całego przyrostu posiadłości włościańskich, ponieważ posiadłości, składające się z samych tylko parcel budowlanych, nie płać podatku gruntowego. Mogły zatem, obok wzrostu liczby opłacających podatek gruntowy, wzrastać równocześnie w liczbę posiadłości składające się z samych parcel budowlanych, zatem chałupnicze w najściślejszym tego słowa znaczeniu, i mogły wzrastać silniej w powiatach, w których wzrost liczby posiadłości gruntowych był mniej szybkim. Że niejednokrotnie tak się rzecz miała w istocie, wskazuje przyrost liczby domów, wynikający z porównania spisów z r. 1880 i 1890. Po powiatach borszczowskim i husiatyńskim, w których liczba domów wzrosła o 16% i 14%, mamy powiaty skałacki i tarnopolski, w których ilość domów wzrosła o 13% i 12%, a które stoją na ostatnim miejscu pod względem wzrostu liczby opłacających podatek gruntowy. Dalsze powiaty wykazują przyrost liczby domów: czortkowski o 13%, trembowelski i zbaraski każdy o 10%, zaleszczycki o 9%.

Marassé obliczył był stosunek ilości gospodarstw włościańskich na Podolu do ziemi przez nie zajętej na podstawie dat stałego katastru, zatem dla czasu około 1852 r., w ten sposób, że na jedno z 78.888 gospodarstw, wykazanych według katastru, przypadało w przecięciu około 9 morgów. Cyfra ta wydaje się nam trochę za wysoką, ponieważ wspomniany autor nie wydzielił z przestrzeni, wypadającej do podziału, obszaru pastwisk gminnych, co prawda podówczas mniejszej niż dziś po wykupieniu służebnictw. Obliczając ten sam stosunek dla 152.624 gospodarstw gruntowych w r. 1882 i dla 180.210 takichże gospodarstw w r. 1892, wypadnie z całego obszaru, zajętego przez własność nietabularną, po strąceniu gminnych lasów i pastwisk, na jedno gospodarstwo gruntowe w r. 1882 4·3 morgi, w r. 1892 tylko 3·6 morgi. Zatem w ciągu lat około czterdziestu ilość gospodarstw włościańskich wzrosła z 78.888 na 180.210, czyli blisko 2½ razy, a przeciętny ich obszar o tyleż się zmniejszył. W poszczególnych powiatach przeciętny obszar jednego gospodarstwa

włościańskiego przedstawia się w r. 1892 w ten sposób, że wynosi on w pow. borszczowskim 2·96 morg., w zaleszczyckim 3·10, w husiatyńskim 3·47, w tarnopolskim 3·78, w trembowelskim 3·80, w czortkowskim 3·95, w zbaraskim 4·14, w skałackim 4·17 morgi.

Na dalsze pytanie, w jaki sposób dzielą się obecnie posiadłości włościańskie w powiatach podolskich na kategorie podług rozmiarów, możemy dać, jak już wspomnieliśmy poprzednio, odpowiedź wyczerpującą tylko dla jednego powiatu skałackiego i to na podstawie dat z czasów reambulacyi katastru tj. czasu około r. 1882, zatem z przed 10 laty. Wówczas na 20·277 posiadłości objętych badaniem¹ było posiadłości z obszarem:

niżej 1 morga	6494	czyli	32·03%
nad 1 — 3 mrg.	5644	„	27·83 „
„ 3 — 5 „	2224	„	10·97 „
„ 5 — 10 „	3891	„	19·19 „
„ 10 — 15 „	1019	„	5·02 „
„ 15 — 20 „	561	„	2·77 „
„ 20 — 25 „	154	„	0·76 „
„ 25 — 50 „	201	„	0·99 „
„ 50 „	89	„	0·44 „

Posiadłości pierwszych trzech kategorii, tj. do 5 morgów włącznie, stanowią przeszło 70% wszystkich posiadłości, posiadłości niżej 1 morga same 32%, z tych jednak część przypada na realności miejskie w Skałacie i Grzymałowie. Do kategorii pośredniej na 5—25 morgów należy 27·74%, do kategorii nad 25 morgów tylko 1·43% wszystkich gospodarstw.

Poza temi datami dla powiatu skałackiego możemy jeszcze podać daty o podziale własności włościańskiej w 22 gminach, wybranych w każdym z 15 powiatów sądowych Podola. Daty te ogłoszone zostały w całej rozciągłości w wspomnianej już pracy o rozdrobnieniu własności włościańskiej. Nie myślimy bynajmniej generalizować tych dat, odnoszących się do małej części, bo do 5% gmin w obrębie badanego obszaru, lecz uwa-

¹ Cyfra powyższa, z której wyłączone są już posiadłości tabularne, nie zgadza się z cyfrą opłacających podatek gruntowy w pow. skałackim, która po strąceniu posiadaczy tabularnych wynosi 20.007.

zając je jedynie jako przykłady rozdrobnienia własności włościańskiej w tych stronach, podamy tylko, jaka część posiadłości włościańskich w każdej z tych gmin wykazuje, według operatów obecnego katastru gruntowego z r. 1882, roczny przychód gruntowy nie przenoszący 10 złr. i jaki jest przeciętny obszar takiej posiadłości. Daty te, nie potrzebujące dalszego komentarza, zawiera następujące zestawienie:

Gminy:	powiat sądowy:	posiadłości z przychodem katastr. do 10 złr.		posiadłości te stanowią % wszystkich posiadłości w gminie:
		ilość:	przeciętny obszar:	
Błyszczanka	Zaleszczyki .	391	1 m. 130 s. kw.	85 ⁰ / ₀
Suszczyzn	Mikulince .	311	1 „ 160 „	75 „
Filipkowce	Mielnica .	305	1 „ 450 „	73 „
Nowosiółka Rościukowa	Zaleszczyki .	548	1 „ 185 „	72 „
Czernichowce	Zbaraż .	608	1 „ 590 „	67 „
Nałuze	Trembowla .	125	1 „ 710 „	65 „
Ilawcze	Trembowla .	449	1 „ 440 „	63 „
Piłatkowce	Borszczów .	188	1 „ 330 „	63 „
Cebrów	Tarnopol .	245	1 „ 430 „	63 „
Krzyweńkie	Husiatyn .	259	1 „ 175 „	62 „
Kołodziany	Czortków .	190	1 „ 480 „	61 „
Chłopówka	Kopeczyńce .	209	1 „ 80 „	60 „
Lubianki wyższe	Zbaraż .	350	1 „ 280 „	58 „
Świdowa	Czortków .	237	1 „ 330 „	56 „
Nowosiółka Skalacka . .	Skalat .	208	1 „ 490 „	54 „
Borki małe	Grzymałów .	114	— „ 1390 „	54 „
Bogdanówka	Nowe Siolo .	277	1 „ 315 „	53 „
Terpilówka	Nowe Siolo .	155	1 „ 125 „	52 „
Szutromińce	Tłuste .	112	1 „ 795 „	51 „
Ostapie	Grzymałów .	293	1 „ 325 „	51 „
Klunińce	Kopeczyńce .	205	1 „ 295 „	49 „
Okno	Grzymałów .	242	1 „ 400 „	48 „
Capowce	Tłuste .	175	1 „ 170 „	42 „

Wszystkie daty, jakie przytoczyliśmy tutaj z rozmaitych źródeł, w przedmiocie podziału własności włościańskiej na Podolu, jakkolwiek nie wyczerpują tej ważnej kwestyi, wykazują jednak zdaniem naszym niewątpliwie, że rozdrobnienie tej własności w przeciągu ostatnich lat czterdziestu bardzo znacznie postąpiło równocześnie ze wzrostem ludności i że postępuje ciągle dalej, jak to poświadcza w szczególności wzrost liczby opłacających podatek gruntowy między r. 1882 a 1892. Wyka-

zują dalej te daty, że obecny podział własności włościańskiej w obrębie badanego obszaru jest taki, iż istnieje bardzo znaczna ilość posiadłości drobnych, składających się bądź z chaty i ogrodu, bądź z chaty, ogrodu i kawałka pola. Na tak małych kawałkach gruntu, niepodobna utrzymać bydła potrzebnego do uprawy i nawożenia, możliwą byłyby tu jedynie uprawa ogrodowa, a na tę znowu nie pozwalają w większej części Podola stosunki klimatyczne i miejscowe warunki odbytu. W okolicach na południe wysuniętych, gdzie uprawa ogrodowa, mianowicie roślin handlowych, znajduje sprzyjające warunki, brak inteligencji, zapobiegliwości i pouczenia stosownego, sprawiają, że uprawa taka nie rozwija się lub nie przynosi należytych korzyści. Liczni właściciele tych drobnych gospodarstw gruntowych, których przychód przy lichej uprawie jest bardzo mały, oraz liczni chałupnicy stanowią tedy warstwę ludności, która utrzymania dla siebie i rodziny zniewoloną byłaby szukać w zarobku, bądź w znacznej części, bądź prawie wyłącznie. Obok tej warstwy znajduje się jeszcze dalsza część ludności, dawniej a w pewnych okolicach i teraz jeszcze bardzo nieliczna, jednak obecnie coraz liczniejsza, którą stanowią ludzie nie mający ani kawałka ziemi uprawnej i nieraz i chaty własnej, zatem robotnicy wiejscy w ścisłym słowa znaczeniu. Ta ostatnia warstwa wytwarza się po największej części z właścicieli, którzy nie mogli się utrzymać przy zbyt drobnych kawałkach roli i żyją obecnie z pracy przy gospodarstwach dworskich, lub innych. Sprawozdania złożone Wydziałowi krajowemu, stwierdzając to, cośmy tu napisali, dodają jeszcze niektóre dalsze szczegóły. I tak dwa sprawozdania z powiatu zbaraskiego donoszą, że w każdej wsi jest kilku chłopów bogaczy, mających czasem i po 50 morgów pola, pewna część jest średnich właścicieli, mających po kilka do kilkunastu morgów, które rozdrabniają się przez ciągłe podziały, resztę stanowią posiadacze 1 do 2 i 3 morgów, chałupnicy i zarobnicy bez domów. Sprawozdanie z powiatu borszczowskiego stwierdza, że „podział gruntów włościańskich dochodzi już do ostatnich możliwych granic, a pomimo tego drobi je gospodarz dalej, skoro wydarza się u niego ożenienie syna

lub wydanie córki za męża, a nowożeńcy zakładają nowe oddzielne gospodarstwo, choćby na piędzi ziemi, nie chcąc w przyszłości należeć do rzędu czeladzi swych rodziców, a tem mniej pogodziliby się z losem służby u zamożniejszych włościan lub we dworze“. Dwa dalsze sprawozdania podnoszą również, że swoboda dzielenia gruntów wytworzyła drobnych właścicieli, posiadaczy 1—2 morgów, którzy uważają się za gospodarzy i nie mogą się oswoić z myślą, że powinni żyć z dziennego zarobku, uważając to poniekąd za poniżenie. Inne sprawozdanie stwierdza, że wskutek nieograniczonej swobody w dzieleniu gruntów, podzielono „każdy kawałek gruntu na wązkie smugi tak, iż dziś w wielu miejscach wszystkie niemal niwy mają 6—10 metrów szerokości. Z powodu zbytnej wązkości pól, musiała uprawa stać się gorszą, tem samem mniej zboża zbierano. To naprowadzić musiało na myśl orania i zasiewania obługów, aby mieć więcej plonu. Lecz tem zniszczono możność pasania bydła, a gdy i dwory ugory swe zużytkowują pod przedplony i pasze, doszło wielu włościan do tego, iż bydła utrzymywać nie mogą, bo nie umieją postarać się o karmę“. Wreszcie sprawozdanie z powiatu zaleszczyckiego podnosi, że znaczna część gruntów rustykalnych wykupioną została przez większych właścicieli, przez księży, przez Żydów i zamożniejszych włościan, a ludność, która te grunta pozbyła, za mało już posiada, aby mogła dobrze gospodarować, nawozić grunta, trzymać jakiś inwentarz, zawsze jednak uważa się za gospodarza, więc nie idzie w służbę, a także niechętnie na zarobek.

V.

Z poglądu na stosunki własności włościańskiej na Podolu wynika, że znaczna część ludności tamtejszej, podobnie zresztą jak w innych okolicach kraju, musi szukać utrzymania w zarobku, bądź dlatego, że posiada zbyt mało gruntu, aby tenże przy danym sposobie uprawy dał przychód wystarczający na utrzymanie, bądź dlatego, że nie posiada go wcale. Wypada nam tedy dla ocenienia ekonomicznego położenia tamtejszej ludności wło-

ściańskiej, rozpatrzyć jej stosunki zarobkowe, a to tem bardziej, że największą część niedawnych wychodźców stanowiła właśnie ludność wyłącznie lub przeważnie żyjąca z zarobku. Materyał, jakim w tej mierze rozporządzamy, pochodzi po części ze sprawozdań złożonych Wydziałowi krajowemu i innych wiarogodnych doniesień z drugiej połowy r. 1892, po części ze sprawozdań nadsyłanych Komitetowi Towarzystwa gospodarskiego przez jego stałych korespondentów, które to sprawozdania przejrzelśmy z kilku lat ostatnich, wreszcie o ile chodziło o stosunki dawniejsze, korzystaliśmy z pracy p. K. Hempla p. t. „Stosunki większej własności ziemskiej w Galicyi“, ogłoszonej w VII. roczniku „Wiadomości statystycznych“. Zawarte w owym materyale ceny robocizny odnoszą się wyłącznie do pracy w gospodarstwach dworskich, u właścicieli lub dzierżawców tych gospodarstw, inne jednak gospodarstwa rolnicze, a mianowicie księżę i większe włościańskie, dostarczają tak mało stosunkowo zarobku, że nie potrzebujemy brać ich w rachubę.

Główną porą zarobku przy większych gospodarstwach, prowadzących uprawę zbóż i ziemniaków, jest czas zbiorów. Przy zbiorze zboża, ceny dziennego najemnika, jakie wykazują nasze materyały, utrzymują się w granicach od 30—50 centów, wyjątkowo i wyżej. Niższe kwoty, czasem cokolwiek niżej 30 centów, odnoszą się do kobiet, wyższe do robotnika męskiego. Płaca dzienna nie jest jednak regułą przy zbiorach na Podolu, nierównie powszechniejszą, i to na całym obszarze Podola, jest zapłata od dokonanej roboty, a mianowicie albo od kopy, wynosząca 40 centów, nieraz 50—60 centów, niekiedy w naturze: trzy topki soli od kopy, albo też, co jest najczęstszem, składająca się z pewnej części samego zbioru. Żniwo na Podolu odbywa się przeważnie za 10-ty snop, za 11-ty snop, przy pszenicy nieraz za 12-ty snop. Ten sposób zapłaty udziałem *in natura* w części zbioru, istniejący tutaj od czasu zniesienia pańszczyzny, jest dla pracodawcy o tyle wygodnym, że pozwala mu przebywać żniwa bez zapasu gotówki, zapewnia mu szybki sprzęt dojrzewających naraz licznych plonów i oszczędza na nadzorze. Jednakże zapłata w ten sposób uiszczana wypada drogo, zwa-

szcza w miarę wyższych cen zboża. Przy odmiennych warunkach klimatycznych i mniej rozległych łąkach zbożowych gospodarz nie znalazłby w niej rachunku, czego dowodem, że ten sposób zapłaty nie był i nie jest w użyciu w innych okolicach kraju, prócz części niektórych przyległych do Podola powiatów i części Pokucia. Natomiast dla zarobnika nie posiadającego gruntu lub posiadającego zbyt mało, by się mógł na nim wyżywić, ten sposób zapłaty jest najkorzystniejszym, zapewnia mu bowiem potrzebne zboże bez względu na wyższą lub niższą cenę tegoż, a obok tego słomę potrzebną dla gospodarstwa, na Podolu zaś i na opał. Dla wieśniaka nie umiejącego gospodarować gotówką, taka zapłata w najpotrzebniejszych naturaliach jest w dwójnasób pożądaną: ma on udział w plonach nie ryzykując kosztów uprawy ani nie ponosząc podatku gruntowego i dodatków. Według obliczenia, zawartego w jednym ze sprawozdań złożonych Wydziałowi krajowemu, wartość zarobku dziennego przy tym sposobie zapłaty, przeliczona na pieniądze podług dzisiejszych cen, wynosi co najmniej 1 złr. Zbiór siana odbywa się albo za gotówką, a mianowicie do 1 złr. dziennie kosarzowi, albo też za wynagrodzeniem w części plonu, za piątą kopiecę, co z dodatkiem pół dnia na gromadzenie siana i pomoc przy ułożeniu w stertę czyni za półtora dnia 2 złr. według sprawozdania poprzednio wspomnianego. W jesieni, przy kopaniu kartofli powtarza się, choć może nie tak powszechnie, ten sam sposób zapłaty udziałem w plonie: zbiór odbywa się za 10-tą miarę. Obok tego trafiają się płace 12—20 centów od korca, 10 centów od 100 kilo, a wreszcie płaceienne od 25—45 centów. W zimie i na wiosnę trafia się już tylko płaca dzienna, która wynosi od 16—30 centów, przyczem znowu wyższe pozycye przypadają na robotników męskich, a niższe na kobiety.

Dla uzupełnienia przeglądu cen robocizny wypada jeszcze dodać wzmiankę o stosunkach przy uprawie kukurudzy na Podolu południowem, którą wyjmujemy z jednego sprawozdania. Właściciel majątku orze pole i obsiewa je kukurudzą, a następnie rozdziela między ludzi do dalszego obrobienia i zbioru. Robotnika więc jest rzeczą, wysapać (wyplewić) dwa razy ku-

kurudzę, ściąć ją, obrać szulki (tj. kity z ziarnem), a gdy je właściciel zwiezie do siebie, dopomódz mu tam przy składaniu szulek w kosznicy. Za to bierze robotnik czwartą część szulek, co czyni przeciętnie do trzech korcy z obrobionego morga czyli co najmniej 9 złr. Zdaniem miejscowych, zarobek ten jest znacznie korzystniejszym niż zapłata dzienna za potrzebne tu roboty, a korzystnym jest on nawet wtedy, kiedy, jak tu i ówdzie się to dzieje, żądają dodatkowo jeszcze dwa dni innej roboty trzeba bowiem zważyć, że pośród kukurudzy sadi sobie robotnik fasolę, buraki, harbuzy lub sieje konopie.

Dalsze kategorie robotników w gospodarstwach dworskich na Podolu stanowią czeladź: parobcy, dziewczki i chłopaki, a następnie tak zwani ogólnicy, tj. robotnicy najmowani miesięcznie. O tem, jak często trafiają się ci ostatni i o ich wynagrodzeniu nie mamy bliższych wiadomości, natomiast wynagrodzenie parobka wynosi od 24 złr. (głównie na południowym Podolu) do 36 i 40 złr. rocznie i 10—15 korcy ordynaryi, a prócz tego mieszkanie, opał, $\frac{1}{4}$ do $\frac{1}{2}$ morga ogrodu, utrzymanie jednej krowy, czasem nadto jeden morg przysiewku, czasem sól, czasem buty i kożuch. Dziewka dostaje wikt i płacę w gotówce mniej więcej w wysokości płacy parobka, a prócz tego buty, płótno, chustkę lub inne podarki według miejscowego zwyczaju.

Podając powyższe daty w celu zorientowania czytelnika w stosunkach zarobkowych, o ile to jest konieczne dla przedmiotu, o którym piszemy, nie mogliśmy wchodzić w szczegóły różnic lokalnych ani też śledzić różnice pomiędzy ostatniemi a poprzedzającemi je latami. Poprzestajemy na uwadze, że jak porównanie dat okazuje, ani różnice pomiędzy okolicami nie zarysowują się wybitnie ani też nie występują wyraźnie znaczniejsze zmiany z biegiem lat. W ogólności rzeczy biorąc, wysokość zapłaty przy głównym zarobku, tj. przy żniwie, utrzymuje się ta sama od długiego czasu, zaś płace czeladzi wykazują raczej tendencję ku zwyższe. Mimo to stosunki zarobkowe na Podolu, znów w ogólności rzeczy biorąc, nie przedstawiają się wcale pomyślnie. Czas zarobku przy zbiorach jest krótki, a w przeważnej liczbie okolic podolskich wielka konkurencyja stawających

do roboty sprawia, że żniwa bardzo szybko się kończą, a wskutek tego każdemu z pracujących mimo korzystnego systemu zapłaty dostaje się bardzo mała część plonu. Sprawozdanie ze Zbaraskiego¹ donosi np., że w Hnilicach stanęło do żniwa pierwszego dnia 400 ludzi, w dalszych dniach takie masy, że musiano połowę odprawiać, a całe żniwo trwało dni kilka. Ten sam sprawozdawca donosi dalej, że gdy zarząd wspomnianych dóbr ogłosił, iż przy zbiorze kartofli płacić będzie 10-ty korzec i wydawać co wieczora część zarobioną, to zebrało się z całej okolicy pierwszego dnia około 700 robotników, drugiego około 900, trzeciego zwyż 1000, tak iż w przeciągu tygodnia wykopano 16.000 korcy. Z innego majątku mamy przykład, że zbiór pszenicy (zawsze za snop) ukończono w półtora dnia, zbiór żyta i owsa w dwóch dniach. Jedno sprawozdanie donosi, że w zbaraskim powiecie wszystkie folwarki ukończyły zbiory zboża ozimego w ciągu 3—4 dni, a zarobnikom przypadło po 14—17 snopów zarobionej oziminy.

Ilość pracy ludzkiej potrzebnej dla zbioru jest ostatecznie, nawet przy rozległej przestrzeni dworskich łąnów na Podolu, ograniczona, a zmniejsza tę ilość pracy użycie machin, a zwłaszcza dość rozpowszechnione użycie lokomobil parowych, które młóca cały zbiór zaraz po żniwie. Po wykopaniu kartofli, przez cały czas dalszy aż do nowego zbioru gospodarstwa dworskie potrzebują tylko małej ilości robotnika dziennego, i wtedy to, jak donosi kilka sprawozdań, na wielu zgłaszających się do roboty zaledwie dziesiąty może być przyjęty, reszta pozostaje bez zajęcia. Wielka konkurencya zarobkujących, prócz zmniejszenia sposobności do wydatniejszego zarobku, sprowadza jeszcze inny skutek. Podczas gdy większość gospodarzących pozostaje przy tradycyjnym wymiarze zarobku, do którego przyzwyczaili się i oni i ludność, mniemając zapewne, że ta ciągłość stosunków zarobkowych leży także w interesie społecznego stanowiska większej własności i jej stosunku do ludności wiejskiej, to są pewni

¹ Ogłoszone częściowo przez autora ks. Krypiakiewicza, proboszcza w Hnilicach, w *Przeglądzie lwowskim*.

właściciele i pewni dzierżawcy, którzy nie krępując się takimi względami, korzystają z nadmiaru w podaży pracy i czasem zniżają zapłatę, częściej zaś żądają od tych, których przyjęli do roboty, zobowiązania się do innych robót po cenie znacznie niższej niż zwykła, lub zadarmo. Jedno sprawozdanie wspomina nadto o praktyce „niektórych folwarków żydowskich, gdzie szynkarz dostaje do zebrania za snop co najlepsze łany i obrabia je rękami wszelkich dłużników, o których zapas stara się, rozdając na przednowku mąkę litrami na odrobek“.

Ludność potrzebująca zarobku, która nie znajduje go w dostatecznej mierze przy gospodarstwie rolnem, nie ma na Podolu innych zajęć zarobkowych, ku którym mogłaby się zwrócić. Chów bydła nie znajduje tutaj warunków przyjaznych, aby mógł stanowić stałą i znaczącą rubrykę przychodów. Konieczna lecz uciążliwa kontrola bydła w pasie granicznym, rozdrobnienie nadmierne gruntów i niedostateczny obszar pastwisk gminnych, stanowią dalsze w tym względzie przeszkody. Robót w lesie w przeważnej liczbie okolic brak całkiem, w innych są nieznaczne, a nietylko niema przemysłu, któryby pewnej części ludności dał inne zajęcie i utrzymanie, lecz niema także przemysłu domowego, który byłby w stanie w porze zimowej, kiedy ustały zajęcia rolne, uzupełnić zarobkiem utrzymanie rodzin. Z dawnych zajęć przemysłowych ludności włościańskiej na Podolu pozostały ledwie ślady tu i ówdzie, mianowicie w zakresie tkactwa i kili-marstwa, a usiłowania około wznowienia tych zajęć są zbyt skąpe i niedawne, żeby w bliższej przyszłości mogły wykazać jakikolwiek skutek. Dodać trzeba, że niepomyślne stosunki zarobkowe pogarszają się jeszcze w latach nieurodzaju, które wobec warunków klimatycznych Podola, wskazanych poprzednio, wcale nie są rzadkie. W razie nieurodzaju na zboże wskutek mrozów lub posuchy, jeszcze zaś bardziej w razie nieurodzaju ziemniaków, przychód z własnego gospodarstwa znika, a równocześnie zarobek na dworskich łanach znacznie się zmniejsza, zaś ludność przeważnie lub wyłącznie żyjąca z zarobku nie ma zasobów, któreby pozwoliły jej przeżyć rok nieurodzaju i staje się ofiarą lichwy, a obok tego czasem ciężarem pomocy publicznej, która

w ostatnich dwóch dziesiątkach lat kilkakrotnie udzielaną być musiała ludności powiatów podolskich.

Dla należytego ocenienia opisanych tu pokrótce stosunków zarobkowych wydaje nam się koniecznem zwrócić jeszcze uwagę, jak to też czyni znaczna część sprawozdań przedłożonych Wydziałowi krajowemu, na usposobienie ludności włościańskiej, do której one się odnoszą. Ludność ta przed przeszło czterdziestu laty od razu bez przygotowania usamowolniona i odtąd tak w życiu gospodarczem jak we wszystkich innych stosunkach życia społecznego uważana na równi z innymi za samodzielnych obywateli państwa, mimo tak długiego czasu od owej zmiany, nie zdołała dotąd w niejednym względzie przystosować się do warunków w jakich żyje i przyswoić sobie w dostatecznej mierze przymioty niezbędne dla tych, którzy bez szkody mają używać samodzielności gospodarczej. Cechuje ogół tej ludności, szczególnie zaś część jej uboższą, brak przezorności, która przewiduje przyszłe potrzeby i nie pomija żadnej sposobności, by postarać się o ich zaspokojenie. Z tą wadą łączy się lenistwo, i sprawia że gdy najbliższe potrzeby są zaspokojone, a miara ich jest nader skromna, nie korzysta włościanin ze sposobności do zarobku. Tem się tłumaczy, że mimo nadmiaru ludności potrzebującej zarobku do utrzymania, w pewnych chwilach i pewnych miejscowościach występują skargi na brak chcących korzystać z zarobku. Dodać tu jeszcze trzeba późne wychodzenie do roboty przy pracy płatnej według czasu i obok świąt obchodzonych nieraz podług obu obrządków, dalsze dni nierobocze, jak popraźniki, targi i t. p., tak iż ilość dni nieroboczych w roku obliczają w tych stronach jedni na 150 dni, inni jeszcze dość znacznie wyżej. Ludność ta, odznaczająca się zresztą niewątpliwymi zaletami, jak łagodnem usposobieniem i pojętnością w każdej robocie, nie wykazuje energii i zapobiegliwości w polepszeniu bytu, którą widzimy np. już u mazurskiego chłopca, i skłonna jest raczej marnieć bezczynnie niż jąć się niezwykłej roboty, raczej oglądać się na pomoc z zewnątrz, niż radzić sobie samej. Przytem brak oświaty sprawia, że ludność ta jest łatwowierna, idzie na lep łada pogłoski, da się podejść i wyzyskać, nie może

poradzić sobie w swoich sprawach, staje się ofiarą niesumien-
nych doradców, popada w sidła lichwiarskie i ponosi często nie-
potrzebne a rujnujące ją wydatki. W tych warunkach nie wy-
ciąga owa ludność z tych stosunków zarobkowych, jakie istnieją .
takich korzyści, jakieby inaczej wyciągnąć mogła.

VI.

Zmierzamy do zakończenia naszych uwag. Zeszłoroczna
emigracya z podolskich powiatów do Rosyi, biorąc miarę z cy-
fry tych, którzy wyszli i nie wrócili i z jakości tego wychodź-
stwa, nie ma, zdaniem naszym, tej doniosłości, jaką niejednokrot-
nie przypisywano jej w czasie kiedy ten ruch miał miejsce.
Pewnego znaczenia nabiera ów ruch ze względu na współdzia-
lające wpływy religijnej i politycznej natury, które omówiliśmy
pokrótce już poprzednio. W tej mierze jedno jeszcze mamy do
dodania. Na szersze warstwy ludności pogranicznej działa w wy-
sokim stopniu, jak stwierdzają liczne sprawozdania, widok cią-
gły znacznej siły wojskowej, jaką Rosya rozwija na swej gra-
nicy, i uderza ją różnica, zachodząca w tej mierze pomiędzy
Rosyą a własnem państwem, które w powiatach granicznych
podolskich nie utrzymuje żadnej siły zbrojnej prócz stosunkowo
bardzo nielicznych strażników skarbowych i żandarmów. Cierpi
na tem porównaniu urok siły i potęgi własnego państwa, na-
tomiał zaś wzmaga się wyobrażenie o przemagającej potędze
państwa ościennego i o tem, że ono dla tych, którzy udadzą
się pod jego opiekę, wszystko jest w stanie uczynić. Wyobra-
żenie to wyzyskuje następnie z łatwością agitacya. Zwracając
uwagę na ten szczegół, ważny dla ocenienia stosunków, zastrze-
gamy się jednak najsilniej przeciw temu, jakobyśmy choćby po-
średnio przemawiali za kordonem wojskowym, któryby miał
stanowić fizyczną przeszkodę w emigracyi. Wszelkie podobne
urządzenie, nie uzasadnione zresztą w obowiązującym prawie,
uważamy za niewłaściwe a w skutkach zgubne, i cieszymy się,
że władze nie użyły tego środka, a sprawozdania złożone Wy-
działowi krajowemu albo nie wspominają o nim, albo też wprost

przeciw niemu występują. Jakie zadania wobec omówionych poprzednio agitacyj politycznych i religijnych przypadają władzom rządowym, a jakie znowu, mniej doraźnej natury ale donioślejsze w skutkach, kościołowi (cerkwi), szkole i wszystkim tym ludziom dobrej woli, którzy wchodzą w styczność z ludnością wystawioną na owe agitacye — to rzecz jasna i nie uważamy za potrzebne tutaj nad tem się rozwodzić.

Dla nas najdonioślejszem jest znaczenie owego ruchu, jako symptomu stosunków ekonomicznych, stosunków zaludnienia, posiadania i zarobku, które w tamtych stronach wytwarzają materiał emigracyjny, a wytwarzają go od dłuższego czasu, gdyż z doniesień urzędowych równie jak poza-urzędowych, sięgających parę lat wstecz, wiadomo, że ludność niektórych okolic podolskich, a szczególnie w powiecie zbaraskim, objawiała od lat kilku chęć emigrowania do Ameryki, a specjalnie do Brazylii, i że istniejącym już zamysłem, podniecanym przez okólniki firm emigracyjnych, opisane na wstępie tej pracy wypadki nadały inny kierunek i cel bliższy wskazały.

Przytoczone w ciągu niniejszej pracy daty wykazują, że ludność powiatów podolskich, wobec bardzo znacznego jak na kraj rolniczy zaludnienia i znacznego wogóle dalszego przyrostu, wobec podziału ziemi włościańskiej wogóle daleko posuniętego i danych stosunków zarobkowych, w pewnej części doszła lub dochodzi, a zresztą w najbliższym czasie dojdzie do kresu przedludnienia względnego, tj. wobec danych warunków ekonomicznych. Natenczas musi nastąpić jedno z dwojga: albo przez spotęgowanie istniejącej produkeji i wytworzenie nowych gałęzi produkeji umożliwi się wyżywienie większej liczby ludności na danej przestrzeni, albo też musi nastąpić odpływ ludności na zewnątrz.

Powiaty podolskie, a wcześniej od nich niektóre inne okolice Galicyi, znajdują się pod tym względem w tem samem położeniu jak wschodnie prowincye państwa pruskiego, mające ludność znacznie mniej gęstą, a wykazujące bardzo znaczną emigracyę, jak rolnicze powiaty Czech i wiele innych okolic rolniczych w środkowej i północnej Europie, nie mówiąc wcale

o Anglii i Irlandyi, których odmienne w wielu względach stosunki nie nadają się do porównania.

Z wskazanych powyżej dwóch alternatyw, pierwsza, tj. spotęgowanie istniejących i wytworzenie nowych gałęzi produkcji, znajduje, jak w ogólności w Galicyi tak szczegółowo w powiatach podolskich, które w rozwoju ekonomicznym pozostały w tyle poza wielu okolicami kraju, jeszcze dość szerokie pole do zastosowania, pomimo niepomysłnych warunków wynikających stąd, że jesteśmy połączeni w jeden obszar cłowy z krajami rozwiniętymi pod względem przemysłowym, i że na największej części naszej zewnętrznej granicy graniczymy z państwem, które łańcami prohibicyjnymi oddziela się od reszty świata. Skoro, jak każdy znający stosunki przyzna, mamy tak na Podolu jak i w innych stronach kraju, nawet wobec danych pod niejednym względem niepomysłnych warunków, wiele jeszcze do zrobienia w kierunku postępu ekonomicznego, należy nam rozważnie ale wytrwale i usilnie postępować tą drogą, a podnosząc kraj ekonomicznie, umozężniać utrzymanie się w nim dotychczasowej, a nawet gęstszej jeszcze ludności lepiej niż dotąd. Nie może być zadaniem niniejszej rozprawy rozwijać i uzasadniać cały program poprawy stosunków ekonomicznych, który w każdym z głównych kierunków wymaga osobnej monografii. Ograniczymy się na wskazaniu najważniejszych zadań ekonomicznych, jakie są do spełnienia ze względu na szczegółowe stosunki tej części kraju, do której odnosi się nasza praca.

W pierwszym rzędzie należy tu postawić ulepszenie komunikacyi w celu zbliżenia najznaczniejszej części Podola do reszty kraju i do targów zachodnich i ożywienia miejscowej produkcji przez ułatwienie odbytu. W tym celu potrzebnem jest przyspieszenie budowy kolei podolskich, w której to sprawie rząd niedawno przedłożył projekt Izbie posłów Rady państwa, a następnie znaczne polepszenie dróg komunikacyjnych tak w okolicach, które pozostaną jeszcze poza obrębem komunikacyi kolejowej, jak przyszłych dróg dojazdowych do stacyj kolejowych. Budowy te przyniosą nadto doraźną korzyść w tem, że dająby na czas dłuższy zarobek miejscowej ludności.

W drugim rzędzie stoi podniesienie produkcji rolniczej, która na mniejszej własności, jak powszechnie wiadomo i jak zgodnie stwierdzają sprawozdania złożone Wydziałowi krajowemu, z powodu lichej uprawy bardzo wiele pozostawia do życzenia. Z natury rzeczy akcja w tym kierunku, mogąca postępować jedynie drogą pouczenia, zachęty, rozdawania nasion, ułatwiania w nabywaniu narzędzi poprawnych i w sprzedaży płodów, tylko powolne może czynić postępy. W południowej części Podola, gdzie własność ziemską jest najbardziej rozdrobniona, a warunki klimatyczne więcej sprzyjające, uprawa tytoniu, mianowicie w razie ułatwień ze strony państwa, które jest monopolicznym odbiorcą produktu po ustanowionych przez siebie cenach, tudzież uprawa dalszych roślin handlowych i rozwój sadownictwa mogłyby bardzo znacznie poprawić byt miejscowej ludności. Potężną dźwignią rolnictwa i dobrobytu ludności rolniczej może się stać na Podolu cukrownictwo, które z ulepszeniem koniecznym komunikacyi będzie tu miało wszelkie warunki powodzenia. Jest to gałąź produkcji, w której idąc za przykładem sąsiednich krajów, moglibyśmy i powinniśmy zdobyć znaczną część targu krajowego dla krajowego towaru, z nader wielką korzyścią dla rolnictwa i ludności przy niem zarobkującej. Wytworzenie a względnie odżywienie przemysłu domowego dałoby zarobek w porze zimowej i stąd jest podwójnie pożądanem.

Wielkiej wagi dla rozwoju rolnictwa jest dalej uregulowanie należyte stosunków własności ziemskiej. W tej mierze wobec istniejącego rozdrobnienia gruntów i zupełnej dowolności podziałów niezbędnym warunkiem podniesienia uprawy jest komasacja, do której odnosząca się ustawa powinna być jak najrychlej Sejmowi przedłożona. Nie zapoznajemy trudności tej sprawy, sądzimy jednak, że wobec wielkich niedogodności obecnego układu gruntów, kilka wypadków należyście dokonanej komasacyi wystarczyłoby, aby trudności te znacznie osłabić i do żądania tej dobroczynnej reformy skłonić. Znaczna część sprawozdań przedłożonych Wydziałowi kraj. z powodu sprawy emigracyi do Rosyi, upatruje przyczynę upadku gospodarstw włościańskich w nieograniczonej swobodzie dzielenia gruntów i domaga się

ścieśnienia tej swobody, nie podając wszakże bliższych wskazówek, do jakiego stopnia i w jaki sposób owe ścieśnienie miałyby nastąpić. W tej wielce trudnej i zawilej, a dla stosunków rolniczych niesłychanie doniosłej sprawie, jesteśmy tego zdania, że ustawodawstwo krajowe popełniło w swoim czasie wielki błąd, znosząc w roku 1868 wszelkie ograniczenia w dzieleniu gruntów przed przeprowadzeniem kommasacyi i następem założeniem ksiąg hipotecznych dla mniejszych posiadłości¹, i przyznajemy, że w drodze podziałów powstają gospodarstwa zbyt małe, żeby porządną uprawę rolniczą mogły prowadzić i bydło potrzebne utrzymywać, jednak ze względów społecznych i gospodarczych musimy się oświadczyć stanowczo przeciw ogólnemu zakazowi dzielenia i przeciw systemowi konsensów na podział wydawanych przez władze. Zdaniem naszym żaden interes gospodarczy lub społeczny nie przemawia za powstrzymaniem dalszego dzielenia takich posiadłości, których rozmiar jest już tak szczupły, iż nie są w stanie utrzymać bydła pociągowego a tem samem prowadzić samoistnie uprawę rolniczą.

Podział dalszy takich posiadłości umożliwia nabycie ziemi nieposiadającym, którzy chcą się dorobić własnej chaty i kawałka gruntu, umożliwia przeto stałe osiedlanie się ludności żyjącej z zarobku, co i ze względów społecznych i ze względów gospodarczych jest korzystnem. Zakaz ogólny dzielenia lub systemu konsensów na każdy podział przyniosłyby od razu ten skutek, że wobec niemożności lub trudności osiedlenia się w miejscu wzrósłby materiał emigracyjny, rozwinęłoby się zaraz wychodźstwo. Natomiast należy rozważyć, czy nie byłyby odpowiedniami ograniczenia w dzieleniu bądź w drodze spadku, bądź także między żyjącymi dla takich posiadłości rolniczych, których rozmiar wystarcza na utrzymanie bydła pociągowego, a nie przekracza pewnego *maximum*, zatem czy nie byłoby odpowiedniem wydać ustawę krajową, zawierającą odrębne przepisy o podziale spadków dla średnich posiadłości rolniczych w myśl ustawy pań-

¹ Przed tym błędem przestrzegał wówczas bardzo przekonywająco ale bezskutecznie ś. p. Marassé.

stwowej z d. 1 kwietnia 1889 n. 52 Dzpp. i odpowiednie przepisy w razie aktów prawnych pomiędzy żyjącymi. Wielce pożądaną wydaje nam się dalej, jak dla wschodniej części kraju wogóle tak szczególnie dla okolic podolskich, częściowa parcelacya gruntów dworskich, a mianowicie bądź odległych od folwarku, bądź oddzielonych obcemi gruntami. Leży ona zarówno w interesie większych właścicieli jak w interesie ludności włościańskiej, a mogłaby być znakomicie ułatwioną, gdyby na wzór pruskiej ustawy o posiadłościach rentowych z 7 lipca r. 1891 i u nas było możebnem znaczną część ceny kupna pozostawić przy posiadłości i spłacać długoletnią rentą i równocześnie sprzedający mógł pobór tej renty sprzedać za odpowiedni kapitał instytucji utworzonej w tym celu. Niemalęj wagi ze względu wyzyskiwania posiadającej ludności włościańskiej przez lichwę byłoby utworzenie źródeł zdrowego kredytu, mianowicie towarzystw zaliczkowych, których na Podolu niema prawie dla ludności rolniczej, podczas gdy trudniąca się handlem ludność żydowska ma ich 21, a pozostałe 6 rekrutują swych klientów prawie wyłącznie w sferach miejskich.

Poza zakresem usiłowań, skierowanych bezpośrednio ku podniesieniu bytu ekonomicznego, pozostaje cały szereg reform potrzebnych w dziedzinie urządzeń prawnych, których ujemne strony dają się uczuwać ludności nierównie doraźniej i dotkliwiej, niż niedostatki polityki ekonomicznej. Owe ujemne strony urządzeń prawnych mają też najczęściej niemalą doniosłość ekonomiczną, gdyż powodują wydatki i utrudniają uporządkowanie spraw majątkowych. Z tych względów reformę nieodpowiednich urządzeń prawnych uważamy za rzecz nader pilną i nie dziwimy się bynajmniej temu, że sprawozdania złożone Wydziałowi krajowemu w sprawie emigracyjnej stawiają reformę uciążliwych urządzeń w zakresie sądownictwa i administracji skarbowej, w pierwszym rzędzie środków poprawy bytu ludności włościańskiej. Czynią one to tem słuszniej, że skutek tych reform może być doraźnym, podczas gdy podniesienie produkcji i inne zmiany na lepsze w stosunkach ekonomicznych tylko powoli mogą się urzeczywistniać. Do reform najbardziej potrzebnych należą:

wprowadzenie wymiaru prawa szybszego i mniej kosztownego przez zmianę procedury i lepsze obsadzenie sądów, zmiana postępowania w sprawach spadkowych i знижение opłat spadkowych, reformy w zakresie wymiaru należytości prawnych, zmiana nader uciążliwych przepisów o utrzymaniu zgodności hipoteki z katastrem, ścisłe przestrzeganie przepisów noweli egzekucyjnej o przedmiotach wyłączonych z pod egzekucyi i to tak przy egzekucyach sądowych jak politycznych, zniesienie opłat za doręczenie uchwał sądowych i niektóre jeszcze dalsze, nie mówiąc już o reformach sięgających głębiej w organizację władz, których z tego względu na pierwszy plan wysuwać nie można. Dla wieśniaka nieoświeconego, niepiśmiennego najczęściej i nieporadnego w interesach prawnych, formalizm biurokratyczny, w którym niżsi urzędnicy nieraz gwoili własnej wygody przesadzają, przewlekły tok spraw urzędowych, ciągle pisaniny i termina, są źródłem bardzo znacznych wydatków nietylko legalnych, ale często i nielegalnych na rzecz tych, którzy go wyzyskują przy tej sposobności, a obok tego wielką uciążliwością, której powodu zrozumieć nie może, a którą uczuwa jako niesprawiedliwość. Wszelkie ulgi w tych kierunkach byłyby nadzwyczaj przychylnie przyjęte przez ludność, a są one możliwe w pewnej części i bez zmiany ustaw, w drodze rozporządzeń i co ważniejsza ścisłego i częstego nadzoru nad urzędowaniem władz miejscowych.

Poza tem wszystkim pozostaje jeszcze konieczność usilnej pracy nad podniesieniem poziomu moralnego i umysłowego ludności. W ten sposób zyskamy niezbędną podstawę do trwałego polepszania bytu ekonomicznego, a zarazem osiągniemy to, że ludność moralna i oświecona nie uwierzy, żeby ją czekał gdzieś byt wygodny bez pracy, nie pójdzie na lep łada pogłoski i nie zaufa pokątnym doradcom, ale będzie krytycznie oceniać wszelkie namowy, a gdyby ją okoliczności zmusiły po dojrzałym namyśle opuścić kraj rodzinny, to przecie nie pójdzie tam, gdzieby wyrzec się musiała swej wiary i narodowości.

Tadeusz Piłat.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Andrzej Patrycy Nidecki, jego życie i dzieła. Przedstawił *Kazimierz Morawski*, prof. Uniw. Jagiell. Kraków. (W 8-ce, str. X. i 402).

Nie da się zaprzeczyć, że w ostatnich dziesiątkach lat prace naukowe w kraju naszym nadzwyczajnie spowazniały. Jak zawsze w Polsce, tak i w tym względzie wybitne osobistości więcej zdziałały, aniżeli zbiorowa praca. Helcel, Szujski, Tarnowski, Pawiński, Zakrzewski, Smolka — całego wyliczać szeregu pracowników ani tu miejsce, ani zadanie — postawili naukowe badania w naszym kraju na stopniu europejskim, windykując swemi pracami dla takowego taką samą sławę, jaką zajaśniali nasi pisarze z czasów Odrodzenia. Przełom, który ci pisarze w lichej rutynie naukowej końca XVIII. i początku naszego wieku uczynili, poparła niezmiernie skutecznie Akademia Umiejętności, swą ciągłą i niezmordowaną pracą, i Bogu dzięki, nie spotkać już w nowszej literaturze naukowej tych miernych kompilacyj, pisanych dla zyskania taniej literackiej sławy, bez znajomości źródeł, bez mozolnej pracy, bez dbałości o prawdę tego, co się przytacza. Dzisiaj w języku polskim niepodobna już wystąpić z pracą mierną, a jeżeli jej nie cechuje talent i urok pióra, co nie każdemu dane, to przynajmniej sumienną pracą, ścisłym badaniem republice uczonej zalecić się winna. Do gruntowności prac z zakresu historii i literatury przyczyniło się i to, że uczeni nasi, pamiętni maksymy: *ars longa vita brevis*, nie rozpraszają swej pracy, ograniczając ją do pewnej epoki lub materii. Rzecz prosta, że wiek XVI. jako rozkwit Odrodzenia w Polsce, najbardziej badaczów pociąga; niwa to bowiem niewyczerpana, a pocieszająca tem

uczuciem, że przecież był czas, kiedyśmy w oświacie europejskiej równorzędne z innymi narodami zajmowali miejsce. Między badaczami tej epoki zajął zaszczytne miejsce Kazimierz Morawski, prof. Uniw. Jagiell., a pracę o Patrycyum Nideckim, którą nas obdarzył i której niniejsze poświęcamy sprawozdanie, zaliczyć można do rzędu najlepszych monografij, jakie czy w kraju, czy za granicą, w dziedzinie historycznej filologii się ukazały.

Nie trudno budować na pracy poprzedników i dalej rozpoczęte przez innych badania prowadzić, ale na podstawie źródeł i samoistnych badań stworzyć zupełnie coś nowego, wydobyć z zapomnienia pamięć i nazwisko męża, który, jak się pokazuje, zajmował niepospolite w historii naszej kultury stanowisko, nie tylko jako europejski uczony, ale niemniej jako czynny urzędnik, a wreszcie apologeta; to zasługa, którą podnieść należy; a chociaż prof. Morawski, we własnej pracy największe zapewne znalazł zadowolenie, przecież pozostaje zawsze obowiązek wdzięczności ze strony czytelników, i tutaj, jak zawsze wobec prawdziwej wartości rzeczy, powiedzieć trzeba: *dignus est operarius mercede sua*.

Wyznajemy ze wstydem, ale i z całą prostotą, że chociaż nie obcy badaniom filologicznym, zaledwie nazwisko Nideckiego było nam znane, a musimy już polknąć tę gorzką pigułkę, że Niemcy więcej o nim wiedzieli, niż my sami; dzieło prof. Morawskiego osładza nam takową, przez skończoną i artystycznie zaokrągloną pracę.

Żywot wybitnej osobistości da się tylko przedstawić na tle historycznem epoki, w której żył i działał, i w związku z tymi współczesnymi, którzy w tym samym czasie znaczącą w narodzie odgrywali rolę. Tego systemu trzymał się nasz autor, skutkiem czego, zamiast suchej uczonej pracy, wyszedł barwny i pociągający obraz, który i w niefachowym czytelniku bardzo żywe obudzić winien zajęcie.

Życie Nideckiego przypada na najpiękniejszą historię naszej epoki, o ile o takiej w historii polskiej wogóle mówić można; o wadliwe bowiem z gruntu założenie budowli rządowej, wszelkie najlepsze chęci i świetne, czy królów, czy wybitnych indywidualności przymioty, rozbić się musiały. Każdy kraj o tyle tylko istnieć i rozwijać się może, o ile duch i rozum polityczny w organicznych ciałach społecznych, a nie tylko wyłącznie w osobnikach spoczywa. Ludzi stanu, umięających działać konsekwentnie, ocenić położenie i stosownie do niego zabiegać, Polska miała nader mało; ale jeżeli ich kiedy posiadała, to właśnie w tym czasie. Zygmunt August, Batory i Zamoyski, trzej tej miary politycy w krótkim, czter-

dziesiątkoletnim przeciągu czasu skupieni, mogli każdy kraj uratować; tylko że i najtęższe głowy o brak stronnictwa rozbić się muszą; a nawet geniusz bez zdolnych i zaufanych swej myśli wykonawców się nie obejdzie. U nas istniało tylko stronnictwo zamięszania, niesforności i najgorszego warcholstwa politycznego, a ci, którzy stanowiskiem, przeszłością, wykształceniem, powinni byli dać rękojmię, że na nich liczyć można, w danej chwili regularnie zawiedli. Wykazuje to autor doskonale w rozdziale XIX. (str. 234 i nast.). Bądź co bądź pod względem kultury staliśmy wtedy na stanowisku europejskiem. Nie przyszło to ani łatwo, ani prędko, ale szereg biskupów, wielkich mecenasów, prawdziwych uczonych i poetów, podniósł, wprowadził na krótko, stan oświaty na stopień narodom Zachodu równorzędny. A działało się to nie za pomocą szkoły, lub instytucyi, ale jak zawsze, skutkiem indywidualnego poświęcenia i usiłowania.

Nidecki w Oświęcimiu urodzony, jeszcze bardzo młody dostał się do jednej z parafialnych szkół krakowskich, gdzie, jak się zdaje, na dobrych trafił nauczycieli. Stosunek z Lismaninem (co zapewne choć chwilowo na chwiejność jego przekonań religijnych wpłynęło), ułatwił mu przystęp na dwór Andrzeja Zebrzydowskiego, najpierw kujawskiego, później krakowskiego biskupa, co mu drogę do poznania świata i ludzi utorowało. Autor roztacza tu wspaniały obraz działalności cywilizacyjnej i naukowej biskupów krakowskich i całej świetności dworu Zygmunta Starego, za wpływem Bony, licznej frekwencyi znakomitej młodzieży na włoskich uniwersytetach, łacińsko-włoskim polem zaprawionego¹. Poszedł i Nidecki za tym prądem, udając się do Padwy, gdzie w profesorach, jak Robortello, i znakomitych uczonych, jak Paweł Manucyusz, wreszcie towarzyszy, jak Kochanowski, Masłowski, Januszewski, znalazł podniecie do następnych prac naukowych. Wróciwszy na krótko do kraju, gdzie znalazł wielkie z powodu reformacyi zamięszanie i niepokój, i gdzie już wtedy do apologetyki się zabierał, a z powodu wielkiej w łacinie biegłości do redagowania dyplomatycznych not był używany, wybrał się pod koniec r. 1557 powtórnie do Padwy. Usilna praca, wpływ i otoczenie największych uczonych, jak Fallopius, P. Manucyusz, a głównie Sygoniusz, dała mu możność przygotowania najlepszego swego dzieła, tj. wydania fragmentów Cy-

¹ Z rachunków Bonnerów, najdokładniej od r. 1525 prowadzonych, przekonać się można o częstych, niemal codziennych z Włochami stosunkach.

cerona. W rozdziale X. autor podaje rozbiór i ocenę tej pracy, a nie mogąc wchodzić w szczegóły, przytaczamy tu tylko słowa jego (str. 126), że drugie wydanie fragmentów jest „najznakomitszem dziełem filologicznem, jakie z Polski i z pod pióra Polaka wyszło“, i (str. 136) „zaszczyt naszemu odrodzeniu przynosi“. Zaznacza przytem autor, że konjektury i poprawki Nideckiego przez najznakomitszych filologów zostały przyjęte, i że najlepsi znawcy tej materii „oddali mu sprawiedliwość i podnieśli jego wielkie zasługi“. Że Nidecki pracami swojemi wysokie naukowe zyskał stanowisko, tego liczne mamy dowody w kraju i za granicą. Ciągłe stosunki z uczonymi największej sławy, jak Sygoniusz i Manucyusz, listy polecające od kardynałów, wreszcie przyjaźń i zażyłość z najpierwszymi ludźmi w kraju, czy uczonymi, czy mężami stanu, na wybitnem go stawiają stanowisku; a całe jego życie późniejsze, wyłącznie służbie publicznej oddane, dowodzi, że go bardzo często potrzebowano i z wielkiem zaufaniem na usługi jego liczono.

Jak w całym świecie, tak i u nas był wiek XVI. wiekiem charakterów i wyjątkowych indywidualności i mamy wszelki powód z pewną dumą nań spoglądać, bo nietylko w żadnej epoce naród nasz tyle świetnych nie wydał talentów, ale i kraj w tym właśnie czasie doszedł do zenitu swej potęgi; a chociaż ten cały ruch nie był samorodnym, ale niejako odbłyskiem cywilizacji Zachodu, to jednakże w konstelacji politycznej Europy, Polska wcale poczesne zajmowała miejsce i rządy innych krajów musiały się z nią liczyć, jako równy z równym. Zresztą, jeżeli nam zarzucają, że wykształcenie i oświatę naszą czerpaliliśmy z Zachodu, toć zupełnie to samo o innych krajach i narodach da się powiedzieć, które z cywilizacji włosko-łacińskiej, jak ze wspólnej Europejczykom krynicy, oświatę swoją czerpali. Wszakże z tą wielką na niekorzyść naszą różnicą, że inne narody, a głównie Niemcy, to wszystko co Odrodzenie ze sobą przyniosło, przetrwały i tym żywiołem obcym tylko do silniejszego rozwoju swojskiego życia się posługiwały, w Polsce zaś humanizm i Odrodzenie pozostały tylko naśladownictwem, które przez krótki czas bardzo świetnie zabłysło, w pojedynczych indywidualach pokazało, do czego umysły Polaków są zdolne, ale wkrótce przeminęło, a w zamieszaniu i burzach politycznych, które po śmierci ostatniego z Jagiellonów i Batorego nad krajem zawisły, zginęło bezpowrotnie. Niemcy, zaczerpnawszy z cywilizacji romańskiej czego im było potrzeba, samodzielnie się rozwijają, naukę swoją, filo-

logiczną mianowicie, do wielkiego doprowadzają znaczenia i stają umysłowo niezależnie; my zaś jak wtedy, tak później, tak do dnia dzisiejszego, w naszej oświacie w ciągłej od zagranicy pozostajemy zależności, a słowa Kochanowskiego niemal do naszych czasów zastosowałyby się dały, jak niemniej cytowane przez autora (str. 124) zdanie nuncjusza Ruggieri o naszym narodzie. Czem się to stało, czy przez naszą nieopatrność, lenistwo, czy brak statku i ciągłości w działaniu, próżno nad tem żale wywodzić, ale to pewne, że nie zdołaliśmy u siebie rodzimej wytworzyć cywilizacji; jesteśmy produktem Zachodu, ale bez jego cnót, a z naszymi wadami, których nawet w najcięższej szkole niedoli tylko w małej części zdołaliśmy się pozbyć.

Tylko jedno może nas wytłumaczyć po części, to, że nasza kultura o tyle wieków od zachodniej jest młodszą, że tamci stare, grecko-romańskie, przez Kościół oczyszczone tradycje odebrali bezpośrednio, my zaś tylko rozmaitemi kanałami, w miarę jak nas bieg historii do innych zbliżał narodów.

Jeżeli rzucimy okiem na drugą, największą słowiańskiego szczepu odnogę, na Rosyę, to pomijając aż nadto smutny fakt naszego przez Rosyę ujarznienia, musimy wyznać, że oni żywiły, wraz z wschodem chrześcijaństwem w Bizancyum zaczerpnięte, inaczej dla potęgi swego narodu zużytkowali. Wchłonęli wprawdzie w siebie wraz z bizantynizmem najgorszy pierwiastek polityczno-społeczny jaki się w dziejach ludzkich wytworzył, przyjęli jego chytrą, przewrotną i bezwzględność w nadużywaniu siły, ale zarazem skłonność do uszanowania władzy i ten jakiś fatalizm, mocą którego wolą się kleszczom najsroźszego poddać tyraństwu, byle sił narodowych w rozmaitych nie rozproszyc kierunkach. Te żywiły, wraz z waregsko-normańskimi pierwiastkami, których wprawdzie z historyczną ścisłością dowieść niepodobna, ale które stanowczo plemieniu rosyjsko-słowiańskiemu nadały odrębny, hartowniejszy politycznie charakter, wytworzyły carat i prawosławie. Pod względem moralno-społecznym nie ma czego Rosyanom tych nabytków zazdrościć, ale nadały one państwowemu organizmowi Rosyi tę nieprzepartą siłę, która tak groźnie nad resztą cywilizowanego świata zawisła.

Odbiegliśmy nieco od przedmiotu, ale książka tyle budzi myśli, że trzeba sprawozdawcy darować, jeżeli im tutaj daje wyraz.

Po powrocie do kraju zaczyna się nowy okres w życiu naszego uczonego. Wstąpiwszy do kancelaryi królewskiej, szkoły późniejszych dygnitarzy i dyplomatów, pracuje pod Myszkowskim, Padniewskim,

Krasińskim. Osoby się zmieniają; Kochanowski ustępuje, jako nowe siły przybywają: Zamoyski, Wolski. Nidecki pozostaje, a każdemu zwierzchnikowi staje się niezbędnym i zaufanym pomocnikiem. Z wielkim też żalem podkanclerzy Krasiński ustępuje życzeniu królowny Anny Jagiellonki, która w nowym swym, po śmierci brata dla niej urządzonym dworze, pragnęła mieć Nideckiego. Służba przy królownie ani przyjemną ani zbyt użyteczną być nie mogła; sprawy barskie, z natury swej niepewne, zawikłane, ze względu na odległość trudne do pilnowania, wymagały dużych nakładów i pracy, bez namacalnych korzyści; dużo też one zapewne czasu Nideckiemu pochłoneły; i dopiero w jakiś czas po wstąpieniu na tron, Batory, odwoławszy go od boku królowej, porucił mu sprawy pruskie. Zbliżyło go to bardzo do Hozjusza i Kromera i ścieśniło dawne węzły znajomości do poufalszego stosunku, który zwłaszcza względem Kromera na stałą i dozgonną zamienił się przyjaźń; w sprawach obchodzących głównie tych dwóch znakomitych książąt Kościoła i powierzonych im dyecezyj, Nidecki ogromne oddał usługi, a głównie za ich wpływem i namową przerzucił się stanowczo na pole apologetyki katolickiej, której owocem głównym było dzieło: *Parallela Ecclesiae Catholicae cum Haereticorum Synagogis*, wydane w roku 1556, a powtórnie bardzo powiększone i rozszerzone w roku 1584, pod nowym tytułem: *De ecclesia vera et falsa libri V*. Prace te, pociągające wykwintną formą i doskonałą łaciną, w owym czasie tak w literaturze wszechwładną, pod względem teologicznym nie dorównywały wartością pismom Skargi, Wujka, Solikowskiego i Sokolowskiego, używały jednakże wskutek powyżej przytoczonych zalet wielkiego wzięcia.

Batory, który sam niezmordowanie czynny, nikomu nie dał próżnować, a ludzi używać i wyszukiwać umiał, powierzył Nideckiemu, jak wyżej przytoczono, sprawy pruskie, a jako zręcznemu redaktorowi poruczał układanie ulotnych wiadomości ze swej, czy to wojskowej, czy pokojowej działalności. Wogóle król o historyografię dbał i troszczył się ze szczególnem zamięłowaniem; historyków zagranicznych, jak Michała Bruta i Węgry Gyulaja popierał. Za jego też czasów słynęli i pisali główni historycy i kronikarze polscy, jak Heidenstein, Bielski, Orzelski, Strykowski, do których w pewnej mierze i Nideckiego zaliczyć można; w tym bowiem czasie (1577) wydał on krótki opis wyprawy gdańskiej: *Commentarii de tumultu Gedanensi*. Dziełko niezbyt wielkiej historycznej wartości, które, jak z wielu oznak i z własnych jego słów wnioskować można, miał zamiar dokończyć i rozszerzyć:

tem bardziej, że się widocznie nosił z zamiarem napisania większego historycznego dzieła, głównie współczesnym poświęconego wypadkom. Prof. Mor. podaje o takowem (str. 281), jakie można było zebrać wiadomości, jednakże dzieło samo, jeżeli wogóle wykonanem zostało, zaginęło bezpowrotnie. Liczne zajęcia służbowe, nadmierne gonienie za beneficjami i obowiązki do takowych przywiązane nie dawały mu ani czasu ani swobody do systematycznej naukowej pracy, mimo to jednak za jednego z pierwszych stylistów i mowców uchodzić musiał, albowiem jemu trzykrotnie powierzono powitanie króla przy wjeździe do Warszawy w ciągu i po zakończeniu moskiewskiej wojny.

Panowaniu Stefana Batorego, jego charakterystyce, wszechstronnej działalności i wielkim przymiotom króla i człowieka, poświęca autor wiele miejsca, a wszystko co się do tego odnosi, stanowi najpiękniejszą część pracy. Są to rzeczy, zwłaszcza po wyczerpujących prof. Zakrzewskiego pracach, po większej części znane, jednakże tutaj przedstawione tak barwnie, zajmująco, z takim ciepłem i zapałem, a tak umiejętnie streszczone, że postać tego, bodaj czy nie najlepszego z królów polskich, występuje plastycznie; króla, którego i Montaigne i Sykstus V. do rzędu największych swego czasu ludzi liczyli. Nie możemy sobie tu odmówić zacytowania krótkiego, ale treściwego sądu o Batorym: „Dziwna to była dusza tego monarchy, który łączył w sobie doskonałą i potężną indywidualność ludzką z największą kornością dla Boga, twardą i do czynu rwącą się ręką z najrzewniejszym, najdelikatniejszym sercem. Majestat królewski siedł u niego w parze z majestatem wyborowego człowieka“. Można powinszować autorowi tych kilku słów, które obok wielkiej znajomości historycznej, znamionują prawdziwie znaczne i podniosłe uczucia.

Czy dłuższe króla tego życie byłoby Polskę wyratowało z toni, któż o tem sądzić może? To pewna, że naród nie okazał się godnym tak wyjątkowego człowieka, że czarną niewdzięcznością, płytkością sądu, małoduszną i nędną polityką odplacił temu cudzoziemcowi, który życie, duszę, niezmordowaną czynność, najpodniosłejsze serca przymioty oddał na usługi tej swojej przybranej ojczyzny. Wolno to uważać za karę, że kiedy Opatrzność takiego narodowi uczyniła wodza i zwierzchnika, odebrała nam go przed czasem, za to, że go naród czy przez niechęć, czy przez bezgraniczne zaślepienie, uszanować nie umiał; a krótkie słowa Batorego w testamencie: *acerbam vidam duxi*, piętnują w straszny sposób całe ówczesne narodu polskiego pokolenie. Szalony

pomysł nałożenia królowi niedobranego w niczem małżeństwa, mógł w cnocie i harcie duszy takiego człowieka znaleźć skuteczną przeciwwagę, ale ciągle przeszkody, odmawianie podatków, stronnictwo i karygodna czułościowość względem najgorszych wichrzycieli, odstępstwo tych, na których poparcie jako czoła narodu król rachować miał prawo, oto grzechy narodowe, których wieki niedoli, miały być straszną, a niestety zasłużoną karą. Nieszczęścia kraju, każdego smutkiem i boleścią napełnić muszą, ale jak w biegu historii musimy dojść do przekonania, żeśmy własnymi rękami grób dla ojczyzny kopali, to głęboka gorycz duszę przejmuje i przypominają się groźne dantejskie słowa: *nessun maggior dolore...*, a zarazem, zważywszy ileśmy warunków szczęścia i chwały narodowej mieli, słowa, które Szujski na czele swego wiekopomnego położył dzieła: „wszystko nam dałeś co dać mogłeś Panie“.

Wolno żałować, że Nidecki wstąpił w służbę rządową, przykrą, różnorodną, zmuszającą do ciągłej zmiany miejsca. Sądząc po jego pierwszej filologicznej pracy, był w nim materyał na prawdziwego i wielkiego uczonego, który swemi pracami byłby więcej narodowi przysporzył chwały, aniżeli swą czynnością urzędową, apologetyką, lub choćby najpiękniejszymi próbami łacińskiej swady. Jako człowiek zdolny i niezmiernie pracowity, na każdym stanowisku umiał być użytecznym, na żadnym obojętnym nie był, ale ta pracowitość w jednym, umysłowi jego właściwym ześrodkowana kierunku, byłaby niewątpliwie wysoką i świetną Odrodzeniu naszemu przyniosła ozdobę.

Trzy głównie powody stały na przeszkodzie rozwoju tej znakomitej indywidualności na polu naukowem. Zbytne urzędowe zajęcia, podtyrane zdrowie, na co się zbyt często i małodusznie skarży, wreszcie najgłówniejszy, chciwość na grosz i gorączkowe ubieganie się o wszystko, co do majątku prowadzić mogło. Bardzo słusznie prof. Mor. nie zataił tej ujemnej Nideckiego strony, prawda bowiem stać powinna na czele każdego historycznego badania. Dowiadujemy się tu o wcale niepochlebnych ówczesnego wyższego społeczeństwa wadach. Wielkie nadużycia w kancelaryi królewskiej, kumulacja beneficjów, przy zaniebawianiu przywiązanych do nich obowiązków, gromadzenie fortun *per pus et nefas*, nawet ze strony tych, którzy na świeczniku społeczeństwa stali (Myszkowski): to były wady całemu ówczesnemu społeczeństwu wspólne, zwłaszcza u humanistów. Gorszem jest, a polskiemu społeczeństwu właściwem, chwiejność biskupów, ich obojętność na najważniejsze Kościoła sprawy, jak np. sobór Trydencki, połowiczność, brak charakteru i gorsząca pobłażliwość w wypełnianiu najważniejszych obo-

wiązków, co w niesłychanych, w sprawach małżeństw mieszanych lub wprost heretyckich, nadużyciach, jaskrawą znajduje ilustrację. Jeżeli pod koniec XVI w. nastąpiła pod tym względem jakaś naprawa, to i to było zasługą cnotliwego a bogobojnego króla.

Na wyniesieniu Nideckiego na nowo utworzone biskupstwo Wendeńskie kończy autor swe opowiadanie. Nie miał on niestety długo zawiadywać powierzoną sobie owczarnią. Zaledwie miał czas pierwsze do instalacji kroki uczynić, kiedy go śmierć zaskoczyła.

Jak wysoko pracę prof. Mor. cenimy, mieliśmy kilkakrotnie sposobność powtórzyć; nie wspominamy o uroku stylu i zręczności w opowiadaniu, ugrupowaniu faktów i toku opowiadania, bo pod tym względem ma już autor ustaloną sławę. Chcemy tylko zwrócić uwagę na wielką sumienność i ścisłość w badaniu, na znajomość źródeł i pracowitość w wyszukiwaniu takowych i sposobność, którą na każdej stronie podaje czytelnikowi do sprawdzenia przytoczonych przez siebie faktów. Nakoniec jedną pozwolimy sobie zrobić uwagę. Oto część filologiczna i czysto naukowa nieco pobieżnie traktowane. Obszerniejszy naukowy i czysto filologiczny rozdział, który czytelnicy niefachowi mogliby bez żadnego uszczerbku pominąć, dla uczonych, a specyalnie filologów, wielce byłby pożądanym, a całej rzeczy nadał akademicki stempel, na który dzieło ze wszech miar zasługuje. Autora w zupełności na to stać; do tego rzadkość i wielka trudność dostania tych dzieł, czyniły wielce pożądanem dodanie, choćby krótkich ustępów, czy to z oratorskich lub dyplomatycznych, czy naukowych prób stylu, tego, jak się zdaje, największego Odrodzenia naszego latynisty. Znajdują się przecie jeszcze w społeczeństwie naszym ludzie, którzy choć niefachowi, szlachetnym Rzymian idyomatem rozkoszować się są zdolni.

Poza tym drobnym brakiem niechaj nasza ucząca się młodzież bierze sobie książkę prof. Morawskiego za wzór, jak do pisania dzieła poważnego przystępować należy.

Dr. Paweł Popiel.

Szujskiego młodość. Napisał *Stanisław Tarnowski*. W Krakowie 1892. (Str. 232).

W każdym stuleciu zsyłała nam Opatrzność mężów, duchem publicznym płomiennych, krytycznem okiem ogarniających przeszłość, a bystrym rozumem przewidujących przyszłość. Mężowie ci brali w siebie całą gorycz win przodków i całe piekło dni obecnych; dzierząc zaś w swej duszy ogniste słowo, wskazywali z jednej strony grzechy

ojców, a z drugiej wytykali śmiało, z jakimś jasnowidzeniem, bezpieczne szlaki, któremi powinna iść przyszłość, jeśli ma przynieść zbawienie. Wydał na tem polu wiek XVI. Modrzewskiego i Skargę, wiek XVII. Starowolskiego, wiek XVIII. Leszczyńskiego, Konarskiego, Staszica, Kołłątaja... Po pisarzach politycznych ubiegłych stuleci, gdy już naród utracił byt polityczny, tę samą rolę wzięła na siebie poezya romantyczna, a w niej najbardziej III. część „Dziadów“, „Irydion“, „Przedświt“ i „Psalmy“. W ten sposób i rozum polityczny i poetyczne natchnienie wypowiedziały swą przestrożę i groźbę zarazem, wskazując źródła upadku, na jego ogrom, i podając środki, jak z niego się podnieść. Atoli poezya romantyczna, rozwijająca się w chwilach bolesnego szamotania się narodu, nie wypowiedziała rad swych dość przedmiotowo: i zamęt chwili i warunki społeczne, w jakich się rozwijała, przyprószyły jej myśl głęboką i podstawowy ideał. Myśl tę i ten ideał należało jeszcze raz wskazać wyraźnie, oczyścić z wszelkiej utopijności, podkreślić dobitnie, a stosując się do ściśle naukowego usposobienia umysłów, szczególnie w drugiej połowie XIX. wieku, poprzeć na nowo dowodami nie już metafizycznymi i poetycznymi tylko, lecz zarówno i pozytywnymi faktami dziejów. Dokonał tego właśnie Szujski, ten „najgorętszy płomień naszego publicznego ducha i światło naszego publicznego rozumu“ (St. Tarnowski w „Próbach rozstroju“, p. 30). Uzbrowiony w skalpel anatomisty, z okiem wytężonem w przeszłość, nie wahał się on zerwać z niej rzekomy nimbus świętości i nieskazitelności, wskazać otwarcie jej grzechy i winy na to, aby wyciągnąć z nich zbawienną naukę dla nowych pokoleń, słowo żywota podać przyszłości, ażeby ożyła. W pośród czyśca dni teraźniejszych, napawając się wszystkimi jego bólami i pijąc do syta całą jego gorycz, Szujski spotęgowal swe uczucie tak bardzo, a wyrazom jego nadał tyle uroku rzeczywistego cierpienia, że znalazły oddźwięk w tysiącach dusz i wielka część narodu zrozumiała je. Mógł więc odezwać się do swej ojczyzny słowy Wallasa:

Matko! tyś zakon miłości twej świętej
 Ognistym palcem w piersi mi wdrożyła,
 Tyś wzięła wszystko, bym w bolach rozpięty,
 Ujął twój wielki ból, którym'eś żyła...

Już niejedno znakomite pióro u nas usiłowało skreślić działalność Szujskiego jako poety, historyka i polityka. Dość wymienić pp. Źwiklińskiego, L. hr. Dębickiego, St. Koźmiana, St. Smolkę, A. Pawińskiego, A. Sokołowskiego, Fr. Zolla, Pawła Popieła, P. Chmielowa

skiego. Lecz mimo to pomnika trwałego w literaturze, a należytego uznania od ogółu, Szujski się nie doczeka tak długo, jak długo tajemnica jego talentu, rodzaj jego twórczości, wartość jego dzieł nie będą objaśnione samemże jego życiem wewnętrznem...

Bardzo wielkim krokiem naprzód, uczynionym dla uprzystępnienia ogółowi głębokich pomysłów Szujskiego, jest wymieniona w nagłówku książka prof. St. Tarnowskiego. Autor, jeden z najbliższych powierników i kolegów Szujskiego, uchyla w tej książce rąbek zasłony, która dotąd pokrywała przed okiem publiczności młodość twórcy „Chwil poważnych“ i „Sługi grobów“, aby złożyć bodaj przybliżony obraz z rozrzuconych rysów, zapisków i wspomnień, stawić przed nami posagową tę postać w jaśniejszym świetle i dać przez to klucz do głębszego zrozumienia dzieł Szujskiego.

Książka prof. Tarnowskiego zawiera dwie części: Lata szkolne od roku 1846—1852 w Tarnowie, od r. 1852—1854 w Krakowie; Lata młodzieńcze (1854—1861), i dodatek, w którym umieszczono gimnazjalne świadectwa Szujskiego. Zatrzymajmy się na chwilę przy treści dzieła.

Urodził się Szujski w Tarnowie 16 czerwca r. 1835. O dzieciństwie jego wiemy mało. W pamiętniku, który począł pisać w ostatniej chorobie dla swojej rodziny, opowiada o swym przyjacielu i niemal piastunie lat dziecińczych, starym Kościuszkowskim żołnierzu, Aleksandrze Skrodzkim. Od niego to usłyszał po raz pierwszy o Kościuszcze, o Puławach, o literaturze, o francuskim terrorze i rewolucyi... Wśród tych młodocianych wrażeń, które umysł dziecka nastrojały poważnie a smutnie, pod wpływem świątobliwej i roztropnej matki, rozwijał się prędko i bujnie. Pierwsze jego utwory poetyckie pochodzą z bardzo wczesnej doby, bo już z dziecięcego roku życia. Z tych pierwszoków jego Muzy chłopięcej widać, że znał już dobrze „Pieśni Janusza“, „Przedświt“, „Improwizacyę“, „Maraton“ i „Skargi Jeremiego“, i po swojemu, nie bez wdzięku usiłował je w formie i treści naśladować.

Jesienią r. 1846 oddany do I. kl. gimn. w Tarnowie, gdzie pozostaje aż do r. 1852. Umysł i serce rozwijają się nader szybko, bo już w tych latach przechodzi on pierwszą walkę z pokusami niewiary, a wychodzi z nich zwycięsko, jak widać z wiersza: „Spowiedź i modlitwa“ (r. 1851). Sześcioletni pobyt w gimn. tarnowskim wydaje z dziecka młodzieńca szlachetnego, „z duszą wysoką, z myślą ciekawą i śmiałą, z wiedzą aż nadto prawie obszerną, z rozwiniętymi skrzydłami poezyi“ (p. 28).

Nie wiadomo, z jakich przyczyn do klasy VII. przenosi się Szujski do Krakowa, do gimn. św. Anny. Odtąd autor sam, jako kolega, jest naocznym świadkiem jego czynów, a jako gorący i serdeczny przyjaciel, blizkim powiernikiem jego myśli i planów. To też opis tych dwu ostatnich lat spędzonych w gimnazjum, wypadł świetnie. Przedstawienie pełne plastyki, charaktery osób skreślone wyraziście i obdarzone życiem niemal epickim; młodzieńcze sympaty i wspomnienia, do których później lubimy tak często powracać, jakby do utraconego raju, rozlały po całym obrazie tyle ciepła, tyle uroku, że czytelnika po prostu porywają... Na tle nader ścisłego koleżeńkiego pożycia i codziennych zdarzeń szkolnych, przesuwają się to surowe lub energiczne postacie nauczycieli, jak nieszczęśliwy ks. Janota lub dr. Klemensiewicz — to znów sympatyczne niezmiernie i pociągające swym charakterem, jak ks. katecheta Staroniewicz, który „na wielkim egzaminie pewno znalazł miłosierdzie“ u Boga, tak jak je sam miał dla swych uczniów, drżących przed powagą szanownego inspektora, ś. p. Czerkawskiego... lub jak prof. fizyki i matematyki, Ignacy Gralewski, „gołębiej, anielskiej dobroci“, — to wreszcie otoczone przez autora szczególnym szacunkiem i ciepłem, jak np. prof. Sawczyński, którego obejście się delikatne, wysoki takt i rzetelna nauka, podbijały serca wszystkich uczniów.

To hierarchia szkolna. A jakież były stosunki koleżeńskie, jacy koledzy? Prof. Tarnowski nie pominął tego żywiołu, ale owszem odmałował grono swych kolegów i najbliższych rówieśników w całym szeregu sylwetek, z których dałoby się złożyć bardzo urozmaicone i bardzo sympatyczne album. Nie możemy tutaj zapuszczać się w szczegóły. Zresztą suche wymienianie nazwisk nie przyda się na nic; trzeba te charakterystyki odczytać samemu, aby nie uronić nic z tej niezrównanej świeżości, plastyki i życia, jakim tchną pod piórem znakomitego pisarza.

Wiadomo, jak wielki wpływ wywiera na młodym, podatnym umyśle studenta, literatura bieżąca. Ona to częstokroć podaje nam jedyny i bardzo pewny klucz do rozwiązania zagadki późniejszego życia i działalności autorów, do zrozumienia genezy najzawilszych dzieł. Prof. T. wymienia dlatego bardzo skrętnie, co młodzież ówczesna czytała z zapalem i jaka była jej umysłowa karm: „Interesa familijne“ Kraszewskiego czytaliśmy z wielkiem zajęciem; Korzeniowskiego „Tadeusz Bezimienny“ trochę nas gorszył... ale podobał nam się ogromnie. Dużo już mniej p. Kaczkowskiego powieści. Zachwyceni małemi powiastkami...,

rzucaliśmy się chciwie na „Murdeliona“, ale kończyli go z pewnem rozczarowaniem. Względem Deotymy byliśmy obojętni... Na poemata Pola czekaliśmy prawie jak Żydzi na Mesyasza; przepadaliliśmy za „Pieśniami Janusza“ i myśleliśmy naturalnie, że kiedy małe rzeczy pisał tak pięknie, cóż dopiero będzie, jak napisze większe... Na te nasze ówczesne literackie sądy musiał bez naszej wiedzy wpływać silnie L. Siemieński, jak na polityczne *Czas*, jedyny dziennik, jaki czytać mieliśmy sposobność“... (p. 80—81).

Na tle tych barwnych i ożywionych stosunków, talent Szujskiego rozwijał się bujnie i prędko rozkwitał. Pracował jak mąż dojrzały, prawie bez wytechnienia. Ile on w tych dwu latach w Krakowie nie przeczytał, ile materyałów do przyszłych swych dzieł nie przygotował, ile głębokich pomysłów nie snuło się po jego głowie! „Za tych to czasów, na tych przechadzkach roily się w studenckiej głowie te rozmyślenia, w chłopięcej wyobraźni stawały te wspomnienia, sercem ścisnęły te uczucia, z których później złożył się np. „Sługa grobów“, jeszcze później jego dramata; rozrastały się i krzewiły niewidzialnie w duszy pierwiastki i siły tego żywota, którego celem, hasłem, treścią było to, co dał za tytuł jednej ze swoich prac najgłębszych: „Odrodzenie i reformacya“: tylko prawdziwe odrodzenie i reformacya prawdziwa“ (p. 91).

Cechuje młodego studenta już w tych latach rzetelność pracy i rozległość wiedzy. „Inni uczyli się, żeby dobrze przejść klasę, a czytali przez ciekawość... on chciał naprawdę umieć, wiedzieć, co wiedział, zatrzymać“ (p. 91). To też wiele się nauczył: przyswoił sobie język włoski, gruntownie zapoznał się z światem klasycznym, w dziedzinie zaś historii czynił już źródłowe badania, czytając stare dzieła, Skargę, Reja, kronikarzy, poetów, a to wszystko z tym zamiarem, aby się dowiedzieć od tej zamkniętej księgi przeszłości, dla czego tak się skończyła, i żeby się nauczyć, jak poprawioną być może. Świadczy o tem jak najwyraźniej wiersz *Confessione*, napisany na ławach klasy VII. Wziąwszy to wszystko razem, musimy wyznać, że już w gimnazjum miał Szujski „wszystkie pierwiastki swoich męskich przekonań, działań i zasług“ (p. 96).

W drugiej części swej książki (p. 97—221), przechodzi prof. T. do lat młodzieńczych Szujskiego. Obejmuje tu w 4 rozdziałach po kolei: studia uniwersyteckie częścią w Krakowie, częścią w Wiedniu odbywane, przygotowania do egzaminu naucz., a potem, po zerwaniu z tą myślą, do doktoratu filoz., aż do ożenienia się w r. 1861. Wpro-

wadząc czytelnika w nowe stosunki, podaje autor na czele I. rozdziału krótki ale wyrazisty pogląd na ówczesny stan wszechnicy Jagiellońskiej, której swobodny rozwój krępowało jarzmo ustaw policyjnych, nad którą, jak widmo śmierci, unosiła się zhora germanizmu. Kreśli następnie usposobienie młodzieży uniwersyteckiej, która albo siedziała nad książką — dla egzaminu, albo „bywała w świecie“ — dla popisania się z swoją wolnością używania... fraka, rękawiczek i kart wizytowych. W latach tych autor nie jest już tak blizkim świadkiem i powiernikiem Szujskiego. Byli wprawdzie ze sobą razem na pierwszym roku i w półroczu zimowym roku trzeciego, ale nie żyli z sobą już tak ściśle i tak bez ustanku. Prof. T. drugi rok, a Szujski rok czwarty studyów uniwersyteckich odbywał w Wiedniu; byli więc od siebie oderwani. Niemniej jednak utrzymywali ze sobą stosunki listowne. Temu zawdzięczamy, że autor dokładnie jest poinformowany o tem, co Szujski w tych latach pisze, jakie uczucia nurtują w jego duszy, jakie walki ze sobą stacza.

Najważniejszym kresem w tym peryodzie czasu jest śmierć matki Szujskiego, zaszła w marcu r. 1857. Szujski matkę swą kochał niezmiernie, cenił nader wysoko, a uwielbiał jako istotę najidealniejszą. I w istocie zawdzięczał jej dużo; ona bowiem wszczepiła w jego serce tę głęboką wiarę, która przetrwała zwycięsko wszystkie burze, wszystkie próby i doświadczenia życia.

Od r. 1856 pojawiają się w listach i utworach Szujskiego zboczenia mesyanistyczne i zachwianie szczerých katolickich i katechizmowych zasad. Umysł zmacony, serce zbałamuczone przeróżnemi wpływami lektury i otoczenia, zaczyna się chwiać i skłaniać ku utopiom mesyanizmu. Lecz śmierć matki wstrząsa nim do głębi: znika stopniowo z jego duszy, co było w niej dotąd chorobliwego, przesadnego, dumnego, i ta dusza powoli, pod ciężarem żałoby i boleści, jak złoto w ogniu, oczyszcza się z obcych sobie naleciałości i odbiera „chrzest prawdy“. Piękne wiersze („Adoracya“, „Jej cieniem“), pisane po śmierci matki, które autor z „Trenami“ Kochanowskiego porównywa, są nader wymownym tego dowodem. Oto bodaj urywek:

Zwątpienia potwór serca mi nie ruszy,
 Bom pod opieką jej anielskiej duszy;
 Bo gdy mój tęskny szukał koło siebie,
 Musiałem wzrok mój potoczyć po niebie,
 I gwiazd się pytać, gdzie mi się podziła
 Anielska dusza ta, co mnie kochała.

(„Jej cieniem“).

Zwrot w duszy jego, spowodowany śmiercią ukochanej osoby, był bardzo stanowczy i nie poprzestał na poetycznych zachwytach tylko... We dwa lata po śmierci matki odbywa Szujski w Tarnowie gorącą spowiedź w duchu najszczerzej pokuty, a donosząc o tem w liście do T. Wojciechowskiego, staje już zupełnie na gruncie katolickim. „W to, co się wierzy, — pisze — trzeba wierzyć, o czem się jest przekonany, za to trzeba życie dać, a wierzyć nietrudno, bo w stanie czystszej wiara staje się prawie namacalną“ (p. 167). Wyzbywa się też mrzonek mesyanistycznych stanowczo i po męsku, jak widać z następujących słów: „Były to po większej części studenterye, frazy na wysokich obcasach, najśmieszniejsze pozowania, słowem lata smarkaczowskie... (p. 168). Nie trzeba brać boga swojej mózgownicy, który nam pomagał do składania artystycznych utworów, za katechizmową Tróję, bo to bardzo licha jej kopia. Nie trzeba myśleć, że dla wysokiej umysłowości zwykle, codzienne katechizmowe prawdy nie są obowiązujące. Nie trzeba się brać za osobę bezpośrednio korespondującą z Jehową, bo Jehowa za wielki i święty Pan, żeby się zbliżał do tych, co do spowiedzi nie chodzą... Nie trzeba zakładać towarzystw wzajemnej admiracji i intuicji, bo to strasznie krakowszczyzną trąci... Nie trzeba kochać się w krytych wertepach, mając przed sobą jasną i prostą drogę. Nie chce spróbować tej drogi, a wynajdować jakieś łamane skoki do tego, kiedy to rzecz prosta: „Módl się, pracuj, wypełniaj obowiązki“... Ile głębokiej a zdrowej prawdy w tych paru słowach.

Znajomość od r. 1855 z p. Joanną Jełowicką, przerwana chwilowo przelotną miłością do p. Henryki Mierówny, w r. 1858 zamienia się w oświadczyzny o jej rękę, a w roku 1861 w styczniu kończy się ślubem małżeńskim.

Takie są ważniejsze wypadki z życia Szujskiego w tych latach. A jakież jego utwory? Bardzo wdzięcznie i bardzo psychologicznie wplata je prof. T. w biografię Szujskiego w ten sposób, że mówi o nich i rozbiera je krytycznie w tych miejscach i chwilach, w których w duszy Szujskiego powstają ich pierwsze zarysy i kolejno wcielają się w kształty widome. Tak rozumiemy je o wiele głębiej, bo osadzone są na tym żywym gruncie, z którego wyrosły, a tem samem zachowują swą własną fizyonomję. Było to tem bardziej potrzebne, że w tej dobie Szujski nie jest jeszcze ani historykiem, ani politykiem, lecz przede wszystkim i prawie wyłącznie oddany jest poezji i w niej upatruje swe powołanie. Znaczna część dramatów, a większość jego dro-

nych wierszy powstaje w tej epoce. Nie możemy tutaj, w sprawozdaniu, utworów tych rozbierać w szczególności. Zresztą musielibyśmy całe ustępy z autora wypisywać, a w takim razie czytelnik więcej skorzysta, gdy książkę prof. Tarnowskiego sam uważnie przestudyje. Prof. Tarnowski ocenił wszystkie utwory rozbieganej przez siebie doby, zanalizował je drobnostkowo i sumiennie. Nie pominął żadnej usterki, od stylu aż do techniki i kompozycji, wytknął wszystkie braki i wady, ale też i strony dodatnie utworów poetycznych Szujskiego zaznaczył wyraziście. Krytyką tą usunął autor z drogi wszelkie trudności. Pozostaje tylko wraz z nim wyrazić szczere życzenie, aby Szujskiego dzieła poetyczne były częściej, niż dotąd, przedmiotem naszej lektury. Prawda, utwory te nie podrażnią nerwów, nie rozbudzą chorobliwych marzeń i halucynacyj wyobraźni, ale ducha, który dziś nawet u młodzieży jest często obumarły, ale wolę, której tak bardzo brak hartu, mogą podnieść i umocnić, mogą wzbogacić zapasem głębokich myśli, zasad i przekonań, bo jak to słusznie przed kilku laty na tem miejscu zaznaczono¹: „Szujski jest w plejadzie poetów podobno ostatnim, co silnie stoi przy sztandarze duchowym, a stąpa pewnym krokiem po gruncie rzeczywistości... Jako historyk nie od razu trafił na tory ściśle katolickie, w wcześniejszej atoli epoce, jako poeta, ukazuje nam głębię swej wiary, oczyszczonej z wszelkich przymieszek idealizmu, który często, nie brakiem, ale nadmiarem, rozmija się u innych z tem, co po prostu Kościół do wierzenia podaje“.

Rozstając się z tą książką, która po przeczytaniu zostawia w duszy wielkie ukrzepienie podobne temu, jakie wynosi się z obcowania z wzniosłym i szlachetnym człowiekiem, chcielibyśmy jedną uczynić uwagę. Prof. T. sam wyznaje, że Szujskiemu brakowało tylko większej drażliwości estetycznego zmysłu do tego, aby zostać poetą bez zarzutu. Błąd zaś ten jego organizacyi umysłowej, według autora, pochodził z braku kontroli nad sobą, z braku świadomości, która ostrzega, że taki a taki zwrot nie będzie dość estetyczny (p. 212 i 213). Otóż czy wobec tego braku można uważać Szujskiego za poetę-artystę w pełnem znaczeniu wyrazu? Czy bez tej drażliwości estetycznej na piękność formy i kompozycję artystyczną, bez tego delikatnego zmysłu, który w geniuszach poetycznych obchodzi się zwykle bez onej chłodnej kontroli, bo zastępuje ją potęgą na-

¹ *Przegląd Powszechny* r. 1885, t. IV, p. 332 i 334, w artykule L. hr. Dębickiego: „Szujski jako poeta“.

technienia, prawie nieświadomie wciągająca w swą służbę wszystkie władze duszy — czy bez tego, powtarzamy, kreacya jakaś, choćby myślą najszczytniejszą natchniona, może zwać się poezią w ścisłem znaczeniu?...

Piszemy się na wszystko, co szanowny autor powiada o treści tych utworów; „Wallasowi“, „Słudze Grobów“, „Poważnym Chwilom“ i wielu ustępom z „Roku Polskiego“ przyznamy chętnie niejedną zaletę formy, a potęgę uczucia wielką; atoli twórczości poetyckiej Szujskiego, wziętej zbiorowo, w całości, nie śmielibyśmy postawić obok twórczości Krasińskiego, choć bynajmniej nie przeczymy, że kreacye Szujskiego co do swej treści w istocie mogą być dalszym stopniem rozwoju myśli autora „Przedświtu“ i „Psalnów“.

Romuald Koppens.

Ks. Paweł Rzewuski, biskup nominat prusenski, sufragan warszawski. Napisał *Kazimierz Bartoszewicz*. Kraków. Nakład autora. 1893.

Kiedy przed kilku miesiącami odprowadzaliśmy do grobu tak bardzo dla Kościoła, dla społeczeństwa naszego zasłużonego wygnańca-wyznawcę, ks. Rzewuskiego, nie mogło nie uderzyć boleśnie, że bardzo drobna tylko garstka znalazła się tych, którzy pospieszyli mu oddać ten należny, ostatni hołd. Czy to była karygodna obojętność, czy może nieświadomość, czem był ks. Rzewuski, co zrobił, co przecierpiał dla dobrej sprawy? W każdym razie należało przedrzeć ciemną ową zasłonę obojętności, czy nieświadomości, należało się jakieś zadośćuczynienie — i takim właśnie pewnego przynajmniej rodzaju zadośćuczynieniem jest w myśli p. Bartoszewicza obszerne pośmiertne wspomnienie, umieszczone najprzód w łamach *Kuryera Polskiego*, następnie w osobnej broszurze w świat puszczone. Serdeczne, więcej niż zwykle przyjacielskie związki łączyły zmarłego z najbliższą rodziną autora, z nim samym i kiedyś w Warszawie i w ostatnich, powygnańczych latach w Krakowie; temu też stosunkowi zawdzięcza na pierwszym miejscu broszurka o ks. Rzewuskim serdeczny nastrój, ton czasami rzewny, zawsze pełen czci i miłości. Szczegółów nowych niezbyt wiele, mówiąc dokładniej, nie tyle, ilebyśmy pragnęli. Może na zebranie ich czasu nie starczyło, może dobrze zrozumiana ostrożność nie dozwoliła dziś jeszcze na jaw niektórych z nich wydobywać; kilka z osobistych wspomnień przytoczonych tak są miłe i charakterystyczne, że czytelnik, smak mając tylko podrażniony, musi o więcej się dopominać. Nie wiem też, jak pod pióro tak zresztą poprawnego pisarza wcisnąć się mógł nieszczęśliwy, nie-polski, niedokładny zwrot o „włożeniu“ Ostatnich Sakra-

mentów. Wartoby, aby p. Bartoszewicz, odpokutowując za to, i za parę innych, odnoszących się zwłaszcza do życia kościelnego i religijnego, a nie zupełnie dokładnych wyrażań i zwrotów, napisał kiedy osobny fejletonik przeciw tłumaczom dziennikarskich depesz telegraficznych, którym głównie bodaj oswojenie się z takimi zwrotami mamy do zawdzięczenia.

Ks. J. B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Apologie des Christenthums. Natur und Uebernatur. *Fr. Albert Maria Weiss* O. Pr. 2 Bände. Freiburg im Breisgau. (P. 1192)

Idealizm ustępuje dziś miejsca materyalizmowi, nadprzyrodzoność — naturze, chrześcijanin — człowiekowi.

O tem odchrześcijanieniu ludzkiej natury pisał autor w poprzednim swem dziele: *Humanismus und Humanität*, lecz odsłaniał on tylko faktyczne istnienie złego humanizmu, jego wadliwość i bezsilność wobec krewkości zepsutej natury człowieka i tylko jako wniosek wskazał konieczność odkupienia. Nic jednak nie podawał, czegoby sam zdrowy rozum nie pochwalał, czegoby każdy wykształcony poganin nie mógł również powiedzieć. Powagi, na które się powoływał, były imiona pogańskich też myślicieli.

Obecnie postępuje autor o krok naprzód, rzucając jakoby pomost między światem przyrodzonym a nadprzyrodzonym, przez któryby natura przechodząc do nadprzyrodzoności, otwarła sobie drogę w świat nowy, w świat czystości, wolności i prawdy, i stając się chrześcijańską, stała się przez to właśnie doskonale ludzką.

Duch dzisiejszego wieku istotnie wprost jest przeciwny nadprzyrodzoności, którą też zwalcza, „jako śmiertelnego wroga swojego“¹. Niezawisłość rozumu i woli oznacza niezawisłość od nadprzyrodzoności. Ołtarz i tron, Kościół i społeczeństwo, wiedza i wychowanie, szkoła i rodzina, małżeństwo i rząd, sztuka i rozrywki, obyczaje publiczne i prywatne, słowem wszystkie zdobycze chrześcijaństwa, cały ustrój naukowy i etyczny, wstrząsa walka przeciw pierwiastkowi nadprzyrodzonemu podjęta. — Lecz walka ta sprowadza ruinę przyrodzoności. Fakta mówią, poświadcza statystyka, że stosunki obecne stoją w sprzecz-

¹ Strauss, *Glaubenslehre* II. 739.

ności z postępem i cywilizacją, która tylko pewnych klas uprzywilejowanych stała się udziałem, pozostawiając na boku miliony upośledzonych. Maurer, Funck-Brentano, Niebuhr, Fichte, zapowiadają przerażającą przyszłość — powrót do zdziczenia i barbarzyństwa. Fakta takie, jak np. liczba samobójstw, dochodząca w Europie do 50.000 rocznie, zdają się potwierdzać te obawy. Mazaryk (*Der Selbstmord*) dowodzi, że bezreligijność, większa może niż za rzymskich czasów, źródłem jest tej skłonności samobójczej. Stąd połowiczność charakteru i wiedzy, oświaty i zasad, jednostronność w rozumie a pustki w sercu. Zaczem idzie przebranie miary w drażnieniu nerwów, a niemożliwość nasycenia zmysłowości wywołuje zgryźliwy sceptycyzm, apatyę lub rozpacz.

O. Weiss w poprzednich tomach wykazał wszechstronnie, że człowiek, jakkolwiek w naturze jego tkwią szczątki prawdy, dobra i piękna, nie zdolny jest jednak o własnych siłach osiągnąć doskonałości swej natury. Dlatego słusznie przechodzi w dziele niniejszem do wykazania, że ludzka natura nietylko została odkupioną i tem samem naprawioną, lecz co więcej, że to odkupienie podniosło ją do wyższego nadprzyrodzonego celu, który to cel, wyższem nadprzyrodzonym życiem da się osiągnąć.

Autor nie zamierza dowodzić nadprzyrodzoności, bo nikt istnienia jej na seryo nie zaprzecza, a niezbyt wielu zaciętą wypowiada jej wojnę; co samo już jawnie dowodzi, że świat nadprzyrodzony rzeczywiście istnieje, bo z czemś nieistniejącem, któżby chciał ustawiczną wieść wałkę? Zresztą istnienie jej wskazuje autor mimochodem z jej potężnego wpływu, działania, skutków. Po dowody zaś obszerniejsze odsyła do dzieł: Kleutgena, Denzinger'a, Schüzlera, Grossa, Matignona.

Że zaś najwięcej jest obrońców teorii, iż niepodobna równocześnie spełnić obowiązków człowieka i chrześcijanina, żyć dla świata i dla Ewangelii, dążyć do celu przyrodzonego i do nadprzyrodzonego, że zatem rozbrat wziąć potrzeba z naturą albo z nadprzyrodzonością, dlatego głównem zadaniem Apologii Weiss'a w omawianych tomach jest: wykazać całą konieczność i doskonałość połączenia tych dwojakich powinności, dążeń i światów.

To zaś przeprowadza autor w czterech częściach czyli działach. W części pierwszej zestawia on historycznie i krytycznie ruinę pogaństwa z powstaniem chrześcijaństwa. W części drugiej ukazuje chrześcijaństwo ze swą wiarą i ustawodawstwem, jako podstawę prawdziwego życia. W części trzeciej opisuje naukę oświaty chrześcijańskiej

i chrześcijańskiego wychowania. W części czwartej zaś kreśli życie chrześcijańskie we wszystkich jego składnikach.

Pięknym jest w części pierwszej obraz upadku pogaństwa. Kultura starożytnego Rzymu, najwspanialej rozwijająca swe pawie pióra sztuki, bogactwa i zbytku, dochodzi swego zenitu. Zdumiewać muszą historyka owe pałace, większe częstokroć od miast, owe widowiska kosztowne, gdzie na arenie bitwy morskie staczano, owe wozy wspinalne, zaprzężone tygrysami lub lwami, owe słonie chodzące po linie i piszące po grecku! Cóż mówić o gmachach publicznych Rzymu, który liczył 423 świątyni, 836 łaźni, 1353 wodotrysków, a na ulicach i placach aż 10.000 posągów z brązu. Termy Dyoklecjana z 32.000 miejsc z błyszczącego marmuru, pokoje pałaców tapetowane prawdziwymi perłami, złoty dom Nerona z kopułą olbrzymią, kręcącą się w dzień i w nocy, dzieło nadwornych architektów Sewera i Celera! Albo dwa teatry, zbudowane przez Skryboniusza Curiona w ten sposób, że mając kształt pół-owalny, zaokrągleniami zwrócone były do siebie, liniami zaś prostymi odwrócone; każdy z nich mieścił 50.000 widzów. Po rannem przedstawieniu obracano teatry te wraz z widzami około sztucznej osi tak, że liniami prostymi schodziły się z sobą, tworząc jeden wielki amfiteatr o 100.000 widzów! Czyliż dzisiejsza mechanika zdobyłaby się na coś podobnego? Nieobcą była Rzymianom szybka jazda i wygody podróże. Można było odbyć podróż z Konstantynopola do Antyochii w ciągu niespełna dni sześciu, drzemiąc w wygodnym *sleeping-car'ze* (*carruca dormitoria*), lub czytając dziennik, założony przez Juliusza Cezara! Mimo tej kultury, mimo wojsk licznych i floty olbrzymiej, mimo kilkakroćstosięcznych bibliotek, złupionych w Pergamum, Atenach lub Efezie, mimo nieprzebranych bogactw i całej swej oświaty, Rzym, co wyssał dla siebie żywotne soki wszystkich niemal stolic ówczesnego świata, sam głód cierpiał okropny w umyśle i sercu, pożerany wewnętrznym rozkładem coraz bliższego upadku. I stał ten kolos siedmiogłowy — jak Moloch, próżny i nienasycony milionem pochłoniętych ofiar. Rzymianin odtąd na jeden tylko czyn zdobyć się potrafił — na samobójstwo, a śmierć taka zaszczytem była i chluba, przez mędrców rzymskich sławiona.

Ostatnim więc wyrazem najoświecześniejszego z pogańskich narodów była śmierć. Pierwszym zaś wyrazem rodzącego się chrześcijaństwa był żywot wieczny, tak jak określeniem Boskiego jego twórcy są słowa: *Jam jest żywot*. Ten żywot wlewało chrześcijaństwo w krzepnące żyły starożytności, nie zabijając jej, jak chcą niektórzy, lecz

ją odradzając. Tu autor historycznie dowodzi, że grobem starożytności pogańskiej nie było chrześcijaństwo, lecz wielbiony przez tylu swych czcicieli Marek Aureliusz. Następnie zbija inną teorię, usiłującą dowieść, że chrześcijaństwo było tylko rozwojem naturalnego postępu dziejowego. W tym celu przedstawia autor pogaństwo, filozofię, ustrój cesarstwa, Germanów, wędrówkę narodów, lud i religię żydowską, wykazując, że te wszystkie żywioły nie mogły wytworzyć idei chrześcijańskiej, która nie była ani reakcją, ani rewolucją, ani postępem pogaństwa, jedno pierwiastkiem wyższym, nadprzyrodzonym, który też nie naturalnemi, lecz nadprzyrodzonymi środkami odniósł tryumf zwycięstwa.

W części drugiej rozwija autor umiejętnie samą już treść chrześcijaństwa, a najprzód zasadniczą ideę wiary. Chrześcijaństwo przywraca pierwotne, a z czasem zapomniane pojęcie Boga, prostuje błędne i sprzeczne o Nim mędrców zdania, a uzupełnia i doskonali ideę Boga w Starym Testamencie objawioną. Wiara w pojęciu chrześcijańskim wskazuje dopiero prawdę i zaspakaja pragnienia ludzkiego umysłu. Wiara ta staje się początkiem, podstawą i warunkiem moralności. Wiara jedynie może wychować ułomną i słabą naturę ludzką, a przeobrazić i naprawić zepsutą i upadłą. Stąd wynikający obowiązek wierności dla tej wiary nie pozwala na tolerancję innych pojęć religijnych, lub moralnych zasad. Dalej rozwija autor pojęcie chrześcijańskiej sprawiedliwości, wyższej niż humanistyczna, polegające nie na artyzmie, lecz na działaniu. Podstawą i ogniskiem całego organizmu chrześcijańskiej sprawiedliwości jest łaska, skutkiem zaś jej, na który się składa i współdziałanie ludzkie, są cnoty, nieskończenie doskonalsze od cnót naturalnych. Pierwszym kierunkiem sprawiedliwości jest sprawiedliwość względem Boga, tj. religia, której treścią i życiem: ofiara. Stąd moralność niezawisła jest chimera, tem więcej, że wolność prawdziwa wymaga dwóch rzeczy koniecznie: łaski dla wzmocnienia woli, i prawa dla oświecenia rozumu.

Powagą zastępującą Boga, zwierzchnością od Niego ustanowioną, jest Kościół. On skarbcem, w którym złożona łaska dla woli, prawo dla rozumu. On zakładem leczniczym, Betsaidą dla paralityka, Jordaniem dla Naamana.

Największą trudność etyczną stanowi pogodzenie natury z nadprzyrodzonością. Chrystus w swej osobie te dwa przeciwległe bieguny łączący, staje nie tylko jako Odkupiciel i Pośrednik, lecz także jako Mistrz i wzór do naśladowania. Stąd w trzeciej części kresli autor naj-

wspanialsze zasady wychowania, z nauki tego Mistrza wysnute. Kształcenie umysłu, woli, charakteru, serca, czego warunkiem i sposobem jest karność, panowanie nad sobą i umartwienie, wesołość ducha i miłość uczynna, pełniąca t. zw. cnoty ludzkie, oraz modlitwa i Sakramenta śś. Całą siłę człowieka z takiego wychowania wynikającą, stanowią: łaska, wiara i czyn.

Tu dla dokładniejszej ilustracji porównuje znakomity apologeta wychowanie greckie i rzymskie z wychowaniem chrześcijańskim, a zarazem świetny pisze rozdział o stosunku sztuk pięknych do wychowania i o zadaniu sztuki chrześcijańskiej wobec umoralnienia ludzkości. Po wychowaniu następuje życie, jako cel jego bezpośredni. Więc część czwartą poświęca autor skreśleniu chrześcijańskiego życia. Rozpoczyna od odrodzenia, które jeśli jest trudnem, to z tej tylko przyczyny, że być chrześcijaninem dlatego jest niełatwo, że niełatwo też być człowiekiem. Chrześcijaństwo łączy z naturą pierwiastek wyższy, potężniejszy, tj. łaskę, i przez nią wzmacnia i podnosi naturę, i to znaczy odrodzenie do nowego życia. Życie zaś wszelkie potrzebuje środków, by je obronić przed żywiołami wrogimi, by je podsycać, by mu wzrost dawać. Też same ma warunki życie nadprzyrodzone. Wspaniałość tego życia w ten sposób utrzymywanego, pokazuje się z owych szerokich widnokręgów, jakie otwiera człowiekowi wiara działająca w rozumie, działająca w sercu, działająca w woli. Oczywiście Kościół pozostaje wobec życia nadprzyrodzonego szkołą dla czasu i dla wieczności, modlitwa siłą i cechą tego życia, polem zaś działania jest cały obszar przykazań, których związką miłość wszechstronna, jako cel doskonały całego obyczajowego dążenia na ziemi i uspokojenia zupełnego wszystkich pragnień duszy poza ziemią.

O Apologii Weissa wyrażają się niemieccy krytycy, że jest to *ein epochemachendes Werk*. Zdanie to nazbyt może entuzjastyczne, lecz o tyle prawdziwe, że nie mieliśmy dotychczas apologii chrześcijaństwa, łączącej w sobie te wszystkie przymioty, któremi pióro Weissa świetnie zabłysło. Ogarnia on najprzód cały ustrój chrześcijaństwa, przebiega wszystkie jego dziedziny od historyi do krytyki, od etyki aż do dogmatu. Z erudycją nieporównaną i niezbitą logiką ocenia świat starożytny niemniej trafnie, jak i nowożytne pogaństwo. Zna wszystkie uprzedzenia, zbija wszystkie zarzuty, rozwiązuje wszystkie trudności, wnika we wszystkie potrzeby jednostki, rodziny, społeczeństwa, przebiega cały obszar wiedzy i sztuki, ustawodawstwa i zasad etycznych. A nadewszystko nawiązuje jasno i logicznie przyrodzoność z nad-

przyrodzonością i czyni to w sposób tak naukowy i głęboki, a zarazem tak zajmujący i przystępny, że dzieło jego, choć może nowej epoki nie stworzy dla całego świata, stworzyć ją może dla każdego człowieka dobrej woli, człowieka, co jak ów ewangeliczny Nikodem, w nocy swych niepokojów i błędów, zechce w tej księdze szukać drogi odrodzenia...

B. Jasieńczyk.

Der Auszug aus dem Pancatantra in Kshemendras Brihatkathamanjari. Einleitung, Text, Uebersetzung und Anmerkungen von *Leo von Mañkowski*. Leipzig. Otto Harrassowitz. 1892. (IV—LVI, 70, w 8-ce).

Praca p. Mañkowskiego tworzy bardzo cenny przyczynek do dziejów literatury legendowej. Jak uczonym dzisiaj wiadomo, najwięcej ludowych baśni na Zachodzie pochodzi ze Wschodu, a mianowicie z Indyj; ale nie doszły do nas prostą drogą: przywłaszczaliśmy je sobie za pośrednictwem przekładów perskich, arabskich i syryjskich.

Najważniejszy zbiór indyjskich legend i baśni wyszedł właśnie w księdze, nazwanej Pancatantrą. Dlatego badacze dziejów literatury nie szczędzą mozołów, żeby dokładnie poznać pierwotną postać Pancatantry. Znakomitą przysługę tym badaczom wyświadczył p. M. przez wydanie tekstu Pancatantry, przynajmniej w ustępie przechowanym przez Kshemendrę w jego Brihatkathamantarzech. O Kshemendrze i jego dziele może czytelnik nabyć rzetelnego pojęcia ze wstępu p. M. Ten wstęp a raczej przedmowa zawiera wyborną krytykę literacką, za którą znawcy muszą poczuwać się do wdzięczności dla autora.

Przedewszystkiem trzeba podnieść, że autor dokładnie i troskliwie zwrócił uwagę na każdy szczegół, który może zająć znawców. Na jego wierny przekład można spuścić się zupełnie. Oczywiście, jak we wszystkich utworach indyjskich, tak tutaj musimy spotkać niejedno, co razi nasze uczucia. Pan M. nie mógł tych miejsc opuścić, ale użył w przekładzie zwrotów, któremi zręcznie osłania zbyt jaskrawe objawy indyjskiego ducha.

Nakoniec za wartością pracy p. M. przemawia ten szczegół, że jej dedykację przyjął radca Bühler, którego zdanie znawcy sanskrytu słusznie a bardzo sobie cenią.

Ks. Józef Dahlmann.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Jubileusz Leona XIII. — Jeszcze o w. ks. Sergiuszu w Watykanie. — Polska i Rosya. — List Pobiedonoscewa. — Petersburskie *Nowosti*. — Unia wschodnia. — Ks. Franco. — Polityka papieska i sprawa panamska. — Koniciec sporów o szkołę w Stanach Zjednoczonych.

JUBILEUSZ
LEONA XIII. Na miesiąc, w którym Leon XIII. obchodzi swój jubileusz biskupi, nietylko wierni synowie Kościoła niosą dary i hołdy składają przed Stolicą Apostolską: w tym hołdzie biorą udział także wrogowie papiestwa. Prawda, że po nich nie można oczekiwać, żeby przez udział w pielgrzymkach i składkach na świętopietrze świadczyli o swojej czci dla Biskupa rzymskiego; tę cześć, głęboką choć mimowolną, okazywać muszą innym sposobem, sobie właściwym. Nie zaniedbują niczego, żeby dać światu poznać niespożyty zapas sił żywotnych, z którymi Kościół wojujący pod wodzą Leona XIII. spełnia swoje posłannictwo, i jako jeden z najpoważniejszych czynników w dziejach świata, staje u progu dwudziestego stulecia.

Na społeczeństwo przeżyte i zgrzybiałe ze starości mało kto zwraca uwagę, a najmniej potrzebują jego przeciwnicy miotać na nie pociski namiętne. Na Kościół Powszechny przeciwnie nie mogą spoglądać spokojnem okiem jego nieprzyjaciele. Widok

Leona XIII., okolonego przedstawicielami wszystkich narodów chrześcijańskich, nie tyle może pociesza serca wiernych, ile zaostrzył walkę, którą coraz natarczywiej prowadzi obóz bezwyznaniowy przeciw Kościołowi.

Zaraz po rozpoczęciu jubileuszowych uroczystości, po ojcowskiej audyencji udzielonej dzieciom pierwszych rodzin rzymskich, *Unita Cattolica* dostała wiadomość, że rząd włoski, pod pozorem obawy przed cholera, nakazał oględziny lekarskie wszystkich pielgrzymów, którzy dążą do Rzymu z powodu jubileuszu. Zakazu takiego nie było: wiadomość o nim miała być tylko postrachem na pielgrzymów.

Kiedy ten manewr pozostał bez skutku, użyto innego: poczęto przez osobiste wycieczki przeciw Leonowi XIII. odstręczać od niego serca wiernych. Polityka Watykanu dała najwygodniejsze pole do takich harców; na nią szczególnie teraz natarł obóz bezwyznaniowy, żeby koniecznie poróżnić papieństwo z Francją i zaniepokoić katolików stosunkami między Watykanem a Petersburgiem.

W tym zamiarze musieli wystąpić z pogłoską, że ledwo kilkunastu tysięcy franków dosięgło świętopietrze, zebrane z powodu jubileuszu tegorocznego, chociaż na jubileusz kapłański wierni złożyli dla Leona XIII. półtora miliona franków. Przyczyną takiej różnicy mają być monarchiści francuscy, rozżaleni na Leona XIII. za jego stanowisko wobec Rzeczypospolitej. Francya głównie zasilala skarb papieski hojnemi dawniej datkami; dzisiaj zamknęła sakiewkę dla orędownika zgody z rządem obecnym. Oczywiście, choćby ta pogłoska nie była czczym wymysłem, Leon XIII. z żalu za uszczuplonem świętopietrzem nie zmieni swojej postawy względem rządu francuskiego; mimo to niektóre pisma dostrzegły, że Leon XIII. już uznaje swój błąd i wyciąga rękę do monarchistów, tem silniej odstręczony od rządu Carnota, że doznał od niego przeszkód przy obsadzaniu niektórych stolic biskupich we Francyi.

Na dowód zwrotu do polityki monarchicznej przytaczały te pisma list papieski do biskupa orleańskiego, w którym przychodzą wyrazy nagany za postęпки rządu. Na ich nieszczęście,

cała budowa ich zamysłów runęła, kiedy te wieści doszły do uszu Leona XIII.: ten zaraz zadał im kłam stanowczo i w rozmowach urzędowych raz po raz zapowiada, że na krok nie zejdzie z drogi, na którą z nieodżałowanym kardynałem Lavigerie postanowił sprowadzić Francję.

Na tem polu zawiedziona prasa wolnomysłna nie dała za wygranę; chwyciła za inną broń: długim rzędem poszły skargi w dziennikach na Papieża, za jego związki z dworem petersburskim.

JESZCZE O
W. KS. SERGIUSZU
W WATYKANIE. Dowództwo w tej wyprawie przypadło w udziale Crispimu. Ten w rozmowie z korespondentem *New-York Herald* uważał za stosowne ubolewać nad Leonem XIII., który ciągle marzy o władzy doczesnej i dla tej mrzonki poświęciłby dziesięć Polsk, byle zarobić na przyjaźń jej ciemnościeli. Powagą Crispiego zachęceni jego zwolennicy, na nowo powtórzyli starą piosnkę, żeby przypomnieć Leonowi XIII. życiwe przestrogi o niebezpieczeństwach drogi, którą ich zdaniem obrał. Któżby między nimi rej wodził, jak nie *Neue Freie Presse*? ta najserdeczniejsza przyjaciółka słowiańskich narodów, a nasza szczególnie, postanowiła zawrócić Papieża z drogi do Petersburga i tak gorliwie i skrzętnie zaczęła pracować, tyle rozprawić o chrześcijańskich stosunkach wyznaniowych, że nawet pisma wogóle mało zajęte Kościołem i Watykanem, np. bułgarska *Swoboda*, ze śmiechem podziwiają wojowniczy zapal, z jakim żydowskie pismo kruszy kopie za chrześcijaństwo.

Ale *Popolo Romano* podzieliło troski semickiego znawcy potrzeb Kościoła, narażonych przez zgodę z odszczepieńcami, i w nowem świetle wystawiło owe „brzemienne w następstwa“ odwiedziny w. ks. Sergiusza w Watykanie. Po półgodzinnej a dotąd niezbadanej rozmowie, w. książę obiecał Papieżowi polecić Kościół w Polsce opiece swojego brata. Tej wzmianki o Polakach było już dosyć dla berlińskiego korespondenta do *Popolo Romano*, żeby pisać o „poruszonej znowu kwestyi polskiej, która już od jakiegoś czasu przestała niepokoić. Pozory mówią, pisze dalej, że Rosya szuka drogi do zgody z Polską, i że dość chętnie

na tę drogę weszliby Polacy. Nie zdziwiłoby nas wcale, kończy *Popolo*, gdyby wyszło na jaw, że albo Francya, albo Stolica święta wywiera wpływ na ten nowy zwrot w polityce rosyjskiej: współczesne odwiedziny w. książąt w Rzymie i Paryżu usprawiedliwiają ten domysł¹.

Popolo dało hasło, powtórzone z nietłumionym zapalem przez dobroduszną prasę włoską, może z życzliwych dla nas chęci. Prądowi temu uległ nawet skądinąd bardzo trzeźwy *Moniteur de Rome*, i dość śmiałym nadziejom dał wyraz w artykule wstępnym, pod napisem: „Rosya i Polska“; oświadczył, że myśl poruszona przez *Popolo* ze wszech miar zasługuje na poklask, że papieństwo od stu lat usiłuje pośredniczyć między Polską i Rosyą, że nakoniec nie tak nie leży na sercu Leonowi XIII., jak troska o to, jakby zabezpieczyć dobrodziejstwa politycznego i religijnego pokoju dla bohaterskiego narodu polskiego. Kończy *Moniteur* uwagą, że, jak twierdzi Bismark, Rosya dowiodłaby braku wszelkiego zmysłu politycznego, gdyby nie zawiązała lepszych stosunków z Polską teraz, kiedy Polacy czynami dowodzą, że już dojrzeli politycznie.

Jeżeli nawet *Moniteur* przez różowe szkła spogląda na Petersburg, to nikogo nie zadziwią inne pisma włoskie, gdy tuszą Kościołowi najpomysłniejszą przyszłość w stosunkach z caratem.

LIST
POBIEDONOS-
CEWA.

Najśmielej wróży o szczęśliwej przyszłości *La Vera Roma* i ogłasza list Pobiedonoscewa¹, „jako ciekawą wskazówkę w chwili, kiedy wielu spogląda na Wschód“, i, zdaniem tego dziennika, „nie bezpodstawnie przepowiadają chwilę, która zbliży carat do Stolicy Apostolskiej“.

¹ Reverendissimo Domino P. V. Vannutelli Constantinus P. S. P. D. Gratias ago tibi, Reverendissime Domine, pro libro tuo, quem jucundissime accepi et perlegi diligentissime. Beatus vir qui recto consilio rectam viam ad veritatem scrutandam sibi proponit, nolens vocem foris sonantem auscultare! Felix erit in exordiis, felix in progressu. Tu quidem rectum modum ad cognoscendam veritatem de populo et statu nostro elegisti; nam omnia apud nos spectasti per Sanctam Ecclesiam nostram, ubi vita et veritas et omnis ratio conditionis nostrae continetur, et nemo nisi per Ecclesiam no-

Niezawodnie przystałby Pobiedonoscew, jako naczelnik Synodu, na zgodę z Watykanem, ale nie na taką, żeby sam pojechał do Rzymu, lecz żeby Papież w Petersburgu przeprosił za swoje odszczepieństwo od Wschodu. Tę myśl nasuwa naczelnik Synodu, kiedy księdza katolickiego sławi za to, że w Petersburgu szukał „prawdy i żywota“ na dobrej drodze, a na końcu listu nie sam siebie poleca miłosierdziu Boskiemu, tylko księdza Vannutellogo!

Mimo to ks. Vannutelli uchodzi za zdobywcę serca Pobiedonoscewa dla sprawy unii z Rzymem. Nietylko u swoich rodaków zdobywa wawrzyny: w Anglii niepoślednia autorka, hrabina Herbert, od Nowego roku zaczęła w *Dublin Review* wydawać pracę: „Kościół w Rosyi“, opartą na dziełach Sołowiewa, a szczególnie na książce ks. Vannutellogo, żeby poprzeć ruch, który ma pod jednym Pasterzem połączyć całe chrześcijaństwo!

Pop Tolstoj wydał ocenę tej książki w „*Искуснополезномъ Истинѣ*“ i przywodzi z niej na pochwałę całe ustępy, ma się rozumieć że te, które palą kadzidło na cześć jego rodaków. Między innemi przytacza słowa, w których autor „dziwi się, dlaczego w łacińskich kościołach w Rosyi kazań nie głosi duchowieństwo w języku państwowym, który wszyscy obowiązani znać, jak to bywa w innych państwach“ i t. d.

stram nos comprehendere potest. In ipsa enim vivimus et movemur et sumus. Vidisti pietatem populi, vidisti templa ornata et signa fidei in monumentis rerum in gente nostra gestarum. Floreat ubique Sancta Ecclesia Domini, populorum magistra! Sed afflicta est ubique praecipue tamen in vestris regionibus, ubi consultant Reges terrae et proceres simul contra Jehovam et contra Christum Eius. „Hora novissima, tempora pessima sunt; vigilemus! Ecce minaciter imminet Arbiter Ille supremus“. Propterea oportet ut remissis verborum discordiis simul laboremus ad confirmandam Fidem divinam et virtutem ad expugnandam impietatem et ignorantiam. Carnalibus propria sunt invidia et contentiones et dissidia. Nolumus ergo alter alteri dicere: Ego quidem sum Pauli aut ego sum Apolli; quis igitur est Paulus, quis autem Apollos, nisi ministri per quos credidimus ut cuique Dominus dedit. Nam fundamentum aliud nemo potest statuere, praeter id quod positum est quod est Jesus Christus! Ecce caput nostrum et firmamentum veritatis. Saluto itaque te per Christum Servatorem nostrum, et tibi, Reverendissime Domine, ab Eius misericordia felicissima quaeque apprecor

Petropoli, anno Domini 1892 Junii die octava. *Constantinus Pobedonostzeff*.

PETERSBURSKIE Inną postawę zajęły petersburskie *НОВОСТИ*. Dawniej „NOWOSTI”. spokojnie słuchały, jak radykalni patryoci włoscy raz po raz podnoszą głos przeciw gwarancyi, która zabezpiecza dla osoby Papieża niezawisłe stanowisko w Watykanie. Ale teraz na te głosy odpowiada nadnewski obrońca Leona XIII. pogroźką, że „państwa nie zdołają spokojnie patrzeć się na zabór ostatniego przytuliska, zapewnionego Papieżowi przez układ, który nosi na sobie wszelkie znamiona międzynarodowego prawa, przestrzeganego od lat dwudziestu. Papież jest Głową Kościoła... Chociaż Europa puściła płazem najazd na państwo kościelne, mimo to przecież zastrzegła, że Głowa Kościoła zachodniego zdoła bez przeszkód spełniać wysokie posłannictwo swoje. Papieństwo, to wielki czynnik dziejowy: a czemuż są te Włochy, obecnie zjednoczone? Włoski patryotyzm wygląda na dziecinny poryw Pigmejczyka, który chce z korzeniem wyrwać dęby stuletnie”.

Na podobne objawy współczucia dla Papieża w Petersburgu dzienniki europejskie przez palce patrzyłyby w innym czasie. Ale od kilku miesięcy w celach polityki trójprzymierza baczniej śledzą takie objawy. Skądinąd od jakiegoś czasu coraz głośniej słychać na Wschodzie i Zachodzie o unii obu Kościołów.

UNIA WSCHODNIA. Grecki dziennik *Θήρα* przywodzi słowa ministra Trikupisa, że Grecy mają święty obowiązek zwartym szeregim stanąć przy jakimś dzielnym wodzu, jakiego np. mają Słowianie w Strossmayerze, któryby poruszył wszystkie sprężyny, żeby złączyć całe chrześcijaństwo pod rządem Następcy Piotrowego na rzymskiej stolicy. *Moniteur de Rome* powtórzył te słowa z wyrazem nadziei, że potomkowie Hellady, złączeni z rzymskim Biskupem, odnowią dobę sławy, którą przebywali, kiedy starożytnemu światu na Wschodzie przewodniczyli w drodze oświaty. Ta szumna zapowiedź doleciała na daleki Wschód i, jak donosi ze Smyrny korespondent do syryjskiej *Ανατολή*, sprawiły tam wielką radość. Oczywiście nie wszędzie mogły wywołać te same uczucia: ateński dziennik *Καίρο* z gniewem wspomina o nich i widzi szczęście dla Grecyi w rozłące z Rzymem.

W Bułgarii przeziera także w pismach myśl o unii całego narodu z Rzymem, ale tylko z pobudek politycznych, żeby zerwać ostatnią nić, która łączy lud bułgarski z Petersburgiem. Dzienniki niemieckie donosiły nawet, że sam ks. Ferdynand czynnie zaczął tę myśl popierać, ale tej wieści zaprzeczyły urzędowe pisma sofijskie. Niezawodnie napotkałaby ta myśl na stanowczy opór ze strony bułgarskiego egzarchy Józefa, który zapowiada, że zwoła Synod, żeby protestować przeciw najnowszej zmianie konstytucyi bułgarskiej w duchu katolickim.

Schyzmatycy rumuńscy okazują także zwrot ku Rzymowi. Gromadka ich spieszy także na jubileusz i chociaż zamierzają odbyć podróż razem z unitami pod przewodnictwem biskupa Michalyego z Lagos, jednak u Leona XIII. mają stanąć na posłuchaniu osobnem.

Zachód dostarczył także zapalonego krzewiciela unii.
KS. FRANCO. Ksiądz Franco, znany już od jakiegoś czasu z występów w tym duchu na różnych wiecach katolickich, zabrał znowu głos wobec uczestników wiecu w Lille, ze skargą na tych, którzy przeszkadzają powrotowi chrześcijan wschodnich pod posłuszeństwo Biskupa rzymskiego. Utrzymuje, że najgorzej szkodzi temu dziełu przesąd o przeciwieństwie między Wschodem a Zachodem. Żywimy, jego zdaniem, ten przesąd, bo nie różniamy właściwej wiary chrześcijan wschodnich od nauki ich teologów. Niezrównana większość chrześcijan do śmierci nie rozumie zawilych sporów teologicznych, a sami przez całe życie postępują według przepisów wiary na wskrós prawowiernej. W tej mierze głosi ks. Franco zdanie zgodne z poglądami Sołowiewa, o których *Przegląd* już donosił (w t. 26, str. 37).

Wschodnim teologom zarzuca ks. Franco upartą niechęć do zgody; ale tego samego zarzutu nie szczędzi chrześcijanom zachodnim. Bierze im za złe, że ledwo Watykan spojrzy na Wschód, a szczególnie w stronę Petersburga, zaraz szemrzą na łatwowiernie wyciągniętą dłoń do zgody i podejrzliwie ostrzegają przed grecką obłudą. Nawzajem ich podejrzywa ks. Franco, że łatwowiernie powtarzają przesadne (!) powieści o okrucień-

stwach i obłudzie północnego samowładcy. O cesaropapizmie nie wie, a na wzmiankę o prześladowczych ukazach ma gotową odpowiedź: „ani na Zachodzie nie brak prześladowców, a w rosyjskim ustroju politycznym i religijnym nie nie staje w przeciwieństwie do katolicyzmu. Ani nawet najświętszy synod nie nie zawiera w sobie sprzecznego z najwyższemi rządami papieskiemi. Nakoniec nieprawda, że car rości sobie prawo do duchownego zwierzchnictwa nad swoimi poddanymi: sprawuje tylko w swoim państwie urząd świeckiego opiekuna Kościoła“. Gdyby ks. Franco zadał sobie pracę zbadać stosunki na miejscu, np. we wsi podlaskiej, inaczejby wtenczas rozumiał przestrogi przed grecką obłudą, na które dziś narzeka. Teraźniejsze jego występy dają miarę głębokiej niewiedomości, w jakiej pozostaje Zachód co do rosyjskiego świata.

Przemowa ks. Franco sprawiła tyle dobrego, że jej słuchacze, pomijając milczeniem jej stronę teoretyczną, uchwalili dziesięć wniosków praktycznych, np. postanowili zbierać pieniężne zasiłki dla zakładów, w których wychowywane duchowieństwo katolickie wschodniego obrządku przygotowuje broń nauki i modlitwy do walki z odszczepieństwem.

W Rzymie samym koła wpływowe nie opierają sądu o Kościele w Polsce na takich teoryach, jak powyższe; przeciwnie, kiedy niejaki ks. Zbyenski (?) podniósł głos, żeby zbić poglądy ks. Franco, prasa tamtejsza zwróciła baczność uwagę na jego dowody, i odpowiedziała, że jego poglądy znalazły posłuch i pokazały, jak ta sprawa leży na sercu Polski, która już w niej raz brała udział dzielnie, kiedy przeprowadziła unię Rusi z Rzymem.

Także *La Civiltà Cattolica* w ostatnim zeszycie świadczy o tem, jak Leon XIII. obstaje przy prawach Polaków i stale odmawia na „ustawiczne i natarczywe prośby“ z Petersburga o rosyjski język w kościołach. Dawnoby już tam nie było wolno ani modlić się po polsku, gdyby Leon XIII. słuchał takich doradców, jak ks. Franco albo ks. Vannutelli. Jednak ostatni występ księdza Franco dodał otuchy tym, którzyby pragnęli podobne poglądy słyszeć z ust dostojników Kościoła, żeby nimi niepokoić.

Daily Chronicle, jak pisze *Kraj*, ogłasza, że sam Leon XIII. zabierze głos w tej sprawie, i wyda Encyklikę w kwestyi unii Wschodu z Rzymem. Inną nowinę wynalazła *Die Vossische Zeitung*, mianowicie, że Papież zamierza wysłać do biskupów polskich list z wymówkami, iż nie dość uległe dla petersburskiego rządu oddają, co jest cesarskiego, cesarzowi. Do tej nowiny dodaje *Die Vossische Zeitung* wróżbę szkodliwych następstw dla Kościoła z podobnego listu papieskiego.

W krótkiej i stanowczej odpowiedzi *Moniteur de Rome* zaliczył ten wymysł do niewczesnych bajek.

Nagle prasa umilkła w sprawie unii; wyglądało, że może Leona XIII. spuści na chwilę z oka, żeby zająć czytelnika opisanymi sprawami panamskiej.

Tymczasem *Standard* upatrzył związek między Leonem XIII. a przekupstwami panamskimi. W czym polityka papieska zależy od nieszczęsnego przekopu, tego niktby nie wiedział; ale odpowiedź na to pytanie nie stanowiła tajemnicy dla dzienników, do których rzemiosła należy podjazdowa wojna przeciw Papieżowi głównie podczas jubileuszu. *Standard* zapytuje, co teraz Papież sądzi o tej rzeczypospolitej, którą tak popiera? *Figaro* odpowiada, że Papież, na widok sprawy panamskiej, opuścił z opieki swej rząd rzeczypospolitej i wysłał do Francyi rozkazy, zastosowane do nowej polityki, którą przedsięwziął, żeby poprzeć stronnictwo, niezadowolnione ze sprzedajnego rządu rzeczypospolitej. Jednak *Neue Freie Presse*, w sprawozdaniu z wypadków w przeszłym roku, twierdzi, iż nie jeszcze nie zdołało przekonać Leona XIII. o błędach jego polityki, a *Kölnische Zeitung* wyraża nawet obawę, żeby inny chwast nie wyrósł z posiewu sprawy panamskiej: mianowicie rzeczpospolita ultramontańska, którąby i papieskie serce zdobyła i Rosya z nią weszłaby w stosunki ściślejsze, niż z rządem oportunistów.

Tymczasem Ojciec święty wszelkie wątpliwości rozwiązał, wydając list do hr. de Mun, w którym otwarcie piętnuje niegodnych piastunów władzy, „sekcjarzy, o wzroku krótkim i egoistycznym, którzy utracili poczucie obowiązku i uczciwości“; ale

tem mocniej przynagła katolików, aby się garnęli do Rzeczypospolitej, i ich dawniejszym rozterkom przypisuje, że Francya w ręce takich ludzi dostać się mogła.

KONIEC SPORÓW
O SZKOŁĘ W STA-
NACH ZJEDNO-
CZONYCH.

Kiedy tak stara Europa wiedzie podjazdową wojnę przeciw Papieżowi, żeby zachmurzyć widnokrąg w czasie jubileuszu, wtenczas z Nowego świata przechodzą wiadomości coraz pomyślniejsze dla Kościoła.

W południowej Ameryce rzeczpospolita urugwajska wchodzi w stosunki dyplomatyczne z Papieżem i wysyła stałego ambasadora do Watykanu. Rzeczpospolita kolumbijska zawarła ze Stolicą apostolską konkordat, w duchu zupełnie katolickim. Najszczęśliwsza wiadomość przychodzi z Ameryki północnej: wrócił w Stanach Zjednoczonych spokój, zakłócony od paru lat przez spory w sprawie szkoły wyznaniowej.

O szkołę wyznaniową stanęły do walki przeciw rządowi dwa stronnictwa ze strony katolickiej. Jedno stronnictwo, złożone głównie z Niemców, wymagało od rządu waszyngtońskiego zapomogi dla szkół wyznaniowych, w których duchowieństwo udziela nauki. Ich myśl napotkała na stanowczych przeciwników w całym społeczeństwie amerykańskim, które im zarzucało nowość europejską i zamach na konstytucję Stanów Zjednoczonych. Ten zarzut powstał stąd, że, jak Amerykanie twierdzą, duch ich konstytucyi nie dopuszcza rządu do żadnych praw ani obowiązków w zakresie wyznaniowym, ani nawet do opieki nad szkołami wyznaniowymi. Dlatego za żadną cenę nie chcą, żeby te szkoły, prowadzone przez duchowieństwo, pobierały jakiegobądź dochody ze skarbu państwa. Wprawdzie żądają, żeby rząd krzewił oświatę w swoich szkołach, ale wymagają, żeby utrzymywał w nich tylko nauczycieli przedmiotów świeckich: naukę religii zostawiają dla szkół wyznaniowych. Żeby takim poglądom na konstytucję nie wypowiadać wojny, drugie stronnictwo katolickie, pod przewodnictwem arcybiskupa Irlandia, szukało drogi do zgody i postawiło taki wniosek: Katolicy równo z innowiercami płacą podatki do skarbu państwa na szkoły świeckie, a jeżeli chcą posyłać dzieci do szkoły wyznaniowej, utrzymują ją z osobnych

składek. Gdzie ich środki nie wystarczają na podatek szkolny państwowy i na opłatę własnej szkoły wyznaniowej, tam mają prawo utrzymywać przy szkole rządowej nauczycieli religii i posyłać do nich dzieci na naukę poza godzinami przedmiotów świeckich.

Wniosek arcybiskupa Irlandia oburzył stronnictwo katolickie, w którym przeważali Niemcy. Anty-Irelandyści odbyli zjazd w Newark, żeby oświadczyć krótko i węzłowato: lepiej niech nasze dzieci nie umieją czytać, pisać i rachować, aniżeli żeby miały tego uczyć się w szkole bezwyznaniowej! W takim duchu powzięta uchwała w Newark, naraziła katolicyzm wobec Amerykanów, drażliwych na każdą wzmiankę o zmianie ich obyczajów. Spór przybierał groźne rozmiary; nieprzyjaciele Kościoła rozdmuchiwali iskrę, żeby poróżnić społeczeństwo amerykańskie z Watykanem. Odgłos zawitych waśni doleciał do Rzymu, gdzie, po długich rozprawach, zapadł wyrok, że w szczególnych razach można bez niebezpieczeństwa zastosować wnioski arcybiskupa Irlandia, jak długo katolicy nie zdołają utrzymywać własnych szkół wyznaniowych. Anty-Irelandyści przestali głośno potępiać „bezbożny“ wniosek arcybiskupa, ale nie przestali jątrzyć Amerykanów półsłówkami, że Rzym wspomina tylko o wyjątkowych przypadkach, ale w zasadzie nigdy nie pochwali zamiarów „wolnomysłnego“ arcybiskupa. Nie zażegnał burzy synod prowincjonalny w Baltimore, choć stanął po stronie arcybiskupa. Żeby przyspieszyć pożądaný zatarg z Watykanem, agencja Stefaniego umieściła depeszę z New-Yorku, że rząd podobno odrzuci propozycję, żeby otworzyć poselstwo przy Stolicy świętej. Sama wzmianka o takiej propozycji, której Leon XIII. nigdy nie stawiał, mogła przeciw niemu wzburzyć cały naród, jako myśl niekonstytucyjna. Szczęściem zbyt trzeźwi Amerykanie nie zaraz wpadli w pułapkę, a tymczasem przedstawiciel Papieża, Mgr. Sattoli, wraz ze wszystkimi arcybiskupami Stanów, z kardynałem Gibbonsem na czele, rozstrzygnęli stanowczo spór po myśli stronników arcybiskupa. Ten koniec walki w wysokim stopniu zadowolnił Amerykanów, którzy jednogłośnie, za protestanckim *Times'em* nowo-jorskim, powtarzają pochwały Leona XIII.

jako Papieża najwyrozumialszego na potrzeby każdego kraju, świadomego ich stosunków i zdolnego pogodzić ich zwyczaje i ustawy z pożytkiem i prawami Kościoła.

W zdrowe społeczeństwo Nowego świata nie tak łatwo wszczepić jad podejrzliwych sądów o Leonie XIII., jak łatwo ten kłakł posiać w starej Europie.

Ks. K. C.

List z Wiednia.

Pierwsze dwie karty kroniki „Wielkiego Wiednia“. — Katolickie seminarjum nauczycielskie i katolickie szkoły elementarne w Wiedniu. — Sprawa wolnego uniwersytetu katolickiego w Salcburgu. — Towarzystwo Leonowe. — Trzy wiece katolickie w Austrii; objawy sympatii dla Polski na wiecu słoweńskim w Lublanie; rezolucye lublańskie. — Projektowana rezolucya dla wiecu krakowskiego.

Rok ubiegły rozpoczął się dla Wiednia od tego, że weszły w życie ustawy, odnoszące się do rozszerzenia granic miasta, czyli wcielenia rozlicznych, samoistnych gmin podmiejskich do municypalności stołecznej. Przez jedną noc Sylwestrową urósł Wiedeń co do obszaru o 123 kilometry kwadratowe (z 55 na 178), co do liczby domów o 15.227 (z 14.168 na 29.395), co do ludności o 525.220 dusz (z 839.328 na 1,364.548). Stało się więc zadość żądzy „wielkości“; szkoda, że z powiększeniem statystycznym nie rozszerzył się umysłowy horyzont Wiednia. W ciągu roku uwydatnił się niejeden skutek sztucznej wielkości. Gminy uszczęśliwione przynależnością do stolicy, oprócz zaszczytu, którego wcale nie pragnęły, nie mają stąd zgoła nic dodatniego, ale ponoszą już większe ciężary w rozmaitej formie; państwo zaś, tj. opodatkowana ludność wszystkich krajów austriackich, ma znacznie powiększone wydatki policyjne i sądownicze, a nadto zobowiązało się dostarczyć Wiedniowi kilkudziesięciu milionów na zbudowanie podziemnych i napowietrznych dróg żelaznych, portu handlowego w środku miasta, zbiorników kloakowych i t. d. Gdyby Kraków lub Lwów zapragnął czegoś podobnego, powiedziano by mu: buduj sobie, ale swoim kosztem; tylko Wiedeń ma przywilej na pasorzytnictwo, a im większy ten pasorzyt, tem więcej ciągnąć musi soków żywotnych z całej Austrii. Każda stolica, każde miasto główne, ma w sobie z natury

rzeczy coś pasorzytniczego, ale odwodzić się za to ogółowi, nad którym dominuje, wielką pomysłowością, wielką inicjatywą w rzeczach dobra pospolitego, oddziaływa zapładniającą i uszlachetniającą; Wiedeń atoli jest pasorzytem *par excellence*, który sam o sobie radzić nie potrafi, a tem mniej o dobru państwa pomyśleć zdolny; który sam u siebie rządzi się mieszcuchowsko-stronniczą polityką sobkowstwa, po niemiecku zwaną *Greislerci*, a tem mniej ma pojęcia o polityce państwa; który natomiast, całkiem zgodnie zresztą z takim poziomem umysłowym, posiada tyle arrogancyi, ile jej nie znajdziesz w Londynie, w Paryżu, w Berlinie i we wszystkich stolicach razem wziętych. Światlejsi Wiedeńczycy sami nazywają go *Gross-Krähwinkel* albo *Gross-Schilda* — wielkim Ryczywołem nad Dunajem; można powiedzieć, że przez powiększenie stał się nim tylko w wyższym jeszcze stopniu. Czyż może być coś więcej znamiennego nad ów reskrypt namiestnictwa dolno-austriackiego, zakazujący, aby przynajmniej w języku urzędowym nie używano nowej nazwy *Gross-Wien*?! Nasza kaszubska Kościerzyna i wielkopolska Kościerzynka stoją wyżej od „Wielkiego Wiednia“; Kościerzyna nie wynosi się ponad Kościerzynkę, a Kościerzynka nie zazdrości Kościerzynie wielkości, gdy tymczasem Wiedeń ponoworoczny chciał wynieść się ponad Wiedeń wiekowy, chciał wynieść się sam ponad siebie.

Nieszkodliwy to objaw maluczkiego poczucia wielkości; zaznaczamy go tylko jako bardzo charakterystyczny i do pewnego stopnia tłumaczący niebezpieczniejsze objawy nierozumu i arrogancyi. Nierozumem było głosić hałaśliwemi zapowiedziami, że tuż po „wielkiej“ nocy Sylwestrowej runą stare fortyfikacje, dzielące stary Wiedeń od wcielonych gmin podmiejskich, a na ich miejscu natychmiast powstaną dziwne budowli i ozdoby wielkomiejskich, zwabiać do Wiednia z bliższych i dalszych krajów koronnych rzesze robotników, spodziewających się łatwego i wielkiego zarobku; nierozumem było sztucznie pomnażać własny proletaryat. Arrogancyą było, gdy po Nowym roku fortyfikacje pozostały nietknięte, własny nierozum pokrywać krzykami na rząd, że zwłóczy sprawę rzeczywistego połączenia miasta z nowymi dzielnicami, i zwać nań odpowiedzialność za niebezpieczeństwo grożące od niezatrudnionych i głodnych tłumów robotniczych. Od teoretycznej prawomocności ustaw do praktycznego wykonania, droga często bardzo daleka, tutaj tem dalsza, ile że samo miasto jest w sporze z rządem co do kwestyi własności starych fortyfikacji, których zniesienie nadto wymaga planu regulacyjnego, nie dającego się sporządzić dorywczo i utrudnionego okolicznością, iż regulacja na rozlicznych punktach wej-

dzie w kolizję z prawami prywatnymi. Nikomu to nie było tajemnicą, ale „wielkość“ wszystkim głowy pozawracała. Z sytuacji stworzonej brakiem zatrudnienia robotników, skorzystała redakcja jednego z pism socjalistycznych; zwołała walęsające się po krańcach i poza krańcami miasta bezrobocie przed swoje biuro i rozdawała przez kilka dni po bochenku chleba, ręce załamując, gdy dobroczynności socjalistycznej nie stało na zaspokojenie głodu, czy też chciwości tłumów. Hyena żer łatwy zwietrzyła! Na szczęście znalazły się fundusze na kontynuację dzieła inicjatywy socjalistycznej i rozdawano bochenki, kiełbaski, mięso, ciepłe potrawy na wielką skalę, ale bez najmniejszego zmysłu organizacyjnego. Brał kto mógł i ilekroć mógł; brał sam, brał i przez członków rodziny; brali ludzie z Wiednia, którzy sami mogliby złożyć grosz na ołtarzu miłości bliźniego; brali ludzie z dalszej nawet okolicy, którzy umyślnie przybywali do Wiednia okradać prawdziwych nędzarzy.

Jeszcze więcej nierozumnie i z arrogancją, po prostu już niesłychaną, zachował się Wiedeń w okoliczności owego dobrodziejstwa skarbowego, o którym wspominaliśmy na wstępie. Rząd wnosi do parlamentu projekt o kilkudziesięciu milionach na wiedeńskie budowle publiczne, projekt nieco potworny, niejasny, nieumotywowany, żądający przyzwolenia ogromnej sumy na oślep. Logiczną konsekwencją takiego projektu byłoby właściwie odrzucenie go *a limine*, jak to za sprawą posłów wiedeńskich stało się przed kilkoma laty z projektem o uregulowaniu rzek w ziemiach polskich zaboru austriackiego, z projektem zupełnie umotywowanym, ale nie opatrzonym w szczegółowe plany regulacyjne. Parlamentowi atoli ani na myśl nie przyszło, sprawić projektowi jakiegokolwiek trudności, poddaje go więc regulaminowemu traktowaniu. Drugiego dnia po wniesieniu, Wiedeń zaczyna niecierpliwie się, że projekt jeszcze nie uchwalony; trzeciego dnia powstają na ratuszu i w całym żydowskim dziennikarstwie wiedeńskim szalone krzyki na parlament, burmistrz staje na czele hałaśliwej akcji dla wywarcia nacisku na ciało ustawodawcze; znowu powołując się na nędzę robotniczą, znowu wygłaszając, że dla zaradzenia jej, roboty powinny natychmiast się rozpocząć, zagrożono parlamentowi obłożeniem przez robotników. Jakoż rzeczywiście wywołano demonstracje robotnicze, które jednak odbyły się — przed ratuszem. Nie marszałek Izby poselskiej, lecz burmistrz musiał ukryć się przed demonstrantami. Dziś projekt od dawna już uchwalony, a roboty naturalnie jeszcze nie roz-

poczęte; pokazało się nawet, że na samymże ratuszu zaciążyła wina odwłoki prac przygotowawczych.

Pierwsze tedy dwie karty kroniki nowego Wiednia zabarwione są mocno po socjalistycznemu. Wiedeń nietylko sztucznie sprowadza do siebie tłumy adeptów socjalizmu, lecz nadto oddaje mu przysługi agitatorskie. Że to nie dzieje się bezkarnie, nowy na to dowód mamy w wiedeńskim wyborze uzupełniającym do Rady państwa; gdy po śmierci Herbsta, byłego ministra, zawakował mandat poselski pierwszej dzielnicy, śródmieścia, gdzie znajduje się rezydencya cesarska, rezydencya arcybiskupia, siedziba *de la haute finance*, i najwyższych władz rządowych, oraz licznej arystokracji rodowej — śmietana społeczeństwa wiedeńskiego z kwaśną miną musiała wybrać socjalistę Kronawettera. Pierwszy mandat całej Austrii w rękę socjalisty! *Mein Liebchen, was willst Du noch mehr?*

Katolickie seminaryum nauczycielskie w Austrii, i to jeszcze w samym Wiedniu, dla niejednego pewnie będzie wielką nowiną. Jest to najznamienitsze dzieło Towarzystwa *Katholischer Schulverein*, powstałego przed niespełna siedmioma laty dla zrównoważenia szkodliwych wpływów o niewiele starszego żydowsko-liberalnego *Deutscher Schulverein*. Towarzystwo katolickie liczy 160 stowarzyszeń filialnych po krajach koronnych, a członków razem przeszło 21.000. W chwili, gdy liberalny *Schulverein* wydaje alarmującą odezwę do *sui generis* patryotów, w której rzeczywiście wymownemi liczbami dowodzi, jak stygnie zapal dla jego sprawy, *Schulverein* katolicki staje przed publicznością ze sprawozdaniem o bardzo pomyślnych rezultatach *pro practerito* i świetnych widokach na przyszłość. W stolicy państwa pozycja katolicyzmu najwięcej jest zagrożona; słusznie też katolicki *Schulverein* obrał stolicę za pole głównej działalności. Tutaj, po założeniu kilku szkół elementarnych, do których obecnie przybywa, jeśli się nie mylimy, szósta, i po dochowaniu się materiału rekrutacyjnego dla zawodu nauczycielskiego wzniosł seminaryum nauczycielskie — żywe dowody potrzeby szkół wyznaniowych, dowody, które z ludu brane, przedewszystkiem też znown na ludność przekonująco oddziałują, ale i dla rządu muszą mieć znaczenie *demonstrationis ad oculos*. Rzeczywiście szkoły katolickie w Wiedniu, których, oprócz należących do rzeczonego Towarzystwa, jest kilka klasztornych, cieszą się bardzo liczną frekwencją i dobrą sławą u publiczności, nawet żydzięta uczęszczają do szkół klasztornych, z wyjątkiem nauki religii; wystarcza jeden rzut oka na

gromady dzieci, gdy po nauce ze szkoły do domu wracają, aby nabrać wyobrażenia o wpływie wychowawczym; pod względem naukowym niestety ciąży na szkołach katolickich biurokratyczny rygor pseudoliberalnego inspektoratu rządowego tak samo, jak na innych: *non multum sed multa*; nie rozwijać władze umysłowe, lecz pomącić w głowach. Rozumie się — *sic vos, non vobis* — że takie rozporządzenia, jak o niemem przeżegnaniu się, które tyle wrzawy w ostatnim czasie narobiło, jeszcze więcej odstręczają od bezwyznaniowych szkół gminnych, a na domiar Żydzi po prostu podłym oszustwem wzbudzają wstręt ku tymże szkołom. Oszustwo na tem polega, że Żydzi gromadnie zapisują swe dzieci do tej lub owej szkoły, bez względu na to, czy rzeczywiście będą do niej uczęszczały, czy nie. Dzieje się to w tym celu, aby uzyskać większość dzieci swojego wyznania, a więc zamianowanie Żyda kierownikiem szkoły. Gdy cel dopięty, dzieci żydowskie wypisują się i każde wraca do tej szkoły, do której właściwie należy.

Nietyle powodzenia, jak Towarzystwo dla oświaty ludowej, ma Towarzystwo dla założenia wolnego uniwersytetu katolickiego w Salcburgu. Śnać potrzeba katolickich szkół elementarnych więcej przemawia do przekonania wszystkich warstw ludności. Rzecz to zresztą naturalna i racjonalna, że rozwój naukowości w duchu katolickim nie od dachu, lecz od fundamentu przybiera postać namacalną, praktyczną. Niech tylko Towarzystwo uniwersyteckie — że je tak dla krótkości nazwiemy — nie zaniecha swoich zabiegów i przygotowań, a doczeka się dla siebie także owoców z rozkrzewionej katolickiej oświaty ludowej. Sprawa uniwersytetu katolickiego jest nie nowa; była to sprawa z początku powszechnie niemiecka; poruszono ją w r. 1848, gdy Austria jedność jeszcze z Niemcami tworzyła, na dorocznem zgromadzeniu wielkiego Stowarzyszenia katolików niemieckich w formie postulatu, żeby oddano katolikom jeden z uniwersytetów istniejących, które dawniej wszystkie miały charakter wyznaniowy. Postulat ten manifestuje się jeszcze r. 1849 na zgromadzeniu w Ratysbonie. Wnet atoli przeważało zdanie, że dojdzie się łatwiej do celu, żądając przywrócenia byłego uniwersytetu salcburskiego. W Salcburgu założył był uniwersytet arcybiskup Parys hr. Lodron w r. 1620; cesarz Ferdynand II. w tymże roku nadał mu wszystkie przywileje i swobody, jakich zażywały wówczas uniwersytety w Niemczech, Francji i Włoszech; aprobował go w r. 1625 papież Urban VIII. Uniwersytet cieszył się wielką wziętością, szczególnie u arystokracji niemieckiej. Do r. 1804 brakło mu wydziału medycznego, którym uzupełnił go elektor Ferdynand to-

skański; ale już w r. 1807 cesarz Franciszek I. zamienił wydział lekarski na zakład niższego rzędu, na szkołę medyczno-chirurgiczną, wykształcającą lekarzy wiejskich. Pod panowaniem bawarskiem w r. 1810 zamieniono cały uniwersytet na liceum, które w r. 1824 pod panowaniem austriackim zdegradowano na liceum drugiej klasy; w r. 1850 zniesiono i to, pozostawiając tylko fakultet teologiczny i szkołę medyczno-chirurgiczną, którą ostatecznie także zwinięto w r. 1869, tak, że dziś jest w Salcburgu tylko samoistny fakultet teologiczny. Wśród pomyslniejszych tedy niż dziś okoliczności powstała była myśl przywrócenia uniwersytetu salcburskiego, a z biegiem czasu rosły trudności dla jej urzeczywistnienia. W r. 1866, po wyrzuceniu Austrii z Niemiec, sprawa przestała być powszechnie niemiecką i na czas niejaki zupełnie przycichła. Wskrzesało ją przed mniej więcej dziesięcioma laty wymienione powyżej Towarzystwo, które postanowiło z fakultetu teologicznego, z pozostałych po byłym uniwersytecie gmachów, wielkiej biblioteki i funduszków — jeżeli rząd je wyda (w r. 1869 wynosiły jeszcze 320.000 złr. austr.) — tudzież z prywatnych funduszków składkowych, odtworzyć uniwersytet, ale „wolny“, tj. całkiem niezawisły od rządu. Towarzystwo mogłoby lepsze mieć powodzenie, ale bądź co bądź ma członków we wszystkich austriackich krajach koronnych i zyskuje ich zwolna coraz więcej. Nawet w ziemiach polskich zaboru austriackiego ma trzech członków z doroczną składką po 10 złr. austr. Majątek Towarzystwa wynosi obecnie około 130.000 złr. austr.

Do wielce pociesających objawów rozbudzonego w Austrii życia katolickiego w dziedzinie naukowości zaliczyć jeszcze wypada fakt założenia, ukonstytuowania i rozpoczęcia działalności Towarzystwa Leonowego w Wiedniu, z osobną sekcją w Insbruku, będącego czemś nakształt naszych Towarzystw przyjaciół nauk, tych schronisk umiejętności, pozbawionych protekcji rządowej, ale i niekrępowanych tą protekcją. Towarzystwo to powstało dla upamiętnienia imienia *Luminis de caelo*, Leona XIII., dla propagowania umiejętności świeckich w duchu filozofii św. Tomasza z Akwinu. Choć bardzo młode i przystęp nie bardzo ułatwiony, ma już blisko 900 członków i spory mająteczek.

Wieców katolickich widziała Austrya w tym roku aż trzy: trzeci powszechny austriacki wiec katolicki w Lincu, pierwszy katolicki wiec słoweński w Lublanie i wiec katolików niemieckich w Czechach północno-zachodnich. Ten ostatni, najmniej rozgłośny, zasługuje na uwagę stąd, że jest wyrazem reakcji katolicyzmu przeciw wichrzeniom

neoprotestantyzmu (tak zwanego starokatolicyzmu), który, acz wogóle niezbyt wielu ma w Austrii adeptów (8240), w tamtych jednak okolicach głównie się zagnieździł i liczy tam 6500 wyznawców. Odznaczył się też wiec ten wielką stanowczością w rezolucyi oświadczającej się za przywróceniem papieżowi władzy świeckiej.

Katolicy okolic tych wogóle dzielnie się sprawują, o czym świadczy także okoliczność, że prosperują tam trzy pisma katolickie: *Oesterreichische Volkszeitung*, pismo polityczne dość znacznych rozmiarów, wychodzące dwa razy na tydzień; *Warnsdorfer Hausblätter*, pismo treści bardzo rozmaitej, wychodzące dwa razy na miesiąc; *Immergrün*, miesięcznik beletrystyczny.

O wiecu powszechnym w Lincu *Przegląd* czasu swego podał wiadomość, którą dziś pod względem jednej z powziętych tam uchwał uzupełnić można. Wiec wybrał osobny komitet do zastanowienia się nad założeniem w Wiedniu wielkiego dziennika katolickiego; komitet rozszerzył się przez kooptacyę i doszedł już do pozytywnych postanowień, które zapowiadają pojawienie się dziennika w pierwszej połowie roku 1893, jeśli tylko dopisze rachuba co do zebrania funduszu. Można by zapytać: na cóż nowy dziennik katolicki w Wiedniu, skoro od lat trzydziestu już wychodzi tu *Vaterland*, pismo o ustalonej firmie? Rzeczywiście uważamy nowe pismo za niepotrzebne, choć z drugiej strony nie możemy przyznać ociężałemu i zbyt dyplomatyzującemu *Vaterlandowi*, iżby należycie pojmował i spełniał swoje zadanie. Niewątpliwie byłoby lepiej zasilić stary dziennik finansowo i odżywić także pod względem sił intelektualnych. Muszą jednak zachodzić jakieś przeszkody niewczesne, skoro *Vaterland* już dziś występuje do współzawodnictwa z niezrodzonym jeszcze kolegą. *Vaterland* postarał się przez głównego protektora swego, hr. Belcredięgo, u kardynała arcybiskupa praskiego, hr. Schönborna, o list polecający do swoich czytelników; to mu niewiele pomoże, co najwięcej może uratować większą część czytelników, bynajmniej nie wszystkich, a wszakże nie o uratowanie teraźniejszego koła czytelników chodzić powinno, lecz o pozyskanie tysięcy nowych. *Vaterland* rozszerza także swe ramy; dobrze, ale pomnożenie treści tej samej co dziś jakości równie mało przyczyni mu wziętości, zwłaszcza gdy popełnia zarazem ten wielki błąd, iż podwyższa prenumeratę. Obawiamy się, że *Vaterland* wyjdzie z współzawodnictwa pobity.

Pierwszego słoweńskiego wiecu katolickiego w Lublanie celem głównym było: zainicjować organizacyę narodowego życia Słoweńców

na zasadzie przywiązania do wiary i Kościoła katolickiego. Mimo zacieklej agitacji stronnictwa młodostłowieńskiego, zgromadziło się pod hasłem: „Wszystko za wiarę, ojczyznę i cesarza!“ przeszło 2400 osób, w czwartej części stanu duchownego, w trzech czwartych stanu świeckiego, i wiec miał przebieg po prostu imponujący, przechodzący najdalej posunięte nadzieje urządzających. Zaszczycony zaproszeniem do uczestnictwa, autor listu niniejszego poczytał sobie za obowiązek Polaka powitać obradujące z powyższym celem zgromadzenie kilkoma słowy wygłoszonymi w języku polskim, „powitać w imię braterstwa plemennego, ale więcej jeszcze w imię braterstwa w Chrystusie; bo narodowość bądź co bądź jest odrębna i dzieli współplemieńców, jest to *in personis proprietas*, podczas gdy wspólna wiara św. prawdziwie nas jednoczy, jest to *in essentia unitas*...; wynurzyć radość najserdeczniejszą, że jest świadkiem poniekąd zdogmatyzowania u braci Słowieńców tego, co z posłannictwem dziejowem w przeszłości i teraźniejszości, a z nadzieją w przyszłości jako dogmat niezdefiniowany wprowadzić, ale żywy i niezachwiany, wnikło w szpik i kości, w serce i umysł narodu polskiego; jest to zistoczenie się narodowości z świętą wiarą rzymskokatolicką, jest to — by dla słuchaczy może zrozumiałej się wyrazić — pewna *transsubstantiatio nationis et religionis*...; poszczęścić braci słowieńskiej tej pracy starochrześcijańskim, ale i staropolskim pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ — *Po večne časi!* — zagrzmiało zgromadzenie i powtórzyły się frenetyczne oklaski i okrzyki, któremi już pierwszych słów polskich dźwięki było przyjęło. To nie dla mnie przecież, lecz dla Polski; nie mnie, lecz Polsce dłoń uściśnieli książęta-biskupi lublański i lawantyński (mariborski); nie mnie, lecz Polsce kłaniali się po ulicach Lublany i na mojej wycieczce poza miasto ludzie wszystkich stanów; nie dla mnie, lecz dla Polski zagrzmiały ponownie oklaski i okrzyki i zabrzmiały dźwięki mazurka: „Jeszcze Polska nie zginęła“ z orkiestry podczas bankietu pożegnającego, gdy spotkał mię zaszczyt wyboru na mowę jenerałnego dla podziękowania imieniem wszystkich gości wiecowych za doznaną gościnność, które to podziękowanie po kilku wstępnych, jeneralnych słowach niemieckich, wygłosiłem od siebie po polsku.

Wszystko to nawet dziś jeszcze, po kilku miesiącach, ciśnie się mimo woli autora pod pióro; może nam przeprosić wypada za te wspomnienia osobiste, nie skreśliliśmy ich jednak z próżności osobistej; do tego byłaby była pora stosowniejsza tuż po wiecu; owszem, z obawy, żeby osobistość nie przeważała może, choćby pozornie tylko, nad rze-

czą, odłożyliśmy sprawozdanie z iście wspaniałego wiecu lublańskiego aż do tej oto chwili, a to wbrew gnębiącemu poczuciu obowiązku względem *Przeglądu*.

Obrady szczegółowe toczyły się w sześciu oddziałach. Pierwszy zajmował się sprawami szkolnemi i nie poprzestano na żądaniu wyznaniowych szkół elementarnych z ojczystym językiem wykładowym, lecz i co do gimnazyów i wogóle szkół średnich wypowiedziano postulat, żeby nauka i wychowanie młodzieży pobudzały do katolicko-religijnego myślenia i życia; wynurzono także życzenie, żeby z czasem stanęło w ziemiach słoweńskich, wolne od wpływów rządowych, gimnazjum katolickie, połączone z konwiktem. Nie licząc na przeobrażenie uniwersytetów w duchu katolickim, uchwalono rezolucyę zalecającą popierać sprawę założenia wolnego uniwersytetu katolickiego w Salcburgu pod warunkiem, że zapewnione będzie utworzenie kilku katedr słoweńskich. W oddziale drugim była mowa o umiejętności i sztuce chrześcijańskiej. Postanowiono wezwać słoweńskie zakłady literackie, aby dostarczały sferom wykształconym dzieł filozoficznych i wogóle naukowych, pisanych w duchu chrześcijańskim, i starać się o założenie Towarzystwa przyjaciół nauk, na wzór wiedeńskiego Towarzystwa Leonowego, jakoteż o założenie Towarzystwa ku popieraniu sztuki chrześcijańskiej, któreby było organem doradczym przy budowie i odnawianiu kościołów, zamawianiu sprzętów kościelnych, restaurowaniu starych dzieł sztuki i t. d. Inna rezolucya mówi o założeniu muzeów biskupich dla zbierania starożytności kościelnych; inna znów — wszystkich wyliczać nie będziemy — zaleca publiczności, aby wpływała na właścicieli lokali publicznych w celu wyrzucenia przedmiotów, szczególnie obrazów nieprzyzwoitych. Dziewiętnaście rezolucyj oddziału trzeciego, z których niejedna rozpada się na kilka punktów, obejmuje całą szeroko rozgałęzioną dziedzinę spraw socyalnych i prócz potępienia pseudo-liberalnych doktryn ekonomicznych, zawiera propozycye praktyczne, po części nie nowe, w duchu socyalistyki chrześcijańskiej, a w pięciu osobnych rezolucyach wytknięte są teraźniejszym ustawom i rozporządzeniom austryackim o spoczynku niedzielnym braki pod względem religijnym, moralnym i sanitarnym. Wnioski oddziału czwartego odnoszą się do rozbudzenia poczucia katolickiego między Słoweńcami, wzywają przeto przedewszystkiem do ścisłej łączności z duchowieństwem, biskupami i Ojcem św., jako przodownikami od Boga przeznaczonymi, a po długim szeregu uwag i propozycyj co do pomnożenia wpływu Kościoła wogóle, zgromadzeń zakonnych, bractw kościelnych na przeróżne ga-

łęzie życia, kończą się protestem przeciw narzucaniu więzów Ojcu św., wyrazem hołdu dla Stolicy apostolskiej, szczególnie dla Leona XIII., i żądaniem, „aby Ojcu św. przywrócona była niezawisłość terytoryalna w tej formie, w jakiej mu potrzebna do sprawowania wzniosłego powołania“. Oddział piąty miał przekazane sobie sprawy prasowe. Zalecił utworzyć stały komitet centralny z wpływowych mężów katolickich, którzyby w głównych kwestyach politycznych udzielał pismom czasowym wskazówek w duchu zgodności z zasadami katolickimi; uznał potrzebę założenia, obok istniejących pomniejszych czasopism, dziennika katolicko-politycznego dla wszystkich Słoweńców, rozsianych po wielu austriackich krajach koronnych; dalej zakładania czytelní parafialnych, zapobiegających rozpowszechnianiu książek złej treści; nakoniec utworzenia osobnego komitetu do zrewidowania klasyków słoweńskich, i wydania ich dzieł dla użytku dorastającej młodzieży¹. Nakoniec cały ten szczegółowy materiał pięciu oddziałów uogólnia się i sumuje w kilku rezolucyach oddziału szóstego, który obradował „o organizacji katolicko-narodowej“. Wychodząc z założenia, że „niezmienne zasady wiary katolickiej uważać należy za główną podwalinę rozwoju narodu słoweńskiego, i że przeto życzyć sobie wypada zjednoczenia się wszystkich Słoweńców na tej podstawie w ciężkiej walce o byt narodowy“, wypowiada oddział, a za nim wiec cały *pro foro externo* postulat narodowego równouprawnienia Słoweńców z wszystkimi narodami Austrii, bo tylko równouprawnienie zgadza się z zasadami katolickimi; *pro foro interno* zaś, uznawszy dziękczynnie działalność rozlicznych stowarzyszeń, zgodną z zasadami katolicko-narodowymi, zaleca ściślejszą w duchu tychże zasad organizację narodu i porucza staranie to stałej komisji przygotowawczej drugiego wieceu katolicko-słoweńskiego, pomnożonej przez kooptację katolickich patriotów wszystkich „prowincyj“ słoweńskich.

Wszystkie te rezolucye oddziałów, wyniesione przez pelen wiec do rzędu uchwał, bardzo są piękne, już dla nastrojenia wszystkich na jeden ton; ale zachodzi pytanie, czy ten ton, powiedzmy klerykalny, dominujący w całej różnaitości rozlicznych przedmiotów, nie jest zbyt silnie, zbyt wyłącznie zaakcentowany; czy nie powinno się było tu i ówdzie uczynić wyraźnej wzmianki także o pożądaney współdziałalności światłych mężów stanu świeckiego, a to również w przodow-

¹ Wyznajemy, że o klasykach słoweńskich tu po raz pierwszy slyszeliśmy, ale stłumiliśmy w sobie zapytanie o nich jako niedyskretne.

nietwie, jak w pracy praktycznej, aby przyciągać zamiast zrażać te bardzo liczne indywidua inteligencji słoweńskiej, które w zapale, w pewnem zaślepieniu narodowem, nie zdają sobie sprawy z doniosłości religijnej podstawy dla życia narodowego. Rozumie się, że nie mamy tu na myśli niepoprawnych szowinistów młodosłoweńskich, z którymi transakcyje byłyby nietylko niepożyteczne, lecz wprost szkodliwe. Możnaaby też o mnogości propozycyj praktycznych powiedzieć: *Qui trop embrasse, mal étreint*.

Gdybyśmy do tych wielkich manifestacyj idei katolickiej w Austrii dodać mogli sprawozdanie z życia całych setek przeróżnych kółek i stowarzyszeń katolickich, złożyłoby się to na jeden wielki i wielkie nadzieje rokujący dowód postępującego odrodzenia się tego państwa pod względem religijnym po długim letargu, w który popadło wskutek józefinizmu, mimo wcale niesprzyjającego konstytucjonalizmu pseudo-liberalnego i mimo zmrażających prądów materyalistycznego i socjalistycznego. Ale kiedyż odżyje idea katolicka w Austrii oficjalnej?... Oto temat dla polskiego wieceu katolickiego w Krakowie. Proponujemy mu rezolucyę, któraby wyrażała: „Jak rycerstwo polskie z królem Sobieskim na czele pospieszyło ratować Austryę w imię św. wiary rzymsko-katolickiej i opartej na niej cywilizacji europejskiej, tak naród polski, nawet dziś w upadku swym politycznym będący przedmurzem tejże wiary i tegoż uobyczajenia, wielbiący Najśw. Pannę Maryę, jako Królowę Korony Polskiej, wiąże losy swe z losami katolickiej Austrii, połączonej z Maryańskiem Królestwem węgierskiem i katolicką Chorwacyą w jedną Monarchię, i swą nadzieję w przyszłość z wiarą w potęgę tejże Monarchii, jako swojej sojusznicy w posłannictwie dziejowem“. W ostatnich dwu latach posłowie niemiecko-katoliccy w Radzie państwa kilkakrotnie odwoływali się do reprezentantów „rycerskiego katolickiego narodu polskiego“; jakoż Koło polskie nie wyrzekło się w ogólności sympatyj dla Niemców-konserwatystów i ściśle z nimi sprzymierzonych innych frakcyj parlamentarnych; ale rezolucya wicewa w duchu powyższym byłaby wyraźną odpowiedzią narodu i zarazem byłaby wskazówką dla Koła, że gdy nastanie chwila zamienienia sympatyj w czyn, powinno otwarcie wraz z Niemcami-konserwatystami i innemi frakcyami potępiającemi żydowsko-niemiecki pseudo-liberalizm wypowiedzieć, iż Austrya oficjalna, jeśli chce spełnić swoje własne posłannictwo i nadzieje narodu polskiego, tem być musi, czem jest ludność austryacka; iż po

prostu nie pojmuje Austrii oficjalnej jako państwa abstrakcyjnego, oderwanego od swojej ludności; iż nie pojmuje innej Austrii, jak tylko katolicką.

Pisałem w końcu grudnia r. 1892.

Józef Glinkiewicz.

Nowe tłumaczenie zjawiska „Gwiazdy Betleemskiej“.

Wydawany w Bostonie przez znakomitego astronoma B. A. Goulda dziennik astronomiczny (*The Astronomical Journal*) z dnia 26 listopada 1892 r. (tom XII. nr. 16), zawiera interesujący artykuł pana John N. Stockwella, pod napisem: „Uzupełnienie nowych przyczynków do chronologii i zaćmień“ (*Supplement to recent contributions to chronology and eclipses*). W artykule tym okazuje p. Stockwell błędność dat kilku zdarzeń zaszłych około początku ery chrześcijańskiej. I tak np.:

a) Ostatni *annus confusionis*, rok zamieszania, w kalendarzu rzymskim był 47, a nie 46 przed Chrystusem, bo wedle autora artykułu era Olympiad poczęła się w lipcu 777 r. przed Chrystusem, a nie w r. 776, jak dotąd przyjmowano.

b) Cezar zamordowany został dnia 15 marca r. 45, a nie 44 przed Chrystusem.

c) August umarł w sierpniu r. 13, a nie 14 po Chr.

d) Wespazjan został cesarzem d. 1 lipca roku 68, a nie 69 po Chrystusie.

e) Zburzenie Jerozolimy nastąpiło w r. 69, a nie 70 ery chrześcijańskiej i t. d.

Atoli ciekawsze są rezultaty poszukiwań p. Stockwell'a, co do dat narodzenia i śmierci Chrystusa Pana. Ponieważ zaćmienie poprzedzające śmierć Heroda mogło nastąpić tylko albo dnia 15 września roku 5, albo dnia 13 marca roku 4 przed erą chrześcijańską, przeto Herod umarł na początku roku 4. Data zatem narodzenia Chrystusa Pana, zgodnie z tem co już z innych źródeł wykazali dawno Susłyga i Kepler, przypada na koniec roku 7 przed erą chrześcijańską. A że znowu śmierć Chrystusa Pana nastąpiła podczas pełni paschalnej w piątek, przeto śmierć ta nastąpić musiała tylko d. 3 kwietnia r. 33 ery chrześcijańskiej, co również dobrze się zgadza z dotychczasowymi rachunkami.

A „Gwiazda Betleemska?“ Napisano o niej w Ewangelii św. Ma-

teusza: „Oto Mędrcy ze wschodu słońca przybyli do Jerozolimy, mówiąc: Gdzie się narodził Król Żydowski? albowiem widzieliśmy gwiazdę Jego na wschód słońca i przyjechaliśmy pokłonić się Jemu“.

Otóż wiadomo, że astronomowie tacy jak Kepler, a w naszym wieku Ideler i Encke, łączyli tę gwiazdę z konjunkcją, czyli zejściem się na niebie planet Jowisza i Saturna i to dnia 4 grudnia r. 7 przed erą chrześcijańską. Niedawno temu jednak, dzisiejszy profesor astronomii uniwersytetu Oksfordzkiego, doktor teologii Rev. C. Pritchard w książce swej¹ wykazał, że to zejście się Jowisza z Saturnem nie było wcale tak ścisłym, bo jedna planeta stała od drugiej o przeszło cały stopień, a więc w odległości dwóch średnic tarczy księżycowej na niebie; zwrócił uwagę na słabe światło Saturna, a nareszcie (odnosząc się do szczegółowej karty Palestyny), że wjeżdżający do Betleem mędrcy mieli te planety nie przed sobą, lecz nieco po prawej ręce za sobą, a przeto, że konstelacya ta nie „stanęła nad miejscem, gdzie było Dzieciątko“, jak pisze Ewangelista, a zatem — kończy prof. Pritchard — „piękny pomysł Keplera i Idelera, który oczarował tak wiele umysłów, znika w świetle badania astronomicznego“ (*the beautiful phantasm of Kepler and Ideler, which has fascinated so many minds, vanishes before the light of an astronomical examination*).

Odrzucił więc i Stockwell tę konjunkcję Jowisza ze Saturnem, ale badając dalej, znajduje, że dnia 6 maja roku 6 przed erą chrześcijańską, a przeto w kilka miesięcy po narodzeniu Chrystusa Pana, było na wschodnim niebie zejście się najjaśniejszych planet Jowisza i Wenus (Jutrzenki), tak blizkie, że ich odległość wynosiła tylko 32 minut łuku, czyli jedną średnicę tarczy księżycowej. O te 32' stał Jowisz na północ od Jutrzenki, a obie te planety znajdowały się dnia tego w oddaleniu (elongacyi) 27° 44' na zachód od słońca, wschodziły więc przed słońcem. Kończy zatem swój artykuł (datowany z Cleveland, Ohio, 1892 dnia 10 października) p. Stockwell słowy następującemi: „This dose conjunction of Venus and Jupiter, a happy combination—the symbols of love and beauty associated with dignity and power—was a fitting announcement of the birth of a Prince who was to bring peace on earth and goodwill towards men; and is, perhaps, the strongest corroboration of the truth of The Biblical narrative concerning

¹ *Occasional thoughts of an Astronomer on Nature and Revelation*. London 1889. (Okolicznościowe myśli astronoma o przyrodzie i objawieniu).

the origin of the Christian dispensation, that has yet been found, having a purely scientific basis“¹.

Czy znowu ten „piękny pomysł“ p. Stockwell'a nie rozwieje się, przy bliższem zbadaniu wszystkich okoliczności, czy się mianowicie da pogodzić z wyraźnemi słowami Ewangelisty: „A oto gwiazda... stanęła na miejscu (ἐπιδόρυ, ἐπ'αύω), gdzie było Dzieciątko“ — czas pokaze. *Opinionum commenta delet dies.*

Prof. dr. Karliński.



Korespondencya Redakcyi.

Odnosnie do artykułu: „Z życia sybirskiego proboszcza“, umieszczonego w zeszycie grudniowym, otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

W ostatnich zeszytach *Przeglądu Powszechnego* czytałem artykuły: „Z życia sybirskiego proboszcza“.

Jak żałuję, że nie mogłem tu zobaczyć tego ze wszech miar zacnego i czcigodnego Kapłana, aby ucałować ręce Jego — wypowiedzieć nie umiem.

Niezawodnie byłby przypomniał sobie ten Kapłan-apostoł imię i nazwisko niżej podpisanego, który kilkakrotnie był Jego penitentem, nie będąc jednakże parafianinem, gdyż lat 13 zamieszkując nie dobrowolnie, lecz „po Ukazu“ gminę tobolskiej gubernii, graniczącą z parafią ks. Gromadzkiego, miał prawdziwe szczęście poznać i ocenić trudy tego Kapłana.

Proboszcz nasz mieszkał w Tobolsku, tj. 1000, wyraźnie tysiąc wiorst, od miejsca mojego posilenia, przez lat 13 był tylko raz, ażeby zadość uczynić duchownym potrzebom swoich bardzo licznych parafian. Gdy tymczasem, jak tylko Polacy, zamieszkujący gminę judińską, graniczącą z kairińskim okręgiem, zostającym już pod duchowną jurysdykcją ks. Gromadzkiego, dowiedzieli się o bytności księdza w nadgranicznych wioskach, natychmiast wysyłali konie, prosząc, aby odwiedził i judińską gminę, a dostawszy się nie miał już siły wyrwać się z szponów tobolskich posieleńców. Zgromadzaliśmy się po trzydziestu i więcej do jednej wsi, a uczyniwszy zadość potrzebom dusz swoich, znowu odwozili dalej Księdza, a tam już spora partya posieleńców Polaków gotową była.

¹ „To ścisłe zejście się Jutrzenki i Jowisza — szczęśliwa kombinacya symbolów miłości i piękności, złączonych z godnością i potęgą — było stosowną zapowiedzią urodzin Książęcia, który miał przynieść pokój na ziemię i dobrą wolę między ludzi; i jest może najsilniejszym poparciem prawdy opowieści biblijnej, dotyczącej początku chrześcijaństwa, które dotąd znaleziono, mającem czysto umiejętną podstawę“.

Pamiętam, było to zimą — mrozy okrutne, bo 35 stop. przechodzące, zasy i ciągle zawieje czyniły drogę nie do przebycia, a w razie zbłądzenia niechybna śmierć czekała zuchwałych, idących z nią w zapasy. Zaczny Kapłan nie zważa na to wszystko, siada w sanie zaprzężone parą dzielnych, prawdziwych dzieci Sybiru, koni będących własnością posieleńca Litwina, Nikodema Paszko, jedzie 60 wiorst zupełnie bezludnym stepem, kierując się tylko znajomością okolicy powożącogo.

Niżej podpisany radził tę podróż, gdyż tam było dwoje dzieci niechrzczonych i 80-letnia staruszka do spowiedzi. Lecz gdy wyjechali, zadrżałem, będąc niemal pewnym, że dwóch ludzi zabiłem.

Starzy sybiracy mówili: *pojechali na proizwoł sud'by* (na wolę Opatrzności). Tak, Opatrzność, tylko ta wszechmocna Opatrzność zaprowadziła do celu Księdza i urzeczywistniła gorące pragnienia Jego. Tylko kapłan Polak może uczynić coś podobnego dla braci swej.

Niech ten list, nakreślony nieudolną do pisania górnołotnych pism ręką, będzie jednym więcej listkiem, jaki wplatom, w imieniu wszystkich kolegów zamieszkujących Judinę, do wieńca zasług tego Zaczego, Czcigodnego i Szanownego Kapłana.

Mało dbam co Szanowna Redakcyja zrobi z tym moim listem, który piszę li tylko dlatego, aby się poszczycić, że osobiście znałem tego Kapłana, byłem uczestnikiem świętych darów, jakie przez Jego ręce udzielał nieszczęśliwym zesłańcom Bóg, i niejedną chwilę przy ciepłym piecyku przegawędziłem o smutnej dla Polski doli.

Z głębokiem poważaniem

Jacek Budkiewicz.

Od znanego już czytelnikom naszym ks. Lassberga z Anglii otrzymujemy następujące sprostowanie:

W zeszycie styczniowym 1893 r. na str. 113 powiedziano, że „*Litwinu Mokso Drauguste* jest głównem naukowo-towarzyskiem ogniskiem dla 200.000 amerykańskich Litwinów“. Takiem rzeczywiście do niedawna było, ale skoro zaczęło coraz bardziej objawiać ducha antyreligijnego, odłączyli się od niego Litwini wierzący, a tych, dzięki Bogu, jest większość. Sam ks. Burba, wielki patriota litewski, który był duszą tego stowarzyszenia, zerwał z niem, bo jako prawy kapłan nie mógł się zgodzić na jego zasady.



KORRESPONDENCYA ŚW. IGNACEGO LOYOLI.

(CARTAS DE SAN IGNACIO DE LOYOLA. Tomów sześć. Madrid 1874—1890).

(Dokończenie).

II.

Zaledwie, z ziemskiego w Chrystusowego rycerza przemieniony, pustelnik manrezański opuścił ponurą swą grootę; zaledwie zawiesił w Monserracie, u ołtarza Bogarodzicy, rycerską swą zbroję, a „w szaty i znamiona Pana swego, dla czci i miłości Jego się przyoblekł”¹ — a już w umyśle od planów się roi, jak świat dla Chrystusa zawojować; już gorące serce pokoju nie daje i porywa do czynów, do walk o dusze nieśmiertelne! Pragnienie zdobywania dusz dla Boga i nieba, pali Świętego w jerozolimskiej pielgrzymce, w barcelońskich szkołach, na uniwersytecie w Alkali, w Salamance, w Paryżu; na razie powstrzymywać je trzeba, jak trzeba hamować zapal żołnierza, do walki nie dość przygotowanego, nie dość wyćwiczonego w obrotach wojennych. Wreszcie wybiła upragniona godzina: dawne marzenia w czyny się zmieniają. Ignacy przyprowadza Namiestnikowi Chrystusa na ziemi nieliczną jeszcze, ale z samych bohaterów złożoną drużynę, i otrzymawszy od niego potwierdzenie swych zamiarów, błogosławieństwo do walki, powtarza hasło przez Najwyższego Wodza podane: „Przyjdź królestwo Twoje!” i wiedzie coraz zwiększający się hufiec przeciw wszystkim wrogom królestwa Bożego na ziemi! Wspaniałe to zapasy, którym i wrogowie odmówić nie śmieją

¹ *Examen*, c. IV, 44.

swego zachwytu; mężni, godni podziwu zapaśnicy; lecz największego chyba podziwu godzien mądry organizator, wódz, który z Rzymu prowadzi całą, z dnia na dzień na szerszym polu toczącą się wojnę, śledzi wszystkie ruchy, na zagrożone punkta szle posiłki, przytomny wszędzie radą, rozkazem, i męstwo z roztropnością łącząc, odnosi cały szereg zwycięstw najpiękniejszych, najważniejszych w swych skutkach...

Drobny hufiec, złożony z dziesięciu pierwszych „towarzyszów“, — jak wojskowym obyczajem się nazywali — którzy w Paryżu na szczycie „Góry Męczenników“ (*Montmartre*) zobowiązali się ślubem wspólnie Bogu służyć, przemienił się w przeciągu kilkunastu lat, w liczne, karne wojsko. Raz po raz w listach swych Ignacy donosi z radością i Bogu dziękuje, że tylu, tak zdolnych, pobożnych mężów, młodzieńców, do zakonu się garnie; że tyle Bóg członkom „najpokorniejszego tego Towarzystwa“ na chwałę swoją dozwala pracować.

„Tu w Rzymie, — pisze w ostatnich miesiącach życia swego¹ — jest nas członków Towarzystwa mniej więcej 180, chociaż ciągle na różne strony nowe kolonie wysyłamy“. Jednocześnie raz po raz ubolewa, że nie może ani w drobnej części zadośćuczynić wszystkim potrzebom, wszystkim prośbom miast, krajów, monarchów, którzy na wyścigi ofiarowywali mu nowe fundacye, misye, szkoły, uniwersytety!

„Pracy w służbie Pańskiej nam nie brak, ale brak pracowników². Teraz właśnie Rzeczpospolita Wenecka domaga się dwóch od Papieża i wysłała w tym względzie naglące listy do swego ambasadora; kardynał Santa-Croce żąda znowu dwóch do Neapolu; kardynał portugalski³ udał się do Papieża z prośbą o przydzielenie jednego z nas biskupowi Bergamo, który jedzie do Portugalii zająć urząd nuncjusza papieskiego. *Proścież tedy Pana żniwa, aby wysłał robotniki na żniwo swoje*“⁴. „Chętnie bardzo —

¹ Do przeora Kartuzów w Kolonii. 22 marca 1555. Tom v, list 637.

² Do Towarzyszów we Włoszech. 1 czerwca 1542. T. I, l. 32.

³ Henryk, brat króla Jana III.

⁴ Mateusz, IX, 38.

usprawiedliwia się w urzędowym piśmie do miasta Parmy¹ — posłałbym wam O. Layneza, jak tego się domagacie, lecz obecnie tak jest zajęty kazaniami i wykładami w Rzymie, że oderwać go od pracy tutaj w żaden sposób nie mogę. Z wielu stron o niego już proszono, zwłaszcza pewna znakomita osobistość w Wenecyi, która pragnie ufundować tamże dwa kolegia dla uczniów naszego Towarzystwa, a pomimo tego wybrać się tam nie mógł. W parę lat później nowe prośby mieszkańców Parmy, i — nowa, z ciężkiem sercem dana odmowa. „Niepodobna przyjmując kolegium, ofiarowanego nam przez księcia de Medina-Sidonia, bo za mało mamy robotników“². — „Niektórzy — czytamy w liście do króla rzymskiego, Ferdynanda Austriackiego³ — domagają się od nas, abyśmy zmniejszyli liczbę ojców naszych pracujących w Wiedniu, zwłaszcza, że z bardzo wielu stron ofiarują nam kolegia, których nie mamy kim obsadzić; wszakże ze względu na większą chwałę Bożą i pożytek dusz, skłaniałbym się raczej do nadesłania nowych jeszcze robotników do Wiednia, niż do odwołania już pracujących“... „Dopiero co odmówiliśmy kardynałowi neapolitańskiemu i kardynałowi Santa-Croce, żądającym od nas kaznodziejów“ — tłumaczy się Święty jakimś pobożnemu doktorowi, który w imieniu kilku majątnych osób ofiarowywał bogatą fundacyę⁴. — Przykładów to kilka koniecznej, choć z smutnem sercem danej odmowy; kilka ogni w długiego łańcucha wyrwanych.

W „przedziwnem a Boskiem widzeniu“, — jak stary, polski tłumacz się wyraża — na drodze z Wicencyi do Rzymu, które zadecydowało ostatecznie i stanowczo o nazwisku założyć się mającego zakonu, rzekł Pan Jezus do Ignacego: „Ja wam w Rzymie będę miłościwym“; listy Świętego, opowiadające o podjętych w Rzymie pracach, o przedsięwziętych na chwałę Bożą, dokonanych wbrew wszelkim możliwym ludzkim przewidywaniom,

¹ 23 stycznia 1546. T. I, l. 71.

² Do Ojca A. de Oviedo. R. 1547. T. II, l. 131.

³ 23 listopada 1553. T. III, l. 375.

⁴ 22 lutego 1554. T. IV, l. 430.

w znacznej części po dziś dzień trwających dziełach, są najsilniejszym stwierdzeniem, najpiękniejszym wyjaśnieniem tego cudownego widzenia. Nieraz bardzo to obszerne, wyczerpujące sprawozdania, z których dałby się złożyć prześliczny a dokładny obraz błogiej w skutki działalności Ignacego w wiecznym mieście; my i tutaj na paru rysach musimy się ograniczyć. Oto np. kilka ustępów odnoszących się do bezpośredniej pracy nad duszami w kościołach:

„W kościele naszym — donosi Ignacy w dziesięć lat po pierwszym potwierdzeniu zakonu przez Pawła III.¹ — pomieścić się nie mogą wszyscy dążący na kazania, do spowiedzi, do bez przerwy rozdawanej Komunii św.; dlatego ksiązę Gandy², jeden z pierwszych magnatów hiszpańskich, bardzo uczony i roztropny, a daleko bardziej jeszcze świątobliwy, który przed kilku miesiącami do Rzymu przybył, zaczął kościół wielki budować, a jednocześnie rozpoczyna budowę kolegium dla naszego Towarzystwa“. — „Nietylko do nas³ schodzą się liczni słuchacze na kazania i na wykład Pisma świętego, ale święte współzawodnictwo sprawia, że i w innych kościołach klasztornych, kazania i wykłady z wielką żarliwością się odbywają; z czego bardzo w Panu się cieszymy“. — „Choćby dwa razy tylu było księży⁴, jeszczeby wszystkim nie zadośćuczynili, którzy do Sakramentów śś. chcą przystąpić. Służymy też w szpitalach, dajemy rekolekcyje w klasztorach żeńskich z wielkim pożytkiem; wielu zakonnych zbiegów udało nam się napowrót do klasztorów wprowadzić; wiele kobiet złego życia nawróciło się“...

Obok kolegium „rzymskiego“, założonego głównie dzięki

¹ Do kardynała Lotaryńskiego, 15 grudnia 1550. T. II, l. 209.

² Św. Franciszek Borgiasz. „Budowy — czytamy w liście O. Polanco — podjął się najstłynniejszy mąż w tem mieście, a mianowicie Michał Anioł, zajmujący się również kościołem św. Piotra, a podjął się z samego tylko nabożeństwa, bez żadnego zysku dla siebie“. (Do hrabiego de Melito. Don Diego Hurtado de Mendoza y de la Cerda. — 21 lipca 1554. T. IV, l. 506).

³ O. Polanco do O. Franc. Villanueva. 11 sierpnia 1552. T. III, l. 280.

⁴ O. Polanco do A. Araoza. 20 stycznia 1550. T. II, l. 179. — O. Polanco, sekretarz Ignacego, pisał zawsze z osobnego jego polecenia i wszystkie listy do zatwierdzenia mu podawał.

hojności świętego Franciszka Borgiasza, podtrzymywanego jałmużnami papieży i kardynałów, troszczył się bardzo Ignacy o, równie przez siebie założone, kolegium „niemieckie“. Wiadomo, że Święty wpadł na szczęśliwą myśl nawrócenia Niemców przez Niemców; utworzenia w Rzymie doborowego zastępu niemieckich apostołów, którzy następnie w ojczystym kraju szerzyliby wiedzę, pobożność, przywiązanie do Stolicy Apostolskiej, w Rzymie zaczerpniętą. Posłuchajmy go samego, jak myśl swą rozsnuwa:

„Wiesz już pewnie — pisał do jednego z najpierwszych, paryskich swych towarzyszy, O. Klaudyusza le Jay¹ — o planie założenia kolegium niemieckiego pod protekcją Papieża i pięciu kardynałów, a pod zarządem naszego Towarzystwa, dla wybranych młodzieńców, którzyby, mając tu wszelkie potrzebne wygody, o tyle postąpili w cnocie i nauce, aby później nietylko byli w stanie w Niemczech pożytecznie pracować, ale też uzdolnionymi byli do zajęcia stolic biskupich i najważniejszych urzędów... Ci, którzy pragną ocalenia Niemiec, mniemają, że w rzędzie ludzkich lekarstw, to będzie najskuteczniejsze i niemal jedyne do podtrzymania upadającej, a w wielu miejscach bodaj czy już nie upadłej religii; sądzą, że można jedynie krajom tym skutecznie dopomódz, wysyłając do nich jak najwięcej wiernych a energicznych mężów tej samej narodowości i języka, którzy świecąc przykładem dobrego życia i zdrową nauką, potrafiliby i głoszeniem i tłumaczeniem słowa Bożego, a w każdym razie prywatnemi rozmowami, rozedrzeć zasłonę nieświadomości i grzechów, zedrzeć z oczu swych ziomeków łuski, niedozwalające im ujrzeć światła katolickiej, prawowiernej wiary“.

Po niewielu miesiącach mógł już Ignacy donosić z radością nie o planie, ale o jego wykonaniu²: „Kolegium niemieckie pod każdym względem pomyślnie się rozwija, dzięki troskliwej opiece Papieża i kardynałów. Staramy się o duszę, o umysł, o ciało powierzonych nam młodzieńców. Dwa razy na tydzień wysyłamy ich poza Rzym na przechadzkę, aby odświeżywszy

¹ 30 lipca 1552. T. III, l. 276.

² Do Przełożonych zakonnych. 2 stycznia 1554. T. V, l. 403.

siły, z większym zapalem i skutkiem brać się mogli do nauki“... I znowu w kilkanaście miesięcy później, w obszernem piśmie do jednego z najhojniejszych dobroczyńców zakonu, przeora Kartuzów w Kolonii¹: Do kolegium niemieckiego, „przybywa wielu młodzieńców, nietylko z południowych, ale i z północnych Niemiec, a między nimi niektórzy z heretyckich rodzin i otoczenia, jako róże z cierni. Z różnych tych prowincyj mamy 70 czy 80 Niemców. I z innych krajów nadjeżdżają bardzo utalentowani młodzieńcy i dojrzały mężowie, poważni, uczeni... Widocznie Pan Nasz Jezus Chrystus przygotowuje żołnierzów swych do wielkiej jakiejś wyprawy, i za pośrednictwem tego seminarjum gotuje dla Kościoła swego zdobycz bogatą. Ludzie w ziemię tylko wpa-trzeni, dziwią się i uważają nas za nieroztropnych śmiałków, że żadnych nie mając dochodów, nie uważając na panującą dro-żyznę i brak materyalnych środków, zezwalamy na takie ciągle mnożenie się domowników naszych; ale myśmy kotwicę ufności naszej w dobroci Bożej zarzucili, której równie łatwo jest wy-żywić wielu, jak niewielu; w czasie obfitości, jak w czasie głodu... Prawda, że jak Wielebność Wasza słusznie uważa, wydaje się, jakoby Bóg przynosił Ewangelię swą do niewiernych, a opusz-czał kraje zachodnie, za oziębłość je karząc; my wszakże z na-szej strony nie powinniśmy otuchy tracić, ale wszystkie siły wyteżać, aby i jednym i drugim, o ile nas, nieużyteczne narzę-dzia Mądrości Bożej, na to stać, z pomocą spieszyć i modlitwą i pracą i wszelkimi sposobami, które mamy w rękę“.

Współ z kolegium niemieckiem, wiele innych instytucyj za-kładał Święty w Rzymie, z których ideaą dziś jesteśmy oswojeni, ale które wówczas po raz pierwszy z jego myśli się rodziły.

„Kilka ważnych, a jak sądzimy, Bożych prawdziwie spraw tutaj podjęliśmy — opowiada Święty w paru okólnikach do Towar-zyszów, w paru listach do św. Franciszka Ksawerego i bł. Piotra Fabra². — Mamy już dom dla katechumenów (nawróconych Ży-

¹ Do O. Gerarda Hamont. 22 marca 1555. T. v, l. 637.

² Do św. Franciszka. 24 lipca 1543. T. i, l. 44; 30 stycznia 1544. — Tamże. Do bł. Piotra Fabra. 20 września 1541. T. i, l. 26. — Do Towarzy-szów, w połowie 1543. T. i, l. 45.

dów), który zawdzięczamy staraniom Małgorzaty Austryackiej¹; opiekuje się ona nim i jałmużnami wspiera. Papież również powagą swoją dzieło to zatwierdził; my zaś po doprowadzeniu do skutku tej sprawy, innym ją pozostawiliśmy, a sami usunęliśmy się, aby mieć czas i możność różnym podobnym dać początek“... „Tutejszy klasztor dla nawróconych grzesznic, w którym przeszło 800 się ich znajduje, nie może pomieścić wszystkich, których Duch Św. od grzechu odwodzi, a zwłaszcza nie jest w stanie udzielić przytulku prędkiego, bez długich badań i prób; nie wolno też doń przyjmować kobiet zamężnych, znajdujących się w grzechu. Dlatego postanowiliśmy w Panu Naszym, na większą Jego cześć i chwałę, postarać się o dom, w którym publiczne grzesznice, choć zamężne, znalazłby mogły schronienie, byle miały świętą i dobrą wolę i silne postanowienie służenia Bogu w czystości i posłuszeństwie w tym domu przez całe życie, lub dopóki nie dałoby się je do mężów zbliżyć i wzajemnie pogodzić, aby żyły z nimi uczciwie. Również do domu tego wstęp mają otwarty inne grzesznice niezamężne pod temiż warunkami, tj. aby na zawsze w nim pozostały w prawdziwej czystości i posłuszeństwie, lub dopóki by za męża nie wyszły..., lub wreszcie dopóki by nie znalazły miejsca w klasztorze pokutnic, lub w innym jakim, zachowującym obserwancyę, tak, aby na wieki wrócić nie mogły ani do świata, ani do grzechu. W tym celu wyjednaliśmy w Panu Naszym, za łaską jego Bożą, bullę apostolską, gorąco pochwalającą nasze zamiary; mamy też już dom i otrzymaliśmy odpowiednią jałmużnę i zawiązało się stowarzyszenie z prałatów i panów rzymskich i innych zacnych i cnotliwych osób, które wzięło na siebie dalsze zaopiekowanie się tym domem... Mamy nadzieję w Panu Naszym, że sprawa ta, jak wielu o niej dziś już się wyraża, głośno ją wychwalając, nie mało się przyczyni do większej służby, czci i chwały Bożej... Dotąd² 24 grzesznic z błota wyciągniętych, żyje tak pobożnie, że wszystkich bardzo budują“.

¹ Córka Karola V., żona Oktawiana Farnezege, późniejszego księcia Parmy.

² Ze stycznia 1544 r.

Z szczególną radością opowiada Ignacy o chrzcie Żydów, których udało mu się doprowadzić do uznania prawdziwej wiary. Przez parę zwłaszcza lat, wraca często wesoła nowina: „Dziś u nas trzech Żydów ochrzczono“... „Odbył się u nas uroczysty chrzest pięciu Żydów, dwóch kobiet i trzech mężczyzn, między nimi rabin bardzo uczony w prawie“... „Bóg dozwolił nam ochrzcić Żyda i nawrócić jego kochankę; po chrzcie dano im zaraz ślub z wielką uroczystością“... „Trzem Żydówkom, które się ochrzcily, wystaraliśmy się o odpowiedni posag“... Uwiedzeni przez heretyckie błędy, pukali nieraz do ubogich drzwi Świętego i znajdowali w nim zawsze najlepszego ojca, który z otwartymi rękami siedł naprzeciw wracających do rodzinnego domu, marnotrawnych synów. Dobrze znano w tym względzie ojcowskie serce i szczęśliwą jego rękę, i często, bardzo często udawano się doń o pomoc, radę. Tak np.: ktoś z przyjaciół znanego zbyt dobrze i u nas w Polsce Ochina, zwrócił się do Ignacego z gorącą prośbą, aby zajął się apostatą i z Kościołem go pojednał. „Odpowiedziałem¹, że gdybym miał w ręku własny jego list pisany do kogobądź w tej sprawie, nie omieszkałbym zrobić coby tylko mógł; bez takiego pisma, niepodobna mi z Papieżem o tej rzeczy mówić... W każdym razie, nakłaniać go należy, jak i ile tylko można, do poddania się Kościołowi; zaręczyć, że niczego lękać się nie potrzebuje“.

W Rzymie zakładał Ignacy szkoły i seminaria, tworzył pobożne stowarzyszenia, marzył i czynił co mógł dla nawrócenia Żydów, walczył różnorodną bronią z grzechem, z obojętnością w wierze; do bezpośredniej walki z herezyą wyjątkowo tylko nastroczała mu się sposobność. Głównym placem tej walki, w której, zdaniem wszystkich, protestanckich nawet historyków, najwspanialsze zdobył sobie wawrzyny, były Niemcy, rozdarłe tysiącami waśniami, pogrążone dzięki Lutrowi i rozlicznym jego rywalom, w strasznym religijnym, społecznym, politycznym chaosie. „Od dawnego już czasu — zwierza się Święty w liście pisanym na

¹ Do O. Klaudyusza le Jay. 12 grudnia 1545. T. I, l. 65.

kilka tygodni przed śmiercią¹ — wyrzył Bóg głęboko w sercu naszym pragnienie pracowania dla wiary, ile sił nam starczy, i w Dolnych i w Górnych Niemczech. Najusilniej pragniemy dla naprawienia szkód, które wiara katolicka poniosła w tych krajach waszych, ponieść wszelkie prace i trudy, a choćby i życie dać w ofierze“... Te same myśli i uczucia znajdują wyraz, ilekroć niemal słowo „Niemcy“ pod pióro się nasuwa. „Prosić nie ustaję najlepszego i najwyższego Pasterza całego Kościoła, aby zmiłował się nad Niemcami swemi“²... „Towarzystwo nasze w szczególności sposób i aż do krwi wylania pragnie dla Niemiec pracować“³. W pracy tej wszyscy bez wyjątku, wedle sił i możliwości, brać powinni udział. „Ponieważ prawo miłości, — zwraca się Ignacy w osobnym okólniku do całego zakonu⁴ — którą obejmujemy całe ciało Kościoła w głowie jego Jezusie Chrystusie, tego się domaga, abyśmy głównie dla tego członka o lekarstwo się starali, który ulega najsilniejszej i najniebezpieczniejszej chorobie; postanowiliśmy zapewnić, wedle słabych sił naszych, odrębną pomoc Niemcom, Anglii i krajom północnym, które mają do walczenia z największym złem: herezjami. Dlatego nakazujemy kapłanom odprawiać co miesiąc Mszę św., tym zaś, którzy nie są kapłanami, modlić się za te kraje, aby Pan zmiłował się nad nimi ostatecznie raczył i zwrócił je do czystości wiary i religii chrześcijańskiej“.

W jaki sposób, jakim orężem, obok najpierwszego i najskuteczniejszego: kornej a żarliwej modlitwy, z herezyą walczyć, wiarę katolicką w Niemczech zachowywać i podtrzymywać? Pytanie to zadał Świętemu w dwóch listach wielki Apostoł Niemiec, bł. Piotr Kanizyusz; na pierwszy żadnej nie otrzymał odpowiedzi, na drugi, bardziej naglący, Ignacy zebrał na naradę „kilku poważnych teologów, uczonych, roztropnych, ożywionych

¹ Do Jana Polleto, inkwizytora w Dolnych Niemczech. 10 czerwca 1556. T. VI, l. 831.

² Do pewnego, nie dającego się dziś dokładnie oznaczyć, niemieckiego biskupa. 9 grudnia 1550. T. II, l. 207.

³ Do arcybiskupa Kolońskiego. 1 maja 1556. T. VI, l. 808.

⁴ 25 lipca 1553. T. III, l. 326.

szczególną miłością dla Niemiec¹, i wspólnie z nimi ułożył obszerny memoriał¹, „z którego — jak na samym wstępie skromnie a mądrze się zastrzega — przedstawiś królowi Ferdynandowi te tylko punkty, które uznasz za stosowne, bo choć wszystkie podane tu środki same w sobie są dobre, to niektóre z nich mogą nie odpowiadać okolicznościom czasu, miejsca i osób“.

Przedewszystkiem usunąć należy przyczyny słabości. Najskuteczniejszem lekarstwem byłoby, gdyby król nie tylko przyznawał się do katolicyzmu, jak to czyni, ale też śmiało i jawnie oświadczył, że jest nieprzyjacielem herezyi. Niech zapobiega usilnie, aby przez złe szkoły, przez zarażonych błędami dyrektorów i profesorów, przez heretyckie książki, fałszywa nauka się nie szerzyła... Księża podejrzanych o herezyę natychmiast usuwać trzeba; lepiej żeby trzoda była bez pasterza, niż gdyby wilk miał sprawować urząd pasterza. Księża nieumiejętnych i gorszących złem życiem, surowo karać i co najmniej probostwa im odbierać, bo to właśnie ich nieuctwo i nieprzykładne życie, otworzyło w Niemczech bramy heretyckiej zarazie. Dobrzeby było wydać edykt, uwalniający od wszelkich kar i duchownych i świeckich tych, którzy nawróciliby się w przeciągu miesiąca; potem upartych i szerzących herezyę karać, — owszem, o ile dane okoliczności na to pozwalają, pożądany może czasem skutek odniosłoby ukarać ich wygnaniem lub więzieniem... Ważną przyczyną złego nie tylko między świeckimi, ale i pomiędzy samymi księżmi, jest nieznanostwo katolickiej religii; wyjaśnienie dogmatów naszej wiary, na zwoływanych regularnie diecezalnych synodach, otworzyłoby z pewnością oczy niejednemu uwiedzionemu księdzu.

Usunawszy tak główne przyczyny słabości, wziąć się można i trzeba do pracy nad wzmocnieniem i ustaleniem w sercach katolickiej prawdy. Dopomoże do tego, jeżeli król otaczać się będzie katolikami, łaskę im swą okazywać i na ważniejsze zwłaszcza urzędy przeznaczać; jeżeli starać się będzie o dobrych biskupów, kaznodziejów i spowiedników. Proboszczowie, podej-

¹ 18 sierpnia 1554. T. IV, I. 530.

rzani o szerzenie fałszywej nauki, lub nieznający dokładnie swej wiary, niechże przynajmniej, w braku innych środków, zmuszani będą do utrzymywania na swój koszt dobrych wikaryuszów, którzyby za nich pracowali. Przed wyborem rektorów i profesorów uniwersyteckich trzeba zasięgnąć o nich informacji sekretnych; zobowiązywać ich przysięgą, że wiary katolickiej nie odstąpią; w razie złamania przysięgi, jako krzywoprzysięzców karać. Książki wystawione na sprzedaż przechodzić wprzód powinny przez cenzurę. Dla młodzieży postarać się koniecznie o odpowiedni katechizm; dla mniej wykształconych księży o krótki rys teologii; dla uczonych, lub uważających się za uczonych, o teologiczną *Summę*.

Zgubny brak księży w Niemczech usunąć się nie da, jedno przez zakładanie licznych seminaryów. Podzielićby je można na cztery jakoby klasy. „Do pierwszej klasy należałyby seminaria zakonne... i bardzoby było rzeczą pożyteczną, gdyby J. Król. Mość zechciał się postarać o pomnożenie liczby członków narodowości niemieckiej w klasztorach i kolegiach tak należących do Towarzystwa Jezusowego, jak i innych, równie w Wiedniu jak w innych swych uniwersytetach, gdzieby im królewska szcudroblliwość dozwoliła w naukach się wykształcić, aby mogli następnie zostać doskonałymi kaznodziejami, nauczycielami i spowiednikami. Drugą klasę stanowiłoby kolegium niemieckie w Rzymie, dokądby mógł król wysyłać na swój koszt wielu zdolnych młodzieńców; wszyscy naturalnie, wyéwicywszy się należycie w naukach i enocie, powracaliby do jego państwa. Być też może, że król zechce raczej ufundować w Rzymie drugie podobne kolegium dla prowincyj swych: Austrii, Węgier, Czech i Siedmiogrodu. Do trzeciej klasy należałyby nowe kolegia, ufundowane przy uniwersytetach krajowych, na wzór kolegium niemieckiego w Rzymie, a oddane w zarząd uczonym i pobożnym mężom; uczniowie w kolegiach tych wykształceni zostawaliby następnie proboszczami, profesorami po szkołach lub kaznodziejami. Trzy te rodzaje seminaryów utrzymywałyby się mogły częścią z dochodów po opuszczonych klasztorach, częścią z nieobsadzonych probostw, częścią z drobnego jakiego podatku na-

łożonego na ludność; wreszcie część pewną otrzymałby też można z pensyj ściąganych z majątków biskupich lub innych bogatych beneficjów, lub skąd i w jaki sposób J. Kr. Mość za stosowneby uważał. Czwartą klasę seminaryów stanowiłyby kolegia, w których zaćni i bogaci młodzieńcy utrzymywaliby się na własny swój koszt, sposobiąc się tak do świeckich i duchownych i najwyższych nawet godności. Największy wszakże przyćisk, równie w tej jak i poprzednich trzech klasach, na to należy położyć, aby postarać się dla nich o takich rektorów i nauczycieli, którzyby uczyli prawdziwego nabożeństwa współ ze zdrową i katolicką nauką.

Nadzwyczaj to ważny i ciekawy memoryał, którego przedwodnie idee, pewne wyjaśnienia i dopełnienia spotykamy w wielu jeszcze listach, na pierwszym miejscu do samego króla Ferdynanda i w paru instrukcyach przesłanych Ojcom pracującym w Niemczech. Szczególnie Świętego zajmuje, i dziś w memoryałach tych i listach na najszczególniejszą bez wątpienia uwagę zasługuje, kwestya seminaryów. Cały nakreślony w tym względzie przez Ignacego plan, dziś, gdy w bardzo wielu dyecezyach znajdują się „małe seminaria“, w każdej co najmniej stolicy kwitną wyższe teologiczne studia, wydaje się nam czemś naturalnem, oczywiście; w chwili gdy Święty go spisywał, był to plan nad wszelki wyraz śmiały, po raz pierwszy postawiony; a że dziś naturalnym nam się wydaje, to właśnie najjaśniej dowodzi prawdziwej a zatem praktycznej genialności, z jaką był podjęty.

Nakreśliwszy plan, czuwał Ignacy bez przerwy, wszelkie przeszkody łamiąc lub usuwając, nad jego wykonaniem. Kiedy Albert Bawarski, wbrew danym poprzednio przez siebie i przez ojca swego obietnicom, zawahał się i w ufundowanych już w Ingolsztadzie szkołach chciał pozostawić same tylko teologiczne kursa, Ignacy oparł się nader energicznie temu ścieśnianiu i ograniczaniu pierwotnego zamiaru. „Ostatecznym celem — tłumaczył¹ — ingolsztadzkie studyów, ma być bez wątpienia teologia,

¹ 22 września 1551. T. II, l. 237.

lecz w Niemczech zwłaszcza konieczną jest rzeczą znaleźć najprzód profesorów, którzy nie zadawalnialiby się odczytywaniem swych kajetów, lecz mieli zarazem staranie o postęp swych uczniów i w nauce i w obyczajach chrześcijańskich; konieczną następnie jest rzeczą znaleźć uczniów i cnotliwych i dostatecznie przygotowanych do korzystania z teologicznych wykładów. Takich dziś w Ingolsztadzie bardzo niewielu. Dlatego pragniemy, jak to już ma miejsce w innych naszych kolegiach, posłać tam przede wszystkim profesorów nauk wyzwolonych, którzy zapoznaliby młodzież z literaturą łacińską, grecką, hebrajską, a jednocześnie kazaniami, zachęcaniem do Sakramentów śś. i własnym przykładem prowadzili ją do pobożności i czystości obyczajów. Dopiero, gdy uczniowie okażą dostateczny postęp w tych naukach, posłjemy profesora dyalektyki, a w następnych latach profesorów filozofii. Wszyscy ci profesorowie będą zarazem z szczególną troskliwością rzucać do serc swych słuchaczy niby żarzące się i świecące iskry, któreby w nich rozpały zamilowanie teologii i obudzały wielkie jej pragnienie, jako celu wszystkich innych nauk... W ten sposób uformowałby się po niewielu latach zastęp teologów, równie w tej jak i w innych umiejętnościach znakomicie wykształconych, zdolnych do walki z herezyą, do wzmacniania katolików, do opowiadania z duchownym pożytkiem słowa Bożego, do pracowania w całej Bawaryi nad zbawieniem dusz. Z Ingolsztadu, niby z niewyczerpanego źródła, płynęłaby pobożność i nauka; bujnie rosłyby w tym uniwersytecie kwiaty wiedzy i cnoty“.

W kilka lat później, fundacya ingolsztadzkiego kolegium dobiegła wreszcie, po długich i nużących pertraktacjach, do pożądanego kresu; Ignacy, wysyłając z Rzymu zakonników swych do Bawaryi, spisać dla nich polecił szczegółową instrukcję, w której w nowem znów świetle okazuje się jego miłość dla nawiedzonych herezyą Niemiec, roztropność i miłość w walce z błądzącymi¹. „Nader ważną jest rzeczą — czytamy w ustępie odnoszącym się do sposobu wygłaszania prelekcij — tak walczyć

¹ W czerwcu 1556. T. VI, l. 829.

za katolicką prawdę, aby i heretycy, jeśliby byli obecni, przekonać się mogli o miłości naszej i skromności chrześcijańskiej. Nie im ubliżającego mówić nie należy, ani nie dawać do poznania, jakobyśmy mieli ich błędy we wzgardzie; lecz po prostu dowodzić prawdziwości dogmatów katolickich, z czego samo z siebie wyniknie, że przeciwne im nauki są fałszywe. Gdyby Ksiązę życzył sobie, abyście z katedr i ambon otwarcie występowali przeciw błędom, trzeba będzie do życzenia się tego zastosować, nie zapominając wszakże nigdy o zaleconej powyżej skromności i okazując zawsze miłość dla błądzących¹.

Podobne napomnienia, zachęty, szły do czeskiej stolicy, gdzie król Ferdynand założył w 1556 r. z królewską wspianłością szkoły Towarzystwa¹. I tutaj ostrzega Ignacy góraco przed „hałaśliwymi dysputami“, zachęca przedewszystkiem do przyświecania przykładem świątobliwego życia; zaleca z odrębnym naciskiem i niemal każdemu z osobna wyuczenie się jak najszybsze języka czeskiego. W tym względzie polecenia Świętego, i to nietylko odnośnie do Czech, bardzo były stanowcze. „Jeżeli chcecie coś dobrego zrobić, pisał niejednokrotnie, musicie się najpierw nauczyć języka kraju, w którym i dla którego pracujecie“. Na niewiele tygodni przed wysłaniem pragskiej wyprawy polecił znowu Ignacy przypomnieć w okólnym liście do całego zakonu tę tak rozumną, zawsze na czasie będącą zasadę²: „Sądzimy, że posłuży do zbudowania i duchownego postępu ludów, między którymi żyje Towarzystwo nasze, niemniej jak do zjednoczenia i wzrostu braterskiej miłości i łączności między samymi członkami Towarzystwa, jeżeli wszyscy, którzy nie umieją miejscowego języka, będą się go starali wyuczyć i nim zazwyczaj mówić będą... I tak w Hiszpanii mają Ojcowie nasi mówić po hiszpańsku, we Francyi po francusku, w Niemczech po niemiecku, we Włoszech po włosku i t. d.“

W zacytowanym powyżej okólniku do całego zakonu przepisywał Ignacy osobne modlitwy za „Niemcy, Anglię i kraje

¹ 12 lutego 1566. T. VI, l. 771 i 772.

² 1 stycznia 1556. T. VI, l. 735.

północne, które mają do walczenia z największym złem: herezjami¹. W wszechstronnej tej walce brał Ignacy udział na pierwszym miejscu modlitwą, lecz nie samą tylko modlitwą. Niemieccy przewodcy katolickiego odrodzenia, na ich czele król rzymski i książę bawarski, nie przedsiębrali żadnego ważniejszego kroku bez porozumienia się z Ignacym, i ustawicznie żądali od niego rady i czynnej pomocy; podobnież rycersey obrońcy katolickiego Kościoła w Anglii zwracali się raz po raz z zapytaniami i prośbami do ubogiej celki Świętego. Nader ożywioną i ważną korespondencyę prowadził przedewszystkiem Ignacy z naczelnym i bez wątpienia najwaleczniejszym hetmanem katolickich sił, słynnym „angielskim“ kardynałem, Reginaldem Pole. W połowie 1553 r. zdawało się na chwilę, że wespół z objęciem rządów przez Maryę Katolicką, lepsza przyszłość świta dla biednej Anglii; Ignacy rozradowany świeżo otrzymanemi od kardynała pomyślnemi wieściami, bierze gorący udział w powszechnych nadziejach. „Z serca dziękuję Bogu, Panu Naszemu¹, że raczył otworzyć tę bramę do powrotu Anglii na łono Kościoła św. i czystej świętej religii i wiary katolickiej. Tem zaś silniejszą żywimy w tym względzie nadzieję, że jak mocno jesteśmy przekonani, przyczyny wszystkiego złego szukać trzeba nie w chorobie ludu, lecz książąt; a tak, gdy teraz Boża Opatrzność dobrych daje wodzów, spodziewać się można, że naród, w którym niegdyś imię Chrystusa P. N. tak było czczone i chwalone, wróci do naturalnego swego stanu“. Następnego już roku zwierzał się Ignacy ze śmiałą myślą założenia w Anglii osobnej zakonnej prowincyi²; i ponownie w liście do bawiącego właśnie w Londynie Filipa II., wyrażał niewymowną swą radość³, „wespół z Aniołami w niebie i ludźmi na ziemi, z powodu szczególnej łaski, którą Stwórca i Pan Nasz obdarzyć raczył Kościół swój, przyprowadzając do łączności z nim tak znaczną część ciała

¹ 7 sierpnia 1553, a więc w siedm dni po uroczystym wjeździe Maryi do Londynu. T. III, l. 329.

² Do św. Franc. Borgiasza. 14 czerwca 1554. T. IV, l. 490.

³ Do króla angielskiego. 23 stycznia 1555. T. V, l. 591.

swego“. „Należałoby — czytamy znów w innym liście¹ — przysłać do Rzymu choć kilku młodych Anglików, aby wyćwiczywszy się tu w nauce i pobożności, użytecznymi być mogli swej ojczyźnie“... Piękne to były nadzieje! — smutna rzeczywistość nie odpowiedziała im. W każdym razie młodzi Anglicy, wyćwiczeni w Rzymie z inicjatywy Świętego w nauce i pobożności, niemniej — choć w inny sposób, niż po ludzku myślano i spodziewano się — byli wygnaniem, więzieniem, nieraz krwią z pewnością „użytecznymi swej ojczyźnie“.

Obok zagrożonych herezyą Niemiec, obok strasznie toczonych już heretyckimi błędami Anglii, leżały Świętemu szczególnie na sercu „kraje północne“: nasza Polska, do której herezye wszystkimi szlakami swobodnie, na wyścigi się cisnęły; leżące za Polską nieznane obszary, o których z głuchych wieści wiadano, że panuje wprawdzie nad nimi krzyż Chrystusowy, lecz nie uznają władzy i powagi Chrystusowych namiestników. Właściwa działalność zakonu w „północnych krajach“, na pierwszym miejscu w Polsce, rozwinęła się dopiero za następców Ignacego; wszakże i w jego listach nie brak śladów świadczących, że żywo zajmował się losami tych dalekich, strach! jak w ówczesnych wyobraźniach i pojęciach dalekich światów. Pierwszą wzmiankę o Polsce napotykamy w liście sekretarza Świętego, z czerwca 1551²: „Jego Świątobliwość, mając zamiar wysłać nuncjusza do króla polskiego, postanowił dodać nuncjuszowi do boku teologa, któryby objaśniać go mógł w kwestyach odnoszących się do dogmatów i nauki katolickiej... Sam Papież z własnego popędu wybrał na ten urząd magistrza Salmerona“... W trzy lata później pocieszająca wiadomość zakomunikowana w okólnym liście całemu zakonowi³: „Z Polski piszą nam, że pewien wielki biskup (Hozyusz) pragnie mieć kolegium nasze w swej dyecezyi warmińskiej, położonej w prowincyi pruskiej... Takież żądania nadchodzą z Alba-Julia (Karlsburg) w Siedmiogrodzie i z Pragi w Czechach: a wszystko to są bardzo ważne

¹ Do kardynała Polo. 2 lipca 1555. T. v, l. 673.

² O. Polanco do O. Franc. Villanueva. 1 czerwca 1551. T. II, l. 231.

³ 1 maja 1554. T. IV, l. 465.—Por. t. IV, l. 469. Do kardynała z Burgos.

stanowiska¹. Nie minęło kilkanaście dni, a O. Polanco, sekretarz Ignacego, donosi w jego imieniu²: „Z Polski proszą nas o kasnodzieję dla królowej, córki króla Rzymskiego. Również biskup Warmiński, wielki dygnitarz w Prusach, pod królem polskim, koło Tatarów (*sic!*)³, domaga się dziesięciu z Towarzystwa dla rozpoczęcia fundacyi kolegium i mam nadzieję, że ich otrzyma“... „Tatarzy“ niemają widocznie zaimponowali pocziwemu sekretarzowi, bo znów po paru miesiącach, pisząc z polecenia chorego Ignacego do jednego z hiszpańskich magnatów, bardzo poważnie, rozumiejąc snać, jaki efekt szczegóły ten wyrzecz musi, na plac ich wywodzi⁴: „Proszą nas o kolegia z prowincyj, graniczących z Tatarami, a leżących obok Polski i Prus, gdzie przebywa biskup Warmiński, dobry katolik“.

Jak dziwić się tym nieco niedokładnym wiadomościom, kiedy Polska, to, w powszechnem przekonaniu, kraniec świata; podróż do Polski wzbudza wrażenie podobne, jeśli nie straszniejsze, jak dzisiaj podróż na Kamczatkę, wyprawa do północnego bieguna? „Tutaj — donosi Ignacy genialnemu swemu towarzyszowi, a późniejszemu następcy na jeneralskim urzędzie, O. Laynezowi⁴ — dokładają wielkich starań, aby cię wyprawić z Florencyi i wysłać do Polski z nuncyuszem, udającym się tam w celu zaradzenia wielkim potrzebom tego królestwa. Ja dotąd, o ile mogłem, planowi temu się sprzeciwiałem i postarałem się, aby jeden z kardynałów, który miał o to Papieża prosić, odstąpił od swego zamiaru, bo inna to rzecz wyjechać stąd na trzy miesiące z nuncyuszem niemieckim, a inna rzecz wybrać się na trzy lata, boć tyle zazwyczaj przebywają nuncyusze w Polsce. Być może, że uda nam się wymówić od tej polskiej drogi“.

¹ Do O. Villanueva. 15 maja 1554. T. IV, l. 473.

² Wydawcy „Listów“ przeróżnemi hipotezami tłumaczą to: „koło Tatarów“; czy nie prostszą rzeczą przyznać bez ogródek, że O. Polanco — jak tylu innych uczonych i to nie wyłącznie tylko w XVI. w. — nie był zbyt biegłym w geografii północnej Europy?

³ Do hr. de Melito (Don Diego Hurtado de Mendoza y de la Cerda). 21 lipca 1554. T. IV, l. 506.

⁴ 9 lutego 1555. T. V, l. 603.

Nie udało się. Wprawdzie papież Paweł IV. nie dozwolił na razie Laynezowi oddalić się z Rzymu, przeznaczając go do innej misyi, lecz natomiast zażądał stanowczo, aby który inny z towarzyszków Ignacego, najlepiej i najwłaściwiej O. Salmeron, zastąpił go przy polskim nuncyuszu. „Papież — donosił Polanco przełożonym zakonny¹ — zwrócił szczególną baczość na podtrzymanie religii katolickiej w Niemczech i w Polsce, gdzie, zdaje się, narażoną jest na wiele niebezpieczeństw i niemal że ruiną grozi“. Stosownie do życzenia papieskiego wyruszył niebawem O. Salmeron — jeden z najpierwszych dziesięciu towarzyszków Ignacego — na północne kresy, jako pomocnik i doradca biskupa Werony, Ludw. Lippomano².

Południowe wschodnie kresy, nie Europy już, lecz świata, lepiej w Rzymie były znane, mniej przerażały wyobraźnię. Św. Franciszek Ksawery w licznych swych i prześlicznych listach z Indyj i z Japonii kreślił smutny stan azyatyckich krajów, opisywał cudowne drogi miłosierdzia Bożego, dopomagającego mu tak przedziwnie w nawracaniu do wiary całych prowincyj, państw, domagał się usilnie pomocy od europejskich braci, rad i rozkazów od Ignacego.

„Dowiedzieliśmy się, — odpisuje Ignacy azyatyckiemu Apostołowi, żądanych rad i wskazówek mu nie żałując³ — że Bóg Pan Nasz otworzył, ciebie za narzędzie swe używając, bramę do opowiadania Ewangelii i nawrócenia Japonii i Chin; i cieszymy się wielce w Bogu, spodziewając się, że znajomość i chwała Pańska dnia każdego bardziej rozszerzać się będzie... Jeśli się już do Chin udał, pochwalam to w przekonaniu, że Mądrość Odwieczna cię tam poprowadziła; pomimo tego sędzę,

¹ 13 sierpnia 1555. T. v, l. 689.

² Z Augsburga pisał Salmeron do św. Ignacego pod datą 4 września 1555 r.: „Wyjeżdżamy do Polski, bo możliwe to jeszcze we wrześniu, który choć tam do stycznia podobny, ale stanowczych przeszkód do podróży nie stawia... Podobno król polski znajduje się obecnie na Litwie, 150 mil niemieckich poza Krakowem, tj. 600 mil włoskich. Prawdopodobnie trzeba tam będzie się wybrać“.

³ 28 czerwca 1553. T. III, l. 314. W chwili pisania tego listu Ksawery nie żył już od przeszło pół roku; umarł 2 grudnia 1552.

o ile my tu o tych sprawach decydować możemy, że więcej zrobiłbyś w służbie Boga Pana N., pozostając w Indyach i stamtąd wysyłając innych i kierując ich aby to robili, co tybyś sam miał robić; w ten bowiem sposób nie w jednym, lecz od razu w wielu miejscach byś pracował“.

Tak właśnie „w wielu miejscach“ pracował sam Ignacy, pomimo, że z Rzymu w ostatnich szesnastu latach życia ledwie parę razy i to na dni kilka się ruszył. W tym samym czasie, w którym słał wskazówki Ksaweremu do Indyj, do Chin, zakładał w Brazylii nową zakonną prowincję i mianował pierwszego jej prowincyała, świątobliwego Emanuela de Nobrega ¹, kierował radami swemi korsykańskich misyonarzy; dokładał wszelkich starań, aby doprowadzić nakoniec do pomyślnego rozwiązania zbyt już długo wlokącą się kwestyę poddania się schyzmatycznej Abissynii pod władzę Stolicy apostołskiej.

Ostatnia ta sprawa, sama w sobie wielkiej wagi i dająca w tej chwili usprawiedliwiony powód do najśmielszych i najpiękniejszych nadziei, leżała mocno na sercu portugalskiemu Janowi III. Ignacy ze swojej strony tak się do niej zapalił, że najgorętszem jego pragnieniem było złożyć jeneralski urząd, aby móżd samemu udać się na misyę do Afryki ². Gdy plan ten okazał się oczywiście niepodobieństwem, nie przestawał na wszystkie strony pukać, prosić, przypominać i zaklinać: „Nie pozwalajcież ginąć marnie tak wielkiej części owczarni Chrystusowej... Wielka żalność zbiera i szkoda niezmierna, że pomimo sprzyjających okoliczności, tak się rzecz przewleka, a tymczasem tyle dusz jest opuszczonych“ ³... Rzecz wlokła się jeszcze sześć lat; zaledwie z początkiem 1555 r. wyruszyło do Afryki dwunastu misyonarzy, mając na swem czele zamianowanego przez papieża z ich grona patriarchę, O. Jana Nunnez Barreto. Ignacy, tak zawsze przeciwny przyjmowaniu jakichbądź godności kościelnych przez członków swego zakonu, osądził jednak, że tym razem i w danych okolicznościach można i należy zrobić

¹ 9 lipca 1553. T. III, I. 317.

² Do króla Jana III. Wrzesień 1546. T. I, I. 84.

³ Do O. Ludwika de la Grana. 17 stycznia 1549. T. II, I. 159.

wyjątek. „Nie sędzę, — pisał do O. Barreto ¹ — aby równie tobie, jak i wyznaczonym ci dwom koadjutorom wolno było uchylić się od nałożonych wam z woli papieskiej urzędów. Chociaż dla pokory waszej i miłości uniżenia, którą macie stosownie do powołania waszego, każda godność ciężkim jest krzyżem; to przecież godnościom tym towarzyszy tyle prac i niebezpieczeństw, że obawy niema, aby mogły się stać okazją ambicji lub chciwości. Z drugiej znów strony tak to jest niezbędnem dla ogólnego dobra tych krajów, tak bardzo na ofiarowanym wam stanowisku będziecie mogli się przyczynić do służby Bożej, że nie widzę, jakbyście go mogli nie przyjąć!? Zgódźcie się zatem z wolą Bożą i zaufajcie w dobroci Tego, dla którego miłości jedynie ciężar ten na barki swe bierzecie, który dopomóż wam do dźwigania go, a niebezpieczeństwa dla służby Swej Bożej podjęte zamieni wam w wieniec odrębnej, wiecznej nagrody“...

Odjeżdżającym misyonarzom przesłał Święty rodzaj memoriału do abissyńskiego cesarza Klaudyusza; memoriału, będącego zwięzłym, ale wyczerpującym traktatem o władzy i prymacie papieskim. Na królu portugalskim memoriał ten zrobił nadzwyczajne wrażenie; wyrzećby go musiał i na Klaudyusza, gdyby tymczasem inne wpływy i względy nie zaczęły brać góry na abissyńskim dworze. „Szczęśliwym czuję się — rozpoczynał Ignacy swe pismo ² — że skoro mnie już samemu podjąć się tej wyprawy nie dozwolono, przynajmniej towarzysze moi udają się obecnie do kraju twego, aby ofiarować w nim Bogu swe życie w służbie W. Wysokości, niosąc światło wiary duszom pozostającym pod twem berłem... Ojcowie ci mają pełną i zupełną władzę od świętej, Apostolskiej Stolicy; mogą wam zatem nauką swą pomoc wszelką przynieść i naprawić szkodę działaną w wierze przez rozterkę z świętym rzymskim Kościołem, matką wszystkich kościołów po całym świecie“.

„Zarządcy tego Kościoła — tłumaczy dalej Święty, a twier-

¹ 17 lutego 1555. T. v, l. 614.

² 16 lutego 1555. T. v, l. 613.

dzenia swe udowadnia cytatai z Pisma św. i teologicznemi wywodami — poruczył Bóg swe zastępstwo na ziemi... Innym Apostołom udzielił Chrystus Pan ograniczonej władzy; św. Piotrowi i jego następcom dał ją zupełną, najpełniejszą, aby ze źródła tego płynęła wszelka powaga, siła i władza i od tego najwyższego Pasterza dostawała się innym pasterzom w mierze odpowiadającej hierarchicznemu stanowisku, jakie zajmują w Kościele walczącym... Na tym fundamencie opierając się, równie dziad, jak ojciec W. Wysokości, słuszną mieli przyczynę, dla której uznawać nie chcieli powagi patriarchy Aleksandryjskiego, ponieważ tenże, jako odcięty, zgniły członek mistycznego ciała Kościoła, nie ma życia, nie ma władzy poruszania się... a przeto i innym w żaden sposób udzielać ich nie może... Jak jeden jest tylko Oblubieniec Kościoła, Jezus Chrystus, tak i Oblubienica Chrystusowa, Kościół, jedną zawsze była, jedną pozostaje... Czytamy w Piśmie św., że jedna tylko była arka Noego, w której Bóg życie zachował, a poza którą śmierć panowała; jedna arka przymierza, przez Mojżesza zbudowana; jedna świątynia wystawiona w Jerozolimie przez Salomona, w której wyłącznie prawo nakazywało składać ofiary i Bogu cześć oddawać; jedna synagoga, od której sądu i powagi wszystkie inne zależały. Wyraźne to i jasne obrazy jedności Kościoła, poza którym nic dobrego, nie żywotnego i życiodajnego nie istnieje... Kto nie jest zjednoczony i złączony z tem mistycznym ciałem, nie może żadną miarą od głowy, tj. od Chrystusa, otrzymać siły i łaski do dostąpienia wiecznego szczęścia“...

Mniej może pozornie świetne i fantazyę porywające, w rezultacie praktyczniejsze były usiłowania, dążące do oswobodzenia, do osłodzenia przynajmniej gorzkiego losu tysiącom chrześcijańskich niewolników, zabranym w jasyr przez tak groźnych w tym czasie wszystkim nadmorskim krajom europejskim: barberyjskich piratów. Od r. 1548 przebywało na afrykańskich wybrzeżach dwóch członków Towarzystwa Jezusowego: O. Jan Nunnez Barreto i br. Ignacy Bogado, i „starają się — jak do-

nosi Ignacy w jednym ze swych listów ¹ — o wyzwolenie ciał, a bardziej jeszcze dusz niewolników. Wielcy to słudzy Pańscy, wiele działają i cierpią w służbie Chrystusa Pana N.; leczą dusze niewolników, z których jedni wiary się wyparli, inni są na drodze do wyparcia się, inni jeszcze umierają z głodu duchownego między niewiernymi⁴. Straszny to był głód, biedni niewolnicy bardzo potrzebowali pomocy i pociechy; O. Barreto w listach swych i sprawozdaniach przesyłanych do Europy kreślił krwawe obrazki z tej ziemi niewoli i błagał ze łzami o miłosierdzie, bo „dusze giną“. „Na miłość Pana Naszego — zaklinał jednego z zakonnych towarzyszy² — wyżebraj mi trochę pieniędzy na uratowanie niewolników, których panowie przemienić chcą w Turków, Żydów; a oni do nas z płaczem o pomoc się udają“. ...„Wiele pieniędzy nam trzeba, bo chłopców lub dziewczyn portugalskich sprzedać nie chcą taniej, jak za 90 dukatów... Serce boli, gdy widzę całe szeregi chłopców, którzy, niedawno jeszcze temu, z płaczem o wykupienie prosili, jak w najokropniejszych grzechach brną i publicznie już za Turków uchodzą“... I Ignacemu, do którego dochodziły te żale i sprawozdania w regularnych niemal odstępach czasu, serce się ścisnęło, jak mógł o zasilki się starać, dodawać pracującym odwagi, krzepił siły ich i męstwo w tak niezmiernie trudnym zadaniu. „Od kilku już lat — pisał prawdziwie ojcowskim sercem i piórem do O. Jana Nunnez³ — pracujesz i pomagasz niewolnikom w Afryce. Nie lękaj się, gdy ważysz drobne swe siły, że podjąłeś się zbyt trudnego przedsięwzięcia, ponieważ ufność swą całą złożyć winienes w Tym, który do tej pracy cię powołał, a zatem i potrzebnych sił w służbie Swej ci użyczy, tem bardziej, że nie z własnej woli wzięłeś na siebie ten ciężar, którego nikt na świecie samym ludzkim przemysłem i zręcznością nie zdołałby udźwignąć, gdyby mu ręka Boża nie dopomogła i drogi nie wskazała“.

¹ Do O. Ludwika de Sandoval. 20 lipca 1553. T. III, l. 320.

² Do O. Franc. Viejra r. 1553. T. III. Dokumenty nr. 15—21 i t. IV. nr. 10.

³ 26 lipca 1554. T. IV, l. 513.

Dawne w Loyoli, Manrezie, w samejże Jerozolimie żywione^{*} i ważne plany rozszerzania chwały Bożej w ziemi palestyńskiej, ustąpić musiały przed wyraźną wolą Bożą; wszakże grób Chrystusowy, zostający w niewoli niewiernych, nie zatarł się nigdy w pamięci świętego rycerza; myśl o krucyacie, na inszych może niż dawne krzyżowe wyprawy podstawach oparta, ale mająca niemniej na ostatecznym celu wyrzucenie Turków z Ziemi Świętej, nie przestała do końca życia jasnym płomieniem mu przyświecać. Świadectwem tych niewygasłych myśli i pragnień obszerna korespondencya z rycerzem dawnej, średniowiecznej — w najlepszym tego słowa znaczeniu — daty, Piotrem Zarate, który powziął piękny zamiar przywrócenia do dawnej świetności rycerzów Grobu Chrystusowego i otworzenia przed nimi w Jerozolimie szerokiego pola dla rycerskiego męstwa, dla chrześcijańskiego poświęcenia. Ignacy wyjednał dla tego zamysłu u papieża osobną, pochwalną bullę; listami swemi do króla rzymskiego, do Filipa II., otworzył śmiałemu rycerzowi bramy i poparcie najmożliwszych wówczas w świecie potentatów¹. Nie jego wina, że piękny ten zamiar poszedł koleją tylu innych, kuszących się przedtem, później, o wrócenie chrześcijaństwu jego kolebki...

Lepszym, choć nie bezpośrednim skutkiem uwieńczony został śmiały plan zgniecenia potęgi tureckiej w Europie. Projekt ten, przesłany przez Ignacego na ręce O. Hieronima Nadal, który miał go znów ze swej strony przedstawić Janowi de Vega, a następnie Karolowi V., niewiele się różni w zasadniczych ry-sach od przeprowadzonej później krucyaty, która doprowadziła do stanowczej w dziejach Europy bitwy pod Lepanto.

„Ojciec nasz — pisze O. Polanco z polecenia Świętego² — widząc, że wojska tureckie wpadają rok po roku do ziem chrześcijańskich i czynią takie spustoszenia, tyle dusz biorą w niewolę, które giną wyrzekając się wiary Chrystusa, ukrzyżowanego dla ich zbawienia..., i widząc, wiele złego wyrządzają

¹ Listy te datowane w październiku 1554. T. IV, l. 558 np.

² Do O. Hieronima Nadal. 6 sierpnia 1552. T. III, l. 277 i 278.

korsarze na wybrzeżach morskich i duszom i ciałom i majątkom chrześcijan — przyszedł do silnego przekonania w Panu N., że obowiązkiem cesarza jest wystawić wielkie wojsko i zawładnąć nad morzem, aby w ten sposób przeszkodzić tym nieszczęściom i dobru powszechnemu i w tych i w wielu innych nader ważnych sprawach zaradzić. Pobudza go zaś do tego nie tylko miłość dusz i gorliwość o ich zbawienie, ale i światło rozumu, pokazujące konieczność takiej wyprawy, którą podjąć można z mniejszymi kosztami niż te, na które cesarz jest teraz narażony. Ojciec nasz przykładą do tej sprawy taką wagę, iż gdyby sądził, jak mówi, że potrafi przekonać J. Kr. Mość, lub gdyby Bóg dał mu wyraźniejszy znak swej woli, poświęciłby jej z radością resztę swej starości i sam udałby się do cesarza i do Księcia (Filipa), nie zważając na niebezpieczną drogę, na swe choroby i inne niedogodności...

„Powody skłaniające do takiej wyprawy są następujące: 1) Miłość wiary katolickiej, którą traci bezpowrotnie tylu nieszczęśliwych niewolników. 2) Odpowiedzialność ciężająca na królach, za zgubę tylu dusz, za tyle cierpień przez poddanych ich ponoszonych; w dniu sądu zrozumieją królowie, co powinni byli więcej cenić: swe pieniądze i godności, czy tyle dusz, z których każda odkupiona jest Krwią Chrystusową. 3) Teraz dopiero Turcy zaczynają się wzmacniać na morzu, i prowadzą względem całej chrześcijańskiej Europy tę samą politykę, którą podbili cesarstwo greckie: zawierają przymierze z jednym państwem chrześcijańskim, jak teraz np. z Francją, aby z jego pomocą osłabić i zgnieść inne państwa chrześcijańskie. Jedynie za pomocą silnej floty możnaby temu przeszkodzić. 4) Flota ta utrzymywałaby również w karchach malkontentów neapolitańskich i odjęłaby im nadzieję dywersyi tureckiej i posiłków francuskich. (Książę Salerno, Ferdynand de Sanseverino, przywódca neapolitańskich malkontentów, udał się do Henryka II. z prośbą o pomoc przeciw Hiszpanii i poprowadził turecką flotę przeciw Neapolowi). 5) Król francuski, widząc przewagę przeciwników, skłonniejszym byłby do pokoju. 6) Zapobiedzby się dało szkodom wyrządzanym rokrocznie przez plądrujących Turków i oszczędziłoby się kosztów

na strzeżenie wybrzeży włoskich, hiszpańskich i innych. 7) Bezpiecznaby była morska komunikacya między Hiszpanią a Włochami. 8) Z pomocą takiej floty odzyskaćby można utracone wybrzeża afrykańskie, zatknąć chrześcijańskie sztandary w Grecyi i na wyspach morza Śródziemnego; owszem posunąć się dalej na Wschód i otworzyć go dla wiary chrześcijańskiej, gdy przeciwnie z braku floty utraciliśmy niedawno Tripolis, a łatwo utracić możemy i inne ważne stanowiska. 9) Cesarz, przechodząc z czysto odpornego na zaczepne stanowisko, zyskałby na powadze i znaczeniu u wiernych i niewiernych; a tak samym blaskiem swego imienia, nawet miecza nie dobywając, mógłby o wiele więcej zdziałać na obronę swych poddanych.

„Co do środków do przeprowadzenia tego planu, to na żołnierzach cesarzowi zabraknąć nie może, bo ma ich więcej do rozporządzenia, niż jakikolwiek inny monarcha; potrzebne pieniądze dałyby się z wielu stron ściągnąć: 1) Z bogatych klasztorów, mających więcej pieniędzy niż potrzebują, które zatem mogłyby uzbroić, stosownie do swych środków, pewną oznaczoną liczbę galer. 2) Z biskupstwa i kapituły. 3) Z czterech zakonów rycerskich, które wedle swych fundacyj walczyć mają przeciw niewiernym. 4) Od magnatów i rycerzów, mających pieniądze na najrozmaitsze zbytki. 5) Od kupców, o których interes tu chodzi. 6) Od miast, zwłaszcza nadmorskich, od królestwa neapolitańskiego i Sycylii, łożących dziś tak znaczne kosztą na utrzymanie garnizonów wojskowych przeciw rabusiom. 7) Od króla portugalskiego. 8) Od Genui, Lukki, Sienny. 9) Od księcia Florenckiego. 10) Od papieża i z dochodów kościelnych — bo chodzi tu i o chwałę Bożą i o świeckie interesa wszystkich tych książąt i miast.

„W ten sposób możnaby uzbroić 200—300 okrętów i tyleż galer. Pomyśl i powiedz co o tem sądzić“...

A oto znowu innego rodzaju, ale niemniej ważnego punktu dotyczący, na wielką skalę nakreślony plan, który Święty za pośrednictwem jednego ze swych zakonników, najlepiej wi-

dzianych na portugalskim dworze, przedkładał królowi Janowi III.¹:

„Opowiedziano mi smutną historję o dwóch braciach, Portugalczykach, znajdujących się obecnie w Rzymie, którzy obaj pojedynekowali się i obaj zabili swych przeciwników. Straszny to, djabelski występek między chrześcijanami, nawet między niewiernymi nieznanym, gubić dla tak błahych względów i dusze i ciała; to też z wielką radością i zadowoleniem dowiedzieliśmy się o wydanej przez J. Kr. Mość ustawie, zakazującej pojedynków w jego królestwie pod karą utraty całego majątku i życia. Święta to i dobra rzecz; gdybym miał sposobność, nie omieszkałbym przedstawić J. Kr. Mości dwóch innych punktów, które sądzę, przyczynićby się mogły niemało, wspólnie z pomienioną ustawą, do przyprowadzenia do skutku tak pobożnych i chrześcijańskich zamiarów królewskich.

1) „Aby każdy, któryby przyjął wyzwanie na pojedynek, ogłoszony był publicznie za zdrajcę i infamisa i podlegał karze śmierci i konfiskaty majątku; w ten bowiem sposób przeciwne lekarstwa uleczyłyby przeciwne sobie choroby; i kto, obawiając się stracić nieco na honorze, ucieka się do pojedynku, zaniechałby go, aby zupełnie honoru nie stracić.

2) „Aby J. Kr. Mość wybrał czterech, lub ileby uważał za stosowne, poważnych mężów, którzy w razie zajścia jakichś poróżnień lub krzywd, sprowadzających pojedynki, osądziliby, która strona i w czem jest skrzywdzoną, i zarządzili odpowiednie lekarstwo; wykonania tego sądu musiałby sam król dopilnować, przyczyniając się w ten sposób do zadowolenia i uspokojenia obu stron. Jeżeli będzie wolą Boga Pana N., aby dzieło to, które tak bardzo posunąćby mogło naprzód Jego służbę, przyszło do skutku i usunęło to nadużycie tak bezbożne, tak sprzeciwiające się i Bożemu i ludzkiemu rozumowi, że nikt inny, prócz szatana, twórcą jego być nie może; natenczas łatwo staćby się mogło, że i inni chrześcijańscy książęta poszliby za przykładem danym przez J. Kr. Mość. Boć wszyscy rzecz tak niegodziwą i nier-

¹ Do O. Mirona. 5 kwietnia 1554. T. IV, l. 457.

zumną muszą za złą uważać, zwłaszcza, że nie opiera się ona na żadnej innej podstawie, prócz błędnej opinii ludzi światowych, którzy wogóle i sami wyznają, że tyranizuje ich nieszczęsny ten zwyczaj i bardzo im ciąży. Tak więc piętnując go publicznie, i ogłaszając za infamisów tych, którzyby w występki ten popadli, wypędzić można bez wielkich trudności tę piekielną tyranię z ziem chrześcijańskich. Bez wątpienia, pomiędzy wielu słynnemi czynami, które potomność głosić będzie o J. Kr. Mości, ten byłby jeden z najsłynniejszych.

„Możnaby też zaradzić, jakem już wspomniał, aby usunięcie bojaźni pojedynku nie torowało komu drogi do łatwiejszego krzywdzenia innych, karząc krzywdzących najprzód na czci, a następnie i osobiście, i naznaczając inne odpowiednie kary. Nie mogłoby być trudnem przekonać ludzi o słuszności takiego postępowania, bo bez porównania więcej zgadza się ono z rozumem nietylko chrześcijańskim, ale i wogóle ludzkim, niż przeciwne postępowanie i zasady, które djabeł na ten świat wprowadził. Chodzi tylko o to, aby królowie wzięli się do tej sprawy na seryo“.

Czyż nie dziwna to i nie ciekawa rzecz, słyszeć w XVI. wieku takie zasady, takie plany, z ust hiszpańskiego rycerza, należącego w swym czasie do kwiatu najdumniejszej na świecie szlachty, najlepiej obeznanej, najsilniej stojącej przy prawach i obyczajach prawdziwych „hidalgów?“ W każdym razie nowy to dowód, jak Ignacy z wyżyny, na której stał, trzeźwo a wszechstronnie na świat patrzył. Wszystko, co współczesnych porusza, znajduje tu swe echo; każda dobra myśl pewna pomocy i zachęty; każda bieda pociechy; — obok wewnętrznych rządów na cały już, rzekłbyś, świat rozciągającego się zakonu, prowadzi walkę o duszę od „północnych“ — od polskich, do afrykańskich kresów. Skąd ta wszechstronność, ta przezorność rozumnego wodza, rzekłbyś nowoczesnego, złączona z niezmordowaną energią, z wytrwałością średniowiecznego żołnierza, które ujawniają się w pewnej przynajmniej mierze z powyżej cytowanych uryw-

ków z listów Świętego? Jedyłą, ale wyczerpującą odpowiedzią — to hasło całego życia Ignacego, hasło, w imię którego zakon swój do walki powołał, które w każdym niemal swem piśmie powtórza: Wszystko na większą chwałę Bożą. On nietylko na chwałę Bożą pracował i walczył, ale na większą chwałę Bożą; stąd nigdy nie powiedział: Już dość! bo jakież kres większej chwale Bożej?

Ks. Jan Badeni.

URYWKI

ZE WSPOMNIEŃ NOWOGRODZKIEGO SZLACHCICA.

Ważność wszelkich pamiętników i wspomnień osobistych dawno już została oceniona, i zdawałoby się, że jakiegokolwiek dowodzenie w tym względzie byłoby zbyteczne. A jednak rzecz pewna, że wiele jeszcze rękopisów albo butwieje gdzieś w zapomnieniu i poniewierce, albo nawet przez jakieś dziwactwo i mylne wyobrażenia dzisiejszych ich posiadaczy, kryje się przed ludzkimi oczyma, przechowywane jedynie jako pamiątka rodzinna bez żadnego znaczenia, i w końcu równie jak pierwsze podlegają zniszczeniu. Pamiętniki wszelako każde, choćby najmniej znaczące, nieskończenie są więcej warte od wszelkiego z fantazyi tylko wysnutego literackiego utworu; jest w nich bowiem obraz życia rzeczywistego, jest prawda — a prawda, to piękno najwyższe.

Pamiętniki stanowią niejako drugą warstwę historii kraju, nieodzowne tło, na którem rzucona sieć głównych wypadków przyjmuje właściwy sobie a istotnie prawdziwy koloryt. Historia kraju jest historią ludzi, jest więc zbiorowym pamiętnikiem jego mieszkańców. A jeśli najznakomitsi nasi badacze dziejów, w ostatnich czasach podnieśli całą ważność, w historyografii, koniecznego uwzględnienia kultury i cywilizacyi, to już dziś dla sumiennego historyka wszelkie zapiski i pamiętniki, odnoszące się do danej epoki, stanowią niejako źródło dziejowe pierwszorzędnej wagi.

Miarę wartości źródeł ocenia krytyka i porównania, niemniej jednak wszędzie w nich znaleźć się może wiadomość ważna, pożyteczna albo ciekawa, a nieraz nawet podana okoliczność drobna i mało z pozoru znacząca rzuca nowe światło na najważniejsze dziejowe wypadki. Dlatego, zdaniem naszym, wszelkie bezwarunkowo dawne pamiętniki i zapiski zasługują zawsze na uwagę, i jako mniejszej czy większej wartości materiał dziejowy zużytkowane być winny.

Z tej zasady wychodząc, nie zraziliśmy się wcale niełatwem zadaniem uporządkowania i obrobienia notat z życia starego ziemianina nowogrodzkiego, łaskawie nam udzielonych przez szanowną rodzinę Kiersnowskich.

Są to zapiski dyktowane wieczorami w kółku domowem, luźnie i bez związku, przez sędziwego pana Nikodema Kiersnowskiego, dziedzica kilku majątków w Nowogrodzkim, który, jak wszyscy ówczesni ziemianie na Litwie, stosownie do praw obowiązujących, zajmując różne z kolei urzędy ziemskie z wyborów współobywateli, stanął wreszcie na poczesnem stanowisku prezydenta Izby cywilnej gubernii grodzieńskiej, na czem też, ze zmianą administracyi wewnętrznej i sądownictwa tych prowincyj w r. 1863, zamknęła się i jego służba publiczna.

Nikodem Kiersnowski urodził się w r. 1794, z ojca Jana, stolnika witebskiego (syna Adama) i Kunegundy Orzeszkówny, córki Ludwika Orzeszki, marszałka powiatu kobryńskiego. Stolnik Jan Kiersnowski był za Rzpltej deputatem na ostatni Trybunał litewski, kadencyi wileńskiej, dziedzicem majątku Horodczanka, przezwanego później Hordziłówką, w Nowogrodzkim, nadanego jeszcze w r. 1665 przez króla Jana Kazimierza Teodorowi Kiersnowskiemu, cześnikowi starodubowskiemu; prócz tego posiadał Stolnik w Słonimskim majątki: Nowe Małowidy, Kliszew i Jagnieszycze. Pozostawił oprócz Nikodema czterech jeszcze synów: Ludwika, Ignacego, Adama i Stanisława, oraz dwie córki: Annę za Franciszkiem Chrzanowskim i Antoninę za Stefanem Pawłowiczem.

Notaty dyktowane przez ś. p. Nikodema Kiersnowskiego

tak są niepełne i rozrzucone, że z nich porządnej całości ułożyć wcale niepodobna, nadto niektóre ustępy z wielu względów zużytkowane być nie mogą. Na uwagę wszelako ze wszech miar zasługują, z całą znajomością rzeczy podane mało znanie szczegóły, odnoszące się do porządku i procedury sądowej, prawnej i zwyczajowej, pozostałej z czasów Rzpltej w prowincyach litewskich, do czasu obowiązującego w nich Statutu litewskiego i zmian w sądownictwie, które nastąpiły w r. 1833. Dalej dość ciekawe wspomnienia z czasów wojny 1812 r., oraz wiadomości o własnej jakoteż i niektórych innych w tamtych stronach rodzinach. Zapiski te podajemy wedle możności bez zmian, według słów sędziwego pamiętnikarza, ułożywszy je, o ile się dało, w pewnym chronologicznym porządku.

„W młodości mojej — mówi autor — nigdy nie pomyślałem być prawnikiem; największe miałem upodobanie do nauk przyrodzonych, zajmowała mnie bardzo chemia, fizyka, botanika, zoologia, mineralogia a szczególnie ogrodnictwo; słowem, to wszystko, co było potrzebnem do agronomii. I dlatego po ukończeniu nauk w szkołach powiatowych nowogrodzkich, przez księży Dominikanów wykładanych, wyjechałem do wileńskiego Uniwersytetu w r. 1811 na wydział nauk przyrodzonych; lecz inaczej się stało“.

Do tego czasu odnoszą się w innym miejscu umieszczone wspomnienia autora o klasztorze Dominikanek nowogrodzkich.

„W dzieciństwie — powiada pamiętnikarz — kiedy byłem w szkołach (1808—1810), chodziłem (do klasztoru Dominikanek) służyć do Mszy, pierwiej z jubilatami Flejszerem i Garentem, a potem z profesorem matematykiem, Hieronimem Giedziewiczem, który mnie lubił, że byłem pierwszym uczniem w jego czwartej klasie; po Mszy podawano nam w furcie klasztornej kawę z sucharkami. Ostatnimi tego klasztoru kapelanami byli Dominikanie: Wincenty Szostowicki i Widmont, przeniesieni później do klasztoru nieświeskiego. Dominikanki zaś przeniesione zostały do etatowego klasztoru Brygidek w Grodnie, będących najbogatszym klasztorem w całej prowincyi. Posiadały one kilka-

set chat włościan i kilkanaście folwarków. Fundatorka tego klasztoru była sama pierwszą ksienią, zdaje mi się Wolska¹. Przy tym kościele, prócz organów, na których grały same zakonnice, była stała muzyka mająca swój boczny chór.

W brygidzkiej kuchni gotowano codziennie obiad na 12 osób więcej, aniżeli na miejscową potrzebę, dla ubogich; wolno było każdemu, mającemu świadectwo ubóstwa, do przeznaczonego na ten cel refektarza przyjść i do stołu usiąść. Z folwarków do klasztoru należących, każdego miesiąca przychodził nowy transport różnego rodzaju produktów; pozostałe reszty z przeszłego miesiąca rozdawano ubogim. Ostatnim plenipotentem i komisarzem dóbr brygidzkich był Paweł Miłaszewski, który po kilkunastoletniej administracyi temi majątkami, kupił w Słonimskim znaczne dobra Bliznę i w dodatku odemnie majątek Jagnieszycę. Nie wiem, jak Dominikanki nowogrodzkie urządziły się przy złączeniu z Brygidkami grodzieńskimi w jednym klasztorze, będąc innych reguł. Brygidki nie powinny były zgodnie i przyjemnie śpiewać; jeśliby głosy przychodziły do harmonii i zgody, to jedna z nich, nazywana turbatorką chóru, obowiązana była swoim odezwaniam się głosy ich pomieszać. Przeciwnie, Dominikanki starały się, o ile można, śpiewać uczenie i harmonijnie; w rzeczy samej, siostry rodzone, panny Roguskie, córki obywatela mohilewskiej gubernii wraz z innemi, prześlicznie śpiewały. W tym klasztorze miałem moją rodzoną siostrzenicę Zofię, w zakonie Karolinę Pawłowiczównę, z pięknym także głosem. Dominikanki odznaczały się wyższem wychowaniem i naukami; prawie wszystkie posiadały obce języki, szczególnie francuski i niemiecki; utrzymywały pensyę panien, grały na fortepianie, dwie starsze córki moje brały u nich edukację. Były tam zakonnice z arystokracji: dwie córki marszałka guberskiego mohilewskiego, Korsakówny; córka rosyjskiego admirała, Koźleinów; siostra rybskiego gubernatora, Antonina Walenrodówna.

¹ Autor się myli; założycielką była w r. 1643 Aleksandra z Sobieszyna Wiesiołowska, marszałkowa W. Ks. L. Klasztor utrzymywał dwa szpitale dla ubogich: w Krzenicy i Szydłowicy oraz 30 panien świeckich bezposażnych („Encyklop. Orgelbranda“).

(Przyp. K. K.).

Kiedy z powodu wojny francuskiej w r. 1812 i zamknięcia Uniwersytetu wileńskiego, zmuszony byłem z drugiego kursu nauk przyrodzonych powrócić do domu; ojciec mój, abym bez zajęcia czasu nie marnował, prosił najstarszego z Haciskich, Tadeusza, krewnego naszego, wówczas pisarza ziemskiego nowogrodzkiego, a potem prezydenta tegoż sądu, aby mnie ośmnastoletniego, przyjął do kancelaryi pod swoją opiekę i zwierzchnictwo. Nie długo byłem kancelarzystą; w kilka miesięcy awansował mnie na namiestnika czyli zastępcę regenta aktowego. We dwa lata później czyli 1814 r., dał list kredensyjny na regenta dekretowego. Wojna się przeciągała, uniwersytetu nie otwierano, więc stosownie do woli ojca mojego, zostałem nadal w kancelaryi sądu ziemskiego nowogrodzkiego. Szczęściem, Bóg dał mi dobrego, w osobie Tadeusza Haciskiego, nauczyciela, biegłego w nauce prawa, człowieka poczciwego i sprawiedliwego, który był od wszystkich obywateli lubiony i poważany. Wszystkie artykuły Statutu litewskiego i późniejszych konstytucyj sejmowych, Haciski cytował z pamięci najtrafniej.

Podług tego Statutu dokumenta sądowe pisały się w dwóch egzemplarzach; jeden ręką urzędnika, drugi regenta, w osobnych, przesnurowanych i opieczętowanych księgach. Najczęściej regent dyktował głośno urzędnikowi, on zaś znając nieudolność jeszcze moją, przyjął na siebie obowiązek dyktowania, a mnie porучzył pisanie do drugiej księgi i promulgowanie w Izbie otwartej sądowych rezolucyj.

Tak aplikując przez półtora roku, zostałem dobrym regentem; jakoż na drugie trzećlecie, za prezydencji tegoż Tadeusza Haciskiego, sam już pisałem i urzędnikowi dyktowałem na drugi egzemplarz dekreta. Na następujących zaś trzyletnich wyborach czyli sejmikach, składających się z obywateli nie mniej niż ośmiodymowych (posiadających ośm chat poddanych), których liczyło się przeszło trzystu pięćdziesięciu w grudniu 1820 r., wybrany zostałem na pisarza ziemskiego, w dwudziestym szóstym roku życia mojego, znaczną większością głosów, pomimo sześciu kandydatów starających się o ten urząd, a pomiędzy nimi znanych już uprzednio prawników. To moje powodzenie w pierwszych sejmikach zawdzięczam mojemu dobremu nauczycielowi prawa

i protektorowi, prezydentowi Haciskiemu, który raczył przemówić do zgromadzenia w pochlebnych o mnie wyrazach; ile możności więc starałem się usprawiedliwić jego o mnie atestacyę i utwierdzić położone we mnie zaufanie współobywateli.

Prezydent Haciski dwukrotnie był żonaty; naprzód z panną Ludwiką, córką Franciszka i Anny z Zawiszów Jodków, posiadaczy majątku Mołodeczna, później z panną Maryą Wolską; zostawił syna Władysława. W podeszłym już wieku zamieszkał w swoim dziedzicznym majątku Miratycze, w powiecie nowogrodzkim, i tam w maju 1831 roku umarł; pochowany w Wólwie przy kościele ks. Dominikanów, niedaleko jeziora Świtezi, znanego z ballady Mickiewicza. Przy pogrzebie kapelan Panien Dominikanek nowogrodzkich, ks. Wincenty Szostowski, uczył go piękną, pochlebną mową.

Wszystko, czego się w zawodzie prawnym nauczyłem, czem byłem i co wysłużyłem, jemu obowiązany jestem; łatwo mi było za nim postępować, mając w osobie jego doskonały wzór światła i szlachetności.

Po zatwierdzeniu przez generał-gubernatora wileńskiego wyborów i objęciu urzędu pisarza sądowego, zająłem się urządzeniem kancelaryi; już sam stanowiłem i kredensowałem regentów; aktowymi: Karola Jabłońskiego i Józefa Płońskiego, a na dekretych: Konstantego Haciskiego, który w kilka lat potem, już jako pisarz sądu grodzkiego nowogrodzkiego, ożeniwszy się z młodszą siostrą żony mojej, Kamillą Pilecką, został moim szwagrem. Na drugiego dekretowego regenta, naznaczyłem Juliana Mazurkiewicza; ten po przesłużeniu dwóch lat, za atestacyą moją przeniósł się na służbę do kancelaryi rządzącego Senatu i w r. 1841 w styczniu, pierwszy, ekstrakcją, trzeciego dnia po podpisaniu, przysłał mi do Nowogródka kopię najwyższego ukazu, danego rządzącemu Senatowi, o utwierdzeniu mnie przez cesarza Mikołaja I. w urzędzie prezesa sądu cywilnego gubernii grodzieńskiej. Trzecim regentem dekretowym instalowałem Ignacego Zaborzkiego, który po trzech *trienniach* (trzechleciach), i po wybraniu mnie na czwarte sędzią, za mojem staraniem zajął miejsce pisarza ziemskiego.

Po przyłączeniu Litwy do państwa Rosyjskiego, pisarz ziemski nowogrodzki wiele stracił na swej powadze, bo uprzednio za Rzeczpospolitą, kiedy Trybunał litewski przenosił się z Wilna do Nowogródka, pisarz ziemski tutejszy, pełnił obowiązki pisarza Trybunału litewskiego, i utrzymywał wszystkie akta i archiwę; pisarz zaś trybunalski wileński mianował się pisarzem Wielkiego Księstwa Litewskiego; takim był w r. 1794 Jerzy Białopiotrowicz, dziedzic majątku Brecianki. Następca mój, Zaborski, był ostatnim pisarzem nowogrodzkim, bo w r. 1833 nastąpiła wielka reforma w sądownictwie litewskim. Przedrukowano Statut litewski w dwóch językach: polskim i rosyjskim; urzędnicy zostali przemianowani; skasowano sądy grodzkie, które dotąd zajmowały się sądzeniem spraw kryminalnych; na ich miejsce dodano do sądów powiatowych po jednym zasiadającym od stanu kupieckiego, przez rząd naznaczonym. Pisarza i regentów zastąpiono sekretarzami i stołonaczelnikiem.

Za Statutu litewskiego odbywały się sądy głośne, adwokaci objaśniali sprawy przed sądem w otwartej Izbie nietylko dla osób interesowanych, ale i dla publiczności. Nowogródek zawsze szczycił się pocziwymi i rozzumnymi adwokatami; w młodości mojej znałem trzech weteranów z czasów trybunalskich: Mikołaja Mickiewicza, ojca naszego poety Adama, Macieja Wołka i Jana Patrykowskiego; a po nich równie odznaczających się: Tadeusza Haciskiego, potem pisarza, następnie prezydenta sądu powiatowego; Antoniego Szpichalskiego i Stefana Pawłowicza, potem sędziego granicznego, później szwagra mego ¹.

Adwokaci przysięgali na ten obowiązek; uprzednio, do r. 1810 liczba ich nie była ograniczoną; w tym czasie naznaczono po dziesięciu w powiecie, z oddaniem ich pod kontrolę sądu. Przynosili objaśnienia spraw na piśmie, niekiedy w kilku egzemplarzach dla rozdania urzędnikom, a w większych i ważniejszych sprawach objaśnienia czyli głosy były drukowane i rozdawane nietylko urzędnikom, ale i obcym osobom. Ja znajduję,

¹ Żonaty był z siostrą autora, Antoniną.

że ten rodzaj procesu jest najtrafniejszy i dogodny tak dla stron, jak i dla sędziów; bo sędzia najobojętniejszy na opinię, idąc pod sąd publiczności, będzie się starał być sprawiedliwym, tem bardziej, gdy na urząd swój z wyborów współobywateli jest powołanym; publiczność zaś znając dostatecznie sprawę, nie dozwoli przegrywającej stronie pomawiać urząd o niesprawiedliwość, znajdzie się bowiem w niej obrońca, który ujmie się za niewinnych. W procesach zamkniętych uchodzi to bezkarnie; ja sam tego doświadczyłem będąc po reformie prezydentem sądu powiatowego; byli tacy, którzy po przegranej sprawie nie poszli ze skargą o poprawę wyroku do wyższej instancyi, poprzestając na dekrete, a jednak starali się mi szkodzić w sześcioletnich gubernialnych sejmikach 1834 roku. Lecz to się im nie udało; wybrany zostałem kandydatem do liczby asesorów departamentowych i potwierdzony w urzędzie asesora Izby kryminalnej grodzieńskiej. Na tem miejscu dałem się poznać bliżej obywatelstwu gubernii i dlatego umyśliłem starać się o posadę prezesa Izby cywilnej; jakoż, nie zawiodłem się, bo najwięcej otrzymałem obieralnych wotów, między pięciu kandydatami, na wyborach 1841 roku. Na drugie zaś sześć lat również wybrany większością głosów, potwierdzony zostałem w urzędzie w r. 1856, i służyłem więcej niż sześć lat, bo aż do roku 1863. Ostatnim też byłem prezydentem z wyborów. W roku 1864 nastąpiła zupełna znowu reforma w ministerjum sprawiedliwości; wznowiono sądy głośne, wrócono regentów czyli notaryuszów i adwokatów.

Pisząc uprzednio o dawnych sądach powiatowych ziemskich i grodzkich, zapomniałem dodać, że rząd na utrzymanie tych sądów żadnego nie ponosił kosztu, jak to dzisiaj się dzieje; urzędnicy z miejscowych obywateli, posiadaczy ziemskich majątków, nie potrzebowali pensyi, utrzymywali się swoim kosztem, a tylko pobierali statutowe kopy od prawujących się stron. Od każdego punktu dekretu stanowiącego decyzję po jednej kopie, czyli po sześćdziesiąt groszy. Do obliczenia takowych był osobny przysięgły urzędnik, suk kolektorem zwany, którego obowiązkiem było nie tylko obliczyć, ale od osób prawujących się lub ich adwokatów wyegzekwować i między

urzędników rozdzielić. Tak małe wynagrodzenie nie pokrywało kadencji; pisarz do kop nie należał, wtenczas tylko pobierał, jeżeli był trzecim w komplecie; miał on osobne wynagrodzenie podług statutu; od każdego wypisu z księgi aktoratowej pobierał po grzywnie, to jest po dwadzieścia groszy, od każdego pozwu po złotemu, czyli pół kopy; od kopii dokumentu zaświadczonej przez regenta także samo po złotemu, a za pracę pisania dekretów pobierał wynagrodzenie podług obszerności i ważności z samej uwagi strony wygrywającej lub jej adwokata. Regent aktowy miał dochód prawem naznaczony: od pozwu i kopii dokumentów po kopie, czyli po dwa złote, a regenci dekretowi mieli dochód od dekretów przez nich pisanych, również podług wielkości i ważności sprawy, przez osoby prawujące się opłacanych. Nawet kancelarzyści i kopiści mieli prawem oznaczoną nagrodę od każdego napisanego arkusza, mającego na każdej stronie po trzydzieści wierszy, od jednego złotego do dwóch, stosownie do czystości, czytelności i piękności pisania. Również urzędnicy sądu grodzkiego nie pobierali żadnej ze skarbu pensyi, jako obywatele lub ich synowie, mający własne posiadłości; utrzymywali się swoim kosztem, mieli tylko mały dochód z kop, podobnie jak sędziowie sądu ziemskiego, bo rozsądzały oprócz spraw kryminalnych, za pozwami również sprawy uczynkowe o różne krzywdy osobiste, o niezapłacenie długów za obligami, o napady, wiołencye, wyrzucie z posiadłości i t. p., prędkiego sądzenia i egzekucyi potrzebujące. Kancelarye utrzymywały się, tak jak sądów ziemskich, z pozwów, aktoratów, z zajawienia w aktach obligów, kontraktów i umów a także wydawania zaświadczonych kopij z dokumentów. Urzędnicy obu tych sądów nie byli obowiązani do ciągłego zasiadania; mieli naznaczone termina czyli kadencye. Tak sąd ziemski miał trzy kadencye: jedna nazywała się Ś-to Króleńska, zaczynająca się od d. 7 stycznia a ciągnąca się do 20 lutego; druga Ś-to Trójecka, od 1 czerwca do 16 lipca; trzecia zaś od 1 października do 16 listopada. Sąd grodzki miał cztery kadencye, każda po jednym miesiącu: marzec, maj, wrzesień i grudzień do dnia 23.

Po każdej kadencji zapisywały się w pełnym komplecie

adnotacye po księgach aktowych i dekretowych, z oznaczeniem urzędnika dyżurnego, którym pospolicie był pisarz dla dozoru nad służącymi w kancelaryi, dla przyjmowania, rezolwowania i odsyłania papierów niepotrzebujących sądowego kompletu. Gdy zaś urzędnikami byli obywatele ziemscy, którzy potrzebowali być obecni w domu dla dozoru siejby i zbioru zboża z pól, przeto dwa miesiące: kwiecień i sierpień, wyłączone były od sądowego zasiadania jako wakacyjne. W każdym powiecie pobudowane były kosztem współobywateli osobne domy dla sądów, kancelaryj i archiwów, a w mieście Nowogródka jako wojewódzkim, znajdowały się dwa obszerne murowane na zamku domy dla pomieszczenia sądowej i ustępowej sali, kancelaryi z aplikującymi się i archiwami.

Z tego wszystkiego co się tu o sądownictwie litewskiem powiedziało, przekonać się można, że rząd na utrzymanie sądów żadnych wydatków nie miał, lecz przeciwnie, znaczny przychód; bo gdy dawniej za rządu polskiego nawet stemplowego papieru nie było, teraz wszystko powinno było pisać się w sądzie na herbowym czyli stemplowym papierze, a jeżeli co w potrzebie pisało się na prostym, to po cenie stemplowego pobierała się opłata, papier zaś co kilka albo kilkanaście lat podwyższał się w cenie; prócz tego od każdego pozwu i od wydanych kopij dokumentów płacono po 52¹/₂ kopiejek, od każdego wpisu aktorowego przy rozpoczęciu sprawy po sześć rubli, od każdego aktu nadającego posesyę dożywotnią, zastawną lub arendowną, a także od kontraktów, testamentów i praw wieczystych, *poszlin* (opłat) pod nazwaniem stronicznych po dziesięć rubli, i osobno od praw przedaźnych i od testamentów zapisujących nieruchomą własność, mimo bliższych sukcesorów, dalszym lub obcym osobom, opłat czteroprocentowych od całej szacunkowej sumy. Co miesiąc po kilka a niekiedy i po kilkanaście tysięcy rubli, zwłaszcza po kontraktach nowogrodzkich ¹ do *kaznaczejstwa* (kasy powiatu) odsyłano. Mnie się zdaje, że dawny porządek sądownictwa

¹ Sławne i liczne kontrakty czyli zjazdy odbywały się w Nowogródku corocznie w marcu.

litewskiego był dla skarbu korzystniejszym i pożądanyszym aniżeli teraźniejszy; bo żadnych wydatków ze skarbu nie wymagał, ale przeciwnie znaczny dochód dawał. Po skasowaniu d. 9 września 1843 r. w zupełności Statutu litewskiego w tych guberniach, gdzie był prawem zasadniczem, jako to: litewskie — wileńska, kowieńska, grodzieńska i mińska; białoruskie — mohilewska i witebska; małopolskie — kijowska, wołyńska i podolska, oraz czernihowska, połtawska i charkowska, i po rozciągnięciu praw wielkorosyjskich, w lat dwadzieścia później wprowadzono na sposób zagraniczny sądy głośne, skutkiem tego wrócili się adwokaci i regenci pod nowem nazwaniem notaryuszów.

Porządek i rygor w naszym dawnem sądownictwie bardzo był przestrzegany. Kiedy w młodości mojej mieszkałem w kancelaryi sądu ziemskiego, w czasie pełnienia obowiązku naprzód pomocnika aktowego, potem dekretowego regenta, chodziłem z moimi kolegami o godzinie szóstej z rana na Mszę św. do kościoła księży Bazylianów, gdzie po wysłuchaniu Mszy i odśpiewaniu jej przy pomocy organów w słowiańskim języku a w polskim suplikacyi i psalmu: „Bóg naszą ucieczką“, rozchodziliśmy się na herbatę lub mleko, a przed ósmą godziną jak żołnierze, powracaliśmy do kancelaryi na swoje miejsca. Karność u nas była największa, za przewinienie jakiegokolwiek lub nieposłuszeństwo dawano srogą wymówkę wobec wszystkich; za drugie — sroższe, wydalenie z kancelaryi. Ja będąc dekretowym regentem — krok jeden do pisaryi — obowiązany byłem słuchać pisarza, póki nie siadłem w sądzie na jego krzesło. Nie mogę przenieść na siebie, abym nie wspomniał choć tych tylko kolegów, z którymi byłem w bliższych stosunkach, w ściślejszej i trwalszej przyjaźni. Naprzód Józef Płoński, dymisyonowany podoficer 19 pułku ułanów polskich, regent aktowy ziemski, po reformie sądowej sekretarz powiatowego sądu, syn Wawrzyńca Płońskiego, dziedzica folwarku Pucewicze, blisko Nowogródka położonego. Kazimierz Karpowicz, adwokat, potem sędzia graniczny, dziedzic Cząbrowa. Konstanty Haciski, naprzód regent ziemski, potem pisarz sądu grodzkiego, żonaty z młodszą siostrą żony mojej Kamillą Pilecką, dziedzic majątku Haciszcz. Ignacy Zaborski, pierwszej regent, po-

tem następcą mój, ostatni pisarz ziemski z wyborów, dziedzic majątku Dobrypol, niedaleko miasteczka Turca; zostawił dwie przyrodnie siostry Terajewiczówny, starsza za Stanisławem Mickiewiczem, młodsza za b. profesorem Uniwersytetu Charkowskiego, radcą stanu Aleksandrem Mickiewiczem bratem młodszym Adama, poety. Floryan Bochwic, dziedzic majątku Gosławszczyzny. Leopold Soroka, pięknie grał na skrzypcach, ja mu wtórowałem na gitarze. Feliks Jachniewicz z Wołynia, krewny marszałka Korbutta. Tadeusz Rewieński, obywatel z Oszmiańskiego. Józef Bulhak ze Słuczczyzny i Jan Rogalewicz, dziedzic Osmołowa, niedaleko majątku Pietrewicz, moich synowców, dzieci brata stryjecznego Rafała; oraz Ludwik Krzywobłocki, obywatel ze Słuckiego.

Po wojnie prusko-francuskiej w r. 1807 i po konferencji cesarza Aleksandra I. z Napoleonem I. na rzece Niemnie, przyłączono do Rosyi część województwa Podlaskiego z pod panowania Prus, pod nazwaniem obwodu Białostockiego, gdzie Niemcy przez lat dziesięć ostatnich wiele fabryk pozakładali.

W cztery lata później pomimo tych traktatów zapowiadano już wojnę między Francją i Rosją. Przez cały rok 1811 mówiono o tem wszędzie ze strachem a wiele się do tej trwogi przyczyniała duża kometa z wielkim i szerokim ogonem, w tym bardzo upalnym roku, która trwała przez całe lato do października.

Tegoż samego roku przyjechałem z Wilna na wakacye do Hordziłówki; znalazłem samego tylko ojca; rad był bardzo, że moje egzamina, pomimo dwumiesięcznej mojej choroby, dobrze poszły. Zaraz mi też powiedział: „nie wiem czy ja ciebie na przyszły rok pošlę do Uniwersytetu, bo na wielką zanosí się wojnę“.

Z początkiem 1812 r. znaczny był ruch wojska; ze środka Rosyi szły pułki nad granicę, sam cesarz w maju z całym generalnym sztabem przybył do Wilna, gdzie zebrała się cała arystokracja litewska, lękając się podczas wojny mieszkać na wsi. Przypadła wówczas jakoś dworska feta, dawano więc dla

cesarza wielki bal na Zakrecie, a że tamtejszy pałac nie miał obszernej sali, proszono profesora architektury Uniwersytetu Wileńskiego, Niszkowskiego, o postawienie obszernej sali w dolinie nad Wilią; mówiono, że w półtora tygodnia stanęła wielka i piękna budowla, prędko wprowadzie postawiona, ale prędej jeszcze upadła, bo jedni powiadali, że na dzień, a drudzy, że na kilka godzin tylko przed balem; specyalny zaś architekt tejże godziny zniknął, wnoszono, że musiał się z irytacji i wstydu utopić. Bal więc był w sali pałacowej. Cesarz był w dobrym humorze i wesół, tańczył z niektórymi damami, rozmawiał po polsku i po francusku. Po kolacyi, około godziny trzeciej przyjechał kuryer z depeszą do cesarza z Kowna, po przeczytaniu której cesarz na humorze nic nie stracił, tylko trochę spoważniał, kilka razy przeszedł się po sali i niepostrzeżenie wyszedł; wkrótce potem i cały generalitet się rozszedł; mówiono, że przez resztę nocy i nazajutrz wyjeżdżali.

Na drugi dzień wieczorem pojawiła się w Wilnie awangarda francuska, a na czele jej pułk ułanów polskich pod komendą księcia Dominika Radziwiłła, z całą dywizją kawalerii polskiej, to jest: pułk szaserów i dwa pułki huzarów. Mieszkańcom Litwy bardzo niepodobały się i zaniepokoiły słowa Napoleona wyrzeczone w Kownie, w czasie przeprawy przez Niemien: teraz wступujemy na ziemię nieprzyjacielską. Niezrażając się tem jednak, za przybyciem cesarza Napoleona z główną armią do Wilna, delegacya złożona z Tomasz Wawrzeckiego, księcia Ksawerego Lubieckiego, Wojciecha Pusłowskiego, Antoniego Lachnickiego i Łopacińskiego, powitała go w imieniu mieszkańców; ale ich cesarz francuski przyjął obojętnie, co bardzo oziębiło Litwinów.

Wojska Napoleona wchodziły trzema kolumnami: główna armia pod dowództwem samego cesarza, przez Kowno, Wilno, Mińsk, Smoleńsk; druga kolumna: wojska polskie i westfalskie pod komendą brata cesarskiego Hieronima, króla westfalskiego, przez Grodno, Lidę, Nowogródek do Mińska; trzecia: wojska niemieckie, to jest, Sasy, Bawarczycy, Prusacy i Austriacy z Węgrami przez Brześć. Wszystkie trzy kolumny przez granicę je-

dnego dnia przechodziły. W Grodnie i okolicach jego, przed wejściem wojsk sprzymierzonych kwaterował korpus generała Bagrationa; za zbliżeniem się wojsk pod komendą króla westfalskiego będących, generał Bagration nagle i pospiesznie rejterował się przez Nowogródek, dla połączenia się w Mińsku z główną armią, która rejterowała się z Wilna. Król westfalski wstąpiwszy do Grodna, cały tydzień tam balował, chociaż miał polecenie, aby uprzedził w Mińsku Napoleona i przeciał rejteradę głównej armii rosyjskiej.

Jak tylko doszła wiadomość, że wojska Księstwa Warszawskiego zajęły Grodno, matka moja z córkami przeniosła się do klasztoru panien Dominikanek nowogrodzkich, a ja z kancelaryi do Hordziłówki, gdzie ojciec pozostał. Pojazd matki na pocztowej drodze ledwo mógł rozminąć się z różnego rodzaju pojazdami urzędników jadących z Grodna, Lidy, Nowogródka do południowych małosyjskich gubernij: czernihowskiej i połtawskiej; było to późnym wieczorem. Nazajutrz rano, ojciec dał mnie przewodnika i wyprawił do miasta na zwiady; posłaliśmy krótszą drogą, przez las, manowcami, omijając miasto, na zamek do kancelaryi. Ledwo weszliśmy na górę, obejrzawszy się na pocztową mińską drogę, spostrzegłem, jak trzech kozaków odłączyło się od komendy i zawrócili się na drogę do Hordziłówki; pomyślałem zaraz, że oni tam pewno nie na spacer pojechali. W Nowogródku na ulicach widziałem samych tylko Żydów i żołnierzy maruderów; etatowi urzędnicy wyjechali byli do miasta Niżyna w połtawskiej gubernii, a wyborowi wynieśli się do swoich majątków; mieszczanie kryli się po domach. Dowiedziałem się, że już przednie stráže Polaków są za Niemnem, w Lidzie; z tą wiadomością wróciłem się do ojca. Po odraportowaniu jej, powiedział mi ojciec, że byli tu kozacy, zabrali moją srebrną tabakierkę, parę butów i trzy konie z bryką wielką furmańską, oraz z całą uprzężą, i pojechali na drogę horodeczniańską. Pokazało się później, że to byli kwatermistrze wojska kozackiego, bo tegoż dnia wieczorem, po zachodzie słońca i przez całą noc przechodził tą samą drogą cały korpus generała Płatowa, liczący 20 tysięcy kozaków, a za nimi artylerya, podobno 24 ar-

maty z powózkami prochu, po dwie za każdą armatą. Przy pierwszym ukazaniu się kozaków skryłem się w ogrodzie do konopi; rozumiałem, że na krótko; później chciałem przebrać się do większej fortecy, to jest do lasu, lecz nie mogłem, bo wojsko przecięło mnie drogę. Musiałem czekać nim ustanie tętent koni, stuk kół i brzęk pałaszy, aż do wschodu słońca. Kiedy wyszedłem z mojej kryjówki, zastałem już ojca w domu; zastanawialiśmy się nad tem, co za przyczyna była omijać drogę pocztową, a małemi drózkami, miedzami a nawet po czarnem polu prowadzić armaty; wypadło z różnych wniosków, że z powodu naglej rejterady, ażeby pułki nie ścisnęły się, zostawiono pocztową drogę dla wojsk regularnych, a kozaków zwrócono na mniejsze drogi. Aleśmy się bardzo omylili, gdyż jak później się okazało, był to manewr tylko, a kozacy przechodzili do większych lasów na zasadzkę.

Po niedługim odpoczynku, o godzinie siódmej wysłał mnie ojciec ze starym i wiernym sługą Cypryanem (który w podobnych wycieczkach ojcu memu w r. 1794 asystował), do miasta dowiedzieć się, co tam słychać? Ledwo minęliśmy gaj, obaczyliśmy pikietę na wzgórku, przy naszej drodze stojącą. Podchodzimy bliżej; był to ułan z laną i chorągiewką; kiedyśmy się z nim zrównali, on pierwszy odezwał się: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“. Odpowiedzieliśmy: „na wieki wieków“. Miałem wtedy lat 17, jeszcze takiego pozdrowienia z ust żołnierza w moim rodzimym języku nigdy nie słyszał; bardzo się ucieszyłem i wielką miałem przyjemność, bo z tego już miejsca widziałem przy Mendogowej górze biwakujących polskich ułanów i przybyłych z miasta mieszkańców, którzy ich traktowali. Niedługo tu zabawiwszy, poszedłem do miasta dla widzenia się i ucieszenia ze znajomymi. Po przejściu kawaleryi poczęły przechodzić pułki piechotne polskie, każdy przez miasto z muzyką, pułk za pułkiem przez kilka godzin. Głównodowodzący wojskiem, ksiązę Józef Poniatowski, zatrzymał się przy samem mieście na kwaterze w folwarku metropolii, a w naszym folwarku nad rzeką Białowieczą rozłożyły się trzy dywizye, zajmując trzy dominia. W majątku Sielcu do plebanii nowogrodzkiej należącym,

generał Zajączek; w Hordziłówce u mego ojca, generał Dąbrowski, legionista; w Horodecznej, Ablamowiczów, generał Fiszer.

Wieczorem tegoż dnia, kiedy generał Dąbrowski z moim ojcem siedzieli na balkoniku i rozmawiali, przybył adjutant księcia Poniatowskiego z doniesieniem, „że była dziś z rana potyczka około Mira, że kilkanaście tysięcy kozaków z armatami z zasadzki w lesie z obu stron drogi napadło; pierwsze dwa pułki wiele ucierpiały, ale jak się odezwały nasze armaty, kozacy zaraz ustąpili“. Zaczął ten oficer wyliczać zabitych i rannych. Generał nie dał mu dokończyć, bo kilka osób jeszcze było przy tem obecnych; powiedział: „odprowadź pan konia do stajni“, a obróciwszy się do ojca, rzekł: „ten trzpiot Rożniecki głupstwa gada!“ Domyśliłem się wówczas, do czego ten nocny marsz kozacki posłużył. Późnym wieczorem rozkazał Dąbrowski przynieść dwa kule (snopy) słomy, w pierwszym pokoju na ziemi posłać, dywanikiem przykryć, wziął poduszkę skórzaną pod głowę, płaszczem swoim się nakrył i tak przenocował. To było w dzień św. Jana, podług starego kalendarza. Ledwo na brzask zanosilo się, wyszedł i kazał dobozowi na balkonie nocującemu zabębnić, zaraz po całej linii odezwały się bębny a nie wyszło godziny, ani jeden żołnierz nie został. Ponieważ generał Dąbrowski ostrzegał mego ojca, że ma zaraz nadejść korpus westfalski, zajmujący się rabunkiem, i radził co kosztowniejszego przechować, więc choć się pierwaj skryło co można, teraz jeszcze opróżniono stajnie, wozownie, oborę i spichlerz, przeprowadzając wszystko do lasu.

Tegoż dnia o dwunastej godzinie, przybył korpus westfalski i zajął toż samo obozowisko, zaraz też Westfalczycy rozpełzli się po wszystkich kątach; wszystko było dla nich otwarte, co tylko znaleźli do zjedzenia, nie porzucili, u dworskich ludzi nawet ani kawałeczka chleba nie zostało i przygotowane do pieczenia w dzieżach ciasto zabrali. Ja skorzystałem z ostrzeżenia generała Dąbrowskiego i wcześniej, na wszelki przypadek, zrobiłem sobie zapas w ogrodowym, gęstym, strzyżonym szpalerze, gdzie schowałem bułeczkę chleba i kawałek wędliny; tem ży-

łem przez półtora dnia, a noc przebyłem w koczach przewiezionym do lasu.

Król westfalski stanął w Nowogrodku, na kwaterze ustąpionej przez marszałka Rdultowskiego, w pałacu niegdyś Radziwiłłowskim, przedanym kupcom Fiszerom. Zaraz po przybyciu, poszedł do kąpieli z wina francuskiego zrobionej. Potem był wielki obiad przygotowany przez marszałka, jako gospodarza, dla króla, jego dworu i oficerów wyższych rang; mówiono, że na trzysta osób, wszystko na srebrze, porcelanie i na wyborowej bieliźnie. Dwór króla, zaraz po obiedzie całe stołowe nakrycie zapakował i na furgony oddał. Niedarmo Napoleon powiedział przeprawiwszy się przez Niemen: „jesteśmy teraz na ziemi nieprzyjacielskiej“.

(Dok. nast.).

Kajetan Kraszewski.



TOMASZ OLIZAROWSKI.

(Dokończenie).

IV.

Pobył w Paryżu — jak wiemy — nie przyniósł Olizarowskiemu spokoju. Istniały tam jeszcze resztki stosunków dawnych; stosunków, sięgających czasów szkolnych, te mu były zawsze miłe. Poza niemi do serdeczniejszych i bliższych jego znajomości zaliczali się w owej epoce: Seweryn Goszczyński, Bohdan Zaleski, Mickiewicz. Dla pierwszego dużo miał miłości, dla ostatniego — czci, dla wszystkich — przyjaźni. Wszakże, jako charakter w sobie zamknięty, od wszystkich zdala się trzymał. Goszczyńskiego do pracy na polu poezyi zachęca, pisze dla niego „Wieszcze *desiderium*“, w którym woła, by się zbudził do pieśni, by przerwał milczenie, a o struny lutni uderzył:

W przyszłość słów wieszczych wierzyć nie przestawaj,
Milczeniem słowom zarastać nie dawaj,
A jęcz, a wołaj, a krzycz w niebogłoso,
Jękiem i krzykiem zasiewaj niebiosy...

.....
Psalm twego życia jeszcze nieskończony,
Męcz się wołaniem, aż ci Bóg pozwoli
Złączyć się głosem z tym jasnym aniołem,
Co się unosząc wiecznie nad padołem,
Wciąż śpiewa: „Pokój ludziom dobrej woli...”

Wogóle, do obu poetów owej ukraińskiej grupy stosunek Olizarowskiego braterski, pełen miłości, ale też i szacunku za-

razem. Rzecz to charakterystyczna, iż ludzie owocześni, bez względu, czy posiadali większy bądź mniejszy talent, szanowali w innych pracę, uzdolnienie. Olizarowski do tej, zeszej już ze świata generacyi, należał. Goszczyński i Zaleski byli przedmiotem jego czei, stawał wobec nich na niższych szczeblach w Walhali tamtoczesnej poezyi. Oceniał doniosłość talentu swego, był, jak wskazaliśmy, drażliwy na obojętność lub lekceważenie tłumu, lecz braci w pieśni cenił wysoko: wypływało to z ogólnego usposobienia szanowania bodaj drobnej zasługi, wypływało z wychowania, które dla każdego nie było rzeczą obcą, wypływało wreszcie z ducha czasu, co był dalekim od deptania innych, by dla siebie wygodne i podniosłe zapewnić stanowisko.

Uczucie dla Mickiewicza jeszcze wyżej sięgało: była to cześć dla mistrza, cześć syna dla ojca. I ta cześć przetrwała lata, życie; z Olizarowskim zeszała do grobu. W ostatnich swego istnienia dniach uczęszcza na cmentarz, kryjący prochy wielkiego poety, tam trawi długie chwile, obcując z duchami, co go poprzedzili do krainy cieniów, tam kreśli wyrazy hołdu dla pamięci górującej postaci wielkiego mistrza...

Jakaż po tobie ogarnia tęsknota,
Gdzie ta kolumna gorejąca ducha,
Co szła przed nami w pustyni żywota?
Zapadła w ziemię, lecz jeszcze wybucha;
Jeszcze wybucha przed duszy oczyma,
I jeszcze przednią straż przed nami trzyma...

Dla dawnych swych profesorów zachowuje pamięć, miłość rzewną. W sędziwym już wieku, na kilka lat przed zgonem, goniąc myślą i wdzięczną pamięcią po mogiłnikach, które stały się ich ostatnią siedzibą, poświęca im wierszowane, łzą głębokiego smutku przesiąknięte wspomnienia:

Tak, o was dumam, mistrze me w nauce,
Ale dumaniem już tylko się smucę,
Już tylko widzę gdzieś tam wasze krzyże.
Mogiły wasze już z ziemią zrównane,
Trawy i zielska na nich już nieświeże,
A wszystko spolem milczeniem odziane;
Puszczczyk je przerwie lub wędrowne ptasze,
Gdy zbłądzi spocząć na mogiły wasze...

I rzeczywiście te mogły dziwnie szeroko po świecie się rozbiegły — prawie tak, jak mogły wdzięcznych uczniów — gdy powyższe strofy kreślił poeta, już z owych mistrzów prawie nikogo nie było... Zenowicz, Abłamowicz, Jakubowicz, Jarocki, Miechowicz, Korzeniowski, Uldyński, Hreczyna, legli w mogiłach, a Aleksander Mickiewicz dogorywał pod własną strzechą na Kobryńskich nizinach i szedł połączyć się z współpracownikami dawnego pedagogicznego trudu... Jednego tylko z owych swych „mistrzów w nauce“ Olizarowski spotkał był w życiu, i to raz tylko, — i to najmilszego, tego, co najbardziej w jego losach zaważył, Józefa Korzeniowskiego. Przed osiedleniem się ostatecznem w Paryżu, bawiąc czas dłuższy w Belgii, spotkał Korzeniowskiego, szukającego wypoczynku u wód; i tam dawny mistrz śnać w zbyt ponurem usposobieniu witał ulubionego niegdyś ucznia, gdyż do jego smutków dorzucił wyrazy i własnego najwyższego zwątpienia:

Nadejdzie wiosna, jej wonne tchnienie
 Serca przyjaciół ożywi,
 Miłości nada śmielsze wejrzenie:
 Szczęśliwsi będą szczęśliwi.
 Nadejdzie wiosna, rolnik o świecie
 Wesóło skibę odrzuci,
 A w łonie ziemi zbudzone życie
 Jesienny zasiew ocuci.
 Ale niejedna przeminie zima
 I coraz w nowej kolei,
 Nasz śnieg nie zginie, bo dla nas niema
 Ni wiosny, ani nadziei...

Niewieścia a prawdziwie obywatelska dłoń pani Seweryny z Żochowskich Duchinińskiej, która odszukała wśród pośmiertnej spuścizny Olizarowskiego ów wierszyk J. Korzeniowskiego, dodała w swem studyum, iż nigdy on nie opowiadał, najbliższym nawet, o wrażeniach spotkania, które budziło tyle wspomnień w duszy poety, zbolełej, przesiąklej łzami echa przeszłości... Tak w tym razie, jak w innych, jeśli w szatę rymu nie ubierze swych wrażeń, milczy, niby głaz.

Im głębiej posuwał się w lata, tem bardziej echa dawnych wspomnień budziły się w duszy przedwcześnie starzejącego się

i wypływały z głębin ducha w postaci dumeń niezwyklej rzeczywistości i prostoty. W pierwszych latach pobytu w Paryżu, ani stosunki, o których rzekliśmy, ani talent, ani praca nie ocalały go od prób ciężkich. „Opuszczenia obległ go chiński mur; nędza z rozpaczą wiodły spór“ o niego, a „rozpacz w swą toń ciągnęła“ — jak sam się wyraża... Na owe czasy, które były dniami, rozpoczynającemi drugą naszego stulecia połowę, przypada epoka kreślenia dramatów.

Wszedł on na to pole wcześniej; próby niektóre mniej udatne w głębinach teki pozostały, sam na zagładę je skazywał; ale w szóstym i siódmym dziesiątku lat naszego wieku występuje z kilku wyróżniającemi się pracami z tego zakresu. „Wincenty z Szamotuł“, to już utwór dramatyczny większych rozmiarów, a opracowania nadzwyczaj starannego. Poeta przemawia językiem niepospolitej siły, postacie życia mają wiele i są takimi, jakimi dzieje je znały.

Wincenty z Szamotuł, naczelną postać dramatu, możnowładca, pracujący nad podniesieniem własnego *ja*, postać widziana w dziejach często. Samolub, pyszałek, dla dogodzenia prywacie, która go zbyt daleko unosi, wchodzi na gościniec zdrady. Opiekunichym duchem pysznego starca — córka, Bożenna, chroni go od ostatecznego upadku, ale jej środki małe i czas upływa, a zdrada dojrzewa. Wojewoda śle do Krzyżaków w tajemnem poselstwie młodego rycerza, Ładona. Bożenna namawia owego posła, aby, zamiast do Krzyżaków, pojechał do Króla, który był zarazem jej chrzestnym ojcem, prosząc o przebaczenie dla wojewody. Ładon kocha Bożennę; wojewoda obiecał mu córkę za żonę, w razie, gdy wywiąże się dobrze z poselstwa; wszakże nie nad dolną, ale nad górną Wisłę pojechał; nie przed Krzyżaki, lecz przed Królem sprawiał swe poselstwo.

Gdy Ładon opuszczał zamek wojewody, Bożenna rzekła mu na pożegnanie:

... Błagaj przebaczenia,
A ostrzeż Króla, że na kraju szkodę,
Niełaską swoją pana wojewodę
Zapędzi w rozpacz...

Tu wojewoda występuje jako typ, wyjęty z epoki dziejów późniejszych. Ojciec Bożenny bardziej przypomina naszych pyśzałków, swemi urazy gubiących przyszłość w XVII. w. — ba, i później — niż owych piastowskich rycerzy do niesforności niewdronionych jeszcze. Zbyt on uwzorowany na podobieństwo tych, co za dni Wazów wprawiali się do bruźdzenia i stawiania siebie ponad wszystko... Chce on wszakże być po swojemu cnotliwym. Zdaje mu się nawet, że jest nim. Rokując z Niemcami, odrzuca ponęty władzy z rąk Mistrza; od Niemców nic nie pragnie, jeno pomocy, by się mścić, mścić co najwięcej za swe urazy:

Jeśli pod Mistrza rozkazy się nagnę,
To nie dlatego, żeby mi tam łaski
Jakie świadczone, nakładano blaski
Swoje, niemieckie! Nie, nie o to chodzi!
Mistrz się omyli, jeśli działać zechce
Jakoby łaskawca, jakby mój dobrodziej!
Do spółki wzywam, tytuł mnie nie lechce;
Krom zemsty niema, niema innych dla mnie
Łask i tytułów.

Zawzięty w swym gniewie, wojewoda nie słucha prośb, rad córki, która trwożnie przysłuchuje się wszystkim serca uderzeniom zbrodniczego starca, pragnie być jego puklerzem, ocale niem, aby z pogróżek nie przeszedł do niecných czynów. Słów jej jednak ojciec nie słucha, i woła w swem zaślepieniu:

Zmilknij opętana!
Ja wiem, co czynię... Swojej pilnuj cnoty,
I swego serca. W doniczce lilija,
W komorze krośna, to twoje klejnoty:
Czepiec nie szyszak, igła nie kopija,
Kokosz nie kogut.

Bożenna mu odpowiada z nieustraszoną stałością:

I niewieście słuszna
O dobrą sławę dbać swojego rodu.

I gdy ojciec, zapominając o swej rodzicielskiej miłości, za drzwi ją wyrzuca, bo uczucie zemsty góruje w nim nade wszystko, głuchym i ślepym czyni na wszystko, ona biedna, z poza drzwi woła:

Umęcz mnie, panie ojcie, odbierz życie,
 Kleszczami wyrwij moją duszę ze mnie;
 Albo mnie w wieży zarygluj na zgniecie,
 Niech tylko głos mój nie przejdzie daremnie!
 Rzuć w przepaść zdradę: nie kończ hańby dzieła!

Modlitwa dziewczęcia, pełnego poświęcenia, snąć tu czyn-
 nikiem niemającym; uprosiła chwilę opamiętania; gdyż wojewoda,
 zatwardziały w złem, skoro dowiaduje się, że Król gotów mu
 przebaczyć, spieszy do stóp majestatu, oblewa je łzami, prosi
 o przebaczenie... Zanim nadeszła chwila ocknięcia się ze złych
 pomysłów, czynniki nieziemskie, wprowadzone do akcji dramatu
 w postaci duchów przodków, w postaci widma zbrodni, które
 najuporczywiej stoi przed okiem wojewody, wciąż chwieją szalą
 jego przekonañ: gdy bowiem duchy przodków grożą mu swem
 zagrobowem przekleństwem, duch nienawiści i pomsty, widmo,
 wylęte z jego własnej myśli, zachęca do spełnienia zbrodni...

Wojewoda, wyszedłszy na drogę opamiętania, myśli już
 tylko o zadośćuczynieniu za winy... Ciągnie więc z hufcem na
 pole Płowieckie, walczy z orężnymi mnichami, i przyczynia się
 do zwycięstwa królewskiego; a gdy krzyżackie roszczenia po-
 konanemi zostały, ów starzec, pyszny niedawno, oddając rękę
 córki Ładonowi, postanawia w pokucie, w pielgrzymkach do
 Ziemi świętej, szukać swych win zapomnienia, zagłady grzechów...

Tam ze swej duszy brzemień grzechów zrzucę,
 Tam zmartwychwstanę w mym wiecznym żywocie,
 Może pomyśleć da Bóg o powrocie,
 Może powrócę: jeśli nie powrócę,
 Wy tu mej duszy niebo otworzycie...

Tak mówi wojewoda, nie przeczuwając, że grom zagłady
 blizki: rzesza szlachecka, już wówczas butna a liczna, już w prze-
 wagę się wzbija, już w możnowładczą pierś grotem ciska, pra-
 gnąc na grobie Wincentego z Szamotuł, przedniejszego wśród
 możnowładców, ugruntować własną potęgę. Tłumy tej rzeszy
 odarte, bose, z torbami cisną się na zamek wojewody, niosąc
 zagładę. Z ich piersi brzmią dzikie zemsty okrzyki: „Król mu
 przebaczył, ale torby nasze nie przebaczyły“... Wojewoda pada
 pod ich ciosami.

„Wincenty z Szamotuł“, to pierwszy dramat o szerszym zakresie, który wyszedł z pod pióra Olizarowskiego; poprzedziły go drobne próby, a po nim następuje długi szereg jego dramatycznych utworów; liczą ich około trzydziestu. Ostatni dziesięć lat życia poety był kolebką najcelniejszych. Zanim przypatrzymy się paru pierwszorzędnym, rzućmy okiem na dziwnie uroczy obrazek dramatyczny, zaliczający się do wcześniejszych nieco kreacji; jego tytuł: „Omanki“. Język ludowy okolic, skąd pochodził poeta, nazwą tą określa „zludzenia“. „Omanki“ Olizarowskiego są więc górskimi rusalkami, duchami zaklętych dziewic. Autor zaludnił wyżyny tatrzańskie złudnemi cieniami nimf leśnych, które „płasają swobodnie“ z powiewem wietrzyków; króluje nad nimi Echna, zwołująca Omanki na narady. A przedmiot narad wagi wielkiej; królowa Kunegunda ma zamiar wśród dzikich kniei klasztor założyć; krzyż, jej dłonią dźwignięty, rozproszyć mógłby złudne cienie duchów niewieścich.

Polem narad Omanek, siedzibą istnienia leśnych rusalek, są wyżyny tatrzańskie, te mianowicie okolice Sądeczyczyny, gdzie wśród zgłiszcz zamku w Pieninach, na wybrzeżach górskich strumieni, w dolinach Dunajca i Popradu, pod strzechą wieśniaczą, przechowały się do dziś wspomnienia o królowej Kindze, wiążąc się w jedną całość z legendami o najściach Mongołów w XIII. stuleciu. Tam autor osadza swe „Omanki“, ale pomysł do ich wytworzenia brał z innych leśnych ostępów, nader dalekich od szczytów tatrzańskich; zapożyczył go ze wspomnień lat dziecińczych, ze swych młodocianych bujań po łąkach nadstyrzańskiego Peremyla, z którymi o miedzę, ku zachodowi, sąsiadują lasy bardzo starego wołyńskiego siola — Smolawy. Lasy smolawskie były widocznie jakimś prastarym odłamem puszczy wołyńsko-bełzkiej, odłamem wyjątkowo szczęśliwym, który do drugiej naszego wieku połowy zachowywał, jak nigdzie gdzieindziej, i nazwy uroczysk, i legendy ród swój wiodące od dni nader starej słowiańskiej doby. Tam, na „Białych ługach“, na „Ładowych kątach“, wyobraźnia ludu osadzała wielokroć „Omanki“, widma, mary nocne i mgławice, tak bardzo groźne dla spóźnionych wędrowców, dla samotnych pasterzy, dla chłopaków pil-

nujących koni na pastwiskach, jak groźnym był ten „olbrzym“ w „Omankach“, który ściga nieustannie jedną z leśnych boginek Olizarowskiego. Ściga ją wytrwale: „Przez parowy, przez potoki i przez góry... Krwawy, cheiwy i ponury... Z jego drogi wszystko znika“...

W późniejszych latach życia, Olizarowski nie wraca w pracach większych rozmiarów do swych rodzinnych okolic, a przynajmniej nie bierze ich za tło dla swych utworów. Obrazy ze wspomnień dzieciństwa, lub młodości wczesnej wysnute, oprawia w ramy późniejszych wrażeń. Tak uczynił i w „Omankach“. Z lasów wołyńskich legendę przeniósł do przepaści i parowów, otaczających zamek na Pieninach, wprowadzając do starych, pogańskich wierzeń pierwiastek chrześcijański, łagodzący grozę ciężkich przeznaczeń. Św. Kinga, której postać zaludnia góry Sądeczyczyny, jest w „Omankach“ owym pierwiastkiem chrześcijańskim, niosącym spokój, kojącym rozpaczne miotania się. Krzyż, wzniesiony dłonią świętej Królowej, nie rozprasza boginek leśnych, i nadal one pisać będą, ale te wśród nich, co są wcieleniem dusz chorych, w owym godle zbawienia znajdują skuteczne leki... Nawet „szalona“ bogińska, która zmysły straciła, bo ją ściga „olbrzym“, ten, co „po kawałku świat połyka, a zapija krwią i łzami“... przestaje być wcieleniem boleści bezbrzeżnej... skały przestają płakać „od jej żalów“, zmysły jej odzyskują dawne życie...; a inna traci swą moc zamieniania w kamień wszystkiego, na czem wzrok jej spocznie... Krzyż wszystko to czyni: moc jego łagodząca, ale nie sięgająca po zniszczenie tego, co przedtem istniało, spotykamy w chwili, zamykającej ten pełen bujnej, prawdziwie młodzieńczej fantazy obrazek.

Za dni lat dojrzałych i talentu, który do kresu najzupełniejszego rozkwitu dobiegał, kreśli Olizarowski cały cykl dramatycznych obrazów, przywiązując — i słusznie zresztą — niemałe znaczenie do tych większych kreacji ostatniego okresu swej twórczości. Krytyka, która już o istnieniu autora „Zaweruchy“ zapomniła, witała go z niedowierzaniem, z niechęcią. O dramatach jego lub nie pisano wcale, lub wyrażano się lekceważąco. Grabowski, który pierwszy oceniał prace młodego śpiewaka z nad

Ikwy, oddawna już legł w mogile; Tyszyński również już z pola krytyki schodził, a blizkim był pożegnania areny życia; młodsze pokolenie o Olizarowskim bardzo mało lub nie wiedziało, a tembardziej czuło się powołanem do lekceważenia dawnego romantyka, iż pozytywizm święcił wówczas właśnie swe tryumfy.

Ukazanie się na konkursie dramatycznym w Krakowie historycznych dramatów Olizarowskiego: „Rogniedy“, a później „Wincentego z Szamotuł“, przyniosło autorowi daleko więcej zgryzoty, niż laurów. „Rognieda“, bez względu na pierwszorzędne jej zalety, zaledwie zdołała zdobyć drugą nagrodę, a znany już nam nieco „Wincenty z Szamotuł“ wcale wieńca pierwszeństwa nie otrzymał.

Dla przedwcześnie znużonego życiem starca, który marzył, zdawało się, i słusznie, iż dramatyczne prace przypomną go światu i wytworzą trwałą podstawę dla jego pamięci — nadeszły jedynie niepowodzenia; ciosem one się stały niemałym. Znosił je wszakże z właściwą sobie rezygnacją, znosił upokorzenia, zacierające i tak dość niewyraźne głoski jego imienia, znosił ze spokojem nowe uderzenia młota przeznaczeń, czekał cierpliwie sprawiedliwego sądu o swych pracach, zabiegach, o uczciwem zużywaniu talentu: nie doczekał się wszakże... Boleść przytłaczała coraz bardziej, wkopywała w mogiłę, która wprędce pochłoniąć go miała. Niepowodzenia, bądź troski z dramatai, posłaniami na konkurs krakowski, o niewiele poprzedziły zgon starego pieśniarza z nad Ikwy... Wówczas to wołał w jednym z drobnych utworów:

O sławo! czarodziejko! dziś ty błędną marą,
Przychodzisz poswawolić z moją myślą starą,
Lecz już twoja swawola urzec mnie nie zdoła...

Wyrzekał się łaćno ostatnich nadziei powodzeń; podobnie jak przez życie całe przeszedł samotny, tak też samotny, a pełny rezygnacyi, do mogiły się zbliżał; innym, młodszym, szczęśliwszym ustępował chętnie laury, dla niego nieuchwytnie... „Zdała więc, czarodziejko, bądź ode mnie zdała! Przyczepiaj twe uroki do młodego czoła“... — mawiał poeta, widząc, iż nawet w ostatnich latach, miesiącach życia fortuna oblicze swe od niego od-

wraca, a rzuca losy starca na „nowe wciąż zawody, nadzieje i bole“.

„Rognieda“, dramat historyczny, stał się ostatnią kreacją poważniejszą Olizarowskiego.

Poeta, od czego zaczął, na tem kończył... Rozpoczął swój zawód pisarski od wzorowania ziem na kończynach polskiej, chrześcijańskiej cywilizacji położonych; ku tym ziemiom krańcowym, ku życiu tamecznego ludu dąży jego myśl w ostatniej pracy swej celniejszej. Nie daje nam wprowadzić obrazu, opartego na studyowaniu pilnem obyczaju ludowego, ale niemniej obliczem swem zwraca się ku wschodowi, ku okolicom, kędy Dniepr płynie, a lirnicy pieją smętne dумы...

Tu nietylko własne wspomnienia i upodobania grały rolę główną, lecz niemało oddziaływało ówczesne, częste obcowanie poety ze znakomitym etnografem, który pątniczy swój żywot rozpoczął w tym prastarym grodzie, co w zieleni tonie, w jarach ukryty, a złotemi kopułami z poza wód dniewprowych dumnie patrzy na ubożuchne ziemie Siewierszczyzny.

Z zakładu św. Kazimierza, u murów Paryża, gdzie poeta trawił kilkanaście ostatnich lat życia, odwiedzał on często znakomitego etnografa Duchinińskiego, i tam pod gościnnym dachem pp. Duchinińskich, kędy gospodarz zdumiewał zasobami etnograficznej i dziejowej wiedzy, a pani domu roztaczała urok swych poetycznych natchnień, zaczerpnął pierwsze pomysły do „Rogniedy“...

Pomysł tem skwapliwiej był podniesiony przez Olizarowskiego, z tem większem zamięłowaniem wcielony w formę dramatu, tem staranniej owa forma została opracowana, iż wypływał z podań tych ziem, które przypominały poecie jego dzieciństwo i młodość, i owe lata, gdy pod wpływem pieśni tamecznego ludu uderzył po raz pierwszy o struny poetycznej lutni, „gdy się do lotu wieszczego sposobił“, i „na sto skrzydeł“ w nim się zanosilo.

W „Rogniedzie“ uwidocznia się walka dwóch pierwiastków — miejscowego, słowiańskiego i normandzkiego — z której wyłonił się organizm państwowy, warego-ruski. Ostatniego pier-

wiaſtku reprezentantem jeſt bohater poematu, Włodzimierz Świa-toſławowicz, który wczesnej młodoſci dni trawi w Skandynawii; tam nabiera bojowego hartu, potrzebnego do podboju plemion ſłowiańſkich, co obſiadły górny Dniepr, górną Dźwinę i wzdłuż fał dniewprowych legły, ſięgając aż ku koczowiſkom Pieczyngów. Dziewica Rognieda, co ſię ſtaje wbrew ſwej woli małżonką Włodzimierza, jeſt tu przedſtawicielką żywiołów miejscowych, ukochanych przez autora. Œłowiańska dziewczina, córka połockiego kniazia, Rochwołoda, przemocą zaſlubiona normandzkiemu pogromcy, acz go nienawidzi, bo ſzedł do jej poſiadania ſładami krwi i dokonywanych przez ſiebie mordów jej najbliſzych, nie zapomina, co winna ſwym obowiązkom ucieiwej żony. Poſtać ta wſzystkie promienie najſwietniejsze ſkupia około ſiebie i jeſt wybornem odzwierciedleniem typów ſłowiańſkich niewiaſt, umiejących panować nad ſobą, a obowiązkom zawsze ſtatecznie ſproſtać.

Dramat ten, pomimo wielu ſcen niezaprzeczenie wznioſłych, gdzie poetyczne natchnienie autora widocznie go nie opuſzczało — na deſkach teatru (w Krakowie przedſtawiono „Rogniedę“) nie zdobył uznania. Składało ſię na to niemało przyczyn, zdała ſtojących od rzeczywiſtych zalet dramatu: poeta zawód odczuwał głęboko, zbyt długo, i nie mógł ſię oſwoić ze ſmutną rzeczywistością, iż jego imię, właſnie z powodu ſtawienia „Rogniedy“ na ſcenie krakowskiej, tułać ſię musiało wśród łamów dzienników i ſtać ſię paſwą niezbyt życzliwej krytyki. Potępiono „Rogniedę“, odmówiono jej dłuższego na ſcenie pobytu, i jej potępienie było długo materyałem pisaniny dla powołanych, częſciej niepowołanych recenzentów. Starzec-poeta, na którego oſtatnie lata życia ten turniej dziennikarski przypada, mocno tem był podrażniony, jak już wyżej wſkazaliśmy... Przypominano o nim na chwilę, by go pogrzebać w mogile znieſławienia, jako poetę, a wreszcie oddać zupełnemu zapomnieniu...

Jak dalece zapomnienia mgły roztoczyły ſię nad imieniem autora „Zaweruchy“, „Brunona“, dowodem niemałym, iż wydawcy nie ſięgali po jego literacką spuſzczinę, iż dramata jego

prawie wszystkie pozostały w rękopismach, — a więc na zagładę skazane — że nawet w Krakowie, gdzie wielokroć za dni uroczystych grywają ułamek „Konfederatów Barskich“ Adama Mickiewicza w przekładzie Olizarowskiego, imię Olizarowskiego nigdy dokładnie i bez omyłki nie bywa napisane na afiszu... Zamiast „Tomasz“, piszą — Tadeusz... Drobnym to szczegół, świadczy wszakże, jak to imię mało dziś znane, jak je z tłumem innych miesza, a ponad ciżbę popolitości nie podnoszą, gdy niema błędu komu sprostować...

Po zawodach bolesnych na konkursach dramatycznych — gdyż i we Lwowie jego dramat „Krystyn Gozdawa“ padł na konkursie — Olizarowski już nie marzy o rozgłosie swych prac; pracy wszakże nie przestaje prowadzić wytrwale, do ostatniego niemal dnia tak dziwnie ciężkiego życia... Rękopisy mnożą się w tece. W gasnących dźwiękach liry pieśniarza z nad Ikwy przeważa nuta religijna. We wcześniejszych utworach nie spotkaliśmy tej nuty, chyba w latach pacholących. Uczucia wiary głębokiej, wiary pełnej prostoty, przechowywane w otehlaniach ducha, występują u Olizarowskiego po raz pierwszy z taką mocą. Im mniej spodziewa się pociech ziemskich, im duch i ciało bardziej znużone, tem wyżej myśl ulata ku sferom religijnym, w których dziedzinie spodziewa się znaleźć trwałą, stateczną pomoc i spokój nigdy nie odnajdywany wśród ziemskich spraw.

Na niewiele przed śmiercią, rzucając okiem wstecz, na przebolełe dni życia, kreśli gasnący poeta szereg strof pełnych ufności w miłosierdzie Boże... Mniema, że cierpienia, któremi jego istnienie było przepelnione, otworzą mu bramy niebios.

...Błogosławieni, którzy cierpią wiele,
Wyrzekłś Ojcie przez Syna w Kościele...
Gdy więc przed Twoim stanę trybunałem,
Wyrzeknę tylko to słowo — cierpiałem...
A Ty zdjąć każesz ze mnie ciężkie brzemie,
I razem z ciałem wyrzucisz na ziemię;
Wyrzucisz ze mnie wszelką myśl o ciele,
I ducha mego umieścisz w niebiosach,
Gdzie mnie pieśń przyjmie w niezliczonych głosach:
Błogosławieni, którzy cierpią wiele...

Posuwając się na gościńcu rozmyślań o życiu zagrobowem, radując się niedrobną radością, iż zapewne cierpienia, boleści ziemskie zaważą na szali jego przeznaczeń na pozaświeciu, pieśniarz gasnący przesuwając jeszcze wielokrotnie przed wzrokiem swym cały cykl wypadków życia, nigdy nie ogrzanego żadną iskrą lepszej doli. W drobnych, ostatnich poetycznych ułamkach, które wyszły z pod jego pióra, przesuwają się obrazy najwcześniejszych wrażeń: więc widzimy tam młodość u stóp krzemienieckich gór, szum sosny wołyńskiej, gmachy licealne, postać ojca, wstrzymującego, by na skrzydłach burzy w świat nie dażył, matkę płaczącą, aż do wypłakania ostatniej łzy, i Londyn z pracą omal nie wyrobniczą, i głodne dni w tułactwie nad Tamizą, i późniejsze promyki względnego spokoju, aż do dnia, gdy przytułek dla starców stał się jego ostatnią ostoją.

To życie pod dachem przytułku ciężkiem brzemieniem spadało mu na barki; oswoić się z niem nie zdołał. Słowa i myśli coraz bardziej stają się u niego przesiąknięte łzami: snąć karmił się goryczą własnej duszy, nazywa siebie „synem niedoli“...

...Miałem miliony

Zwyciężyć pieśnią, i zostałem jeńcem

Boleści ducha. Tryumf błogo śniony,

Smutno się przesnił. Gasnę w samotności...

Samotność wśród świata nietylko w ostatnich latach życia napawa go smutkiem bezbrzeżnym; i w poprzedniej dobie jego działalności toż samo spotykamy, z tą różnicą wszakże, iż dawniej mógł rzec: „Mam swą moc, powołania mego nie omylę;—mnie szczęście się należy: nieszczęście przesilę“... Za dni zamykających i działalność poetyczną i życie, znika w nim pewność w tryumf talentu, aczkolwiek właśnie wówczas zwycięstwa największe odnosił — zwycięstwa nad sobą samym... Marnych blasków sławy zrzuca się z rezygnacją człowieka, który już zapatrzony w jasność nieziemską... Zrzuca się uznania, pamięci, których tak pragnął, nawet na parę lat przed swym końcem, gdy jeszcze wołał: „I z pod kamieni skrzydłami wstanę, po nową ranę“... Na zwrocie myśli ku niebieskim przestworzom, ku istnieniu w nieśmiertelności ducha, ku rezygnacyi prawdziwie

chrześcijańskiej, rwą się struny lutni, i ginie wśród obcych przestworzy ostatni jęk boleści pieśniarza wyżyn krzemienieckich... W kraju ten zgon echa żalu nie obudził: zapomnianych nie oplakują...

Na sierocej jego mogile dzikie chwasty zdają się szeptać słowa otuchy, iż przyszłość nie poskapi mu uznania, którego za życia mało posiadał, iż lemiesz dni późniejszych wyorze kiedyś pieśni zapomniane lirnika pól wołyńskich...

Maryan Dubiecki.



IGNACY DOELLINGER.

(IGNAZ VON DÖLLINGER. Eine Charakteristik von Dr. Emil Michael S. J. — Innsbruck 1892).

Nikt tak dobrze jak Doellinger nie scharakteryzował twórcy protestantyzmu, Marcina Lutra; i któżby się spodziewał, że ten dzielny oskarżyciel herezyarchy, sam pójdzie w jego ślady?

Luter uniewinnia swe odstępstwo od nauki Kościoła wrzekomemi krzywdami, jakich miał od tegoż doznać; Doellinger również do samej śmierci wyrzekał na niesłychane, jak mówił, tyraństwo władzy duchownej, gdy ta rzuciła nań klątwę.

Z całą stanowczością opierał się Doellinger nie tylko karze kościelnej, ale też wszelkim napomnieniom do powrotu na lepszą drogę, a czynił to twierdząc, że tego wymaga głos jego sumienia: „Jestem, pisze, pod ekskomuniką, nie dlatego, że ja zmienilem swoje przekonania religijne, ale tylko przeto, że się innym podobalo uczynić w nauce wiary niektóre zmiany, a swoje własne zapatrywania ogłosić za artykuł wiary. Żądają ode mnie, abym złożył przysięgę, jako uznaję orzeczenia Watykanu. Miałbym to sobie za podwójne krzywoprzysięstwo: albowiem najprzód, gdybym wówczas chciał rozumieć Pismo św. według myśli Ojców Kościoła, musiałbym działać wbrew tej przysiędze, a przez to spodliłbym się moralnie. A potem, taką przysięgą dałbym sobie świadectwo, że przez całe życie błędnie nauczałem, że fałszywie pojmowałem historię Kościoła, naukę Ojców i Pismo św., a tem samem, wykładałem fałsz. Cóżby mi więc z tego przyszło? Oto zatrulbym resztę dni mego życia, nie miałbym nigdy spokoju; a nareszcie jako

kłamca, skalany krzywoprzysięstwem, ze strasznie obciążonem sumieniem, musiałbym stanąć u bram wieczności“ (1880).

Czytając te katońskie zdania, zdawałoby się, że ten, co je napisał, stał jak dąb kołatany burzą, ale niewzruszony, czekając spokojnie, dopóki anioł śmierci nie wyzwoli z więzów ciała tego męczennika za wolność sumienia i świętość przysięgi, aby otrzymał wiekiustą nagrodę.

Niestety, własne pisma i listy Doellingera, tak dosadnie malujące ostatnie trzydzieści lat jego życia, zupełny kłam zadają tej pochlebnej, jaką miał o sobie, opinii¹.

I.

Przeszłość Doellingera w zupełności zasługuje na szacunek i sławę, jaką jest otoczona; jego dzieła cieszą się powszechnem a najsluszniejszem uznaniem. Arcybiskup monachijski, Grzegorz Scherr, nie szczędzi mu pochwał², z powodu jego nadzwyczajnych zasług dla katolickiej nauki, wychowania kleru i rozszerzania zdrowych zasad Kościoła w życiu publicznem³. Jednakże w tem wszystkim widać tylko uczonego historyka, a bynajmniej nie teologa. Gdyby bowiem nim był, nigdyby w swej historii Kościoła, napisanej za najlepszych swych czasów, nie był wypowiedział takiego np. zdania: „O najświętszej Pannie nie mamy żadnej innej pewnej wiadomości, prócz tego, co o Niej mówi Pismo święte: Kościół wprawdzie uroczyście obchodzi Jej Wniebowzięcie, ani też żaden chrześcijanin nie zaprzecza Jej tego, ale także nie twierdzi, że Matka Boska zaraz po śmierci zmartwychwstała i z ciałem została wzięta do nieba“. Oczywiście

¹ Przytoczone w nagłówku dzieło profesora historii kościelnej w Innsbrucku, daje na to bardzo obfity materiał dowodów i cytat. Prócz tego jest ono doskonałym historycznym usprawiedliwieniem Kościoła wobec starokatolicyzmu.

² W liście z d. 4 stycznia 1871 r.

³ Tytuły jego dzieł wylicza „Encyklopedia Kościelna“ pod nagłówkiem: Doellinger. Wymieniamy tu tylko najważniejsze: „Historia reformacyi“ w czterech tomach, napisana przeciw Rankemu. Ranke sam potem nie chciał wierzyć, że Doellinger był autorem tego dzieła.

ście wzięcie do nieba N. Panny Maryi z ciałem i duszą, nie jest dogmatem ogłoszonym, jednak jest prawdą, przez Kościół uznaną, i jako taka stanowi niewzruszoną podstawę uroczystego święta, które Kościół katolicki, zarówno jak schizmatycki, w dniu 15-go sierpnia święci. O tem każdy teolog wiedzieć powinien. W r. 1834, mówiąc o dogmatycznych orzeczeniach papieskich, przedstawił je jako nieodwołalne wyroki, ale zaraz potem dodał wyjaśnienie, jak na teologa dość dziwne, mianowicie: „w orzeczeniach papieskich uznajemy najczystszy i najpewniejszy wyraz prawdy katolickiej, zawsze jednakowej i już przedtem powszechnie znanej“.

Nie można pisać historii kościelnej, nie posiadając dokładnie teologii, jak to zaznacza sam Ranke; jakże więc Doellinger mógł być wielkim historykiem katolickim, skoro po czterdziestoletnich studyach nie doszedł jeszcze do jasnego rozumienia, czem właściwie jest Kościół?

„Świadomość, jaką posiada Kościół o swej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, naukowo uzasadnioną, nazywamy teologią“¹. Jedyny drogowskaz, który mimo tych wielkich niedokładności mógł go utrzymać na drodze prawdy, to była Stolica Apostolska, o której on sam w r. 1860 pisał: „Stolica Piotrowa ma być skarbnicą prawdy i twierdzą niewzruszoną wiary“. Taką była dlań w teorii, ale w praktyce widocznie o tem zapomniał. Kiedy bowiem Stolica święta około sześćdziesiątego roku umieściła na indeksie dzieła Günthera, wtenczas Doellinger z największem oburzeniem powstał przeciw „mieszaniu się Kuryi“, a indeks i inkwizycję nazwał najniebezpieczniejszymi nieprzyjaciołmi niemieckiej *Wissenschaft*. Prawie równocześnie zaczął pisać przeciw Państwu Kościelnemu, i to z takim powodzeniem, że stronnictwo opozycyjne we Włoszech kazało przełożyć na język włoski jego dzieło.

W trzy lata po wygłoszeniu swego prawowiernego zdania o posłannictwie Stolicy Apostolskiej, zaprzeczył sam sobie, gdy napisał: „O herezyi zawartej w listach Honoryusza nie byłoby żadnej wątpliwości, gdyby ich autor nie był papieżem“.

¹ 28 września 1863.

Zdanie to nadto zwraca się przeciw samemu Doellingerowi; niezawodnie i on nie byłby tak stanowczo Honoryusza nazwał heretykiem, gdyby tenże nie był papieżem.

W owym czasie Doellinger miał nadzwyczajną powagę. Gdy późniejszy kardynał Hergenroether ośmielił się raz ganić niektóre ustępy z mowy Doellingera (1863), rzekł doń późniejszy biskup Haneberg: „Jakże można krytykować Doellingera?” A Hergenroether na to: „Księżę profesorze, komentujesz Pismo święte, a boisz się komentować pism Doellingera?”

Te i tym podobne uwagi za przykładem Hergenroethera odbierał Doellinger z różnych stron i niemało mu one krwi napuły. Do tego czasu był on tylko chwiejny w swoich przekonaniach katolickich, lecz z każdym dniem coraz bardziej przechylał się na stronę błędu. Nie wszyscy jeszcze wówczas się na nim poznali; sam tylko Leopold Ranke doskonale go scharakteryzował: „Mąż, o którego chodzi Komisji historycznej, pisze Ranke do Sybla, bardzo dziwne zajął stanowisko; mianowicie w obecnych naszych zawikłaniach kościelnych, oświadczył się tak stanowczo za postępem nauki, że uważać go możemy poniekąd jako należącego do naszych przyjaciół i do naszego stronnictwa”.

Doellinger przyjęty do Komisji historycznej, zupełnie się pogodził z liberałami, a o ultramontanach i Jezuitach mówił zawsze tylko z przekąsem i nienawiścią. Za to starali się też jego nowi przyjaciele zapomnieć, że niegdyś nazywali go „pobożniakiem” i: *Egnatius Tartuffius*, i że zuchwały eks-żyd, Henryk Heine, czczył go wówczas tytułem: *erzinfamer Pfaffe Dollingerius*. W roku 1847, kiedy to Bawaria wydała prawo przeciw ultramontanom, Doellinger, jako jeden z nich, musiał się rzec katedry profesorskiej, równie jak Filips, Lasaulx, Moy i Hoefler. W r. 1849 zniesiono ten drakoński zakaz, i Doellinger odzyskał utracone prawo, a później w r. 1860, pozyskał nawet względy i łaski Maksymiliana II. Doellingerowi też poruczono wydawnictwo historycznych monumentów z XVI. i XVII. wieku, i zaszczycono go orderem oraz przypuszczono do „posiedzeń wieczornych”, na których bywał sam król. Wtedy to uzyskał opiekę

dostateczną, aby mógł być założycielem nowej sekty, jak to powiedział o nim Joerg, jeszcze w r. 1858. Komisya historyczna dopełniła reszty; częste albowiem przebywanie w gronie protestantów zrobiło i jego jednym z nich. Doellinger nie posiadał ani wyższego ideału, ani tej siły charakteru, która jedynie uchronić potrafi od niebezpieczeństwa wynikającego z takich stosunków.

Z okazji obchodu dnia pamiątkowego króla Maksymiliana II., 30 marca 1869, Doellinger jeszcze wyżej niż w sławnej mowie akademickiej r. 1863, podniósł głos na cześć *deutsche Wissenschaft*. „Niepodobna nie uznać, wołał, że Niemcy w nowożytnym świecie, więcej niż którykolwiek naród, mają prawo być tem, czem byli Grecy w starożytnym. Są oni powołani na kapłanów i apostołów wiedzy. Bawarya jest duszą Niemiec“. W toku mowy przeprowadzał myśl o zjednoczeniu wszystkich wyznań w Niemczech. „Ostatecznie, mówił, musimy dojść do przekonania, że obie społeczności (katolicka i protestancka), jakkolwiek w nierównej mierze, mogą się wzajemnie podtrzymywać, i pomagać sobie w pozbywaniu się swych błędów i jednostronności, w wyrównywaniu usterek życia religijnego i kościelnego, i w gojeniu ran wzajemnie sobie zadanych. Nie należy też od żadnej strony wymagać zrzeczenia się istotnego dobra, zdobytego życiem i historią“.

Powyższe, tak mgliste zdania, pokrywają właściwy cel chytrego mowcy. Sam Doellinger zresztą, choć tam, gdzie pod własnem imieniem występuje, roztropnie ukrywa swe zamiary, to jednak w bezimiennych swych pismach dostatecznie nas poucza o znaczeniu poprzednio wygłoszonego twierdzenia. Jego przyjaciel prof. Reusch przysłużył mu się ogłoszeniem jego rękopisów.

Taką jest między innemi broszura o Syllabusie: *Die speierische Seminarfrage und der Syllabus*. Chodziło mianowicie o to, żeby biskup spirski mógł naznaczać swobodnie profesorów do swego seminarium, i aby rząd na mocy takiej nominacji tak samych profesorów, jak i przedmioty przez nich wykładane, otaczał opieką prawa. „Gdyby rząd zrzekł się opieki, tak pisze Doellinger we wspomnianej broszurze, nad wykształceniem duchowieństwa, i oddał seminaria całkowicie w ręce biskupa, natenczas

zamieniłyby się one w bezduszne i bezmyślne zakłady zewnętrznej tresury, zupełnie podobne do takichże istniejących już we Włoszech; albo też stałyby się jakimiś szkołami pokątnymi, coś w rodzaju teologicznych chajderów. Biskup mógłby wybierać sobie wszystkich nauczycieli z pomiędzy ludzi, którzy mu się ścielą pod stopy. A ponieważ biskupi pozostają w zależności od Rzymu, przeto nie ulega wątpliwości, że na dany znak stamtąd usuwaliby natychmiast każdego profesora, któryby nie miał szczęścia tam się podobać. W tej zależności trudno nie widzieć pewnego niewolnictwa; a każdy wierny poddany Bawarczyk z pogardą patrzy na człowieka, który na widok chmur około słońca łaski papieskiej lub biskupiej, drży ze strachu o swoją egzystencję. A promienie tego słońca z pewnością nie mogą długo przyświecać „mężowi oddanemu badaniom naukowym“. „Rzym w naszych czasach w zatrważający sposób mnoży i ogłasza wyroki, potępiające pewne zdania i nauki, a najroztropniejszym nawet ludziom trudno teraz uniknąć sideł rzymskich kongregacyj. W tem wszystkiem zaś widać niezmiernie lekceważenie tak samej teologii, jak i jej profesorów“.

Rozumie się samo przez się, że Doellingerowi chodziło jedynie o teologię „niemiecką“, której lekceważenie tak go oburzało. Właśnie co tylko był ogłosił całemu światu, że „za dni naszych pochodnia wiedzy uszła z miejsc dotąd zajmowanych, a naród niemiecki dostąpił zaszczytu być piastunem umiejętności teologicznej“ — a tu właśnie, jak na psotę, jakaś obca potęga, nie niemiecka, ale rzymska kongregacya ośmiela się potępiać pewne zasady „niemieckiej“ teologii. Doszło już do tego, że XIII-ta teza Syllabusa potępiła nawet zdanie o teologii samego Doellingera! Nie też dziwnego, że za to nazywał on Syllabus jużto „młyńskim kamieniem, który Rzym chciałby zawiesić u szyi katolików całego świata“, jużto „przepowiadaniem przymusu i ucisku religijnego, jużto podżeganiem i zachęcaniem do klerykalnych rządów; jak gdyby chcieli rany Kościoła i naszych społecznych stosunków leczyć, zalewając je wrzącą smołą“. Ale czyż Doellinger nie wiedział, że tym sposobem występuje przeciw samemu papieżowi? Owszem, wiedział o tem dobrze: „Ultramontanizm,

mówi gdzieindziej, to właściwie papizm, i w tem właśnie jest korzeń złego. Papież chce być nieograniczonym samowładcą, a wszyscy inni mają być tylko od niego upoważnionymi sługami. Zresztą sami papieże ogłaszali często jako dogmat, że mają nieograniczoną władzę nad królami i mogą składać monarchów z tronów“ i t. p. Autor bezimienny doskonale wiedział, że go łatwo można zbić dawniejszemi pismami Doellingera. Chcąc się więc przed tem zasłonić, sam się o fałsz oskarża. Bezimiennie, więc dobrze ukryty, w ten sposób przemawia do czytającej publiczności: „Doellinger, mówiąc dawniej o przywłaszczeniach papieży i zasadach kuryi, był raczej ich obrońcą, niż historykiem“. Pokazuje się więc, że Doellinger odmieniał swe zapatrywania i zasady. Czyż nie było daleko uczciwiej przyznać się otwarcie do takiej zmienności zasad, niż przez lat dwadzieścia prywatnie i urzędownie głosić, że uległość dekretem watykańskiem uważałby jako sprzeczność z całym swym życiem i hańbę swej starości? Żaden uczony nigdy nie zadał sam sobie takiego kłamu, jak Doellinger.

Jako rektor uniwersytetu monachijskiego w r. 1866, w dziwny sposób poucza swoich słuchaczy: „Biada teologii! — mówi — i wam, jej uczniom, jeżeli, na wzór chorej na nerwy kobiety, będziecie chcieli zamykać się przed wszelkim świeżym powiewem naukowych badań, i odrzucać każdy wypadek historyczny, nie przypadający do smaku teologii albo raczej niektórym uprzywilejowanym teologom, dla których jest on strawą zbyt niezdrową na ich słaby żołądek. Właśnie od tego zawisło życie albo śmierć teologii, czy jej profesorowie i uczniowie zachowają w najzupełniejszej czystości ów zmysł historyczny, który dostrzega i umie cenić ludzi, ich przymioty i bogactwa naukowe, choć oni nie do naszego należą obozu. Wyrabiamy więc w sobie tę przenikliwość i bystrość, abyśmy w każdym, nawet błędnem twierdzeniu umieli odnajdywać te ziarna prawdy, jakie się w niem zawierają. Wówczas nie będziemy, dla samego tylko brzmienia słów, potępiać wielkich konarów nauki, jakoby one zostawały w mocy szatańskiej“.

Pocisk ten najwyraźniej skierowany był przeciw Rzymowi, a cel jego jest zupełnie jasny dla każdego, kto rozumie ówczesnego Doellingera. Dziwne zaiste wrażenie odnosić musieli słuchacze teologii z wykładów swego rektora, gdy im dowodził, że życie lub śmierć teologii zawisła od obcych dla niej bogactw naukowych, i radził szukać prawdy w mglistych systemach filozoficznych. Na szczęście słuchano go nie bez protestu. Gdy to Doellinger zauważył, uciekł się znów do bezpieczniejszej dla siebie, tj. bezimiennej drogi. Cały szereg artykułów doellingerskiego pochodzenia drukują gazety od 1867—1869, a wszystkie, rozumie się, na temat: „Niech żyje wyzwolona niemiecka uczoność! precz z Rzymem, oswobodźmy się już raz od niego!“ Ustęp, w którym sam sobie pali kadzidła, podajemy dosłownie: „Jak daleko już doszedł fanatyzm, dowodzi ta okoliczność, że takie nazwiska, jak: Doellinger, Haneberg i Reithmayr, nie mają już należącego się im szacunku: nie mogąc z Doellingerem walczyć bronią uczciwą, podejrzewają go pod względem czystości jego zasad katolickich. Lecz skądże pozór do tych podejrzeń? Oto, ponieważ przez swe badania historyczne doszedł do przekonania, że się nie może zgodzić na jezuicką naukę o papieżwie. Jak Güntherowi zatruli schyłek życia przez to właśnie, przez co on spodziewał się podnieść swój Kościół, nad czem pracował z niestrudzoną gorliwością, aby tylko temuż Kościołowi przyczynić chwały — tak podobne podziękowanie sposobią i dla Doellingera, który całe swoje życie, tak bogate w pracę naukową, złożył na usługi swego Kościoła, i który zawsze był między pierwszymi“ i t. p. Gdy się miała odbyć kanonizacya Piotra Arbuesa, Doellinger ogłosił w swoim uprzywilejowanem piśmie *Neue freie Presse* artykuł, w którym między innemi pisze: „Kto w działalności tego świętego przypuszcza choćby tylko słabe motywa miłości bożej i bliźniego, ten chyba nie w nauce Chrystusowej, ale w Koranie czerpał swoje teologiczne i obyczajowe zasady“.

W roku 1868 ukazało się drugie wydanie (pierwsze było w roku 1860): „Chrześcijaństwa i Kościoła“. Z pomiędzy wielu zmian, jakie w niem porobił, jedna przedewszystkiem była szcze-

gólnym dowodem, czem właściwie już wówczas był Doellinger, tj. jakie zajął stanowisko wobec Kościoła. „Piotr to jest tym apostołem, który najwyraźniej kładzie nacisk na to, ażeby urząd w Kościele był tylko pewnem przodowaniem, spełnianiem usług, przyświecaniem przykładem, a żadną miarą nie panowaniem, nawet ostrzega przed zachciankami duchownego królowania“.

Doellinger niezmordowanie pracował w swem ukryciu anonimowem; lecz i tam od czasu do czasu dochodziły go głosy ostrzegające. Tak np. pisze do pewnego, wysokie stanowisko w hierarchii kościelnej zajmującego kapłana: „Jakże mógłbym się poddać? Nigdy chyba nie przebaczą mi, żem się ośmielił mieć inne niż obecnie w rzymskich sferach przyjęte efemeryczne zdanie, i żem się odważył je wypowiedzieć. Zresztą Kościół doznaje daleko gorszego obejścia od mniemanych swych przyjaciół i protektorów, niż od przeciwników; wielką mi to sprawia boleść, jak niegdyś świętemu Bernardowi i Fenelonowi!“

Nareszcie zawezwano Doellingera do Rzymu, aby się wytłumaczył. Jego oburzenie na taką „śmiałość i bezczelność“ nie miało granic. Czy nie poznawał doniosłości i ostatecznych następstw swego postępowania, i z jakich pobudek to czynił? czy może sądził, że w Rzymie nie wiedzieli dokładnie jak się rzecz ma? Ale przecież wiedział, że nuncyusz monachijski w r. 1861 wyszedł z jego publicznego wykładu, protestując przeciwko temu, co mówił. Dość, że Doellinger każe po kolei każdemu z wybitnych niemieckich katolików wypowiadać swe oburzenie: „Co też byłby na to powiedział Goerres i Möhler!... Wiem i powiem: *Quid nobis et vobis?* Jesteście ludźmi, z którymi nie mamy nic wspólnego“. Tak pisał do jednego z dostojników duchownych. Tymczasem w *Neue freie Presse*, ufając, że żydowska redakcja autora nie zdradzi, drukuje szereg artykułów, w stylu fejletonowym, w najwstrętniejszej formie. Jako próbkę, przytaczamy jeden ustęp: „Pytanie: Dlaczego Pius V. jest policzony pomiędzy świętych? — Odpowiedź: Dla swojej surowości i nieubłaganego okrucieństwa“¹.

¹ „Doellingera pisma mniejsze“, str. 381; *Neue freie Presse*, 1868.

Zapowiedziano sobór Watykański. Doellinger coraz śmielej podnosił głos. W jego słowach nie widać już ani niepewności zwątpienia, ani chęci, aby wykryć prawdę, ani szczerzej troski o dobro Kościoła albo państwa. Nie, nic z tego nie można tam dostrzedz, a jest tylko nienawiść, jaką pała do nauki, której całe życie nie rozumiał, a teraz aż do karykatury wykrzywił. Bał się ogłoszenia dogmatu nieomyślności papieża, bo sądził, że w nieuniknionem następstwie tegoż, będzie się trzeba bezwarunkowo poddawać każdemu orzeczeniu papieskiemu, czy to w zakresie religii, czy polityki i nauk socyalnych. Lecz mimowoli nasuwa się pytanie, jakim sposobem katolicki teolog mógł być tak nieświadomym w kwestyi, która wówczas tak powszechnie bywała roztrząsaną? Niech Doellinger sam rozwiąże nam tę zagadkę. Oto nowa literatura katolicka była mu zupełnie obca: „Ja już i tak wiem, co wniesie zawarte“, zwykł był odpowiadać, albo też: „nie potrzebuję pukać do drzwi, kiedy mi stoja otworem“.

Prawda jest tylko jedna, a Doellinger się nią brzydził; natomiast polubił błąd w jego tysiącznych kształtach, stał się jego niewolnikiem a zarazem prorokiem. Dowodem tego wejścia na zupełnie już fałszywą drogę, był szereg artykułów gazetarskich, przedstawiający wrzekomą historję nieomyślności papieskiej począwszy od XVI. wieku. Oczywiście główną treść tej elukubracyi stanowi wszystko, co tylko było najpłytszego w tym kierunku w niekatolickiej historyografii. Całość zaś zupełnie godna gazety, w której była drukowana, tj. nienawistnej katolicyzmowi *Augsburger Allgemeine Zeitung*. „Z chwilą wystąpienia Jezuitów, tak pisze w pomienionych artykułach, wszędzie zniknęła wolność i teologia; jedynie we Francyi, u Gallikanów, znalazła schronienie i opiekę. We wszystkich innych krajach zapadł stan cmentarnej prawdziwie martwoty. La Mennais, jedyny apostoł prawdziwej wolności w tym wieku, musiał zginąć, ponieważ cały ciężar katolickiej umiejętności zawisł na włosie nieomyślności papieskiej“. Ale dość już o tem.

Był czas, że w Rzymie miano zamiar wezwać Doellingera na sobór watykański. Arcybiskup praski Schwarzenberg żalił się,

że wszyscy niemieccy teologowie zaproszeni na koncylium, do jednej należeli szkoły. Na to odpowiedziała mu Stolica święta, że Doellinger byłby zawezwany, lecz Ojca świętego zapewniano, że onby odmówił i nie przybył do Rzymu. Istotnie, mając na uwadze nieprzyjazne dla Rzymu usposobienie i działanie Doellingera, można było przypuszczać, że nie zechce przybyć, uważając, iżby to było dlań poniżeniem. Mylili się jednak, którzy tak myśleli; nie wiedzieli, jak wielką Doellinger miał żądzę sławy. Później bowiem kilkakrotnie gorzko wyrzekał na Rzym, że pominał „największego niemieckiego teologa“. Dlatego też opłakiwał, że „nie będzie komu na tym soborze przemówić w interesie Niemiec, w interesie 25 milionów niemieckich katolików, a biskupi niemieccy, zarówno z wielu innymi, będą tylko miękką gliną soborową w rękach loyolowskich garnarzy. Już oni wyczekują sposobnej chwili, aby z tak podatnego materiału uczynić to, czego tam właśnie potrzebują. Wszakże tak samo niegdyś na soborze trydenckim despotycznie krępowano wolność opinii i zapatrywać“.

Trzeba więc było pomyśleć o zażegnaniu niebezpieczeństwa, zagrażającego „niemieckiemu duchowi“. Właśnie gdy Doellinger był jeszcze zajęty zakładaniem podwójnej, tj. politycznej i religijnej miny pod Rzym — ksiązę Bismark oświadczył mu się jako sprzymierzeniec w podjętej walce. „Tysiące kapłanów są tego samego co ja zdania, pisał Doellinger, a skoro tylko rozpocznie się walka, wszyscy pójdą na Rzym“. Te słowa były hasłem do kulturkampfu. W samej Bawarii potrafił sobie zjednać prezydenta ministrów, księcia Hohenlohe. Ten, podburzony przez Doellingera, wysłał do zagranicznych rządów cyrkularz, w którym usiłował im wytłumaczyć, że nieomyłność papieska, mająca być stanowczo na soborze ogłoszona, ma w wysokim stopniu znaczenie polityczne. „Chodzi tu przecież, mówił, o wyniesienie papieskiej władzy ponad wszystkich książąt i narody, nawet w sprawach doczesnych“. Arnim, poseł Związku północnoniemieckiego przy Watykanie, jakkolwiek protestant, nie mógł przystać na takie fałszywe alarmy ze strony Doellingera, i wytłumaczył listownie Bismarkowi, że cyrkularz Hohenlohe'go jest

wielec przesadzony, i pochodzi z natchnienia Doellingera, obrażonego, że go nie wezwano do prac przedwstępnych Watykańskiego soboru. Arnim potem, w r. 1874, z Paryża spełnił akt przeproszenia Doellingera, który nieomieszkiał zadośćuczynić swojej próżności, i ogłosił pismo Arnima; wskutek tego usunięcie z urzędu tego ostatniego stało się nieuniknionem, gdyż Bismark dostrzegł w tem naganę swojej polityki co do soboru.

Podczas kiedy książę Hohenlohe oddawał się zabiegom politycznym, Doellinger porozumiał się ze swoim przyjacielem Friedrichem, udającym się do Rzymu, jak mają postępować. Chwilo wo jednak Doellinger ukrywał się za kulisami. Pod koniec czerwca r. 1869, ukazała się książka: „Papież i sobór“, pod pseudonimem Janusa. Dla Doellingera opinia publiczna od dawna była bożyszczem, przed którym on bił pokłony; nią też miał nadzieję zburzyć sobór Watykański. „Cóż bowiem, pisał, w XV. wieku soborom w Konstancyi i Bazylei nadało tak wielką powagę i wpływ w stosunkach Kościoła? Nic innego, jak czuwająca nad niemi opinia publiczna. Nasze pismo niech będzie próbka, w celu rozbudzenia tejsze w dzisiejszych czasach. Trzeba bronić Kościoła. Od IX. wieku zawładnął nim papież, i zmienił położony przez Chrystusa fundament“. A oto jak grubo-dowcipnie Doellinger określa pojęcie nieomylności papieża: „Czem w stosunkach świata materialnego są maszyny parowe i telegrafy pod względem oszczędności czasu i siły — tem w Kościele jest nieomylnść papieska“.

Można powiedzieć, że z ukazaniem się Janusa rozwój wewnętrzny Doellingera od r. 1860 doszedł do swego szczytu. Zawsze niejasny i zawył w zasadniczych kwestiach teologii, stanął teraz wobec katolickiego świata w fałszywem położeniu, z powodu kwestyi Państwa Kościelnego, na którą od początku zapatrywał się bez należytego jej zrozumienia, a później jednostronnie i fałszywie. Coraz też większą pałał nienawiścią ku władzy Rzymu, a mianowicie cenzurę książek uważał za najniesprawiedliwszą tyranję. Podczas kiedy Doellinger w swojej ojczyźnie odbierał wszechstronne hołdy, najwyższa władza duchowna czyniła mu uwagi, że nie po katolicku wykladał za-

danie teologii i opinii publicznej. Oburzył się strasznie na samo przypuszczenie, że będą od niego wymagać zadośćuczynienia względem Stolicy Apostolskiej. Jako dowód wzmagającej się z każdym rokiem nienawiści do tejże Stolicy Apostolskiej, był długi szereg podburzających artykułów bezimiennych w żydowskich gazetach. Zrazu tylko niezależność od Rzymu uważał za prawdziwą wolność, ale później, żaden nawet „sobór nie powinien być nakładać mu kajdan“. Opinii publicznej dał prawo decydować o przyjęciu lub odrzuceniu wszelkich postanowień i uchwiał soboru.

Niezaprzeczenie, Doellinger, była to bogato uposażona natura, mimo strasznego braku uczucia. Może miał pewien zakrój na wielki charakter, ale żądza sławy uczyniła go drobiazgowym niewolnikiem opinii publicznej i sprowadziła na bezdroża.

(Dok. nast.).

Ks. Augustyn Arndt.

ZASADA ZACHOWANIA ENERGII

i jej zastosowanie w psychologii.

II.

Gdy niektórzy fizyologowie i psychologowie twierdzą, że między zjawiskami fizycznymi a psychicznymi zachodzi równoważność, to inni uczeni nie sądzą, żeby zasada zachowania energii dała się ściśle przystosować do duszy, żeby zjawiska duchowe dały się sprowadzić do prostego mechanizmu. Dlaczego nie? Dlatego, że sama zasada równoważności energii do tego nie uprawnia, a natura zjawisk psychicznych na to nie pozwala. I tak każą nam dobrze na to pamiętać, że jak w ogóle fizyka nowożytna, uważana w swej całości, jest jedną wielką hipotezą, coraz więcej się udowadniającą, tak i prawo równoważności energii jest tylko teorią, chociaż wiele za sobą mającą. Wszak sam fizyk upomina: „nie można kłaść dość nacisku na to, że zasady ogólne: niezniszczalność materii i energii mają wartość tylko o tyle, o ile stanowią doświadczalną oczywistość“¹.

A o ileż zasada zachowania energii stanowi doświadczalną oczywistość? Prawda, że równoważność pracy mechanicznej i ciepła została udowodniona za pomocą licznych doświadczeń, ale równoważność ogólna wszystkich zjawisk jest tezą, której udowodnienie doświadczalne dalekie jest od ścisłości. Można

¹ A. Daniell, „Zasady fizyki“, str. 9.

się np. zapytać, co się dzieje z ciepłem, wypromienionem przez słońce. Równoważnika jego szukamy na ziemi, w zjawiskach wchodzących w zakres naszych doświadczeń. Lecz ileż to promieni słonecznych mija naszą planetę? Cóż się dzieje z tą znaczną ilością światła i ciepła słonecznego, które swobodnie promieniuje w przestrzeń? Czy napotyka gdziekolwiek jaką powierzchnię, od której się odbija, czy też odbywa podróż bez końca w przestrzeni nieograniczonej?

Najśmielszy umysł nie odważy się dać na to odpowiedzi, a odpowiedź przecie jest potrzebna do dokładnego stwierdzenia doświadczalnego teorii o zachowaniu energii. Balfour Stewart chociaż „ma najsilniejsze dowody za tem, że twierdzenie to jest prawdziwe“, przecież wyznaje, że „trudno jest dowieść tej zasady w sposób ściśle naukowy“. Oto, co mówi: „Bez wątpienia prawdziwość jej nie może być dowiedziona w ten sam sposób, w jaki są dowiedzione twierdzenia w geometryi Euklidesa. A nawet nie można dać tutaj ścisłego dowodu, jak na podobną do powyższej pod pewnemi względami zasadę niezmienności materji; możemy bowiem w chemii tak dokładnie uchwycić wszystkie produkta chemicznych związków, że najmniejszej nie podlega wątpliwości, iż żadna cząstka materji ważkiej nie ginie. Lecz nie możemy równie łatwo dowieść, że przy tem połączeniu żadna część energii nie zostaje zniszczoną; że to, co tam pod względem energii zachodzi, jest prostą zamianą energii chemicznego rozłączenia na energię ciepła pochłoniętego, gdyż nie jesteśmy w stanie podczas tego działania odosobnić w zupełności energii i w całości jej zebrać. Cokolwiekbyśmy zrobili, zawsze część energii rozprószy się w pokoju, w którym dokonywamy doświadczenia, część wyjdzie przez okno, a część jeszcze z tego opuści zupełnie ziemię i rozejdzie się w przestrzeni. Ponieważ takiego rozprószenia się energii nie jesteśmy w stanie uniknąć, przeto jedyną rzeczą, która w podobnym wypadku pozostaje nam do zrobienia, jest, o ile można, najdokładniej oznaczyć tę ilość energii, jaka została uroniona... Lecz czynność taka wymaga głębokiej znajomości praw energii, i bardzo wielkiej dokładności obserwacyi. Sądzimy, że to, cośmy tu

powiedzieli, jest dostateczne do przekonania naszych czytelników, iż daleko trudniej jest dowieść prawdziwości zasady zachowania energii, niż zachowania i niezniszczalności materii¹.

Tak więc najśmielsi badacze muszą przyznać, że nie mogą ściśle, naukowo, udowodnić prawdziwości zasady zachowania energii co do wszystkich zjawisk świata fizycznego i wśród wszelkich okoliczności. Ale dajmy na to, powiadają znowu inni uczeni, że to prawo panuje w całym świecie fizycznym; cóż stąd za wniosek? W dziedzinie fizjologii nie jest ono wcale udowodnione. Wykazuje się wprawdzie, że największa część siły, którą rozporządzają istoty żyjące, pochodzi z działań chemicznych żywienia się i oddychania, to jest, że ilość energii mniej więcej się zachowuje, lecz niepodobna udowodnić, że zachowuje się w zupełności. Można zawsze przyjąć, że energia pochodząca z pierwiastka życiowego, wykonywa pracę niezmiernie małą, niedostrzegalną dla najdelikatniejszych doświadczeń, ale rezultat jej może być bardzo doniosły, podobnie jak przez leciutkie dotknięcie cyngla karabinu wywołuje się ilość pracy ogromną.

Jakiż stąd wniosek? Bardzo prosty. Jeżeli zachowanie energii nie może być ściśle udowodnione w fizjologii, a nawet i w fizyce, ale jest tylko hipotezą, to jakimże prawem mielibyśmy je zastosowywać w psychologii, gdzie spotykamy się z faktami, które są w niezgodzie z tą teorią, a które, chociaż przechodzą doświadczenie zmysłów, łatwo przecież dadzą się skonstatować? — „Nie chcemy, by nauki wychodziły poza swój zakres i nieprawnie zamieniały się w metafizykę. A to się dzieje, jeżeli się przypisuje zasadzie niezmienności ilości siły znaczenie powszechne, dla jakiego niema ani gwarancyi ani pewnego dowodu².

Takie jest zdanie niektórych uczonych. Inni znowu nie ograniczają zasady zachowania energii ani do niewielu tylko

¹ „Zasada zachowania energii“, str. 98.

² *La Critique philosophique*. 1873, août.

zjawisk fizycznych, co do których została naukowo udowodniona, ani nawet do wszystkich zjawisk świata nieorganicznego, — ale owszem, wychodząc ze znajomości najogólniejszych i najbardziej znanych własności materii, udowadniają *a priori* jej bezwyjątkowe, powszechne znaczenie tak w świecie nieorganicznym, jak i w organicznym¹. Atoli przy całej swej skłonności dla tej zasady, jednak nie mogą jej przyznać panowania w świecie ducha. — A to dlaczego? Z pewnością nie dla uroku powziętej z góry teorii, ale dlatego, iż przekonani są, że zjawiska psychiczne w sposób mechaniczny, według zasady równoważności energii, absolutnie wytłumaczyć się nie dadzą.

Jakoż zobaczymy, że twierdzenie to jest rzeczywiście prawdziwe.

* *

1) Pierwszą i zasadniczą czynnością psychiczną jest: czucie (*sensus, sensatio, Empfindung*).—Co to jest czucie, trudno właściwie określić, właśnie dlatego, że jest ono pierwotnym i elementarnym stanem świadomości. Mimo to niektórzy psychologowie określają je jako: przyjęcie do świadomości (*das Bewusstwerden*) zmiany, która zaszła w organizmie naszym wskutek podrażnienia nerwów czuciowych. Za pomocą czucia dowiadujemy się tedy, że w organizmie naszym coś się dzieje, albo, że w stanie jego zachodzi jakaś zmiana. Ażeby czucie powstać mogło, muszą się ziścić pewne warunki. Wykładać, które to są te warunki, nie należy do naszego przedmiotu². Nas obchodzi pytanie, czy

¹ Cfr. Gutberlet: *Das Gesetz von der Erhaltung der Kraft* etc. S. 42 ff. § 3: *Die aprioristischen Momente des Gesetzes von der Erh. u. s. w.*

² „Die Entstehungsbedingungen der Empfindungen sind hauptsächlich folgende: 1) gehört dazu die Erregung lebender sensibler Nerven, mag diese Erregung von aussen oder von innen, mag sie peripherisch oder central erfolgen; 2) muss die Nervenirregung eine gewisse Intensität oder Stärke besitzen, da bei sehr schwachen Reizungen das Bewusstsein nicht afficirt und somit keine Empfindung ausgelöst wird; 3) müssen die gereizten sensiblen Nerven mit ihrem Centralorgan (Rückenmark, Gehirn) in Verbindung stehen, da bei durchschnittenen Nervenfasern auch bei der

czucie, jako stan podmiotowy, stan świadomości, da się wytłumaczyć mechanicznie, za pomocą fizyologicznego ruchu nerwów.

W podręcznikach fizjologii lub psychologii można się często spotkać z twierdzeniem, że czucie jest funkcją komórek nerwowych, a mianowicie komórek kory mózgowej¹. — A więc niektórzy autorowie pojmują rzecz tak: Gdy wóz kolejowy uderza o drugi, drugi o trzeci, trzeci o czwarty i t. d. i w ten sposób wszystkie się w ruch wprawiają, nie można powiedzieć, że wóz drugi czuje uderzenie pierwszego, że wie o tem, iż został popchnięty, — ale gdy drobiny nerwowe poruszają jedna drugą, wolno przecież twierdzić, że powstaje w nich czucie, że wiedzą o tem poruszeniu.

Ależ według mechanicznego pojmowania, i drobiny nerwowe są tylko materją z siłą przyciągającą i odpychającą. A więc jak wozy kolejowe, tak i one powinny się zachowywać. Alboż może czucie polega tylko na przyciąganiu i odpychaniu cząstek materalnych? W jakimż więc sposób drgania nerwów stają się czuciem, gdy ruch może tylko ruch stworzyć, jak to przyznają sami zwolennicy mechanicznego poglądu? Na to słyszymy od-

stärksten Reizung keine Empfindung hervorgerufen wird; 4) muss die Nervenregung ungestört bis zu dem entsprechenden Centralorgane fortgeleitet werden, indem bei der Unterbrechung der Leitung ebenfalls die Empfindung ausbleibt; 5) ist natürlich auch die Integrität der betreffenden Centralorgane notwendig, und endlich 6) ist eine gewisse, wenigstens unwillkürliche oder durch starke Reizung erzwungene Aufmerksamkeit erforderlich; denn wenn das Bewusstsein von etwas Anderem ganz absorbiert ist, merkt es von einer stattfindenden Zustandsänderung des Organismus nichts, auch wenn die übrigen Bedingungen vorhanden sind. Alle diese Bedingungen müssen also zusammen gegeben sein, wenn eine Empfindung entstehen soll“. — Dr. E. L. Fischer, *Theorie der Gesichtswahrnehmung*. 1891. S. 225 f.

¹ Rosenthal I., *Allgemeine Physiologie der Muskeln und Nerven*. 1877. S. 274: „Dass die Entstehung bewusster Vorstellungen gleichfalls eine Thätigkeit von Nervenzellen ist, steht fest, und zwar sind es die Zellen der grauen Hirnrinde, welche diese Thätigkeit besitzen. Dagegen sind wir vollkommen ausserstande, auch nur eine Andeutung geben zu können, wie dieses Bewusstsein zustande kommt. Molekularvorgänge sind eben nichts als Bewegungen der Moleküle und wie solche Bewegungen andere Bewegungen bewirken, können wir verstehen; wie sie aber zum Bewusstsein kommen können, das ist uns völlig dunkel“.

powieź taką: to dla nas jest zupełną zagadką! — Rzeczywiście jest zagadką, ale tylko dla nich. Są bowiem fizyologowie, są psychologowie, dla których nie jest zagadką, że czucie za pomocą procesów wyłącznie mechanicznych absolutnie wytłumaczyć się nie da.

Że tak jest w istocie, łatwo się o tem przekonamy, gdy porównamy działanie mechaniczne z tą czynnością psychiczną, którą czuciem nazywamy.

Wiadomo, że ciało materyalne na mocy prawa bezwładności, nie może samo przejść ze spoczynku do ruchu, ale potrzebuje siły, któraby je z tego stanu wyprowadziła. A gdy ono pod wpływem zewnętrznej przyczyny przejdzie ze stanu możliwości do stanu rzeczywistego działania, to posiada wtedy tyle energii, ile jej otrzymało z zewnątrz i dąży znowu do tego, aby działać na zewnątrz, na czynnik różny od siebie. To dążenie do działania na zewnątrz jest — że użyjemy przenośni — duszą działania mechanicznego, a objawia się we wzajemnem przybliżaniu się czynników, które to przybliżanie nazywać się zwykło od czasu Newtona przyciąganiem¹.

A na czemże znowu polega działanie czynnika materyalnego na inny czynnik? Według zasady zachowania energii polega ono na udzielaniu ruchu własnego. Toż twierdzi fizyk, że o ile jeden czynnik traci na energii, o tyle drugi w tej lub owej formie zyskuje. Udzielanie zaś ruchu objawia się znowu w wyrównywaniu różnic między różnemi stanami ruchu, a już najdoskonalej: w chemicznej syntezie, w której składniki udzielają sobie swych własności i w ten sposób tworzą nowe ciało. Jednem słowem: działanie mechaniczne jest *actio transiens*. (Pamięć-

¹ „Die Bewirkung gegenseitiger Nähe und möglichst inniger Berührung ist so allgemein, dass Abstossung und indifferentes Verhalten von den Naturkundigen als Specialfälle behandelt werden, welche nur auf indirecte Veranlassung hineintreten, wie z. B. die ‚Abstossung‘ eines Luftballons von der Erde. Unter den Weltkörpern zeigt sich die gegenseitige Annäherung als Gravitation, auf unserer Erde als Schwerkraft, unter einander nahe gebrachten Körpern als Adhäsion oder als Durcheinandermischung und Molekularaggregation“. T. Pesch, *Die grossen Welträthsel*. 2. Aufl. 1892. I. B. S. 162.

tajmy atoli, że tej *actio transiens* nie należy konfundować z czynnością przechodnią gramatyków).

Czy i czucie jest *actio transiens*? Zapewne, abyśmy mogli czuć, potrzebujemy podrażnienia z zewnątrz, ale gdy już czujemy, gdy mamy świadomość otrzymanego wrażenia, czucie nasze nie dąży do tego, aby się innemu podmiotowi udzielić; przez to, że czujemy, nie zmieniamy stosunków do otoczenia, jak czynniki materyalne, gdy są w ruchu; gdy czujemy, nie wpływamy wcale na zmianę tego przedmiotu, który czujemy, ale czucie przedstawia się jako czynność, której *terminus ad quem* my sami jesteśmy, nie zaś kto inny; przedstawia się ono jako stan ciągły, niezmienny (*stetiger, ruhender Zustand*), niepodzielny, jako stan wyłącznie mój, który ode mnie oddzielić się nie da. Abym mógł udzielić komu mego czucia, aby mógł czuć to, co ja czuję, musiałby chyba stać się moim podmiotem, musiałby się stać mną — co przecież jest niepodobieństwem. Podczas gdy zjawiska fizyczne, wywołujące wrażenie, przedstawiają się jako coś należącego do podmiotu, który nie jest mną, — czucie przedstawia się jako cząstka wypełniająca moją świadomość, żeby tak powiedzieć, jako cząstka mego ja¹. Powiedzmy krótko: czucie jest czynnością wsobną, *actio immanens*.

¹ Uphues G. K., *Wahrnehmung und Empfindung; Untersuchungen zur empirischen Psychologie*. Lpg. 1888. Seite 144: „Dass in der That ein immanentes unabtrennbares Bewusstsein als Bestandtheil in den psychischen Phänomenen enthalten ist, scheint daraus notwendig geschlossen werden müssen, dass die psychischen Phänomenen in der inneren Wahrnehmung jederzeit und von vornherein als bewusst aufgefasst werden. Dadurch unterscheiden sie sich ganz wesentlich von den physischen Phänomenen, die in der äusseren Wahrnehmung als etwas Fürsichseiendes, nicht in Beziehung zum Bewusstsein Stehendes auftreten und erst in der inneren Wahrnehmung als bewusst aufgefasst werden können. Aber auch diese den physischen Phänomenen erst mittelbar zugeschriebene Beziehung zum Bewusstsein, ist eine ganz andere als die den psychischen Phänomenen eigenthümliche. Sie bleibt den physischen Phänomenen äusserlich, ändert ihre Natur in keiner Weise; trotz dieser Beziehung können die physischen Phänomenen nicht mit Gefühlen, Wahrnehmungen zu einer Gruppe vereinigt und als Bestandtheile des Ich aufgefasst werden, sie sind und bleiben Bestandtheile der dem Ich gegenüberstehenden Dinge“.

Porównajmy teraz te dwie czynności: *actio transiens* i *actio immanens*. Druga przedstawia się jako wręcz (*diametral*) przeciwna pierwszej; twierdzić zatem, że ruch materji, która z istoty swej działa *actione transeunti*, może się stać czuciem: *actio immanens*, znaczy tyle, co żądać od materji, by zmieniła swą istotę, by przestała być sobą, materją.

A więc już to samo, że czucie jest *actio immanens*, dowodzi, że nie może być czynnością mechaniczną! Idźmy jeszcze dalej — i pytajmy: co jest podmiotem czującym?

Przypuśćmy, że jest nim kompleks drobin czy atomów, które zostały w ruch wprowadzone. Ponieważ, według tego założenia, podmiot składa się z części, pytamy: (A) czy każda drobina a względnie atom ma czucie całkowite, czy też (B) czucie rozdzielone jest na pojedyncze części? Gdyby zachodził wypadek pierwszy, to 1^o byłoby to wbrew wszelkiemu racjonalnemu postępowaniu, które przy tłumaczeniu zjawisk nie pozwala więcej przyjmować przyczyn, aniżeli potrzeba, a zwłaszcza wtedy, gdyby wszystkie przyczyny miały sprowadzać zupełnie ten sam skutek; — i 2^o mielibyśmy tyle czuć, ile atomów; a ponieważ czucie jest stanem nieoddzielnym podmiotu, mielibyśmy tyle podmiotów, tyle świadomości, ile atomów. Gdzież w takim razie jedność podmiotu, jedność świadomości? Czy może przez to powstaje jedność świadomości, że te wszystkie podmioty są skupione razem? Ależ, gdybym miliony ludzi powiązał za ręce i wszystkich jeszcze opasał łańcuchem jednym, czy przez to uzyskam jedno indywiduum, jedną świadomość? — Jeżeli zaś zachodzi ten wypadek, że czucie rozdzielone jest na pojedyncze atomy, to naturalnie każdy atom miałby tylko czucie cząstkowe, wiedziałby tylko o swojej części wrażenia, której sam doznał, nie miałby zaś świadomości wrażenia, którego doznał drugi, trzeci atom, a tem mniej świadomości całego wrażenia.

Ale i połączenie tych cząstkowych czuć w jeden, jednolity akt świadomości nie mogłoby nastąpić, a to z tego powodu, że są to czynności immanentne, a tylko przy czynnościach przechodnich można mówić o połączeniu ich we wspólnem ogni-

sku¹. A więc nie byłoby i w drugim wypadku: świadomości jednej, wspólnej.

Wynikałaby z tego jeszcze i ta niedorzeczność, że musieliśmy mówić o $\frac{1}{2}$, $\frac{1}{4}$, $\frac{1}{5}$ i t. d., wogóle o ułamkach czucia.

Wobec tego nie można twierdzić, jakoby czucie było funkcją komórek nerwowych²; owszem, aby je wytłumaczyć, trzeba koniecznie przyjąć istność niematerialną, niepodzielną jedną (*einheitlich*), która będąc obecną w całym organie, obejmuje swą niepodzielną jednością całość wrażenia.

2) Zdarzyć się może, że to samo ja doznaje równocześnie wręcz przeciwnych sobie wrażeń: w jednej ręce np. mogę czuć ciepło a w drugiej zimno. Mówimy równocześnie, gdyż, chociaż jedno wrażenie więcej a drugie mniej uwydatnia się w świadomości, to pochodzi to tylko stąd, że świadomość nasza jest ograniczona; ale, że jeden i ten sam podmiot równocześnie ich doznaje, pokazuje się stąd, że je ze sobą porównywa. Nie mógłby zaś ich porównywać, gdyby ich w tym samym czasie nie doświadczał.

¹ „Nun lässt sich allerdings begreifen, wie aus schwachen Partialempfindungen eine stärkere Totalempfindung oder selbst eine grössere räumliche Ausdehnung der Empfindung, vielleicht auch noch, wie aus mehreren vorgestellten Merkmalen eine Gesamtvorstellung eines Objectes entstehe: aber aus unvollendeten Empfindungen verschiedener Theile kann keine vollkommene Empfindung resultiren. Weil nämlich die Empfindung wesentlich immanente Zustandlichkeit des empfindenden Subjectes ist, so kann eine Vereinigung getrennter Empfindungsmomente nicht stattfinden. Nur bei Thätigkeiten, die nach aussen gehen, kann eine Vereinigung in einem gemeinschaftlichen Zielpunkte stattfinden; bleiben die empfindenden Theile unterschieden, so können sie auch nur unterschiedene Empfindungen haben: kein Theil kann sich der ganzen Empfindung, jeder nur seiner Partialempfindung bewusst werden. Dies trifft selbst zu, wenn schwächere, räumlich oder objectiv eingeschränkte Empfindungen zu einer stärkeren, ausgedehnteren, inhaltsvolleren Vorstellung verknüpft werden sollen: ist nicht ein einheitliches Subject da, welches die zu vereinigenden Partialthätigkeiten in sich hat, können sie nie in einen einheitlichen Bewusstseinsact verschmolzen werden“. — *Natur u. Offenbarung*. 31. B. 1885. S. 352 f. Cfr. Gutberlet, *Psychologie*, S. 238 f.

² Cfr. Lotze, *Mikrokosmos*. 3. Aufl. 1. S. 165. — A Fick, *Lehrbuch der Anatomie u. Physiologie der Sinnesorgane*. — L. Hermann, *Grundriss der Physiologie des Menschen*. 4. Aufl. S. 5, 8. — Griesinger, *Pathologie der psych. Krankheiten*. § 4.

Owoż przypuśćmy, że czucie jest skutkiem drgań drobin czy atomów (*Resultante der Schwingungen*). W takim razie czucia przeciwne suponują przeciwne drgania. Ponieważ nadto ten sam podmiot ich doświadcza, więc choćbyśmy powiedzieli, że jedna drobina wykonywa takie drgania a druga przeciwne, to przecież musiałyby ich ruchy spływać w jednej części, któraaby była jednym podmiotem i porównywać je mogła. Przypuśćmy, że się tak stało — jakkolwiek zlanie się czuć, jako stanów podmiotowych, jest niemożliwem — cóż stąd wyniknie? To, że ten sam podmiot, który równocześnie doznaje wrażeń przeciwnych, musi równocześnie wykonywać wręcz przeciwne ruchy, we wręcz przeciwnych położeniach się znajdować. — A jestże to możliwe, aby przedmiot poruszał się równocześnie w dwóch kierunkach wręcz przeciwnych, np. z punktu *a* do *b* i równocześnie z tego samego punktu *a* do przeciwnego punktu *c*, równocześnie na prawo i na lewo, powoli i prędeż, prostolinijnie i kołisto? To widoczna niedorzeczność (*ein Unding*).

Nietylko przeciwnych, ale wogóle różnych wrażeń doznajemy równocześnie i porównujemy je ze sobą. Owoż, jeżeli czucie jest ruchem komórek nerwowych, to podmiot mający równocześnie różne czucia, musiałby równocześnie znajdować się w różnych ruchach, w różnych pozycjach. — Prawda, że jedna cząstka systemu może tak drgać, druga inaczej, że jedna może taką pozycję zajmować, druga odmienną, ale gdy ten sam podmiot porównywa ich stany, musi doznawać zarówno jednych jak i drugich; nie mogą one być rozdzielone na pojedyncze części systemu, ale muszą spływać w jednym podmiocie.

Jeżeli tedy niedorzecznością jest twierdzić, że ten sam przedmiot może równocześnie wykonywać ruchy wręcz sobie przeciwne albo wogóle różne, to również niedorzecznością jest utrzymywać, że czucie jest: *eine Resultante von Schwingungen*.

3) Z oddzielnych czuć zmysłowych, jakoto: czucia barwy, głosu, zapachu, smaku i dotyku, składa się całkowity obraz przedmiotu, czyli: *w y o b r a z e n i e*.

Przypuściwszy, że te oddzielne czucia są stanami ruchu, pytamy: w jaki sposób powstaje z nich wyobrażenie?

Fizyologia poucza, że wrażenia, pochodzące od różnych zmysłów, odczuwamy w różnych częściach mózgu, w tak zwanych czulnikach czyli sensoryach. A więc, gdy pojedyncze czucia znajdują się w różnych częściach mózgu, czyż to wystarcza już, by powstało z nich: wyobrażenie? Bynajmniej; aby powstało wyobrażenie, potrzeba, by oddzielne czucia złączyły się w niepodzielną jedność. A w jaki sposób może nastąpić takie zjednoczenie? W sposób bardzo prosty, powiadają: — komórki, w których zawiera się rozmaita treść, biegną ze wschodu na zachód, z zachodu na wschód, z północy na południe i z południa na północ, dopóki się nie zderzą, i oto jest wyobrażenie.

Zgoda; ale pytamy dalej, skądże się bierze w komórkach to dążenie do zjednoczenia się? Co jest powodem, że wszystkie ni stąd ni zowąd poruszają się właśnie ku temu punktowi, w którym wszystkie zderzyć się mogą? Może czynią to same przez się, z własnego popędu? Ależ to się sprzeciwia prawu bezwładności! Czyż opilki żelaza zbiegną się na zawołanie w jednym punkcie, gdy niema magnesu, który je przyciąga? Zresztą nie wchodząc już w to, jakby się to stać mogło, przypuszczamy, że komórki z różną treścią spotkały się ze sobą. Czy to już wszystko, czego potrzeba do wyobrażenia? Czy takie zjednoczenie wystarcza w zupełności? Aby powstała jedność wyobrażenia, jaką nam świadomość poświadcza, musi treść różnych komórek zjednoczyć się w jednym, centralnym, zwierzchniczym podmiocie, któryby miał świadomość treści wszystkich komórek, któryby więc działanie oddzielnych komórek przejął. A cóż znowu może być tym podmiotem, wszystko w sobie skupiającym? Czy może jedna z tych komórek, które się ze sobą zderzyły? Dajmy na to, że tak jest, cóż to znaczy? To znaczy, że komórka, która przyjmuje w siebie treść innych komórek, musi spełniać funkcye wszystkich komórek, albo działaniem swoim musi zastąpić ich działanie. Ależ najpierw, skoro ta jedna komórka potrafi spełniać te same funkcye, co komórki inne, w takim razie wszystkie inne są zbyteczne. Przypuszczenie,

któremu przeczy fizyologia. Po drugie o komórce, otrzymującej działanie od innych komórek, trzeba by to samo powiedzieć, co mówimy o punkcie materyalnym, na który działa kilka sił różnorodnych. Mianowicie fizyka uczy, że w podobnym wypadku ruchy pojedyncze zlewają się w jeden ruch wypadkowy; co w zastosowaniu do naszego przedmiotu znaczy tyle, że oddzielne czucia zlałyby się w jedno, ogólne czucie, czyli wyobrażenie, któremu by w rzeczywistości żaden przedmiot nie odpowiadał.

Albo może tem *sensorium commune* nie jest żadna z tych komórek, ale jakiś odrębny organ? Rzeczywiście psychologowie przyjmują taki wspólny czulnik, „organ apercepcyi“, który, według Wundta, stanowią członki pośrednie między pojedynczymi sensoryami. A więc niech to *sensorium commune* odbiera działanie od pojedynczych sensoryów! — W takim razie, pytamy znowu: czy funkcyje właściwe pojedynczym czulnikom spełniają znów pojedyncze części tego wspólnego organu, czy też cały organ spełnia je wszystkie naraz? — Jeżeli przyjmiemy pierwsze, to brak nam i teraz jednego podmiotu, któryby skupiał w sobie to działanie. Jeśli drugie, to znowu powtórzyć nam trzeba to, cośmy wyżej powiedzieli, że wszystkie ruchy zleją się w jeden wypadkowy — różnica oddzielnych czuć się zatraci — i nie będziemy mieli właściwie wyobrażenia. — I tak, nie wytłumaczmy sobie powstawania wyobrażeń, dopóki nie przyjmiemy podmiotu niematerialnego, który potrafi skupić w sobie wszystko i zjednoczyć.

4) Z wyobrażeń indywidualnych, to jest takich, które odnoszą się do przedmiotów szczegółowych, konkretnych, powstają pojęcia ogólne i oderwane.

W jaki sposób się to dzieje? Droga analizy, abstrakcyi i syntezy logicznej. Mianowicie, uprzytomniwszy sobie obraz przedmiotu konkretnego, ze wszystkimi jego własnościami, rozróżniam szczegóły, które czynią przedmiot tym przedmiotem, i takie, które są wspólne wszystkim oddzielnym wyobrażeniom dotyczącej grupy. A w jaki sposób mogą znów dowiedzieć się, które cechy są indywidualne, a które wspólne kilku wyobrażeniom? W taki sposób, że od wyobrażenia, które sobie uprzytomniłem, zbaczam do innych wyobrażeń szczegóło-

wych, związanych ze sobą, zestawiam je, porównywan, i znajduję, czego szukam. Poznawszy składniki wspólne, na nie tylko zwracam uwagę, one tylko uwypatniam, a wszystkie inne pomijam. Poczem pierwiastki dominujące, wspólne pewnemu szeregowi szczegółowych wyobrażeń, łączę według prawideł logicznych i otrzymuję pojęcie.

Oto krótki zarys genezy pojęć.

A teraz pytamy: czy proces tworzenia się pojęć da się wytłumaczyć za pomocą prostego mechanizmu?

Fizyologowie twierdzą, że wyobrażenia przechowują się w komórkach nerwowych. I tak, w jednej warstwie komórek przechowują się obrazy dźwięków, które słyszymy przy wymawianiu słów; w drugiej obraz słów napisanych; w trzeciej obraz ruchu, który wykonywamy, gdy mówimy; w czwartej obraz ruchów, wykonywanych przy pisaniu; a w piątej pojęcie oderwane, tak, że jedno słowo, np. *enota*, przechowuje się w pięciu komórkach. A jeżeli jeszcze kto wie, że „*enota*“ znaczy tyle co: *ignorantia*, *virtus*, *veritas*, *virtus*, *virtue*, to dla każdego słowa, o tem samem znaczeniu, będzie potrzebował kilka komórek. Więc może wobec tego ludzie, którzy rozporządzają wielkim zasobem wyobrażeń, mówią kilkoma językami, obawiać się muszą, by dla nowego wyobrażenia nie zabrakło im miejsca w mózgu? Bynajmniej! Fizjologia poucza, że w szarej masie mózgu znajduje się około 1200 milionów komórek, a liczba włókien, które są w związku z komórkami, wynosi 48.000 milionów! A tymczasem obliczają, że Szekspir użył zaledwie około 15.000 słów, a zwykły śmiertelnik rozporządza tylko zapasem 3—4000! Choćbyśmy zatem każde słowo umieścili nie w pięciu, ale w dziesięciu komórkach, choćbyśmy jeszcze doliczyli do tego wyobrażenia, dla których nie mamy słów, to mimo to, jakżeż mało zapotrzebowalibyśmy komórek w porównaniu z cyfrą: 1200 milionów. Niema więc obawy, by zabrakło kiedy miejsca dla nowego wyobrażenia. Powyższą teorię ma potwierdzać między innemi to spostrzeżenie, że chory nie zapomina wszystkich wyrazów naraz, ale jedne po drugich i to klasami. I tak najpierw zapomina imiona własne: poznaje osobę, ale nie może jej nazwać po imie-

niu. Z kolei zapomina rzeczowniki, a więc nazwy oznaczające przedmioty konkretne, a po nich czasowniki. Nie może powiedzieć: „nożyce“, ale: „to, czem się kraje“. Tylko czasowniki takie jak „iść“, zapomina z trudnością i to dopiero wtedy, gdy choroba bardzo się wzmogła. Nareszcie pozostają choremu tylko wykrzykniki: ach! o!, które są wyrazami uczuć. Owoż, powiadają fizyologowie, jeżeli ze zniszczeniem komórek mózgowych znikają wyobrażenia i ich nazwy, to widocznie w różnych komórkach i warstwach przechowują się różne wyobrażenia i różne klasy słów¹.

Obawiamy się wprawdzie, czy w tym razie fizyologia nie ponawia błędów potępionej frenologii, ale przypuszczamy, że tak jest jak uczy, i pytamy tylko: jak w tym spichrzu wyobrażeń może powstać pojęcie sposobem czysto mechanicznym? — A najpierw pytamy: co jest podmiotem, który wyobrażenie analizuje, cechy wspólne abstrahuje i składa?

Ponieważ wyobrażenie jest: *actio immanens*², więc proces tworzenia się pojęć wymaga, aby podmiot analizujący i t. d. był ten sam, co podmiot mający wyobrażenie; obcego wyobrażenia nie mógłby sobie uprzytomnić. A więc zapewne komórka, przechowująca oddzielne wyobrażenie, będzie podmiotem? Niech będzie i tak, ale pytam znowu, jak ona dokona analizy swego wyobrażenia? Dlaczegoż znowu to pytanie? Dlatego, że wyobrażenie oddzielnego przedmiotu stawia przeszkody wszelkiej samowolnej zmianie, którąbyśmy chcieli wprowadzić. „Przez cały czas, jak apercpcya zwraca się na jakiś przedmiot, nie może nic istotnego zmienić w jego wyobrażeniu“³. Żeby więc mogła rozróżnić, które są znamiona indywidualne a które istotne, musiałaby komórka-podmiot mieć jeszcze wyobrażenia, do tej samej grupy, co jej, należące a przechowujące się w innych komór-

¹ Dr. Fritz Schultze, *Vergleichende Seelenkunde*. I. B. S. 139 ff. Leipzig 1892.

² Gdy przedmiot wyobrażam, to wyobrażam go tylko sobie, a przez to żadnego działania nań nie wywieram, natury jego nie zmieniam: zmiana zachodzi, ale tylko w treści mej świadomości.

³ W. Wundt, „Teorya poznania“. Warszawa 1889, str. 56.

kach. Jakżeż zaś mogłaby przyjść do świadomości owych wyobrażeń? Czy może tak, że obchodzi komórki z pokrewną treścią i odbiera od nich wyobrażenia, które następnie zlewając się ze sobą cechy wspólne uwydatniają a indywidualne zacierają? Albo może komórki w inny sposób udzielają podmiotowi swej treści? Jeżeli pielgrzymka komórki wydaje się nam niedorzecznością, to wiedzieć nam trzeba jeszcze i to, że wyobrażenie, jako *actio immanens*, udzielić się nie da, jak długo podmioty są różne¹. Musiałby więc podmiot jednego wyobrażenia zlać się z podmiotem drugim, trzecim i t. d., co również jest niedorzecznością, może jeszcze większą, niż pierwsza.

Czy może tem *intellectorium commune* jest cała kora mózgowa? — Ależ przez to, że ogół pojedynczych komórek nazwę zbiorowo: korą mózgową, nie otrzymam jeszcze jednego podmiotu, *intellectorium commune*, podobnie jak z kilkunastu ludzi związanych razem nie otrzymam jednego człowieka, nie otrzymam jednego rozumu, któryby myślał to wszystko, co każdy z ludzi z osobna. Więc i szara masa mózgu, jako zbiór komórek, będzie miała w jednej komórce to wyobrażenie, w drugiej inne, ale niepodzielnie jednym podmiotem nie będzie, pojęcie nie utworzy.

Zresztą przypuściwszy, że wyobrażenia są procesami mechanicznymi, oczekiwaćby nam należało, że „gdy dominujący pierwiastek łączy się z każdym oddzielnem wyobrażeniem, które do odnośnej grupy należy“; że gdy „tym właśnie uwydatnionym przez się składnikiem obejmuje świadomość cały szereg wyobrażeń i tworzy z nich jedno pojęcie“; że gdy „wyobrażenia należące do tej samej grupy zlewają się ze sobą“; — że wtedy powstanie z tak zlanych wyobrażeń jakiś obraz, i to ustalony w umyśle, że „przedstawi się w świadomości naszej jako określone oddzielne wyobrażenie“. A tymczasem: pojęcie nie da się samo w sobie wyobrazić. Nikt nie powie, że ma wyobrażenie

¹ Gdy fizyolog twierdzi, że wyobrażenia przechowują się w komórkach i zlewać się mogą ze sobą, to najoczywiściej konfunduje wyobrażenie jako stan podmiotowy z przedmiotem (jakaś zmianą molekularną), do którego się ten stan odnosi. Nie pierwszy, ale drugi przechowuje się w mózgu.

np. trójkąta, który nie jest ani ostrokątnym ani rozwartokątnym, ani prostokątnym, ani równoramiennym ani nierównoramiennym, ale trójkątem wogóle; — a przecież każdy pojmuje trójkąt wogóle. Podobnie każdy ma pojęcie cnoty, mądrości, sprawiedliwości i t. p., a nikt sobie tych rzeczy nie wyobraża. Co więcej, urabiamy sobie pojęcia takie, jak np. pojęcie ducha, których istota polega na wykluczeniu ze składników wszelkich cech materialnych. Czyż powiemy, że te pojęcia są czynnościami mechanicznymi? Ależ proces materialny, który orzeka, że nie ma w swej istocie nic materialnego, który więc jest uzmysłowioną negacją siebie, toż to prawdziwie *monstrum horrendum*!

To wszystko przemawia za tem, że pojęcie nie jest funkcją mechaniczną. Wundt dowodzi tego samego na podstawie tego faktu: że tworzenie pojęć wkracza w dziedzinę dowolnych czynności umysłowych, podczas gdy w łańcuchu przyczyn materialnych wszystko jest koniecznością określone. „Dla działania siły myślowej — powiada — nie ma znaczenia ani przyczynowość przyrodnicza, ani przyczynowość czysto psychologiczna..., lecz występuje tu przyczynowość logiczna w pierwotnej swej postaci, tj. owo twierdzenie zasady, podług którego myślenie nasze z danych połączeń wyobrażeń rozwija inne połączenia wyobrażeń. Wyróżniająca oznaka tej logicznej przyczynowości polega na tem, że z danych warunków wnioski niekoniecznie musi być wyciągnięty, lecz, że pozostawia się myśleniu dowoli, czy chce być czynnem, czy też nie. Stąd powstaje błąd, który zawsze pochodzi z niedokładnego zastosowania siły myślowej. Brak dostatecznych doświadczeń mógłby sam przez się uczynić poznanie niezupełnem, lecz nie mógłby nigdy doprowadzić do błędu. Prawda podobnie jak i złudzenie jest faktem myślenia dowolnego; w przyczynowości przyrody na te odpowiadające sobie pojęcia miejsca niema“¹.

5) Przypatrzmy się z kolei samowiedzy, czyli świadomości siebie.

Co to jest samowiedza? Jest to akt, w którym podmiot

¹ Wundt, o. c. str. 379.

czyni siebie samego przedmiotem swej czynności; żeby użyć obrazowego wyrażenia: świadomość siebie polega na tem, że podmiot widzi siebie w swej czynności i powiada: ja myślę, ja chcę, ja cierpię, albo: to co myśli, co chce, co cierpi, to ja; innemi słowy: podmiot wychodzi z siebie i powraca do siebie. A więc samowiedza jest najdoskonalszą czynnością wsobną, bo nie tylko że pozostaje w podmiocie, ale jeszcze podmiot ma za przedmiot.

Czy można tę samowiedzę wytłumaczyć za pomocą ruchu komórek nerwowych? W odpowiedzi pytamy, czy możliwą jest rzeczą, aby przedmiot, który wyruszył z pewnego punktu i od niego się oddał — tem samem wracał do tego punktu, czyli do siebie, w siebie się zaginał? Każdy powie, że to niedorzeczność. A więc niedorzecznością jest twierdzić, że samowiedza, to ruch. Niektórzy starają się obronić przed tą niedorzecznością mówiąc, że i ciało materyalne samo w sobie się porusza.

Zapewne, ciało składające się z cząstek, może, podobnie jak system sił, jedną ze swoich cząstek działać na drugą; może jedną cząstką wcisnąć się w przestrzeń pośrednią między innemi, ale żadna cząstka nie może być w drugiej, a cóż dopiero całe ciało w sobie!

Niektórzy znowu próbują wyjaśnić akt refleksyi za pomocą ruchu kołowego, atoli: 1. zapominają o prawie ruchu, które opiewa, że każde ciało dąży do zachowania swego stanu spoczynku lub ruchu jednostajnego po linii prostej, dopóki nie wpłynie nań siła, która stan jego zmodyfikuje; 2. wyjaśnienie to jest tylko prostą grą wyrazów, a to dlatego, że ciało, poruszające się po linii kołowej, nie wraca przecie ani do siebie ani do swego ruchu, ale tylko zdąża na miejsce, na którym przedtem się znajdowało, ale gdzie go już nie ma.

A zresztą, jeśli ruch fizyologiczny przekształca się w samowiedzę, to oczywista, że ten sam ruch, będąc samowiedzą, musiałby być przedmiotem swej świadomości, czyli, jeszcze prościej: musielibyśmy wiedzieć, jakie zmiany odbywają się w naszym mózgu. A czy wiemy? Doznając wrażenia, nie wiemy nic ani o zmianach w układzie nerwowym, ani jakiego rodzaju są

te zmiany; nie wiemy częstokroć, w której części ciała zmiana jakaś zaszła, nie wiemy nawet o własnych nerwach, o mózgu. — Co stąd wynika? Odpowiedź krótka: „jeżeli stan mózgu, z którym się wiąże wrażenie lub postanowienie, nie jest sam przedmiotem świadomości, to niepodobna odkryć, czy rzeczywiście istnieje stosunek przyczynowy lub wzajemne oddziaływanie pomiędzy mózgiem a świadomością. Nie mamy zatem prawa twierdzić, jakoby proces cielesny stanowił przyczynę duchowego“¹.

6) Następstwem poznania jest *chcenie*.

Fizyologowie twierdzą, że wola, podobnie jak i inteligencja, przywiązana jest do kory mózgowej. Jakżeż to rozumieć? Czy może tak, że *chcenie* jest mechaniczną funkcją komórek? Zobaczmy.

A najpierw trzeba zwrócić uwagę na to, że *chcenie* jako i poznanie jest: *actio immanens*; a jest nią jeszcze tem widoczniej wtedy, gdy podmiot zwraca się wprost do siebie, jako przedmiotu, gdy sam siebie porusza. Już zaś materya niezdolna jest do czynności wsobnej, a tem mniej takiej, w której *agens* i *patiens* jest to samo. A więc już to samo przemawia za tem, że *chcenie* nie może być czynnością mechaniczną.

Idźmy dalej. Czy świadomość odpowiada natychmiast aktem woli na bodziec, od którego doznała wrażenia? Odpowiadają psychologowie, że nie zaraz, ale dopiero wtedy, gdy „odpocznie po podrażnieniu cielesnem“. Cóż stąd wynika? Gdybyśmy przypuścili, że ruch fizyologiczny przechodzi w czucie, wyobrażenie i t. d. i potem w *chceniu* przez przemianę odwrotną przyjmuje pierwiastkowe kształty, — jak uczy Spencer — to musielibyśmy przypuścić, że ten proces byłby przerwany wskutek tego, iż się przeobraził w proces psychiczny, a pierwotnej postaci nie odzyskał natychmiast. — Otóż fizyologia przeczy stanowczo temu przypuszczeniu. I trudno, aby fizyologia, sprowadzająca zjawiska życiowe do praw fizyki i chemii, uznała kiedykolwiek przerwę w procesach jej znanych; ze stanowiska swego musi ona uważać proces nerwowy za ciągły, nieprzerwany obieg.

¹ Höffding, „Psychologia ogólna“. Str. 83.

Jako prawdziwą zdobycz, przedstawia nam fizjologia obraz mózgu, jako republiki centrów nerwowych. Każdy z tych środków odbywa swą funkcję i oddziałuje na inne, ale niema tam śladu przerwy w procesie fizjologicznym.

Gdy wola nie odpowiada natychmiast na bodziec zewnętrzny, to dodać trzeba, że nie musi nawet wogóle odpowiadać. Gdy wszystkie czynności materialne objęte są powszechnym determinizmem, tak że kto zna prawa działania materji na materję i zna zewnętrzne okoliczności, może skutek naprzód obliczyć i to z matematyczną dokładnością — to natomiast czyni woli są nieobliczalne tak dalece, że sami za siebie nie możemy ręczyć, jak się w pewnych warunkach zachowamy. Od czegoż to zależy, czy wola będzie wogóle działała, czy nie, czy skieruje się ku temu lub owemu przedmiotowi, że w tym lub owym stopniu moc swą objawi? Od niej samej. Wola sama się determinuje, a to już wręcz sprzeciwia się prawu bezwładności, rządzącemu materją. Materja sama nie może się poruszyć: potrzebuje poruszenia z zewnątrz; gdy znajduje się w ruchu, znowu potrzebuje przyczyny zewnętrznej, aby przejść w stan spoczynku, albo przyjąć inną postać ruchu.

Prawda, że i wola potrzebuje do działania pobudki, ale wiedzieć trzeba, że wszelkie pobudki nie są w stanie woli zeterminować. Wybór zależy od niej samej. Ona sama się w ruch (duchowy) wprawia ku swemu celowi i sama w dążeniu może się zatrzymać. Nawet pod wpływem najgwałtowniejszego przymusu może jeszcze wola wybierać, co chce. — Inaczej miałyby się rzecz, gdyby chcenie było ruchem komórek mózgowych. Ponieważ mózg bardzo często przedstawia o wiele mniejszą energię, aniżeli pobudki materialne, których się używa, by opór woli przełamać, przeto według praw fizyki wola musiałaby temu działaniu zawsze ulegać. Tymczasem wiemy, że choćby ciało uległo pod przemocą fizyczną, to przecież wola przyzwolenia nie da, jeśli nie zechce.

Zresztą pytamy: co może być pobudką, która nas do działania skłania? Wszystko to i jedynie to, co się nam przedstawia jako dobro, co woli naszej dogadza. A to dobro jest bardzo

często natury idealnej i jako takie nie może działać na materję. Jakież to bowiem ruchy wykonywa cnota, która dla wielu jest jedynym bodźcem do działania? Jakichże ruchów udziela drobinom mózgu?

Tak więc i chcenie nie może być czynnością mechaniczną.

Ponieważ tedy prosty ruch komórek nie wyjaśnia nam procesu myślenia i chcenia; ponieważ prosty mechanizm fizyologicznej wielości nie może nam wytłumaczyć psychologicznej jedności, — przeto przychodzimy do wniosku, że tożsamość zjawisk fizycznych i psychicznych jest twierdzeniem, które musi być umieszczone w rzędzie hipotez niemożliwych. Owszem, w miarę jak usiłujemy sprowadzać zjawiska duchowe do mechanizmu, pogłębiamy jeszcze odstęp między sferą fizyczną a psychiczną, między ciałem a duchem. Filozof berliński, E. du Bois-Reymond¹, tak tę sprawę przedstawił na zgromadzeniu lekarzy i przyrodników w Lipsku: Zdawałoby się mogło, że zjawiska duchowe dadzą się wytłumaczyć przez warunki materyalne; ale to tylko tak się zdaje. Choćbyśmy nie wiem jak kombinowali atomy mózgu, poruszali je, nie stworzymy sobie pomostu do świata świadomości.

Od dwóch tysięcy lat zajmowała się ludzkość tym problemem i mimo wszystkich odkryć, istotnego w tym względzie postępu nie uczyniła. Ale może duch ludzki rozwiąże ten problem na mocy zdobyczy następnych wieków? Otóż takie mniemanie jest błędem; zjawiska duchowe nie tylko dzisiaj nie dają się wyjaśnić materyalnie, ale i nigdy wytłumaczyć się nie dadzą. Jeżeli przyrodnik od dawna przywykł do *ignoramus*, co się tyczy zagadek w świecie materyalnym, to co się tyczy zjawisk duchowych, jakby one mogły być ruchem materji, musi sobie raz na zawsze powiedzieć przykre słowo: *ignorabimus!*

Skoro zjawiska psychiczne nie dadzą się wytłumaczyć mechanicznie, ale owszem w porównaniu z naturą zjawisk materyal-

¹ *Über die Grenzen des Naturerkennens*. 6. Aufl. 1884, S. 32—46.

nych, ich niematerialna natura tem bardziej się uwydatnia, pytamy teraz: czy substancja cielesna może być ich podmiotem? Bo przecież wiadomo, że niema działania bez działającego podmiotu; niema stanu podmiotowego bez podmiotu, przypadłości bez substancji. Owoż na uczynione sobie pytanie musimy odpowiedzieć stanowczem: nie! Jak bowiem zjawiska materialne, czy polegają na drganiach cząsteczek, czy są innemi stanami ruchu, domagają się dla siebie substancji złożonej i rozciąglej, bo same są złożone i rozciągle, — tak zjawiska psychiczne znowu, ponieważ są wręcz przeciwnej natury, żądają dla siebie substancji pojedynczej i niepodzielnie jednej. Gdy tedy zjawiska psychiczne odnosimy do substancji duchowej, a nie do „drugiej strony ciała“, mamy do tego prawo takie jak i przyrodnicy, gdy dla wyjaśnienia zjawisk materialnych przyjmują substancję i siły materialne.

Przeciw temu będą oponowali chyba tylko ci, którzy uważają, że niema innego tłumaczenia, jak tylko mechaniczne; że wszystko musi być mechanicznie tłumaczone; że jedynie mechaniczne tłumaczenie jest prawdziwe i zrozumiałe. Atoli tych uczonych-maszynistów zapytać możemy: skądże ta pewność, że tylko mechaniczne tłumaczenie prawdziwe, jedynie uprawnione? Czyż to ma być tak oczywistą prawdą, że nie potrzeba już podawać racji, przywołać świadków? — Ależ inne, niemechaniczne tłumaczenie niektórych zjawisk w świecie, jest co najmniej możliwe; byt niematerialny, który w niematerialny sposób objawia swoje istnienie, nie jest w sobie sprzecznością, nie jest niedorzecznością, którąby można *a limine* odrzucać. Że zaś jest nietylko możliwym, ale i rzeczywistym, dowodzą tego zjawiska niematerialne, duchowe. Alboż logika hipotezy nie każe oglądać się za inną przyczyną, gdy pewne zjawisko, a tem bardziej cała grupa zjawisk nie daje się wedle przyjętej teorii wytłumaczyć?

* *

Gdy dowodzimy, że między zjawiskami fizycznymi a duchowymi niema związku przyczynowego tego rodzaju, jak wy-

maga prawo zachowania energii, nie chcemy przez to twierdzić, że między zjawiskami tych dwóch porządków nie zachodzi żaden związek. Owszem, jest związek, tego dowodzą okoliczności, któreśmy poprzednio przywiedli, ale związek tego rodzaju, że skutek nie jest tej samej natury, co przyczyna, czyli że skutek nie jest przyczyną w zmienionej postaci.

Jakżeż to rozumieć? Zaraz się wytłumaczmy. Doświadczenie poucza, że ta sama przyczyna może się objawiać w całym różnych skutkach. Przykładów nie brak. Gdy staniemy na wadze, to skutek ciśnienia objawia się w tem, że jedno ramię wagi opada na dół, a drugie podnosi się w górę; stałimy znowu na drążku, który służy do poruszania miecha u organów, a siła pod którą drążek opada, objawi się w postaci chorału. Niejednakowy skutek zależy widocznie od różnej konstrukcyi przyrządów. Gdy waga, stosownie do swego przeznaczenia, przemienia siłę mechaniczną w ruch mechaniczny, to znowu organ siłę mechaniczną przeobraża w głos, który co do jakości różni się od siły mechanicznej. Inny przykład. Siła przyciągająca ziemi sprawia, że deszcz spada na dół, a chmury podnoszą się w górę; że pień drzewa rośnie w górę a korzenie na dół. Gdy ruch postępowy natrafi na system, który wykonywa tylko drgania poprzeczne, to wzbudzi w nim: nie ruch postępowy, ale drgania poprzeczne; gdyby zaś ten system już był w ruchu, to ruch działający nań złoży się z jego ruchem w jeden wypadkowy, różny od obydwóch. Żelazo potarte magnese, staje się samo magnese; drzewo potarte tym samym magnese, już nie przybiera własności magnesu, ale się natomiast rozgrzewa.

Jakż stąd wniosek? Taki, że różnica jakościowa między przyczyną a skutkiem nie zależy tyle od przyczyny działającej, jak raczej i to przedewszystkiem od reakcyi podmiotu, który działanie odbiera, od jego jakości czy to morfologicznej, czy chemicznej, czy fizycznej. Starzy ujęli to w taką formułkę: *Quidquid recipitur, ad modum recipientis recipitur*. — I odwrotnie, ten sam skutek może pochodzić od różnych przy-

czyn; tak np. ciepło powstaje tak dobrze wskutek spalania drzewa czy węgla, jak i wskutek tarcia i t. p.

Tyle co do jakości skutku. Co się zaś dotyczy ilości, wiedzieć należy, że przy wymianie jednej energii na drugą, choćby innej natury, nie podlega ona zmianie, tak że skutek co do ilości jest zawsze miarą przyczyny. Potwierdza to doświadczenie. A więc: między skutkiem a przyczyną zachodzić może: równość co do ilości, i różność co do jakości¹.

Zastosujmy to teraz do naszego przedmiotu. Gdy przedmiot zewnętrzny działa na organ zmysłowy, udziela się podrażnienie tem samem i duszy, która z tym organem jest ściśle złączona. Odebrawszy pobudzenie sposobem sobie właściwym (*recipitur per modum recipientis*), przechodzi dusza do działania właściwego swej naturze. To, co dusza z zewnątrz odbiera, to nie są gotowe czucia i wyobrażenia, to są tylko zmiany molekularne w układzie nerwowym, które nie przystawają do przedmiotów zewnętrznych, ale je tylko oznaczają. Czucie, wyobrażenie i t. d. jest aktem duszy, którym reaguje ona na zewnętrzne podrażnienie, i to w tym stopniu, że natężenie stanu podmiotowego odpowiada natężeniu pobudki, jakkolwiek niezupełnie².

¹ Obszernie to traktuje Wigand, *Der Darwinismus*, II, S. 176.

² Fr. Schultze wyjaśnia ten stosunek za pomocą następującego obrazu:

„In der Partitur einer Oper ist das ganze Werk enthalten. Diese schwarzen Noten und Buchstaben enthalten alles, was die Sänger singen, die Instrumente spielen, und auf der Bühne vorgehen soll. Wer der Noten und Buchstaben unkundig ist, sieht allerdings nur krause Striche und Punkte, deren Sinn er nicht versteht. Der Musiker aber durchläuft die Zeilen mit den Augen, in seiner Phantasie spielt sich die Handlung ab, und die Musik ertönt. Die Partitur lenkt den Arm des Kappelmeisters und leitet durch ihn das ganze Orchester und die Sänger auf der Bühne.

„Eine solche Partitur der grossen Weltooper ist die Grosshirnrinde. Auf kleinstem Raume, in verjüngtem Massstabe, in eigenthümlichen Zeichen der molekularen Veränderungen des Inneren der Gehirnzellen ist in ihr alles aufgeschrieben und aufbewahrt, was an Eindrücken aus der Welt auf den Menschen eindringen kann. Diese Partitur hat, um im Bilde zu bleiben, die Seele vor sich und liest in ihr die Weltvorgänge in ihrer subjektiven und individuellen Weise und wird durch sie zu entsprechenden Rückwirkungen, Bewegungen und Handlungen angetrieben“. — *Vergleichende Seelenkunde*, I. B. S. 148.

A jako czytanie, wyrozumienie znaczenia liter, nie jest to samo, co litery, tak i czynność duszy, odpowiadająca na zmiany w układzie nerwowym, nie jest to samo, co zjawisko odbywające się w mózgu.

A więc proces fizyczny przedstawia się: 1. nie jako przyczyna zjawisk duchowych we właściwym znaczeniu, ale raczej jako bodziec, jako siła wyzwalamąca energię potencjalną duszy; 2. przedstawia się jako warunek, żeby dusza mogła coś myśleć, coś chcieć; nacisk spoczywa tu na coś, to znaczy na treści myślenia i chcenia, gdyż myślenie i chcenie jest czynnością duszy właściwą. — Gdy więc słyszymy, że „kora mózgowa jest organem inteligencji i woli“, rozumieć to mamy tak, że kora mózgowa dostarcza treści i przechowuje ją, a dusza jest mistrzem, który tę treść, ten materiał przerabia po swojemu, według własnych prawideł. Że użyjemy porównania, kora mózgowa jest archiwum, a dusza archiwaryuszem, który w tem archiwum pracuje. W archiwum znajdują się szafy, a w nich akta odnoszące się do różnych spraw i czasów. Do niektórych szaf zagląda archiwaryusz często, to też akta, które się w nich przechowują, są mu dobrze znane. Inne szafy otwiera rzadziej, akta ich są mu mniej znane. Zdarzyć się może, że do niektórych szaf wcale nie zagląda, to też pewne akta są mu nieznane; może je wszakże odczytać, skoro tylko zada sobie tę pracę, by je z szafy wydostać.

Podobnie ma się rzecz z komórkami mózgu. Niektóre zawierają w sobie treść odnoszącą się do najzwyczajniejszych, codziennych potrzeb; archiwaryusz-dusza zagląda do nich często, a przeto treść ich ma w świeżej pamięci. Do innych komórek zagląda dusza rzadziej, więc treść ich zdaje się być zapomniana; nie jest wszakże zapomniana zupełnie, na zawsze, albowiem w toku myślenia stare obrazy z przeszłości mogą się odświeżyć i znowu się przesuwają przed oczyma ducha.

Archiwum może spłonąć, a z niem i akta; podobnież i komórki mózgu mogą zupełnie zmarnieć, a w takim razie i treść ich zostaje na zawsze zapomniana. — „Nie jest to wcale uroje-

niem, — powiada Fr. Schultze — gdy fizyologia podnosi z naciskiem ważność naszej kory mózgowej dla życia duszy. Przewaga człowieka nad zwierzęciem zależy zapewne od czynnika psychologicznego, ale również i od fizyologicznego czynnika mózgu. Mózg ludzki jest znacznie większy niż zwierzęcy. Przy wielkiej liczbie komórek mózgowych może człowiek o wiele więcej wrażeń w sobie przechowywać i przerabiać, niż zwierzę; ono jest żebrakiem, — człowiek milionerem, który też dlatego może sobie poczynać jak kapitalista. Byłoby atoli błędem utrzymywać, jakoby nie musiała się z tem łączyć także wyższość duszy, natury czysto duchowej“¹.

Gdy się więc mówi o wymianie energii między zjawiskami materyjalnymi a duchowymi, o równoważniku psychicznym, każdy, kto ten stosunek zjawisk należycie pojmuje, rozumie, że wyrażenia tego nie można brać w znaczeniu ścisłym, jak w fizyce, ale mniej właściwem.

¹ *Vergleichende Seelenkunde*, I. B. S. 151 f.

Ks. Paweł Rawski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

iuris ignorantia. Dr. Bronisław Łoziński. Studium prawno-społeczne
Lwów 1893.

Dzieło to mile się każdemu zaleca. Autor stoi na szczerze katolickim stanowisku, do którego się otwarcie i bez obawy przyznaje. Drugą zaletą dzieła jest przedmiot zajmujący. A do dobrego wyboru interesującego przedmiotu przyłącza się jeszcze sposób przedstawienia, mimo wszelkiej stosunkowej gruntowności i mimo wszelkiego uwzględnienia odnośnej literatury, pociągający i nawet dla profana całkiem zrozumiały. Pierwotnie miał autor na myśli wielkie historyczne dzieło w trzech częściach, z których pierwsza miała przedstawiać rozwój dawnego prawa w ścisłej łączności z życiem, druga dać pogląd na mechanizm dzisiejszego prawa pozytywnego i jego rozstrój z życiem, trzecia zaś rozwinąć w szerszem opracowaniu kwestyę traktowaną w tem dziele w siódmym rozdziale. Tylko dwie pierwsze części zostały opracowane i skrócone w rozdziale pierwszym do szóstego, siódmy i ostatni nie dał się z równą krótkością załatwić. Na pole prawa kościelnego nie wstępuje autor zupełnie, mimo, że byłoby zajmującą rzeczą i tu przeprowadzić zastosowanie maksymy o *iuris ignorantia*.

1) „Permettez de violer la règle, lorsque la règle est devenue un abus, souffrez l'abus lorsqu'il rentre dans la règle“. Te słowa Montesquieu'go stanowią wstęp do pierwszego rozdziału. „Prawo jest surowe dla każdego, kto go nie zna. Nieznajomością prawa bowiem nikt się zasłaniać nie może. Tak stanowią wyraźnie nasze kodeksy (cywilny

i karny). taką jest stała norma na całym obszarze prawa. Tysiące lat sterczy ona w dziedzinie prawa, jakby skamieniałość odwieczna, niezachwiana w swej podstawie, niespożyta w swej mocy, powtórzona w nowoczesnej kodyfikacyi w najsurowszej formie, a zawsze zasłaniana powagą prawników rzymskich, powagą ich wieczystego pomnika kodyfikacyjnego: *Corpus iuris civilis*“. Najlepiej wyraża tę zasadę uczony jurysta Paulus: „Regula est iuris quidem ignorantiam cuique nocere, facti vero ignorantiam non nocere“.

Ale jak daleko rozciąga się to *ius*? Obejmuje ono wszystkie ustawy i rozporządzenia! Ale kto je zna wszystkie, albo kto się może ustrzedz przed grożącymi każdej chwili następstwami ignorancji? Ani student kończący nauki uniwersyteckie, ani doktor praw, ani nawet urzędnik w swym własnym zakresie! Skoro się zaś tak rzecz ma, to słusznie zapytać może każdy profan, czy rządy nie widzą anormalności takich stosunków i czy przeto nie zechcą uczynić celem uwolnienia całej społeczności od niebezpieczeństwa grożącego każdej jednostce bez wyjątku. Gdzie chodzi o fizyczne dobro obywatela, tam się roi formalnie całe mnóstwo rozporządzeń, aby go uchronić od jakiej szkody, i nigdy państwu przez myśl nie przejdzie zapomnieć o regule: *Medicinae ignorantia nocet*, lecz owszem ochrania ono gwałtem swych obywateli przed tą ignorancją. A tam, gdzie o prawo chodzi, czyż tam może się państwo zachować zupełnie obojętnie? Czyż tu nie wchodzi w grę najważniejsze interesa tak poszczególnych jednostek, jak i całego społeczeństwa? A przecież jest to fundamentalną zasadą porządku społecznego, by wszyscy byli równymi w obliczu prawa! Piękna mi równość, skoro znajdują się tacy, co stoją pod tym względem wyżej, ci mianowicie, którzy są lepiej obznajomieni z wszystkimi ustawami i rozporządzeniami; oni bowiem mają zapewnioną opiekę państwa we wszystkim, co tylko zgodnie z temi ustawami przedsiębiorą. Inni tymczasem stają się igraszką przypadku, prześladowani ciągle nieprzyjaznemi losami, i często nawet w imię ustawy krzywdzeni w swych prawach przez tych, którzy w pogoni za szczęściem więcej okażą przebiegłości. Więc w takim razie możeby lepiej było połączyć się z anarchistami w pragnieniu obalenia istniejącego porządku prawnego? „U najważniejszej części naszego ludu — odpowiedział już przed laty 30 J. Held (w dziele: *Der verfassungsmässige oder constitutionelle Staat*) — zastąpić musi właściwą znajomość prawa sumienie, uczucie religijne i moralne“. Te więc idealne czynniki mają być podług Helda środkami zaradczemi. Ale jakże rzadko się one w naszych czasach trafiają, jak smutny obraz

przedstawia nasz wiek pod tym względem! Większość leży pogrążona w nieznajomości prawa, a ludzie bez sumienia zarzucają na nich sieci, częstokroć z samych praw utkane. Słowa „przegrać sprawę“ oznaczają stan dzisiejszej umiejętności prawniczej, a na każdy spór prawny spogląda się jakby na igraszkę przypadku. Wprawdzie kto nie zna stosunków rzeczywistych, mógłby twierdzenia te uważać za wynik pesymizmu. Lecz nasz autor cytuje dosyć dowodów na ich poparcie. Przywiódźmy sobie tylko na pamięć tę pochodnię wiedzy, która dopiero tak niedawno zgasła, męza, który jeszcze przed kilku laty powiedział, że gdyby był znał św. Tomasza, nie byłby się dziesiątkami lat bezowocnie w niektóre problemy zaciekał (dr. Ihering). Drugim znów dowodem jest dr. Zitelmann. Wreszcie przyłącza się i ta okoliczność, że w przeciwieństwie do starego rzymskiego prawa, traci z każdym dniem na znaczeniu prawo zwyczajowe. Tak np. austriacka ustawa cywilna nie zna go wcale. I gdyby jeszcze przynajmniej w praktyce nie mieli sędziowie względu na rzeczywiste stosunki życia, toby srogość prawa była nie do zniesienia. Także i świeży projekt nowej ustawy cywilnej w państwie niemieckiem usuwa prawo zwyczajowe. Z powodów politycznych jest to zapewne usprawiedliwione, bo dąży do zniesienia wszelkich partykularyzmów, ale czyż życie i uczucie pojedynczych szczepów da się wtłoczyć w jedną maszynę ustawodawczą? Tylko w handlu ma i nadal to prawo obowiązywać. A przecież gdyby ono zostało zupełnie zniesione, jakizby nastał nowy chaos i *ignorantia iuris*! Gdyby wtedy wybuchła burza ze strony socjalizmu albo anarchizmu, to któżby zdołał obronić system terazniejszy? A czyż nie grozi apatyczne zobojętnienie, jeżeliby ogół z biegiem czasu wobec dalszego potęgowania się dolegliwości przyszedł do przekonania, że prawo zamiast być dlań najbezpieczniejszem i łatwo dostępnem schroniskiem, zmieniło się w formalne misteryum, w księgę o siedmiu pieczęciach z widniejącym zdala złowrogim napisem: *Vae ignorantibus*!

2) Trojako Rzym, mówi Ihering, zwyciężył świat i napełnił go swym duchem: przez miecz, przez Kościół i przez prawo. W rzeczywistości, podobnie jak wiele nowszych pałaców w Rzymie powstało z gruzów starych świątyń, tak dzisiejsze prawo jest po największej części wzięte ze starego rzymskiego. Dowodem tego są właśnie Niemcy, które się najwięcej uskarżają na prawo rzymskie, a — w nowym projekcie zupełnie je za modłę biorą. „*Ignorantia iuris*“ wpadła, a raczej rzuconą została przez naukę na samo dno czeluści niezgłębionej, z której nieustannie szeroką smugą rozlewa się lawa abstrakcyjno-prawna, tak

gorąca i tak gęsta. że o tem, co na samo dno poszło, już nikt nie pamięta. Error, oto owa czeluść, z której od wielu lat rozlewa się gęsta lawa tomowych rozpraw z nowemi kombinacyami... W tej czeluśni naukowej, z napisem error, leży na samym dnie, wprowadzie nie zapomniana, lecz tylko od niechcenia i bez współczucia wspominana norma: *Iuris ignorantia nocet*“. A przecież są w prawie rzymskiem dwa osobne tytuły z napisem: *De iuris et facti ignorantia*, bardzo zaś często pojawia się we wszystkich jego częściach kwestya, jakie skutki błąd za sobą pociąga, a istota i działanie błędu jest wszędzie z największą dokładnością przedstawiona. W rzymskiej sferze życia było prawo wszystkim: i filozofią i praktyką. Kto choć trochę obeznany jest z historią prawa rzymskiego, wie dobrze, że było to u Rzymian rodzajem hańby, *turpitude*, nie znać prawa. U nich to zdanie: *iuris ignorantia nocet*, musiało wynikać z codziennej praktyki prawniczej, podczas gdy w nowszych prawach jest ta zasada produktem abstrakcyi, i dlatego bywa jakby na ślepo i ogólnie zastosowywaną. Słusznie zwraca Savigny uwagę, że tylko prawo kanoniczne pozostało w owych granicach sprawiedliwości, które były niegdyś prawu rzymskiemu pod każdym względem właściwe. Dr. Łoziński podaje pewną ilość cytat z nowszych i to samych pierwszorzędných jurystów, które uznają niekorzyść w zastosowaniu powyższej zasady. Czasy się zmieniły. Między prawem a życiem stoi dziś maszyna prawodawcza. W prawie rzymskiem, jak mówi Nerotius, istniało *ius finitum*, dzisiejsze tego nie ma; jakże więc można skutki ignorancyi i na nowsze prawo w zupełności rozciągać? Jest jedno dzieło (hr. Piniński, *Der Thatbestand des Sachbesitzerwerbes nach gemeinem Recht*, Leipzig 1888), które i tę kwestyę rozjaśnia. Za dalekoby nas zaprowadziło, przytaczać poszczególne cytaty czy to z prawa rzymskiego, czy z dzieła hr. Pinińskiego i innych. To, co się powiedziało, niech wystarczy dla zaznaczenia stanowiska autora. Pozwolimy sobie jeszcze tylko jedno zdanie zacytować, którego prawdziwość wykazuje cała historia prawa rzymskiego: „Rzymscy mistrze prawa kierowali wykształceniem prawem swojego społeczeństwa, więc mogli głosić zasadę: *iuris ignorantia nocet*. Normy rzymskie, odcięte od życia i historycznego rozwoju prawa, zasuszone w doktrynie i skamieniałe w pedantyzmie naukowym, a często nawet wprost przekrecone, narzucali nasi antenaci nie jako ożywczy żywioł dla kielkującego prawa rzymskiego, lecz jako prawo już gotowe, niewzruszone i bezwzględne“.

3) *Absit pestis et — ius civile*. Tem hasłem otwiera autor trzeci roz-

dział. Minister Steinbach miał raz w Wiedniu odczyt przed wykształconem kołem słuchaczy o „Znajomości prawa u publiczności“. Właściwie, powiedział prelegent, możem temat odczytu nie dobrze sformułował, powinienbym raczej mówić o „nieznajomości prawa u publiczności“. Rzeczywiście, jak długo jaki naród jest młodym, to świadomość prawa żyje w sercu każdej jednostki. Dopiero gdy się stosunki w najrozmaitszy sposób skomplikują, powstaje osobny stan „prawników“. W Niemczech zostało mimo oporu ludności wprowadzone prawo rzymskie. Teraz do tego doszło, że dla społeczeństwa niema nic tak nieznanego, jak prawo. „Tej zupełnej nieznajomości rzeczy przypisać należy, że publiczność, wchodząc w styczność z poszczególnymi instytucjami prawnymi, uważa je za normy dowolne i narzucone, które każdej chwili mogą być zmienione lub zastąpione wręcz przeciwnymi. Szczególnie na polu prawa prywatnego, mówi dr. Steinbach dalej, wprost zatrważającym jest objaw, jak powszechnie panuje zupełna nieznajomość najpierwszych i najprostszych norm prawnych, i jaką szkodę wyrządza ta nieznajomość. Nawet kupcy prawie nic nie wiedzą o prawie prywatnem, specjalnie o prawie handlowem, które jest przecież dla nich właściwym żywiołem“. A w takim stanie rzeczy czyżby już nie lepiej było znieść zupełnie zasadę: *iuris ignorantia nocet*? Zwłaszcza że, jak dr. Steinbach sam z naciskiem podnosi, w największej ilości wypadków pożądaną jest szybka decyzja, która nie pozwala na długie narady, albo je drogo opłacać każe. Prócz tego jest nawet nieraz dla kogoś niefachowego rzeczą zupełnie niemożliwą z całego morza ustaw i przepisów wyłowić dla siebie najważniejsze. Tylko prawo karne, uważa słusznie dr. Łoziński, jest jeszcze zawsze bardziej znanem. Ale dlaczego? Dlatego, że ma więcej związku z etyką. Dopóki więc samo prawo karne z etyką nie zerwie, albo dopóki wszyscy ludzie tak się nie zezwierzęcą, że postradają sumienie i jakieś religijne wychowanie, a praw potrzebować będą tylko w tym celu, co dzikie zwierzęta żelaznego okratowania, pozostanie zawsze taki sam stan rzeczy.

Najlepiej zredagowanym kodeksem jest austriacki. Ale czyż może i on nie brać pod uwagę zmian w życiu ludzkości? Między kodeksami, które uwzględniają i sobą wyrażają zasadę: *iuris ignorantia nocet*, zajmuje austriacki w praktycznych wynikach stanowisko najskrajniejsze (str. 84). Nawet Savigny, ten największy czciciel prawa rzymskiego, podaje łagodzące okoliczności. A to tem bardziej, że błędy prawne w tych czasach płyną po największej części nie tyle z nieświadomości istnienia samej ustawy, ile raczej z fałszywej, z mnóstwa rozporządzeń wytwor-

rzonej teorii. Następnie zważyć należy, że i kodyfikatorowie prawa austriackiego kierowali się politycznymi względami unifikacyjnymi. Powoływanie się na prawo natury, bez zwracania uwagi na jego podstawę, na różnolitość narodów, utrudniło tylko całkowite wpojenie kodeksu w świadomość ludu.

Projekt nowej niemieckiej ustawy poczuł trochę tę trudność i dlatego postanawia w § 144, że *ignorantia iuris* ma być wtedy danej jednostce poczytaną za winę, gdy nie użyje ona „troskliwości zwyczajnego gospodarza“. A mimo to jest na innem miejscu powiedziane, że ów często przytaczany pewnik o tyle tylko znajduje zastosowanie, „o ile jest słuszny“ (*so weit es richtig ist*). W każdym razie byłaby i w Austrii rewizya kodeksu cywilnego także pod tym względem nie bez korzyści, wobec zmian, jakie zaszły 1848 r. w życiu państwowem, i wobec palącej kwestyi robotniczej. Jeżeli prawo rzymskie ignoruje prawa stanu robotniczego, to oczywiście tylko dlatego, że jest mu wogóle obcy cały dzisiejszy ustrój społeczny. *Iuris ignorantia* występuje w nowej formie, już nie w ów sposób cierpliwy, wszystkie następstwa z poddaniem przyjmujący; lecz spieszy do ataku, burzy i niszczy i przy wtórze bomb dynamitowych woła głośno: *Noceo—civitati*. Jeden punkt musi każde prawodawstwo szczególnie mieć na oku: „Własność bez obowiązków nie ma przyszłości przed sobą. Żeby kawał planety (ziemi) należał do jednego człowieka w ten sam sposób, jak parasol lub banknot — mówi pewien krytyk projektu nowej niemieckiej ustawy (dr. O. Gierke) — to stanowi anomalię nieprzyjazną kulturze“.

4) Administracya. Obok stosunków prawno-prywatnych, obejmuje administracya dziś rozleglejszy obszar życia prawnego. Co to jest administracya? Trudno zdefiniować. *Corpus iuris civilis* uważa każdą definicyę za niebezpieczną; zresztą któżby zdołał nawet i przy najlepszej woli zdefiniować to jeszcze nieskrystalizowane *fluidum*? „...Nieuczony, ale bezpośrednio interesowany obejmuje nazwą administracyi wszystkie sprawy, które nie skazują go na kolizyę z sądem, krótko mówiąc, uważa administracyę za oko opatrności ziemskiej“. W zakresie administracyi ma zdanie: *iuris ignorantia nocet* dwojakie znaczenie. Odnosi się bowiem nietylko do interesantów, lecz i do samych wykonawców prawa. Niema w prawie administracyjnem takiej ustawy, któraby tę starorzyską zasadę wyносиła na stanowisko ogólnej normy. A przecież jest ona w dzisiejszym ustroju państwa aksjomatem prawnym, którym nie wstrząsnąć nie zdoła. Ustawa raz ogłoszona obowiązuje w każdym wypadku, czy się ją zna czy nie. Skoro istnieje jakaś norma, to

zawsze należy wnosić, że ją wszyscy znają. A przecież jest ten wniosek najczystsza fikcją. Przyjęcie tej fikcyi za punkt wyjścia w prawie administracyjnem jest dziś, mówiąc już najłagodniej, anachronizmem, trudnym do pojęcia, jeszcze trudniejszym do uzasadnienia, nawet ze stanowiska formalnego, a wprost niesprawiedliwym ze stanowiska praktycznych względów. Dowodu na tę tezę nie możemy opuścić. Niech wystarczy choćby jedna anegdotka, przytoczona przez d-ra Łozińskiego, która jednak trafnie i dalsze wywody w sobie obejmuje. Dwa rejestra, każdy z 9 tomów złożony, mieszczą przegląd pewnej ilości dekretów kancelaryi nadwornej, gubernialnych i t. p. Lecz choćby się i to wszystko przestudowało, nie jest się jeszcze zupełnie pewnym, czy nie istnieją jeszcze jakie inne ustawy, które autorowie pominęli, albo które później wydano. „Że pewnym siebie być nie można, to scharakteryzował najdrastyczniej i w głośny swego czasu sposób, jeden z najświetniejszych austriackich ministrów spraw wewnętrznych, a więc naczelników administracyi w ścisłym tego słowa znaczeniu, dr. Giskra. Kiedy bowiem wypadło powziąć decyzję w pewnej sprawie, nie mającej precedensu, dr. Giskra objawił z góry postanowienie swoje, które nie miało ściśle określonej pozytywnej podstawy prawnej, i na objętych w tej mierze przez referenta uczynioną, odpowiedział krótko a węzłowato: musi przecież znaleźć się dekret kancelaryi nadwornej, potrzebny do uzasadnienia takiej decyzyi, *a priori* powziętej! Tak jest, zawsze znaleźć się musi „coś” pozytywnego na wszystkie wypadki prawne, bo zbiory dekretów nadwornych i gubernialnych stanowią jakby las dziewiczy, którego w całości nikt nie poznał tak szczegółowo, aby mógł na pewne oznaczyć, co w danym razie jeszcze dotąd obowiązuje, a co stanowi już tylko materiał dla prawnika-antykwarza“ (str. 120). Wreszcie wkrótce potem ukazało się orzeczenie trybunału administracyjnego, który *ex offio* przyznał, że w prawodawstwie administracyjnem panuje chaos. Jeżeli gdzie, to na tem polu jest całkiem na czasie pytać o prawo zwyczajowe. Dr. Łoziński przechodzi różne gałęzie administracyi i wykazuje praktyczne trudności, które wszędzie istnieją.

5) *Corruptissima respublica, plurimae leges*. Te słowa Tacyta stoją na czele piątego rozdziału, który jest kampanią przeciw parlamentarnemu fabrykowaniu ustaw. Bardzo zajmującą jest statystyka, którą dr. Łoziński o Anglii zestawia. I tak, pod Henrykiem III. wydano 15 dekretów parlamentu, pod Edwardem I. 56, co daje przeciętnie na rok dla pierwszego 0·3, dla drugiego 1·6 ustaw. Pod Edwardem II. wynosiła przeciętna roczna cyfra 1·1, lecz wkrótce wzrosła do 7·7,

pod Jerzym III. (1760—1820) aż do 246·7, pod Jerzym IV. do 322·3, pod Wilhelmem IV. wynosiła 257·4. W pierwszym okresie rządów królowej Wiktorji (1837—53) podniosła się cyfra znowu aż do 333·4. Między wiekiem XIII. aż do XIX. jest proporcya jak 1 : 330. Na podstawie dzieł Buchera, Milla, Mohla i innych rozszerza się dr. Łoziński dalej nad niekorzyściami, będącemi wynikiem nowoczesnej fabrykacyi ustaw. Równie osiąga cel kopia, jaką kruszy za prawem zwyczajowem, np. na str. 183. Podobnie pouczającemi są przykłady, które nawet naszej Galicji dotyczą.

6) W szóstym rozdziale wyjaśnia autor cel swych wywodów. Ale choć się pozyskało wraz z nim przekonanie, że „prawo nie jest dziś tem, czem z natury swojej być powinno i czem w przeszłości odległej rzeczywiście było, tj. niejako duchową atmosferą, otaczającą człowieka, jak atmosfera fizyczna, z równomierną siłą na każdym kroku, w każdym działaniu w ten sposób, iż go zawsze w równowadze utrzymuje”—to jeszcze pozostaje kwestya, do czego ma to przekonanie służyć. Może na to, aby nas doprowadzić do „nihilizmu prawnego”? Niebezpieczne byłoby to przedsięwzięcie. Bez państwowej organizacyi z prawem, jako fundamentalną podstawą bytu, społeczeństwo istnieć nie może, chociażby mu nawet nie zagrażały skądinąd takie niebezpieczeństwa, jakie mieści w sobie gospodarcza strona dzisiejszej kwestyi socyalnej. Zatem norma: *iuris ignorantia nocet*, nie da się znieść bez zniesienia prawa samego. Celem więc autora było pobudzić do refleksyj, czy „robienie“ ustaw jeszcze i nadal może tak kwitnąć. Następnie zaś chciał także autor pokazać wyjście z tej kolizyi, przynajmniej w praktyce; a takim byłoby ustanowienie osobnej komisyi dla wypracowywania wszystkich ustaw, dla których parlamenty mają tylko szkice dawać, zastrzegając sobie jednak ich aprobatę. Dalej pozostaje jeszcze do rozważenia sposób obwieszczenia.

7) Dla rzymskiego społeczeństwa prawo było zarazem etyką. Tu zwraca się dr. Łoziński do pytania, w jakim związku wzajemnym pozostają ze sobą: prawo, etyka, religia. Jak wszędzie tak i tutaj stoi autor na stanowisku prawego katolika, tak że się i tę część pracy z przyjemnością czyta. Jeżeli już i inne części nie są bez uwzględnienia odnośnej literatury napisane, to ta jest co do tego szczególnie bogatą.

Na zakończenie niech nam wolno będzie dodać jeszcze parę uwag. Na str. 208 podaje tekst, że w prawie kanonicznem „położony jest nacisk na należyte rozpowszechnienie przepisu prawnego“. Tym-

czasem miejsce przytoczone z Benedykta XIV. (podług Laemmera: *Kirchenrecht*), nie odnosi się do rozpowszechnienia, lecz po prostu do *promulgatio*. Prawa muszą być w należyty sposób opublikowane, mówi Laemmer, biorąc słowo *promulgare* w znaczeniu publikować („Certum est ad legis substantiam pertinere ipsius legis promulgationem“, *leg. Leges sacratissimae, Cod. de legib. et rubr. Novell. 66*). Zanważyć jeszcze należy, że dzieło: *De Synodo dioecessana*, nie jest bullą, jak przyjmuje dr. Łoziński, lecz prywatną pracą wymienionego papieża. Także z Laemmera (str. 208, uw. 4) powzięte zdanie „o złagodzeniu przez Bonifacego VIII.“, nie jest wyczerpujące. Złagodzenie owo, podane przez Laemmera, odnosi się jedynie do pewnych kar kościelnych.

Pole „ignorancyi“ jest daleko obszerniejsze w prawie kanonicznem, niż to autor zdaje się utrzymywać, gdyż nie jest ograniczone tylko na jedną część prawa kryminalnego.

Na str. 307 sprzeciwia się autor zdaniu, wyrażonemu przez ks. Morawskiego w jego „Podstawach etyki i prawa“ (str. 148): „Wszelkie ustawy, z prawem przyrodzonym niezgodne, są nieważne i nie są właściwie ustawami, bo do istoty ustawy należy, aby obowiązywała, a obowiązek z prawem moralnem niezgodny, jest sprzecznością“. Sens tego zdania jest jasny. Jeżeli ustawa już nietylko coś przepisuje, do czego nie ma prawa (gdyż w tym wypadku może być jeszcze z innego powodu obowiązkiem być jej posłusznym), lecz jeżeli nakazuje coś, co jest samo w sobie grzesznem, natenczas posłuszeństwo nie obowiązuje. Wiemy wprawdzie dobrze, że wielu autorów, jak Paulsen (*System der Ethik*, str. 800) i Warnkönig (*Rechtsphilosophie*, str. 234), rozróżniają obowiązek prawny i etyczny, ale żadna szkoła katolicka tej różnicy nie uznaje, a dr. Łoziński odrzuca nawet Paulseną. Sądzę teologów katolickich, jak go ks. Morawski wyraził, sformułował już św. Tomasz: „Si lex humana in aliquo a lege naturali discordet, iam non erit lex, sed corruptio legis“ (*Summa theologica*, I. 2, quaest. 95 a. 2). Ale czy to zapatrywanie może mieć jeszcze w dzisiejszych stosunkach znaczenie i do jakiego stopnia? Na to pytanie odpowiada katolikowi *Syllabus complectens praecipuos nostrae aetatis errores* papieża Piusa IX., n. 56: „Minime opus est, ut humanae leges ad naturae ius conformentur“.

Jeżeli dr. Łoziński dalej mówi: „Etyka oparta na boskim nakazie oddawania Bogu co jest boskiego, a cesarzowi co jest cesarskiego, nie może nigdy sankcyonować oporu przeciw ustawom pań-

stwowym“ — to należy odpowiedzieć: Tak jest — o ile cesarz ma władzę od Boga, należy mu być posłusznym. Obowiązki bowiem posłuszeństwa ze strony podwładnego, odpowiada ze strony rozkazującego obowiązki utrzymania się w należytych granicach. „Nemo hominum habet in se aut ex se, unde possit imperii vinculis (ita ut peccatum sit non parere) ceterorum voluntatem restringere. Unico rerum omnium procreatori et legislatori Deo ea potestas est, quam qui exercent, tanquam a Deo communicatam exerceant necesse est“, mówi Leon XIII. w encyklice *Diuturnum*. Zarzuca się Jezuitom ślepe i bezwarunkowe posłuszeństwo we wszelkiej rzeczy bez wyjątku. Ale niesłusznie, bo chrześcijanin takiego posłuszeństwa nie zna. Względem państwa jednak wymagają ci właśnie, którzy występują przeciw Jezuitom, uległości najsakrajniejszej, nakształt maszyny.

I słowo opór wymaga sprostowania. Zawsze jest mowa o oporze biernym, na który nawet prawa, np. pruskie, zezwalają. Ta nauka jest tak powszechną w Kościele katolickim, że zapewne dr. Łoziński tylko w doborze tego wyrażenia trudność znalazł. Bellarmin, wielki obrońca Stolicy św., pisze nawet o papieżu: „Sicut licet resistere Pontifici invadenti corpus, ita licet resistere invadenti animas vel turbanti rempublicam, et multo magis si Ecclesias destruere niteretur“. Więc opór. Lecz kontynuuje: „Licet, inquam, ei resistere non faciendo quod iubet“ i t. d. Więc opór bierny. (*De Rom. Pontif.* lib. II. c. 29, arg. 7).

Jeszcze raz na końcu polecamy tę bogatą w treść i zajmującą książkę i wyrażamy życzenie, by autor jeszcze i inne kwestye prawnicze w podobny sposób opracował.

Ks. Augustyn Arndt.

Ks. Stanisława Grochowskiego żywot i pisma. Napisał *Adam Bełkowski*. Studium literackie, uwieńczone nagrodą na konkursie Bredkrajca przez Towarzystwo Przyj. Nauk Poznańskie. We Lwowie, z drukarni Władysława Łozińskiego. Warszawa, T. Paprocki i S-ka. 1893. (W 8-ce, str. 251).

Mnożą się u nas monografie, kreślące wizerunki duchowe znakomitszych pisarzy XVI. wieku. Mamy już obszerną pracę o Janie Kochanowskim, wyczerpujące studium postaci i czasów Nideckiego, przybývá nam teraz książka o Stanisławie Grochowskim. Odkąd Antoni Małecki w studium swem o Fryczu Modrzewskim wskazał ważność i potrzebę monografij, niewiele można było naliczyć prób udatnych w tym kierunku. Pochopniejsi do lekkomyślnego uogólniania całych

epok i wieków, porywaliśmy się kilkakrotnie do kompilacyjnych „Historyj literatury polskiej“; na pracowite, zmusne a niezbędne monografie brakowało często ochoty, najczęściej siły. Od lat dziesięciu daje się zauważyć zwrot zbawienny: ukazał się w tym czasie szereg monografij drobnych, ale jeszcze nie drobiazgowych, mnożą się cegły do przyszłego murowanego gmachu literatury polskiej.

Zasłużony autor monografij, dotyczących przeważnie XVII. w., ogłasza obecnie badania swe nad Stanisławem Grochowskim. Jest to studjum, podjęte na szersze rozmiary, dokonane spokojnie i z widocznem zamięłowaniem przedmiotu. We wstępie daje nam autor widok ogólny czasów Stanisława Grochowskiego. Przypada działalność literacka Grochowskiego na czasy przełomu cywilizacyjnego w Polsce. Charakterystyczne cechy tego przełomu: reakcja katolicka i zmieniony skutek niej stosunek do klasycznego poganizmu — te cechy ujął bardzo dobrze pan Belcikowski i przystępnie je wyraził. W rozdziale następnym kreśli autor żywot ks. Stanisława Grochowskiego. Jak wiadomo, niewiele się dochowało szczegółów, mogących rzucić jasne światło na cały żywot, a zwłaszcza na młodość Grochowskiego. Autor, oczyszczając biografię Grochowskiego z błędnych naleciałości, stara się zestawieniem drobnych faktów wyjaśnić, kiedy Grochowski bawił na nauce w Pułtusk i czego mianowicie tam się uczył pod przewodem Wujka. W rezultacie dochodzi do przekonania, „że ucząc się w Pułtusk w latach około trzydziestego roku życia, uczył się tam, jako przyszły ksiądz, nie czego innego, tylko teologii, brał może ostatnie wykształcenie, mające dopełnić poprzednich studyów, skoro nadarzyła mu się sposobność słuchać tak znakomitego jak Wujek profesora. Dodajmy jeszcze i to, że Wujek w szkołach jezuickich wykładał filozofię, teologię i język grecki, a zatem takie umiejętności, których nabywać mógł i człowiek w dojrzałym wieku, już przedtem niejedno umiejący“. Uwydatnia w dalszym toku autor stosunki, które wiązały Grochowskiego z Jezuitami, zwłaszcza z Wujkiem, do którego Postylli dopisuje Grochowski (1573 r.) wiersz swój — i z O. Skargą, wielbionym niejednokrotnie w poezjach Grochowskiego. Szczegóły z karyery duchownej Grochowskiego podaje autor za F. M. Sobieszczańskim i ks. Drozdiewiczem, roztrząsając krytycznie relacye tych pisarzy. Grochowski nie czyni wyjątku w orszaku licznych księży polskich XVI. wieku, dbałych więcej o beneficya niż o dobro duchowne swych owieczek. Sobieszczański na podstawie urzędowych dokumentów konsystorza warszawskiego, zarzuca Grochowskiemu niedbałość w pełnieniu obowiązków

i nieprzebywanie w miejscu duszpasterstwa. Co więcej, skłonny był Grochowski do pieniactwa, a z natury zapewne sangwinik, liczne miał kłótnie, to z mieszczanami Warty (blisko Kalisza), to z plebanem w Czersku. Z tego względu Grochowski ukazuje nam niejako dwa oblicza w historii literatury naszej: jedno, młodego, żywego, porywczego księdza — drugie, sędziwego, jowialnego pod starość poety. Wiadomo, że dopiero w starości zaczął Grochowski więcej pisać, i że wtenczas też najlepsze swe rzeczy napisał, kiedy szron siwizny ochłodził żywiość temperamentu. Niekorzystnych dla niego świadectw konsystorskich nie może naturalnie obalić autor; stara się zatem usprawiedliwić je niedostatkami natury ludzkiej i pięknie maluje Grochowskiego z jego młodszych lat:

„W czasach, w których surowa moralność i dawna świątobliwość chrześcijańska całym blaskiem jaśniała w osobach wielu pogromców protestantyzmu a wskrzesicieli katolickiej prawowierności; kiedy Hozyusz, Skarga, późniejszy kardynał Bernard Maciejowski, dawali ze siebie wzór nieskazitelnego kapłańskiego życia i przejęcia się swym obowiązkiem, posuniętego do abnegacji; kiedy Stanisław Kostka, wyrzekając się dla Jezusa wszystkich rozkoszy swej młodości i rodzinnych dóbr, dosługiwał się niebiańskiej aureoli na swe skronie: nasz poeta nie sięgał wcale duchem tak wysoko jak oni, i chętnie, ulegając wrodzonym swym skłonnościom, mieścił się w szeregu popołitniejszych duchów, ludzi przeciętnej miary, dla których wystarczało, jeśli się nie dopuszczali nieprzyzwoitości i zgorszenia bliźnim nie dawali. Był on pewnie zabawnym gościem i dobrym towarzyszem przy biesiadzie, lubił żarty i wesołość i sam je pierwszy podniecał; panom świeckim i dygnitarzom kościelnym umiał się spodobać swoim taktownym zachowaniem się, nielekliwym, ale też pozwalającym widzieć, że czuje i uznaje ich wyższość i dba o ich względy. O chleb powszedni ubiegał się także skrzętnie, wcale się nie stosując do zasady ewangelicznego ubóstwa“. — A skoro już jesteśmy przy chlebie powszednim. tedy nadmienimy zaraz, że w czasach Grochowskiego dedykowanie utworów osobom możliwym, a przez to szukanie ich łaski, stawało się coraz bardziej chlebem powszednim. Grochowski bodaj że rej wodzi na tem polu i prawdziwie zaciekle jest w tem dedykowaniu swych wierszy i w tej poezji — jeśli to zwać godzi się poezją — epigramatycznej. Nie mówiąc już o dedykacjach królowi i rodzinie królewskiej („Kalliopea słowieńska“, „Cień Królewiców“, „August Jagiello wzbudzony“, „Kolęda“ i t. p.), nie masz prawie najdrobniejszego wier-

szyka Grochowskiego, któregooby poeta nie był opatrzył w nagłówek jakimś nazwiskiem możnem naówczas. Stanowczo jest tych dedykacyj za wiele. Autor usprawiedliwia Grochowskiego zwyczajem ówczesnym, wynikającym z trudnych warunków, w jakich się literatura znajdowała. Nie da się jednak zaprzeczyć, że Grochowski starał się dedykacjami swemi nie tyle moralnego doznać poparcia, ile raczej materyalnego, z czem się zresztą w naiwności swej nie tai:

Cóż po was rymy nieszczesne na świecie!
Rychlej was wezmą, niż co wyzebracie!

A pod koniec zawodu pisarskiego żali się przed Skargą tak zabawnie, że żywo nam staje przed oczyma figura poety-dedykatora, przed którym kryją się, jak mogą, ówcześni mecenasi polscy:

Ilekoć, ojcze Skargo, panom rym swój dawam,
Albo książkę poświęcam, kłopot im zadawam,
Bo podczas na drugiego taka trwoga padnie,
Że tytuł swój ujrawszy, na twarzy pobladnie.
Powiem przyczynę, przecz tak chwałą pogardzają,
Podobno chwalebnego rzadko co działają.
Zaczem, iż brzydkie skąpstwo świat opanowało,
Do ciebie naostatek udać mi się zdało.

W tym wierszu ostre sobie ciągi zadaje Grochowski. Jeżeli bowiem owi „panowie“, „rzadko co chwalebnego działają“, to po cóż im poświęcasz swe rymy, a skoro ci za nie nic nie dają, czemuż im zaraz „brzydkie skąpstwo“ zarzucasz?

„Nie przypisujemy wcale Grochowskiemu wielkiego charakteru“ — mówi autor (str. 211) — a jabym dodał, że swemi natrętnemi dedykacjami przyczynił się Grochowski do obniżenia poziomu własnych swych utworów i był, bodaj czas niemały, trochę zabawną postacią, *querens quem devoret*, tj. komuby mógł nowe dziecko swej płodnej Muzy podrzucić. A że te dzieci jego nie zawsze były starannie umyte i uczesane, nie dziw, że niejednen z mecenasów „na twarzy pobladnął“, gdy go tak niepożądany zaszczyt dedykacyi spotykał.

Grochowski pisał za wiele, pisał często wbrew istotnej potrzebie tworzenia. Drobny swój talent poetycki rozdrobił jeszcze na nieprzeliczone wiersze okolicznościowe, a do tej wady organicznej talentu, do braku skupienia się, dołączyła się w późnym wieku nieodłączna towarzyszka starości, gadatliwość. Wprawdzie pan Bełcikowski utrzymuje, że „Grochowski nie jest bynajmniej gadatliwym“ (str. 239), jednakże w ocenie talentu poety sam wyznaje, że „Grochowski czasami

za wiele mówi" (str. 241), a śmiało rzec można, że najczęściej nie dbale mówi. Tam, gdzie jest krępowany treścią, w licznych przekładach z łaciny (utworów religijnych), tam tekst tłumaczony trzyma Grochowskiego na wodzy i nie daje mu się rozpisywać bez miary. Ale w pismach treści świeckiej, w przeróżnych Żalach i Łzach, nie zna Grochowski miary i nuży bardzo prędko czytelnika. Najczęściej nienaturalność narzekania od razu źle uprzedza czytelnika. Przemawia np. „Cień Królewiców“, cień syna Zygmunta III., dzieciny zmarłej po dwu tygodniach życia. Co też to niemowlę za gadatliwe! Już to mniejsza, że naśladuje z początku Kochanowskiego, ale jakież to ono rady tam daje rodzicom swym, jak już po dwutygodniowym pobycie w Polsce wie, że król od poddanych dużo kłopotów znosi!

Albo jak niesmaczne te próby nagrobków, z którymi się Grochowski narzuca rodzicom królewicza. Co za rymy lichel! „trzeciego—piętnastego“, „kosteczki — dziecineczki“, „niedojrzały — krajały“ i t. d. i t. d. Albo ów „August Jagiełło wzbudzony“, który gada prawdziwie jak ze snu lub z gorączki:

Co się tknie przybycia mego
 Aż z pola Elizejskiego:
 O królu polskiej krainy,
 A siostrzeńcze mój jedyny!
 Pisma jakieś niechętliwe
 A przytem i uszczypliwe
 Bez potrzeby tak śnać prawie (!?)
 Ujmę czynią mojej sławie...
 Nie pamiętając, że ono
 Dawno i dobrze rzeczono:
 O umarłych nie mów nigdy,
 Chybabyś chciał bez ich krzywdy!

Ostatnie dwa wiersze wprost się do Grochowskiego odnieść powinny, z tym dodatkiem, że nietylko umarłym ale i rymom polskim nie powinien był krzywdy wyrządzać. Tem to naganniejsze u niego, że umie on pisać inaczej, kiedy sobie trudu trochę zada. Pan Bełcikowski za pobłażliwie sądzi swego ulubieńca (str. 249): „Poeta nasz posiadał wrodzoną łatwość pisania wierszem, płynął mu on swobodnie i bez wysilenia i ten dar natury zapewne przyczynił się do tego, że w pomysłach swoich nie brakował, o dobór wyrazów i wyrażeń dość pilnie się nie starał (co za eufemizm!) i szedł jedynie za pierwszym natchnieniem“. Na ostatni wyraz zgodzić się nie mogę. Natchnienia widzę wogóle bardzo słabe ślady u Grochowskiego. Przekłady kan-

tyków i innych arcydzieł poezji religijnej zapaliły pobożność Grochowskiego, a z tej żarliwej pobożności pozostało kilka wierszy pełnych uniesienia. Na te wiersze zwraca bardzo trafnie uwagę naszą p. Bełcikowski; należało tylko uwzględnić także ujemne (a tak liczne) strony twórczości Grochowskiego. Całkiem przeciwnie stara się autor, co prawda bardzo zřęcznie, usunąć z przed oczu czytelnika wady poety, albo wprost za zalety je poczytuje: „Grochowski... wtrąca mianowicie rzeczy, które niekoniecznie do jego głównego pomysłu są potrzebne i wolelibyśmy zapewne, żeby ich nie było, bo tym sposobem całość przez większe ześrodkowanie myśli zyskałaby na sile i więcejby się zaokrągliła. Pomimo to, nawet te jego dygresye nie nużą nas i znajdujemy w nich jakiś powab (!?) i interes, bo ta ruchliwa fantazyja poety, odwodząc nas wprawdzie od głównego celu, umie zająć temi ubocznymi swemi pomysłami i nowemi obrazami“. Przyznam się, że nie znam takich dygresyj u Grochowskiego, któreby mnie nie nużyły, a cóż dopiero miały powab dla mnie. Autor widzi np. bardzo dobrze, że „słabą stroną ‚Pieśni na fest ucieszny‘ (Polsce i Moskwie) jest ciągle powtarzanie się jednego i tego samego motywu, tj. składanie powinszowań i życzeń różnym osobom, każdej z osobna, ale z jednego i tego samego powodu. Na czytelnika działa ta jednostajność nużąco i pieśni te zbyt rozwlekłe mu się z tej przyczyny wydają“ i t. d. (str. 188). Już się spodziewamy ostrej przygany lub przynajmniej chłodnej oceny, gdy wtem autor w obawie, że za daleko się posunął w naganie, szuka, czemuby tu usprawiedliwić Grochowskiego. „Tym razem jednak może niekoniecznie fantazyją poety obwiniać trzeba o niezbyt szczęśliwy pomysł. Powodem takiego układu pieśni mógł być także praktyczny wzgląd na rzeczywiste okoliczności. Wszystkie wymienione w pieśniach osoby były na godach (Maryny z Dymitrem) obecne. Wypadało zatem Grochowskiemu... każdemu z tych dostojnych gości złożyć z osobna i hołd i życzenia... że zaś wszystkich za jedno i to samo musiał słać, musiał się więc i powtarzać“ (str. 188).

Ustęp powyższy jest małą próbką życzliwej obrony, nie opartej na zbyt trwałych podstawach. „Pieśni na fest ucieszny“ wyszły po godach weselnych 1606 roku. Wyobraźmy sobie, na weselu Dymitra z Mniszchówną, poetę o żywej imaginacji, gorącym sercu, poetę władającego dzielnie piórem. Byłby nam dał jednolity opis czy obraz tych godów, byłby dał charakterystykę dwóch światów, polskiego moskiewskiego, opisał wspaniałość strojów, wdzięk niewiast, przepych majestatu królewskiego i t. d. Grochowskiemu pomysł tego „festu ucie-

sznego“ przedstawia się przede wszystkim ze strony, że tak powiem, dedykatorskiej. Dobrze to, że poemat można poświęcić „carowej“ Marynie. Ale to lepsze, że przytem można się przypodobać i carowi, „mężowi serca wielkiego“ i „zacnemu wojewodzie, z Wielkich Kończyc Mniszechowi“, „gorącemu w enocie“, i „szczęśliwej matce“ i „cnemu Maciejowskiemu“ i „cnemu trzeciemu Zygmunтови“ — ba, „małemu Władysławowi“, — a wcale to nie koniec jeszcze tym małym pieczeniom, które za jednym zamachem przy wielkiej upiec można było. Wszakże jest jeszcze „mąż poważny“, z Moskwy poseł, Ofanas, są książęta „Korybutowicy“, jest „enotliwy“ Pomaski (kanonik, sekretarz Zygmunta III.); wszystkim tym rozdał po „pieśni“ nasz hojny poeta. „Że zaś wszystkich za jedno i to samo musiał sławić, musiał się więc i powtarzać“, mówi pan Belcikowski. Otóż niełatwo zrozumieć, dlaczego Grochowski musiał wszystkich sławić?

Jeśli nie mogą się zgodzić na zbyt pobłażliwe ocenienie utworów Grochowskiego, nie znaczy to, że się nie piszę wogóle na sądy pana Belcikowskiego o poezjach Grochowskiego. Grochowski znalazł w najnowszym swym biografie cierpliwego i łagodnego czytelnika, który niezrażając się dziesiątkami kart pustych lub bezbarwnych, szukał wytrwale nielicznych ustępów, nacechowanych istotnym darem poetycznym. Nie znam poety, któryby tyle co Grochowski mógł zyskać na tem, gdyby go podano w urywkach najpiękniejszych; rzeczywiście ma on niekiedy wiersze dorównyujące Kochanowskiemu. I naodwrot: można zebrać sporą wiązanek rymów Grochowskiego tak lichych, że na przemiany litość i złość biorą, gdy się tę rymowaną prozę czyta. Dziwić się dawniejszym ostrym sądom nie można; natomiast z wdzięcznością powitać należy pracę p. Belcikowskiego, jako reakcję przeciw ryczałtowemu potępieniu Grochowskiego. Tylko że reakcja ta idzie może za daleko, kiedy chce z Grochowskiego zrobić „pierwszorzędnego pisarza i jednego z najdzielniejszych mistrzów słowa“ (str. 251). Mistrzem słowa jest tylko ten, kto włada słowem po mistrzowsku, kto tego słowa używa najodpowiedniej w danej chwili i kto go nigdy nie nadużywa ani na cześć gadaniny nie zużywa. Kto w pismach swych dał kilkakroć dowody, że wiedział, co są dobre wiersze, a pomimo to pisał okropne, ten nigdy nie był mistrzem słowa, ale tylko podmajstrzym, który zadawał sobie i drugim, jak pospolicie mówią, „fuzzerkę“. Oto ma, na przykład, Grochowski jeden z najpiękniejszych tematów, jakie ksiądz i poeta mieć może: męczeństwo św. Cecylii. Czy opanował ten wdzięczny temat, czy się nim przejął, zachwycił,

a przynajmniej godziwie opisał? Jest to nieznośna gadanina bez ładu i składu, nudna, niestrawna robota wierszowana. Pan Belcikowski bardzo sprawiedliwie ocenia tę ramotę (str. 129), chociaż swoim zwyczajem nie zaniedbuje sądu swego osłabić takim zdaniem: „Cała opowieść jego trzymana jest w stylu prostym i szlachetnym“ (!). Niepodobna mi tutaj przytaczać obszernych wyjątków z tej opowieści i z tego stylu „szlachetnego“. Polecam czytelnikowi ciekawemu opis „Wieczery Pańskiej“ w „Świętej Cecylii“ (Tur. str. 17 i nn.) lub Chrystusa w Ogroju, np:

Prowadzą związanego w miasto wielkim pędem,
A przed duchownym naprzód stawia go urzędem.
Gdzie przystało najwięcej, tam więc u nieludzkich
Nie znalazł miłosierdzia dwu biskupów judzkich.
Pan a biskup przyszyłych dóbr¹, źle uszanowany
Tam naprzód był wzgardzony, zelżony, oplwany.
Gdzie i od biskupiego wziął policzek sługi,
Po którym przed pogański odesłan sąd drugi“ i t. d.

Męka Chrystusowa:

Gdy się wszystek rozplynał jako woda prawie,
Tak iż członek nie został żaden w swoim stawie,
I język w poły zmartwiał...
Ananiasz i żona jego zdechłszy padli,
Że zmatali (!) i część swych pieniędzy ukradli.

Męczeństwo św. Cecylii (str. 41):

Dała głowę pod ostre żelazo cna panna,
Od kata w domu własnym, trzykroć w szyję ranna,
W poły żywo została, krwi się wytoczyło
Gwałt wielki...

Nagrobek:

Tu ciało Cecylii, rzymskiej męczennice
Zawarte od papieża Klemensa ósmego
W roku tysiąc sześćsetnym tylko bez jednego.

Jakież nazwiemy styl taki: „prostym“ czy prostackim?

Z prawdziwą przyjemnością przechodzimy teraz do stron dodatkowych talentu Grochowskiego. Wspomnieliśmy wyżej, że Grochowski

¹ Zwracamy uwagę, że słowa: „biskup przyszyłych dóbr“ i niżej „rozplynał się jako woda“, są dosłownie wyjęte z Pisma św. (Przyp. Red.).

w przekładach poezyj łacińskich zniewolony jest trzymać się danego tekstu, a nie odbiegając od tematu skupia się, co tylko na dobre wierszom jego wychodzi. Najlepszy tego dowód mamy w „Wirydarzu“, tłumaczonym z *Floridorum libri octo* Jezuitę, Jakuba Pontana. Grochowski dosięgnął w przekładzie tym nadzwyczajnej gibkości języka i słodczy wyśłowienia. Znane są z licznych wypisów te miękkie strofy:

O wdzięczne wód szeptania,
Wdzięczne źrójów gadania...
Przyleć mistrzu ptaćwa wszego
Do Jezusa małuczkiego...

Grochowski ma tu wielką zasługę pod względem formy, i w tym przekładzie, jak w innych (Kantyki, Hymny), pokazał, że umiał pisać dobre wiersze, chociaż nie zawsze mu się chciało je pisać. Zgadza się zupełnie z panem Bełcikowskim, że „przed Grochowskim nikt się u nas tak pieściwym językiem nie odzywał“. Szczególnie bogactwo i różnorodność stroficznej budowy w przekładzie hymnów, proz i kantyków, są godne wszelkiego uznania, a wpływ Grochowskiego na późniejszych naszych poetów pod względem czysto formalnym, byłby jeszcze do zbadania. Dziwi mnie, że autor pracowitej monografii nie podał w kilku przynajmniej strofkach arcypięknego przekładu hymnu św. Anzelma: *Omni die dic Mariae*. Grochowski uważa ten hymn mylnie za utwór św. Kazimierza, a dziwnym trafem nawet Wiszniewski w swej „Historii literatury polskiej“ (III, 372) także hymn *Omni die* za wiersz św. Kazimierza uważa, chociaż w przypisku przytacza tekst z *Vita beati Casimiri*, gdzie wyraźnie jest mowa o innym utworze: *facta a se hexametris egregia oratione*. P. Bełcikowski myli się także, zwać hymn *Omni die* „znanym hymnem św. Kazimierza“ (str. 136).

Grochowski przetłumaczył najpierw *Prævia Meditatio* św. Anzelma: *Omni die dic Mariae...*, to zaś, co uważa za drugą część hymnu św. Kazimierza, jest pierwszym hymnem św. Anzelma:

O cunctarum — feminarum —
Decus atque gloria...

U Grochowskiego (Tur. II, 155):

„O wielebna, o chwalebna
Z białych głów najzaczniejsza...

Grochowskiego trzecia część hymnu „św. Kazimierza“ jest tłumaczeniem w dalszym ciągu pierwszego hymnu św. Anzelma od strofki XXV.:

Reparatrix — et solatrix,
Desperantis animae:

A pressura, quae ventura
 Malis est, me redime,
 Pro me pete, ut quiete
 Sempiterna perfruar:
 Ne tormentis — comburentis
 Stagni miser obruar — i t. d.

Prześlicznie to oddał Grochowski:

Pocieszenie
 I zbawienie
 Grzesznych rozpaczających
 Zbaw ciężkości
 Nas za złości
 Swe nie pokutujących.
 Módl się, proszę,
 Że odniosę
 Swój odpoczynek wiecznie
 Bym srogiego
 Piekielnego
 Ognia mógł ująć koniecznie — i t. d. (Tur. II, 159).

Na takich przekładach zaprawiony, rzekłbym uszlachetniony, język Grochowskiego służy poecie wiernie, kiedy rzadkie chwile szczerzego zapału i wzruszenia, zwłaszcza pod koniec życia, zechcą się uwydatnić w prostych, szczerych zwierzeniach. Do takich należy „Karta pierwsza Toruńskich nocy“, pisana na dwa lata przed śmiercią, pełna dobrotliwego humoru, oświecona błyskami uśmiechu, przebijającego z poza łez starca-poety. Bardzo pięknie ocenił te wiersze p. Bełcikowski. Dał w nich sam poeta najlepszą charakterystykę swej osoby i swej chudoby, skromnej, biednej kustodyi kruświckiej. Postać poety ukazuje się tam w łagodnem świetle, jakby ozłocona promieniem zachodzącego słońca. Zapominamy o aktach konsystorza warszawskiego, o kłótniach i procesach Grochowskiego z lat młodszych — widzimy go w jego biednej wioszczynie, Pieckach Małych, jak cieszy swoje troski „rymem słowieńskim“, jak się zachwyca wdziękami wsi polskiej, z której nie pilno mu na tamten świat, choć „już tak siwy“; choć duch się jego wyrывa do ojczyzny niebieskiej —

Ale brat jego broni mu cielesny:
 Wszystko się wadzą, jeden chce do nieba,
 Drugi się ziemi trzyma, jako trzeba.

Książka p. Bełcikowskiego czyta się nadzwyczaj łatwo, napisana jest zajmująco, po prostu a pięknie. Ośmieliłbym się tylko zwrócić uwagę jego na jedno słowo, którego używa bardzo często, za często.

Jest to słowo „musieć“, dzisiaj w codziennych pismach rozwielnione, jak niegdyś „raczył“ w XVI. w. „Musieć“ nabrało dzisiaj odcienia całkiem niewłaściwego, rzekłbym niemieckiego, wyrażając już nie przymus moralny lub fizyczny, ale prawdopodobieństwo lub „prawie pewność“.

Dawniej mówiono i pisało: „Wiele ten czyni. co musi“; „tam wóz musi, gdzie się konie naprą“ i t. p. Bardzo rzadkie i późne są przykłady używania słowa „musieć“ w znaczeniu prawdopodobieństwa. (Por. Linde, III, 184).

Natomiast u p. Bełcikowskiego czytamy: „Nienawiści i gniewy nie musiały być wiekiste“ (str. 62); „nie musiał ich obwiniać o wielką krzywdę“ (str. 63); „dochody nie musiały być duże“ (str. 63); „mniejszą i lichą być musiała“ (*ibid.*). „Nie wspaniały musiał być i dom mieszkalny“ (*ibid.*); „musiał on spotkać się z takim dworem polskim“ (str. 203); „wydawać się musi pomysłem banalnym“ (str. 204). — Na str. 238: „dziwić się zapewne musi“; „musiał być swobodniejszym“, „musiał stronę formalną puszczać luzem“; „musiał pod tym względem szwankować“. Na str. 247: „cała Polska musiała rozbrzmieć pieśniami“; „Musiał Grochowski nie tylko Treny (Kochanowskiego) ale i inne pisma umieć na pamięć“.

P. Bełcikowski rozpatrywa w końcu swej pracy język Grochowskiego pod względem gramatycznym. Do uwag tam podanych dodałbym i ten szczegół, że pochodzenie mazurskie Grochowskiego zaznacza się wyraźnie w wymawianiu *s i c* w miejscu ogólnie polskiego *sz i cz*, tudzież w innych właściwościach fonetycznych i semazyologicznych, z których dzisiejsza dyalektologia możeby oznaczyła dokładniej, w jakiej okolicy Polski urodził się poeta. Grochowski rymuje: „przed-wiecz(z)nej“ i „dziewice cnej“; „zacna“ i „bac(z)na“; „nieszczesny“, — „idź spiesny“; „Pan“ i „sam“, „nam“ i „Pan“; „które my“, — „widziemy“ i t. p. i t. p.

W zestawianiu źródeł Grochowskiego i zależności jego od obcych wzorów, jest pan B. bardzo staranny i wyczerpujący. W poemacie o św. Cecylii siedl Grochowski przeważnie za „Żywotami“ Skargi, na co zwrócił uwagę p. St. Windakiewicz w swem studyum o Grochowskim (Poznań 1891, str. 26—7). Pan B. uważa za główne źródło Żywoty Świętych Laur. Suriusa i akta męczeństwa według Metafrastesy. Bardzo ciekawym jest fakt, na który także zwrócił uwagę pan Windakiewicz (l. c. str. 33), że Grochowski wtrącił do swych „Lez“

po śmierci Jana Zamoyskiego parafrazę z Sofoklesowego Ajaxa. Szkoda tylko, że ani p. Windakiewicz, ani p. Bełcikowski nie oceniają bliżej tego przekładu, czy był wprost z oryginału, czy z jakiego tłumaczenia łacińskiego dokonany. Tak mało mamy śladów znajomości w XVI. w. w Polsce tragiczków greckich, że szczegół powyższy nie jest bynajmniej wartości podrzędnej.

Wydanie książki p. Bełcikowskiego jest wogóle staranne. Druk zbity ale czytelny, papier ładny. Rażą tylko zbyt liczne błędy drukarskie, których wykaz może tutaj nie będzie całkiem zbyteczny, skoro nie dodano go do książki samej. Dostrzeżone pomyłki druku: niódbałość (37), piskupów (45), Gutterów (zam. Gutteterów, 74), roku 1599 (zam. 1590, str. 97), wstrętem (z. wtrętem, 105), wołały (z. wywołały, 114), eligijno-żałobnej (152), idę (zam. idą, 160), efktownych (162), szczegółów (175), Gutterera (175), klasyczynnh (176), daje (zam. łaje, 195), jugo (198), życiu (203), jakoby (211), wierz (z. wiersz, 212), de (212), tsrojenie (216), rozkosz (2 r. zam. rokosz, 216), dedykuje (218), wiezbyt (218), ostatktu (224), uwiablenie (235), kiarunku (236), zmo-difikowanie (241).

Brak także spisu treści na początku czy na końcu książki.

Pisaliśmy tu o Grochowskim, więc trochę wpadliśmy w zarzucione mu wady: w gadatliwość. Czytelnik niech ją nam wybaczy. Zbieając raz jeszcze, co się tu rzekło o książce pana Bełcikowskiego, powtarzamy, że praca to piękna, pożyteczna, którą autor i pamięci Grochowskiego i literaturze naszej dobrze się zasłużył. Popieramy najsilniej myśl pana B., wyrażoną przy samym końcu jego książki, myśl ponownego wydania pism Grochowskiego. Wyznajmy zarazem, że wolelibyśmy jednak widzieć w „szerszych kołach publiczności“ nie wydanie zbiorowe wszystkich pism Grochowskiego, ale wydanie staranne najlepszych utworów tego poety. Nie mogąc się bowiem zgodzić z autorem na to, że „dykeya Grochowskiego nigdy nie popada w trywialność ani w prozaiczną oschłość“, widzimy wszystkie grzechy zaniedbania w wielu pismach Grochowskiego, w których ogół dzisiejszy zasmakować nie może; a równocześnie podziwiamy i cenimy niekiedy w Grochowskim zarówno z autorem, chociaż nie tak pochopnie jak on, „mowę Grochowskiego czerstwą, zdrową i tak na wskrós rodzimym duchem przesiąkniętą“.

Józef Kallenbach.

Konstytucya Aten. Świeżo odkryte dzieło Arystotelesa. *Ćwikliński Ludwik*. Odbicie z *Przeglądu Polskiego* z kwietnia 1892 r. Kraków 1892. W 8-ce (str. 51).

Egipcyanie starożytni wyobrażali sobie, że istnienie duszy po śmierci zależy od utrzymania ciała. Coś prawdy tkwiło w tem wierzeniu. Budując największe i najtrwalsze grobowce, przechowując najstaranniej ciała swych zmarłych, przechowali nie dusze wprawdzie, lecz ducha swej cywilizacyi, przechowali co więcej plody duchowe najświetniejszej cywilizacyi świata starożytnego, jak tego dowodem jest świeżo odkryte dzieło Arystotelesa p. t.: *Ἀθηναίων πολιτεία*. Wykryte w jednym z papyrusów londyńskiego *British Museum*, a publikowane w Oksfordzie 1891 r. przez Kenyona, urzędnika tegoż muzeum, tak poruszyło cały świat naukowy, taką wywołało powódź edycji, prac naukowych, sprawozdań, recenzji, kontrowersyj w świecie filologicznym, iż doprawdy trudno połapać się profanowi w tym chaosie zdań, poglądów, zagadnień i wątpliwości. To też wdzięczność się należy autorowi niniejszej pracy, iż społeczeństwo polskie obznajomił z tą najnowszą, a wcale zajmującą kwestyą, interesującą nie tylko filologiczny świat, ale i historyków i całą wykształconą publiczność. Uczynił zaś to w sposób tak przystępny, tak poczytnie, jasno i wyczerpująco, iż z żalem rozstaje się czytelnik z książeczką, z której tyle się dowiedział, tyle nauczył i tak łatwo się nauczył.

Znakomita jest dyspozycya pracy. Autor dzieli ją na ośm rozdziałów. Wstępne dwa poświęcone są krytyce zewnętrznej politei, poruszają spór literacki o autorstwo zaprzeczane przez kilku filologów Stagiryście. Przypiski, zawierające w zwięzłej formie treść i ocenę pojedynczych zdań, wogóle poruszające kwestye krytyczne, są dla rzeczoznawców nieocenione, świadczą o samodzielności autora, a nie utrudniają niefachowym tak ciekawej lektury. Dalszych pięć rozdziałów poświęconych jest treści Arystotelesowej konstytucyi. Rozdziały te są najciekawszą częścią pracy, gdyż zaznajamiają czytelnika z nieznanymi dotąd faktami, rzucającemi niemało światła na rozwój ustroju politycznego najważniejszego państwa helleńskiego, przedstawiają nam znane już wypadki w całkiem innem świetle, że wspomnimy tylko Drakona, któremu dopiero po 22 wiekach historia oddaje sprawiedliwość. Autor przytem nie zadawał sobie bynajmniej rolę prostego sprawozdawcy, lecz stara się nowy materiał źródłowy architektonicznie dopasować do obecnego gmachu wiedzy historycznej, wskazuje, gdzie wyłomy w dotychczasowem pojmowaniu uczynić lub tego zaniechać należy.

Ostatni rozdział wreszcie zajmuje się krytyką wewnętrzną, o ile mianowicie dzieło filozofa jako źródło historyczne na wiarę zasługuje.

Dla sprawozdawcy pracy niniejszej jedna tylko nasuwa się trudność, tj. zdawania sprawy z tego, co samo jest znakiem sprawozdaniem. Trudno uchwycić to, co jest najważniejsze, gdyż wszystko jest bardzo ważne i bardzo ciekawe. Najchętniejby się chciało powiedzieć czytelnikowi: „Proszę samemu przeczytać“, a ręczyć mogę, iż niełatwo znaleźć książki o tak małej objętości z tak bogatą i tak pouczającą treścią.

Jeszcze jedna uwaga. — Nazwaliśmy pracę prof. Źwiklińskiego sprawozdaniem. Nie chcemy być źle zrozumiani. Sprawozdaniem jest ona o tyle, o ile być niem musi, mając zaznajomić wykształcony świat polski z kwestyą naukową i jej fazami. W ocenie jednakże tejże kwestyi i szczegółów, przez nią poruszonych, okazał autor tyle samodzielności, tyle trafnego i umiarkowanego sądu, że mała ta praca w rosnącej z każdym dniem literaturze, poświęconej Arystotelesowej politei, poczesne wcale zajmuje miejsce.

Dr. K. Krotoski.

Z męczeńskich dziejów Unii. IV. Listy Unitów wygnanych do Orenburskiej gubernii. Część III. (Dochód przeznaczony dla Unitów). W Krakowie 1892.

„Czy rzeka ziewania i nudów nie zaczyna się roztaczać pomiędzy wygnańcami a czytającą publicznością naszą?“ — pyta w przedmowie ks. dr. Chotkowski, zasłużony wydawca trzeciej już seryi listów Unitów wygnanych w r. 1887 i 1888 za wyznawanie wiary katolickiej do Orenburskiej gubernii. — O to chyba obawiać się nie można; zbyt blisko to nas obchodzące, zbyt ważne dzieje i jako dla katolików i jako dla Polaków, aby znużyć i znudzić nas mogły, choćby istotnie przebiegała w nich — jak wydawca sam ostrzega — pewna monotonna nuta. Może zresztą i jest monotonna, ale taka z jaką spotykamy się w aktach dawnych męczenników; a na tę monotoność żaden bodaj dotąd z najwybredniejszych literatów się nie skarżył. Trudno bez wzruszenia odczytywać ustępy, w których wygnańcy z taką nie zrównaną prostotą kreślą obrazki smętnej swej doli, czasami cofają się myślą do opuszczonych chat i rodzin, to znowu cieszą się, złudną niestety! nadzieją, że dni ich cierpień niebawem już skończyć się mają. Z jednej strony czyha na nich „głodna“ śmierć, z drugiej prześladowuje zima „sroga i ciężka“, a ileż trzeba hartu duszy, aby wśród nędzy, zimna, głodu, nie nadstawić nigdy ucha na zachęty kusicieli: „Przejdź tylko na pra-

wosławie, a powrócisz wolno do kraju, do domu, i niczego ci nie zabraknie“!

Bez wątpienia jest naszym i to świętym obowiązkiem, przychodzić w pomoc tym nieszczęśliwym braciom, dającym nam tak wspaniały przykład heroicznej miłości swej wiary. Dotąd społeczeństwo nasze nadspodziewanie pięknie z tego obowiązku się wywiązuje; wątpić też nie można, jak nie wąpi zasłużony Opiekun wygnanych Unitów, że „przed wiosną jeszcze poruszą się serca polskie, bo na osób blisko 400, potrzeba bardzo wiele“. Istotnie niepodobna sobie wyobrazić, aby, kto przeczyta te listy, taką tchnące grozą a jednocześnie napędlającą taką pociechą katolickie serce, nie zechciał, wedle sił i możliwości, przyczynić się do ulżenia biednym więźniom w długoletniej ich, nie wiedzieć czy i kiedy mającej się zakończyć niedoli.

Ks. J. B.

Jeremiasz Prorok. Dramat historyczny przez *Michała Żmigrodzkiego*. W Krakowie. Księgarnia Gebethnera i Spółki. 1892. (XXXIX. 127, w 8-ce).

Niejedną zaletą przewyższa ta praca wiele innych utworów dramatycznych, które zajęły poczesne miejsce w naszym piśmiennictwie; ale jedną pochwałę głównie podnieść należy w „Jeremiaszu“, mianowicie tę, że autor na tle upadku Jerozolimy przedstawia, a przynajmniej nasuwa na pamięć, obraz innych dziejów, które nas bardzo blisko obchodzą. Nietylko stosunki państwa żydowskiego wytworzyły widok narodu rozdwojonego wewnętrzną niesnaską, niepomego na swoje posłannictwo, toczonego robakiem zgnilizny duchowej, a przez takie odstępstwo od Boga, niezdolnego do czynnych dowodów prawdziwej miłości ojczyzny. Niejedna scena w dramacie p. Żmigrodzkiego potrzebowałaby tylko zmiany nazwisk, a widzielibyśmy dwór Stanisława Augusta... niestety, poznalibyśmy także późniejsze chwile, w których możnaby powtórzyć słowa, jakie autor wkłada w usta proroka do uczestników uczty Gedeliasza: „Zwierz nawet wzdryga się, gdy czuje świeżo rozlaną krew... krew waszych braci jeszcze się dymi wokoło, a wy tylko uczujecie...“ „...kajdany niewoli włożone na nasz kraj spodłą was, bo wy nie umiecie ich nosić z dumą a godnie. Czy wam nie wstyd waszych występków, waszego próżniactwa przed ludem waszym?...“ Ale prorok nie rozpacza o zmartwychwstaniu ojczyzny: umiera z jego przepowiednią na ustach, bo „Jeszcze jest Bóg na niebie“.

Zarzucić można temu utworowi trudne warunki sceniczne i, co może najważniejsze, brak kolorytu miejsca i czasu, czego nasz wiek

tak bardzo wymaga, i to nietylko pod względem materyalnym, ale pod względem nastroju duchowego.

Mimo to jednak ten dramat zawiera wiele scen prawdziwie patetycznych i na szczere uznanie zasługuje. K. C.

Piotr Chmielowski. Z powodu dwudziestopięciolecia pracy pisarskiej, napisał *Władysław Prokesch*. Kraków. Nakładem Wydawnictwa *Nowej Reformy* 1892.

Nikt bez wątpienia ani podejrywać nas, ani żadać od nas nie będzie, abyśmy się, wogóle mówiąc, zgodzić mogli na wiele z zasad, któremi p. Chmielowski w swych książkach, w swych krytykach się kieruje. Ale zrobiwszy z góry to zastrzeżenie, miło nam, że świeżo wyszła broszurka p. Prokescha daje nam sposobność do zwrócenia uwagi naszych czytelników na rzadki u nas w tym stopniu przykład ćwierćwiekowej, wytrwałej, nieustannej pracy warszawskiego autora. Istotnie czego p. Chmielowskiemu odmówić nie można, i co w nim, zdaniem naszym, na szczególną cześć zasługuje, to ta nieznużona praca, której owocem całe szeregi poważnych dzieł, setki rozpraw i studyów. „Bajeczna to prawie płodność“, jak p. Prokesch się wyraża, tem większego podziwu godna, że jednocześnie jest p. Chmielowski redaktorem paru peryodycznych wydawnictw, że nie zaniechując tych prac, nie cofając się od przyjętych raz obowiązków, podjął się jeszcze w ostatnich latach redakcyi na olbrzymie — niektórzy sądzą, że aż niezdrowo olbrzymie — rozmiary zakresłonej „Encyklopedyi ilustrowanej“. Takiej pracy, tak u nas niezwyklej, w jakimbądź obozie ją napotyamy — owszem, wbrew nierycerskiemu obyczajowi, który w wielu pismach dziś się zagnieździł, tem otwarciej i głośniej, gdy spotykamy się z nią nie w naszym obozie — hołd się słuszny należy. Ks. J. B.

Dzieła Adama Mickiewicza. Wydał *dr. Henryk Biegeleisen*. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej. 1893 r. Tomy 4.

Autor jednej z najlepszych biografij Mickiewicza, ogłoszonej przed kilku laty, zabrał się z niezrównaną skrętnością, pracowitością i z wielkim zmysłem krytycznym do zbiorowego wydania poezyj jego w ojczyстым języku, i to na podstawie pierwszych wydań, drukowanych pod okiem poety i z uwzględnieniem jego autografów. Do każdego utworu dodał przypiski, zawierające wszystkie odmianki tekstu od pierwszych druków aż do ostatnich wydań zbiorowych; zestawił wszystkie edycje danego utworu, oddzielne, zbiorowe, szkolne, ludowe, ilu-

strowane i z muzyką; przytoczył przekłady poezyj na języki słowiańskie, germańskie i romańskie. W osobnym rozdziale: „Motywy ludowe do ballad“, wskazał jeden z pierwszych, a może i pierwszy, na analogię gminnych podań, wierzeń i pieśni, służących za kanwę ballad naszego wieszcza. Wreszcie ze skrupulatną dokładnością określił czas powstania każdego utworu Mickiewicza, posługując się w tem korespondencyą poety i jego przyjaciół; wyliczył z dokładnością bibliografa liczne rozprawy, krytyki, dziennikarskie nawet artykuły, odnoszące się do poezyj Mickiewicza. Tu bibliografia mickiewiczowskiej bibliografii olbrzymia, autor ważniejsze tylko dzieła i rozprawy przytoczył.

Przedmowa do tomu I., obejmującego: „Ballady i Romance, Grażynę, Sonety, Konrada Wallenroda, Do krytyków i recenzentów“, jest literacko-naukową obroną Ballad i Romanc. Czy ta obrona była potrzebną? Nie umiem powiedzieć, ale jest pożyteczną, bo szeroko obmyślaną i śmiało rysami szkicuje genezę i dziejowy rozwój romantycznej poezji, ballady zwłaszcza. Objasnienia bibliograficzno-literacko-krytyczne wydawcy do powyższych pięciu utworów Mickiewicza, stanowią prawie książkę sporą (patrz t. I. str. 257—524).

W tomie II. opracowane: „Dziady“ część I., II., III. i IV.; „Księgi narodu i pielgrzymstwa“. Objasnienia wydawcy od stronic 327—419.

Tom III. „Pan Tadeusz“. W objaśnieniach wydawcy (stronica 277—387) podane warianty tego poematu.

Tom IX. „Wiersze oryginalne, Tłumaczenia i improwizacje“. Objasnienia wydawcy od str. 315—525.

Każdy tom ozdobiony portretem autora z różnych por jego wieku, i jedną podobizną autografu.

Bibliografowie i krytycy z powołania znajdują może niejedną myłkę lub nietrafny pogląd w objaśnieniach wydawcy. Być to wszystko może — dla mnie jednak, a sądzę, że i dla szerszych kół literackiej rzeszy, Biegeleisenowskie wydanie dzieł Mickiewicza, skrzętne i pracowite nad wszelki wyraz, jest prawdziwie „dobrą usługą“, bo podaje mi razem zebrane, a zebrane umiejętnie i krytycznie, to wszystko, co w ciągu lat 70-ciu w tysiącach rozpraw, krytyk, publikacyj rozrzucone, a tem samem albo zapomniane, choć się je czytało, albo wprost nieprzystępne było, a nadto odkrywa niejednen nieznany dotąd szczegół i prawdę.

Ks. St. Załęski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Cosmopolis. Par *Paul Bourget*. 1893.

Sursum corda! Oto krzyk niemal błagalny, wyrywający się z każdej kartki, ostatejniej, a bardzo świeżej powieści Bourget'a. Pełno w niej epizodów drastycznych, a mimo tego myśl czytelnika zwraca się do Boga; koniec tragiczny, a zamyka się książkę z pociechą i rozrzwinięciem. Ależ bo terazniejsza powieść — zwłaszcza powieść Bourget'a — to zwykłe historya duszy, a tutaj dusza głównego bohatera dochodzi do zrozumienia, że jeden promień wiary więcej wart od całych fajerwerków ludzkiego umysłu. *Cosmopolis*'a do rąk panienkom dawać nie trzeba, ale niejeden znajdzie w niem wiele potrzebnej mu nauki; wprawdzie mógłby ją podobnie znaleźć i w katechizmie — tylko że do katechizmu może nie każdy zechce się udać.

Cosmopolis jest to ruchomy, różnobarwny, elegancki tłum, zbiorowisko ze wszystkich krain i wszystkich narodów, tworzący osobne kółka społeczne w każdym z głównych miast włoskich, a w Paryżu wypierającego coraz to bardziej francuski żywioł rodzimy. Żeby ten świat był pięknym, tego, sądząc z opowiadania Bourget'a, powiedzieć nie można: jest tam Wenecyanka piękna jak starożytna bogini, o potężnym organizmie fizycznym i bardzo tępem sumieniu, jest Amerykanin, malarz Maitland, mało również o owem sumieniu wiedzący, są tegoż żona i szwagier, w których przymieszka krwi czarnej budzi wręcz sobie przeciwne instynkta: u brata niewolniczą uległość i przywiązanie, u siostry zaś najpodlejsze uczucia i zbrodnie. Dalej jest Polak Bolesław Górka, charakter słaby, zmienny, zdolny do najbrzydszej niewierności, równie jak i do cudów odwagi fizycznej. Jużto jak Francuz przyzna raz Polakowi, że jest *très brave*, to mu się zdaje, że ma wszelkie prawo ze wszech innych miar go bezcześcić. W skreślonym tu typie Polaka jest to atoli tem boleśnieszce, że wielu rysom niepodobna nie przyznać prawdy, może przesadzonej, naciągniętej, ale zawsze prawdy. Do kociej natury, jaką autor widzi w charakterze polskim — nie umiejac robić różnicy między odrębnymi słowiańskimi typami — możemy nie przyznawać się wcale; Polak bowiem jest wogóle aż do zbytku, aż do dzieciństwa naiwnym wobec drugich i... wobec siebie. Bourget zaś przypisując mu wobec drugich przebiegłość, naiwność tylko względem siebie samego podnosi i w ostrych maluje konturach. Bolesław Górka, zdradzając najlepszą żonę i to przez

rok cały, z całym artyzmem bezecnego kłamstwa. wmawia w siebie, że jej nigdy nie przestał kochać; gdy zaś mu żona dla miłości dziecka przebacza, czyni gorące postanowienie poprawy i biorąc to postanowienie za czyn dokonany, czuje się tem samem w sumieniu swoim zupełnie usprawiedliwionym. Gra sam przed sobą komedię strzelistych a cuotliwych uczuć i sam się niemi olśniewa i mami. Żona zaś jego to Angielka, silna i prosta, jakoby z jednego głazu wykuta, nie pojmująca żadnego rodzaju ani obłudy, ani nawet złudzenia, nie umiejająca rozróżnić odcieni. Im większy kontrast między tym dwojgiem ludzi, tem głębsza litosna pogarda, z jaką piękna Maud patrzy w końcu na słaby a błyskotliwy charakter męża; widok jego — zwłaszcza dla nas — tak przykry, że wolelibyśmy postać prostego zbrodniarza. Wolelibyśmy też — co może niejednen za przesadę poczyta — aby autor nie był wygrzebywał z pod grobowych pleśni starożytnego nazwiska, którego brzmienie pomimo innowierstwa ostatniego potomka, drogie nam jest, bo przypomina szczęśliwe, przed-elekcyjne czasy; żeby go zwłaszcza nie był wygrzebywał na to, aby weń ubrać tak moralnie nędzną figurę, jak ów rzeczony Bolesław... Obok nich świeci bogactwem żyd wiedeński Haffner, skompromitowany podczas giełdowego krachu, ale dzięki swej mądrości w kierowaniu nietylko interesami, lecz każdym swym krokiem i każdym swem słówkiem, zupełnie rehabilitowany w opinii eleganckiego świata. Ten pół-żyd pół-protestant, zarazem zdzierca i znawca sztuki, posiada córkę-aniola. Jest to najśłabsza krecya w powieści, gdyż takich Fanny Haffner spotkało się już bardzo wiele w nowoczesnych romansach, a jakimś dziwnym trafem nie widziało się ich nigdy w życiu. Czytelnik zatem podziela zdanie starego Francuza, dawnego papieskiego żuawa, osiedlonego na dewocyi w Rzymie, a zapatrującego się bardzo sceptycznie na porywy świętości bankierówny. Ten stary żuaw — margrabia de Montfanon, to znów uosobienie Francyi rycerskiej, dawniej Francyi Bayardów i trubadurów: gdyby był Polakiem, mógłby służyć za typ jako *Sodalis Marianus*. Za to jego przyjaciel, młody powieściopisarz, Dorsène, syt laurów i sławy, to pono sam Bourget lub umysł bardzo jemu pokrewny.

Ten człowiek w gruncie szlachetny i dobry, utworzył sobie bóstwo z własnego rozumu, co jednak autor surowo piętnuje, jako *ce péché de l'esprit pour lequel il n'y a pas de pardon*. Żyje on, myśli, działa jedynie dla używania intelektualnych rozkoszy; ludzie dlań są marynetkami, które się kręcą, cierpią, cieszą, bawią i grzeszą jedynie na to, aby spostrzeżeniami swemi mógł skarby owej intelektualnej roz-

koszy pomnażać. Otóż ten „umysłowy Epikurejczyk“ rozkochuje w sobie córkę pięknej Wenecyanki, czystą jak łza, a bladą, smutną Albę, u której rosyjskie pochodzenie ojca ostudziło krew włoską, a podnieciło nerwy. Uwiadomiona przez niegodziwie mszczącą się panią Maitland o gorszajem postępowaniu matki, biedna dziewczyna tuli się do jego miłości, jako do jednej pozostałej dla niej w życiu deski ratunku — deska ta jednak z pod jej rąk się usuwa, bo Dorsène oświadcza jej, że jej nigdy nie kochał, że nie jest do miłości zdolnym i że byłoby zbrodnią los jej do jego losu przywiązać... Wtedy Alba nawpół oszalała z bólesci, nie zabija się wprost, ale idzie wieczorem nad niezdrowe, malaryą i śmiercią ziejące jezioro, i w sześć dni potem umiera. Zgon jej dopiero otwiera oczy poecie.

Ostatnia scena powieści odgrywa się w ogrodach Watykanu, kędy Montfanon zaprowadził bolejącego młodzieńca; tu jednak stary żołnierz, z którego prostoty niedawno Dorsène się uśmiechał, góruje nad nim całą wyższością rzeczy Boskich ponad ludzkiemi, obok pociechy nie szczędzi mu i słów prawdy:

„Ze wszystkich egoizmów — mówi między innemi — ten jest najgorszy, który poniża najwyższą duszy potęgę, aby z niej uczynić narzędzie pustej, bezpłodnej a nieludzkiej rozrywki“. A gdy Dorsène przyznając mu słuszność czyni tylko uwagę, że „jest to choroba zbyt wy rafinowanego wieku, na którą niemasz lekarstwa“ — „jest lekarstwo“ — odpowiada mu Montfanon — i chcąc go własną bronią zwyciężyć, przytacza słowa Balzac'a, „górujące nad całym dzieł jego ogromem“: „Myśl, źródło wszystkiego złego i dobrego, nie może być przygotowaną, kierowaną, pokonaną, jak tylko przez religię“. Przy samym końcu przed oczami rozmawiających przesuwają się zdala postać Ojca św. „Oto — mówi Montfanon — lekarz, w którego rękach złożone jest lekarstwo na tę chorobę duszy, równie jak na wszystkie inne“... Śliczna to chwila, a którą autor musiał przeżyć w rzeczywistości, gdyby jej inaczej nie opisał tak rzewnie. Bourget nie pokazuje nam jeszcze Dorsène'a klękającego pod krzyżem, ale czuć, że ta chwila już bardzo blizką, bo duma rozumu ludzkiego ugięła się pokornie pod jasnością z krzyża bijącą.

Wenecyanka nie nawraca się nad trumną jedynego dziecięcia — zbyt jeszcze sobą zajęta. Cierpi jednak, a ta boleść, choć w setnej części nie zbliżona do tego co córka przez nią cierpiała, jest już początkiem jej kary.

Dziwna rzecz, jak często w obecnych powieściach spotyka się

opis nieszczęścia, jakie przez winy rodziców spada na niewinne dzieci: niedawno ukazał się w Polsce *January* P. Marrenè, dalej hiszpańska powieść *La Montalvez* przez D. José Maria de Pereda — a nareszcie francuskie *Cosmopolis* Bourget'a. Autorowie z pewnością nie przepisywali się wzajemnie, a jednak u każdego z osobna jedna i ta sama brzmi nuta, jedna i ta sama przestroga. Widocznie, iż przez cały świat myślący powiało jakieś silne tchnienie, jakiś głos wołający do pokuty lub wstrzymujący od złego. Już Vogüé wskazywał ów lepszy kierunek najnowszej literatury, w artykule swoim *Les Cigognes*: Boże daj, aby dobre ziarno, dobre przyniosło owoce, a opis skutków grzechu co raz częściej zastępował w powieściach opisy grzechu samego.

T. W.

Z literatury angielskiej.

I.

Katolickie czasopisma. — Najnowsze dzieło O. Morris'a. — Żywoty Chrystusa Pana. — Literatura „Manningowska“. — Broszury antyteozoficzne. — Dział teologiczny i ascetyczny.

Nielatwem zadaniem w naszej rozpisanej epoce wybrać i dobrać znaczniejsze tętna, aby na nie zwrócić czytelników uwagę. Płynie fala powszednich wydawnictw, płynie z szumem i pianą płatnej reklamy, lub nieroztropnego poklasku. Czy jednak z nadmiernego żniwa obecnej pory zostanie jakie dobre dla przyszłości ziarno, czy z tej nawały księgarskich nowości którabydź się ostanie, aby przejść do trwałej spiżarni ducha ludzkiego? Odgadnąć trudno, orzec niepodobna. Znużona powszedniością współczesnych druków, rozerwana gorączkowem pochłanianiem dziennikarskiej strawy, myśl i uwaga czytelników zatracza zdolność strawienia i ocenienia należycie nowych literatury płodów. A zresztą sąd doraźnie o książce wydany nie zawsze odpowiada jej wartości. Rousseau kiedyś powiedział: *Un paysage, c'est un état de l'âme*. Mybyśmy to zdanie stokroć bardziej przystosować gotowi do wrażeń z tej lub owej lektury odebranych. Zależą takowe w znacznej części od indywidualnego usposobienia i nastroju. Książka „w dobrej przeczytana chwili“ zwykła nam się podobać niezależnie od jej rdzennej wartości, podczas gdy inna, podjęta w szarej godzinie znużenia i rozstroju ducha, mimo zalet swych, gotowa niesmak po sobie zostawić. Stąd tak trudno cudze przyjmować wyroczenie lub własne narzucać

oceny i zdania. A jednak przygodne lenistwo, tudzież brak czasu nie wystarczającego już, aby podolać ogromowi płynących zewsząd książek, skłania większą część czytelników do spuszczenia się na sąd i słowo sprawozdawców witających i polecających w lot ukazujące się na półkach księgarskich nowości. Pewna odpowiedzialność stąd zaciężyć musi na tych recenzentach, którzy niedość ostrożnie biorą na przykład krytyki podany sobie do przeglądania materiał. Bezpieczniej nie kusić się o wydanie sądu, nie oceniać z góry przedłożonych bieżącej literatury płodów, lecz po prostu otworzyć okno na obcego piśmiennictwa dziedziny i ograniczyć się bodaj na bibliograficznych wzmiankach, wśród których czytelnik dobierze co mu się wyda być godniejszym bliższego poznania.

Oczywiście zaczniemy nasz przegląd od wydawnictw katolickich. Rzecz dziwna! rosnący w siłę i liczbę katolicyzm angielski nie zdobył się dotąd na codzienne czasopismo. Pełno powstało tygodników i miesięczników, o nierównem znaczeniu i powadze, nie uznano konieczności ani potrzeby założenia katolickiego, politycznego dziennika. Potrącono o tę kwestyę w październiku r. z., na konferencji katolickiej, która się w Liwerpolu odbyła. Atoli jeden z mówców wskazał, iż prasa angielska tak uczciwie dziś otwiera swe łamy wszelkim pracom historycznym i dyskusjom zasadniczym, tak bezstronnie zamieszcza wiadomości ze świata katolickiego i wystrzega się tendencyjnych zaczepiek, iż na razie niema potrzeby zakładania osobnego dla katolików dziennika. Owszem, z większą nieraz bywa korzyścią rozpowszechnienie wiadomości i rozpraw dotyczących Kościoła i spraw katolickich w gazetach rozchodzących się po całym państwie angielskiem. Wystarczy przypomnieć mnogie hołdy oddawane z kolei dwom zmarłym kardynałom angielskim przez protestanckie czasopisma, które w ostatnim roku dostarczały też czytelnikom swoim mnóstwa szczegółów, odnoszących się do obsadzenia westminsterskiej stolicy i wyboru M-gra Vaughana na następcę nieodżałowanego Manninga. Prawdziwa tolerancya i swoboda sumień, cechująca angielskie dziś rządy, przeniknęła ogólnie prasę, w której coraz rzadziej spotkać się można z wycieczkami przeciw Rzymowi i katolickiej Prawdzie.

Wiec liwerpolski zastanawiał się nad większą stokroć potrzebą nie już czasopism, lecz książek pisanych w duchu katolickim. Jeśli ich dotąd pojawia się zbyt mało, przypisać to należy nie tyle brakowi pisarzy katolickich, ile raczej katolickich czytelników. Wszakże stawiono nieraz za pewnik, iż katolicy nie czytają wcale lub bardzo mało.

Niesłuszny to zarzut. Katolicy tyle czytają co i inni ludzie, tylko nie przebiegają w podawanej sobie strawie, i z właściwym sobie eklektyzmem to biorą do ręki, co się pierwiej im nawinie, nieraz w mętnych czerpiąc źródłach i na osad fałszu wystawiając pamięć, myśl i uwagę. Postanowiono tedy rozszerzać działanie dobrych książek, mnożyć czytelnie katolickie, uprzystępniać katolickie wydawnictwa, i zagaić krucyatę podobną tej, którą przed dwudziestu laty ogłosił kardynał Manning w sprawie wstrzemięźliwości. Owszem umyślono pod dawne znaki Ligi Krzyża podszycie zamierzone apostołstwo książkowe. Im lud więcej czyta, tem mniej pije, stwierdzono już wielokrotnem doświadczeniem. Zaczem wskazaniem jest propagandę książkową oprzeć o wypróbowany wpływ bractw wstrzemięźliwości.

Na czele prasy katolickiej stoi zawsze półwiekowy już przeszło tygodnik: *The Tablet*. Jest i katolicki *Times*, dalej poświęcone społecznym sprawom „Żniwo“ (*The Harvest*), bardzo ożywione i barwne *Merry England*, wydawany przez OO. Jezuitów: *The Month*, ilustrowane *Lamp*, i mnóstwo innych peryodycznych wydawnictw, które wspólnemi siłami starają się przybliżyć Królestwo Boże na ziemi angielskiej, a dostarczają czytelnikom jędrnego i zdrowego pokarmu ducha. Przegląd dubliński, *The Dublin Review*, obfituje w znakomite artykuły, nie ustępujące doniosłością i powagą najprzedniejszym miesięcznikom angielskim. Słowem, okrom niedostatku codziennego pisma, prasa katolicka stanowi dziś w Anglii zwartą i dzielną falangę.

Księgarnia katolicka w Londynie pod firmą: Burns and Oates, nie przestaje dostarczać współwyznawcom cennych wydawnictw, rozświecających przeszłość i przyszłość zarazem. W ostatnich czasach pojawiło się tu nowe dzieło O. John'a Morris'a, z Towarzystwa Jezusowego, znanego i zasłużonego wydawcy archiwów i dokumentów, odnoszących się do ucisku Kościoła i okresu krwawych prześladowań, wywartych na katolickich przodkach, *our catholic fore fathers*. Najnowsza jego praca nosi tytuł: *Catholic England in modern times* (katolicka Anglia w epoce nowoczesnej). Trudno o treściwsze opracowanie olbrzymiego przedmiotu, który tu w pięciu rozdziałach zawartym został. Pierwszy z nich obejmuje okres męczeński, który towarzyszył Reformacyi, a tak był srogim i wyrachowanym, że studyując jego przebieg, zdumiewać się przychodzi, jakim sposobem ślad katolicyzmu zdołał się ostać na ziemi angielskiej. Rozdział następny poświęcony jest owemu „nędznemu“ XVIII. stuleciu, które w całym bodaj świecie wypadło nikczemnie, a w Anglii spowodowało ostateczne zanikanie katoli-

cyzmu w naczelnych domach i rodach, oraz odsądzenie katolików od wszelkiego obywatelskiego i politycznego życia. W trzeciej części swej pracy O. Morris opowiada dzieje zwrotne wyswobodzenia katolików z pod praw wyjątkowych; w czwartej przedstawia obecne położenie i siły Kościoła w Anglii, sporządzeniem statystyki i zebraniem ścisłych liczb i wiadomości; nareszcie w piątej snuje błogie nadzieje i wnioski na przyszłość, oparte przedewszystkiem na łączności duchownych i świeckich, na spójni bratniej i zgodnem porozumieniu wszystkich angielskich katolików, w końcu na ich gorącym i głębokiem przywiązaniu do Stolicy apostolskiej. Książka O. Morrisa posiada zwykle zalety jego pióra, spotęgowane szczupłością ram, w które potrafił zaćwieścić pełen doniosłości obraz katolickiej w nowszych czasach Anglii.

Znakomity O. Henryk Coleridge T. J. zakończył pomnikowy Żywot Chrystusa Pana, ciągnący się od lat kilku w kilkatomowym wydawnictwie, pod głębokim tytułem: *The Life of our Life*. Uderzającym zaiste objawem wieku zatrutego bluznierstwami Renana i Straussa, jest niezawodnie i mnożąca się liczba pięknych a poważnych wizerunków Zbawiciela Pana, wysnutych z Ksiąg św. przez uczonych i pobożnych pisarzy wszystkich narodowości. Podczas gdy we Francyi wymowny syn św. Dominika, O. Didon, narzuca odchrześcijanionemu w części społeczeństwu owoc długoletniej pracy i rozmyślenia, Anglia katolicka i Anglia protestancka prześcigają się w hołdach składanych Synowi Bożemu. Canon Farrar z właściwą sobie erudycją kreśli Żywot Zbawiciela, po którym ma niebawem nastąpić uczone życie św. Pawła; O. Coleridge tymczasem zamyka swe pomnikowe dzieło ostatnim tomem, obejmującym okres ciągnący się od modlitwy w Ogroju do Wniebowstąpienia. Pobożne i płomienne pióro, zasilając się przedewszystkiem świadectwem ewangelicznem, nie pominęło i Objawień poczynionych Świętym Pańskim, których pisma tyle pobożnym czytelnikom przysparzają zbudowania. Stąd księga O. Coleridge nabiera pewnej mistycznej cechy, która nie odejmując powagi niniejszemu Żywotowi Zbawiciela, stosowniejszym owszem go czyni do duchownego czytania i rozpamiętywania. Jak wysoką wartość ma praca świątobliwego zakonnika, wskazuje ogólne dla niej uznanie i przyrównywanie jej do noszącego podobnyż tytuł dzieła, ongi spisane go przez mnicha Ludolfa z Saksonii, z zakonu Kartuzów. Ojciec Coleridge w domówieniu swej olbrzymiej pracy podnosi doniosły wpływ Najśw. Panny na rozwój początkującego Kościoła, a nawet domyśla się jej współ-

pracownictwa z św. Łukaszem, w spisywaniu pierwszych rozdziałów Ewangelii.

Pojawiły się już pośmiertną spuścizną mnogie biografie kardynała Manninga. Skupiono w jednym tomie „Reminiscencyj“ żałobne o nim wspomnienia. Protestancki, lecz dobrze informowany pisarz, A. Hutton, skreślił zajmujący życiorys zmarłego dostojnika. Firma Burns and Oates uprzęstąpiła kupowanie pism kardynała tańszem ich wydaniem. Zebrano nawet w osobnej książeczce wybitniejsze zdania, trafne orzeczenia i doniosłe słowa Manninga p. t.: *Sayings of Cardinal Manning*. Słowem, powstała cała literatura Manningowska, będąca wyrazem powszechnej czci i żalu.

Stowarzyszenie „Prawdy“: *The catholic Truth society*, które nie ustaje w błogiej działalności, wydało znów pełną aktualności publikację, dotyczącą grasującej więcej niż gdziekolwiek w Anglii zarazy ducha, teozofii, stawiającej wschodni Buddyzm i niezdrowe mrzonki chorych umysłów ponad wiarę chrześcijańską. Dwie kobiety: pani Blavatsky i p. Annie Besant zostały apostołkami tego dziwaczego ruchu, który się szerzy zatrważająco wśród pewnych kół żądnych nadzwyczajności, a niezdolnych pokory. I znów uczony syn św. Ignacego, O. Clarke, w przedziwnej i nad wyraz zajmującej księdze, zatytułowanej: *Theosophy: its Teaching, Marvels, and their Character*, daje przynależną odprawę nowym prądom zatruwającym społeczeństwo angielskie. „Nie można hurtownie nazywać szalbierstwem wszystkich objawów z dziedziny spirytyzmu i hypnotyzmu“, odzywa się na wstępie O. Clarke, zapewniając, iż w zakresie teozofii i jej cudów to samo powiedzieć przychodzi. Zapewne wśród adeptów wszystkich trzech kierunków mogą się pojedynczo znajdować oszuści, co jednak nie przeszkadza rzeczywistości pewnych objawów, stanowiących oś i podstawę całego systematu. Ojciec Clarke chcąc traktować o modnej dziś w Albionie teozofii, okolicznościową poświęca wzmiankę spirytyzmowi i hypnotyzmowi, wskazując, iż jeżeli istota tego ostatniego jest niewątpliwie naturalną i przyrodzoną, istota pierwszego jest równie niezawodnie nadprzyrodzoną, złą i szatańską. Spirytyzm zaś z teozofią schodzi się na tysiącznych polach jednakich eksperymentów i zjawisk. Autor przebiega całą teorię nowego systematu, czerpie swe wywody z pism głównych teozofistów, i dopiero zebrawszy całość doktryny i jej praktyk, rzuca słowa bezwzględnej potępienia, na które każdy prawy chrześcijanin zgodzić się musi. „Jednem słowem, konkluduje uczony zakonnik, teozofia jest fałszywą, bezbożną i antychrześcijańską nauką,

podkopującą wszelką prawdę i moralność, a wysuwającą naprzód nadnaturalne objawy, które są po prostu sztuczkami szatana. System to zręcznie i przebiegle osnuty, na pozór usprawiedliwiony, dziwnie spoisty, i dla tych wszystkich przyczyn tem niebezpieczniejszy. Rzekome wyznawanie podniosłego ascetyzmu i pozorna czystość obyczajów nowej sekty niczego zgola nie dowodzi, ascetyzm bowiem sam przez się żadnej nie ma ceny, czystość zaś, całą swą piękność i krasę czerpie z uprawiania takowej dla miłości Boga“.

Żaden też prawy chrześcijanin nie może przyjąć teorii teozofistów, którzy przysyłają swe zboczenia mniemaną dla chrześcijaństwa przychylnością, gdy w rzeczy samej targają na strzępy naukę Chrystusa Pana, bluźniercze głoszą doktryny i w gruncie zaprzeczają nawet istnieniu osobowego Bóstwa. „Ukryta mądrość“ wieków, strzeżona w księgozbiorach utajonych, za warownemi górami Tybetu, nad którą pilne sprawują czaty mężowie zaufania, Mahatmary, wszystko to ma być Buddyzmem, którego zaparłby się każdy prawowity i uczony Budysta. Jest to podobno odmiana spirytyzmu, zarówno podlegająca wpływom i działaniu upadłych aniołów, używających i tej drogi, aby ludzi za sobą do zguby pociągać. Książka O. Clarke stanowi tedy ważny przyczynek do dziejów dusznych oblękań naszego wieku, i rozświeca zagadnienia mętnej nauki, której zgłuszone echa aż do Polski dochoǳić poczynają.

Wspomnijmy jeszcze szereg teologicznych rozpraw Ojca Edmunda O'Reilly, z Towarzystwa Jezusowego, o stosunku Kościoła do społeczeństwa, które wykazują w autorze niepospolitego badacza; dalej znakomity żywot kanclerza, Tomasza Morusa, przez Redemptorystę, Ojca Bridgett, z którego zapewne osobne zamieścimy niebawem sprawozdanie. Poważna znaczeniem i liczbą w całym świecie biblioteka franciszkańska, wzbogaciła się świeżo rocznikami cierpień i mąk, znoszonych dla Prawdy w XVI. i XVII. stuleciu przez angielskich synów patryarchy z Assyżu, zebranemi przez panią Stone, p. t.: *Faithful unto death* (Wierni do śmierci). Śliczna to książka, zapowiedź bodaj innych martyrologiów każdego z poszczególnych zakonów. O. Foley już sporządził takową dla Jezuitów, w pomnikowym wydawnictwie p. t.: *Jesuits in Conflict*, Dom Gasquet benedyktyński przewertował archiwa, Kartuzi doczekali już częściowego wydania swych aktów męczeńskich, ale jeszcze pozostaje dużo niewyzyskanego materiału, niewyczerpanych kronik wyznawstwa, niespisanego dotąd inwentarza ofiar i poświęceń dobrem złożonych sercem.

Książka pani Stone o męczennikach i wyznawcach z zakonu św. Franciszka, wyszła nie z wypróbowanej katolickiej drukarni Burns and Oates, lecz z pod znanej londyńskiej firmy Kegau Paul, stwierdzając nawrócenie tego pierwszorzędnego księgarza stolicy, który zresztą sam postanowił opowiedzieć dzieje swego dusznego przełomu, w książeczce zatytułowanej: *Confessio Viatoris*. Autor, zrazu duchowny anglikański, przeszedł przez długi peryod agnostycyzmu, zanim spoczął na łonie jedynej Prawdy. Pierwszego przybliżenia ku wierze katolickiej dostarczyły mu dwie książki, napisane z kacerską nienawiścią przeciw rzymskiemu Kościołowi, które na młodym jego umyśle wywarły wręcz przeciwny skutek, owszem wzbudziły w jego sercu pewną senną przychylność ku religii, na podobne wystawionej napaści. Ale ów posiew wiosenny nie rychło miał dojrzeć i późnem dopiero zeszedł żniwem. Otrzymawszy w r. 1851 duchowne anglikańskie święcenia, rychło Kegau Paul złożyć musiał swe pasterskie obowiązki, nie czując się w sumieniu uprawnionym do głoszenia nauki, w którą sam wierzyć przestał. Opuścił tedy powierzone sobie pasterstwo parafialne i przeszedł na szlaki piśmiennictwa, gdzie wkrótce zaczął przodować znanej z zabieглиwości firmie księgarskiej. Szukający Prawdy „pielgrzym“, znalazł ją nareszcie, i to drogą najmniej spodziewaną. Zaiste, duch kędy chce tchnie i wionie, a nikt nie odgadnie skąd przychodzi, ani dokąd zajdzie. Ktoby uwierzył, iż August Comte był jego *paedagogus in Christo*, a pozytywizm zawiódł ostatecznie w progi katolickiego Kościoła! „Kto wie, czy byłbym znalazł wiarę, gdyby nie pozytywizm, który mi dostarczył pewnej reguły życia i karności“. Z rąk Comte'a odebrał książkę o Naśladowaniu Chrystusa, którą przez długi szereg lat studyował i pochłaniał, aż się przekonał, iż pozytywizm starczy może duszy dopóki słońce powodzenia przyświeca, ale nie jest żadnem oparciem w zwątpieniu lub niedoli. Zaczem wszelkie wahania, niepewności i szukania po omacku ustają w porcie zbawienia, i nasz *Viator* zamyka swe rzewne opowiadanie wyznaniem szczęścia i pokoju, znalezionego nareszcie w katolickim Kościele.

M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Po jubileuszu. — Głos Leona XIII. o ślubach cywilnych. — Duchowieństwo węgierskie. — Ruch pomiędzy wiernymi. — Postawa rządu. — Hasło do odwrotu.

PO JUBILEUSZU. Kiedy umierał Pius IX., mówiono, że już koniec papieżstwa popularnego, że ten związek osobisty, który nawiązał Pius IX. z sercami wszystkich ludów katolickich po świecie, z jego osobą zniknie z widowni. Kiedy przed pięcioma laty cały świat obchodził jubileusz kapłański Leona XIII. i szła do Rzymu dary i pielgrzymki, mówiono sobie ze zdumieniem, że jeszcze podobnej manifestacji katolickiego życia nie było; ale też przypuszczano, że na tem koniec. Otóż jubileusz obecny, w tak krótkim czasie po tamtym obchodzony, zapowiada się jeszcze może świetniej, niż poprzedni. Gazety codzienne pełne są opisów tych pięknych uroczystości, zwłaszcza w dniu dziewiętnastym lutego, w których i nasz kraj tak szczerzy i tak jednomyślny wziął udział. Powtarzać tych szczegółowych opisów nie będziemy; do skreślenia ogólnego poglądu tego jubileuszu jeszcze nie czas. Zapisujemy tylko z radością, co każdemu jawno, że życie katolickie szerokiem, Bogu dziękować, płynie korytem.

Jakby w zawody z tłumami, które w tym miesiącu zdążyły do Watykanu, szły tamże liczne wiadomości o wypadkach,

których pomyślny obrót odkrył przed okiem Leona XIII. pogodny błękit na czas jubileuszu. Z pomiędzy innych wiadomości, może najwięcej Ojca św. pocieszył widok, jak jego synowie bronią praw Kościoła na Węgrzech, we Włoszech i na Malcie przeciw zamierzonej przez rządy ustawie o ślubach cywilnych. Włochy i Malta dopiero stają do boju; nad Dunajem wierni z chlubą wychodzą już z długiego okresu walki, dotąd toczonej bez wielkich nadziei zwycięstwa.

GŁOS LEONA XIII.
O ŚLUBACH
CYWILNYCH.

Po kilkuletnich zapasach, nie uwieńczonych jeszcze wygraną stanowczą, Kościół na Węgrzech widzi już przecie złamane szyki swoich wrogów i przewiduje chwilę, w której pójdą w rozsypkę zastępy, które żądają cywilnych ślubów i metryk i ustępstw w sprawie wyznaniowej na korzyść żydowstwa.

Przeciw ślubom cywilnym Leon XIII., jeszcze za życia kardynała Simora, wydał dwa dekreta, których nikt z duchowieństwa nie śmiał zachowywać ani nawet ogłaszać, póki nie uzyskają na to *placetum regium*, a tego król nie chciał udzielić. Papież nie ustąpił: na ponowny jego rozkaz, nakoniec biskupi rozesłali oba dekreta po dekanatach, rozporządzili, żeby dziekani ustnie przekazali je niższemu duchowieństwu, i ogłosili surowo, że ciężko wykroczyłby przeciw sumieniu, ktoby nie miał odwagi wykonać tych rozkazów.

Stanowczy krok biskupów dał nowy obrót sprawie. Rząd przerażony spostrzegł, że całe duchowieństwo śmiałym krokiem poszło za głosem papieskim. Zaniepokojeni możliwemi następstwami nowego przebiegu walki, ministrowie odbyli naradę; postanowili chwycić za broń postrachu, a w danym razie użyć przemocy; do tego trzeba było dowieść, że stare prawo o *placetum regium* zostaje w całej mocy do dziś dnia, więc że papieskie rozkazy, ogłoszone wbrew woli królewskiej, nie obowiązują nikogo na Węgrzech, a biskupi, którzy je samowolnie ogłaszają, za taki czyn bezprawny, podlegają karom. Na nieszczęście prawnicy węgierscy nie mogą zestawić dowodów oczywistych, że stara ustawa jeszcze dziś służyć może do walki przeciw Kościo-

łowi. Ale i bez dowodów na to, dali sobie tymczasem ministrowie radę i kazali sądownie ścigać duchowieństwo za postęпки wykonane w duchu rzymskich dekretów.

DUCHOWIEŃSTWO
WĘGERSKIE. Część duchowieństwa węgierskiego, szczególnie wyższego, uchodziła dotychczas w oczach ministrów za dość uległe narzędzie w ręku rządowem. Między dostojnikami Kościoła węgierskiego, niejeden zasiadł na stolicy biskupiej dopiero po latach, spędzonych wiernie na służbie państwowej, na urzędach i stanowiskach nawet ministeryalnych, do których nie dochodziliby, gdyby nie podzielali zasad rządowych. Po nich rząd nie oczekiwał wielkiego oporu; o innych, okładanych grzywnami i zagrożonych karami dotkliwemi, tuszył sobie, że nie daleko poniosą chorągiew rokoszu; ani nie przypuszczał, żeby w ruchu kościelnym brać mieli udział wierni ze świeckich stanów: słowem, w oczach d-ra Wekerlego prawie żadna chmura nie groziła na widnokręgu zapowiedzią niemiłej burzy.

Nagle, od brzegów Litawy po siedmiogrodzkie wąwozy, od stoków Karpat po równiny nad serbskim Dunajem, za zwartym zastępem duchowieństwa węgierski naród cały, choć różnolity, jak jeden mąż poszedł walczyć przeciw wolnomyślnemu rządowi. Ledwo te ludy usłyszały, że naczelnik rządu przedstawił je monarsze, jako obojętne na prawa kościelne, owszem, dobrze usposobione dla ustaw bezwyznaniowych: już wszystkie stanęły pod bronią. Czekwały tylko na dowódców. Hasło zabrzmiało z północnych wyżyn węgierskich: wypowiedział je biskup z Rożnowa, dr. Jerzy Schopper, który może ze wszystkich najsilniej przeraził d-ra Wekerlego takim występm katolickim, bo uchodził za wyznawcę, a przynajmniej stałego zwolennika wolnomyślnych poglądów. Z podniesioną przyłbicą wystąpił teraz do obrony praw kościelnych: po jego liście pasterskim powiedzieli sobie wierni, że mają już wodza. Jego przykład podziałał na umysły: i jego sąsiad, biskup Bubics w Koszycach, poszedł tym samym śladem, i w dalszych dyecezyach apostołscy pasterze podnieśli rękawicę przez rząd rzuconą. W środkowych Węgrzech niezwłocznie podniósł głos dr. Filip Steiner, biskup z Szekesfehervaru,

w Csanadzie biskup Dessewfy; Wawrzyniec Schauch, biskup w Wielkim Waradynie; Konstanty Schenker, biskup w Wacsu; na zachodzie biskup Zolka z Nagy-Györu, i Kornel Hidassy, biskup w Szombately; na południowej stolicy, w Pecs, przemówił biskup Julanczy; za nimi inni.

Madjarzy i Niemcy ruszyli pierwsi za swoimi biskupami; ale niedługo czekał rząd, żeby przeciw niemu powstał Słowianie. Hasło im dał w Djakowarze biskup Strossmayer, po nim inni obrządku wschodniego i zachodniego wezwali Chorwatów, Słowenów, Serbów, Słowaków. W tyle nie zostali Rumuni.

Nie koniec na tem. Za przykładem schyzmatyckiego biskupa staro-hradzkiego, poszedł jeden za drugim władyka w ślady biskupów katolickich, poszli innowiercy różni, nakoniec przybyli niespodziewani sprzymierzeńcy do walki przeciw bezwyznaniowym ustawom: rabini, z pięciokościelskim na czele. Jeżeli nawet odszczepieńców pociągnął przykład katolickich biskupów, niższe duchowieństwo katolickie tem gorliwiej działało; niektórzy z nich nie czekali nawet na listy pasterskie własnych biskupów; na odgłos hasła, wydanych w innych dyecezyach, uniesieni powszechnym zapalem, swych pasterzy wyprzedzali; między tymi pierwsi wystąpili z kazalnicy: proboszcz pozoński ks. Hawliczek, soproński ks. Poda, staro-peszteński ks. Kirchhoffer, wikary katedralny w Vacs, w Heves ks. Puchlin. Za świeckiem duchowieństwem poszło zakonne, z Hipolitem Feherem na czele, opatem z Góry św. Marcina. Żeby zaznaczyć najzupełniejszą zgodę w poglądach na sprawę, na umówioną niedzielę wystąpili kaznodzieje po wszystkich kościołach w całym kraju z nauką o Sakramencie małżeństwa i przestrogą przed niebezpieczeństwem, jakim grozi wniosek rządowy.

RUCH POMIĘDZY
WIERNYMI.

Pragnąć trzeba, kiedy u nas nastanie równie ożywiony ruch w sprawie np. szkoły wyznaniowej, żeby na głos biskupów i duchowieństwa tak zgodnie stanął do dzieła naród cały, jak teraz wszystkie stany i narody w królestwie świętego Stefana jednomyślnie podzielają zapal swoich pasterzy. Poważni członkowie magnackich rodów, uczeni, dziennikarze i posłowie,

warstwy średnie i niższe, oświeceni i prostaczkowie, wszyscy szukają miejsca w katolickim obozie.

A nie przestają na ogólnikach i niedołężnych skargach. Obsaczają coraz szczerzej obie izby prawodawcze i swoim posłom nie pozwalają szukać drogi do zgody z wolnomyślnym rządem; przeciw jego wnioskowi każą im głosować, choćby mieli obalać gabinety jeden po drugim. Z tego powodu zapewne miła niespodzianka spotkała ministra Szilagego, jednego z twórców niepoczesnych wniosków. Jego wyborcy na krzesło poselskie z okręgu pozonańskiego postanowili po burzliwej naradzie zażądać od niego obietnicy, że będzie głosował przeciw własnemu wnioskowi. Darmo kilku mowców, jak urzędnik Kramolin i notaryusz Bartol, usiłowali krasomowstwem przekonać tamtejszych członków wydziału kościelnego o zbawiennych skutkach ślubu cywilnego. Zgromadzeni oświadczyli, że zmian rządowych nie potrzebują, że swojemu posłowi nie pozwalają inaczej głosować, tylko podług ich woli wyraźnej, a czego pragną, to stwierdzają podpisami, których już tysiące poszły upomnieć ministra o jego obowiązku.

W Sopronie wyborcy posła I. Lindera nie poprzestali na listach i podpisach; woleli dać ustną naukę: w tej myśli wybrali z pomiędzy siebie 125-ciu najpoważniejszych, i wyprawili ich do swojego posła z prośbą, niezbyt uniżoną, o obronę od cywilnych ślubów.

Cały szereg innych posłów dostał potem podobne prośby. zaopatrzone setkami i tysiącami podpisów.

W okręgu wyborczym Nagy-Topolczany, rządowy kandydat przeszedł jedynie dzięki obietnicy, danej wyborcom, że głosować będzie przeciw ślubom cywilnym. To samo musiał w Maria-Teresiapolu obiecać wolnomyślny poseł dr. Józef Antunowicz. Ostatnie wiadomości z Debreczyna, Modernu, Tiszy-Tarjanu i coraz liczniejszych miejscowości świadczą, że ruch przybiera coraz groźniejsze rozmiary dla rządu Wekerlego.

Jednak stolica, Peszt, stanęła w obozie przeciwnym: popiera rząd; chociaż i tu znajduje dr. Wekerle poważnych przeciwników, jak profesora tamtejszej wszechnicy, d-ra Antoniego Aschen-

bicera, który wystąpił w katolickim klubie z odczytem przeciw cywilnym ślubom, jako ustawie niemoralnej, bo pozwalającej zrywać węzły małżeńskie; dowodził, że nawet tam, gdzie najdawniej weszła w życie podobna ustawa, we Francyi, dziś jeszcze ludność spogląda na nią z odrazą i ledwo jedno stadło na dwadzieścia korzysta z niej bez ślubu sakramentalnego. W Węgrzech społeczeństwo daleko żywiej jeszcze czuje wstręt do tego bezprawia. Skończył uwagą, że lepiej byłoby, gdyby rząd o tem myślał, jak podnieść dobrobyt w ubogich warstwach ludności, i tym sposobem dopomagał jej zakładać chrześcijańskie ogniska rodzinne, zamiast ułatwiać życie w związku, nie związanym na wieki przysięgą wobec Kościoła.

Wierni nie zostawiają odłogiem żadnego pola na posiew kościelnej nauki. W Wielkim Waradynie rozdają nawet w elementarnych szkołach stosowne pisemka z wykładem zasad Kościoła Powszechnego, a oprócz tego biją, w czterystu tysiącach egzemplarzy, katechizm o ślubie cywilnym, żeby sto tysięcy rozesłać proboszczom, pozostałe rozsprzedać między ludem. W Mariateresapolu zamierzają wydawać w tym duchu dziennik serbsko-węgierski.

Niemniej gorliwą pracę widać na najwyższych szczeblach społeczeństwa węgierskiego. Łącznie z biskupami wybrała szlachta tak zwany „wydział piętnastu“ do obrony praw Kościoła.

Prócz dostojników Kościoła: prezesa, księdza kardynała prymasa Vaszarego, i biskupów: Schlaucha, Steinera, br. Horniga, Dessewfego, Schustera i Firczaka, także opata Fehera—liczy ten wydział nazwiska pierwszych rodów magnackich: Ferdynanda hr. Zichego, Mikołaja Maurycego hr. Esterhazego, Stefana hr. Karolego, Wojciecha hr. Aponego, margrabiego Edwarda Pallaviciniego, Gyoerffego i Gezę Polonego. Słowem, co żyje w kraju Arpadów, wszystko zajęło groźną postawę przeciw zamiarom tryumwiratu: Csakego, Szilagego i Tiszy, z wyjątkiem, jak mówi któryś dziennik słowacki, bogatych Żydów i zrujnowanej młodzieży złotej, gotowej wejść w związki małżeńskie z córkami milionerów, chociaż nieochrzczone, byle ustawodawstwo świeckie na to pozwalało.

Morał z tego wszystkiego wynika taki: że jakkolwiek wielkaby była potęga wrogów Kościoła (a w Węgrzech ta potęga jest niezaprzeczenie ogromną), skoro tylko katolicy staną razem, lud zjednoczony z duchowieństwem zjednoczonem, to żadna siła ich przemódt nie zdoła.

Wobec takiej zawieruchy, co chwila groźniejszej, cóż POSTAWA RZĄDU. miał począć dr. Wekerle? Kiedy siadał do steru rządów, zapowiedział stanowczo, że za rządowym kościelno-politycznym programem walczy, z nim zwycięży albo zginie.

Kiedy oko w oko spotkał nawałę przeciwników, dr. Wekerle, jako mąż stały w zasadach giętkich, ogłosił w swojej prasie, że ten program to nie jego sprawa, tylko Aponego.

Na swoje szczęście Aponyi, jakby przewidywał już dawniej podobny obrót rzeczy, nigdy wyraźnie nie bronił w swoim dzienniku *Pesti Naplo* obowiązkowych ślubów cywilnych. Teraz dał przyjacielską radę rządowi, żeby wycofał swój wniosek, i jakby chciał Wekerlemu pokazać do Canossy drogę, ogłosił, że rząd już przedłożył Papieżowi wniosek ślubów na sposób wprowadzony w Hiszpanii, gdzie urzędnik cywilny należy do nieodzownych w kościele świadków ślubu sakramentalnego. Miał także Wekerle, według *Pesti Naplo*, prosić, żeby Papież zabronił duchowieństwu tak natarczywie napadać na rząd.

Dlaczego Wekerle nie posłuchał dobrej rady, nie wiadomo: po niewczasie przypomniiał sobie pierwotną zapowiedź swoją i zapytany przez posła Schwarca, czy myślał o pośrednictwie papieskiem i hiszpańskim ślubie, zaprzeczył wszystkiemu, żeby jeszcze raz powtórzyć, że od programu nie odstąpi, choćby miał upaść. Przeciwnicy jego chętnie postanowili przyspieszyć ten upadek. Zapowiedzi nie brakło, że to nastąpi niebawem.

Minister wyznań i oświaty stanął przed Monarchą, żeby zdać sprawę z przebiegu walki. Za świadectwem *Pesti Naplo* chłodno przyjęty, wrócił do Pesztu niezbyt wesoło usposobiony. Gruchnęła pogłoska, że złoży tekę, a z nim Szilagyi i Wekerle, którego następcą miał być napowrót hr. Szapary.

Kiedy w początkach lutego Wekerle zawitał w mury

Wiednia, nie znalazł, jak zauważył *Tagblatt*, gorliwych, zapalnych zwolenników swojej polityki kościelnej; będzie musiał — dodaje ten dziennik — wybrać już stanowczo jedno z dwojga, i albo dać upaść pomysłowi o ślubach cywilnych, albo samemu upaść; możebne także — uważa ten dziennik — że oba razem ciosy spadną na jego głowę.

Jednak Wekerle postępuje dalej, jak gdyby widział tajemniczy wychód z ciasnego przesmyku: urzędowy *Magyar Ujszag* zostawia do woli stronnictwu rządowemu, czy chcą za wnioskiem głosować, czy przeciw niemu; owszem, kończy przestrogą, że popełniłby błąd taktyczny, ktoby dał głos za wnioskiem.

Czytelnicy rządowego pisma nie widzieli w tych wywodach żadnej szczególnie szczęśliwej myśli: wyglądało to sobie, jak zwykły odwrót z pola walki. Ale sam Wekerle inaczej sądził. Na naradzie stronnictwa wolnomyślnego zaręczył, że ani na krok nie odstępuje od postępowego wniosku o ślubie cywilnym, ani też jego bronić nie zamysła, i zgodnie z wywodami *Ujszaga*, swoich poglądów nie narzuca nikomu, przeciwnie, pragnie sły-szeć swobodną wymianę myśli. Temi słowami wezwani członkowie stronnictwa nie obwijali w bawełnę niechęci, z jaką spoglądają na zapędy bezwyznaniowych ministrów. Dyrektor Letinowicz nie uznał potrzeby ślubów cywilnych i dlatego oświadczył, że zrywa ze stronnictwem. Synowiec poprzedniego naczelnika rządu, Lajos hr. Szapary, krótko wyraził, że jako katolik, opuszcza także chorągiew rządową. Otwarcie wyznał to samo były prezydent Izby posłów, Pechy. *Pester Lloyd* pisze: z dziećmi w chowanym bawi się, kto tai, że rząd, prócz przeciwników otwartych, liczy także wielu ukrytych. *Extrapost* wymienia dziesięciu rządowców, którzy grożą odstępstwem; *Budap. Tagblatt* wie o piętnastu. Niektórzy nie bardzo kryją swój zamiar. Tak Koloman Csaky, krewny ministra, przestrzegł Wekerlego, że wystąpi ze stronnictwa przy ostatecznych rozprawach w Izbie nad wnioskiem. Kanonik Fodor i Mikołaj Feldvary obiecali głosować przeciw wnioskowi. Były wielki mistrz wolnych mularzy, Franciszek Pulszky, ostrzega, że każdego odstrasza niebezpieczna walka z Kościołem i sam rząd dotkliwie uczuje jej brzemię. *Hamburger Nachrichten* opisują ten

rozstrój stronnictwa rządowego i każą wątpić, czy Wekerle zagneha burzę.

HASŁO DO
ODWRÓTU.

Istotnie zwolennicy Wekerlego zaczęli myśleć, jakby można bez wstydu zawrócić z niebezpiecznej drogi. Kalwińska część stronnictwa rządowego, nie chcąc kapitulować w ręce katolików, wołała traktować pokątnie z przywódcą skrajnej lewicy, Eoetvoesem, ażeby w Izbie wystąpił przeciw ślubom cywilnym, a rząd złożyłby broń w jego ręce. Ale Eoetvoes nie chciał na możliwe następstwa narażać swojego stanowiska, już dość chwiejnego, i odpowiedział, iż w takiej sprawie rąk nie umoczy.

Wtenczas kalwini udali się z podobną prośbą do barona Atzela, przywódcy innego odcienia stronników rządowych. Nieuczynny baron odmówił, i zaraz go za to spotkała kara: dostał pozew, żeby ustąpił z krzesła poselskiego, bo w chwili wyboru nie skończył był jeszcze lat, wymaganych od przedstawiciela ludu.

Nakoniec, po niudałych układach z Aponyim, kalwini na zabój uderzyli na całe stronnictwo rządowe z okrzykiem, że kto zasiada na ławach prawicy, temu nie wolno głosować przeciw rządowi.

Na to katolicy członkowie obu Izb odpowiedzieli naradą, którą odbyli u Mikołaja Maurycego Esterhazego. Nie brakło tu przedstawicieli żadnego stronnictwa; z rządowego przybyli: Ernest Daniel, Jan Arboth i Lajos hr. Szapary; z narodowego: Aleksander Bujanowicz, Franciszek Bolgar i Stefan Nagy; ze skrajnej lewicy: Gabryel Ugron i Geza Polonyi; z Izby wyższej wielu magnatów przyprowadził Ferdynand hr. Zichy.

Po kilkugodzinnych obradach zapadła uchwała: walka na całej linii katolików przeciw polityce kościelnej Wekerlego.

Odgłos tych narad wojennych doleciał do Wiednia i, za świadectwem *Pesti Naplo*, przekonał tamtejsze koła wpływowe, że dnie Wekerlego już policzone.

Najświeższe wiadomości zapowiadają, że obóz liberalny zamysła także rozwinąć agitację, żeby wstrzymać wpływ coraz żywszego ruchu katolickiego. Ale i obrońcy praw Kościoła nie

myślą, wcale z rąk puszczać odniesionych już zdobyczy, przeciwnie coraz śmielej idą naprzód; nowem niebezpieczeństwem dla rządu grozi pierwszy wiec katolicki na Węgrzech, otwarty w tych dniach w Soprony. Dotąd wiemy, że bierze w nim udział parę tysięcy osób, między nimi opat Molnar z Komorna, który ma tę ilustracyę, że już dwadzieścia pięć razy był karany za przestępstwo prawa Csakego o metrykach; o uchwałach później się dowiemy.

Extrapost donosi z Pesztu: Rząd poufnie ostrzegł nadzupaków, żeby nie ogłaszali publicznie wiadomości, które posyłają do rządu o ślubach cywilnych, bo niema widoków, żeby o tych ślubach była mowa albo w bieżącej sesji albo w najbliższej, a z ustawicznego przypominania tej sprawy korzysta tylko klerkalna agitacya.



Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Obserwatorium na szczycie Montblanc. — Zasada fotografii kolorów. — Projekt podróży powietrznej nad północną Afryką. — Wędrowki ptaków. — Najnowsze wyniki antropologii przedhistorycznej.

Sprawa wystawienia obserwatorium na szczycie Montblanc ciągnie się od lat kilku. Głównym jej inicjatorem był i jest J. Janssen. Kilka uwag, wyjętych ze sprawozdania jego, które przesłał Akademii Paryskiej, 28 listopada 1892, podajemy czytelnikom *Przeglądu*. Przed zabraniem się do roboty na seryo, trzeba było dokładnie zbadać szczyt góry, mianowicie miąższość śniegu na nim. W tym celu 12 m pod szczytem wykopano dwa szyby poziome. Szyby kopano z różnych stron, długość każdego wynosiła 23 m, tak że dochodziły pod sam wierzchołek góry; mimo to w żadnym nie natrafiono na skałę. Śnieg więc tworzy grubą czapkę na szczycie.

Już dawniej przysłał Janssenowi myśl zbudować obserwatorium na śniegu. Obecnie zamiar ten powzięty jest już stanowczo. Pokrywa bowiem śnieżna, jak to z różnych obserwacyj wiadomo, może doznawać bardzo powolnych tylko i słabych ruchów.

Nie dosyć na tem. Trzeba się było jeszcze przekonać, jaka jest wytrzymałość śniegu na szczycie. Ponieważ nie było żadnych ogólniej-

szych metod, Janssen postanowił rzecz bezpośrednio zbadać. Kazał więc w zimie nagromadzić dużą kupę śniegu na podwórzu obserwatorium w Meudon i obić ją tak, aby miała tę samą gęstość, co śnieg na szczycie Montblanc w głębokości 1—2 m. Szczyt tego śnieżnego kopca zniwelowano, następnie ułożono na nim 12 płyt ołowianych, jedną na drugiej. Średnica każdej płyty wynosiła 35 cm, ciężar zaś każdej 30 kg. Po zdjęciu płyt okazało się zagłębienie ledwo 7—8 mm, tak, iż ogrodnicy, którzy przy tem byli zajęci, nie chcieli wierzyć oczom swoim.

Podstawa tej kolumny ołowianej wynosiła 962 cm^2 — ciężar 360 kg, co daje 374 g na 1 cm^2 , czyli 3740 kg na 1 m^2 . Budynek zatem, którego podstawa wynosić ma 50 m^2 , może ważyć $50 \times 3740 = 187000\text{ kg}$.

Tym sposobem zabezpieczoną mamy względną stałość śniegu i jego dostateczną wytrzymałość.

Żeby nadto budynek sam posiadał potrzebną siłę odporną przeciwko burzom i wichrom, jakie na Montblanc szaleją, Janssen postanowił nadać budowie kształt trójsiennej piramidy ściętej. Plan ten wykonał architekt Vaudremer.

Według tego planu długość budynku będzie wynosiła 10 m, a szerokość 5 m; ma być jednopiętrowy, z tarasem i balkonem. Parter będzie zagłębiony w śniegu. Dla utrzymywania dostatecznej ciepłoty wszędzie będą ściany podwójne, drzwi i okna będą nadto zaopatrzone w okiennice zamykalne hermetycznie. Obiedwie kondygnacje będą połączone krętymi schodami. Obserwatorium będzie zaopatrzone we wszystkie sprzęty, przybory i aparaty potrzebne.

Obecnie obserwatorium rozebrano i przetransportowano do Chamonix. Na Grands-Mulets wybudowano chatę na schronisko dla robotników i materyałów; drugą chatę wystawiono na wielkim Rocher-Rouge, 300 m poniżej szczytu, dla obserwacji i na stałe mieszkanie robotników, którzy nadchodzącego lata mają na szczycie pracować. Trzy części materyałów na obserwatorium górne przywieziono już na Grands-Mulets, a jedną część na Rocher-Rouge. W tym roku mają ukończyć transport materyałów i rozpocząć budowę na szczycie.

Nie potrzeba dodawać, że obserwatorium to mieć będzie charakter międzynarodowy i będzie otwarte dla wszystkich badaczy, którzy tam zechcą pracować¹.

¹ *Comptes rendus*, 1892, t. cxv, p. 914.

Czy wielkie korzyści nauka odniesie z tego obserwatorium, przyszłość pokaże — a przyszłości przesądzać nie trzeba, raczej korzystajmy z tego, co nam teraźniejszość przynosi. W ostatnich czasach fotografia świadczy najlepsze astronomii przysługi. Tak M. Wolf w Heidelbergu, że jeden przykład wspomnimy, odkrył przy pomocy fotografii w roku 1892 10 planetoid. Fotografia dzisiaj weszła w spółkę z teleskopem i mikroskopem, a mając nadto wiele przymiotów rekreacyjnych, stała się powszechną sztuką amatorską. Przy pomocy prostego przyrządu fotograficznego można wykonywać nie tylko rzeczy poważne, ale używając kilku manipulacji można robić bardzo wiele komicznych i humorystycznych kombinacji. Obecnie fotografuje się najrozmaitsze dziwadła, potwory z dwiema głowami, karłów z ogromną głową lub inną częścią bardzo nieproporcjonalną, całe rodziny, w których osoby starsze występują jako bardzo małe, dzieci zaś bardzo duże i t. d. Nie dziw więc, że tylu dziś amatorów, mających pieniądze i czas, zajmuje się fotografią.

Dyletantyzm ten nie wyszedł na złe fotografii — owszem łączy się z nim wiele ważnych ulepszeń, jak fotografia momentalna, telefotografia i t. d.

Najbardziej jednak zajmuje wszystkich fotografia kolorów.

Zagadnienie fotografii barw jest stare jak fotografia sama. Pierwsi fizycy, co używali ciemni optycznej, pragnęli utrwalić obraz z wszystkimi barwami. Pragnienia tego nie można było zaraz urzeczywistnić. Wiadoma jest rzecz, na czem polegają operacje fotografii zwykłej. Główną zasadą jest, aby obraz przedmiotu padł na powierzchnię przygotowaną, tj. powleczonej jednomiernie substancją, którą światło może modyfikować, czyli, jak się to powszechnie mówi, substancją czulą na światło. Najczęściej używa się do tego soli srebrowych, np. bromku srebrowego. Światło działa na tę sól i w miejscu, gdzie się jej dotknęło, rozkłada bromek srebrowy. W ten sposób otrzymuje się obraz, który w częściach silnie oświetlonych zawiera dużo srebra, wiele mniej w miejscach słabo oświetlonych, nic w miejscach ciemnych. Tak ułożony obraz trzeba teraz utrwalić (*fixer*). W tym celu zanurza się powierzchnię w jakim roztworze, najczęściej w dwusiarczku sodowym, który rozpuszcza i zabiera sól z miejsc, gdzie rozpuszczoną przedtem nie była. Obraz w taki sposób otrzymany jest monochromatyczny, jednobarwny, ponieważ występuje w nim jedna tylko materyja, srebro wydzielone. Niema i śladu kolorów, które stanowiły obraz.

Kiedy chemicy umieli już otrzymywać obrazy monochromatyczne,

poczęli się starać o oddanie kolorów obrazu. Edmund Becquerel był pierwszy (r. 1848), który za pomocą fioletowego chlorku srebrowego (*le sous-chlorure violet d'argent*) otrzymał na płycie barwny obraz widma słonecznego. Nie mógł jednak obrazu utrwalić. Również późniejsi badacze nie osiągnęli lepszych rezultatów. Dopiero fizyk francuski G. Lippmann rozwiązał w ostatnich dwu latach w wielkiej części trudne to zadanie.

Lippmann tem się różni od swych poprzedników, że nie szuka rozwiązania na drodze chemicznej, ale fizycznej. Zaraz to wyjaśnimy. Osad srebra u Lippmanna, który się otrzymuje w fotografii zwyczajnej, chwytą wszelkie kolory, nie zmieniając się chemicznie, ale tylko modyfikując swoją strukturę. W tym celu wystarczy zwykłą płytę fotograficzną postawić w szczególnych warunkach. Warunki są bardzo proste: trzeba powłokę czułą oprzeć w czasie wystawienia o jakie zwierciadło, a nadto używać powłoki czulej przezroczystej, nie zawierającej żadnych, choćby najdrobniejszych ziarenek. Lippmann urządza zwierciadło w ten sposób, że wstawia rtęć za płytę. Zaopatrzoną w ten sposób w zwierciadło płytę, a mającą powłokę czułą przezroczystą i jednostajnie rozmieszczoną, wystawia na światło zwyczajne w ciemni optycznej. Zresztą postępuje się jak przy zwykłej fotografii. Rezultat jednak jest inny, ponieważ struktura osadu srebrowego jest zmodyfikowana. Fotografia np. widma słonecznego posiada bardzo żywe kolory.

W fotografii zwyczajnej, wszędzie gdzie padło światło, wytwarza się osad jednostajny srebra metalicznego, jeśli się zaś ustawiło za płytę zwierciadło z rtęci, osad srebra przyjmuje strukturę określoną — jest uwarstwowany. W jaki sposób owa zmiana struktury pociąga za sobą własność odbijania kolorów? Analogiczne zjawiska mamy i w przyrodzie, a przykład tego najlepszy perłowa macica, która właśnie dlatego barwnie nam się przedstawia, że się składa z cieniutkich warstewek węglanu wapna. Wiadomo, że gdzie perłowa macica odbija światło czerwone, tam warstewki stoją w pewnej określonej odległości. Odległość ta wynosi $\frac{1}{3000}$ mm. Taką jest właśnie struktura osadu srebra w częściach czerwonych fotografii kolorowej. Kolor żółty powstaje przez to, że warstewki zbliżone są nieco więcej do siebie, odległość ich wynosi $\frac{1}{4000}$ mm; aby otrzymać barwę fioletową, trzeba warstewki zbliżyć na $\frac{1}{5000}$ mm. Dla barw pośrednich, trzeba pośredniej odległości warstewek.

Lecz w jaki sposób światło może wywołać uwarstwienie tego

rodzaju? Każdy promień, który wchodzi w powłokę czułą, odbija się o zwierciadło rtęciowe — w ten sposób w każdym punkcie powłoki schodzi się promień padający z promieniem odbitym, który rozchodzi się z tą samą prędkością, ale w kierunku przeciwnym. Przez to wytwarzają się fale świetlne stojące. Fale te sprawiają mechanicznie ułożenie srebra w warstewki, których grubość odpowiada długości fali stojącej, a więc i barwie światła.

Jako uzupełnienie tego może posłużyć nowa wiadomość Lippmanna. Zamiast bromku srebrowego można użyć dwuchromianu żelatyny albo albuminu. Warstwę dwuchromianu albuminu wylaną i wysuszoną na szkłe wystawia się w ciemni optycznej na działanie światła, podczas gdy odwrotna jej strona opiera się o zwierciadło rtęciowe. Wystarczy następnie włożyć płytę do wody, a pojawią się kolory. Woda bowiem oddziela dwuchromian, a obraz się utrwala i rozwija. Po wysuszeniu obraz znika, pojawia się atoli znowu po zwilżeniu. Barwy są bardzo piękne i widać je w świetle odbitem; w świetle zaś przechodzącem pojawiają się barwy dopełniające. Podobnie zachowuje się dwuchromian żelatyny, tylko że tu nie potrzeba płyty w wodzie zanurzać, ale wystarczy zwilżyć ją przez chuchnięcie.

Tłumaczenie zjawiska opiera się na powstawaniu fal stojących i na tem, że światło wywołuje zmiany hygroskopiczne w tych substancjach.

Taką jest zasada Lippmanna, która dziś jest podstawową w fotografii kolorów. Zasadę tę pochwycili różni *dii minores*, i starają się ją w najrozmaitszy sposób praktyczną i przystępną uczynić do celów zwyczajnych, czego z niecierpliwością wyczekuje tłum pracowników i amatorów¹.

Druga rzecz zajmująca umysły wielu, zwłaszcza we Francyi, jest podróż balonem. O kierowaniu balonami chodziły już nieraz różne pogłoski, które jednak zawsze mniej lub więcej okazywały się fałszywymi. Świeżo znowu wieść się rozeszła, że pan Renard wynalazł wreszcie pewny sposób kierowania balonami. Ponieważ jednak w różnych relacjach znajdujemy tylko niektóre małoznaczące szczegóły, porzucamy więc na tej wzmiance. Bardziej zajmujące może być obszernie studyum panów Leona Dex i Maurycego Dibos, których szereg

¹ Cfr. *Comptes rendus*, 1891, t. CXIII, p. 126; 1892, t. CXV. p. 575. *Cosmos*, nr. 413.

artykułów pojawił się w *Revue maritime et coloniale*, pod tyt: „Aerostat i zbadanie kontynentu afrykańskiego“.

Nasamprzód zastanawiają się autorowie nad tem, jak ma być balon zbudowany i w jaki sposób podróż urządzona, aby można przebyć bardzo wielkie przestrzenie. Posłuchajmy ich odpowiedzi.

Balon o promieniu 14 m, objętości 11500 m³, ma mieć dwie osłony: zewnętrzną jedwabną, żeby stawiała opór prężności wodoru, wewnętrzną błoniastą, z kiszek wołowych, któraby przeszkadzała transfuzji gazu. Wewnątrz balonu ma być umieszczony drugi balonik mały, również błoniasty, napełniający się za pomocą pompy powietrznej i mający na celu nie dopuszczać deformacji balonu. Dwie łodzie, jedna nad drugą, połączone drabinką; dolna przeznaczona na liny i zapasy, górna na mieszkanie i rzeczy potrzebne dla aeronautów. Nadto mała łódka do spuszczenia, za pomocą której jeden lub kilku ludzi mogłoby zejść na ziemię, kiedy balon stoi na kotwicy. Kotwic dwie: duża ważąca 150 kg z liną 25 m, mała 30 kg z liną 200 m. Prócz tego różne przyrządy elektryczne do oświetlenia.

Dalej konduktor nieodczuwający wśród burzy, przechodzący przez osłony, dobrze od nich izolowany, którego lina przewodząca łączy się z liną regulującą, a za pośrednictwem tej z ziemią.

Ta lina regulująca (*guide-rope*) stanowi jedną z najistotniejszych części w aerostacie pp. Dex i Dibos. Jest to lina metalowa, długości 310 m, ciężaru 1416 kg, zwieszona wolno pod spodem balonu — jest ona zarazem podstawą w tym systemie żeglugi powietrznej. Długość i ciężar jej tak są dobrane, że aerostat ma się unosić w powietrzu mało co wyżej 100 m, część zaś tej liny, przeszło 200 m, ma się wlec po ziemi.

Słótko tu wyjaśnienia potrzebne. Długa podróż balonem jest niemożliwą, jeśli nie można walczyć bez utraty balastu ze zmianami pędu do góry, jaki posiada gaz wypełniający balon. Trudność tę usuwa właśnie wspomniana lina regulująca. W rzeczy samej, jeśli balon wskutek przypadkowego nadmiaru gazu zaczyna opadać, to jednocześnie dłuższa część liny regulującej zaczyna się wlec po ziemi, konsekwentnie balonowi tyle spada ciężaru ile mu przybyło; przeciwnie kiedy wskutek straty zaczyna się podnosić, podnosi się też jednocześnie i część liny regulującej, czyli balonowi odpowiedni balast przybywa. Odpowiednio zatem do zmian zachodzących w pędzie gazu do góry, zmienia się też długość wlokącej się liny, wskutek czego aerostat może posuwać się w stałej równowadze.

Gdyby zaś pęd do góry wzmógł się do tego stopnia, iżby lina regulująca zaczynała nie wlec się po ziemi, natenczas trzeba upuścić tyle gazu, ile jest koniecznie potrzeba.

Podróżować w taki sposób po Europie byłoby co najmniej śmiesznem, jeśli nie niebezpiecznem. Dlatego autorowie w dalszej części swego studyum zastanawiają się nad tem, czy są jakie okolice niezbadane, w których prądy atmosferyczne są na tyle regularne, iżby pozwoliły na tego rodzaju podróż powietrzną. Najodpowiedniejszą do tego wydaje się autorom Afryka północna. Po bardzo dokładnem i szczegółowem roztrząśnieniu wszelkich warunków meteorologicznych Afryki północnej, przychodzą pp. Dex i Dibos do wniosku, że od listopada do kwietnia cztery podróże tamże są możebne. Pierwszą z Gabes w Tunisie, w kierunku z początku niepewnym, dalej południowym, pod koniec południowo-zachodnim, do Sudanu francuskiego. Druga z Syrty w kierunku południowym aż do Tedżeri, stąd zaś albo w kierunku południowo-zachodnim aż na wybrzeże Liberyjskie, albo też jeśli będzie można, z Tedżeri dalej na południe nad jezioro Czad, a stąd w kierunku południowo-zachodnim na wybrzeże Kości słoniowej. Trzecia z nad morza Czerwonego nieco na północ od Suakim, w kierunku południowo-zachodnim, aż do gór Manchaya, a stąd prądem równikowym w kierunku zachodnim na wybrzeże Złote. Czwarta z Opji w Somalisie prądem równikowym w kierunku mniej więcej zachodnim, również na wybrzeże Złote. Autorowie radzą głównie pierwszą podróż, któraby trwała według ich obliczenia 20—22 dni.

W końcu mamy jeszcze podane niektóre środki, jak pokonywać trudności, i odpowiedzi na niektóre zarzuty.

Pomysł, trzeba przyznać, bardzo oryginalny, — nie można powiedzieć, że niewykonalny, bo go nikt jeszcze wykonać nie próbował. W każdym razie trudności konkretne będą prawdopodobnie większe nieco od teoretycznych.

Od podróży powietrznych projektowanych przechodzimy do rzeczywistych, które już tysiące lat regularnie, corocznie się odbywają. Takimi są: wędrówki ptaków, zjawisko najciekawsze w ich historii. Podajemy w tej mierze kilka szczegółów podług G. Chardona, który o tej rzeczy napisał osobne dzieło, a niektóre wyjątki z niego pomieścił w przyrodniczym tygodniku *Cosmos*.

Z nadciągającą jesienią ptaszki nasze stają się niespokojne i ruchliwe. Na starych i młodych cięży kamieniem troska jakaś, — mają

opuścić kraj, w którym się zrodziły i wychowały, gdzie zaznały tyle szczęścia. A jednak, ani echo odbrzmiewające jeszcze po ich śpiewach, ani gniazdko zawieszone jeszcze na gałęziach, ani tysiące pamiątek przechowanych w zaroślach i gąszczach nie zdołają ich zatrzymać w prawdziwej ojczyźnie.

Instynkt migracyjny jest powszechny i nieprzeparty. Ptak przelotny, wykluty i wychowany w klatce, posiada go również. W epoce kiedy inne odlatują, i ptak z klatki chciałby się chętnie wydostać.

Dziwna zagadka w całym tem zjawisku! Oto gromadzą się ptaszki, prowadzą rozmowy i narady swoje — mają się wybrać w drogę. Lecz w którym kierunku? W kierunku słońca? Lecz co będzie ich busolą w przestrzeniach niezmiernych? A kiedy przyjdą na wybrzeże morskie, czy będą pewniejsze niż Kolumb, że tam gdzieś są kontynenty czy wyspy?

Zagadka staje się bardzo poważną i skomplikowaną, jeśli się zważy, że ptaki odlatują nocą. Fakt ten nie ulega dzisiaj wątpliwości. O dowody nie trudno.

Nieraz spotkać można jesienią legie całe jaskółek zbierających się na jakim dachu, wzbijających się razem, a po kilkunastu obiegach wracających do tego samego punktu. Lecz czy widział kto, żeby odlatywały w pewnym oznaczonym kierunku? Nie. Zawsze wracają na swój dach. Wieczorem jeszcze można je tam widzieć, rano już ich nie ma. Tak samo nikt nie widział za dnia odlatujących tylu drobnych a miluchnych ptaszek naszych.

Jeżeli więc ptaszki te odlatują od nas, a nie odlatują za dnia, to robią to w nocy. Kto chce np. widzieć pożegnalną defiladę naszych jaskółek, niech zrezygnuje ze snu a przypatrzy się im przy świetle księżyca i gwiazd. Oto i fakty pozytywne. Przed kilku laty p. Scott w Princetown (Stany Zjednoczone), zwróconą miał lunetę w kierunku równika, gdy wtem, w polu widzenia lunety, spostrzegł niezliczone mnóstwo ptaków. Korzystając z nadarzającej się sposobności, oznaczył wysokość, w jakiej się znajdowały te nowego rodzaju meteory. Najbliższe ziemi były od niej oddalone o 1,5 km, ogół o 3 km, najwyższe o 5 km. To samo zauważono bardzo często na rozmaitych wysokich wieżach morskich.

Nasze więc ptaszki wędrowne odchodzą bardzo daleko, podróżują nocą, a podróż sama odbywa się wysoko ponad głowami naszymi.

Odleciały już. Lecz dokąd zajdą? Gdzie są ich kwatery i leże zimowe? Kwestya zajmująca, ale bardzo trudna i właściwie jeszcze nie-

rozwiązana. Mówią naturaliści, że niektóre z naszych ptaszków zdążają na południowy wschód, przez archipelag Grecki i zimują w Syryi. Do liczby tych należy słowik. Inne zwracają się na południowy zachód i szukają ciepłoty umiarkowańszej na pobrzeżach. Ogół zmierza wprost w stronę południową i nie może gdzieindziej szukać schronienia jak w Afryce.

Nie wiemy jeszcze dokładnie, gdzie który gatunek w czasie zimy przebywa. Za mało bowiem dotychczas mamy spostrzeżeń z okolic afrykańskich, a nadto obserwacye tego rodzaju są trudne, bo idzie tu o sezon martwy, w którym ptaszki nie gnieźdzą się i nie śpiewają.

O pewnej porze znowu ptaki wracają. Co je pobudza do tego, co je w czasie podróży prowadzi? Nikt na seryo nie nazwie tego inteligencyą, każdy powie, że to instynkt. A jednak jak mało wiemy o tem, co to jest instynkt. Tylu filozofów i przyrodników tylu, zajmowało się i zajmuje tą kwestyą, a przecież zawsze coś zagadkowego tkwi w tem słowie, i wygląda ono jeszcze na płaszczyk nieznamości naszej.

Człowiek jeden może się zapuszczać w głębie tajników przyrody, może podziwiać i unosić się nad pięknoscią niezmierzonych przestworów, on jeden może ujarzmić ślepe siły przyrody i naginać je według myśli swoich — a jednak mówią o nim, że to tylko zwierzę ssące na najwyższym szczeblu rozwoju, że to tylko emanacya konieczna ewolucyi zwierzęcej. Czy to powiedzenie jest rzeczywiście wynikiem dzisiejszych badań naukowych?

Na kongresie międzynarodowym archeologii przedhistorycznej w Moskwie, roku zeszłego, Virchow, sławny rektor uniwersytetu berlińskiego, miał przemowę, w której zaznajamia nas właśnie z rezultatami ostatnich badań nad zagadnieniami antropologicznymi.

Virchow rozpoczyna od r. 1859, który do nauk przyrodniczych i do antropologii wniósł rewolucyę i zamieszanie pojęć, po którym najtrwalsze filary umiejętności dotychczasowych zaczęły drzeć i chwiać się w posadach swoich. Zastanawia się najpierw nad dawnoscią rodu ludzkiego, i odpowiada, że jak z jednej strony śmiało dziś twierdzić możemy, że człowiek istniał w epoce czwartorzędowej, o czem i przedtem nikt właściwie nie wątpił, tak z drugiej strony mężowie nauki nie mogą przyjąć, jakoby człowiek istniał w epoce trzeciorzędowej.

Następnie Virchow przechodzi do kwestyi ważniejszej, mianowi-

cie do zwierzęcego pochodzenia człowieka. Jakież jest ostatnie słowo nauki w tej mierze? Posłuchajmy. Fakty z antropologii przedhistorycznej nie wykazują wcale istnienia jakiejś rasy pierwotnej, niższej, którąby można uważać za przejście między zwierzętami a człowiekiem dzisiejszym. Znanych nam jest wiele czaszek bardzo starych, wszystkie jednak pod każdym względem przypominają czaszki ras obecnych, niektóre nawet ras cywilizowanych. Napróżno się trzusi, kto szuka łańcucha, coby wiązał człowieka z małpą lub innem zwierzęciem. Ludzie, których wygląd do pewnego stopnia przypomina małpy, są to okazy patologiczne, owi zaś dzicy, którzyby mieli wiernie przedstawiać człowieka świeżo wyklutego ze zwierzęcości, noszą na sobie wyraźne cechy zwyrodnienia. Do takiego przekonania doszli dziś uczeni.

Już nieraz występował Virchow przeciw dedukcyom doktryn dzisiejszych, ale nigdy jeszcze nie wystąpił tak uroczyście, nie wypowiedział przekonania swego tak dosadnie i wyraźnie, jak na tym kongresie. „Tak więc, temi słowy wyraża Virchow ostateczny rezultat, w kwestyi dotyczącej człowieka jesteśmy pogromieni na całej linii. Wszystkie poszukiwania przedsięwzięte w celu znalezienia ciągłości w rozwoju postępowym były bez wyniku; *proanthropos* nie istnieje wcale, nie ma człowieka-malpy. Łańcuch pośredni pozostaje mrzonką“.

Bathybius i *proanthropos* to dwie chimery, dwa ważne ogniwa w ogólnym łańcuchu ewolucyjnym wypaść obecnie muszą. Czy pójdą za nimi i inne? Czekajmy przyszłości.

J. Nuckowski.

List z Rzymu o 19-tym lutego.

W chwili zamknięcia druku, otrzymujemy ciekawy list z Rzymu, którym dzielimy się z naszymi czytelnikami.

Rzym 20 lutego.

Najdroższy Ojcze!

...W Rzymie ledwo od zmysłów nie odchodzę. Mam ochotę rzucić się w objęcia każdego *veturina*. Lud mię zachwyca. Tego ludu i tej ziemi nie można naszym barbarzyńskim łokciem mierzyć. To lud poetów, artystów, gorących uczuć, uniesień silnych, przytem jak dzieci naiwny i wesoły. Pierwsza sprawa naprzód: *celebret* w Wikaryacie. Stamtąd wizyta u kard. Wikarego. Sekretarz Don Antonio, najpocziwszy w świecie, zaprowadził mię. Spotkałem nieoszacowanego redak-

tora *Diritto di Roma*, Signor Germaro Pucci, któremu Izwolski ofiarował pewną sumę aby milczał, o czem on nie omieszczał dać znać w swoim piśmie *urbi et orbi*. Zaprowadził mię nazajutrz do *Circolo S. Michele artistico e literario*. Od kard. Wikarego otrzymałem bilet pierwszorzędny, zielony, do św. Piotra, po prawej stronie od Konfessyi.

Na opisanie 19-go lutego brak słów i siły. Ci nawet, co widzieli sobór i pamiętają Piusa IX., wyznają, że *spectatis circumstantiis*, było w tem coś tak szczególnego, że przeszło wszelkie oczekiwanie.

Od 7 z rana wszystkie ulice roily się tłumem ludu, karet i prze-różnych ekwipaży, — gwardya *nazionale*, bersaglierzy i karabinierzy tworzyli obręcz na placu św. Piotra, w której jedno tylko było ważne przejście na jedną nieledwie osobę, gdzie stał oficer z dobytym pałaszem, którego ostrze było zwrócone do przechodzących. Tą drogą przeciskaliśmy się po jednemu. Dostałem się do podwojów św. Piotra. Tu się szykowali Irlandczycy z wielkim sztandarem św. Patryka; każda grupa miała swe insygnia: św. Malachiasza, św. Brygidy, św. Brainduna, św. Columbana. Ja więc w prośby do nich, aby mię przyjęli: *I am a Pole, there is no polish pilgrimage, receive me. — I belong to a disinherited nation. — Irland and Poland are two sisters in suffering*¹. — Z nimi więc w największym ścisku, w którym ledwośmy się nie podusili, drzwiami prawej nawy, wkroczyliśmy do św. Piotra. Ciżba nie do opisanania. Być w trybunie byłoby bez wątpienia wygodniej i lepiejbym mógł był widzieć. Ale nie miałbym zrzeczności zbliżyć się do pielgrzymów. Sam ten widok stanowił największy urok tej niezrównanej uroczystości. Włosi nikomu nie ustępowali, jak łatwo sobie wyobrazić, w gorącości zapału. Chłopi sycylijscy w białych sukmanach tak przypominali chłopów krakowskich, że się czuło pewną illuzję. Angielskie *gentlemen* mieli duże, złote medale na białych wstęgach, na lewym boku. Bazylika odnowiona, odzłocona, oświecona milionami rześistego światła, przy pewnym mroku, który dawały zasłonięte frankami okna, napelniona 70.000 tłumem wiernych wszystkich świata krańców, przedstawiała ten, jakby nadziemski widok, który chyba najbardziej na ziemi zbliża się do szczęścia niebieskiego.

Kiedy ukazał się Ojciec św., niesiony na *sedili gestatoria*, z wysoko podniesioną prawicą, błogosławiący tę rzeszę swych dziątek, to nie okrzyk, ale jęk jakiś instynktowy z najistotniejszych głębin serc wzniósł się pod sklepienia i ginał w przestworzach. *Viva, evviva Santo Padre...* a sługa Wasz dobywał całej siły, wołając: *Solo Re di Roma, Principe della Pace*. Mszę odprawiał Ojciec św. bardzo powoli. Nastąpiło wspaniale *Oremus pro Pontifice nostro...* potem jeszcze wspanialsze *Te Deum*, naprzemian z tym niezliczonym ludem... *Te per orbem terrarum S. Confiteatur Ecclesia... Tu Rex gloriae Christe...* Znów tryumfalny pochód przy wyjściu, znów *evviva Santo Padre, solo Re di Roma...* Po wyjściu,

¹ Jestem Polak, niema tu pielgrzymki polskiej, przyjmcie mię. — Należę do wydziedziczonego narodu. — Irlandya i Polska są siostrami w cierpieniu.

uczuliśmy się znów na ziemi, w pełni cywilizacyi XIX. wieku — rozpędzała nas policya.

Łatwo odgadnięcie, mój Ojcze, iż zatrzymawszy się z konieczności w Polskim Kolegium, pierwszego zaraz dnia, tj. w piątek, między 6 a 7 godz. poszedłem na Ripeta nr. 246 (Redakcyja *Civiltty*). Od razu jak w dym do O. Brandi. Skoro mu powiedziałem kto jestem, spotkał mię z żalosnem: *anche lei e venuto per improvermi?* — Odpowiedziałem: *No, padre, ma altri miei compatrioti, si!*¹ Tłumaczył się bardzo szczerze ze wszystkiego. Utrzymywał, że nigdy i nigdzie nie powiedział, iż prześladowania niema... Dał mi korektę numeru *Civiltty*, który nazajutrz miał wyjść.

W poniedziałek wieczór, było wspaniałe *Te Deum* u św. Jana Lateraneńskiego. Wszystko nie do opisania. Pobożność i wiara pielgrzymów do łez rozrzewniają. Z każdej zręczności, jedynej, jaka się może w życiu zdarzyć, korzystam, aby się zbliżyć i zaznajamiać, jak to zwykł był robić ś. p. O. Wojciech. Byłem na *recivimento* u kard. Vaughan, arcyb. Londynu. Na obiedzie u Zmartwychwstańców na cześć biskupa z Hamiltonu w Kanadzie. Rozpoczęło się *triduum* u St. Lorenzo in Panis Perna, gdzie był konsekrowanym Ojciec św. na biskupa. Ślicznie kościół ubrany. Główna absyda, raczej ściana wielkiego ołtarza, pokryta jest freską, wyobrażającą męczeństwo św. Wawrzyńca, które tu właśnie miało miejsce. — Kazanie wieczorem miał arcybiskup Perugii, Mgr. Faschi. Tłumaczył ceremonię kons. biskupów. Mowa była wspaniała i po oratorsku wypowiedziana, bez włoskich giestykulacyj. Wielkie wrażenie robiły ustępy, w których robił zwroty do osoby Ojca św. i wskazywał miejsce, gdzie leżał krzyżem, lub kiedy zwracał uwagę, jak się błogosławieństwa ziściły. Pięknem było, kiedy tłumaczył co znaczy biskup, jak Ojciec św. spełnił to powołanie w ciągu 30 lat pasterskiego urzędu w Perugii. Słuchałem całego kazania w *corretto* razem z Patryarchą Indyj wschodnich, z Goa. Poznałem przedtem jego otoczenie indyjskie i portugalskie. Bardzo mię budowali ci księża swą pobożnością. Sam im to miejsce wyszukałem i zaprowadziłem. Byłem z wizytą u biskupa La Flèche z Kanady, który się Polską interesuje... Mówiłem już, iż pierwszy biskup, od którego miałem szczęście otrzymać błogosławieństwo, był kard. Lague, arcyb. z Asmagh, prymas Irlandyi. Widziałem Mgr. Meszczyńskiego; spotkałem cały tłum biskupów w pokojach kard. Ledochowskiego, czekających audyencyi. Ma się rozumieć, iż dałem za wygraną.

Wasz N. N.

¹ I ksiądz przyjechał mię lajać? — Nie, ojcze, ale moi rodacy, to tak!



Joachim Arcykapłan w Bethulii.

Gdy śpiewem brzmiały lasy i pola,
Gdy złotem żytem świeciła rola,
Owocem śmiały się sady,
A sierp wydzwaniał tryumfy plonu
W łąkach Sarony i Ezdrelonu,
Wino kapało z Engaddy —

Wieść Hiobowa jak straszne brzemie
W lot tę weselną zaległa ziemię:

Hej! Assyryjczyk nadchodzi!
I kracząc lecą z północnej strony
Zwiastuny mordów — sępy i wrony,
I w lunach każda noc brodzi.

A hen, z północy, północo-wschodu
Biegna w ucieczce tłumy narodu,
Z takim zapędem i lękiem,
Jak przed ostremi szpony jastrzębi
Pierzcha bezbronne stado gołębi,
Lub w locie upada z jękiem.

Okropne gońce!... Wszystkie narody
Pobił Niniwczyk, wziął wszystkie grody,
Wszystkie popalił winnice;
Kto mu się oparł, ten poległ trupem,
A kto się poddał, ten stał się łupem,
Lecz wprzód postradał żrenice.

Na miejscu dawnych miast, zamków, włości
Dymią się gruzy, bieleją kości
Tych, co tu wczoraj mieszkali;
O trupów stosy targanych w strzępy
Biją się za dnia i psy i sępy,
A w nocy stada szakali.

Jako szarańcza okrywa lądy,
Tak assyryjskie konie, wielbłądy
Wkoło pokryły rozłogi;
Co ich nie mogło dosięgnąć strzała,
Podle przed nimi na twarz padało
I kwieciami słało im drogi.

I na stos niosło szczerze, nieszczerze
Drogie ojczyste bogi w ofierze,
By miecz ich minął straszliwy :
Bo edykt huczał usty wszystkiemi:
Że niema więcej Boga na ziemi,
Jak bóg-despota Niniwy!...

I Liban zadrżał, gdy mu o stopy
Trąciły dzikich hord tych potopy
Śród szczęku, huku i wrzasku;
A po Judei nakształt zawiei,
Okrzyk przeleciał śród pól i kniei:
„Na Boga! Już są w Damasku!“...

I cóż Judea?... Poprzed olbrzymem
Lub na twarz padnie, lub pójdzie z dymem —
Tak rzekły wszystkie narody.
Więc Assyryjczyk ostrząc swe miecze,
Już w myśli łupy liczy i wlecze,
I spieszy jakby na gody.

Czy się oszukał?... Kiedy kraj cały
Konał ze strachu, jak oszalały —
Gdzieś... tam... w dalekiej Solimie
U stóp najświętszych Boga ołtarzy
Sam Arcykapłan leżał na twarzy —
Joachim było mu imię.

I wołał w niebo głosem i łzami
Za tą świątynią i ołtarzami
I za wybranym swym ludem,
By Ten, co cudem wiódł go przez tonie,
Cudem zwycięstwo dawał mu w dłonie,
I teraz zbawił go cudem...

Wstał jak natchniony... i na wsze strony
Wysłał kapłany, by do obrony
Lud zbierać, wodze i szyki;
A przedewszystkiem mężom, młodzieży
Kazał, by każdy, kto w Boga wierzy,
Górskie obsadzał przesmyki.

Odziani w wory i włosiennice
Męże i starcy, matki, dziewice
Popiół niech sypią na skronie,
I cały naród ze swym Kapłanem
W kornej modlitwie padnie przed Panem
I w niebo wznosi swe dłonie...

* * *

W Bethulii, Kades i Jotapacie
Mrowiem się snują ludzkie postacie,
Pnąc się na strome gór szczyty.
Gdzie spojrzysz, wszędzie sterczą ze skały
To stosy głazów, to długie wały,
I błyszczą w świetle dziryty.

Krótko czekali... bo gdy nad ranem
Słońce wstawało poza Libanem,
Rumieniać góry, doliny:
Wróg się posuwał z Antylibanu
Na wzór powodzi lub huraganu
Albo iskrzącej lawiny.

Już poznać można z bethulskich murów
Przednią straż wroga, jazdę, piechurów
I wozy zbrojne kosami;
Już widać nawet poprzez tumany,
Jak jedzie pierwszy między hetmany
Otoczon swymi wodzami...

W złotym rydwanie sześć białych koni
Jak wiatr go niosą wśród kwiatnych błoni;
On sam kapiący od złota,
W jasnej, powłocznej swojej purpurze
Groźnie, badawczo patrzy ku górze,
Pyta i potok groźb miota.

Za nim się wali do gór podnoża
Z szczękiem, tententem jako szum morza,
Armia zebrana z pół świata;
Jak Oceanu rozlane fale,
Górski zameczek zwieszon na skale
Wojsk swych pierścieniem oplata...

Cudnyż to teraz widok z wyżyny
W te jakby kwiecie pełne doliny
Lśniące wszystkimi barwami!
Zda się, że strugi jedwabiu, złota
Wkoło każdego pluszczą namiota,
Wszystkimi płyną drogami.

A gdy noc ziemię nakrywszy kirem,
Obleje niebo ciemnym szafirem,
Gwiazd miliony rozpali:
Pola, od wielkich ognisk bez liku,
Od łun ognistych, dymów i krzyku,
Piekłem wydają się z dali...

* * *

Tak dni dwadzieścia widziały gwiazdy,
Tak dni dwadzieścia wśród swojej jazdy
Naliczył księżyc dwurożny;
A w zamku codzien mniej się migocą
Hełmy, i ognie mniej świecą nocą,
I śpiew przycicha pobożny.

Gdy z dolin płyną śpiewy i dźwięki,
W Bethulii słysząc rozpaczne jęki...

Gdy dołem uczta szalona,
To tam na górze wśród upalenia
Krocie konają z głodu, pragnienia...
Połowa niemal już kona!

„Więc się poddadzą“... W moc poganina
Wraz z nimi przejdzie Judzka kraina —
Taki już wyrok ukuli!
Czekajcie! — Mocne jest Boże Imie!
Jest jeszcze Kapłan w Jerozolimie,
I jest Judyta w Bethuli!...

Gdy Holofernes czeka gotowy
Brać klucze miasta a ścinać głowy
Śród wyszukanych boleści,
Pijane tłumy wrzeszczą bez miary
I biją w bębny, dzwonią w fanfary...
Czy chcecie końca powieści?

* * *

Śliczne, pogodne było świtanie,
Niebo kraśniało, a na Libanie
Pierwsze promienie strzelały;
Wszystko wstawało na życie nowe,
Gołąb z pod skrzydła dobywał głowę,
W polach przepiórki wołały.

I szmer w namiotach Holofernesa
Budzi się, rośnie z kresa do kresa,
A krzyk tryumfu z zameczka;
I biegną jezdni, piechota, wozy
Z wściekłym rozpędem, z okrzykiem zgrozy —
Cóż to?... „Ucieczka! Ucieczka!“

Oblana światłem rannego słońca,
Na wzór z niebiosów zbiegłego gońca,
Na murach Judyta stała,
I wśród wesołych rycerstwa głosów
Za długie, rude kędziory włosów
Uciętą głowę trzymała.

Ha — to łeb tego samego wroga,
Co w imię siły drwił sobie z Boga
I z wiary ludów i cnoty,
Co świat przerażał ust swoich rykiem,
Co z siłą piekieł, z bluźnierstw okrzykiem,
W Solimę krwawe wiódł rotę!

W miejscu, gdzie jeszcze wczoraj uczładował,
Życie narodom lub śmierć dyktował
Śród swoich falang mrowiska,
Stał pusty obóz i bogactw kupy,
Konie, wielbłądy, namioty, łupy,
Jeszcze tlejące ogniska;

A z gór wierzchołków i z miast i kniei
Wypadli teraz męże Judei
Z mieczem i łukiem ze stali,
Goniąc i siekąc przez wszystkie drogi
Tych, którzy tędy jak ziemskie bogi
I jak zwycięzcy stąpali.

Błyskawic skrzydłem zbiegły nowiny
Przez wsie i miasta Judzkiej krainy,
A lud za głosem tych wieści
Biegł, by zwycięstwa miejsce obzierać
I cudów słuchać i łupy zbierać
Aż przez dni całych trzydzieści...

* * *

Po stromych ścieżkach, przez skał załamy
Spieszą pielgrzymi w bethulskie bramy

Dźwigając wieńce, korony,
A między nimi — rozradowany
Starzec Joachim z swymi kapłany,
Na rękach synów niesiony.

O, jakież głośny tryumf wesela
Świecił dziś cały lud Izraela!...

Z rzewną wdzięcznością dla Pana,
Cały dziś naród biegnie na szczyty
Całować rąbek świętej Judyty,
Stopy świętego Kapłana...

* * *

O Starcze Święty, co z tem imieniem
Stoisz u steru silnem ramieniem

W potrójnej Piotra koronie!
Dziś w twej Bethulii na Watykanie
Gną się do stóp twych, Arcykapłanie,
Ludów i królów ich skronie.

Wszystkie twe wrogi stoją jak wryte
Patrząc dziś w Ciebie, w Boską Judytę,

W tryumfy z krańca do krańca,
I drżąc pytają, czem Ty te wojny
Wygrywasz, Starcze, li tylko zbrojny
W piorunną procę Różańca?

A Ty z wysokiej Piotra opoki
Patrząc, jak hetman, na świat szeroki,

Gdzie tylko burza szaleje,
Anielską surmą budzisz dokoła
I nieomylnym mieczem Anioła
Przeważasz nasze nadzieje.

Gdy obłąd myśli strasznie się sili
Rozdeptać ziemię, jak koń Attyli:

To Ty, jak Leon prawdziwy,
Ratując ludzkość, ratując trony,
Wstrzymujesz jego krwawe zagony
I cios zadajesz straszliwy.

I Ty, jak Leon, kiedy dokoła
Pożar pochłania zamki i siola,
Zniszczenie szerzy bez miary:
Bieżysz na pomoc z szczęściem jednakim,
I Boga słowem i Krzyża znakiem
Gasisz społeczne pożary.

A kiedy w skwarnej pustyni życia
Brak duchom ludzkim wody do picia:
Z opoki wskrzeszasz im wody,
I wywołując hymn dziękczynienia,
U tych przeczystych źródeł zbawienia
Godzisz zwaśnione narody.

* * *

Ojcie... Mojżesz... czy Archaniele!
Co na ludzkości stąpając czele,
Zwycięskie wznosisz ramiona:
Spojrzyj na północ, gdzie w lochów nocy,
W śniegach Sybiru, w pętach przemocy
Polski Twój naród dziś kona!...

I my dziś idziem w tłumie narodów —
Lecz stokroć rzewniej — do twoich wschodów,
I rzewniej chylin Ci skronie,
By Ci się rzucić na wzór dziecięcia
Choć raz w ojcowskie twoje objęcia,
Na twem wypłakać się łonie...

Bo nam nie wolno w rodzinnej ziemi
Nawet zapłakać łzami krwawemi
Ni własną skarżyć się mową:
Gdy na nas nieszczęść zwałają góry,
Gdy napinają wciąż na tortury
I wciąż nas czernią na nowo.

Kiedy ta garstka w grubej żałobie
Skarży się, płacze, jęczy przy Tobie —
I przed Piotrowym ołtarzem:
To tam — nad Wisłą, Niemnem, u Buga
Z ran i serc polskich krwi płynie struga,
A Polska — wielkim cmentarzem!...

Tam — jak nie ludzie — z pod praw wyjęci,
Na milionach krzyżów rozpięci,
Jęczeć nie mają już siły:
A wróg się Twego lękając serca,
Jeszcze zasłania wciąż przeniewierca
Te nasze krzyże, mogiły!...

O Ojczy! Ojczy! — Gdy Bóg w twe dłonie
Tak hojnie przelał łask swoich tonie,
Takim naznacza je cudem:
To Ty, jak Mojżesz — w tym krwawym znoju
I w tym śmiertelnym o wiarę boju
Nad polskim podnieś je ludem!

Módlże się za nas, Arcykapłanie,
Ty nasz Obrońco i nasz Hetmanie!
Niech nas nie zduszą okowy;
Niech z silną wiarą trwamy przy Tobie,
Aż Chrystus stanie przy naszym grobie
Odwalać kamień grobowy!...

Ks. Władysław Czencz.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronnica.
JOACHIM ARCYKAPŁAN W BETHULII. Wiersz jubileuszowy. Przez <i>ks. Władysława Czencza T. J.</i>	1*
KORRESPONDENCYA ŚW. IGNACEGO LOYOLI. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	1 321
LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI. Część II.: Chiny i Japonia. Przez <i>księcia Pawła Sapiełę</i>	23 179
OPACTWO ST.-FLORIAN W GÓRNEJ AUSTRYI. Przez <i>ks. d-ra Czesława Wądołnego</i>	36
TOMASZ OLIZAROWSKI. Przez <i>Maryana Dubieckiego</i>	52 216 366
LUŻNE KARTKI Z PRZESZŁOŚCI TELSZ. Przez <i>Wołyniaka</i> .	70
W CZEM TKWI SIŁA RENANA? Przez <i>ks. Maryana Moraw- skiego T. J.</i>	153
ZASADA ZACHOWANIA ENERGII I JEJ ZASTOSOWANIE W PSY- CHOLOGII. Przez <i>ks. Pawła Rawskiego</i>	196 393
WYCHODŹTWO Z POWIATÓW PODOLSKICH DO ROSYI W R. 1892. Przez <i>prof. Tadeusza Pilata</i>	226
URYWKI ZE WSPOMNIEŃ NOWOGRODZKIEGO SZLACHCICA. Przez <i>Kajetana Kraszewskiego</i>	349
IGNACY DOELLINGER. Przez <i>ks. Augustyna Arndta T. J.</i> .	380

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

POJASZENIJE ŚWIATYCH JEWANHELIJ. Napisał ks. dr. Józef Komarnicki. (<i>Μόνητος Σωτήρ</i>).	97
ZŁOTE KSIĄŻECZKI. Wydał dr. J. Tylka. (<i>X. P.</i>).	102
EGZORTY DLA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ. Napisał ks. Feliks Józefowicz, katecheta c. k. II. gimnazjum we Lwowie. (<i>Ks. K. C.</i>).	104
M. Kawecki i F. Tomaszewski. FIZYKA i krótki rys kosmografii dla wyższych klas szkół średnich. Podręcznik dozwolony do użytku szkolnego reskryptem W. c. k. Rady szkolnej. — Dodatek: CHEMIA, wydanie drugie, dozwolone do użytku szkolnego rozporządzeniem W. c. k. Rady szkolnej. (<i>Ks. K. C.</i>).	105
ROCZNIKI TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK POZNAŃSKIEGO. T. XVIII. Zeszyt I, z dwoma portretami i kartą. (<i>Ks. K. C.</i>).	107
Z ŻYCIA WIEJSKIEGO PROBOSZCZA. Karol Buet. Przekład z francuskiego przez Alinę Cieczott. (<i>Ks. A. B.</i>).	108
ANDRZEJ PATRYCY NIDECKI, jego życie i dzieła. Przedstawił Kazimierz Morawski, prof. Uniw. Jagiell. (<i>Dr. Paweł Popiel</i>).	272
SZUJSKIEGO MŁODOŚĆ. Napisał Stanisław Tarnowski. (<i>Romuald Koppens T. J.</i>).	280
Ks. PAWEŁ RZEWUSKI, biskup nominat pruszeński, sufragan warszawski. Napisał Kazimierz Bartoszewicz (<i>Ks. J. B.</i>).	288
IURIS IGNORANTIA. Dr. Bronisław Łoziński. Studium prawnospołeczne. (<i>Ks. Augustyn Arndt T. J.</i>).	418
Ks. STANISŁAWA GROCHOWSKIEGO ŻYWOT I PISMA. Napisał Adam Belcikowski. Studium literackie, uwieńczone nagrodą na konkursie Bredkrajca przez Towarzystwo Przyj. Nauk Poznańskie. (<i>Józef Kallenbach</i>).	427
KONSTYTUCYA ATEN. Świeżo odkryte dzieło Arystotelesa. Ćwikliński Ludwik. (<i>Dr. K. Krotoski</i>).	439
Z MĘCZEŃSKICH DZIEJÓW UNII. IV. Listy Unitów wygnanych do Orenburskiej gubernii. Część III. (<i>Ks. J. B.</i>).	440
JEREMIASZ PROROK. Dramat historyczny przez Michała Żmigrodzkiego. (<i>K. C.</i>).	441
PIOTR CHMIEŁOWSKI. Z powodu dwudziestopięciolecia pracy piarskiej, napisał Władysław Prokesch. (<i>Ks. J. B.</i>).	442
DZIEŁA ADAMA MICKIEWICZA. Wydał dr. Henryk Biegeleisen. (<i>Ks. St. Załęski T. J.</i>).	442

Z piśmiennictwa zagranicznego:

VICISSITUDES POLITIQUES DU POUVOIR TEMPOREL DES PAPES DE 1790 À NOS JOURS. Par Charles Van Duerm S. J. Société de Saint Augustin. (<i>Ks. K. C.</i>).	109
DIE GROSSEN WELTRÄTSEL. Philosophie der Natur. Allen denkenden Naturfreunden dargeboten von Tillmann Pesch S. J.	

Zweite verbesserte Aufl. Erster Band: Philosophische Naturerklärung. Zweiter (Schluss-) Band: Naturphilosophische Weltauffassung. (<i>H. J. R.</i>)	110
DIE VERWALTUNG DES PREDIGTANTES, mit Berücksichtigung der gegenwärtigen Zeitverhältnisse. Den deutschen Seelsorgern gewidmet von Karl Racke P. d. S. J. (<i>H. J. R.</i>).	112
BESTIALITY OF THE RUSSIAN CZARDOM TOWARD LITHUANIA. Published by „The Lithuanian Society of Sciences and Arts“. (<i>H. S.</i>)	113
CARNET D'UN SÉMINARISTE SOLDAT. Par A. Tastevin. (<i>X. M. B.</i>).	114
APOLOGIE DES CHRISTENTHUMS, Natur und Uebernatur. Fr. Albert Maria Weiss O. Pr. 2 Bände. (<i>B. Jasiechczyk</i>).	289
DER AUSZUG AUS PANCATANTRA IN KSHEMENDRAS BRIHATKATHAMANJARI. Einleitung, Text, Uebersetzung und Anmerkungen von Leo von Mañkowski. (<i>Ks. Józef Dahlmann T. J.</i>)	294
COSMOPOLIS. Par Paul Bourget. 1893. (<i>T. W.</i>)	444
Z LITERATURY ANGIELSKIEJ. I. (<i>M.</i>)	447

Z pism czasowych:

LUŽICA. Měsačník za zabawu a powučenje. Zhromadny časopis hornjo a dolnołužiskich Serbow. Lětnik 11. 1892. (<i>Tytus Sopodźko</i>)	116
--	-----

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Tytuł Papieża-Króla. — Wina Leona XIII. w upadku Szaparego. — Kroki do zgody między Watykanem a Petersburgiem. Przez <i>ks. K. C.</i>	125
JESZCZE NOWY KONCEPT O KALENDARZU. Przez <i>d-ra Wierzbickiego</i>	132
PROJEKT POSTAWIENIA SARBIEWSKIEMU POMNIKA W BEZDANACH. Przez <i>Romualda Koppensa T. J.</i>	137
POWSZECHNE MODLITWY ZA POLSKĘ. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	145

LUTY.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Jubileusz Leona XIII. — Jeszcze o W. Ks. Sergiuszu w Watykanie. — Polska i Rosya. — List Pobiedonoscewa. — Petersburskie <i>Nowosti</i> . — Unia wschodnia. — Polityka papieska i sprawa panamska. — Koniec sporu o szkołę w Stanach Zjednoczonych. Przez <i>ks. K. C.</i>	295
LIST Z WIEDNIA. Przez <i>Józefa Glinkiewicza</i>	306
NOWE TŁUMACZENIE ZJAWISKA „GWIAZDY BETLEEMSKIEJ“. Przez <i>prof. d-ra Karlińskiego</i>	317
KORESPONDENCYA REDAKCYI	319

MARZEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Po jubileuszu. — Głos Leona XIII. o służbach cywilnych. — Duchowieństwo węgierskie. — Ruch pomiędzy wiernymi. — Postawa rządu. — Hasło do odwrotu.	454
ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNAŁAZKÓW: Obserwatorium na szczycie Montblanc. — Zasada fotografii kolorów. — Projekt podróży powietrznej nad północną Afryką. — Wędrówki ptaków. — Najnowsze wyniki antropologii przedhistorycznej. Przez <i>J. Nuckowskiego T. J.</i>	463
LIST Z RZYMU o 19-tym lutego	472

